ŚWIĘTY PŁOMIEŃ

BRUCE STERLING

Nominacja do nagrody HUGO'97

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Zbliża się koniec XXI wieku. Rządzony przez gerontokratów świat pogrążył się w stagnacji — konserwatywni staruszkowie poświęcają więcej uwagi swemu zdrowiu, niż przyszłości gatunku ludzkiego. Medycyna jest najważniejszą gałęzią przemysłu, najlepszą lokatą kapitału, nadzieją na nieśmiertelność. Lekarze czynią cuda: tworzą mówiące psy, przedłużają życie, potrafią wyleczyć prawie każdą chorobę. Główna bohaterka, dziewięćdziesięcioczteroletnia kobieta, przechodzi eksperymentalną kurację odmładzającą, która na zawsze odmieni jej życie.

- Bruce Sterling
  - WSTĘP
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
  - 6
  -

Bruce Sterling
Święty płomień

WSTĘP

Wielką radość sprawiło mi napisanie tego wstępu specjalnie dla moich polskich czytelników. „Święty płomień" miał wiele zagranicznych wydań: brytyjskie, duńskie, włoskie, japońskie, ale wstęp ten nie ukazał się w żadnym z nich. Napisałem go specjalnie dla was, Polacy.

Pozwólcie więc, że przedstawię wam moją książkę pod tytułem „Święty płomień". Jest to kolejna powieść fantastycznonaukowa, napisana przez nieznanego wam Amerykanina, a — jakby tego było mało — także Teksańczyka. Nowa amerykańska powieść fantastyczna mogła wydawać się wam czymś egzotycznym przed 1989 rokiem, jestem jednak doskonale świadomy tego, że w dzisiejszych czasach Polska tonie w oceanie amerykańskiej literatury popularnej. Stało się tak dlatego, że Stany Zjednoczone to ostatnia nie znokautowana w ringu superpotęga, więc stać nas na nieograniczony eksport naszej kultury… i eksportujemy ją praktycznie bezmyślnie. Lata dziewięćdziesiąte okazały się historyczną apoteozą Ameryki. Spełniło się marzenie mojej ojczyzny — nikt nie może sobie pozwolić na to, by nas lekceważyć. A powinienem wspomnieć w tym miejscu, że z małymi choć wspaniałymi wyjątkami, polska fantastyka naukowa pozostaje w Stanach Zjednoczonych praktycznie nieznana.

Miejmy nadzieję, że uda się nam kiedyś zmienić tę fatalną sytuację.

Z pokorą wyznaję niniejszym, że kraj mój popełnił wiele literackich grzechów, proszę jednak, byście poświęcili chwilę czasu tej powieści. Mam wrażenie, że właśnie ona (przynajmniej spośród moich książek) najlepiej nadaje się do lektury w waszym kraju. Pojawienie się jej po polsku to owoc świadomej decyzji, a nie kolejna bezmyślna masowa zbrodnia jankeskiego imperializmu kulturowego. Mam szczerą nadzieję i głęboko wierzę, że książka ta ma coś cennego do powiedzenia mym polskim przyjaciołom.

Jestem pewien, że zdążyliście się juz zorientować, jak bardzo dziwnym gatunkiem jest amerykańska sf. Oto gałąź literatury pięknej której przedstawiciele piszą przekonywująco o ośmionogich inteligentnych obcych, podróżujących po galaktyce w statkach kosmicznych, nie potrafią jednak pisać przekonywująco o kobietach. Tworzą skomplikowane, egzotyczne kultury dla potrzeb Marsjan, ani w ząb nie rozumieją jednak skomplikowanych, egzotycznych kultur krajów, na przykład, Europy Środkowej. Gadają i gadają o rozwoju nauki i techniki, zdumiewają jednak tym, że nie zdradzają żadnego zainteresowania przyszłością sztuki, choć sami są przecież pisarzami, a tym samym artystami. Nie sposób przerwać im wykładu na temat tych

technik, które brzęczą, świecą i od czasu do czasu wybuchają, nie mają jednak niemal nic do powiedzenia o innych, głębszych i złowrogich technikach — takich, które zmieniają nas od środka.

Mówią o tym, co przyszłość zrobi dla nas, nie potrafią jednak powiedzieć nic o tym, czego pragniemy.

W tej powieści fantastycznonaukowej, w „Świętym płomieniu", próbowałem załatać choćby kilka z owych ziejących dziur. Napisałem książkę, w której to, co niewidzialne staje się widzialne, w której kwestie, pomijane na ogół przez fantastykę, pojawiają się w światłach rampy. „Święty płomień" to opowieść o urodzie, sławie, sztuce, młodości i „joie de vivre"… i o tym, jakie może być życie, kiedy wszystko to zostanie głęboko zmienione przez technikę.

Jest to także amerykańska powieść fantastycznonaukowa, w której Europa ma ogromne znaczenie.

Jak Europa, bohaterka książki może być jednocześnie młoda i stara, może być buntowniczką, lecz jednocześnie ugina się pod ciężarem historii. Dzisiejsza Europa to kontynent starych społeczeństw rządzonych przez młodych ludzi. W dzisiejszej Europie istnieje modelowa wręcz współpraca międzynarodowa i ujawniający się gwałtem separatyzm etniczny. Starsi europejscy socjaldemokraci na emeryturze mieszkają na schludnych przedmieściach miasta a młodzi ludzie, pozbawieni wszystkiego łącznie z pracą, gnieżdżą się w slumsach tych samych miast. Europa bardzo mnie interesuje; interesuje mnie jej historia, jej współczesność i jej przyszłość. Bowiem przeszłość nie jest nie zapisaną kartą, nie jest scenografią na pustej scenie. Przyszłość jest formą historii. Jest historią, która się jeszcze nie zdarzyła.

Sporą część tej książki napisałem podczas podróży po Europie. Pisałem ją także w waszym kraju, w Lublinie, gdzie brałem udział w ogólnopolskim zjeździe miłośników fantastyki naukowej.

Właśnie w Lublinie miałem niezapomnianą przyjemność obejrzeć jedno z mych ulubionych dzieł sf — film „Aelita królowa Marsa". Oglądałem to dzieło rosyjskiej fantastyki siedząc pośrodku wypełnionego przez Polaków kina. Reakcje widzów okazały się dla mnie rewelacją. Bardzo jasno uświadomiłem sobie, że w odróżnieniu ode mnie, Polacy aż za dobrze zdają sobie sprawę z tego, czym dzieło to jest w rzeczywistości.

„Aelita" to wspaniały film, to być może nawet wielki film. „Aelitę" stworzyli rosyjscy konstruktywiści, grupa rewolucyjnych, awangardowych artystów, fanatycznie oddanych idei postępu technicznego. Scenografia jest piękna. Akcja porusza wyobraźnię. Kostiumy… piękno kostiumów po prostu nie mieści się w głowie! „Aelita" ma wszystkie zalety doskonałej fantastyki naukowej… z tym wyjątkiem, że sprzedaje straszliwą politykę, a jej przesłanie

skalkulowane zostało na coś, co pogrążyło ludzi w stanie niemal niekończącego się nieszczęścia. Ten film nie jest już dla mnie abstrakcyjnym kuriozum. Nauczyłem się z tego doświadczenia.

Teraz macie przed sobą „Święty płomień". Teraz wy, Polacy, stoicie wobec dzieła wywodzącego się z ducha innej grupy artystycznych fanatyków, obywateli innej superpotęgi — amerykańskich „cyberpunkowców". Jestem amerykańskim „cyberpunkowcem" i uznaję rosyjskich konstruktywistów za ludzi, którzy pod wieloma względami byli moimi duchowymi ojcami. Moja powieść nie dorównuje, być może, „Aelicie" jako dzieło sztuki, ma jednak z tym filmem wiele wspólnego. Mówi o przekroczeniu granicy historii i zniszczeniu natury ludzkiej. Mówi o radykalnych kierunkach w sztuce. Mówi także o fotografii, pierwszym gatunku sztuki, którego medium jest całkowicie mechaniczne, i o wirtualności, cyfrowym dziecku kina. Być może zauważycie też, że sporo uwagi poświęca scenografii i kostiumom.

I z tego, co wiem, może być równie moralnie zła i niszcząca jak „Aelita". Bowiem to, co opisuję w niej jako wspaniałe i atrakcyjne, w rzeczywistości może stać się straszne i degenerujące. Pomysły z tej książki, jeśli znajdą sobie drogę do codzienności politycznej i ekonomicznej rzeczywistości, mogą mieć konsekwencje obrzydliwe i przerażające. Niestety, konsekwencji nie sposób określić z góry. Opisać mogę tylko to, co sobie wyobrażam. Przelewam wyobraźnię na papier. A potem patrzę, co się dzieje.

Obserwowałem kiedyś „Aelitę królową Marsa" w towarzystwie Polaków. Rozmawiałem z Polakami o bolszewizmie, nowym radzieckim człowieku i wyglądającej niegdyś tak wspaniale historyczno-deterministycznej drodze do postępowej przyszłości. Wypiliśmy przy okazji sporo doskonałej polskiej śliwowicy, sądzę więc, że wszyscy byliśmy szczerzy. To doświadczenie czegoś mnie nauczyło. Nie jestem już taki naiwny.

Bycie awangardowym artystą, cierpiącym na obsesję techniki, może prowadzić do dziwnych i tragicznych skutków. O wiele łatwiej jest wywołać lawinę niż ją zatrzymać. Lawina wywołana w 1917 roku skończyła się dopiero w 1989. To przede wszystkim Polacy odkopywali zasypanych i dawali im sztuczne oddychanie. Byli pierwszymi spośród obywateli państw Paktu Warszawskiego, którym wystarczyło odwagi, by wyjść na ulicę i siły, by z niej nie zejść przez wiele mrocznych lat. W ten sposób odzyskali władzę w swej ojczyźnie. A, co najważniejsze, Polacy nie zmasakrowali przy okazji tysięcy ludzi i nie zesłali nikogo do obozu pracy.

Gratulacje. Było to z pewnością wielkie narodowe osiągnięcie, ale w przyszłości raczej unikajmy takich sytuacji, dobrze? Chcę, byście wiedzieli, że dzięki temu waszemu narodowemu doświadczeniu nieco

lepiej orientuję się teraz, co to znaczy myśleć i działać jak wspaniały, rewolucyjny rosyjski konstruktywista.

My, Amerykanie, mieliśmy szczęście — w odróżnieniu od Polski nikt nie kazał nam zapłacić ceny za przetrwanie XX stulecia. Teraz Polacy i Amerykanie mogą obserwować koniec XX wieku wspólnie, w tragicznie rzadkiej chwili szczerej przyjaźni. Miło jest obserwować Europę Środkową jako miejsce zmian, miejsce gdzie historia odtajała, miejsce w którym rodzi się przyszłość.

Pozwólcie, że jedno stwierdzę stanowczo: przyszłość nie będzie taka jak w mojej książce. Ta powieść to nie recepta, nie proroctwo, nie wezwanie do broni. A przede wszystkim, w odróżnieniu od „Aelity", to nie nachalna propaganda jednopartyjnego państwa wszechobecnej cenzury. Ta powieść to scenariusz, eksperyment myślowy. Szczegóły nie będą się zgadzać.

Sądzę jednak, że niektóre z wyobrażonych w niej trendów mogą mieć w przyszłości ogromne znaczenie. Warto poważnie to sobie przemyśleć, jeśli chcemy, by XXI wiek był przyjaźniejszy dla ludzi niż XX.

Na przykład — nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, by myśleć o kosmetykach jako o technologii, kosmetyki jednak z pewnością są technologią. Kosmetyki są bardzo starą, bardzo potężną i doskonale finansowaną technologią, której jedynym raison-d'etre jest zrobić z ludzi nadludzi. Tylko jedna ich cecha powoduje, że nie są dla nas najważniejsze w świecie — kosmetyki w rzeczywistości nie działają. Kosmetyki to tanie oszustwo i nadużycie zaufania. Kosmetyki nie czynią nas pięknymi, lecz tylko udają. Medycyna działa jednak i czyni zdumiewające postępy. Więc gdy kosmetyki i medycyna połączą się wreszcie, powoli, w tę samą dziedzinę… poczekajcie a zobaczycie, czy pewne sceny z tej książki nie staną się zdumiewająco znane z rzeczywistości.

Rzadko myśli się o kobietach jako o awangardowych pionierach techniki — chyba, oczywiście, że myślimy o Marie Curie z Lublina. Kobiece ciało na stole chirurga kosmetycznego to jedno z wielkich pól bitwy postmodernicznośći. Ta technologia w którymś momencie wybuchnie jak bomba, ponieważ dotyczy ona tego, czego rzeczywiście pożądamy, a nie tego, czego udajemy że pragniemy. Z wyjątkiem paru militarnych fanatyków, nikt nie pragnie zostać cyborgiem, nikt nie pragnie pobrzękiwać, kiedy się porusza. Więc… jak będą wyglądali ludzie, kiedy postawione ludzkości granice staną się bardziej elastyczne? Będą wyglądali tak, jak dzisiaj wyglądają ludzie, którym już zazdrościmy wyglądu. Będą wyglądali jak ci, których już staramy się imitować. Będą wyglądali jak supermodelki i supermodele.

Być może nie myślicie o supermodelkach jako istotach szczególnie „technicznych", w końcu nie są one astronautami ani inżynierami, a

tylko głupiutkimi, frywolnymi młodymi kobietami. Jeśli tak sądzicie, to bliżej się im kiedyś przyjrzyjcie. Przyjrzyjcie się ich obsesji ciała, manii zdrowia i diety, ich nadętym przez środki przekazu życiu, a przede wszystkim ekonomii ich życia — temu, co sprzedają, by kwitnąć i bogacić się. Modelki, te superkobiety, otaczają nas dziś ze wszystkich stron, są na okładkach setek magazynów, na tysiącach artykułów handlowych. Przyszłość jest już tu, widzicie? Po prostu nie dotarła jeszcze do szerokiego grona odbiorców.

Niezbyt często zastanawiamy się, jak mogłoby wyglądać społeczeństwo zdominowane politycznie przez starców. Obywatele „byłego Wschodu" z pewnością wiedzą więcej niż ktokolwiek o gerontokracji, starych, bezwładnych ludziach czepiających się władzy w nieskończoność, podczas gdy społeczeństwo wokół nich wydaje się zamarzać na twardo, nie mieliśmy jednak nigdy prawdziwie demokratycznej gerontokracji, społeczeństwa, w którym ludzie starzy mogą po prostu przegłosować wszystkich innych, bo są najliczniejszą grupą społeczną. W całej historii ludzkości nie było narodu, w którym starcy stanowiliby bezwzględną większość. Teraz jednak, kiedy stopa przyrostu naturalnego spada na całym świecie na łeb na szyję, taka przyszłość jest niemal pewna, wyryta jest w demograficznym kamieniu. Świat ten wydaje się nam czymś całkowicie obcym, ponieważ prezentuje prawdziwe załamanie linii rozwoju historii.

Gerontokracja nie zdarzy się w sposób, w jaki opisuje ją ta książka, ale jakoś się zdarzy. Tak, nawet w Polsce. Poczekajcie, a zobaczycie.

To wszystko poważne sprawy, a przynajmniej podejrzewam, że mogą stać się poważne. Mimo, iż dotyczy on spraw poważnych, myślę o „Świętym płomieniu" jako o mej najzabawniejszej książce. Z pewnością jest to najładniejsza z moich książek. Napisałem ją z lekkim sercem, z przyjemnością, wdzięczny losowi. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych doskonale bawiłem się w Europie, byłem w świetnym humorze. Bywają takie chwile, kiedy życie jest dla nas zwyczajnie za dobre i niezależnie od tego, za jakich uroczyście mądrych się uważamy, bylibyśmy durniami, gdybyśmy zapomnieli jak się dobrze bawić. Polacy doskonale wiedzą, że dostaniu tego, czego długo się pragnęło, towarzyszy prosta, zwykła radość. Istnieją chwile, kiedy można, a nawet trzeba tańczyć na ulicach. Ale czas przecież biegnie dalej, prawda? Nie ma ostatecznej rewolucji, koniec historii nie istnieje. Apokalipsa też nie nastąpiła, to wszystko były wrogie kłamstwa. Zawsze jest tylko więcej przyszłości.

Chcę zakończyć ten wstęp podziękowaniem dla mojego tłumacza, Krzysztofa Sokołowskiego. To on skłonił mnie do napisania tego wstępu, to on skłonił mnie do przyjazdu do Polski. To wspaniały facet. Miło jest znać osobiście swego tłumacza. Ufam jego fachowości i

wiem, że przetłumaczył tę książkę najlepiej jak to możliwe. Śpieszę upewnić was, że jeśli coś w niej wydaje się wam bez sensu, jest to prawdopodobnie moja wina.

Bruce Sterling
bruces@well.com
1997Austin, Texas USA

1

Mia Ziemann miała problem: nie wiedziała, co się nosi z okazji wizyty przy łożu śmierci. Sieć doradzała prostotę i szczerość. Mia miała dziewięćdziesiąt cztery lata, była ekonomistką medyczną, mieszkała w Kalifornii. Z niedoszłym zmarłym, Martinen Warshawem, stanowili parę w czasie studiów, jakieś siedemdziesiąt cztery lata temu. Prawdopodobnie Martin przygotował ostatnią wolę. Bardzo możliwe, że zostawi jej coś na pamiątkę. Tematem konwersacji będzie życie pana Warshawa widziane z perspektywy śmierci oraz próba uporządkowania go, jakże pożądana teraz, gdy zamykał się jego ostatni rozdział.

Nie wymagano od niej obecności przy rzeczywistym akcie śmierci.

Spotkanie dawnych kochanków przy łożu śmierci jednego z nich stanowiło poważny problem z punktu widzenia etykiety, koniec XXI wieku był jednak przykładową epoką porządku społecznego. Tego rodzaju dylematy dyskutowano szeroko, omawiano w nie kończących się komentarzach do komentarzy i w artykułach publikowanych przez rady ekspertów, były one tematem anegdot, konwencji etycznych, publicznych przesłuchań pod przysięgą, podręczników polityki. Nie istniał taki aspekt ludzkiego życia, którego kantów nie dałoby się wygładzić rozsądną, wynikającą z głębokiego doświadczenia dojrzałą radą.

Mia przestudiowała tyle właściwych tematowi materiałów, ile była w stanie znieść. Popołudnie spędziła na odświeżaniu znajomości z finansowymi i medycznymi dossier Martina. Nie widziała go od pięćdziesięciu lat, choć wyrywkowo śledziła jego karierę w służbie publicznej.

Akta Martina okazały się wyjątkowo wyczerpujące i dokładne. Dzięki nim jego życie było otwartą księgą.

Po to istniały.

Mia zdecydowała wreszcie: czarne pantofle bez obcasów, pończochy, gorset, żadnych dekoltów, jedwabna suknia do kolan, szara i marengo, długie rękawy, wysoki kołnierz. Kapelusz wydawał się całkowicie na miejscu. Zrezygnowała z rękawiczek. Rękawiczki rekomendowano wprawdzie, jej jednak wydawały się zbyt… kliniczne.

Zażyczyła sobie filtracji krwi, enzymacji skóry, długiego masażu do poziomu kości, kąpieli mineralnej i manikiuru. Jej włosy zostały oczyszczone, nabłyszczone, zagęszczone, ułożone i polakierowane. Zwiększyła ilość saturowanych tłuszczów w diecie. Noc spędziła pod namiotem tlenowym, przy podwyższonym ciśnieniu.

Następnego ranka, dziewiętnastego listopada, Mia wybrała się do

miasta, zamierzając poszukać kapelusza; kapelusza, który idealnie pasowałby na tę okazję.

Był to typowy dla San Francisco jesienny dzień. Znad zatoki nadciągnęła mgła, ściekając po ozdobnych klifach wysokich budynków biurowych. Przez długi, bardzo długi czas Mia spacerowała i wchodziła do sklepów, wchodziła do sklepów i spacerowała. Nie znalazła niczego, co pasowałoby jej do nastroju.

Po Market Street szedł za nią pies, zręcznie przemykając wśród tłumu. Przystanęła w cieniu kolumny, pod portykiem i przyzwała psa gestem wyciągniętej nagiej dłoni. Pies zatrzymał się najpierw nieśmiało, a potem podbiegł i obwąchał jej buty.

— Czy ty jesteś Mia Ziemann? — spytał.

— Tak, to ja — odparła Mia. Ludzie omijali ją raźnym, szybkim krokiem, zmierzając każdy ku swemu celowi; twarze mieli poważne, czyste buty stukały po czerwonych ceglanych chodnikach. Pod nieruchomym, przyzywającym go do porządku wzrokiem Mii pies usiadł, a potem skulił się u jej stóp.

— Tropię cię od domu — pochwalił się, dysząc rytmicznie. — To bardzo daleko.

Pies ubrany był w kraciasty, zrobiony na drutach sweter, skrojone na miarę spodnie, a na łbie miał płaską wełnianą czapeczkę. Jego przednie łapy w rękawiczkach były chwytne, przypominały trochę łapy szopa. Miał krótką, czystą jasnobrązową sierść i wielkie, bardzo ładne oczy. Głos wydobywał się z wszczepionego mu do gardła głośnika.

Samochód zatrąbił na roztargnionego przechodnia, w ten jakże nieuprzejmy sposób burząc ład delikatnego wielkomiejskiego pomruku centrum San Francisco.

— Szedłeś bardzo długo — powiedziała Mia. — Jesteś mądry, bo mnie znalazłeś. Dobry piesek.

Pies aż się rozjaśnił na tę pochwałę i pomachał ogonem.

— Chyba się zgubiłem i jestem głodny — powiedział.

— Nic nie szkodzi, dobry piesek. — Pies pachniał wodą kolońską, jakby się nią oblał. — Jak się wabisz?

— Platon — przyznał pies, jakby nieco wstydliwie.

— Bardzo piękne imię. Dlaczego za mną szedłeś?

Ten skomplikowany konwersacyjny gambit wyczerpał skromny zasób słów psa, więc z typową dla swego gatunku radosną odpornością na ciosy zmienił po prostu temat.

— Mieszkam z Martinem Warshawem! Jest dla mnie bardzo dobry! Dobrze mnie karmi. Martin także pachnie bardzo dobrze. Tylko teraz… nie jak przedtem. Nie jak… — Pies sprawiał wrażenie cierpiącego. — Nie jak teraz…

— Czy Martin wysłał cię, żebyś mnie tropił?

Platon rozważył tę kwestię.

— Mówi o tobie. Chce cię zobaczyć. Powinnaś z nim porozmawiać. Nie może być szczęśliwy. — Powąchał chodnik, a potem spojrzał na nią wyczekująco. — Dostanę coś do jedzenia?

— Nie noszę ze sobą psich przysmaków.

— To bardzo smutne — stwierdził pies.

— Co z Martinem? Jak się czuje?

Tępy niepokój pogłębił włochate, psie zmarszczki wokół oczu Platona. Dziwne… psie pyski stały się o wiele bardziej ekspresyjne od czasu, gdy psy nauczyły się mówić.

— Nie — powiedział niepewnie. — Martin pachnie nieszczęśliwie. Mój dom czuje się zły w środku. Martin robi mnie nieszczęśliwym.

I pies zawył.

Obywatele San Francisco są bardzo tolerancyjni, bardzo cywilizowani i kosmopolityczni. Mia bez problemu dostrzegła, że przechodnie bez sympatii odnoszą się do człowieka, który publicznie upokarza psa i doprowadza go do łez.

— Wszystko będzie dobrze, uspokój się — próbowała załagodzić sytuację. — Pójdę z tobą. Pójdziemy spotkać się z Martinem. Natychmiast.

Pies pisnął, zbyt wyprowadzony z równowagi, by pamiętać o mowie.

— Zabierz mnie do domu Martina Warshawa — rozkazała Mia.

— Ach, świetnie. — Pies poweselał. Rozkaz wprowadził konieczny ład w jego moralny wszechświat. — To mogę zrobić. To bardzo łatwe.

Podskakując, poprowadził ją do trolejbusu. Zapłacił za oboje. Wysiedli na trzecim przystanku.

Martin Warshaw wybrał sobie mieszkanie na północ od Market, na Nob Hill, w jednym z uodpornionych na trzęsienia ziemi wieżowców, zbudowanych w latach 2060-tych, wyglądających jak polichromiczna kolumna. Architektura domu była ambitna, przynajmniej według krzykliwych standardów ówczesnej epoki. Zewnętrzne ściany wyłożono kolorowymi płytkami. Od strony zatoki składał się prawie wyłącznie z wykuszów, weneckich okien i balkoników.

W środku budynek był narkotycznie spokojny. W holu znajdował się wewnętrzny sad słodko pachnących drzewek pomarańczowych i awokado, posadzonych w polichromowanych dwutonowych przenośnych donicach ceramicznych. Wśród gałęzi drzewek igrały stada kolibrów.

Za swym psim przyjacielem Mia udała się do ozdobionej freskami windy. Wyszli z niej na dziesiątym piętrze, wprost na korytarz wyłożony wielkimi kamiennymi płytami. Wewnętrzne oświetlenie z

surrealistyczną dokładnością naśladowało światło słoneczne północnej Kalifornii. Na korytarzach ludzie wywieszali pranie, schnące szybko w słodko pachnącym, lekkim wietrzyku. Mia przedarła się przez posadzone w wielkich donicach jakarandy i w ulicznym automacie kupiła opakowaną w plastyk porcję psich przysmaków. Platon z wytwornym entuzjazmem przyjął smakołyk w kształcie kości.

Po kamiennych ścianach apartamentu Martina pięła się pachnąca wistaria. Ciężkie drzwi pod dotknięciem łapy otworzyły się natychmiast.

— Mia Ziemann przyszła! — krzyknął pies donośnie w pustkę.

Szpitalna czystość pokoju gościnnego upodabniała go do numeru w jakimś staroświeckim hotelu. Palmy w donicach, mahoniowa szafka na sprzęt audio-video, wysokie mosiężne lampy stojące, niski tekowy stolik o szklanym blacie, na którym stało nieskazitelnie czyste szkło, hermetycznie zamknięte słoiczki z orzechami i kandyzowanymi owocami. Dwa wielkie szczury z obróżkami kontrolnymi na szyjach pożywiały się laboratoryjnym pokarmem ze stojącej na stole miski.

— Mogę prosić o płaszcz? — zapytał pies.

Mia wyślizgnęła się z ciemnego.gabardynowego płaszcza i oddała go psu. Ubrana była w to, co na ogół wkładała, idąc na zakupy: obcisłe spodnie i bluzkę z długimi rękawami. Nieformalny strój będzie musiał wystarczyć.

Platon dzielnie walczył z wieszakiem na kapelusze, wykonując wokół niego skomplikowany taniec.

Mia odwiesiła torebkę.

— Gdzie Martin? — spytała.

Pies poprowadził ją do sypialni. Umierający, ubrany w piżamę w japońskie ideogramy, leżał na wąskim łóżku, z głową podpartą kilkoma poduszkami. Spał albo był nieprzytomny. Miał pomarszczoną obwisłą twarz i cienkie, matowe, zmierzwione włosy.

Na jego widok Mia omal nie wybiegła z mieszkania. Uczucie, że powinna odwrócić się, uciec z pokoju, z budynku, z miasta, było silniejsze niż te emocjonalne impulsy, których doznawała od lat.

Opanowała się. Wobec zwykłej rzeczywistości nieuniknionej śmierci wszystkie udzielone jej rady i wszystkie przygotowania okazały się po prostu daremne. Stała, czekając aż jakieś — jakiekolwiek — wspomnienie uderzy ją z siłą oczywistości. Przyszło wreszcie i twarz umierającego nabrała ostrości.

Nie widziała Martina od przeszło pięćdziesięciu lat. Nie kochała go od lat przeszło siedemdziesięciu. A teraz stała wobec Martina Warshawa w jego własnym ciele… czy też w tym, co z jego ciała pozostało.

Pies dotknął jego dłoni zimnym nosem. Martin poruszył się.

— Otwórz okno — szepnął.

Platon wcisnął guzik umieszczony nisko nad podłogą. Zasłony rozsunęły się, a wielkie, panoramiczne okno otwarło, wpuszczając do pokoju wilgotne powietrze znad Pacyfiku.

— Przyszłam, Martinie — powiedziała Mia.

Warshaw mrugnął, niepewny, zaskoczony.

— Pośpieszyłaś się.

— Tak. Spotkałam twojego psa.

— Rozumiem. — Zagłówek łoża śmierci przesunął się, unosząc umierającego do pozycji siedzącej. — Platonie, proszę, przynieś Mii krzesło.

Pies chwycił wygiętą drewnianą nogę najbliższego krzesła i pociągnął je po wykładzinie, dysząc i popiskując z wysiłku.

— Dziękuję, Platonie. — Mia usiadła.

— Plato — powiedział umierający — proszę, bądź teraz cicho. Nie słuchaj nas i nie mów. Możesz się wyłączyć.

— Mogę się wyłączyć? Dziękuję, Martinie. — Pies, zmieszany i nie za bardzo rozumiejący, co się dzieje, zwinął się w kłębek na podłodze. Długi, włochaty łeb położył na wykładzinie. Od czasu do czasu drgał nieznacznie, jakby coś mu się śniło.

Mieszkanie Martina było nieskazitelnie porządne i czyste, podejrzanie doskonałe. Z samego jego wyglądu łatwo było wywnioskować, że umierający nie wstawał z łoża śmierci od tygodni. Maszyny czyszczące dbały o wszystko, wraz z ludźmi z pomocy obywatelskiej, cierpliwie wykonującymi swe nie kończące się nigdy obowiązki, regularnie pojawiającymi się i znikającymi. Łoże śmierci wyglądało bardzo niewinnie, sądząc jednak z ciągłego niskiego szumu i rozlegającego się od czasu do czasu cichego bulgotu, było doskonale wyposażone.

— Lubisz psy, Mio? — spytał Warshaw.

— Twój pies to wspaniały przedstawiciel gatunku — odparła posłusznie Mia Ziemann.

Platon poderwał się z podłogi, otrząsnął i zabrał do bezmyślnego obwąchiwania pokoju.

— Mam go od czterdziestu lat — powiedział Martin. — To jeden z najstarszych psów w Kalifornii. A także jeden z najpełniej odmienionych psów w prywatnych rękach. Pisały o nim nawet magazyny kynologiczne. — Uśmiechnął się słabo. — Obawiam się, że w tej chwili Platon jest znacznie sławniejszy ode mnie.

— Widzę, jak wiele dla niego zrobiłeś.

— O tak. Przechodził każdą procedurę, którą przechodziłem ja. Oczyszczenie krwiobiegu, nerki, wątroba i płuca… Nigdy nie poddałem się zabiegowi przedłużenia życia, nie wypróbowawszy go przedtem na Platonie. — Martin splótł na kołdrze chude, przezroczyste dłonie. — Oczywiście, praca weterynaryjna jest

łatwiejsza i tańsza niż zabiegi ekstensji postludzkiej… ale potrzebowałem chyba także poczucia wspólnoty, partnerstwa. Nikt nie chce sam poddawać się… doświadczeniom medycznym o tak wielkim zasięgu.

Wiedziała, o czym mówi. W swych uczuciach wcale nie był odosobniony. Pogranicza medycyny zwierzęta zawsze zdobywały przed ludźmi.

— Nie wygląda na czterdzieści lat. Czterdzieści lat to bardzo dojrzały wiek jak na psa.

Martin musnął palcami znajdującą się przy łóżku płytkę sensoryczną, a potem przeczesał dłonią włosy; poznała ten gest po długich siedemdziesięciu latach i to nią wstrząsnęło.

— Psy to cudownie odporne zwierzęta — powiedział. — Zdumiewające, jak doskonale radzą sobie w życiu, nawet teraz, kiedy stały się postpsami. Oczywiście, zdolność mowy to największa różnica.

Mia obserwowała psa obwąchującego sypialnię. Uwolniony od umysłowego ciężaru używania języka, Platon wydawał się raźniejszy, bardziej swobodny i w jakiś sposób prawdziwie psi.

— Na początku jego mowa miała wyraźnie sztuczny charakter — mówił dalej Martin, poprawiając sobie poduszkę. Twarz mu się zaróżowiła. Zakończył zabawę z płytką sensoryczną, z łóżkiem, z systemem podtrzymywania medycznego, którego używał, podłączonym do ciała pod piżamą. — Była po prostu werbalną protezą psiego mózgu. Platon mówił powoli, bardzo… niezdarnie. Układ wrastał w jego organizm przez dziesięć lat, teraz jednak mowa jest nieodłączną częścią psa. Czasami łapię go na tym, że mówi sam do siebie.

— A o czym?

— Och, o tym, co najprostsze. Żadnych abstrakcyjnych idei. Najzwyklejsze psie sprawy. Jedzenie. Ciepło. Zapachy. W końcu Platon jest przecież tylko moim dobrym starym psem… gdzieś tam ukrytym. — Martin przyjrzał się psu z nieukrywanym uczuciem. — Nie mam racji, stary? — spytał. Platon podniósł na niego wzrok. Machnął ogonem. Nie odezwał się.

Mia przeżyła długie, trudne stulecie. Była świadkiem zaraz i plag w skali globalnej i będących ich skutkiem gwałtownych, konwulsyjnych zmian w medycynie. Jako głęboko zainteresowany świadek obserwowała dobudowywanie kolejnych wielkich krypt, blanków i wież do najstarszej ze wszystkich Świątyni Bólu. Jako zawodowiec studiowała demografię śmierci milionów zwierząt laboratoryjnych i miliardów istot ludzkich, badała wariantowe skutki setek technik przedłużania życia. Pomogła nadać porządek wielu potwornym klęskom i zaledwie kilku bardzo prawdziwym sukcesom. Szczegółowo studiowała postęp wiedzy medycznej, rozumiany jako

procent od zainwestowanego kapitału. Rekomendowała politykę wielu organom globalnej sieci przemysłowo-medycznej. Nigdy nie pozbyła się pierwotnego strachu przed bólem i śmiercią, ale nie dopuszczała już do tego, by zwykły strach miał znaczący wpływ na jej zachowanie.

Martin umierał. Mówiąc dokładniej, cierpiał na amyloidowy zanik osłonek nerwów, częściowy paraliż spowodowany schorzeniami kręgosłupa, niewydolność wątroby i zapalenie nerek, co doprowadziło do zwyczajowych, skomplikowanych i narastających zaburzeń metabolizmu, a w rezultacie do stanu, który w jego aktach medycznych podsumowano elegancko jako: „nie nadający się do podtrzymania". Mia oczywiście dokładnie zapoznała się z rokowaniem, ale przecież analiza medyczna jest wytworem własnej terminologii, zaś śmierć — w całkowitym przeciwieństwie do terminologii — to nie słowo. Śmierć to rzeczywistość, odnajdująca ludzi i wywierająca swój niszczący wpływ na każdą cząstkę ich życia.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by zorientowała się, że Martin umiera. Umierał i prawił banały o swym psie, zamiast rozmawiać o surowej prawdzie śmierci, ponieważ najmocniej i najszczerzej żałował tego, że rozstaje się z psem. Wymagania i zobowiązania zmuszają człowieka do walki o przetrwanie. Przetrwanie jest zobowiązaniem zaciąganym wobec kochanków, ludzi zależnych, każdego, kto oczekuje od człowieka przetrwania, na przykład psa. Który to mamy rok? 2095? Martin ma dziewięćdziesiąt sześć lat i jego najlepszym przyjacielem jest pies.

Był czas, kiedy Martin Warshaw ją kochał. Dlatego właśnie doprowadził do tego spotkania, dlatego po pięćdziesięciu latach wmanewrowywał ją teraz w stan emocjonalnej zależności. Był to skomplikowany akt, wywołany poczuciem obowiązku, gniewem, smutkiem i wymaganiami etykiety. Mia jednak znała prawdę, rozumiała rzeczywistość tak, jak obecnie rozumiała niemal wszystko, czyli ciut za dobrze.

— Używasz mnemoników? — spytał Warshaw.

— Tak. Brałam narkotyki pamięciowe. Oczywiście te łagodniejsze. Wtedy, kiedy musiałam.

— Pomagają. W każdym razie pomagały mnie. Oczywiście, powodują uzależnienie, jeśli używa się ich zbyt często. — Martin uśmiechnął się. — A ja używam ich teraz bardzo często. Kiedy nie ma się już nic do stracenia, nałogi zaczynają sprawiać człowiekowi wielką przyjemność. Chcesz mnemonika? — Podał jej paczkę nalepek, fabrycznie zamkniętą, z hologramem na opakowaniu.

Mia wzięła jedną z nich, sprawdziła nazwę i dawkowanie, po czym przylepiła ją do szyi, tylko po to, by sprawić mu przyjemność.

— Mogłoby się wydawać, że po tylu latach badań powinien wreszcie powstać mnemonik otwierający duszę niczym szafkę na

akta. — Martin wziął fotografię stojącą na nocnym stoliku. — Wszystko na swoim miejscu, wszystko uporządkowane, wszystko skatalogowane i pełne znaczeń. A jednak ludzkiemu mózgowi nie wolno stawiać aż tak wielkich wymagań. Wspomnienia archiwizują się, zamazują, zmieniają w organiczne odpady, tracą kolor. Szczegóły znikają. Są jak kupka kompostu.

Pokazał jej zdjęcie: młoda kobieta w płaszczu z podniesionym kołnierzem, szminka na ustach, umalowane oczy, ciemne włosy rozwiane na wietrze, oczy zmrużone od słońca, wargi wygięte w uśmiechu, czujnym uśmiechu.

Tą młodą kobietą była oczywiście ona sama.

Martin wpatrywał się w zdjęcie, otulony mnemonikiem niczym psychicznym kocem, po czym spojrzał na Mię.

— Wiele pamiętasz z naszych wspólnych dni? Skończyły się dawno, dawno temu.

— Potrafię przywołać wspomnienia — odparła i była to niemal prawda. — Gdybym nie potrafiła, nie byłoby mnie tu.

— Dobrze żyłem. Lata trzydzieste, czterdzieste… dla większości ludzi były to lata straszne, mroczne i pełne cierpienia, ja jednak żyłem dobrze. Pracowałem ciężko i wiedziałem, że ta praca ma znaczenie. Spełniły się moje marzenia: zrobiłem karierę, znalazłem sobie miejsce w świecie, miałem coś do powiedzenia i okazję, żeby to powiedzieć… Być może nie byłem szczęśliwy, ale przynajmniej nie cierpiałem nudy, a to szczególnie się w życiu liczy. Pracowałem ciężko i cieszyłem się, że ciężko pracuję. — Studiował zdjęcie nieśpiesznie, z namysłem. — Ale przez siedem miesięcy, wtedy, w dwudziestym drugim, kiedy zrobiłem ci tę fotografię… Cóż, muszę przyznać, że dwa ostatnie miesiące nie należały do najprzyjemniejszych, ale pięć, tych pierwszych pięć, kiedy kochałem ciebie, a ty kochałaś mnie, kiedy byliśmy młodzi i świat olśniewał nas swymi niespodziankami… byłem w ekstazie. W najprawdziwszym sensie tego słowa przeżyłem wówczas swe najszczęśliwsze dni. Dopiero teraz w pełni to zrozumiałem.

Mia pomyślała, że najmądrzej będzie zachować teraz milczenie.

— Żeniłem się czterokrotnie. Nie były to małżeństwa gorsze niż większość małżeństw, ale żadne z nich się nie przyjęło. Prawdopodobnie nie miałem do nich serca. Małżeństwo wydaje się wspaniałym pomysłem… dzień przed ślubem.

Odłożył zdjęcie na łóżko w ten sposób, by na nie patrzeć.

— Jest mi bardzo przykro, jeśli narzuciłem ci się ze wspomnieniami — powiedział — ale uważam za swój wielki przywilej możliwość rozważenia tego, co między nami było, teraz, gdy nadszedł dla mnie kres wszystkiego. To, że mogę mieć cię przy sobie, Mio, i to w formie fizycznej, że mogłem powiedzieć ci to wszystko w twarz, bez złości, bez fałszywej dumy, bez egoistycznych pretensji, i to, że nie

walczymy ze sobą, nikt nie może wygrać, nikt nie może przegrać, przyniosło mi doprawdy wielką ulgę.

— Rozumiem. — Mia przerwała. Wyciągnęła dłoń. — Mogę? — spytała.

Pozwolił jej wziąć zdjęcie. Pod szkłem papier był nowy, czysty; przedrukował je ostatnio z cyfrowego źródła, które przechowywał niewątpliwie wśród dokumentów. Tyle lat. Młoda kobieta stojąca gdzieś, przed kalifornijskim miasteczkiem uniwersyteckim, jakże kalifornijskie palmy, mokre po deszczu marmurowe balustrady. Młoda kobieta — niewinna, podniecona, ambitna i płytka.

Mia przyglądała się uważnie młodej kobiecie, czując ssącą pustkę tam, gdzie powinno być pierwotne, instynktowne uczucie identyfikacji. Ona i dziewczyna na zdjęciu miały oczy tego samego koloru, kości policzkowe mniej więcej tego samego kształtu, mniej lub bardziej podobne podbródki. Czuła się tak, jakby oglądała zdjęcie prababki.

Mnemonik zaczął działać. Nie poprawiał samopoczucia, nie zmieniał nastroju, lecz dzięki niemu życie wzbogaciło się o tajemnicze, symboliczne przeczucie czegoś wielkiego. Czuła się tak, jakby lada chwila miała wpaść w fotografię i wylądować w niej z pluskiem.

— Byłaś szczęśliwa z mężczyzną, którego poślubiłaś? — przywołał ją do rzeczywistości głos Martina.

— Tak, byłam z nim szczęśliwa. — Odkleiła od szyi pustą nalepkę płynnym ruchem starej pedantki. — To już dawno skończone, ale nasz związek przetrwał wiele lat i kiedy byłam z Danielem, prowadziłam bogate, autentyczne życie. Mieliśmy dziecko.

— Jestem szczęśliwy, że byłaś szczęśliwa. — Martin uśmiechnął się znowu i ten uśmiech udało się jej rozpoznać. — Tak dobrze wyglądasz, Mio. Nadal jesteś sobą.

— Miałam szczęście. I zawsze byłam ostrożna.

Martin spojrzał w okno. W oczach miał smutek.

— Nie miałaś szczęścia, kiedy poznałaś mnie. Miałaś rację, że przy mnie byłaś ostrożna.

— Nie powinieneś tak mówić. Nie żałuję niczego z czasów, kiedy byliśmy razem. — Zwróciła mu zdjęcie bardzo niechętnie, jakby oddawała zakładnika. — Wiem, rozstaliśmy się źle, ale przez wszystkie te lata śledziłam twoją pracę. Byłeś bardzo mądry, bardzo twórczy. Nie lękałeś się mówić, co myślisz. Nie zawsze się z tobą zgadzałam, ale zawsze czułam dumę, bo poznałam cię, nim poznał cię świat. — Mówiła prawdę. Żyła wystarczająco długo, by nadal pamiętać… jak to nazywano? Filmy. Długie wstęgi folii, zadrukowane światłem i cieniem. Wspomnienie filmu, esencji i substancji tego środka przekazu, wywołało tęsknotę, ostrą jak potłuczone szkło.

— Dobrze zrobiłaś, zrywając ze mną. — Martin Warshaw trwał przy swoim. — Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nie chodziło ani o Europę, ani o to, jak zmienimy nasze życie. Chciałem tylko zwyciężyć w sporze. Chciałem przenieść cię na inny kontynent, by uczynić twoje życie moim życiem. — Roześmiał się. — Nie zmieniłem się i nie zmądrzałem od dwudziestego roku życia. Do diabła, nawet od piątego!

Mia otarła oczy.

— Powinieneś dać mi na to więcej czasu, Martinie.

— Przepraszam. Po prostu nie mam czasu. Twarzą w twarz z innymi stanąłem już wcześniej. Z tobą zawsze najtrudniej mi to przychodziło.

Dał jej chusteczkę, wyjętą z szuflady stojącego przy łóżku stolika. Wytarła nią oczy, a on opadł na łóżko, wgniatając poduszki piżamą w japońskie ideogramy. Piżama rozchyliła się pod szyją i Mia dostrzegła na piersi Martina sieć systemu filtracji krwi.

— Przykro mi, że jestem lepiej przygotowany do tej roli od ciebie. To nie w porządku z mojej strony, ale w głębi duszy nadal uwielbiam dramatyczne efekty. Przepraszam, jeśli wyprowadziłem cię z równowagi. Jeśli chcesz, możesz teraz odejść. Było mi bardzo miło zobaczyć cię raz jeszcze.

— Jestem stara, Martinie. — Mia odważnie uniosła głowę. — Z dziewczyny na fotografii nie pozostało nic, niezależnie od tego, jak dobrze lub jak źle ją wspominasz. Możesz ustawić scenę jak ci się podoba, a ja nie wyjdę. Nigdy nie byłam osobą pozbawioną uczuć.

— Zamierzam umrzeć dziś wieczorem.

— Rozumiem. Tak szybko?

— Tak szybko. Wszystko znalazło swój przewidziany koniec, wszystko odbędzie się bardzo cywilizowanie, bardzo politycznie.

Mia skinęła głową. Zachowała się spokojnie.

— Szanuję i podziwiam cię za tę decyzję. Często myślę o tym, by odejść w ten sam sposób.

Martin wyraźnie się odprężył.

— To bardzo miło z twej strony, że się ze mną nie spierasz. Że nie zakłócasz mego odejścia.

— Och nie, nie! Tego nie ośmieliłabym się zrobić. — Wyciągnęła rękę, z premedytacją dotykając jego zimnej dłoni. — Czy potrzebujesz czegoś?

— Pozostały do załatwienia jeszcze pewne szczegóły, rozumiesz?

— Szczegóły. Oczywiście.

— Kwestie spadkowe. Zapisy. — Wykonał ledwie dostrzegalny gest w pustej przestrzeni. — Mam też coś dla ciebie — coś, co, jak sądzę, będzie ci dobrze służyć. Mój pałac pamięci. — Zamek na wirtualnym piasku. — Chcę, byś została właścicielką tego pałacu.

Ochroni cię, jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała ochrony. Jest elastyczny i mądry, stary, lecz stabilny. Pałace sprawiają czasem mnóstwo kłopotów, mój jednak nie będzie ci stawiał wymagań. To dobra przestrzeń. Nie chwaliłem się nią. Wyczyściłem ją teraz, z wyjątkiem kilku zaledwie rzeczy, których nie miałem serca wymazać, rzeczy będących dla mnie czymś wyjątkowo ważnym. Dla ciebie, być może także. Wspomnień.

— Do czego potrzebny ci był tak duży pałac?

— To długa historia.

Mia przyzwalająco skinęła głową. Czekała.

— To długa historia, zapewne dlatego, że żyłem długo. Złapali mnie dawno temu, w latach sześćdziesiątych, wiesz? Wielkie śledztwo sieciowe, skandale związane ze sprzeniewierzeniem funduszy. — Cieszyła go okazja do spowiedzi. Pływał na falach mnemonika. — Nie reżyserowałem już wtedy, ale na serio zająłem się produkcją. W prawnym bałaganie straciłem pewne cenne inwestycje, o niektórych szczegółach wolałbym raczej nie wspominać. W każdym razie nie chciałem już nigdy tak oberwać, więc kiedy skończyły się lata sześćdziesiąte podjąłem bardzo poważne kroki. Wybudowałem sobie poważny, autentyczny pałac, i to taki, którego służby podatkowe nie mogły nawet tknąć. Utrzymuję go przez cały czas. Bardzo użyteczna przestrzeń. Tyle że teraz nie może mi pomóc. Za wątrobę i przysadkę mózgową nie przysługują ulgi podatkowe, a kwestia osłonek nerwowych — cóż, to symptom bardzo jednoznaczny.

Zmarszczył brwi.

— Wiesz, nienawidzę sytuacji, w których ludzie grają zbyt przyzwoicie. A ty? Kiedy sprawiedliwość panuje wszechmocnie, zaczynają się dziać nieprzyjemne rzeczy. Władze nie zabronią prawnie alkoholu, nie zabronią prawnie nawet narkotyków, ale kiedy zgłaszasz się na badanie medyczne, zaraz pobierają ci próbki krwi, włosów, DNA i zapisują najdrobniejszy ślad najdrobniejszego zabiegu, na który się zdecydowałeś. Wszystko to trafia natychmiast do rejestru medycznego i do razu na sieć. Jeśli żyjesz jak mały zakuty święty, przychylą ci nieba, ale jeśli robisz to, co ja robiłem przez dziewięćdziesiąt sześć lat… widziałaś moje akta medyczne, Mio? Swego czasu sporo piłem. — Martin roześmiał się. — Czym byłoby życie bez drinka?

Byłoby życiem bez marskości wątroby, wrzodów i postępowego wyniszczenia komórek nerwowych, pomyślała Mia.

— Ugoda. Globalna ugoda. Rządy babci. Mądrej, łagodnej, drobnej starej damy z talerzykiem ciasteczek w jednym ręku, a toporem kata w drugim.

Mia milczała. Jej stopień kuracji wynosił dziewięćdziesiąt osiem promili. Była pewna, że Martin zna ten prosty i najważniejszy fakt z

jej życia. Ugoda to rządy sprawowane przez ludzi takich jak ona dla ludzi takich jak ona.

— Martinie, opowiedz mi o tym pałacu. Jak zyskać do niego dostęp?

Wziął ją za rękę, obrócił jej dłoń wnętrzem do góry. Poczekał, aż znieruchomieje, po czym czubkiem palca wykonał na niej gest taki, jak przedtem na płytce sensorycznej. Mia tonęła teraz w oceanie mnemonika; uścisk starczej ręki na przegubie obudził w niej blade wspomnienie tego, czym — przed wielu, wielu laty — był ten gest, nabrzmiały nieopanowanym erotyzmem. Uścisk kochanka, młodego i silnego.

Martin puścił jej dłoń.

— Zapamiętasz hasło dotykowe?

— Zapamiętam. Mnemonik mi pomoże. — Postanowiła sobie, że nie rozetrze nerwowym gestem nadgarstka dłoni. — Lubię te stare systemy gesturalne. Niegdyś używałam niemal tylko ich.

Wręczył jej płytkę.

— Masz. Uczul pałac na dotyk kciuka. Nie, lewego. Lewy jest lepszy, rzadziej pojawia się w aktach.

Mia zawahała się.

— Czy to problem? — spytała.

— Właśnie otrzymałaś klucz do fortecy. Oboje zasługujemy na odrobinę prywatności, prawda? Oboje wiemy, jak się dziś żyje. Ludzie tacy jak ty i ja… jesteśmy o wiele starsi od rządu, prawda? Pamiętamy nawet czasy, kiedy rządy nie były uczciwe.

Mia przycisnęła lewy kciuk do płytki.

— Dziękuję ci, Martinie — powiedziała. — Jestem pewna, że twój pałac to wspaniały prezent.

— Wspanialszy, niż ci się wydaje. I może ci pomóc także w innej sprawie.

— Jakiej?

— Chodzi o mojego psa.

Mia milczała.

— Nie chcesz Platona — stwierdził Martin ze smutkiem.

Mia milczała.

Martin westchnął.

— Więc chyba powinienem go sprzedać — powiedział. — Ale myśl o sprzedaży wydaje mi się taka ohydna. To tak, jakby sprzedać dziecko. Nigdy nie miałem dziecka… Tyle przeze mnie przeszedł, tyle zmian… Myślałem o każdej ze znanych mi osób, ale nie znalazłem nikogo… wśród tych niewielu ludzi, którzy jeszcze żyją i których nazywam przyjaciółmi, nie znalazłem nikogo, kto zapewniłby mu odpowiednią opiekę.

— Ale dlaczego ja? Przecież… teraz… prawie mnie nie znasz.

— Wręcz przeciwnie, znam cię — szepnął Martin. — Wiem, jaka jesteś uważna. Byłaś moją największą pomyłką. Czy też raczej największą pomyłką, jakiej nie popełniłem. Żal jest identyczny, niezależnie od wersji. — Spojrzał jej w oczy. Uwodził ją. — Platon nie ma wielkich wymagań. Będzie wdzięczny za to, co mu dasz, cokolwiek to będzie. Potrzebuje kogoś. Nie wiem, co zrobi gdy umrę. Nie wiem, jak to przyjmie. Jest taki mądry, a myślenie wiele go kosztuje.

— Martinie, czuję się zaszczycona, że mnie wybrałeś, ale doprawdy, wymagasz zbyt wiele. Nie możesz tego ode mnie oczekiwać.

— Wiem, że proszę cię o zbyt wiele. Pałac ci pomoże, są tam pewne bardzo użyteczne dane. Czy nie mogłabyś przynajmniej spróbować? Platon to więcej niż zwykłe zwierzę. Odebrałem mu ten luksus. Mogłabyś spróbować, przynajmniej na jakiś czas. — Przerwał. — Mio — mówił dalej — przecież cię znam. Widziałem twoje akta. Wiem o tobie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Nigdy cię nie zapomniałem, nigdy. Wiesz, mam nawet wrażenie, że Platon mógłby pomóc tobie.

Mia milczała. Serce biło jej dziwnie, szybko. W lewym uchu słyszała dzwonienie. W chwilach takich jak ta, w pełni zdawała sobie sprawę ze znaczenia straszliwej prawdy: jest stara.

— Platon to nie potwór. Jest po prostu inny… bardzo zaawansowany. I sporo wart. Gdybyś nie zniosła jego obecności, spokojnie mogłabyś go sprzedać.

— Nie mogę. Nie wezmę go!

— Rozumiem. To twoje ostatnie słowo? — W pokoju zapadła cisza, w której oboje oceniali się nawzajem; była to chwila pełnej bliskości… i chwila goryczy. — A więc widzisz dokładnie, jaki jestem, prawda? Minęło siedemdziesiąt lat… i okazało się, że siedemdziesiąt lat to jeden dzień. Wcale się nie zmieniłem. Nie, nie zmieniłem… i ty też się nie zmieniłaś.

— Martinie, wobec ciebie muszę być uczciwa. Chodzi o to… — Spojrzała na psa, leżącego spokojnie w kącie sypialni, z długim łbem złożonym na skrzyżowanych łapach. Przerażona, wbrew swej woli, krótkimi, urywanymi zdaniami powiedziała mu prawdę. — Nie trzymam w domu zwierząt. Nigdy ich nie trzymałam. Moje życie już nie jest takie. Żyję samotnie. Miałam męża i córkę. Odeszli z mego życia. Nie rozmawiam z nimi. Została mi tylko praca. Mam dobrą pracę w administracji badań medycznych. Patrzę na ekrany, pracuję w przestrzeniach ekonomicznych, studiuję procedury grantów, oceniam rezultaty programów badawczych. Jestem biurokratką. — Wzięła głęboki oddech, urywany jak szloch. — Spaceruję po parku. Codziennie oglądam wiadomości. Zawsze głosuję. Czasami obejrzę jakiś stary film. Ale to wszystko, tak żyję. Tego rodzaju ludzi

nienawidziłeś, czegoś takiego nigdy nie mogłeś znieść!

Płakała i nie ukrywała łez. Martin przyglądał się jej wzrokiem pełnym litości.

— Mimo wszystko, zwierzę w domu mogłoby ci pomóc — powiedział. — Jesteśmy coś winni zwierzętom, wiesz? Przeskakiwaliśmy mury na drodze naszego rozwoju, wspinając się na nie po trupach zwierząt. Mamy w stosunku do nich dług wdzięczności.

— Żadne zwierzę nie jest w stanie mi pomóc. Nie potrzebuję nikogo.

— Zaryzykuj. Zmień życie, choćby odrobinę. Czasami ludzie muszą ryzykować, Mio. Jeśli nie ryzykują, po prostu nie żyją.

— Nie. Nie zaryzykuję. Wiem, że szczerze wierzysz, iż coś takiego może być dla mnie dobre, ale mylisz się i wcale nie byłoby dobre. Nie mogę wziąć psa. Nie jestem taka. Przestań nalegać!

Martin roześmiał się.

— Nie mogę uwierzyć, że właśnie to powiedziałaś. Dokładnie tych samych słów użyłaś podczas naszej ostatniej kłótni, dokładnie tych samych słów. — Potrząsnął głową. — Dobrze już, dobrze… zawsze prosiłem cię o zbyt wiele, prawda? Postąpiłem bardzo głupio, prosząc cię i o to. Nic, tylko układam plany, wtrącając się w życie innych ludzi… tych, którzy jeszcze żyją. Nie lubisz ryzykować. To dla mnie żadna tajemnica. Zawsze byłaś ostrożna, mądrzejsza i sprytniejsza ode mnie. Miałaś po prostu pecha, że się spotkaliśmy.

Umilkł. Rozpostarła się między nimi martwa cisza. Przedsmak ciszy śmierci.

— Powiedz, że mi wybaczyłaś — przerwał ją Martin.

— Wybaczyłam ci, Martinie. Wybaczyłam ci wszystko. Bardzo mi przykro, że nie byłam odpowiednią dla ciebie towarzyszką życia. Nigdy nie dałam ci tego, czego ode mnie oczekiwałeś i potrzebowałeś. Nigdy nie dałam ci tego, o co mnie prosiłeś. Proszę, wybacz mi, to była moja wina.

Przyjął jej przeprosiny. Z rumieńców na jego bladej twarzy wyczytała, że osiągnął coś zbliżonego do wytęsknionej zgody ze światem. Powiedział jej wszystko, co chciał powiedzieć. Życie Martina teraz się skończyło. Uporządkował je, spakował i odłożył na bok.

— Ruszaj swoją drogą, kochanie — powiedział łagodnie. — Ktoś, kim kiedyś byłem, szczerze kochał kogoś, kim kiedyś byłaś. Postaraj się mnie nie zapomnieć.

Pies nie wstał, by odprowadzić ją do drzwi. Opuściła mieszkanie Martina, machinalnie zabierając po drodze płaszcz i torebkę. Przeszła przez słoneczne lato korytarzy. Kiedy zjechała windą na dół i wyszła na ulicę, znalazła się w chłodnej jesieni miasta. Znów tkwiła w cienkiej lecz bardzo prawdziwej rzeczywistości swego cienkiego lecz bardzo prawdziwego życia.

Wsiadła do pierwszej napotkanej taksówki i pojechała wprost do domu.

* * *

W mieszkaniu zastała Mercedes, sprzątającą łazienkę. Mercedes wyszła jej na powitanie, trzymając szczotkę i próbny zestaw aseptycznych środków czyszczących. Mercedes miała na sobie mundur pomocy obywatelskiej: jasnoniebieską marynarkę z czerwonymi epoletami, spodnie i buty na dyskretnie grubej podeszwie. Mercedes miała pod opieką piętnaście starszych pań, które obsługiwała na swej zmianie, i u Mii pojawiała się dwa razy w tygodniu, by posprzątać mieszkanie… zazwyczaj pod nieobecność gospodyni. Swą pracę w pomocy obywatelskiej Mercedes nazywała „sprzątaniem", ponieważ brzmiało to lepiej niż „pomoc społeczna", „inspekcja zdrowia" lub „szpieg policyjny".

— Co się stało? — spytała zaskoczona, odstawiając szczotkę i wiaderko żelu. — Myślałam, że jesteś w pracy.

— Przeżyłam nieprzyjemne doświadczenie. Dziś wieczorem umrze mój przyjaciel.

Mercedes natychmiast wcieliła się w rolę osoby pełnej współczucia. Wzięła od Mii płaszcz.

— Usiądź, kochanie. Zrobię ci nalewkę.

— Nie chcę nalewki — powiedziała Mia, siadając przy stole kuchennym, przykrytym blatem z falistej, lakierowanej dykty. — Zmusił mnie do wzięcia mnemonika. Nadal działa. Czuję się fatalnie.

— Jakiego mnemonika? — Mercedes zdjęła siatkę z włosów i schowała ją do kieszeni marynarki.

— Enkefalokrylliny, dwieście pięćdziesiąt mikrogramów.

— Och, to przecież nic, taki drobiazg. — Mercedes zmierzwiła swe ciemne włosy. — Może wypijesz nalewkę?

— Napiję się wody mineralnej.

Mercedes podtoczyła do stołu zestaw do nalewek. Usiadła na kuchennym stołku. Wlała do zestawu pół litra destylowanej wody, po czym zaczęła do niej wkruszać cienkie, małe płatki dodatków mineralnych.

Zestaw do nalewek był z pewnością najdroższym urządzeniem, w jakie wyposażona została kuchnia w mieszkaniu Mii. Sama Mia nie uważała się za materialistkę ani nawet za osobę o rozwiniętym instynkcie posiadania; jedyny wyjątek zrobiła właśnie dla nalewek. Dla porządku trzeba dodać, że lubiła też ładne stroje. Wyjątki czyniła

także dla kartonowych opakowań dwudziestowiecznych gier komputerowych i CD-ROMów. Po prostu miała słabość do staroświeckich ulotnych produktów papierniczych.

— Chyba lepiej, żebym komuś o tym opowiedziała — stwierdziła. — Jeśli komuś o tym nie opowiem, to dziś w nocy nie zasnę. Za trzy dni mam badania, i jeśli dziś nie prześpię nocy, odbije się to na wynikach.

Mercedes spojrzała na nią. Oczy jej błyszczały.

— Przecież możesz porozmawiać ze mną! Oczywiście, że możesz mnie o wszystkim opowiedzieć.

— Czy każde moje słowo musi trafić do akt?

Mercedes sprawiała wrażenie urażonej.

— Naturalnie, że musi, to mój obowiązek. Byłabym nieuczciwa, gdybym nie umieszczała wszystkiego w dossier. — Dodała do wody czegoś, co spowodowało, że pojawiła się w niej masa syczących bąbelków. — Mio, znasz mnie przecież od piętnastu lat. Możesz mi zaufać. Pracownicy pomocy obywatelskiej uwielbiają, kiedy ich klienci do nich mówią. Bo i po co właściwie istniejemy?

Mia pochyliła się, opierając łokcie na stole.

— Znałam tego mężczyznę przed siedemdziesięciu laty — powiedziała. — Był wtedy moim przyjacielem. Powtarzał mi dziś kilkakrotnie, że się nie zmieniliśmy, lecz oczywiście zmieniliśmy się, i to bardzo. Zmieniliśmy się nie do poznania. On się zużył. A ja… przed siedemdziesięciu laty byłam bardzo młoda. Byłam dziewczyną. Jego dziewczyną. Teraz już nie jestem dziewczyną. Teraz jestem kimś, kto kiedyś był kobietą.

— Muszę przyznać, że to dość dziwne sformułowanie.

— Ale prawdziwe. Nie jestem jego kobietą. Od bardzo długiego czasu nie jestem niczyją kobietą. Nie mam kochanków. Nikogo nie kocham. O nikogo nie dbam. Nikogo nie całuję. Nikogo nie przytulam. Nikogo nie pocieszam. Nie mam rodziny. Nie mam objawów menopauzy. Nie mam okresów. Jestem osobą postseksualna. Jestem postkobieca. Jestem wiedźmą. Jestem technowiedźmą, typową dla końca XXI wieku.

— Według mnie wyglądasz jak kobieta.

— Ubieram się jak kobieta. Z rozmysłem, z chłodną kalkulacją.

— Wiem, o czym mówisz — przyznała Mercedes. — Sama mam sześćdziesiąt lat. Za późno już na takie sprawy. Ale nie powiem, żeby mnie to szczególnie martwiło. Bycie kobietą, zwłaszcza w tych szczególnie przykrych kwestiach kobiecości, to nie jest sposób na życie, który reklamowałabym przyjaciołom.

— Było to niezwykle męczące doświadczenie — mówiła dalej Mia. — Zachowywał się bardzo grzecznie, ale już sama jego bliskość strasznie mnie wyczerpała. Najgorsze jest to, że w swym dawniejszym

życiu nie skończyliśmy ze sobą czysto i przyjemnie. Chodzi mi o moje życie uczuciowe, o moje życie seksualne. Pamiętam, jakie to było podniecające. Jak wielką sprawiało mi przyjemność. Uwodził mnie wielki, energiczny, uparty i bardzo przystojny chłopiec. Poczułam to, kiedy złapał mnie za rękę. Przez ten mnemonik było jeszcze gorzej.

— Większość ludzi powiedziałaby, że czyste zerwania nie są dla człowieka dobre. Że powinnaś dojść do ładu z tym aspektem swego poprzedniego życia, zintegrować go ze swą osobowością, by móc pogodzić się z nim i przezwyciężyć.

Terapeutyczne porady irytowały Mię w stopniu wprost proporcjonalnym do ich taktu.

— Dziś doszłam do ładu z mym wcześniejszym życiem, ale nie jestem przez to ani odrobinę szczęśliwsza.

— Przykro ci, że umiera? Czy go żałujesz?

— Nie jest mi przyjemnie. — Mia wypiła łyk wody mineralnej. — Ale nie nazwałabym tego żalem. To uczucie jest zbyt płytkie jak na żal. — Woda mineralna bardzo jej smakowała. Przyjemność sprawiały jej teraz niemal wyłącznie rzeczy najprostsze. — Płakałam dziś — wyznała. — Bardzo źle się czułam, płacząc. Nie płakałam od pięciu lat. — Dotknęła opuchniętych oczu. — Mam wrażenie, że membrana może być uszkodzona.

— Zostawił ci jakąś pamiątkę?

— Nie — skłamała gładko Mia.

— Zawsze zostawiają jakieś pamiątki — nalegała Marcedes.

Mia zawahała się.

— No, owszem — przyznała — Ale odmówiłam jej przyjęcia. Miał postpsiego psa.

— Wiedziałam — powiedziała Mercedes. — Zawsze jest albo zwierzę domowe, albo dom. Kiedy są młodsi, mogą martwić się także o dziecko. Nikt nie wzywa kogoś do łoża śmierci, jeśli nie chce, żeby mu pomóc po sobie posprzątać.

— A może chcą po prostu, żebyś to właśnie ty po nich posprzątała?

Mercedes wzruszyła ramionami.

— Sprzątam. Sprzątanie to moje życie — powiedziała. Zawsze była bardzo cierpliwa. — Widzę, że jest jeszcze jakiś ciężar, który chciałabyś zrzucić z serca. O co chodzi?

— Nie, nic. Naprawdę nic.

— Po prostu nie chcesz mi na razie o tym mówić. Ale równie dobrze możesz mi powiedzieć teraz. Póki jesteś w nastroju.

Mia zagapiła się na nią.

— Nie musisz sprzątać po mnie aż tak dokładnie — powiedziała. — Naprawdę nic mi nie jest. Przeżyłam szok, ale nie mam zamiaru zrobić niczego niecodziennego.

— Nie powinnaś mówić takich rzeczy, Mio. Sama sytuacja jest bardzo niecodzienna. Nasz świat stał się bardzo niecodzienny. Żyjesz zupełnie sama, nie masz nikogo, komu mogłabyś zaufać, kto by ci doradził i pomógł w trudnej sytuacji. Poza pracą nie wypełniasz żadnej roli społecznej. Może ci bardzo łatwo odbić, wiesz?

— A widziałaś, żeby mi kiedyś odbiło?

— Mio, jesteś mądrzejsza ode mnie, starsza ode mnie i o wiele bogatsza ode mnie, ale na świecie jest wiele podobnych do ciebie osób. Znam ich całkiem sporo. Ludzie tacy jak ty łatwo pękają.

Gestem ramienia opiętego błękitnym materiałem munduru Mercedes wskazała mieszkanie.

— To, co przez cały czas nazywasz swoim życiem, to nie jest normalność. To nie jest nawet bezpieczeństwo, lecz wyłącznie rutyna. Rutyna nie jest normalnością, a ty nie pozwoliłaś sobie nawet na odrobinę normalności. Coś takiego jak prawdziwa normalność niedostępne jest dziewięćdziesięcioczteroletniej istocie postludzkiej. Przedłużanie życia nie jest czymś naturalnym i nigdy nie będzie. Nie sposób uczynić tego czymś naturalnym. To twoja rzeczywistość. Moja zresztą także. I dlatego właśnie ugoda przysyła mnie tu dwa razy w tygodniu. Żeby się rozejrzeć, posprzątać, posłuchać.

Mia milczała.

— Możesz nadal tak żyć — oznajmiła jej Mercedes. — Przykro mi, że przeżyłaś dzisiaj trudne chwile. Śmierć przyjaciela bywa większym ciosem, niż jesteśmy skłonni przypuszczać. Nawet ludzie tępi nie są w stanie bezwzględnie podporządkować się rutynie, a ty z całą pewnością nie jesteś tępa. Po prostu bardzo się pilnujesz, bardzo też zależy ci na staroświeckiej prywatności emocjonalnej, której dziś nikt już nie potrzebuje.

— Przemyślę to sobie dokładnie.

Mercedes uważnie się jej przyjrzała. Cisza przedłużała się niezręcznie. Mii nie udało się jej oszukać. Nie sposób być bohaterem w oczach pokojówki.

— A przy okazji — powiedziała w końcu Mercedes — ten paskudny szczep grzybka znów jest w łazience. Gdzie ostatnio spacerowałaś?

— Spaceruję dla zdrowia. Po mieście. Nie zapisuję, gdzie.

— Spróbuj przez pewien czas zostawiać buty za drzwiami, dobrze? I nie siedź za długo pod prysznicem. Te kokcydioidy są zabójcze.

— Doskonale. Oczywiście.

— Muszę iść — powiedziała Mercedes, wstając. — Mam inne obowiązki. Zadzwoń do mnie, gdybyś tylko czegoś potrzebowała. O każdej porze. Nie krępuj się. Dla mnie to dobrze, gdy ludzie do mnie dzwonią.

— Oczywiście, pani władzo.

Mercedes skrzywiła się, zebrała swój sprzęt i wyszła.

* * *

Martin Warshaw złożony został na wieczny odpoczynek dwudziestego pierwszego po południu, w starym grobie masowym w Palo Alto. Dzień był jasny i rześki; wielki teren dawnego centrum badań chorób zakaźnych wyglądał wyjątkowo świeżo, zielono i spokojnie.

Mia nie rozpoznała nikogo z obecnych. Nikt z obecnych nie zadał sobie trudu rozpoznania jej.

Dziewiętnaścioro starych ludzi obecnych na ceremonii było wyjątkowo do siebie podobnych. Ludzie Hollywood nigdy nie bali się skalpela. Piękni i bogaci zawsze łakomie rzucali się na każdy kąsek młodości. Pięćdziesiąt lat temu to oni właśnie byli pionierami medycyny, teraz jednak wydawali się po prostu starzy, zwyczajnie i nieodwołalnie. Ich proste techniki — biomedyczne cuda lat trzydziestych i czterdziestych — obecnie wydawały się beznadziejnie stare i beznadziejnie prymitywne.

Przybyli na ceremonię wyglądali na prawdziwych pionierów: starych, zmęczonych, zużytych.

Pracownicy cmentarza otwarli zamocowane na zawiasach białe wieko emulgatora. Unieśli kruchą skorupę skurczonego, pomarszczonego ciała Martina i z pełną szacunku troską włożyli je, nogami do przodu, w kipiący żel. Skanery rozpoczęły pracę, przygotowując ostatni oficjalny medyczny skaning Martina. Przeznaczone do pobierania próbek ramiona automatu autopsyjnego zaczerpnęły niewielkie dawki gęstego płynu, analizując uszkodzenia genetyczne, badając florę bakteryjną ciała, katalogując i opisując każdą podobjawową infekcję wirusową i prionową, po czym, z absolutną cybernetyczną pewnością publicznie ogłosiły przyczynę śmierci: samobójstwo przez zażycie depresantów psychotropowych. Wszystkie dane, schludnie uporządkowane, natychmiast podano na sieć.

Ktoś — Mia nigdy nie dowiedziała się, kto — poprosił o zabranie głosu katolickiego księdza. Ksiądz był młody, bardzo zapalony i pełen najlepszych intencji. Leciał na enteogenach, i płomień wymowy palił się w nim tak jasno, że niemal nie dało się zrozumieć poszczególnych słów. Kiedy skończył swój transcendentalny bełkot, formalnie pobłogosławił żel.

Starzy ludzie opuszczali miejsce pochówku w grupkach po dwie, trzy osoby.

Zatrudniony przez nekropolię grawer wyrył na kremowobiałej ściance emulgatora portret Martina wraz z datami. Plakietka z napisem „Martin Warshaw (1999-2095)" miała wielkość mniej więcej dłoni Mii. Umieszczono ją na samym dole listy trzystu osiemdziesięciu dziewięciu nazwisk innych ludzi, których ciała dały kiedyś zajęcie temu urządzeniu. Mia przystanęła, przyglądając się przez chwilę rzędom jaskrawych pogrzebowych fotorytów. Słodka świadomość istnienia tylu twarzy czyniła z emulgatora maszynę niemal dobrą, a w każdym razie maszynę, która ma dobre intencje.

Przy granicy cmentarza Mia wezwała taksówkę. Czekając na nią, dostrzegła jasnobrązowego psa, przemykającego wśród oleandrów. Pies nie miał na sobie ubrania i nie zdradzał oznak nadzwyczajnej inteligencji. Kiedy próbowała do niego podejść, zniknął w krzakach. Nie widząc go, nagle poczuła się głupio. Duże jasnobrązowe psy nie należą przecież do rzadkości.

Z taksówki wysiadła przy stacji metra, zniknęła w okablowanych podziemiach Kalifornii i wynurzyła się z nich przy Publicznym Punkcie Teleprezencji w Coit Tower. Kiedy opuszczała San Francisco, jej ulubionym sitem było Telegraph Hill. Gdziekolwiek przyszło jej podróżować, zawsze od czasu do czasu łączyła się z nim, by odrodzić się w miejskim otoczeniu Bay Area. Bywała poprzez teleobecność w site'ach miast całego świata, ale nigdy nie pokochała miasta, po którym nie można było spacerować. San Francisco nadaje się do spacerów wręcz znakomicie. Dlatego tu zamieszkała.

Oczywiście, przyzwyczajenie też grało wielką rolę.

Na Embarcadero, w zatłoczonej hałaśliwymi turystami kawiarni, wypiła gorącą *frappé*. Zastanowiła się ponuro nad tym, co na temat dzisiejszych wydarzeń miałby do powiedzenia jej mąż. Co pomyślałby sobie o ceremonii pożegnania Martina Warshawa? Martin był przecież jedynym prawdziwym rywalem Daniela. Czy wyczułaby jakiś delikatny ślad męskiej zazdrości, może także coś w rodzaju satysfakcji? Ciekawe, czy były mąż czasami o niej myśli? Czy w ogóle myśli logicznie o kimkolwiek i czymkolwiek? Daniel przebywał w bardzo dziwnej przestrzeni w północnym Idaho, przestrzeni, z którą nie było żadnego prawdziwego kontaktu. Mia mogła oczywiście zadzwonić do swej córki, Chloe, do Dżakarty, ale u niej nie znalazłaby pociechy. Chloe skubałaby tylko wzorzystą szatę, powtarzając banały o obrotach koła i prawdzie duchowej.

Długi spacer ku Fisherman's Wharf, i Mii udało się przez cały dzień nie myśleć o pracy, co było u niej rzeczą nową i na swój sposób wielkim osiągnięciem. Wreszcie dotarła na miejsce. Spłowiały drewniany znak wystający z nie strzyżonego żywopłotu identyfikował

to miejsce jako płatny site sieciowy. Weszła do środka, a gdy znalazła się w wielkim budynku, wcisnęła kartę gotówkową w zegar.

Chwiejnym krokiem nadszedł właściciel. Był to chudy jak patyk, stary dżentelmen w drugim stuleciu życia, kościsty, jakby składał się z samych kolan i łokci, z ostrym garbatym nosem, dwoma absurdalnie wielkimi lecz bardzo efektownymi aparatami słuchowymi, w bezkształtnej rybackiej czapeczce na głowie. Czapeczkę nosił wyłącznie dla efektu; łuskowata, fałdzista skóra pana Stuarta nie widziała słońca od dziesięcioleci. Pan Stuart ubrany był w brudnozieloną koszulę z krótkimi rękawami i spodnie pobrudzone olejem. Szlufki na pasek obwisły od złożonych multinarzędzi na krótkich metalowych łańcuszkach.

Mia nie odwiedzała tego site'u od trzydziestu siedmiu lat. Dom został w znacznym stopniu przebudowany, zerwano podłogi, burzono ściany, zamurowano okna, ściany zewnętrzne wyłożono blachą miedzianą, redukującą zakłócenia emisji. Bez zdziwienia przyjęła jednak widok tego samego właściciela prowadzącego ten sam biznes, ubranego najwyraźniej w te same ciuchy. Pan Stuart zawsze wydawał się jej człowiekiem, który jest w stanie bez trudu przeżyć jakiś tam budynek.

Pan Stuart nie zmienił się wiele, choć nos i uszy wyraźnie mu spuchły. Kuracja hormonami wzrostu i regulacja sterydowa należały do najsensowniejszych, powodujących najmniej niepożądanych skutków ubocznych w strategii przedłużania życia; jednak nosy i uszy mężczyzn puchły podczas jej stosowania. Miało to coś wspólnego z męskimi sterydami oraz postępującym kostnieniem chrząstek.

Mia uważnie przyjrzała się pomieszczeniu. Z sufitu zwisały szare pochłaniacze dźwięku, nad nimi zaś wiły się splątane wiązki kolorowych kabli zasilających i światłowodów. Wśród metalowych belek więźby dachowej gnieździły się stada brązowych, ruchliwych i wrzaskliwych wróbli.

Na podłodze stała przedziwna kolekcja maszyn umożliwiających dostęp do sieci. Po zachodniej stronie stodoły pana Stuarta znajdowały się te najnowocześniejsze, z których wiele cechował zużyty wygląd prototypów. Część wschodnia wypełniona była cudeńkami dla kolekcjonerów, wyspecjalizowanymi reliktami minionych stu dwudziestu lat manipulacji przestrzenią wirtualną.

Pan Stuart zawsze specjalizował się w tych środkach przekazu, które albo umierały już ze starości, albo przeciwnie, walczyły dzielnie, by się w ogóle narodzić.

Pod ścianami, jedne na drugich, stały przeróżnego kształtu pojemniki, wypełnione elektronicznymi komponentami. Stary, trzeszczący robot-sprzątacz wędrował wokół, zacięcie walcząc z okrywającym maszyny kurzem. Zgodnie z wymogami prawa,

pomieszczenie wyposażone było w skrzynie z piaskiem, przeznaczone na odchody udomowionych ptaków. Oświetlenie było, jak zawsze, straszne.

— Myślałam, że ma pan zamiar wstawić tu okna — powiedziała Mia.

— Już wkrótce — odparł Stuart, mrużąc oczy. — A w ogóle, kto potrzebuje okien? Sieciowy site jest przecież oknem.

— Czy jest tu coś rozumiejącego hasło dotykowo-gestowe i zdolnego wprowadzić mnie w pałac pamięci ustanowiony w latach sześćdziesiątych?

— To zależy od setupu, ale całe życie zależy przecież od setupu. — Pan Stuart uwielbiał aforyzmy, czasami wręcz do przesady. — Proszę mi powiedzieć coś o parametrach wejściowych i maszynie, na której go ustanowiono.

— O tym nie umiem nic panu powiedzieć.

Stuart wzruszył chudymi ramionami. Gest gnoma.

— W takim razie trzeba tu będzie spędzić sporo czasu. Jeśli chce pani mojej rady, najlepiej zacząć od najprostszego sposobu. Niech pani podłączy płytkę dotykową do jednej z kurtyn siatkówkowych i sprawdzi, czy pałac nie pojawi się po prostu przed oczami.

— Myśli pan, że może się to udać?

— Może. Proszę spróbować na spexach, jeśli chce pani… — umilkł, nadymając się uroczyście — …dyskrecji.

— Ile dolicza pan za dyskrecję, panie Stuart? Dyskrecja bardzo mnie interesuje.

— Opłatę pobieram przy wejściu. Moi klienci i tak uważają ją za przerażająco wygórowaną. — Ktoś pracujący przy jednej z najnowszych maszyn wykrzyczał długie pytanie, mające coś wspólnego z „drzewami nazw” i „defuzyfikacją”. Stuart, niczym sowa, obrócił głowę na skórzastej szyi.

— Przeczytaj instrukcję — krzyknął. A potem, zwracając się do Mii, dodał: — Dzieciaki. O czym to mówiliśmy, proszę pani?

— Mam na imię Mia.

— Co?

— Tu nie ma instrukcji! — wrzasnął chłopięcy głos.

— Mia. M-I-A — powtórzyła spokojnie Mia.

— Aha. — Pan Stuart stuknął w jeden z aparatów słuchowych. — Milo mi, że pani wpadła, Mayu. Proszę nie zwracać uwagi na dzieciaki. Czasami bardzo hałasują.

— Mogę spróbować kurtyny i płytki?

— Oczywiście. Zaraz cię wpiszę.

Dyskrecja to jedyna zaleta starych maszyn. Stare maszyny są tak przerażająco stare, że praktycznie nie ma sposobu, by je kontrolować. Współczesne standardy wirtualności są o wiele bardziej

uporządkowane, oporne i sensowne niż prymitywne, zużyte i czasami nawet niebezpieczne śmiecie z całego niemal XXI stulecia. Współczesne archiwa danych są zaskakująco jawne, łatwe w użyciu, dostępne, istnieją jednak setki przestarzałych formatów oraz niezmierzone głębiny przestarzałych danych, do których dostęp oferują wyłącznie komputery nie produkowane już i nienaprawialne. Nadają się one wyłącznie dla hobbystów — fanatyków lub ludzi tak starych, że nauczyli się pracować na nich w młodości i nigdy nie wyszli z wprawy.

Stuart dał Mii zużytą płytkę sensoryczną i kasetkę wirtualną, po czym Mia wycofała się do łazienki site'u, starej, wyposażonej w umywalki na kolumienkach i lustra.

Umyła ręce, otworzyła kasetkę, wyjęła z niej dwa wisiorki-telefony i zręcznie wpięła je w uszy. Mały mikrofon przylepiła nad górną wargą — wyglądał tam jak pieprzyk. Ostrożnie nalepiła na powieki sztuczne rzęsy. Każda z nich niezależnie monitorowała kształt gałki ocznej, a więc kierunek, w którym w danej chwili patrzyła.

Otworzyła zamocowane na zawiasach wieko pojemnika rękawic. Obie dłonie zanurzyła po nadgarstki w płynnym, gorącym, przylepnym plastyku, po czym wyjęła je i zaczęła nimi machać, by plastyk szybciej wysechł i stężał. Schnąc, trzeszczał głośno, Mia zaś metodycznie wyginała i prostowała palce oraz zaciskała dłonie w pięści. Plastykowa powłoka popękała przy tym na setki małych kawałków niczym zaschnięte błoto. Wtedy Mia włożyła dłonie do drugiego pojemnika i niemal natychmiast je wyjęła. W pęknięciach uformowała się sieć szybkoschnących obwodów organicznych.

Skończywszy pracę nad rękawicami, z pojemnika pod umywalka Mia wyjęła wachlarz na nadgarstki, klepnęła się po ramieniu, chcąc go wzbudzić, następnie rozłożyła go i umocowała na lewym nadgarstku. Błyszczący wszystkimi barwami tęczy materiał napiął się bardzo dobrze. Po otwarciu i przypięciu drugiego wachlarza, z jej nadgarstków sterczały dwie spore wizualne membrany wielkości płaskich talerzy.

Rękawice wzbudziły się, gdy ich obwody podłączyły się do spodów wachlarzy. Mia jeszcze raz poruszyła palcami. Wachlarze błyskawicznie określiły i zapamiętały kształt rękawic, rozpoznając oraz zapamiętując wielkość, kształt i ruchy dłoni. Potem zmatowiały i dłonie Mii zniknęły z pola widzenia, po czym pojawiły się w formie obrazu rzuconego na i odtworzonego przez wachlarze. Na ich granicach kończyła się rzeczywistość — Mia widziała wirtualny obraz swych dłoni w bliźniaczych kręgach błękitnej nicości.

Z płytką sensoryczną pod pachą, Mia wyszła z łazienki i weszła do przeznaczonej dla niej jednostki kurtynowej. Zamknęła za sobą kurtynę i zapieczętowała ją. Po materiale przebiegła fala drgań, od

góry do dołu, po czym kurtyna zesztywniała i otaczająca ją maszyna obudziła się do życia. Sztywny materiał przybrał kolor błękitu nieba. Zniknęła kolejna, wielka porcja rzeczywistości; Mia stała teraz zawieszona w otaczającej ją, błękitnej wirtualności. Wirtualności kompletnej, oczywiście z wyjątkiem solidnie rzeczywistej podłogi pod stopami i rzeczywistego sufitu nad głową, oraz gęstej siatki lokatorów, urządzeń śledzących i sprzętu nagrywającego.

Materiał kurtyny był spleciony ze światłowodów, tysięcy cieńszych od włosa światłowodowych skanlinii. Sterowana danymi przesyłanymi przez sztuczne rzęsy, otaczająca Mię ściana rozjaśniała się i wyświetlała obraz tego, na czym spoczął jej wzrok. Spojrzenie człowieka mogło paść gdziekolwiek; kurtyna zawsze była szybsza, rozbłyskiwała natychmiast, przekazywała obraz w ułamku sekundy. Utkana przez nią trzystuseśćdziesięciostopniowa iluzja sprawiała wrażenie idealnie ciągłej.

Mia znalazła gniazdo i podłączyła płytkę sensoryczną. Kurtyna rozpoznała mniejszą maszynę i natychmiast otoczyła Mię przekazywanym przez nią panoramicznym obrazem, wirtualną otchłanią przydymionej szarości. Mia wystukała na płytce kilka komend, wywołując z niebytu parę użytecznych wskaźników: miernik cykli, zegar, program wyboru sieci.

Wybrała jedną z większych publicznych bramek San Francisco, wstrzymała oddech i podała hasło gesturalne, które przekazał jej Martin Warshaw. Ściana wiernie zreprodukowała gest palca w rękawicy, rysując na szarej ścianie monstrualny, czarny hieroglif.

Rysunek zbladł i zniknął. Kurtyna znów była neutralnie niebieska. Potem nie działo się właściwie nic, mały tachometr wskazywał jednak, że informacja była gdzieś jakoś procesowana, w trzewiach sieci. Mia czekała więc cierpliwie.

Po ośmiu minutach tachometr zniknął. Ściany przybrały czerń próżni, a potem, nagle, wyświetliły wirtualny obraz naturalnych rozmiarów.

Mia znalazła się w pracowni architekta. Stało w niej wielkie biurko z symulowanego surowego drewna, silnie świecące mosiężne lampy stojące, algorytmiczne wiry symulowanego marmuru. Fotele były wypchane, miękkie, zapadnięte gdzie trzeba, wygodne. Fotele starych ludzi. Takie meble zaczęli wytwarzać najwybitniejsi fabrykanci, kiedy zorientowali się, że majątki bardzo starych ludzi rządzą światem i że bardzo starzy ludzie będą majętni aż do końca świata.

Wirtualną pracownię, z lekką dawką ironii, zaprojektowano tak, by przypominała pracownię architekta w służbie ugody. Architekci projektujący rzeczywiste budynki, w przeciwieństwie do projektujących budynki wirtualne, są na ogół zarozumiałymi snobami;

a to z powodu swych bliskich, intymnych wręcz związków z rzeczywistą rzeczywistością. Ściany wokół niej składały się wyłącznie z płyt korkowych, tablic, kredek, kalki technicznej, sznurków. Wszystko bardzo analogowe, wszystko bardzo namacalne. Nie było tam nigdzie ścianki danych. Tyle że — oczywiście — to wirtualne środowisko samo w sobie było jedną wielką ścianką danych.

Skomplikowany pałac pamięci Martina Warshawa nie do końca kompatybilny był z wybraną przypadkowo, niewielką i niezbyt szybką kurtyną. Ściana, niczym wnętrze walca, powodowała, że narożniki wirtualnego pomieszczenia wyglądały co najmniej nieprzyjemnie, zwijając się w sposób doprowadzający do mdłości. Symulacja najwyraźniej nie mogła się zdecydować, gdzie umieścić podłogę. Jej krawędzie pojawiły się tylko w dolnej części ekranu, zawinięte w górę, co trochę przypominało wyrzuconą na bagna łódź wiosłową, powoli pogrążającą się pod wodą.

Symulowane okno na jednej ze ścian ukazywało malowniczy skrawek sztucznego ogrodu, projekcja kształtów organicznych okazała się jednak prawdziwym nieszczęściem. Drzewa, ledwie zarysowane kilkoma plamami, przypominały koszmarne zdjęcia rentgenowskie prawdziwych drzew, prażących się w gęstych jak miód promieniach nieziemskiego słońca. W środku znajdowała się majestatyczna roślina doniczkowa. Jej wielkie, ząbkowane liście sprawiały wrażenie tak martwych, jak łyżki do wyciskania wafli.

Mia obróciła się, chłonąc każdy szczegół pomieszczenia. Po jej lewej ręce wisiały wielkie, oprawione w ramy rysunki techniczne — projekt potężnej, wielopiętrowej konstrukcji; był to prawdopodobnie przekrój poziomy samego pałacu pamięci. Projekty niemal całkowicie zamazane były notatkami, wykonanymi straszliwie drobnym, nieczytelnym pismem.

Pałac sprawiał wrażenie ogromnego, skomplikowanego, onieśmielającego. Mia miała wrażenie, że odpakowała prezent spod choinki i znalazła wciśniętą w opakowanie kompletną lokomotywę — wielotonowy, parowy, wirtualny diabeł z pudełka.

Spojrzała na środek pomieszczenia. Pośrodku wielkiego biurka znajdowała się jedynie fotografia w ramkach. Mia wykonała w miejscu kilka ruchów sugerujących krok i zdołała dojść do wirtualnego biurka, nie przechodząc przez nie. Wyciągnęła rękę, chcąc uchwycić fotografię. Interfejs rękawicy był wręcz beznadziejny, zwalniał, powodował nakładanie się obrazów.

Był to bardzo nieszczęśliwy interfejs. I trudno się dziwić. Bez najmniejszych wątpliwości całe to wirtualne cudo było kodowane, dekodowane, rekodowane, anonimowo przepuszczane przez satelity i kable, emulowane na starych maszynach nie pasującymi do nich, przestarzałymi protokołami, a następnie pokazane w antycznych

standardach graficznych, dzielone, oddzielnie routowane, kompresowane, pakietowane, odpakietowywane, dekompresowane, reroutowane, łączone w całość. A co najgorsze, pałac był stary. Wirtualne budynki nie starzeją się tak, jak rzeczywiste, podupadają jednak w sposób równie subtelny i skomplikowany, jak ich właściciele. Mały gięty stolik w rogu cierpiał na ciężki przypadek informatycznego rozpadu; z pewnego punktu widzenia łatwo było zauważyć, że na jego blacie nie pozostał nawet ślad politury.

A jednak pałac nie był martwy. Wirtualny gekkon pojawił się znikąd i przebiegł po ścianie — pewny znak, że niektóre uzdrawiające podprogramy nadal pracują w co wilgotniejszych i co mroczniejszych miejscach kodu.

Mia, wahając się, ujęła fotografię. Podniosła ją i obraz wyskoczył z ramki z gwałtownością krwotoku, pojawił się na kurtynie, otoczył ją w trzystu sześćdziesięciu stopniach jaskrawoczerwonymi pikselami wielkości poduszek kciuka. Skrzywiła się i odłożyła zdjęcie na miejsce. Przyjrzała mu się kątem oka, poprzez membrany wachlarzy na dłoniach. Projekcje w zasięgu jej ręki wydawały się znacznie lepiej zrealizowane graficznie niż te chwiejne, zamazane obrazy, które ukazywały się na kurtynie.

W ramce znajdowało się jej kolejne cyfrowe zdjęcie. Inne niż to, które pokazał jej Martin. Na tym, bardzo młoda Mia Ziemann odpoczywała na wytartej czerwonej kozetce, ubrana w czerwony szlafrok frotte, czytając wydrukowany na papierze magazyn i opierając smukłe nogi na niskim stoliku. Włosy miała mokre. Na podłodze walały się śmieci: opakowania po gotowych daniach obiadowych, dyski z nagraną muzyką, dwa rozsznurowane buty. Młoda Mia nie zdawała sobie sprawy z tego, że ktoś robi jej zdjęcie. Sprawiała wrażenie odprężonej, zadowolonej z życia, choć głęboko pogrążona była w lekturze magazynu.

Kolejna drobna pamiątka po Martinie. Pośmiertna wiadomość, pozostawiona nowej pani pałacu.

Mia gwałtownym szarpnięciem otworzyła jedną z szuflad wirtualnego biurka. Była pusta. Wrzuciła do niej zdjęcie, po czym ją zatrzasnęła.

Otworzyła drugą szufladę. Nożyczki, papier, pióra, taśma klejąca, pinezki. Próbowała kilkakrotnie, ale nie udało się jej chwycić wirtualnych nożyczek. Spróbowała trzeciej szuflady. Pudełko kolorowej kredy.

Wyjęła kredę bladozieloną. Obróciła się ku stojącej przy przeciwległej ścianie tablicy. Ruszyła w jej kierunku; w miarę, jak się do niej zbliżała, tablica zaczęła się nieprzyjemnie chwiać. Wyciągnęła dłoń z wyprostowanymi palcami, w których trzymała wirtualną kredę.

To działanie z całą pewnością wymagało lepszych rękawic niż

tanie jednorazówki, którymi dysponowała. Kreda to przylegała, to odskakiwała od tablicy, jak Alicja Dodgsona która dostała w lustrze ataku epilepsji. Po kilku wyczerpujących próbach Mia zdołała chwiejnym charakterem pisma napisać kilka przypadkowych słów. „Maya tu była”.

Pod spodem narysowała wizerunek zabawnej twarzy Kilroya o nosie jak kartofel. Na podłużnej łysej czaszce Kilroya naszkicowała kilka kręconych włosów pani Kilroy. Przypadkiem upuściła wirtualną kredę, która upadła na podłogę z wyraźnie słyszalnym stukiem i zniknęła. Nie zdołała jej odnaleźć nawet za pomocą wachlarzy. Poza tym poczuła poważny atak choroby morskiej. Odłączyła płytkę sensoryczną i wyszła zza kurtyny.

Przełknęła ślinę; gardło miała ściśnięte. Odczepiła wachlarze i odłożyła je na bok. Porwała rękawice na drobne kawałeczki, po czym wrzuciła je do recyklera. Jak na pierwszą wizytę, wystarczy. Miała dość. Jeśli kiedykolwiek jeszcze zdecyduje się odwiedzić pałac Martina, użyje najlepszych na rynku rękawic danych, takich jakimi dysponowała w pracy. I przyzwoitych spexów. Nadal miała mdłości. Czuła się też dziwnie rozczarowana. I strasznie oszukana. I potwornie wręcz smutna.

Ruszyła zygzakowatym korytarzem między tonami sprzętu pana Stuarta, oddychając ciężko i próbując odzyskać jasność myśli. Przeszła przez całą długość budynku i znalazła się wśród nowych maszyn. Kiedy dotarła do końca korytarza, zawróciła. Poczuła się znacznie lepiej. Spacer zawsze poprawiał jej samopoczucie.

— Pojedź ze mną do Europy. — Usłyszała donośny kobiecy głos. Stanęła jak wryta.

— Na Europę nie mamy czasu. Nie wspominając już o pieniądzach — odparł niechętnie mężczyzna.

Siedzieli na rozpostartym na podłodze kocu, w przejściu między maszynami. Mężczyzna był ubrany w wielką kurtkę z podszewką, brudne legginsy i robocze buty; parę lśniących spexów zsunął wysoko na czoło. Kobieta miała na sobie strój szczególny: brązowe poncho jak namiot, w jakiś sposób podtrzymujące ginące pod nim workowate tkane haremowe portki. Pracowali razem nad jednostką CAD. Zdjęli właśnie robocze rękawice narzędziowe i leżeli na kocu, zajadając herbatniki z papierowej torby.

Oboje byli brudni. Rozmawiali zbyt głośno. Mieli dziwne twarze: jędrne i pozbawione zmarszczek. Gestykulowali gwałtownie, energicznie. Sprawiali wrażenie, jakby coś wyprowadziło ich z równowagi.

Byli młodzi.

— W Stuttgarcie utkaliby nam ten polimer w sześć dni — powiedziała dziewczyna. — A może nawet w sześć godzin.

— Stuttgart to żadne wyjście. Tu przynajmniej mamy jakieś kontakty.

— Stary wpuszcza nas do siebie tylko po to, żeby móc popatrzeć sobie na nasze zabawy! Potrzebujemy żywych ludzi! Ludzi takich jak my. I tam, gdzie coś się dzieje. Na nic nam takie muzeum.

— W Stuttgarcie nigdy do niczego nie dojdziemy. Wiesz, ile kosztuje tam wynajęcie mieszkania? A w ogóle, to czy chcesz powiedzieć, że nie jesteśmy żywi? Ty i ja? Musimy być żywi na naszych warunkach, w naszym miejscu. Inaczej nic to nie znaczy.

Mia minęła ich, udając, że nie podsłuchiwała rozmowy. Nie zwrócili na nią uwagi. Odnalazła pana Stuarta w jego kantorku. Grzebał multinarzędziem w srebrzystych wnętrznościach zepsutego kasku.

— Skończyłam — oznajmiła Mia.

— Świetnie — stwierdził Stuart bez zainteresowania, wkładając w oko monokl spexa.

— Proszę opowiedzieć mi o tych młodych ludziach pracujących przy CADzie.

Stuart gapił się na nią z niedowierzaniem. Monokl lśnił mu w oku.

— Żartujesz? To twój interes, czy co?

— Przecież nie pytam, do których sieci wchodzą — wyjaśniła Mia. — Chcę się tylko czegoś o nich dowiedzieć.

— Och, no tak, żaden problem. — Stuartowi wyraźnie ulżyło. — Mają po dwadzieścia parę lat. Bez przerwy wpadają im do głowy jakieś co raz to nowe pomysły, wiesz, jak to jest w tym wieku. Żadnego poczucia czasu, mnóstwo energii do zmarnowania, głowa w chmurach. Projektują stroje. A przynajmniej próbują.

— Naprawdę?

— Stroje dla innych dzieciaków. Ona projektuje, on urzeczawia. Działają w zespole. Szczenięca miłość. Śliczna.

— Jak się nazywają?

— Nie pytałem.

— Jak płacą za czas dostępu?

Stuart nie odpowiedział. Milczał znacząco.

Mia podziękowała i wróciła do podsłuchiwania… na znacznie większą skalę. Młodzi ludzie odeszli. Szybko wyrwała kartę gotówkową z bramki wejściowej. Niewiele zostało na niej gotówki. Stuart bez miłosierdzia traktował nieznajomych.

Pospiesznie wybiegła z budynku.

Chłopiec i dziewczyna, oboje z plecakami na ramionach, szli w kierunku szczytu wzgórza, na przystanek autobusowy.

Gdy nadjechał autobus, Mia wsiadła do niego wraz z nimi. Usiedli z tyłu. Usadowiła się niedaleko, po drugiej stronie przejścia między fotelami. Nie zauważyli jej. Młodzi ludzie nie lubią dostrzegać starych

ludzi.

— W tym mieście — stwierdziła z goryczą dziewczyna — umrę w końcu z nudów.

— Jasne — powiedział chłopiec i ziewnął.

— Już umieram z nudów.

— Siedzisz w autobusie. — Chłopak wykazywał bezgraniczną tolerancję. Po chwili zaczął szukać czegoś w plecaku.

Mia wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne, założyła je i udała, że obserwuje przejście między fotelami. Autobusem jechały trzy psy i para kotów. Na przedzie dwaj elegancko ubrani Azjaci wybierali pałeczkami jedzenie z kartonowych pudełek.

Dziewczyna też otworzyła plecak i wyjęła grzechotnika. Pięknego grzechotnika. Jego łuski wyglądały jak wyłożona różnokolorowymi płytkami ulica, widziana z bardzo wysoka. Poruszył się lekko, czując ciepło ciała.

— Zaraz się napierzesz — powiedział chłopiec.

— Nie napiorę się. Wężuś nie jest naładowany.

— No to go nie ładuj. Zawsze, kiedy się kłócimy, w końcu chodzisz naprana. Jakby mogło to cokolwiek załatwić. — Ze swego plecaka chłopiec wyjął emaliowany grzebień i przeczesał nerwowo długie kręcone włosy. — A poza tym w Stuttgarcie ten wąż wyglądałby cholernie głupio. W Stuttgarcie po prostu nie znają grzechotników.

— Moglibyśmy pojechać do Pragi. Moglibyśmy pojechać do Mediolanu. — Dziewczyna bawiła się grzechotką węża, jakby mogła w ten sposób uśmierzyć niepokój. — Tu, w Bay, nic się nie dzieje. Nigdy nie działo i nigdy nie będzie dziać. Kochanie, czuję się fatalnie. — Puściła węża i szarpnęła kosmyk tłustych ciemnych włosów. — Kiedy czuję się fatalnie, nie mogę pracować. Przecież wiesz, że nie mogę pracować, kiedy czuję się fatalnie.

— Ciekawe, co będę musiał zrobić, jeśli poczujesz się fatalnie w Europie.

— W Europie nigdy nie poczuję się fatalnie.

— Jasne.

— Pewnie myślisz, że sama nie wiem, czego chcę — powiedziała gniewnie dziewczyna. — To zawsze był twój problem.

— Nie wiesz, czego chcesz, i nigdy nie wiedziałaś. A w ogóle to mam w nosie, czego chcesz — stwierdził po prostu chłopak.

— Nienawidzę cię — oznajmiła dziewczyna, chowając grzechotnika do plecaka.

— Powinniście pojechać do Europy — powiedziała głośno Mia.

Chłopak i dziewczyna spojrzeli na nią zaskoczeni.

— Co? — spytała dziewczyna.

— Powinniście pojechać do Europy. Nic wam nie stoi na

przeszkodzie. — Serce Mii zatrzymało się na chwilę, a potem wystartowało w wyścigowym tempie. — Jesteście młodzi, macie przed sobą mnóstwo czasu. Jedźcie do Europy na pięć tygodni. Pięć miesięcy. Pięć lat. Pięć lat to mniej niż nic. Powinniście razem pojechać do Europy. Atmosfera między wami z pewnością by się tam oczyściła.

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się chłopiec — ale czy prosiliśmy panią o radę?

Mia zdjęła okulary. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Zostaw ją w spokoju. — Dziewczyna wpadła chłopakowi w słowo.

— Nie ma na co czekać — mówiła dalej Mia. — Jeśli czeka się zbyt długo, to za wiele się wie. I wtedy wszystko jest zawsze takie same, niezależnie od tego, dokąd się pojedzie.

Rozpłakała się.

— Wspaniale — skomentował to chłopiec. Wstał, chwytając ręką za bambusowy pręt fotela. — Chodź, wysiadamy.

Dziewczyna nie poruszyła się.

— Dlaczego? — spytała.

— Wysiadamy. Ona dostała jakiegoś ataku, nie widzisz? To nie nasz problem. Mamy wystarczająco wiele problemów.

— Kiedy jest się takim młodym, nie ma się problemów — powiedziała Mia. — Teraz możecie jeszcze ryzykować. Macie wiele energii i jesteście wolni. Śmiało, zaryzykujcie. Zabierz ją do Europy.

Chłopiec patrzył na nią zdumiony.

— Czy ja wyglądam na kogoś, kto przyjmuje porady zawodowe od obcej starej kobiety płaczącej w autobusie? — spytał.

— Wyglądasz na kogoś… przypominasz mi kogoś, kogo znałam bardzo dawno temu — odpowiedziała Mia. Głos jej drżał. Kanaliki łzowe bolały ją strasznie, szczypały aż po nos.

— Chętnie udziela pani rad innym ludziom. Kiedy to ostatni raz poniosła pani jakieś ryzyko?

Mia wytarła obolałe oczy. Pociągnęła nosem.

— Teraz właśnie ponoszę ryzyko — odparła.

— Jasne, straszne ryzyko! — zakpił chłopak. — Jakby jakiś gerontokrata wiele ryzykował, nabijając się z nas, młodych. Niech pani na siebie popatrzy. Ma pani karetki czekające tylko na wezwanie, okrągłą dobę. Ma pani dla siebie cały świat. A my, co mamy? — Popatrzył na nią wściekły. — Wie pani, może i mam zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale moje życie wydaje mi się takie prawdziwe i tak cenne jak pani życie! Prawdziwsze niż pani życie. Czy pani myśli, że jestem głupi… tylko dlatego, że jestem młody? Nie wie pani nic, a chce nam pani dawać rady? Nie wie pani nic o nas, o naszym życiu, o naszej sytuacji, o niczym. Pani po prostu potraktowała nas z góry!

— Nie, to nie tak — wtrąciła się dziewczyna.

— Pani nas lekceważy!

— Nie, to nie tak. Spójrz, ona płacze, ona naprawdę myśli to, co powiedziała.

— Zachowała się pani niepoważnie i impertynencko.

— Przestań obrażać tę miłą starszą panią. Ma całkowitą rację we wszystkim, co powiedziała.

Autobus zatrzymał się na przystanku.

— Wysiadam — zdecydował chłopak. — Nie podoba mi się, kiedy starsi ludzie negują wartość moich doświadczeń.

— Proszę, uciekaj, doskonale — powiedziała dziewczyna, opadając na siedzenie i splatając ręce na kolanach. Chłopca to zaskoczyło. Zaczerwienił się mocno. Przewiesił plecak przez ramię i prawie wybiegł z autobusu. Ciężkie buty załomotały na stopniach.

Autobus ruszył.

— Bardzo mi przykro — powiedziała pokornie Mia.

— Nie ma powodu — zapewniła ją dziewczyna. — Nienawidzę go. On mnie przytłacza. Myśli, że może mi dyktować, co mam robić.

Mia milczała.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Wystarczy przespać się z facetem dwa razy, a już myśli, że może dyktować, co mam robić — dodała.

Mia podniosła na nią wzrok.

— Ile masz lat? — spytała.

Dziewczyna dumnie uniosła głowę.

— Dziewiętnaście — oznajmiła.

— Jak się nazywasz?

— Brett — powiedziała. Kłamała. — A pani?

— Mia.

Brett przesiadła się na miejsce obok niej.

— Miło cię poznać, Mio.

— I nawzajem, Brett.

— Jadę do Europy — zdecydowała Brett i znów zabrała się za przeszukiwanie plecaka. — Prawdopodobnie do Stuttgartu. To prawdziwa stolica sztuki, stolica całego świata. Byłaś kiedyś w Stuttgarcie?

— Kilka razy podróżowałam do Europy. Ale nie ostatnio.

— A byłaś w Stuttgarcie po przebudowie?

— Nie.

— A byłaś kiedyś w Indianapolis?

— Teleprezencją. Raz. Indianapolis wydaje się teraz dość niepokojące.

Dziewczyna podała Mii pogniecioną papierową chusteczkę, wyjętą z plecaka. Mia przyjęła ją z wdzięcznością i natychmiast

wydmuchała nos. Kanaliki łzowe wyszły najwyraźniej z wprawy; bolały ją, jakby były poparzone.

Brett przyglądała się jej z nie ukrywaną ciekawością.

— Niewiele miałaś ostatnio kontaktów z ludźmi, prawda, Mayu?

— Nie. Chyba rzeczywiście niewiele.

— Chcesz przyłączyć się do mnie na trochę? Może mogłabym ci pokazać kilka interesujących rzeczy. Pasuje ci?

Mia była zaskoczona, nawet wzruszona. Nie sama propozycja sprawiła jej przyjemność, ale to, że dziewczyna starała się być dla niej miła.

— Oczywiście, bardzo chętnie.

Na następnym przystanku wysiadły z autobusu. Poszły razem Filmore. Ulica ta była bardzo zadrzewiona. Żyrafa metodycznie przystrzygała drzewa. Mia nie wątpiła, że jest ona absolutnie niegroźna, niemniej jednak było to największe zwierzę jakie do tej pory widziała na wolności w San Francisco. Całkiem egzotyczne zwierzę. Ktoś w radzie miejskiej aż tryskał dobrymi pomysłami.

Brett przez pewien czas wlokła się po prostu obok niej, ale potem ruszyła bardziej zdecydowanym krokiem.

— Maszerujesz całkiem szybko — zauważyła. — Ile właściwie masz lat?

— Niedługo będzie setka.

— Nie wyglądasz na sto lat. Musisz być bardzo sprytna.

— Jestem po prostu rozsądna.

— A masz artretyzm, puszczają ci zwieracze, albo cierpisz jakieś inne dziwne skutki uboczne?

— Mam problemy z nerwem błędnym. W nocy czasami łapią mnie kurcze. I cierpię na astygmatyzm. — Mia uśmiechnęła się. Całkiem interesujący temat. Pamiętała czasy, gdy obcy sobie ludzie prowadzili grzeczne rozmowy o pogodzie.

— A masz mężczyznę?

— Nie.

— Dlaczego?

— Przez wiele lat byłam mężatką. Potem ten aspekt życia nie wydawał mi się już szczególnie ważny.

— A jaki aspekt życia wydaje ci się teraz szczególnie ważny?

— Odpowiedzialność.

— Mało fascynujący temat.

— Zgadza się, nie jest fascynujący, tylko że jeśli ktoś nie jest odpowiedzialny, to nie może troszczyć się o siebie we właściwy sposób. Człowiek choruje i ciało się rozpada. — Ten banał wydał się jej napuszony, bezsensowny, a nawet nieco obrzydliwy, zwłaszcza że wygłoszony został do osoby tak młodej. — Kiedy żyje się bardzo długo — mówiła dalej Mia, starannie dobierając słowa — wszystko

ulega zmianie. Cała struktura świata, polityka, pieniądze, religia, kultura, wszystko, co uważało się za rzeczy ludzkie. W zamian człowiek staje się odpowiedzialny, bo te zmiany zaszły dla niego i przez niego. Trzeba ciężko pracować, żeby ugoda jakoś się utrzymała. Niełatwo być dobrym obywatelem. To ciężka praca.

— Jasne. — Brett roześmiała się. — O tym jakoś nie pomyślałam.

Poprowadziła ją do centrum handlowego — skupiska małych sklepików niedaleko Haight. Panował tu spory tłok; ludzie grzali ławki, oglądali wystawy, popijali nalewki w kawiarni. Dwaj policjanci w różowych kurtkach mundurowych, siedząc okrakiem na rowerach, obserwowali ulicę. Po raz pierwszy od wielu lat Mia ściągnęła na siebie podejrzliwe spojrzenie funkcjonariusza policji. Z powodu towarzystwa, w jakim się znalazła.

— Znasz tę część miasta? — spytała ją dziewczyna.

— Oczywiście. Widzisz ten sklep dla kolekcjonerów? Sprzedają w nim różne drobiazgi związane ze starymi środkami przekazu. Kupuję u nich czasami papierowe opakowania.

— Oo? — zdziwiła się Brett. — Zawsze się zastanawiałam, kto też zagląda do takiej niesamowitej starej dziury…

Zanurkowała do ciemnego, małego sklepiku, niemal dziury w ścianie wyposażonej w drewniane drzwi. Sprzedawano tu dywaniki, koce, tanią biżuterię. Mia nigdy w życiu nie była w tym sklepie. Pachniało w nim mocno rozpyloną w powietrzu wanilią, prawie można się było udusić. Ściany gęsto porastał ciemnozielony mech. Na kontuarze spało pasiaste kocisko, rozwalone niedbale na szkle. W zasięgu wzroku nie było żadnego człowieka. Brett skierowała się natychmiast ku upchniętym w kącie wieszakom z ubraniami.

— Chodź, zobacz! — zawołała. — Widzisz moje dzieło?

— To wszystko twoje rzeczy?

— Nie, skąd, nie wszystko na tym wieszaku — powiedziała Brett, zgrabnie przesuwając ubrania. — Ale to mój projekt, i to, i to, o tam! To znaczy, ja projektuję, a Griff urzeczywistnia. — Na gładkim czole dziewczyny pojawiła się zmarszczka. Mia domyśliła się, że Griff to ów nieposłuszny przyjaciel. — Taki starszy człowiek, pan Quiroga, jest właścicielem. Mamy z nim układ. Sprzedaje nasze rzeczy.

— Bardzo interesujące projekty — powiedziała Mia. Rzeczywiście, projekty były bardzo… szczególne.

— Naprawdę ci się podobają?

— Ależ oczywiście.

Mia zdjęła z wieszaka kurtkę, wykonaną z grubego czerwonego plastyku, w dotyku przypominającego coś pośredniego między skórą, płótnem i cukierkiem z żelatyny, takim do żucia. Kurtka była przede wszystkim czerwona, na łokciach, karku i ściągaczu widniały jednak duże, ciemnoniebieskie łaty. Wyposażona była w wielkie, obszerne

kieszenie zapinane na guziki oraz w wodoszczelny czerwony kaptur, wciśnięty w gruby, rozpinany kołnierz.

— Widzisz, jak dobrze trzyma kształt? — chwaliła się Brett. — I niepotrzebne jej do tego żadne baterie. Najważniejszy jest krój i materiał. Oraz moduł Younga, do włókna.

— Z czego jest zrobiona?

— Elastomery i polimery. I trochę ceramiki w miejscach szczególnie podatnych na starcie. Widzisz, to praktyczny strój na ulicę, na każdą pogodę, idealny do podróży. Przymierz ją!

Mia wsunęła ręce w wypchane rękawy. Brett zajęła się układaniem kurtki na jej ramionach, po czym zapięła ją pod szyją.

— Pasuje jak ulał — stwierdziła, lecz kurtka z całą pewnością nie pasowała. Mia miała wrażenie, że wsadzono ją w gigantyczny tort owocowy.

Podeszła do wysokiego, wąskiego lustra wiszącego w innym kącie sklepu. Zobaczyła w nim osobę zupełnie sobie obcą, wciśniętą w nieprawdopodobnie krzykliwy strój. Maya — Dziewczyna z Reklamy. Włożyła okulary przeciwsłoneczne. W okularach i przy wystarczająco złym świetle sprawiała wrażenie niemal młodej, bardzo zmęczonej, tęgiej, chorej kobiety w śmiesznej kurtce dla dzieci. Oraz w nieprawdopodobnie dorosłych, konserwatywnych butach i spodniach.

Wsunęła palce we włosy, potrząsnęła głową i zburzyła fryzurę.

— Tak lepiej — powiedziała, patrząc w lustro. Zaskoczona Brett roześmiała się. — Jaka piękna kurtka. Co jeszcze byłoby mi potrzebne?

— Lepsze buty — stwierdziła z powagą dziewczyna. — Spódnica. Długie kolczyki. Zrezygnuj z torebki, plecak jest lepszy. I przydałaby się prawdziwa szminka, a nie to lecznicze coś-tam dla babuni. Lakier do paznokci. Spinki do włosów. Naszyjniki. Nie noś gorsetu ani biustonosza, jeśli możesz sobie na to pozwolić. A już na pewno nie wolno nosić zegarka. — Zastanawiała się przez chwilę. — I kołysz się bardziej, kiedy idziesz. Niech to będzie chód!

— Chyba jednak sporo mi brakuje.

Brett wzruszyła ramionami.

— Jak się chce wyglądać żywo, to ważne jest, czego się nie ma i czego się nie musi mieć.

— Kości policzkowe nie pozwalają mi już prowadzić takiego życia — wyjaśniła Mia. — Mówię za wolno. I gestykuluję mało energicznie. I nie chichoczę. Po każdej próbie tańca całe ciało mam obolałe przez tydzień.

— Nie musisz tańczyć. Mogę sprawić, że będziesz wyglądała bardzo żywo, jeśli tylko mi na to pozwolisz. Jestem w tym naprawdę dobra. Mam talent. Wszyscy mi to mówią.

— Nie wątpię, że dla ciebie to żaden problem, Brett. Tylko

dlaczego właściwie miałabym tego chcieć?

Brett sprawiała wrażenie załamanej. Mia poczuła się winna temu, że ją rozczarowała — zupełnie tak, jakby z premedytacją uderzyła idące ulicą małe dziecko.

— Chcę kupić tę kurtkę — powiedziała. — Bardzo mi się podoba. Chcę ją od ciebie kupić.

— Naprawdę? Nie żartujesz?

— Naprawdę. Nie żartuję.

— Możesz dać mi za nią trochę dorosłych pieniędzy?

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Chodzi mi o prawdziwe pieniądze z długoterminowego konta inwestycyjnego — wyjaśniła Brett. — Legalne pieniądze.

— Ale przecież fundusze z certyfikatem są przeznaczone tylko na specjalne transakcje! Przedłużanie życia, rynek akcji, emerytury, tego rodzaju rzeczy.

— Nie, to nie tak. Fundusze z certyfikatem to prawdziwy pieniądz prawdziwej ekonomii. To pieniądz, którego dzieciaki, takie jak Griff i ja, nigdy nie dostają do ręki. — Młode oczy Brett, cieple, bursztynowe, o białkach tak białych i czystych, że sprawiały niemal wrażenie sztucznych, zwęziły się podejrzliwie. — Nie musisz dawać mi dużej sumy prawdziwych pieniędzy. Będę szczęśliwa, jeśli dostanę choćby odrobinę zaświadczonych dorosłych pieniędzy.

— Zrobiłabym to z przyjemnością — odpowiedziała Mia — ale naprawdę nie wiem, jak. Mam oczywiście fundusze zaświadczone na moje nazwisko, ale są zablokowane na długoterminowych kontach inwestycji kapitałowych, tak zresztą powinno być. Nikt nie używa tego instrumentu finansowego do codziennego użytku, żeby na przykład kupić ubranie albo jedzenie. Co jest złego w dobrej karcie gotówkowej?

— Nie można założyć firmy z prawdziwego zdarzenia bez zaświadczonych funduszy — uświadomiła jej Brett. — Powstają wtedy różnego rodzaju problemy, ubezpieczenie, odpowiedzialność finansowa. To tylko część konspiracji mającej na celu utrzymanie młodych ludzi z dala od prawdziwego życia.

— Nie, wcale nie. W ten sposób zapewniamy gospodarce finansową stabilność i redukujemy płynność rynku kapitałowego. To naprawdę nudny, mało interesujący temat, Brett, ale tak się składa, że jestem ekonomistką medyczną i wiem o tych sprawach całkiem sporo. Gdybyś była świadkiem tego, jak kształtował się rynek w latach dwudziestych, czterdziestych, albo nawet sześćdziesiątych, w pełni doceniłabyś współczesne, oparte na upływie czasu, restrykcje w ruchach kapitału. Bardzo nam pomogły, i życie teraz jest znacznie bardziej przewidywalne. Cała struktura kompleksu medyczno-przemysłowego zależy od stabilnych procedur grantów i postępującej

redukcji płynności.

Brett tylko wzruszyła ramionami.

— Dobrze już, dobrze, dajmy sobie z tym spokój. Wiedziałam, że ich od ciebie nie dostanę, ale musiałam zapytać, no nie? Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie wściekła?

— Nie, wszystko w porządku. Nie jestem wściekła.

Dziewczyna rozejrzała się po sklepie. Lśniące wargi zacisnęła w cynicznym grymasie.

— Pana Quirogi oczywiście nie ma. Prawdopodobnie zajmuje się pomocą obywatelską. Podobno prowadzi ten sklepik, ale zawsze, gdy jest potrzebny, przebywa gdzie indziej… prawdopodobnie zarabia punkty preferencyjne, szpiegując nas, młodych… dasz mi za to piętnaście marek? Gotówką?

Mia wyjęła z torebki minibank, przelała piętnaście jednostek rynkowych na kartę okazicielską i wręczyła ją dziewczynie.

Brett ostrożnie włożyła kartę do kieszeni plecaka, a potem usunęła ledwie widoczną plakietkę z rękawa czerwonej kurtki. Przepchnęła ją pod śpiącym kotem, który miauknął raz, bez większego zainteresowania.

— No, to dziękuję ci bardzo, Mayu. Griff się ucieszy, kiedy mu powiem, że coś sprzedałam. To znaczy, jeśli kiedykolwiek jeszcze spotkam się z Griffem.

— A spotkasz się z nim?

— Och, z pewnością będzie mnie szukał. Zacznie gadkę, będzie przepraszał i w ogóle, ale co on tam wart. Jest mądry, ale głupi… rozumiesz, co mam na myśli? Nigdy niczego nie dokona. Nigdy nigdzie nie pojedzie. — Zaczęła się niecierpliwić. — Chodźmy już.

Wyszły z centrum na Pierce Street. Policyjny pekińczyk w różowej obróżce biegł truchcikiem ze wzgórza w dół, naprzeciw nich. Brett znieruchomiała. Stała wpatrzona w małego pieska z tępą lecz niezmierzoną nienawiścią. Kiedy ich minął, ruszyła dalej.

— Mogłabym wylecieć dziś — powiedziała, swobodnie poruszając ukrytymi pod poncho młodymi, doskonale funkcjonującymi ramionami. — Po prostu wejść na pokład samolotu do Stuttgartu. No, może niekoniecznie do Stuttgartu, bo na samoloty do Stuttgartu zawsze jest komplet, ale mogłabym polecieć gdzieś, do Europy. Na przykład do Warszawy. Samoloty niczym się nie różnią od autobusów. Nikt nie sprawdza, czy zapłaciłaś za podróż.

— Przecież to nieuczciwe — zdziwiła się Mia.

— Nic mi nie będzie! Kiedy człowiek ma mocne nerwy, na gapę podróżuje się całkiem łatwo.

— A co by pomyśleli twoi rodzice?

Brett tylko zaśmiała się chrapliwie.

— W Stuttgarcie nie robiłabym sobie żadnych badań medycznych.

W Europie zeszłabym głęboko do podziemia. Nie robiłabym sobie żadnych badań, póki nie wróciłabym do Stanów. Nie zostawiłabym po sobie żadnych medycznych akt. Nikt by mnie nigdy nie znalazł. Mogłabym złapać wieczorny samolot. Nikogo by to nie obeszło.

Szły pod górę. Mię zaczynały boleć łydki.

— Trudno byłoby zrobić ci w Europie cokolwiek bez pozostawienia śladu w oficjalnych dokumentach.

— Przecież ludzie podróżują tak bez przerwy! Jeśli nie wyglądasz na ważniaka, wszystko ujdzie ci na sucho.

— A co sądzi o tym Griff?

— Griff nie ma wyobraźni.

— No… a jeśli będzie cię szukał?

Twarz Brett zachmurzyła się wyraźnie.

— Ten mężczyzna, którego znałaś, ten twój kochanek. Czy on naprawdę aż tak przypominał Griffa?

— Może.

— Co się z nim stało?

— Pogrzebali go dziś rano.

— Och…! — jęknęła Brett. — Coś mi świta w głowie. — Delikatnie dotknęła ukrytego pod wypchanym rękawem kurtki ramienia Mii. — Teraz wreszcie wszystko pojęłam. Strasznie mi przykro.

— Nic się nie stało.

Przez chwilę szły obok siebie w milczeniu. Mia oddychała z trudem. Nagle Brett powiedziała:

— Założę się, że w głębi serca kochałaś go sekretnie aż do końca, prawda?

— Wiem, że tak byłoby znacznie romantyczniej, ale w życiu zwykle bywa inaczej — odparła Mia. — W każdym razie, w moim życiu. Nie kochałam go nawet w połowie tak bardzo, jak potem innego mężczyznę, o którym już prawie nie myślę. Choć byłam jego żoną przez pięćdziesiąt lat.

— Nie, nie, nie — zaprzeczyła jej radośnie Brett. — Założę się o wszystko co mam, że na Sylwestra bierzesz mnemoniki, pijesz alkohol, myślisz o swoim przyjacielu i płaczesz.

— Alkohol to trucizna. Mnemoniki nie są warte problemów, które tworzą. A tak w ogóle, to młode kobiety zawsze myślą, że te stare zachowują się w ten sposób. Postludzkie kobiety są całkiem inne. Nie jesteśmy smutne i pogrążone we wspomnieniach. Prawdziwie stare kobiety, które nadal cieszą się dobrym zdrowiem i mają pod dostatkiem energii… cóż, jesteśmy po prostu inne. My… no, my to po prostu przezwyciężyłyśmy. — Przerwała na chwilę. — I prawdziwie starzy mężczyźni też, przynajmniej niektórzy…

— Nie udawaj, że jesteś taka zimna i że on wcale cię nie

obchodził. Przecież płakałaś w autobusie.

— Na litość Boską, ale nie po nim! Chodziło o sytuację. Chodziło mi o kondycję ludzką… postludzką… gdybym płakała, bo straciłam przyjaciela, wysiadłabym z autobusu z twoim przyjacielem, a nie została z tobą.

— Bardzo śmieszne! — Brett natychmiast jawnie okazała zazdrość. Przyspieszyła kroku, elastyczne podeszwy jej butów skrzypiały na chodniku.

— Nie miałam zamiaru sugerować, że mogłabym spróbować zabrać ci chłopca. — Mia starannie dobierała słowa. — Z pewnością jest bardzo przystojny, ale uwierz, mi, męska uroda nie jest tym, na czym zależy mi najbardziej.

Minęły skrzyżowanie z Divisadero.

— Wiem, dlaczego mówisz to wszystko akurat teraz — powiedziała tępo Brett. Przeszły w milczeniu jakieś pół przecznicy. — Jestem pewna, że chciałaś poprawić sobie samopoczucie, dając mi kilka mądrych dorosłych rad, kupując moją kurtkę, żebym miała trochę grosza i wróciła do Griffa, i żebyśmy pojechali do Europy, i w ogóle zachowywali się tak, jak według ciebie powinni zachowywać się młodzi kochankowie.

— Dlaczego jesteś taka podejrzliwa?

— Nie jestem podejrzliwa. Ale nie jestem też naiwna. Wiem, że masz mnie za małe dziecko, że według ciebie — dziewiętnaście lat — to znaczy małe dziecko. Nie jestem taka znowu dorosła, ale jestem kobietą. Prawdę mówiąc, jestem nawet niebezpieczną kobietą.

— Doprawdy?

— Tak. — Brett odrzuciła włosy z czoła. — Bo rozumiesz, mam zachcianki kolidujące z przyjętym *status quo*.

— Brzmi to bardzo poważnie.

— I zdarza mi się zadawać ludziom ból. Jeśli muszę. Nie przeszkadza mi to specjalnie. Czasami to im nawet dobrze robi. Poczuć odrobinę bólu. Przeżyć wstrząs. — Słodka młoda twarzyczka Brett przybrała bardzo szczególny wyraz. Po dłuższym namyśle Mia zorientowała się, że dziewczyna próbuje wyglądać jednocześnie kusząco i groźnie. Wyglądała prawie tak groźnie, jak śpiące w koszyczku kocię.

— Rozumiem — powiedziała.

— Jesteś bogata, Mayu?

— Można tak powiedzieć. W każdym razie jestem zamożna.

— W jaki sposób do tego doszłaś?

— Stałe dochody, niewielkie wydatki, kumulujące się procenty i długie lata cierpliwego oczekiwania. — Mia roześmiała się. — Dzięki temu, nawet kamień może stać się zamożny.

— Tylko tyle? I to wystarczyło?

— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Najgorsze są niewielkie wydatki. W sumie nietrudno zarobić pieniądze. Trudno jest nie wydawać pieniędzy, kiedy trochę ich już masz.

— Mieszkasz w wielkim domu, prawda?

— Mam mieszkanie na Parnassusie. Obok centrum medycznego. Całkiem niedaleko stąd.

— To duże mieszkanie?

Mia zastanawiała się przez chwilę.

— Chcesz się u mnie przespać, prawda? — spytała w końcu. — Do tego zmierzasz?

— A mogę, Mayu? Zabierzesz mnie do siebie? Mogę spać na podłodze, naprawdę, jestem do tego przyzwyczajona. Bo rozumiesz, nie chcę zatrzymać się tam, gdzie mógłby mnie znaleźć Griff. Chcę sobie wszystko przemyśleć, sama. Proszę, zgódź się, to by mi naprawdę pomogło.

Mia zastanawiała się przez chwilę. Sytuacja nie wyglądała na najbezpieczniejszą, ale myśl o niebezpieczeństwie jakoś wcale jej nie przerażała. Osiągnęła tak niezwykły kontakt z tą dziewczyną, tak przedziwny stopień porozumienia, że wolała nie zrywać z nią kontaktu, pod tym względem była nawet nieco przesądna. Nie była pewna, czy lubi Brett, tak jak nie wiedziała, czy polubiłaby samą siebie w wieku lat dziewiętnastu. Jednak, mimo wszystko, toż to dziewiętnastolatka! Prawdziwy ból sprawiała jej myśl o odmówieniu prośbie dziewiętnastolatki.

— Jesteś głodna, Brett? — spytała.

— Coś bym zjadła. — Brett wyraźnie poweselała.

* * *

— Tak tu porządnie i czysto — zauważyła dziewczyna, przemierzając gościnny pokój mieszkania Mii niemal na paluszkach. — Czy zawsze tak to wygląda?

Mia robiła coś w kuchni. Nigdy nie była osobą porządną z natury, lecz zwyczaj robienia wokół siebie bałaganu opuścił ją gdzieś około siedemdziesiątki. Wyrosła po prostu z bałaganiarstwa, tak jak dzieci wyrastają z pieluch. Potem już zawsze słała łóżko, zawsze myła naczynia, zawsze zbierała rozrzucone przedmioty i porządnie odkładała je na miejsce. W ten sposób żyło się łatwiej, traciła mniej czasu i w ogóle wydawało się jej to znacznie bardziej sensowne. Śmiecie i bałagan nie odprężały jej już, nie dawały poczucia wolności, nie sugerowały spontaniczności. Nauka sprzątania po sobie zajęła jej

siedemdziesiąt lat, ale kiedy opanowała już tę umiejętność, życie takie jak dawniej stało się niemożliwe.

Nie było prostego sposobu na wytłumaczenie Brett czegoś takiego. Głębia takiej zmiany osobowości w żaden sposób nie wydałaby się naturalna dziewiętnastolatce. Powiedzenie półprawdy było wyjściem znacznie prostszym.

— Kobieta z pomocy obywatelskiej sprząta u mnie dwa razy w tygodniu.

— Raaany, to musi być straszne. — Brett wpatrywała się w jakiś kawałek papieru. — A co to takiego?

— Część mojej kolekcji. Opakowanie dwudziestowiecznej gry komputerowej.

— Co? To srebrne wielkie coś z kłami i muskułami, i te wszystkie wojenne machiny?

Mia skinęła głową.

— Był to rodzaj wirtualności, ale płaski, powolny i podawany w szklanym pudełku.

— Dlaczego właściwie zbierasz te rzeczy?

— Bo mi się podobają.

Brett odniosła się do tego sceptycznie. Mia uśmiechnęła się.

— Kiedy one naprawdę mi się podobają — powiedziała. — Podoba mi się, że są takie niekonsekwentne, że udają szczyt techniki i najwyższe osiągnięcie w programowaniu, a w rzeczywistości są prymitywne, gwałtowne i trochę obrzydliwe. Produkcja i marketing były drogie, ponieważ wówczas imponowało się ludziom, wydając dużo pieniędzy. Nadal jednak wyglądają na niezdarne, niedorobione. Istniały tysiące kopii tych gier, a teraz nikt już o nich nie pamięta. Podobają mi się, bo niewielu ludzi interesuje się dziś takim kiczem, ale ja, owszem. Kiedy patrzę na to zdjęcie i myślę o nim, skąd pochodzi, co oznacza, no… potem zawsze czuję się jakoś bardziej sobą.

— Czy to pudełko jest dużo warte? Bo wygląda okropnie.

— Byłoby coś warte, gdyby w środku znajdowała się gra. Żyje jeszcze parę osób, które w nią grały, gdy były dziećmi. Niektóre z nich to fanatyczni wielbiciele antyków. Ci ludzie mają stare komputery, dyskietki, cartridge, monitory z kineskopami, dosłownie wszystko. Znają się z sieci, sprzedają sobie gry nadal fabrycznie zapakowane. Bogaci kolekcjonerzy kupują je za spore sumy. Ale sama papierowa okładka? Nie. Papier niewiele już dziś znaczy.

— A ty nie grasz?

— O mój Boże, oczywiście że nie gram. Naprawdę trudno je uruchomić, a poza tym te gry są wstrętne.

Jadły wysokopektynowy makaron z kostkami białek w sosie oraz płatki warzywnych węglowodanów.

— Doskonałe — orzekła Brett, zmiatając wszystko z talerza. — Nie wiem, czemu niektórzy ludzie skarżą się na diety medyczne. Takie, jak ty je przyrządziłaś, jedzenie jest wspaniałe. Co za bogactwo i subtelność smaków! Rośliny i zwierzęta ani się do tego umywają.

— Dziękuję.

— Do piątego roku życia jadłam wyłącznie odżywki dla dzieci — pochwaliła się Brett. — Jako dziecko byłam silna jak koń, nie przechorowałam nawet jednego dnia. Robiłam pompki, mogłam biegać cały dzień. Bez problemu biłam dzieci, które piły, na przykład mleko, i jadły warzywa. Boże, dawanie dzieciom warzyw powinno być karane jako przestępstwo. Jadasz warzywa?

— Nie, od co najmniej pięćdziesięciu lat. I rzeczywiście, sądzę, że dawanie warzyw dzieciom powinno być dziś traktowane jako przestępstwo, szczególnie tu, w Kalifornii.

— Prawda, że są wstrętne? Zwłaszcza szpinak. I kukurydza, te wielkie żółte kolby pełne małych nasionek… — Brett aż zatrzęsła się z obrzydzenia.

— A jajka? Jadasz je? To doskonałe źródło cholesterolu.

— Naprawdę? No nie wiem, mogłabym chyba zjeść jajko, gdybym znalazła je w jakimś gnieździe. — Dziewczyna uśmiechnęła się błogo, odsuwając na bok pusty talerz. — Jesteś naprawdę świetną kucharką, Mayu. Żałuję, że nie potrafię gotować. Już lepiej mi idzie z nalewkami. Masz pewnie ogromną łazienkę, prawda? Jak sądzisz, mogłabym wziąć kąpiel? Czy to by było w porządku?

— A dlaczego nie?

— Bo pewnie będziesz musiała po mnie zdezynfekować wannę.

— Aha. No, ale jestem przecież bardzo nowoczesna. Jakoś sobie poradzę.

— Ach, to świetnie.

Podczas gdy Brett się kąpała, Mia zebrała jej rozrzucone ubranie, dla higieny wyprażyła je w mikrofalówce, a potem uprała i wysuszyła. Buty na elastycznych podeszwach sprawiały wrażenie, jakby podczas sterylizacji mogły stopić się albo wybuchnąć, więc zostawiła je w spokoju, mimo że wydzielały bardzo silny zapach. Tak naprawdę to nie był on odstręczający, ale jednak świadczył o tym, że nagie ludzkie stopy tkwiły w nich od bardzo długiego czasu, w miłym ciepełku i wilgoci, hodując mnóstwo różnych symbiotycznych bakterii.

Brett wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem.

— Pewnie będziesz chciała go wysterylizować — powiedziała z wyraźnie słyszalnym poczuciem winy, wręczając go Mii.

Dziewczyna była mocno owłosiona: pod pachami, na łonie, wokół sutek piersi. Włosy te sprawiały niemal wrażenie „minimalnej bielizny", co wywoływało dziwny efekt praktycznej skromności. Usiadła, naga i włochata, na pokrytej wykładziną podłodze i,

najwyraźniej trochę skrępowana, zaczęła grzebać w plecaku.

— Świetnie się czuję — stwierdziła. — Kanalizacja działa wspaniale. Od czterech tygodni śpię w namiocie.

— Naprawdę, w namiocie? Jakie to podniecające.

— Tak, najczęściej pod drzewami Buena Vista Park. A w ogóle to głównie na drzewach, w hamaku. Mam stamtąd wspaniały widok na miasto. Używamy toalet publicznych, jemy z kartonów, w ten sposób żyje się bardzo tanio. Chociaż teraz jest już trochę za zimno na namioty.

— A czy to bezpieczne?

Brett wzruszyła ramionami.

— Przecież jesteśmy w San Francisco. Połowa ludności żyje z pomocy obywatelskiej. Nikt się nikogo nie czepia. Co mi mogą zrobić, obrabować? Wszystkie moje ciuchy są w sklepach, wszystkie moje projekty są wirtualne. — Z kieszonki plecaka wyjęła małą plastykową fiolkę, z plecaka zaś grzechotnika.

Rozwarła białe szczęki rozleniwionego zwierzęcia, po czym, jeden po drugim, przycisnęła jego zęby jadowe do dziurki w elastycznej zatyczce fiolki. Następnie nacisnęła kciukiem wklęsły, luskowaty łeb. Naładowawszy węża, schowała go z powrotem do plecaka. Wyjęła metalowy pojemnik. Zdjęła z niego pokrywkę. Z pojemnika wyjęła nasączony czymś wacik i zaczęła uważnie smarować ciało między palcami stóp.

— Maść do stóp — wyjaśniła. — Żywe bakterie, ale się nie rozmnażają. Żżerają po prostu brud, pot i w ogóle, tak że człowiek nie nosi na sobie obcej flory.

— Sprytne.

— No. Żeby biwakować, jak my, trzeba to umieć, rozumiesz? Nie można po prostu rzucić wszystkiego i zacząć sypiać pod drzewami i mostami. Wiedza na ten temat to rodzaj nauki. A nawet sztuczka.

Dziewczyna przesunęła kulką dozownika po włochatych pachach.

— A gdzie trzymasz zapasowe ubranie?

To pytanie zaskoczyło dziewczynę.

— Jestem zawodowcem! — powiedziała. — Urzeczawiam sobie nowe ubranie, gdy jest mi potrzebne.

Wyjęła komórkowy netlink, przejrzała się w jego małym, otwieranym ekraniku i zaczęła wyskubywać włoski z brwi. Mia umyła tymczasem naczynia.

— Deser? — spytała.

— Nie, dziękuję.

— Chcesz coś do ubrania? Mogę ci pożyczyć.

— Nie, nie przejmuj się. Ciepło tu, nic mi nie będzie.

— Chcesz nalewkę?

— A możesz zrobić gorącą czekoladę?

— Jasne. Kakao to fajna zabawa.

Mia wyjęła zestaw do nalewek i zaczęła rekonfigurować katalizatory i syntetyzery. Cienkie rurki bursztynowego poliwinylu i stopu stali. Pozłacane nakrętki. Emaliowane złączki. Ekrany osmozy. Grzałki, napinacze, przezroczyste szklane komory chłodzące wypełnione wodą. Dokładna instrukcja. Dawało to zajęcie rękom podczas rozmowy.

Tymczasem Brett wyjęła z plecaka węża i klepnęła go mocno w tył głowy. Rozwinął się natychmiast, grzechocząc gniewnie. Podstawiła mu prawe ramię. Bez wahania zatopił w nim kły. Oderwała go łagodnie i pogłaskała uspokajająco. Potem przemyła dwie małe ranki. Z jednej z nich wyciekał cienki strumyczek krwi.

— Uuuch — jęknęła.

— Co sobie zaaplikowałaś?

— Och, dziewczynie, która mi to dała, musiałam obiecać, że nigdy nikomu nie zdradzę tajemnicy — powiedziała Brett. — To coś sprawia, że czuję się bezpiecznie i ciepło, kiedy nocuję w nowym miejscu. To bardzo miłe uczucie, ale środek nie jest dla mnie dobry. Dlatego aplikuję go tak, żeby za każdym razem trochę bolało. Jeśli robisz coś szkodliwego dla zdrowia, to na początku powinno cię choć trochę boleć, inaczej wpada się w tarapaty.

— Ugryzienie zwierzęcia to z pewnością duże ryzyko infekcji.

— Co? Brzydkie ciepłokrwiste zarazki z czystego zimnokrwistego pyska? Nie sądzę, by istniało jakieś ryzyko. Wężuś jest bardzo szybki. I czysty. Noszę w plecaku przyjaciela. — Brett zamrugała. Oczy same się jej zamykały. Uśmiechnęła się.

Wypiła kakao i po chwili już spała.

Mia okryła ją kocem i położyła się w swym wąskim łóżku. Odsunęła namiot tlenowy, przykryła się prześcieradłem i myślała. Nie były to wesołe myśli. Mała sypialnia wydawała się jej pusta i martwa, jak papierowa komora opuszczonego przez osy gniazda.

Przez cały dzień odsuwała od siebie myśli dotyczące pogrzebu, lecz teraz, w mroku i ciszy, poczuła smak śmierci, który delikatnie, osmotycznie, przenikał do jej umysłu. Z bezlitosną, całkowicie przytomną dokładnością rozważała kolejne objawy procesu starzenia się, nieograniczoną w swym naturalnym bogactwie drogę organicznego rozpadu.

Skrzepy w arteriach. Kostnienie chrząstek. Złoża minerałów, twarde jak kamień, formujące się w woreczku żółciowym, wątrobie, tętnicach. Twardniejące paznokcie, pękająca skóra, rzedniejące, siwiejące, coraz bardziej kruche włosy. Ciemniejące sutki, obwisłe piersi, coraz węższe naczynia, puchnące gruczoły. Układ moczowo-płciowy, sprytny handelek ewolucji — płodność za śmierć — bezustannie wyprowadzany z równowagi. Złoża żywego, krwawego

szpiku umierające w jamach kości, zastępowane przez grube pokłady żółtego, nieaktywnego tłuszczu. Zanik ostrości widzenia, utrata słuchu na skutek degeneracji niezwykle skomplikowanej maszynerii ucha wewnętrznego. Stary gruczoł, który niegdyś był mózgiem, bezustannie zmieniający zasoby hormonów, aż w jego wężowych zakamarkach zbiorą się złoża trujących odpadów, tak trudne do zwalczenia jak dziecięce neurozy.

Mia nie była chora i z całą pewnością nie umierała, ale już bardzo dawno temu pożegnała się z młodością. Mózg utrzymywała w czystości, ale częste neurologiczne czyszczenia spowodowały poważne uszczerbki niektórych skrajnych nerwów, głównie kulszowego i porozciąganych nerwów nóg. Najgorzej było z nerwem błędnym. Jego słabość nie była zagrożeniem dla życia, lecz nierównomierne bicie serca, opuszczającego niektóre uderzenia, nie należało do przyjemności.

Naczynia włosowate były nieustannym źródłem kłopotów, uszkodzone i zatkane gromadzącymi się przez lata odpadami. W lewym uchu często jej dzwoniło, na prawe nie słyszała wysokich tonów. Płyn stawowy w kostkach palców i nadgarstków stracił wiele ze swej lepkości. Komórki ludzkich oczu nie odnawiają się, nic więc nie mogła poradzić na utratę ich rozciągliwości i wynikający z tego astygmatyzm.

A wszystko to pogłębiało się z powodu ciągłego napięcia. Młody człowiek dojrzewa dzięki stresowi, młodego człowieka stres uczy, ale gdy jesteś stary, stres to pierwszy krok ku starczemu zdziecinnieniu.

Nie mogła zasnąć. Nie była młoda. Obecność w domu młodej dziewczyny uświadomiła jej to bardzo dobitnie. Czuła witalność Brett. Słyszała jej lekki oddech i wyobrażała sobie, jak mocno i równo bije serce dziewczyny.

Brett była jak dzikie zwierzątko.

Mia wstała i podeszła do dziewczyny, by się jej przyjrzeć. Pogrążona w spokojnym, mocnym śnie Brett wysunęła się spod koca, osiągając jakiś pierwotny stan rozkosznego spokoju. Leżała na wzorzystej wykładzinie w pozie odaliski, pozie przesyconej ociężałym erotyzmem, jaki obecny jest tylko na dziewiętnastowiecznych obrazach mistrzów francuskich, tych o tematyce orientalnej. Zazdrość ukąsiła Mię jak jadowity wąż. Wróciła do łóżka, usiadła i zaczęła snuć pełne goryczy rozmyślania o cienkiej bibułce zdarzeń, którą nazywała życiem.

Zdrzemnęła się. O trzeciej nad ranem chwyciły ją skurcze, przez co jej noga skakała niczym nadziana na haczyk ryba. Mięśnie łydki były twarde jak kamień. Po krótkiej, ale okropnie nieprzyjemnej, chwili kolejny, jeszcze boleśniejszy skurcz ukąsił ją w lewą stopę. Palce wygięły się jak haczyki.

Mia krzyknęła z bólu i rozpaczy. Kostkami palców rąk zaczęła uderzać po twardych jak skała mięśniach. Ból rósł; energia żywego ciała obróciła się przeciw temu samemu ciału, gdyż nastąpiło chwilowe zwarcie. Winien był poziom potasu i przemiany katecholaminy, i jeszcze to, i tamto, same głupie nazwy, w rzeczywistości pozostawało wyłącznie cierpienie. Miała kurcze i cierpiała strasznie. Tłukła dłońmi zdradzieckie mięśnie; nagle, po jeszcze jednym spastycznym drgnieniu, mięsień łydki zwiotczał, był teraz gorący i przekrwiony. Masowała energicznie bladą, bezkrwistą stopę, jęcząc cicho. Ścięgna stopy i kostki zatrzeszczały; atak nie został jeszcze całkiem odparty; mimo masażu skurcz mógł wrócić lada chwila.

Kiedy wreszcie niebezpieczeństwo oddaliło się, zwalczone energicznymi zabiegami, Mia wstała; ubrana w nocną koszulę, kulejąc, rozpoczęła powolny, metodyczny spacer dookoła pokoju. Opierała się o ścianę obydwiema dłońmi, pochylona, rytmicznie naciągała ścięgno Achillesa. Sen wydawał się jej teraz tak odległy jak Stuttgart. Lewa noga sprawiała wrażenie nadpalonego sznurka.

W tych atakach skurczów nie było nic tajemniczego. Dokładnie wiedziała, skąd się biorą: niedobór potasu, zmęczenie materiału na odcinku lędźwiowym kręgosłupa, przenikanie histamin, wywołanych stresem, drogą somatyczną do naczyń niektórych kręgów kręgosłupa, zmiany w metabolizmie komórek… ale słowa te były tylko diagnozą. Skurcze powodował stres, lekka przesada z ćwiczeniami, natomiast co mniej więcej pięć tygodni pojawiały się same z siebie.

Prawda jednak była znacznie bardziej prosta i oczywista: Mia po prostu się zestarzała. Skurcze to tylko mniejsze zło. Ludzie starzeją się, cierpią na nowe dla siebie, dziwne dolegliwości, naprawiają to, co błyskawicznie się rozwijająca, kwitnąca technika pozwala im naprawić, a to, czego zmienić się nie uda, muszą po prostu ścierpieć. Do pewnego stopnia kurcze były nawet dobrym znakiem. Cierpiała na kurcze, ponieważ nadal mogła chodzić. Mia nie była przykuta do łóżka. Miała szczęście. Na tym musiała się skoncentrować — na szczęściu.

Wytarła spocone czoło rękawem nocnej koszuli. Kulejąc, weszła do frontowego pokoju. Brett spała smacznie. Leżała z głową na ramieniu, nieruchoma, spokojna. Na jej widok Mia doznała potężnego uczucia *déjà vu*.

W tym momencie cała jej pamięć skupiła się na jednym obrazie, żywym niczym ćma w pajęczynie, bijąca skrzydełkami wprost w jej serce. Pewnej nocy przyglądała się śpiącej córeczce. Chloe miała wtedy pięć, może sześć lat. Daniel był z nią, przy jej boku. Dziecko ich miłości spało słodko, bezpieczne i szczęśliwe pod ich skrzydłami.

Życie ludzi. Jej ludzkie życie. Noc nie różniąca się niczym

szczególnym od tysiąca innych nocy, lecz w tej jednej chwili zawarte było głębokie szczęście, uczucie jasne jak święty płomień. Choć oboje milczeli, wiedziała, że mąż czuje je także. Przytuliła go.

Była to chwila, której słowa nie są w stanie opisać, chwila w całości istniejąca poza czasem.

A teraz patrzyła na naćpaną, nagą dziewczynę śpiącą na jej dywanie, i ten święty czas powrócił do niej z całą swą siłą, dokładnie taki, jakim był; powrócił tym, czym był i czym miał pozostać na zawsze. Ta obca dziewczyna nie jest jej córką, obecna chwila w blisko stuletnim życiu Mii nie jest tamtą świętą chwilą, nie ma to jednak najmniejszego znaczenia. Święty płomień jest bardziej rzeczywisty niż czas, bardziej rzeczywisty od jakichkolwiek zewnętrznych okoliczności. Mia nie przeżywała zwykłej chwili szczęścia. Nie, Mia była szczęśliwa. Mia stała się szczęściem.

Ciepły płomień czystej radości rozpalił się wśród wystygłych popiołów. Jasny, ale pełen tajemniczych znaczeń. Żywy, piękny, bardziej autentyczny niż niemal wszystko, co zdarzyło się jej przeżyć do tej pory. To uczucie miało pozostać z nią do śmierci, z tym uczuciem będzie musiała uporać się, odchodząc. Było ono większe od niej samej. Czuła jego radość, rozpłomieniającą energią całe jej ciało. Żar i blask świętego płomienia oświetliły Mię i ogrzały nędzę jej własnego życia.

Niezależnie od tego, jak bardzo się na siebie uważa, życie jest zbyt krótkie. Życie zawsze będzie zbyt krótkie.

W nieruchomym powietrzu rozbrzmiał nagle głos wypowiadający jedno krótkie zdanie. Usłyszała ten glos, zrozumiała słowa, poznała ich niewzruszoną potęgę. Podjęła nagłą, nieświadomą, nieoczekiwaną, ale i nieodwołalną decyzję.

Tak dalej żyć nie mogę.

2

Biorąc pod uwagę ogrom, poziom technicznej komplikacji i wymiar osobistej troski, sieciowe doradztwo medyczne nie ma bezpośrednich przodków. Poważny zabieg przedłużenia życia to doświadczenie dorównujące znaczeniem dojrzewaniu, wybudowaniu rezydencji, lub wstąpieniu do wojska.

Kompleks medyczno-przemysłowy zdominował ekonomię naszej planety Biomedycyna ma nadal największy wskaźnik inwestycyjny i najwyższy procent innowacji technicznych pośród wszystkich przemysłów światowych. Biomedycyna znajduje się w kontrolowanym stanie nie kontrolowanego wrzenia, wydzielającego wystarczająco dużo energii, by napędzić nią całość kultury. Pod względem wydatków rządowych dawno prześcignęła resort transportu, siły prawa i porządku oraz to, co pozostało z przemysłu obronnego. W tym, co niegdyś nazywano sektorem prywatnym, biomedycyna wyprzedzała chemiosyntezę i tylko nieznacznie ustępowała całości przemysłu komputerowego. W przeróżnych związanych z nią działach pracowało piętnaście procent populacji świata. Same badania gerontologiczne biły na łeb rolnictwo.

Nagrodą było przeżycie. Klęski nikogo nie zniechęcały. Badania prowadzono w szerokim i niezwykle skomplikowanym spektrum. Na jedną akceptowalną do zastosowania na człowieku technikę przedłużania życia przypadały setki pomysłów, które nigdy nie wyszły poza kosztowne i niesłychanie skomplikowane testy na zwierzętach. Na praktykowanie nowych metod zgody udzielała komisja etyków. Starsze lub mniej efektywne techniki wychodziły z użycia, a wraz z nimi wychodzili z użycia pechowi inwestorzy.

Istniały setki sprytnych sposobów oceny upgrade'u przedłużania życia. Trzymaj się pewniaków, a równy wskaźnik przeżycia masz praktycznie zagwarantowany. Jeśli jednak zgłosiłeś się odpowiednio wcześnie na test jakiegoś nowego, błyskotliwego zabiegu, otrzymywałeś szansę przeżycia większą niż ktokolwiek z twego pokolenia. Nie wolno jednak zapominać, że nowinki i techniczne cuda nie gwarantują prawdziwego, długoterminowego powodzenia. Wiele gałęzi badań medycznych runęło z hukiem i rozpłynęło się jak dym, pozostawiając obiekty badań psychicznie wypalonymi kalekami duchowymi.

Techniki medyczne udoskonalały się stale, ale nigdy równomiernie. Ich rozwój przypominał raczej konwulsyjne, organiczne skoki. Każdy pewny upgrade, licencjonowany w, powiedzmy, 2090 jest (mówiąc w wielkim uproszczeniu) mniej więcej dwukrotnie efektywniejszy od najlepszego upgrade'u

licencjonowanego w roku 2080. W latach 2060-tych i 70-tych dokonywano prawdziwych paradygmatycznych przełomów. Jeśli chodzi o lata 2050-te, sztuczki, które wówczas nazywano medycyną i które w owych czasach wydawały się nieprawdopodobnie wręcz imponujące, według współczesnych kryteriów z trudem kwalifikowały się jako „przedłużanie życia". Techniki medyczne lat 50-tych nie były nawet, prawdę mówiąc, zabiegami higienicznymi. Były tak proste, że nawet kosztowały niewiele.

Jeśli zaś chodzi o procedury medyczne z lat poprzedzających rok 2050, zarzucono je prawie wszystkie. Uznane zostały za niebezpieczne, kontrproduktywne, bazujące na błędnych, aż do fundamentów, poglądach na biologiczną rzeczywistość.

Biorąc to wszystko pod uwagę, najlepiej odkładać upgrade tak długo, jak tylko można. Im dłużej czekasz, tym większe masz szanse. Niestety, naturalny proces starzenia się trwa ciągle, zbyt długi okres oczekiwania stawia więc człowieka wobec niebezpieczeństwa kumulatywnego narastania efektów metabolicznej degeneracji. Wcześniej czy później, zawsze nadchodzi chwila, gdy trzeba zamknąć oczy i skoczyć na głęboką wodę, a ponieważ wyniki nowych badań w każdej dziedzinie są niepewne z definicji, nikt nie jest w stanie nikomu i niczego zagwarantować.

Pogoń za długowiecznością uznano więc za podstawową wolność i pozostawiono ją wyborowi jednostek. Ugoda służy najlepszymi możliwymi radami, formułowanymi na zasadzie konsensusu podczas niekończących się zebrań wielkich i stale rozmnażających się stad ekspertów, rada jednak, nawet najlepsza, nie jest niczym więcej niż tylko radą.

Ludzie mądrzy lub szczęśliwi wybierają sobie ścieżkę udoskonaleń z wielkim długoterminowym potencjałem. Ma się wówczas spore szanse. Można spodziewać się całkiem długiego życia. Twój wybór cieszy się — i zapewne dalej będzie się cieszył — popularnością. Podstawowa baza użytkowników powinna rosnąć, a to okazuje się zazwyczaj bardzo pomocne. Gdy coś nawali, możesz spodziewać się fachowej pomocy opartej na wielkim doświadczeniu praktycznym.

Ludzie głupi lub pechowi wybierają rozwiązania obliczone na zysk krótkoterminowy, rozwiązania, które na długim odcinku czasu ujawniają poważne braki.

Najgorszymi technikami są te, które komplikują zastosowanie w przyszłości nowego, lepszego upgrade'u. Kiedy zaś jakość życia degeneruje się poniżej pewnego poziomu, nie masz już wyboru i możesz rozważać wyłącznie jakość śmierci.

Istnieje co najmniej kilka metod poprawienia swojej szansy. Możesz być, na przykład, stale i jawnie dobrym. Zawsze głosować, nie popełniać przestępstw, pracować w dobroczynności, dbać o dobro

współobywateli z uśmiechem na twarzy i radością w sercu. Możesz pracować w służbie cywilnej, być członkiem komitetów sieciowych, manifestować elastyczność i pełne zaangażowanie w budowę coraz lepszej cywilizacji. Wówczas społeczeństwo ma swój interes w utrzymaniu cię przy życiu.

Prawie wszyscy tacy ludzie są starzy, prawie wszyscy są też bardzo, bardzo grzeczni, i prawie wszyscy to kobiety. W uznaniu manifestowanego na każdym kroku społecznego ducha ugoda obdarza ich specjalnymi względami. W nowoczesnym społeczeństwie ludzie ci mają praktycznie pełnię kontroli nad owym społeczeństwem.

Jeśli zachowujesz się odpowiedzialnie, jeśli dbasz o codzienne praktyki higieniczo-medyczne, ugoda docenia fakt, że zmniejszasz ciężar, pod którym ugina się przemysł medyczny. Prezentujesz silną wolę i demonstrujesz, że pragniesz żyć. Poważne, pedantyczne podejście do długowieczności można bez problemu zweryfikować, dzięki upublicznieniu akt. Dyscyplina i dalekowzroczność domagają się nagrody. Łatwo i względnie tanio można utrzymać cię przy życiu, ponieważ twój ogólny stan jest niezły.

Tacy, jak ty, zasługują, by przeżyć.

Niektórzy ludzie rujnują sobie zdrowie, ale rzadko robią to z premedytacją. Już raczej brakuje im zdolności przewidywania, są beztroscy, niecierpliwi i nieodpowiedzialni. Ludzi medycznie beztroskich żyje na świecie mnóstwo. Niegdyś było ich całe morze, niegdyś ludzie medycznie beztroscy przygniatali swym ciężarem ziemię, lecz medycznie beztroscy ludzie miliardami umierali podczas epidemii lat 20-tych i 30-tych. Ci zaś, którzy ocaleli, byli już permanentnie uważni i bardzo, bardzo ostrożni. Ludzie beztroscy to wymierająca grupa nacisku z kurczącą się bazą demograficzną.

Dawno, dawno temu, pieniądze gwarantowały dobre zdrowie, lub przynajmniej odpowiednią opiekę zdrowotną. Dziś same pieniądze dają bardzo niewiele. Ludzie, którzy publicznie niszczą sobie zdrowie, nie mają wielkich szans na to, by mieć pieniądze — nie dlatego, by dorabianie się wymagało dobrego zdrowia, lecz dlatego, że dorabianie się i utrzymanie fortuny wymaga dobrej woli współobywateli. Jeśli publicznie nadużywasz swego metabolizmu, małe masz szanse, że ktoś ci dziś zaufa. Udzielenie ci kredytu wiąże się ze zwiększonym ryzykiem, jesteś kiepskim partnerem w interesach. Dostajesz punkty ujemne oraz tanią opiekę medyczną.

Nawet tania opieka medyczna radykalnie się poprawiła, nadal więc masz spore szanse, że — w kategoriach historycznych — dożyjesz bardzo sędziwego wieku. A jednak, według standardów swego społeczeństwa, umrzesz stosunkowo młodo. Jeśli pragniesz rujnować sobie zdrowie — proszę bardzo, to twój indywidualny wybór. Kiedy zaś już je sobie wystarczająco zrujnujesz, ugoda zachęci

cię do śmierci.

System ten jest bezlitosny, ale przecież wymyślili go ludzie, którzy przeżyli dwa dziesięciolecia strasznych w skutkach epidemii. Gdy czasy zarazy mijają, świat się zmienia, podobnie jak zmienia się po wielkiej wojnie. Doświadczenie masowych grobów, terroru antyseptyków, opustoszałych miast, na stałe wyeliminowało z kultury nadmiar skrupułów. Niektórzy ludzie umarli, inni nie. Ci, którzy robią coś, by uniknąć śmierci, będą systematycznie nagradzani, zaś tych, którzy zachowują się jak głupcy, czeka pogrzeb w towarzystwie innych głupców.

Istniała, oczywiście, grupa ludzi, którym sama idea technologicznego przedłużania życia była wstrętna z powodów moralnych. Ich moralne skrupuły były powszechnie szanowane. Mieli wszelkie prawo paść trupem na miejscu.

Mia wybrała sobie upgrade znany pod nazwą Neo-Telomerycznej Rozproszonej Detoksyfikacji Komórkowej, czyli NTRDK. Była to kuracja radykalna, wypróbowana do tej pory w bardzo wąskim zakresie i wyjątkowo kosztowna. Mia wiedziała o niej dosyć dużo, ponieważ z zawodu była ekonomistką medyczną. Została do niej zakwalifikowana, ponieważ stwierdzono, że jest osobą wyjątkowo ostrożną. Zdecydowała się ją wybrać, ponieważ kuracja ta obiecywała jej wszystko, a Mia była w nastroju odpowiednim do podjęcia ryzyka.

Dziewięćdziesiąt procent wszystkich swych zasobów finansowych włożyła w fundusz przeznaczony na ciągłe pilotowanie, udoskonalanie i badania NTRDK.

NTRDK uważano za szczególnie obiecującą drogę rozwoju. Pod względem medycznym była to kuracja wyjątkowo trudna do przeprowadzenia. W tej dziedzinie spodziewana skuteczność i trudności niemal zawsze szły ze sobą w parze. Kwalifikacja do tak kompleksowego zabiegu wymagała zniechęcających wręcz wyrzeczeń natury osobistej. Chętni pacjenci musieli przede wszystkim reinwestować wszystkie swe fundusze w utrzymanie programu oraz w związane z nim badania i rozwój. W zamian mogli się spodziewać pokaźnych dochodów, pod warunkiem, że technika ta spełniłaby pokładane w niej nadzieje. Jeżeli nie, inwestorzy zmarliby zapewne na długo przed odzyskaniem płynności finansowej.

Utrata kontroli nad własnymi pieniędzmi, i to na wiele lat, wydaje się ceną wysoką, ale nie to było najgorsze. Utrata majątku nie była już tragedią taką jak niegdyś. Pieniądze też już nie miały takiego znaczenia. Ugoda nie opierała się na ekonomii wolnorynkowej; umierający na zarazy ludzie nie darzyli ekonomii wolnorynkowej szczególnym szacunkiem. Ugoda była, żyjącym w ciągłym strachu przed epidemią, społeczeństwem sterowanym, w którym bicz kolektywnej władzy spoczywał w rękach uśmiechniętych i

bezlitosnych członków personelu pogotowia medycznego. I pracowników pomocy obywatelskiej. I bardzo sympatycznych starszych ludzi.

* * *

Czekający Mię zabieg został zaprogramowany w najdrobniejszych szczegółach.

Pierwszym długim krokiem we właściwym kierunku było przestać jeść. Cały przewód pokarmowy miał zostać wypełniony sterylizującym kitem.

Drugi krok polegał na tym, by przestać oddychać. Płuca Mii miały zostać wypełnione utlenionym sterylizującym płynem silikonowym.

Oba te zabiegi miały zabić większość flory bakteryjnej organizmu.

Trzeci krok polegał na tym, by przestać myśleć. Z naczyń krwionośnych czaszki zniknąć miała bariera krew-mózg, w miejsce płynu rdzeniowego do kręgosłupa wprowadzano sterylizujący roztwór soli.

Wynikiem tego zabiegu była głęboka utrata świadomości.

Następny krok, a w gruncie rzeczy bardzo skomplikowana sztuczka, polegał na doprowadzeniu do stanu, w którym ludzki organizm przestawał być tak szalenie rygorystycznie wielokomórkowy. Mia — niczym płód — miała zostać zanurzona w galaretowatym zbiorniku, wypełnionym płynami podtrzymującymi procesy życiowe. W tym stadium potrzeby organizmu zaspokajane były przez sztuczną pępowinę. Włosy i skóra miały zniknąć. System krwionośny i limfatyczny miał zostać otwarty i podtrzymywany zewnętrznie aż do końca zabiegu. Produkcję czerwonych ciałek przerywano, plazmę zaś zastępowano słomkowej barwy płynem, toksycznym dla każdej komórki nie będącej komórką ssaka. Wszystkie komensale musiały zostać zniszczone.

Po zagładzie bakterii zaczynał się okres polowań na wirusy i priony. Wyśledzenie i zniszczenie genetycznej menażerii zamieszkujących organizm wirusów zajmowało około tygodnia. Trzy tygodnie trwała anihilacja metabolicznego wszechświata prionów, których istnienia w ogóle niegdyś nie podejrzewano. Te obce białka przeważnie po prostu rozbijano, używając do tego celu technik rezonansu magnetycznego.

Po przejściu wszystkich tych kroków Mia miała stać się całkowicie antyseptycznym organizmem, pływającym w żelu sztucznego płynu płodowego.

Jako następne w kolejce czekały zabiegi na DNA. Kuracja wewnątrzkomórkowa wymagała radykalnego rozluźnienia więzi międzykomórkowych, umożliwiającego dostęp do ciała jako całości poprzez powierzchnię komórek. Ciało pozbawione skóry miało wtopić się częściowo w przenikającą je substancję, będącą częścią żelu. Wypełnione nią, powiększy się dwa i pól raza w stosunku do swej pierwotnej objętości.

W tym momencie zostaną do niego podłączone elastyczne plastykowe rurki. Pozbawiony skóry, rozrośnięty, neotenicznie zapłodniony, pokłuty pacjent przypominał w tej fazie chińską laleczkę z kości słoniowej, demonstrującą miejsca do nakłuć w akupunkturze.

Specjalnym procedurom miał podlegać szpik kości uda, kręgosłupa, komór mózgu, zatok i pozostałych wewnętrznych części ciała. Toksyczne odpady, oraz narastające szybko w arteriach, woreczku żółciowym i systemie limfatycznym złoża minerałów, a także najistotniejsze z punktu widzenia metabolizmu koacerwoty w przysadce mózgowej, miały zostać zredukowane lub wyeliminowane.

Na poziomie genetycznym, komórki Mii miano zbadać na kumulatywne błędy podziału. Te zagrożone rakiem i/lub obciążone błędami otrzymałyby znacznik ze sztucznych antyciał, który uczyni z nich cel dla programowanych apoptosów. W tej fazie ulegało likwidacji około piętnastu procent komórek ciała, usuwanych z niego przez sztuczne migrujące fagocyty.

Czas trwania tego procesu obliczano na ponad miesiąc.

Do ocalałych komórek miano następnie dodać telomer. Telomeryczne końce chromosomów pełnią rolę genetycznego zegara; wycierają się w miarę jak komórka dobiega, określonego przez stałą Hayflicka, kresu możliwych podziałów. Nowy materiał telomeryczny dołączano do chromosomów, oszukując stare komórki tak, że wierzyły w fikcję swej młodości. Następnie komórki mnożyły się w pożywce; wynędzniałe ciało odzyskiwało w ten sposób utracone piętnaście procent masy.

Niesłychanie szybki wzrost w kąpieli podtrzymującej, najbardziej przypominał wzrost płodu. Należało się spodziewać pewnych nieprawidłowości rozwojowych, zwłaszcza w stawach i mięśniach ludzi dorosłych. Taka była cena za marynowanie się w fontannie młodości.

Zakończenie procesu obfitowało w specyficzne trudności. Konieczne było odtworzenie skóry, wprowadzenie do ustroju bakterii symbiotycznych, bardzo uważne zastąpienie roztworów substancjami naturalnymi. Nikt nie wiedział, kiedy pacjent odzyska świadomość i jaki stan świadomości odzyska, jeśli chodzi o wrażenia somatyczne.

— Mam odczucie, iż próbuje mi pan uświadomić, jak szalenie bolesny to proces — stwierdziła Mia.

Jej doradcą był doktor Rosenfeld, doskonale zakonserwowany lekarz klinicysta o ostrej twarzy i dwóch pasmach czarnych włosów. Doktor Rosenfeld był rówieśnikiem Mii. Bardzo długo i dokładnie tłumaczył jej, że nadal czuje się związany przysięgą Hipokratesa, którą złożył mniej więcej siedemdziesiąt lat temu. W jego opinii, świat medycyny podzielony był między kilka milionów rozpychających się łokciami nuworyszów, techników medycyny, oraz prawdziwych lekarzy. On sam był tradycyjnym, prawdziwym lekarzem. Nie mógł pozwolić żadnemu ze swych pacjentów na poddanie się tak gruntownej przemianie, nie zaznajamiając go przedtem podczas kilku długich sesji z wszystkimi konsekwencjami zabiegu.

— Określenie „ból" — zaczął doktor Rosenfeld — jest reliktem prymitywnego rozumienia funkcji umysłu. Musimy bardzo dokładnie rozróżnić subiektywne doświadczenie bólu na wyższym poziomie od somatycznej transmisji nerwowej. Kolejne kroki zabiegu NTRDK byłyby szalenie bolesne dla w pełni funkcjonalnego mózgu, twój mózg jednak nie będzie prawie wcale funkcjonował. Słyszałaś o syndromie Korsakowa?

— Owszem, słyszałam.

— Oczywiście, we współczesnej praktyce medycznej rozróżniamy trzydzieści jeden zdecydowanie różnych podstanów Korsakowa… W każdym razie, podczas procesu znajdziesz się w jednym ze stanów amnezyjnych. Przypomina to trochę wirtualność, ta przestrzeń ma jednak niezwykle walory lecznicze. Ekstremalne stany tak zwanego bólu mogą dotrzeć do pewnych przedświadomych ośrodków przetwarzających dane dla pamięci, nie zostaną jednak zarejestrowane w żadnym z jej normalnych kanałów. Będziemy prowadzili stały nasłuch emisji. Mogę ci zagwarantować, że cokolwiek zdarzy się na poziomie przedświadomym, nigdy nie będzie dostępne dla świadomości zarówno podczas kuracji, jak i później.

— A więc ja będę czuła ból, ale nie będę go czuła?

— I znów mamy do czynienia z problemem natury semantycznej. „Czucie" to bardzo nieokreślony i bardzo prymitywny termin. Podobnie określenie „ja", jeśli już przy tym jesteśmy. Być może najlepiej byłoby powiedzieć, że będą odczucia, nie będzie natomiast „ja", które mogłoby je zarejestrować. — Doktor Rosenfeld uśmiechnął się. — Ontologia to fascynująca dziedzina, prawda? Mam nadzieję, że dokończymy tę rozmowę, nie odwołując się do Kartezjusza.

— Czytałam Kartezjusza.

— Ten starzec wykazał niezwykłą intuicję w kwestii szyszynki. — Doktor Rosenfeld rozłożył wymanikiurowane, doskonale wypielęgnowane dłonie o długich palcach. — NTRDK to nie jest zwykła procedura naprawcza. Proces ten w najbliższy możliwy sposób zbliża ludzkość do autentycznego odmłodzenia. Dzięki temu

programowi nasi pacjenci mogą pewnego dnia osiągnąć nieśmiertelność.

Mia uśmiechnęła się wyrozumiale. Ten argument wielokrotnie słyszała i wielokrotnie widziała w raportach. Przedsiębiorcy medyczni uwielbiali chwalić się, że to właśnie ich program doprowadzi do transcendentalnego przełomu w medycynie.

— To taktyka reklam, rzeczywiście nieco przesadzona — przyznał doktor Rosenfeld. — Niemniej jednak, przypatrz się, proszę, cyfrom i trendom. Jest najzupełniej jasne, że tempo rozwoju technik przedłużania życia, samo w sobie nabrało tempa. Prędzej czy później, zdobędziemy jednak ten szczyt. Osiągniemy tempo poprawy długości życia o rok, co roku. W tym momencie nasi pacjenci staną się praktycznie nieśmiertelni.

— Niektórzy pacjenci — przyznała Mia. — Być może.

— Nie twierdzę, że cel został już osiągnięty. Oczywiście, czekają nas dziesięciolecia badań. A jednak, przy użyciu NTRDK niektórzy z naszych pacjentów być może dożyją tego dnia.

— Nie wymagałam od pana składania tego rodzaju obietnic, doktorze. I uwierzę w nieśmiertelność, gdy osiągną ją szczury i psy.

— Udało się to nam w przypadku muszki owocowej i nicieni.

— Nie jestem muszką owocową — stwierdziła Mia.

— Oczywiście, oczywiście — przyznał doktor Rosenfeld. — Rozumiem, o co ci chodzi. Jesteś jednak niezwykłą kobietą, zajmującą niezwykle uprzywilejowaną pozycję. Procedurze tej poddano dopiero czterdzieści osób. Co więcej, w twoim przypadku dysponujemy już znacznie większym doświadczeniem klinicznym. W swej obecnej formie kuracja ta liczy sobie zaledwie dwa lata. Mamy bardzo niewielkie doświadczenie pooperacyjne. A przecież interesuje to nas oboje.

Mia skinęła głową, w ten sposób okazując zainteresowanie.

— Po zakończeniu kuracji, w pełni świadomie doświadczysz rezultatów końcowych bardzo poważnych zmian metabolicznych. Podczas rekonwalescencji nie będziesz tą kobietą, która siedzi teraz przede mną. Nie będziesz nawet panią swego ciała. Stracisz bardzo wiele z dotychczasowej koordynacji mięśniowej i nerwowej.

Doktor Rosenfeld otworzył notebook.

— Masz dziewięćdziesiąt cztery lata — przeczytał. — Z naszych danych wynika, że straciłaś około dwunastu procent tkanki nerwowej i glejowej w porównaniu do tej, którą dysponowałaś, mając lat, powiedzmy, dwadzieścia. To całkowicie normalne i naturalne, ale NTRDK jest jednak bardzo dalekie zarówno od naturalności, jak i od normalności. Dzięki nam odzyskasz tę tkankę z powrotem, nie oryginalną oczywiście, dostaniesz po prostu nową warstwę tkanki mózgowej, w zasadzie surowej, nie zapisanej. A tkanka mózgowa nie

jest czymś, co można włączyć i wyłączyć jak światło. Będzie ona częścią ciebie. Nową tobą.

— Czy to bardzo niebezpieczne?

— Powiedzmy, że podczas procesu integracji będziesz wymagała niemal ciągłej obserwacji i doradztwa.

— Jaka jest najgorsza możliwość?

— Doskonale. Jak wiesz, na samym początku zdarzyły się dwa przypadki śmierci. Katastrofalne załamanie nerwowe, ustanie funkcji wyższych, eutanazja. Zwyczajna procedura etyczna — tragiczna, lecz zwyczajna. Możesz umrzeć. To się zdarzało.

— I?

— I głęboka dysocjacja. W dawnych czasach nazywano to powszechnie zachowaniem schizoidalnym. Objawy preepileptyczne. Te procesy umysłowe rozumiemy już całkiem nieźle, przynajmniej na poziomie komórkowym. Jeśli nie dochodzi do poważnych uszkodzeń fizycznych, wylewów, zawałów, degeneracji osłonek nerwowych, nie dopuszczamy, by nasi pacjenci znaleźli się w stanie demencji. Potrafimy ingerować w poważne zaburzenia mózgowe i odwracać ich skutki.

Doktor wygodnie rozparł się w krześle.

— Istnieją inne, znacznie subtelniejsze zakłócenia: szok kulturowy, załamanie norm moralnych, załamanie pooperacyjne, oznaki zakłóceń bipolarnych… z dodatkiem staroświeckiej, uporczywej ludzkiej niecierpliwości. Świadomość człowieka jest najwyższym i najbardziej skomplikowanym procesem metabolicznym znanym naturze. Możemy opisać ducha terminami medycznymi, nie potrafimy go jednak dookreślić. Nie sposób po prostu wstrzyknąć ludziom tożsamości tak, jak robi się normalny zastrzyk. W ostatecznym rozrachunku każdy sam musi odnaleźć swą duszę.

— Jest pan człowiekiem religijnym, doktorze?

— Owszem, tak. Jestem katolickim braciszkiem zakonnym.

— Doprawdy? Bardzo interesujące.

— W twojej sytuacji medycznej odradzałbym stosowanie entheogenów, Mio. Jeśli chcesz spotkać się ze Stwórcą twarzą w twarz, Stwórca będzie musiał na ciebie poczekać. Masz mnóstwo czasu. — Doktor Rosenberg uśmiechnął się promiennie. Mia tylko skinęła głową i dyplomatycznie zachowała milczenie. Tymczasem doktor Rosenfeld jakby się wahał.

— Mogę cię o coś spytać? — odezwał się w końcu. — Kiedy po raz ostatni przeżyłaś orgazm?

Mia zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

— Powiedziałabym, że jakieś dwadzieścia lat temu — przyznała w końcu.

— Bardzo mądrze. Jestem pewien, że znacznie wspomogło to twój

metabolizm. W wyniku kuracji odzyskasz jednak seksualność wraz z czymś, co można uznać za pełen zestaw potrzeb metabolicznych. Nie powiem, by było to przykre, seksualizm bowiem jest oczywiście bardzo przyjemny, dla ciebie jednak nie będzie to łatwe. W gruncie rzeczy, seks jest w zasadzie największym problemem naszych pacjentów w okresie rekonwalescencji.

— Doprawdy? Jakie to dziwne.

— Ludzie w naszym zaawansowanym wieku właściwie pogodzili się z zanikiem libido. Co starsi pacjenci często są pewni, że mogą stłumić swe potrzeby tej natury świadomym aktem woli. To całkowicie fałszywy pogląd. Gdyby ludzie byli w stanie kontrolować swą seksualność, ludzkość wymarłaby gdzieś w plejstocenie. — Przerwał, zamyślony. — Oczywiście przeszłaś już menopauzę. Niewiele możemy zrobić z komórkami jajowymi. Zresztą, i tak nie chcielibyśmy ich odnowienia, etykom się to nie podoba. Więc nie będziesz znów płodna.

Mia uśmiechnęła się.

— Panie doktorze — powiedziała — byłam kiedyś młodą kobietą. Byłam mężatką, miałam dziecko. Kiedy byłam młoda, ludzie umierali na związane z seksem choroby. Nawet kontrola urodzin sprawiała kłopoty. Ten aspekt mego życia zawsze traktowałam bardzo ostrożnie.

— Och, ale wówczas przez całe lata przyzwyczajałaś się do dojrzałości płciowej. Nie przeszłaś subiektywnie nagłego odkurzenia i remontu całego systemu limbicznego i hormonalnego. Przemeblujemy ci mózg, a większa część mózgu nie myśli, nie kieruje się rozsądkiem. Mózg jest gruczołem, nie komputerem.

Doktor Rosenfeld stukał lśniącymi paznokciami po blacie biurka.

— Ludzie nie dlatego decydują się żyć, że jest to decyzja racjonalna — powiedział. — Ludzie nie dlatego wstają rano z łóżka, bo przeprowadzili analizę kosztów i zysków. Ludzie nie dlatego idą ze sobą do łóżka, bo doprowadził ich do tego proces dedukcji. Seksualność jest częścią życia, a nie jesteś w stanie zaprzestać życia aktem woli. Będziesz dziewięćdziesięcioczteroletnią kobietą patrzącą na świat oczami dwudziestoletniej dziewczyny. Będziesz zachowywać się i postępować jak dwudziestoletnia dziewczyna. To oczywiste, że musimy spodziewać się komplikacji.

— Czy nie mogę po prostu brać środków tłumiących libido?

— Jest to jakieś wyjście. Środki tłumiące pożądanie są ostatnio bardzo popularne, ja jednak odradzałbym ci ich stosowanie. Hormony pełnią bardzo ważną rolę w fizycznym rozwoju człowieka. Młodzi ludzie dysponują mnóstwem hormonów, ponieważ młodzi ludzie rzeczywiście ich potrzebują. Ty także będziesz potrzebowała hormonów do właściwego rozwoju tkanki mózgowej. Jako lekarz mogę poradzić ci tylko, byś stawiła czoło tym problemom. Pomyśl o

tym jak o niedogodnościach towarzyszących dorastaniu. Mia uśmiechnęła się.

— Pan mi radzi, doktorze, żebym miała kochanków?

— Mio — doktor splótł palce gestem świadczącym o wielkiej cierpliwości — nawet gdyby udało ci się znaleźć kochanka, a w twojej sytuacji problem ten wydaje się bardzo poważny, wolno przypuszczać, że kochanek nie rozwiąże żadnych problemów. Jest to w ogóle sprawa mocno skomplikowana. Naszymi pacjentami są ludzie starsi; ludzie żonaci, mający dzieci. Nie uśmiechają się im flirty i odprawianie od nowa skomplikowanego rytuału uwodzenia. Nie mają ochoty szukać sobie nowych życiowych partnerów, nie mają ochoty, by zakładać nową rodzinę. Przeżyli już wcześniej to doświadczenie, wyciągnęli z niego wnioski, skatalogowali je i odłożyli na półkę. Nie w tym rzecz, by byli niezdolni do miłości; osiągnęli po prostu stan głębszej dojrzałości, postludzką samoaktualizację. Nie ma w nich zwykłej ochoty na nawiązanie i utrzymanie głębokich więzi uczuciowo-seksualnych. A jednak po zabiegu odczuwają głęboką potrzebę ich nawiązania. Dla naszych pacjentów okazuje się to wyjątkowo przygnębiające, a także poniżające i trudne do zintegrowania.

— Widzę, że traktuje pan tę sprawę bardzo poważnie, panie doktorze.

— Owszem, traktuję ją z całą powagą. NTRDK to bardzo poważne osiągnięcie techniczne. Nie mówię tego, ponieważ sam jestem zaangażowany w prace. Doświadczenia pierwszych pacjentów mają kluczowe znaczenie dla społeczeństwa i ugody. Proszę, spójrz tylko na to.

Doktor Rosenfeld otworzył notebook i wskazał ekran. Pojawiła się na nim animowana sekwencja. Mia zobaczyła nagiego młodego mężczyznę, od stóp do głów przystrojonego w coś, co wydawało się jej fałszywą biżuterią: plastykowy diadem, kolczyki, sztuczne rzęsy, mały przyklejony do ciała napierśnik, bransolety na ramionach i nadgarstkach, dziesięć identycznych pierścionków na palcach, kilkanaście kawałków taśmy samoprzylepnej na tułowiu, podbrzuszu i udach, bransolety na kolanach i kostkach, pierścienie na palcach nóg. Chłopak miał krótko przycięte włosy. Chodził po mieszkaniu odrobinę niezdarnie i sztywno, mechanicznymi ruchami gładząc czarnego kota.

— To pozycyjne urządzenia monitorujące — powiedziała Mia.

— Tak. A także urządzenia do galwanizacyjnego testu skórnego, encefalograf tiarowy, urządzenia do pomiaru podstawowej temperatury rdzenia oraz badania próbek stolca i uryny. Dwa razy w tygodniu przeprowadzamy komplet bardzo dokładnych testów laboratoryjnych.

— Nigdy nie widziałam tylu urządzeń śledzących na ciele jednego człowieka. Zupełnie, jakby przygotowywał wirtualność.

— Prawda? Koordynacja mięśniowa to jeden z najważniejszych czynników przy rekonwalescencji. Potrzebujemy kompletnego, dokładnego i ciągłego odczytu pozycji kończyn. Z powodu drgawek, kurczów, paraliżu… dotyczy to zwłaszcza pory nocnej, zakłócenia podczas snu są jednym z efektów najczęściej odczuwanych przez naszych pacjentów. Encefalograf, który, jak widzisz, ma na sobie ten człowiek, informuje nas o możliwości wylewu, niedokrwienia, objawów przedwylewowych i objawów zakłóceń neurologicznych. Pacjentem jest profesor Oates, jedna z naszych gwiazd. Ma sto pięć lat.

— Mój Boże! — Mia przyjrzała się profesorowi. Był pięknym młodym mężczyzną.

— Jest gotów na bardzo daleko idącą współpracę. Przykro mi to mówić, ale współpraca z nami jest z konieczności kłopotliwa i bardzo uciążliwa. Poważnie zakłóca przebieg kariery zawodowej oraz życie prywatne. Profesor Oates zdecydował się na konieczne wyrzeczenia, by wzbogacić wiedzę medyczną, dla dobra ugody. To bardzo uprzejmie z jego strony.

Mia wpatrywała się w ekran. Nagi profesor Oates nie wydawał się szczególnie uszczęśliwiony sytuacją, w której się znalazł.

— Podziwiam odwagę, z jaką dokonał tak wspaniale altruistycznego aktu — powiedziała ostrożnie.

— Profesor Oates zawsze był człowiekiem wyjątkowo zdyscyplinowanym i nastawionym bardzo prospołecznie. Biorąc pod uwagę sytuację, niczego innego nie można było się po nim spodziewać… był fizykiem. Teraz twierdzi, że da sobie spokój z fizyką. Bardzo pragnie zamienić ją na architekturę. Architekturę traktuje z ogromnym entuzjazmem. Zupełnie jak początkujący student.

Mia uważnie przyglądała się ekranowi. W rzeczywistości, chociaż niewątpliwie atrakcyjny, profesor Oates nie sprawiał wrażenia prawdziwego człowieka, lecz raczej utalentowanego zawodowego aktora w roli niezdarnego studenta.

— Rzczywistą czy wirtualną? — zainteresowała się Mia.

— Nie jestem w stanie ci odpowiedzieć. — Profesora Rosenfelda pytanie to najwyraźniej zaskoczyło. — Możesz porozmawiać z nim na ten temat osobiście. Rzecz jasna, mamy własną grupę samopomocy pacjentów NTRDK. Spotykają się regularnie na sieci. Wspaniali ludzie, inteligentni, pełni uroku. Chcę być szczery i muszę ci powiedzieć, że będziesz cierpieć… ale przynajmniej w doskonałym towarzystwie.

Mia rozsiadła wygodnie.

— W każdym razie, profesor Oates jest bardzo utalentowanym młodym człowiekiem. Nie, przepraszam, nie młodym. To wybitny naukowiec.

— Nie ty pierwsza popełniłaś ten błąd — zauważył doktor Rosenfeld z wyraźną satysfakcją. — Ludzie naprawdę sądzą, że oni,

nasi pacjenci, są młodzi. Ludzie skłonni są wierzyć w to, co widzą.

— To cudownie. Cieszy mnie jego sukces. Napawa mnie on wielką nadzieją.

— Jest jeszcze jedna sprawa. Pamiętasz kota profesora? — Doktor Rosenfeld sięgnął pod biurko i wyjął spod niego plastykową laboratoryjną klatkę. W klatce znajdowały się papierowe nosze i mały, pogrążony we śnie gryzoń. Chomik.

— Tak? — zdziwiła się Mia.

— Na nim przeprowadzimy dokładnie ten sam zabieg co na tobie. Ten okaz ma pięć lat. To bardzo dużo jak na chomika. Przejdzie przez to wszystko, przez co przejdziesz ty. Oczywiście nie w tym samym zbiorniku, będzie on jednak nieodłączną częścią identycznej procedury. Niedługo staniesz się istotą postludzką. On, a raczej ona, stanie się istotą postgryzonią. Kiedy skończymy, chcemy, żebyś się nią zaopiekowała.

— Nie lubię zwierząt.

— Ten chomik nie będzie twoim zwierzęciem, Mio, lecz bardzo wartościową istotą, przyjacielem dzielącym z tobą niezwykły stan istnienia. Proszę, zrób nam tę przyjemność i dostosuj się do nas, przynajmniej w tej kwestii. Wiemy, co robimy. — Doktor Rosenfeld postukał kciukiem w ściankę klatki. Stary chomik, pogrążony we śnie, trzęsący się, nie zareagował na stukanie. — Istnieje wielka różnica między przeżyciem zabiegu, a prawdziwym wyzdrowieniem — tłumaczył dalej. — A my bardzo chcemy, żebyś wyzdrowiała, Mio, naprawdę chcemy, byś czuła się dobrze i wiemy też, że chomik może pomóc ci w procesie rekonwalescencji. Sposób, w jaki potraktujesz istotę, która przeszła przez swój własny czyściec, da nam cenne informacje o tobie samej. Życie na krańcach ludzkości może być bardzo samotne. Myśl o nim jak o maskotce, którą dostałaś na szczęście, jak o swym zwierzęciu totemowym. Wierz w niego. Życzę szczęścia wam obojgu.

* * *

Mia sporządziła testament. Pościła przez trzy dni. Potem ogolono jej całe ciało. Potem nakarmiono ją jakąś pastą. Potem zajęto się płucami, a ona dostała całkowitą narkozę.

Cała reszta powędrowała tam, gdzie wędrują doświadczenia, których nie jest się w stanie doświadczyć.

* * *

Obudziła się w styczniu, bardzo słaba, bardzo zmęczona i całkowicie pozbawioną włosów. Skórę, całą w plamach, pokrytą miała delikatnym puszkiem, jak u niemowlęcia. Na palce włożono jej twarde pierścionki i coś nieprzyjemnego, ciasnego na głowę; nie pozwolili jej się tego pozbyć. Pierwsze dwa dni spędziła, zaciskając dłonie w pięści, podnosząc palce do oczu, powoli, z rozkoszą dotykając nimi twarzy; czasami nawet lizała specjalnie i je, i twarde pierścionki.

Jadła papki, którymi ją karmiono, bo jeśli ich nie jadła, oni strasznie narzekali.

Nie umiała czytać.

Trzeciego dnia obudziła się i poczuła przebłysk inteligencji, myślała szybciej i jaśniej, i odkryła, że małe kanciaste figurki na ekranie znów stały się literami i słowami. Otworzyła notebooka i przyjrzała mu się z uczuciem niebotycznego zdumienia. Był pełen absolutnie niepojętego, śmiesznego, wręcz ekonomicznego i biurokratycznego bełkotu; niczego bezsensowniejszego nie umiała sobie w ogóle wyobrazić. Ten dzień spędziła, wybuchając co chwila śmiechem, machając nogami, przyglądając się ekranowi i drapiąc pokrytą szorstkimi włoskami głowę, która strasznie ją swędziała.

Po południu zniecierpliwiona wyskoczyła z łóżka i zrobiła kilka niepewnych kroków po szpitalnym pokoju. Dała chomikowi trochę jedzenia i wody, ale chomik i tak prawie cały czas spał; leżał w klatce nieruchomo, bezwładny, różowy, porośnięty sierścią tak krótką, że niemal niewidoczną. Jedna z pielęgniarek spytała ją, jak go nazywa. Nie potrafiła wymyślić żadnego pasującego do sytuacji imienia, więc w ogóle nie ochrzciła chomika.

Wieczorem zadzwoniła z Dżakarty jej córka, ona jednak nie miała ochoty rozmawiać z nikim z Dżakarty. Kazała pielęgniarkom powiedzieć, że czuje się doskonale. Potem nie mówiła już nic i bardzo niewiele robiła. Zorientowała się, że pokój naszpikowany jest maszynami, obserwującymi ją bez chwili przerwy. Parę z nich było tak cwanych, że wydawały się niemal niewidzialne.

Czwartego dnia dostała trochę nowego twardego jedzenia, takiego, które można gryźć, a także coś słodkiego i bardzo pysznego. Poprosiła o dokładkę i obraziła się, kiedy jej dokładki nie dali. Potem ubrali ją w bardzo ładny niebieski bawełniany kombinezon, szyty podwójnym szwem i zabrali do sali. Powiedzieli, że to sala dziecinna. Nie było w niej żadnych dzieci, więc miała dla siebie całą salę. Bardzo ładną salę. Kolorową, oświetloną światłem jasnym i świeżym jak słońce w lecie, i pełno tu było maszyn do wspinania się, fikołków i w ogóle. Wspinała się, robiła fikołki, spadała na pokrytą materacami

podłogę i cały czas się śmiała, ale potem zdarzyło się jej zrobić w kombinezon, więc kazała im przestać, póki się nie oczyści.

Potem wróciła do pokoju i na ekranie notebooka przeglądała wiadomości polityczne. Przeprowadziła długą i gorącą dyskusję z doktorem Rosenfeldem na temat polityki amerykańskiej w latach 2030-tych. Bardzo interesowała się polityką w trakcie światowego kryzysu lat trzydziestych i kiedy myślała, co się wtedy działo, wstępowała w nią taka złość, że po prostu mogłaby krzyczeć. Bardzo dużo mówiła podczas dyskusji o swych ulubionych głupich politykach i głupich faktach z polityki tego czasu, przez co spadł jej z serca wielki kamień. Doktor Rosenfeld oznajmił, że rekonwalescencja przebiega doskonale. Spytał też, czy nadała chomikowi imię. Nie rozumiała, dlaczego wszyscy tak strasznie przejmują się imieniem chomika. Tak naprawdę wcale za nim nie przepadała.

Piątego dnia przedstawili ją innej pacjentce NTRDK, bardzo miłej młodej kobiecie. Nazywała się Juliet Ramachandran. Miała sto trzynaście lat. Przed zabiegiem była ślepa z powodu degeneracji siatkówki. Miała postpsiego psa przewodnika, umiejącego mówić. Pani Ramachandran przez wiele lat pełniła obowiązki pracownika pomocy obywatelskiej i wyróżniała się nienagannymi manierami. Mia, Juliet i jej pies natychmiast się zaprzyjaźnili. Odbyli długą rozmowę na temat kuracji i wielu innych spraw. Psu odrosła cała sierść, Juliet zaś miała na głowie wspaniały jedwabny turban. Pies gadał jak najęty, twierdziła jednak, że przechodzi taką fazę i że mu przejdzie.

Juliet powtarzała słowa „Mia Ziemann” i Mię to strasznie bawiło.

— Czy wiesz, że nazywasz się Mia Ziemann?

Mia widziała, że Juliet zaczyna się denerwować.

— Dobrze, dobrze, niech będzie jak chcesz, miaziemann, miaziemann, tylko się nie przejmuj — powiedziała.

Życie Juliet nie było łatwe, no bo odzyskiwała wzrok i w ogóle. Opowiadała szczerze o swoich problemach, powtarzała, raz za razem, że przedmioty „dotykają mnie tam, za oczami”. Mia uznała, że uprzejmiej byłoby odnosić się z wyrozumiałością do biednej Juliet, więc postanowiła sobie, że będzie się bardzo starała reagować zawsze, kiedy tylko ktoś wypowie słowo — Mia.

Szóstego dnia Mia reagowała już bezbłędnie na wołanie „Mia”, więc zaczęto traktować ją inaczej i lepiej. Kiedy zapytali, czy nadała chomikowi imię, powiedziała, że owszem i że chomik ma na imię Fred, a kiedy powiedzieli, że to męskie imię, stwierdziła, że nie i że to skrót od Frederika. Wyjmowała już chomika z klatki, dbała o jedzenie dla niego, a ich bardzo ucieszyło jej postępowanie.

Chomik wydawał się jej obrzydliwy niczym szczur, który ledwie umie podskakiwać, miał oczka jak korale i krótkie drżące łapki. Porastał jednak miłym, brązowym futerkiem. Pewnego dnia dostał w

klatce jakiegoś krótkiego ataku, postanowiła jednak nie mówić o tym nikomu. Tylko by się zdenerwowali.

Siódmego dnia uświadomiła sobie, że kiedyś naprawdę była kimś, kto nazywał się Mia Ziemann i że chyba coś jest z nią naprawdę nie w porządku. Nie czuła się jednak chora, nie, wcale nie. Czuła się doskonale, doprawdy wspaniale. Była szczęśliwa, bo miała zaszczyt być kimś, kimkolwiek była. Kiedy jednak poważnie myślała o tym, że będzie Mią Ziemann, czuła w ustach smak taki, jakby przygryzła sobie język. Czuła szczególny rodzaj strachu, jakby Mia, Ziemann kryła się w szafie, czekając aż zapadnie noc, bo w nocy mogłaby wyjść i niczym duch włóczyć się po szpitalnej sali.

Po południu ubrała się w któreś z ubrań Mii Ziemann i poszła na bardzo długi spacer — co najmniej pięć, może nawet i sześć razy obeszła szpitalny ogród. Stroje Mii były doskonale skrojone, tyle że — na nieszczęście — wcale na nią nie pasowały. Była nie tylko szczuplejsza i delikatniejsza od Mii, lecz także pięć centymetrów wyższa. Z chodzeniem nie miała większych kłopotów, ale nadal dziwnie kołysała się w biodrach. Podczas spaceru po szpitalnym ogrodzie kilkakrotnie spotkała ludzi, rzeczywiście i poważnie chorych. Zdała sobie sprawę z tego, ile miała szczęścia.

Wieczorem zabrała się za czytanie listów na liście dyskusyjnej grupy wspomagającej NTRDK. Czuła się bardzo pochlebiona, że jej inteligencję przeceniają tak błyskotliwi ludzie. Uznała, że powinna włączyć się do dyskusji i że być może ma za sobą doświadczenia istotne z medycznego punktu widzenia, o których powinna napisać, tylko że nieoczekiwaną trudność sprawiało jej posługiwanie się klawiaturą.

Zachowywała się zawsze bardzo uprzejmie i starała się zrobić co tylko było w jej mocy dla personelu przeprowadzającego testy, choć same testy częstokroć okazywały się bolesne. Inne badania nie bolały, polegały po prostu na rozwiązywaniu zagadek: rozgrywaniu problemów szachowych, rozwiązywaniu krzyżówek, dopasowywaniu klocków o niezwykłych kształtach. Testy słowne wydawały się jej bardzo trudne, kiedy jednak przyszło do zestawiania klocków, okazała się prawdziwie cudownym dzieckiem. Najwyraźniej jej talent modelowania geometrycznego wzrósł o jakieś piętnaście procent. Na ten rezultat składał się przede wszystkim lepszy czas reakcji, jednak rezultaty badań emisji wskazywały także zaistnienie autentycznej integracji neoneuralnej. Przeglądając te medyczne prognozy była bardzo dumna ze swych osiągnięć i postanowiła, że od tej pory będzie mniej mówić, a więcej przyglądać się obrazkom. Zagra na swych walorach intelektualnych. Może nawet sama coś narysuje, zrobi kilka zdjęć, będzie rzeźbiła w glinie lub w wirtualności. Tyle miała przed sobą wspaniałych możliwości.

Kiedy dali jej trochę modeliny, powodowana intuicją ulepiła z niej chomika. W jego portret włożyła mnóstwo wysiłku i talentu. Kiedy go im pokazała, byli bardzo z niej zadowoleni, czego oczywiście po nich oczekiwała. Powiedzieli jej nawet, że wkrótce zostanie zwolniona i będzie mogła kontynuować rekonwalescencję w swym odnowionym ostatnio apartamencie.

Podejrzewała prawdę już od pewnego czasu, dopiero teraz jednak w pełni uświadomiła sobie, że strzegący jej ludzie są głupi jak stołowa noga. Nie sprawiłoby jej najmniejszych trudności wymknięcie się im, ucieczka gdzieś, gdzie mogłaby zająć się czymś bardziej interesującym niż siedzenie w jednym miejscu i zajadanie papek, serwowanych także chomikowi. Była to bardzo pociągająca perspektywa. Żałowała tylko, że jeden z pielęgniarzy jest taki przystojny… trochę się w nim zadurzyła. Nie szkodzi. Gdyby poprosiła go, żeby ją pocałował, naruszyłaby ścisły medyczny kodeks etyczny. Młody człowiek nie byłby w stanie przebiec nawet połowy dystansu i nigdy nie dotarłby do mety.

Regularnie odpowiadała już na imię Mia. Wykonywała nawet trochę pracy Mii. Musiała stosować pewną sztuczkę, jak przy patrzeniu tak, by nie widzieć wyraźnie. Odprężała się wtedy tam głęboko, pozwalała zdominować się uczuciu Mii, i już mogła robić wiele użytecznych rzeczy: pisać o wiele szybciej, wpisywać hasła Instytutu Ocen Medycznych, korelować arkusze kalkulacyjne, badać docierające do Mii dane, podpisywać się nawet jej imieniem. Uświadomiła sobie, że ona, ta Mia, wcale nie chce jej skrzywdzić, że nie jest zazdrosna i w ogóle nie ma nic przeciw niej. Ta Mia była słaba, posłuszna, wręcz usłużna, i niezbyt interesująca. Ta Mia sprawiała wrażenie naprawdę zmęczonej, nic jej nie obchodziło i w ogóle była tylko zespołem pewnych przyzwyczajeń.

Nauczyła się lepiej sobie radzić, dzięki temu, że mówiła mniej, za to patrzyła i słuchała. Zdumiewające, ile można dowiedzieć się od ludzi, jeśli tylko obserwuje się ich twarze i to, jak poruszają rękami. Ich myśli nie miały na ogół nic wspólnego ze słowami wypowiadanymi przez usta. Dotyczyło to zwłaszcza mężczyzn. Wystarczyło tylko trochę pokręcić się na krześle, kiwać głową, mile się uśmiechać, patrzeć na nich tak spod rzęs, i już w głębi swego męskiego ego byli przekonani, że dziewczyna jest fajna i w ogóle.

Kobiet nie dawało się już oszukać tak po prostu, ale i im można było szalenie zaimponować, jeśli udawało się osobę szczęśliwą i pewną siebie. Większość kobiet wcale nie jest szczęśliwa, wcale nie jest pewna siebie. Większość kobiet po prostu musi się skarżyć. Wystarczyło tylko najpierw nakłonić je, żeby się poskarżyły, a potem kiwać głową i mówić „Och, moje ty biedactwo” i „Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo”, i już poznawało się wszystkie ich sekrety.

Kobiety czuły wspólnotę duchową, oraz wielką wdzięczność. Odchodziły przekonane, że jesteś wspaniała i w ogóle.

Z tego, że mogła kontynuować rekonwalescencję w domu zrobili wielką sprawę. Zadbali nawet o obecność prasy — reporter z sieci zadawał jej pytania. Był bardzo przystojny i podczas wywiadu zaczęła z nim flirtować, a on zaraz zaczerwienił się z wdzięczności. Do domu na Parnassus Avenue zabrała chomika wraz z reporterem. Reporterowi przygotowała smaczną kolację. Zachowywał się łagodnie jak baranek. Bardzo mu się spodobała.

Cieszyła się z możliwości gotowania i jedzenia, bo w szpitalu powiedzieli jej, że ma problemy z apetytem. I wcale się nie mylili. Gdy stawiano przed nią jedzenie, jadła z przyjemnością, ale kiedy go przed nią nie postawiono, obywała się bez jedzenia. Słyszała, jak burczy jej w brzuchu, słabła, czasami kręciło się jej w głowie, ale nie czuła prawdziwego głodu. Stało się coś takiego, jakby „oślepła na jedzenie". Czuła zapach jedzenia, czuła jego smak, lubiła jeść, tiara dowodziła jednak, że w jej hypotalamusie jest jakaś skaza. Mieli nadzieję, że usterka sama się naprawi. Jeśli nie, powiedzieli, to trzeba będzie coś z tym zrobić.

Lubiła gotować. Przy gotowaniu wcale nie musiała myśleć, odprężała się po prostu i wszystko szło samo. Przez dwie godziny słuchała gadaniny reportera chwalącego się, jakie to ma ważne kontakty. Nakarmiła go, zrobiła mu nawet nalewkę. Reporter był właściwie dzieckiem, mógł mieć najwyżej czterdzieści lat. Naprawdę kusiło ją, żeby zaraz go pocałować, wiedziała jednak, że w tym momencie byłby to fatalny w skutkach błąd. Jej mieszkanie wyposażono niczym teleprezencyjny site. Nie mogła się nawet podrapać, żeby kamera nie nagrała ruchu każdego jej palca w czasie rzeczywistym i nie zapisała go w trójwymiarowej medycznej bazie danych.

Kiedy reporter wychodził, objęła go przy drzwiach i ucałowała. Nie był to żaden wielki pocałunek, ale nie całowała się chyba od zawsze i trudno jej było uwierzyć, że tak długo obchodziła się bez pocałunku. Straszliwa głupota, zupełnie jakby ktoś chciał żyć bez wody.

Potem została sama w mieszkaniu. Sama; słodko, nieprawdopodobnie, całkowicie, radośnie sama. Sama, oczywiście oprócz medycznego systemu monitoringu. Sama ze sobą… no i z maszynami, śledzącymi ją nieprzerwanie. Pozmywała, posprzątała i zaprowadziła ogólny ład.

Kiedy skończyła, usiadła przy kuchennym stoliku z laki i siedziała bez ruchu. Czuła, jak rośnie od środka. Jej ja było wielkie i wolne. Większe od ciała. Jej ja było nawet większe od mieszkania. W ciszy, nieruchoma, czuła, jak jej ja napiera na okna.

Wstała, niespokojna, i włączyła zestaw muzyki Mii. Okropnej muzyki, jak z wyprzedaży, muzyki, której słuchało się dziś przy okazji, cichej i dyskretnej muzyki, sprawiającej wrażenie, jakby poskładano ją do kupy z ulotnego pyłu. Ściany mieszkania pokryte były obrzydliwymi, krzykliwymi dziełami starej papierowej sztuki. Zasłony wyglądały tak, jakby umarły, przylegając do ścian. Ktoś umarł i wysechł w tym mieszkaniu, jak jądro wyschniętego orzecha. Pomarszczona skóra starej, martwej kobiety.

Próbowała zasnąć w łóżku Mii. Łóżku jak mała i obrzydliwa prycza z gotowym do działania wielkim namiotem tlenowym. Materac zaprojektowany został tak, by w bardzo szczególny sposób wspomagać kręgosłup. Nie potrzebowała już wspomagania kręgosłupa, a poza tym miała teraz zupełnie inny kręgosłup. Do tego wszystkiego system monitoringu swędział i nieprzyjemnie szeleścił na prześcieradłach. Wypełzła do gościnnego pokoju. Położyła się na podłodze. Przykryła kocem.

Chomik, zwierzę praktycznie nokturnalne, obudził się i zabrał za gryzienie prętów klatki. Am, am, am. Ciemność. Ciągłe, nieustające drapanie.

Około północy coś w niej wreszcie pękło. Wstała, włożyła bieliznę, wbiła się w spodnie Mii. Okazały się za krótkie, nie sięgały nawet do kostek. Włożyła biustonosz Mii. Żart czy co…? Biustonosz Mii nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Sweter Mii, w porządku. W garderobie znalazła fajną czerwoną kurtkę. Pasowała doskonale. Buty Mii nieco ją uwierały. Torebka, za mała. Torba podróżna. Zapakować bieliznę. Szminka. Grzebień, szczotka, maszynka do golenia. Okulary przeciwsłoneczne. Książka do czytania na drogę. Skarpetki. Cień do powiek, ołówek do rzęs. Szczoteczka do zębów.

Netlink rozdzwonił się alarmująco. Miała dość netlinku.

— Żartują czy co? — oznajmiła pustemu mieszkaniu. — Przecież to nie dla mnie. To jedno wielkie nic. Nie umiem tak żyć. To nie jest życie. Wynoszę się stąd.

Wyniosła się na klatkę schodową. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Na klatce schodowej zawahała się przez chwilę, zawróciła, otworzyła zatrzaśnięte drzwi.

— Dobrze już, dobrze — powiedziała. — Chodź ze mną, idioto! — Otworzyła klatkę i wyjęła z niej chomika. — Dobra, dobra, możesz się ze mną zabrać — dodała.

* * *

Tiarę wyrzuciła na progu mieszkania. Pojawiła się szpitalna karetka, świecąc wszystkimi światłami; zaparkowała tuż przy jej domu. Idąc Parnassus Avenue, pozbyła się kolczyków i pierścieni z palców dłoni. Czekając na taksówkę, zdjęła pantofle i skarpety, i pozbyła się pierścieni na palcach stóp. Skóra pod nimi była blada, lepka.

Taksówka wreszcie przyjechała.

W taksówce Mia zrzuciła spodnie, po czym pozbyła się bransolet na kolanach oraz sporej działki oklejającej ją taśmy samoprzylepnej. Za okno z tymi zabawkami. W pociągu, po drodze na lotnisko, poszła do damskiej toalety, w której zerwała z ciała napierśnik wraz z kolejnymi taśmami. Taśmy swędziały i w ogóle, a kiedy się ich pozbyła, jej morale wzniosło się na orbitę.

Wreszcie znalazła się na lotnisku. Na czarnych, asfaltowych pasach stało mnóstwo świecących samolotów. Podczas startu samoloty w cudowny wręcz sposób wskakiwały z rozpostartymi skrzydłami w zimne nocne niebo. Wewnątrz widać było pasażerów, ponieważ kadłuby wykonano z cienkiej metalowej siatki. Niektórzy pasażerowie włączyli lampki, większość jednak po prostu zapadła się w stręki i przyglądała nocnemu niebu. Albo nawet spała; był to w końcu nocny lot. Panowała tu atmosfera spokoju i piękna. Nic wielkiego, nic niezwykłego.

Weszła na schodki i zaczęła się po nich wspinać. Kiedy wchodziła do samolotu, stewardessa powiedziała coś do niej po niemiecku. Otworzyła torbę, wyjęła z niej chomika, pokazała go stewardessie i schowała z powrotem do torby. Potem obróciła się, i — pewna siebie, przepełniona radością — poszła przejściem między kokonami. Stewardessa nie zrobiła nic, dosłownie nic.

Wybrała sobie sympatyczny, brązowy strąk w biznesklasie i rozsiadła się wygodnie. Stewardessa przyniosła pyszną gorącą *frappé*.

O trzeciej nad ranem samolot wreszcie wystartował, a ona zasnęła.

Kiedy się obudziła, była ósma rano dnia dziesiątego lutego 2096 roku, ona zaś znajdowała się we Frankfurcie.

* * *

Opuściła samolot. Chodziła po frankfurckim lotnisku, zagubiona, senna, rozkosznie wolna od snucia planów. Nie miała również grosza przy duszy, nie miała karty gotówkowej, nie miała kredytu. Nie miała żadnej karty identyfikacyjnej. Ludzie z pomocy obywatelskiej z jej

samolotu specjalnie zgłaszali się do miejscowych władz, ale niemieckie władze nie szukały nikogo, kto nie szukał ich.

Napiła się wody ze specjalnego zbiorniczka, poszła do toalety, umyła twarz i dłonie, zmieniła bieliznę oraz skarpetki. Jej twarz nie wymagała już makijażu, ale tego makijażu strasznie jej brakowało. To, że była nieumalowana tu, w miejscu publicznym, dokuczało jej znacznie bardziej niż brak zwykłej karty identyfikacyjnej.

Wyszła z toalety. Trzymała się tłumu, tak by się nie wyróżniać.

Wraz z innymi ludźmi minęła z milion oszklonych sal i kiosków. Zjechała ruchomymi schodami wprost na porośnięty bluszczem dworzec kolejowy. Miała wrażenie, że Niemcy szczególnie lubią bluszcz, zwłaszcza jeśli bluszcz ten rośnie głęboko pod ziemią, tam gdzie nie ma prawa rosnąć żaden bluszcz.

Na dole dostrzegła młodą Europejkę z bardzo krótko przystrzyżonymi włosami, ubraną w jaskrawoczerwoną kurtkę. Ponieważ sama była krótko ostrzyżona i miała jaskrawoczerwoną kurtkę, pomyślała, że niegłupio byłoby pójść za tą dziewczyną i robić to, co ona. Plan ten okazał się bardzo mądry, ponieważ nieznajoma najwyraźniej doskonale wiedziała, dokąd idzie i co chce zrobić. Z niemieckiego kiosku pomocy obywatelskiej dziewczyna wzięła torbę herbatników. Więc ona też wzięła taką samą torbę. Nie musiała za nią płacić. Herbatniki były naprawdę bardzo dobre. Poczuła, jak dotowane przez rząd, pozbawione substancji toksycznych, nasycone witaminami dobra rozpływają się jej w żołądku.

Zjadła kilka herbatników, popiła je wodą, poczuła się doskonale i była bardzo z siebie zadowolona. Okruszkami podzieliła się z chomikiem.

Na dworcu kolejowym dwunastu facetów w wielkich ręcznie tkanych ponczach i płaskich czarnych kapeluszach grało indiańską muzykę Andów na fletniach Pana i gitarach. Ci południowoamerykańscy faceci wywiesili przed sobą karteczkę z prośbą o datki, ale jeśli się nie chciało, nie było przymusu, by im płacić; nic nie stało na przeszkodzie, by po prostu siedzieć i słuchać muzyki za darmo. W okolicy znajdowało się mnóstwo strąków, w których można się było wygodnie ułożyć, wodę dawano za darmo, herbatniki także, damska toaleta była czysta i przyjemna. Wyglądało na to, że na dobrym, starym frankfurckim dworcu kolejowym można spędzić całe życie.

Dworzec był ciepły i przytulny, a sama obserwacja takiego mnóstwa różnorodnych Europejczyków, wędrujących z bagażami tu i tam, wydawała się jej fascynującym zajęciem. Czuła się nieco przesadnie wystawiona na widok publiczny, siedząc tak w publicznym strąku, publicznie zajadając najzupełniej publiczne herbatniki, ale przecież nikogo tym nie krzywdziła. Wręcz przeciwnie, ludzie, którzy

w ogóle ją zauważyli, myśleli najwyraźniej, że jest wspaniała. Niemcy się do niej uśmiechali. Zwłaszcza mężczyźni; mężczyźni uśmiechali się do niej bardzo zachęcająco. Kiedy tak siedziała, zabijając czas, w ciągu pierwszej godziny dostrzegła w tłumie kilkanaścioro dzieci. Dzieci też się do niej uśmiechały.

A wszyscy myśleli, że ich sprawy są najważniejsze. Jakie to żałosne… i jakie zabawne. Dlaczego ci ludzie nie usiądą po prostu spokojnie, dlaczego spokojnie nie cieszą się życiem? Dlaczego tak strasznie się spieszą? Bieganina bez sensu… a przecież mieli żyć po milion lat na głowę, czy to nie jest najważniejsze? Można przecież siedzieć sobie w strąku, w doskonałym pokoju z wszechświatem, w doskonałym szczęściu.

Cieszyła się tym szczęściem jakieś półtorej godziny. Potem szczęście jej zobojętniało. Zaczęła się nudzić. Zrobiła się niespokojna. Zaczęła się denerwować, a w końcu nie była już w stanie usiedzieć na miejscu ani chwili dłużej. Poza tym ci faceci z Andów zaczęli powtarzać piosenki, a ten taki gwizdek, w który dmuchali, wydawał doprawdy przeraźliwe dźwięki.

Wstała i wybrała sobie pociąg. Wszyscy tak robili.

W pociągu panował straszny hałas. Ludzie gadali jeden przez drugiego. Sam pociąg oczywiście wcale nie hałasował, ale jego pasażerowie rozmawiali głośno, zajadali makaron i pili wielkie mleczne koktajle. Pociąg był bardzo szybki, a przy tym cichy jak węgorz w wodzie. Jechał po szynach, ale ich nie dotykał.

Wsunęła bagaż pod ławkę. Żałowała, że nie rozumie niemieckiego.

Po pewnym czasie wyjęła torbę i zobaczyła, że jest ona rozsznurowana, zdała sobie wtedy sprawę z tego, że chomik uciekł. Ohydna kupka futra podjęła wreszcie samodzielną decyzję i wzięła swój los we własne łapki — albo w pociągu, albo już na frankfurckim dworcu. Najpierw trochę ją to zdenerwowało, ale potem zdała sobie sprawę z komizmu sytuacji. Chomik na wolności! Masowa panika w Europie! Dobra, dobra, żegnaj malutki, chomik z wozu… Życzę szczęścia, postgryzoniu. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz.

* * *

Wysiadła z pociągu w Monachium czyli Munchen, bo podobała się jej nazwa miasta. Monachium nazywało się niegdyś Munichem, Muenchen, Moenchen, nawet Munchen, ale Ogólnoeuropejska Reforma Ortografii zrobiła z niego Munchen. Munchen, Munchen,

Munchen, Munchen. Ktoś kiedyś powiedział jej, że najbardziej artystycznym z miast Europy jest Stuttgart, Stuttgart jednak nie nazywał się nawet w połowie tak ładnie jak Monachium. Munchen.

Wiedziała, że pokocha Monachium, kiedy zorientowała się, że w kioskach rozdają za darmo precle. I to nie takie jak amerykańskie: suche, cienkie, z jodowaną solą, ale cieple, grube, mięsiste, nie pozbawione zapewne śladów mąki i drożdży. Na stacji nie mniej niż setka dzieciaków z całej Europy, śmiejąc się i żartując, stała w kolejce po te wielkie monachijskie precle. Bawarscy pracownicy pomocy obywatelskiej z piekarni byli dumni z tej sytuacji. Od razu widziało się, że mają w tym jakiś swój niejasny interes.

Radośnie spałaszowała dwa gigantyczne precle, napiła się wody, a potem znalazła inną, jeszcze ładniejszą dziewczynę z długimi jasnymi włosami, w niebieskiej aksamitnej kurtce, i poszła za nią.

W ten sposób trafiła na Marienplatz.

Na placu znajdowała się stacja metra, a także tryskająca wodą fontanna, otoczona okrągłym kamiennym murkiem, z wielką marmurową kolumną, na której czwórka brązowych cherubów przebijała diabły. Na szczycie stała pozłacana Najświętsza Maria Panna, zajęta czymś w rodzaju rozpoznania obywatelskiego. W rogu placu znajdował się punkt teleprezencji i kilka butików z obracającymi się na wystawach manekinami. Wokół parkowało mnóstwo szkieletowych europejskich rowerów. Po Marienplatz włóczyły się tłumy ludzi, zwłaszcza turystów z całego świata, przede wszystkim Indonezyjczyków.

Jak inni młodzi ludzie na placu, oparła się o kamienną balustradę fontanny. Trzy muskularne posągi wylewały z brązowych wiader niekończący się strumień wody. Słońce już zachodziło, zrobiło się całkiem zimno. Wszystkie dzieciaki, które znajdowały się w zasięgu jej wzroku, miały czerwone policzki, rozwiane włosy, ubrane zaś były w kurtki, kolorowe chusty na szyi i dziwnie wyglądające eurodzieciakobuty.

Od czasu do czasu przez plac przebiegała para wielkich policyjnych owczarków alzackich. Dzieciaki przestawały wówczas rozmawiać i jakby się trochę spinały.

Marienplatz był pięknym placem. Podobało się jej, że monachijczycy najwyraźniej zadbali o swój kościół: ostre łuki, balkoniki, podejrzanej koduity chrześcijańscy święci, którym udało się przekroczyć granice ciała. Najbardziej podobały się jej drewniane kolorowe średniowieczne roboty na wieży zegarowej.

Wysoko nad placem, na galeryjce wieży, głowami w dół, wisieli trzej nadzy katolicy z rękami złożonymi jak do modlitwy. Odprawiali publiczny rytuał pokuty. Nie skupiali na sobie przesadnej uwagi, nic z tych rzeczy, w rzeczywistości niełatwo było nawet dostrzec ich

wiszących na tej wysokości, praktycznie na samej galeryjce. Wystawiali swe ciała na wiatr i zimno, byli bardzo pokorni, bardzo wierzący, no i, najnormalniej naćpani, odlecieli wyżej niż latawce.

Ktoś do niej przemówił. Stał tuż obok.

— Co? — spytała.

Zobaczyła bardzo przystojnego młodego mężczyznę w spodniach z owczej skóry i kurtce z owczej skóry; ten chłopak miał na sobie praktycznie całą owcę, łącznie z ufarbowanym, pozbawionym oczu łbem, służącym za kołnierz kurtki. Cały był przez to biały i kędzierzawy, ale miał czarne, sczesane gładko na tył głowy włosy, dobrze pasujące do raczej pochyłego czoła i obwisłych czarnych brwi.

— Ach, angielski — powiedział. — Żaden problem. Znam angielski.

— Doprawdy? Świetnie. Cześć.

— Cześć. Skąd przybywasz?

— Z Kalifornii.

— I dziś przyjechałaś do Monachium?

— *Ja.*

Chłopak uśmiechnął się.

— Jak ci na imię?

— Maya.

— Ja jestem Ulrich. Witaj w moim pięknym mieście. Więc jesteś sama, nie masz rodziców, nie masz chłopca? Stoisz przez dwie godziny na Marienplatz, z nikim się nie spotykasz, nic nie robisz. — Roześmiał się. — Zgubiłaś się?

— Właściwie nie mam dokąd iść. Po prostu spędzam tu czas.

— A więc się zgubiłaś.

— No — przyznała Maya — Może rzeczywiście trochę się zgubiłam. Ale przynajmniej nie spędziłam dwóch godzin na szpiegowaniu kogoś, tak jak ty.

Ulrich uśmiechnął się leniwym uśmiechem, zdjął z ramienia brązowy plecak i postawił go między nogami.

— Jak mógłbym nie przyglądać się takiej pięknej dziewczynie — powiedział.

Maya wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Mówisz szczerze? O mój Boże…

— Tak, tak! Z pewnością nie jestem pierwszym mężczyzną, który odkrył przed tobą ten sekret. Jesteś piękna. Jesteś taka śliczna jak wielki królik.

— Nie wątpię, że po niemiecku brzmi to fantastycznie, ale…

— Jestem pewien, że potrafię ci pomóc. W którym hotelu się zatrzymałaś?

— Nie zatrzymałam się w żadnym hotelu.

— Więc gdzie masz bagaż?

Pokazała mu torebkę.

— Nie masz bagażu! Nie masz hotelu! Nie masz dokąd pójść. Nie masz rodziców. Nie masz chłopaka. A masz pieniądze?

— Nie.

— A kartę tożsamości? Spodziewam się, że masz jakąś kartę tożsamości?

— Nie mam przede wszystkim karty tożsamości.

— Tak? Czyli uciekłaś. — Ulrich przemyślał sobie tę rewelację, najwyraźniej z zachwytem. — No i zobacz, mam dla ciebie dobrą informację, Mayu Uciekinierko. Nie jesteś jedyną uciekinierką, która dotarła do Monachium.

— A już myślałam, żeby wieczorem wsiąść w pociąg i wrócić do Frankfurtu.

— Frankfurtu? To by dopiero było! Frankfurt to dziura! Frankfurt to grób! Chodź ze mną! Zabiorę cię do najsłynniejszego pubu na świecie!

— Dlaczego miałabym iść gdzieś z kimś, kto tak okrutnie potraktował owcę?

Ulrich pogładził swój strój; sprawiał wrażenie do głębi urażonego.

— Robisz sobie ze mnie żarty! Nie jestem okrutny! Sam zabiłem tę owcę, zabiłem ją w pojedynku. Chciała odebrać mi życie! Chodź ze mną, zabiorę cię do słynnego Hofbrauhaus. Tam je się mięso! I pije piwo!

— Jestem pewna, że żartujesz.

— To całkiem niedaleko — powiedział Ulrich, krzyżując ramiona odziane w kudłatą wełnę. — Chcesz zobaczyć czy nie?

— Owszem, chcę zobaczyć. Dobrze. Chodźmy.

Zabrał ją do Hofbrauhaus, tak jak obiecał. Nad wielkimi okutymi miedzią drzwiami i umundurowanymi funkcjonariuszami opieki społecznej wznosił się wielki kamienny łuk. Ulrich wyślizgnął się z kurtki i bardzo sprawnie, w ciągu kilku zaledwie sekund, ściągnął spodnie. Wełniane ubranie sprawnie wsunął do sporego plecaka. Pod nim nosił jednoczęściowy wzorzysty kostium.

Wewnątrz Hofbrauhaus miał sklepione sufity, malowidła na ścianach, latarnie i metalowe okucia. Był cudownie ciepły. W powietrzu unosił się ostry zapach smażonego mięsa. Wiekowa orkiestra dęta, której członkowie ubrani byli w dziwne kapelusze i grube portki na szelkach, grała dwustupięćdziesięcioletnie polki; muzykę ludową wyeksploatowaną do tego stopnia, że wpadała jednym uchem i wypadała drugim, gładko jak wrzucane do strumienia kamyki. Zupełnie obcy sobie ludzie siedzieli przy długich stołach z wygładzonego drewna, na długich ławach z wygładzonego drewna, pełni alkoholicznej życzliwości dla świata. Mia z ulgą zauważyła, że większość z nich właściwie nie pije alkoholu, tylko wielkie zimne

jęczmienne drinki, alkohol zaś wdychają przez oznaczone lipidami wtyki nosowe. W ten sposób kontrolowali przynajmniej jego dozowanie i nie dopuszczali trucizny do wątroby.

Panował tu straszliwy hałas.

— Chcesz coś zjeść? — krzyknął Ulrich.

Mia spojrzała na jeden z półmisków. Kawałki zwierzęcego mięsa pływające w brązowym sosie, poszatkowana kwaszona kapusta, ziemniaki purée.

— Nie jestem głodna — powiedziała.

— Chcesz się napić piwa?

— Obrzydlistwo.

— Więc czego chcesz?

— Nie wiem. Najbardziej chyba tego, żeby obejrzeć sobie tak dziwnie zachowujących się ludzi. Jest tu jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść, porozmawiać?

Ulrich zmarszczył brwi, i pomyślała, że to na nią się zdenerwował. Dokładnie obejrzał tłum.

— Zrób coś dla mnie — poprosił. — Widzisz tę starszą turystkę, tę z notebookiem?

— Widzę. I co?

— Podejdź do niej i zapytaj, czy ma plan miasta. Porozmawiaj z nią przez minutę, przez sześćdziesiąt sekund, o nic więcej cię nie proszę. Zapytaj… zapytaj ją, czy wie, gdzie jest Chińska Wieża. Potem wyjdź z Hofbrauhaus. Spotkamy się na ulicy.

— Dlaczego? — spytała, wpatrując się w jego twarz. — Chcesz, żebym zrobiła coś złego, prawda?

— Może trochę złego, owszem, ale dla nas bardzo użytecznego. Idź i porozmawiaj z nią. Rozmowa przecież nikomu w niczym nie szkodzi, prawda?

Maya podeszła do starszej pani. Starsza pani powoli i metodycznie zajadała makaron, używając do tego celu widelca i łyżki. Piła z butelki coś, co nazywało się Fruchtlimo. Ubrana była bardzo ładnie.

— Przepraszam bardzo, czy mówi pani po angielsku? — spytała Maya…

— Oczywiście, mówię, młoda damo.

— A ma pani może plan Monachium? Angielski? Szukam pewnego miejsca.

— Oczywiście, że mam. Pomogę ci z przyjemnością. — Kobieta otworzyła notebooka i sprawnie przebiegła po kolejnych menu. — Jak się nazywa to miejsce, do którego chcesz dotrzeć?

— Chińska Wieża.

— A, tak. Oczywiście, wiem gdzie to jest. O, mamy… — Wskazała ekran. — Chińska Wieża znajduje się w Angielskich Ogrodach. W

parku, zaprojektowanym w latach 1790-tych przez księcia von Rumforda. Książę von Rumford w rzeczywistości nazywał się Benjamin Thompson i był amerykańskim emigrantem. — Podniosła błyszczące oczy. — Czy to nie zabawne? Takie stare miasto, a przeprojektowywał je Amerykanin.

— Owszem, prawie tak zabawne jak fakt, że Indianapolis przeprojektowywali Indonezyjczycy.

— Cóż… — kobieta zmarszczyła brwi — …to akurat zdarzyło się na długo przed twoim urodzeniem. Tak się jednak składa, że pochodzę z Indiany, byłam w mieście, kiedy sprzedano je Indonezyjczykom i uwierz mi, proszę, moim zdaniem wcale nie było to takie zabawne.

— Bardzo pani dziękuję za pomoc.

— Czy chcesz, żebym wydrukowała ci mapę? W torebce mam scroller.

— Nie, to niepotrzebne. Ktoś na mnie czeka, muszę lecieć.

— Wieża jest dość daleko stąd. Możesz zabłądzić. Pozwól, że… — przerwała zaskoczona. — Nie mam torebki!

— Zgubiła pani torebkę?

— Nie, nie zgubiłam jej. Cały czas leżała tu, o tu, pod ławką. — Kobieta rozejrzała się, spojrzała na Mayę i powiedziała cicho: — Obawiam się, że ktoś ją zabrał. Ukradł. O mój Boże, jakie to nieprzyjemne!

— Bardzo mi przykro. — Maya nie znalazła słów na wyrażenie swych prawdziwych uczuć.

— Obawiam się, że będę zmuszona do rozmowy z władzami. — Starsza pani westchnęła. — Bardzo to przygnębiające. Będą tacy zawstydzeni, biedaczyska. Okropne, kiedy coś takiego trafia się gościowi.

— Bardzo ładnie, że tak się pani troszczy o ich uczucia.

— Och, oczywiście, że nie chodzi o tych kilka osobistych drobiazgów. Boli pogwałcenie zasad cywilizowanego postępowania.

— Zdaję sobie z tego sprawę — powiedziała Maya — i naprawdę bardzo mi przykro. Chciałabym, żeby wzięła pani moją torebkę zamiast tej, którą pani straciła. — Położyła na stole swoją torebkę. — Prawie nic w niej nie ma, ale chciałabym, żeby ją pani zatrzymała.

Starsza pani po raz pierwszy spojrzała jej prosto w oczy i wówczas zaszło między nimi coś dziwnego. Kobieta zbladła, a jej oczy rozszerzyły się.

— Czy nie mówiłaś mi przypadkiem, że ktoś na ciebie czeka? — W jej głosie wyczuwało się wahanie. — Że ktoś na panią czeka, proszę pani? Nie chcę pani zatrzymywać.

— Tak, oczywiście — powiedziała Maya. — Do widzenia. *Auf wiedersehen.* — I wyszła z Hofbrauhausu.

Ulrich czekał na nią na zewnątrz, na ulicy. Włożył już swój

wełniany strój.

— Strasznie dużo czasu ci to zabrało — powiedział karcąco. — Chodź ze mną.

Poszedł w stronę wejścia do stacji metra. Kiedy jechali schodami, otworzył brązowy plecak i zaczął grzebać w jego przepastnym wnętrzu.

— Aha! Wiedziałem! — powiedział w końcu, wyjmując mały, leciutki klips. — Masz, włóż go.

Maya zapięła klips na prawym uchu. Ulrich mówił coś do niej po niemiecku. Wypowiedziane przez niego niezrozumiałe niemieckie słowa tłumacz od razu przekładał na angielski.

— Tak będzie znacznie łatwiej — powiedział klips bezdźwięczną, nowoangielską angielszczyzną. — Teraz będziemy mogli rozmawiać z czymś w rodzaju intelektualnej kompatybilności.

— Co?

— Tłumacz działa, prawda? — spytał po angielsku Ulrich, wskazując palcem swe prawe ucho.

— Och! — Maya dotknęła klipsa. — Tak, owszem, działa.

Ulrich radośnie wrócił do języka swych ojców.

— Doskonale! Doskonale! Teraz będę w stanie udowodnić ci, że jestem sprytniejszy i bardziej pomysłowy, niż wskazywałaby na to ma niedoskonała znajomość angielskiej gramatyki czasowników nieregularnych.

— Ukradłeś tej kobiecie torebkę, prawda?

— Owszem, ukradłem. Było to konieczne. Rozmowa z tobą stawała się dla mnie zbyt frustrująca. Byłem pewien, że kobieta w jej wieku, jej klasy, będzie dysponowała turystycznym tłumaczem. Kto wie, może ma w torebce jeszcze bardziej interesujące rzeczy.

— A co, jeśli cię złapią? Jeśli złapią nas?

— Nie złapią. Kiedy kradłem torebkę, miałem na sobie kostium, a nikt w kolorowym kostiumie nie został zarejestrowany przy wejściu lub wyjściu z budynku. Istnieją pewne techniki umożliwiające bezpieczne przeprowadzenie tego rodzaju akcji. Sztukę tę trudno wyjaśnić neofitom. — Ulrich szybkim ruchem pogładził włochate rękawy kurtki. — Wracajmy jednak do sprawy. Angielski rozumiem bardzo dobrze, ale nie mówię w nim najlepiej. — Roześmiał się. — Więc będziesz mówić do mnie po angielsku, ja będę mówił do ciebie po niemiecku i dzięki tłumaczowi poradzimy sobie doskonale.

Zjechali na dół i zaczęli przedzierać się przez gęstwinę doniczkowych roślin: cykasów, palm, miłorzębów i wielu innych.

— Kiedy ktoś mówi do ciebie w uproszczonej wersji twojego języka — mówił dalej Ulrich — niemal nie sposób właściwie ocenić jego intelekt. Nieuchronnie myśli się o nim, jak o idiocie. Nie chciałbym, byś oceniała mnie w taki właśnie sposób. Tego rodzaju

nieporozumienie rzuciłoby cień na całokształt naszych wzajemnych stosunków.

— W porządku. Rozumiem cię doskonale. Potrafisz pięknie, mówić. Niemniej jednak, jesteś złodziejem.

— Tak, oczywiście. My, europejscy złodzieje torebek tradycyjnie kształcimy się w najlepszych szkołach. Wymaga tego specyfika naszego zawodu. — Słyszała sarkazm w tonie głosu chłopaka, mimo odbywającego się w czasie rzeczywistym przekładu. Głosem o odpowiednio dobranej wysokości i tonie tłumacz wciskał okruchy angielszczyzny między chrapliwe niemieckie sylaby. Trudno było się do tego przyzwyczaić tak od razu.

Weszli do wagonu metra i usiedli z tyłu. Ulrich nie przejmował się biletem.

— Scenę zbrodni najlepiej opuścić jak najszybciej — mruknął. Wziął torebkę Mayi, otworzył i przesypał do niej zawartość skradzionej torebki, zgrabnie przeprowadzając całą operację wewnątrz swego brązowego plecaka. — Masz — powiedział, oddając jej torebkę. — Teraz to wszystko twoje. Sprawdź, czy jest tam coś użytecznego.

— To bardzo nieuczciwe.

— Mayu, ty jesteś nieuczciwa. Jesteś nielegalnym cudzoziemcem podróżującym po tym kraju bez karty tożsamości — stwierdził chłopak. — Gotowa jesteś wykazać się uczciwością i wrócić do domu? Czy chcesz stanąć twarzą w twarz z ludźmi, przed którymi uciekłaś?

— Nie. Tego na pewno nie pragnę.

— Więc tak czy tak, już łamiesz prawo, a będziesz zmuszona do złamania jeszcze wielu równie głupich praw. Bez karty tożsamości nie dostaniesz żadnej prawdziwej pracy. Bez niej nie będziesz w stanie przeprowadzić badań medycznych ani ubezpieczyć się. Jeśli policja kiedykolwiek zdecyduje się przesłuchać cię formalnie, pobiorą ci maleńki fragmencik DNA i od razu będą wiedzieli, kim jesteś. Nie ma znaczenia, z jakiego zakątka naszego wspaniałego świata pochodzisz, nie ma znaczenia, kim jesteś. Banki danych medycznych ugody są bardzo dobre. — Ulrich potarł brodę. — Mayu, czy wiesz, co to jest „Społeczeństwo Informacyjne”?

— Oczywiście. Mam wrażenie, że wiem doskonale.

— Europa to prawdziwe Społeczeństwo Informacyjne. Prawdziwe Społeczeństwo Informacyjne to społeczeństwo informatorów. — Ciemne oczy chłopca zwęziły się. — Społeczeństwo Judaszów, społeczeństwo szpiegów, społeczeństwo kabli. Czy moja retoryka przedziera się przez tłumacza?

— Owszem, przedziera.

— Co za wspaniały tłumacz! Jakiż ma wspaniały słownik kolokwialnej niemczyzny! — Ulrich roześmiał się wesoło i zniżył

głos. — Monachium to dobre miejsce, żeby się ukryć, bo policja działa tu bardzo niemrawo. Ktoś mądry i mający odpowiednich przyjaciół przeżyje w Monachium nawet jako uciekinier. Ale jeśli kiedykolwiek ktokolwiek zwróci na ciebie uwagę, psy pojawią się natychmiast i zostaniesz aresztowana. Masz to jak w banku.

— Ty też jesteś nielegalny, Ulrichu?

— Ależ skąd! Jestem prawdziwym, legalnym Niemcem. Mam dwadzieścia trzy lata. — Chłopak przeciągnął się i założył ramiona za głowę. — Prowadzę pogodne życie drobnego kryminalisty, dlatego że takie życie mi się podoba, oraz z powodów ideologicznych. Zbyt wiele uczciwości szkodzi.

Maya zajrzała do torby. Kusiło ją, żeby jeszcze trochę ponarzekać, postanowiła jednak odpuścić, kiedy zorientowała się, jak cenny jest jego łup. Minibanku używać mógł, oczywiście, wyłącznie jego legalny właściciel, ale w torebce były trzy karty gotówkowe z zarejestrowanymi pieniędzmi, a także bilet na monachijskie metro, okulary przeciwsłoneczne, szczotka do włosów z grzebieniem, lakier do włosów, szminka (niestety nie w jej guście), krem na noc (na bazie hydrolizera), doustna kreda pH (o smaku miętowym), tabletki mineralne do nalewek, zestaw strzykawek, mały, bardzo wygodny netlink, scroller i aparat fotograficzny.

Maya wyciągnęła aparat fotograficzny; mały, cyfrowy, produkowany specjalnie dla turystów. Doskonale pasował do jej dłoni. Podniosła go do twarzy i eksperymentalnie skierowała obiektyw na Ulricha. Chłopak uchylił się gwałtownie, kręcąc głową.

Maya sprawdziła ustawienia aparatu, po czym wyczyściła dysk ze zrobionych wcześniej zdjęć.

— Naprawdę mogę zatrzymać sobie to wszystko? — spytała.

— Wiem, że to wszystko ci się przyda — odparł chłopak po angielsku.

— Wspaniale! — ucieszyła się i zaczęła polerować aparat papierową chusteczką.

— Sprawdziłem, co masz w torbie — przyznał się Ulrich. — Zrobiłem to, gdy przyglądałaś się wieży i tym zwariowanym katolikom. Nie było w niej nic cennego — pół torby precli z dobroczynności i majtki zabrudzone szczurzymi odchodami. Bardzo mnie to zainteresowało. — Pochylił się ku niej. — Postanowiłem, że nie przywłaszczę sobie tej twojej bezużytecznej torby. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli raczej zaoferuję ci opiekę. Nie wiem, kim jesteś, moja mała Kalifornijko, ale z całą pewnością nie jesteś osobą światową. Bez przyjaciół niedługo pożyłabyś w Monachium.

Maya uśmiechnęła się do niego promiennie, doskonale szczęśliwa i pewna siebie.

— A więc jesteś moim nowym przyjacielem? — spytała.

— Oczywiście. Dokładnie tego rodzaju złe towarzystwo jest ci potrzebne.

— Podziwiam twą hojność. Zwłaszcza hojność w dysponowaniu cudzą własnością.

— Równie hojnie dysponowałbym moją własnością, gdyby pozwolono mi mieć coś na własność. — Ulrich ujął dłoń Mayi i uścisnął ją bardzo delikatnie. — Nie ufasz mi? — spytał. — Powinnaś mi zaufać. Jeśli mi zaufasz, będziemy bawić się znacznie lepiej.

Podniósł jej dłoń i delikatnie dotknął wargami.

Maya cofnęła rękę, objęła go za szyję i pochyliła się. Ich twarze zbliżyły się do siebie, usta zetknęły.

Pocałunek ten był dla niej czymś absolutnie wspaniałym. Ze smukłej szyi, wyrastającej z wełnianego kołnierza, biło rozkoszne ciepło. Zapach żywego męskiego ciała, ciała tak bliskiego, wzbudził w niej wspomnienia, od których aż zapłonęła. Czuła, jak cała rośnie, a potem zapada się w sobie, jakby jej nagi mózg wbił ząb w cytrynę.

Całowała tak, jakby miała wycałować go aż do wnętrza ciała.

— Uważaj, myszko — powiedział Ulrich, odrywając się od niej z westchnieniem pełnym szczęścia. — Ludzie na nas patrzą.

— To co, nie wolno już całować chłopaka w metrze? — zapytała, wycierając usta rękawem. — Zaszkodzi to nam, czy co?

— Nie zaszkodzi, ale zostaniemy, być może, zapamiętani. A to nie byłoby mądre.

Maya rozejrzała się po wagonie. Gapiło się na nich kilkunastu monachijczyków. Przyłapani na gorącym uczynku Niemcy nie odwracali wzroku, nadal przyglądali się im spokojnie z wielkim zainteresowaniem, bez śladu nieśmiałości. Maya zmarszczyła brwi i w geście samoobrony podniosła do twarzy aparat fotograficzny. Pasażerowie zareagowali uśmiechami, zaczęli do niej machać i wygłupiać się. Mia niechętnie schowała aparat do torebki.

— A właściwie to gdzie jedziemy? — spytała.

— A dokąd chciałabyś pojechać?

— Tam, gdzie można się położyć.

Ulrich roześmiał się radośnie.

— Tego się właśnie spodziewałem — oznajmił. — Jesteś szalona.

Maya szturchnęła go w żebra.

— Nie udawaj, że ci się nie podobało, ty królu oszustów.

— Oczywiście, że mi się podobało. Tak szalonej dziewczyny szukałem przez całe życie. Jesteś bardzo ładna, wiesz? Nie kłamię, to szczera prawda. Tylko powinnaś zapuścić włosy.

— Kupię sobie perukę.

— Kupię ci siedem peruk — obiecał chłopak. Oczy mu się zamykały. — Po jednej na każdy dzień tygodnia. I stroje. Lubisz ładne stroje, prawda? Po tej kurtce poznaję, że lubisz ładne stroje.

— Lubię żywe stroje.

— Uciekłaś z domu, żeby żyć, prawda, mała myszko? Żywi ludzie doskonale się bawią. — Na chwilę Maya odebrała mu oddech, na jej pocałunki zareagował z opóźnieniem, ale odzyskał wreszcie inicjatywę i miał teraz poważny problem z opanowaniem łap. — Pieszczoty zawsze mnie ogłupiały — oznajmił wszem i wobec, głaszcząc jej lewe udo. — Powinienem zabrać cię do taniego hotelu, ale zamiast do hotelu zabiorę cię do mej ulubionej jaskini przestępców.

— Jaskinia przestępców? Jakie to romantyczne! Czegóż więcej mi potrzeba?

— Lepszych butów — odpowiedział bardzo poważnie. — Szkieł kontaktowych. Kart gotówkowych. Peruk. Kremów koloryzujących do skóry. Podstaw niemieckiego, takich żeby móc się dogadać z ludźmi. Map. Jedzenia. Kanalizacji. Miłego ciepłego łóżka.

Z metra wysiedli na Shwabingu. Ulrich zabrał ją do jaskini przestępców. Był to czteropiętrowy dwudziestowieczny blok mieszkalny, zbudowany z taniej i ohydnej, żółtej cegły. Ktoś umyślnie i metodycznie pozbawił budynek całej instalacji elektrycznej, redukując go w ten sposób do ruiny, w której nie sposób było wynająć cokolwiek komukolwiek. Z ganku przy drzwiach wejściowych Ulrich zabrał drucianą lampę naftową.

— Inspektorów sanitarnych nie da się utrzymać z dala od żadnej rudery — ostrzegł. Zignorowali zrujnowaną windę, kierując się na schody, ciemne i śmierdzące. Czekała ich długa wspinaczka. — Ludzie z pomocy obywatelskiej są uparci jak szczury, i bardzo odważni. Policja monachijska jest bardzo efektywna, więc także leniwa. Gliny wolą, żeby robotę odwalały za nich maszyny. Trudno założyć podsłuch albo nagrywać w ruinie, w której nie ma elektryczności.

— Ile osób tu mieszka?

— Ludzie przychodzą i odchodzą. Mniej więcej pięćdziesiąt osób. Sami anarchiści.

— I wszyscy jesteście młodzi?

— Życie kończy się po czterdziestce — powiedział po angielsku Ulrich i uśmiechnął się. — Nazywają nas młodymi… starzy nie lubią slumsów. Nie pragną wolności, nie pragną prywatności. Pragną mieć archiwa i maszyny sprzątające, wygodne fotele, prawdziwe pieniądze, wszędzie monitory i alarmy, wszystkie wygody. Naprawdę starzy ludzie nigdy nie mieszkają jak my. Nie czują takiej potrzeby… — Chłopak uśmiechnął się na pół kpiącym uśmieszkiem. — To jedna z wielu potrzeb, których starzy ludzie już nie odczuwają.

— Masz rodziców?

— Każdy ma rodziców. Czasami po prostu się nam gubią. — Dotarli aż na trzecie piętro. Ulrich przystanął i uniósł syczącą lampę, oświetlając twarz Mayi. Sprawiał wrażenie wyjątkowo poważnego. —

Nie wypytuj mnie o moich rodziców, a ja nie będę cię wypytywał o twoich.

— Moi rodzice nie żyją.

— Jakie to urocze! — Ulrich cierpliwie wspinał się po schodach. — Pożałowałbym cię nawet… gdybym ci wierzył.

Zdyszani, znaleźli się na najwyższym piętrze. Poszli chłodnym korytarzem o nagich, pokrytych graffiti ścianach. Graffiti były bardzo buntownicze, elegancko wyrysowane, bardzo przemyślnie sformułowane. Większość haseł wypisano w języku angielskim. „Kupno nowego samochodu uczyni cię atrakcyjniejszym seksualnie" — głosił jeden z nich. „Poświęcaj więcej środków na zaspokojenie krótkoterminowych potrzeb" — proponował ponuro inny.

Ulrich otworzył metalowym kluczem staroświecką kłódkę. Drzwi otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem. Znajdujący się za nimi pokój był ciemny, zimny i śmierdział. Wewnętrzne ściany zburzono niemal w całości i zastąpiono wiszącymi na sznurach kocami. W powietrzu unosił się odór zgnilizny i mysich odchodów.

Ulrich zamknął i zaryglował drzwi.

— Prawdziwy luksus! — powiedział. Jego głos jakby rozpraszał się w ciemności. — Oto prawdziwa prywatność! I nie mam na myśli prawnej prywatności. Chodzi mi o to, że nasze mieszkanie jest fizycznie odporne na urządzenia śledzące.

— Więc nic dziwnego, że tak strasznie śmierdzi.

— Zaraz się tym zajmę.

Chłopak zapalił jedną po drugiej kilka pachnących świec. Pokój wypełnił się przenikliwą, woskową wonią owoców tropikalnych — ananasów, mango. Maya wątpiła, by Ulrich kiedykolwiek miał w ustach ananasa albo mango. Zapewne brak osobistych doświadczeń sprawiał, że zapach ten wydawał mu się bardziej podniecający i egzotyczny.

W romantycznym blasku świec przyjrzała się cuchnącej norze.

— Zgromadziłeś sporo elektronicznego złomu, biorąc pod uwagę, że nie masz elektryczności.

Ulrich skinął głową.

— To zdobyczne — powiedział. — Tak się składa, że dzielę mieszkanie z trzema przyjaciółmi o podobnych do moich zainteresowaniach. Stwierdziliśmy, że życie poza granicami prawa wymaga łączenia środków.

Zawiesił lampę na umocowanym pod sufitem sznurze. Lampa kołysała się lekko. Na ścianach tańczyły cienie.

— Nie mieszkam tu — tłumaczył dalej chłopak. — W żadnym wypadku nie wolno mieszkać na stałe tam, gdzie przechowuje się zdobycz. Trudno też rozruszać operację paserską na jakąś większą

skalę. Przeszkadza waluta oparta na kryterium czasu, sieć informacyjna, panoptyczne środki śledzące i inne metody rządów gerontokracji. Wraz z towarzyszami używamy więc tego pokoju jako magazynu. Czasami także sypiamy tu z kobietami.

— Co za bałagan! Fantastyczne! Mogę zrobić zdjęcie?

— Nie.

Maya ze zdumieniem przyglądała się temu egzotycznemu widokowi: torby, buty, sprzęt sportowy, rekordery, rozebrane laptopy, góry ubrań ze skradzionego bagażu turystów.

— Przecież to prawdziwy antykwariat — stwierdziła. — Nie masz tu może ekranów dotykowych zdolnych rozpoznać hasło gesturalne i połączyć mnie z pałacem pamięci ustanowionym w latach sześćdziesiątych?

— Bardzo mi przykro, kochanie, ale nie mam pojęcia o czym mówisz — odparł chłopak i podszedł do niej z rozłożonymi ramionami.

Całowali się gorączkowo. Pokój był już przyjemnie ciepły, lecz nie wystarczająco ciepły, by chciało się zrzucić ubranie.

— Gdzie możemy to zrobić? — spytała Maya.

— Tam jest śpiwór. Ukradłem go narciarzowi. Jest bardzo ciepły. I pomieści dwie osoby.

— Doskonale. — Maya wyrwała się z jego uścisku. — Chcę to zrobić i ty wiesz, że chcę to zrobić, prawda? Ja zaś wiem, że ty chcesz to zrobić… i to znacznie bardziej, niż ja chcę to zrobić. Wynika z tego, że ja ustalam zasady. Prawda?

Ulrich uniósł brwi.

— Zasady? — zdziwił się.

— Właśnie, zasady. Zasada numer jeden: nie wiesz, kim jestem i skąd pochodzę. I nigdy nie będziesz próbował się dowiedzieć.

— Och, skarbie, twoje zasady strasznie mi się podobają. Tak będzie zabawniej.

— Zasada numer dwa: nie będziesz opowiadał o mnie swoim podejrzanym przyjaciołom. Nie będziesz opowiadał o mnie nigdy i nikomu.

— Doskonale. Z całą pewnością nie jestem kablem. Mamy więc dwie zasady i… — przerwał. — Gwałtownie powiększasz zakres żądań.

— Zasada trzecia: zostanę w tej jaskini, póki się mną nie znudzisz. Musisz jednak pilnować, żebym nie zamarzła na śmierć, musisz mnie strzec i sprawdzać, czy jem wystarczająco wiele.

— Lepiej będzie, jeśli podyskutujemy nad twoimi propozycjami później — stwierdził Ulrich. — Brzmią bardzo ambitnie. No i nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie umiałem się dostosować do więcej niż dwóch zasad na raz.

Maya miała wrażenie, że w zaistniałej sytuacji jest to rozsądna propozycja. Wraz z Ulrichem wślizgnęła się do śpiwora. Zrzucili ubrania i przytulili się do siebie. Pieścili się, gładzili, dyszeli ciężko i było im bardzo miło. Mieli wrażenie, że zajęło to sporo czasu, ale w rzeczywistości minęło może osiem minut.

Nic nie szkodzi.

Kiedy skończyli, usiadła w śpiworze. Ukradziony śpiwór narciarza wyścielony był metalową siatką; czuła się w nim jak grzanka w opiekaczu.

— Było cudownie. Czuję się teraz bardzo szczęśliwa — powiedziała.

— Ja też jestem zachwycony — przyznał rycersko Ulrich. Wyraźnie cierpiał na postkoitalne przygnębienie i równie wyraźnie próbował osiągnąć stan przytomności, nie podpierając się hormonami. Od bardzo dawna nie widziała tego procesu u towarzyszącego jej mężczyzny, lecz w pewien sposób był to przecież widok wzruszająco znajomy. Pogodziła się z realiami męskiej fizjologii przed wielu, bardzo wielu laty. Byłoby cudownie, gdyby dalej mogli się całować, lecz Ulrich, jeśli nie wyrasta wysoko ponad przeciętność, to albo zechce teraz zjeść kanapkę, albo za chwilę zaśnie.

— Powinienem zorganizować nam jakieś jedzenie — powiedział chłopak z behawioralną doskonałością maszyny. — Co byś chciała?

— Och, coś koloidalnego, bardzo białkowego i tryptofanowego.

— Przepraszam, co?

— Cokolwiek, byle nie warzywa i martwe zwierzęta.

— Doskonale. — Ulrich ubierał się metodycznie. Udało mu się nawet wesoło puścić do niej oko. — Uwielbiam dziewczyny w łóżku, ubrane wyłącznie w tłumacza. Widok ten czyni życie pełnym rozkosznych obietnic.

Wyszedł. Słyszała trzask zamykanej kłódki, a potem, na korytarzu, jego oddalające się kroki.

Została zamknięta na kłódkę w jaskini kryminalistów, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Wstała natychmiast i z chorobliwym zapałem zabrała się do sprzątania. Panujący tu bałagan doprowadzał ją do szaleństwa.

Przerwała dopiero wtedy, gdy odkryła mały, zapewne skradziony telewizorek. Autentyczne telewizory z ich pojedynczym strumieniem danych, brakiem klawiatury i żałośnie jednowymiarowym interfejsem były już prawdziwymi starociami. Ona sama całymi latami kolekcjonowała kiczowate dziwactwa, pozostałe po olbrzymiej górze dwudziestowiecznej kultury telewizyjnej, nim odkryła jeszcze bardziej niesamowite: niszę CD-ROMów i oprogramowania komputerowego.

Spróbowała włączyć telewizor, ale nie było w nim baterii. Rozpoczęła poszukiwania i szybko stwierdziła, iż baterie wyjęto ze

wszystkich znajdujących się w pokoju elektronicznych cacek. Świeża zdobycz, znajdująca się nadal w jej torbie, była oczywiście wyjątkiem. Wyciągnęła netlink, przełożyła jego baterie do telewizorka i włączyła go.

Na ekranie pojawił się niemiecki talk-show. Gospodarzem był pies, bernardyn. Rozmawiał z aktorką. Maya systematycznie sprzątała pokój, słuchając telewizji jednym uchem.

— Mam kłopoty z czytaniem — wyznał pies. Doskonale mówił po niemiecku. Jak to bernardyny, był niesamowicie kudłaty, ubranie miał jednak wyjątkowo eleganckie. — Opanowanie mowy to jedna sprawa. Każdy odpowiednio wzbogacony pies jest w stanie opanować mowę. Zdolność czytania to jednak zupełnie inny poziom percepcji semantycznej. Sponsorzy zrobili dla mnie wszystko, co w ich mocy, wiesz o tym równie dobrze, jak ja, Nadju. Musimy jednak przyznać to tu i teraz, publicznie — umieć czytać to wielkie wyzwanie dla każdego postpsa.

— Biedaku — powiedziała aktorka z autentyczną sympatią. — Po co walczyć? Mówi się przecież, że żyjemy w epoce postliterackiej.

— Każdy, kto powtarza takie rzeczy, przyznaje się do poważnej utraty kontaktu z rzeczywistością — stwierdził pies bardzo poważnie i godnie. — Goethe. Rilke. Gunter Grass. Heinrich Boll. Te nazwiska mówią same za siebie.

Mayę zafascynował strój aktorki. Aktorka miała na sobie niemal przezroczysty mundur wojskowy — zielony, ledwie widoczny mundur bojowy i satynowy sweter wojsk powietrzno-desantowych. Jej twarz wyglądała jak kamea, włosy zaś wprawiały w podziw. Zasługiwały na doktorat z inżynierii światłowodów.

— W naszej epoce każdy z nas z osobna jest rzucony na głęboką wodę — żaliła się aktorka. — Wystarczy tylko pomyśleć, co można zrobić z nami na planie, o tych niesamowitych przestrzeniach mentalnych, w które wysyła się ludzi, by uzyskać lepsze efekty aktorskie… a są przecież także rynsztokowi netszaleńcy, śmierdzący *paparazzi*… ale wiesz, Aquinasie, mówię zupełnie szczerze: jesteś psem, wiem, że jesteś psem, to żaden sekret, lecz naprawdę, to znaczy z głębi serca, mówię ci, że w twoim programie czuję się lepiej niż w jakimkolwiek innym.

Rozległy się grzeczne, powściągliwe oklaski.

— To bardzo miło z twojej strony — podziękował pies, merdając ogonem. — Nie potrafię znaleźć właściwych słów, by opisać, jak przyjemnie było mi to słyszeć. A teraz opowiedz nam, Nadju, proszę, o tym, co zdarzyło się na planie z Christianem Mancuso. O co właściwie chodziło?

— Cóż, Aquinasie, tobie mogę powiedzieć, choć oczywiście nie opowiadałabym o tym każdemu. A więc tak… Christian i ja mamy po

sześćdziesiąt parę lat. Nie jesteśmy młodzi. Oczywiście, że nie jesteśmy młodzi. Pracowaliśmy razem dla wytwórni Hermes Kino. Przez sześć tygodni byliśmy na planie. Współpracowało się nam doskonale. Przyzwyczaiłam się do jego towarzystwa, wiesz? Schodziliśmy z planu, uspokajaliśmy się, jedliśmy razem kolację, omawialiśmy scenariusz… Pewnego wieczoru Christian wziął mnie w ramiona i pocałował! Przypuszczam, że trochę to zaskoczyło nas oboje. A jednak wydawało mi się takie słodkie!

— *Natürlich* — przytaknął pies.

— Więc oboje postanowiliśmy przejść kurację hormonalną. O ile pamiętam, był to jego pomysł.

Publiczność klaskała uprzejmie.

— Więc tak właśnie postąpiliśmy. Pełna kuracja hormonalna. Seks był dla nas bardzo ważny. Zdumiewające, doprawdy, jak głębokie było to doświadczenie. Muszę przyznać, że na dłuższą metę odniosłam z niego same korzyści. Najwyraźniej podbudował me zdolności twórcze. Sprawiał mi przyjemność. Wielką przyjemność. Wiem, że Christianowi także.

— A skąd to wiesz? — spytał pies.

— Kobiety zawsze wiedzą. Mogę powiedzieć, że było to najgłębsze doświadczenie erotyczne w całym moim życiu. Robiłam rzeczy, których nigdy nie zrobiłabym jako młoda kobieta. Dla młodych ludzi seks jest tak strasznie ważny. Młodzi ludzie traktują go tak poważnie, tak formalnie…

— Proszę, opowiedz nam wszystko — poprosił pies. — Opowiedz nam wszystko, póki jesteś w nastroju.

— No… różne rzeczy… na przykład stroiliśmy się. Stroiliśmy się do łóżka. — Aktorka uśmiechnęła się promiennie. — Bardzo mi się to podobało. Myślę, że sprawiało wielką przyjemność nam obojgu. Jakbyśmy byli pijani. Pijani hormonami. Jeśli nie wierzysz w to, co mówię, zawsze możesz sprawdzić moje akta medyczne.

— Strojenie się? — powtórzył sceptycznie pies. — Nic więcej? „Strojenie się" brzmi bardzo niewinnie.

— Posłuchaj, Aquinasie, oboje z Christianem jesteśmy zawodowcami. Nie masz pojęcia, co potrafi prawdziwy zawodowiec, jeśli zdecyduje się wystroić.

Ludzie w studiu roześmieli się, najwyraźniej na polecenie reżysera.

— I co było dalej? — zapytał pies.

— No cóż, po jakichś osiemnastu miesiącach… nie powiem, żeby seks nas zmęczył, ale na pewno trochę się uspokoiliśmy. Christian przeszedł rutynowe badania, podczas których wykryto u niego cysty na pęcherzu. Z winy hormonów. Christian postanowił zrezygnować. Ja, oczywiście, poszłam w jego ślady. I wówczas wszystko się

skończyło, z naszego związku uszła cała energia. Zaczęliśmy… zaczęliśmy się siebie wstydzić. Nie próbowaliśmy już ani wspólnie żyć, ani spać ze sobą.

— Jaka szkoda — skomentował pies dość konwencjonalnie.

— Gdy ma się lat trzydzieści, być może. — Aktorka wzruszyła ramionami. — Po sześćdziesiątce zna się już życie.

Rozległy się słabe oklaski.

Aktorka, podniecona, wyprostowała się w fotelu.

— Nadal się przyjaźnimy, naprawdę — powiedziała. — Bardzo chętnie będę pracować z Christianem Mancuso. W każdej chwili. Przy każdym filmie. To doskonały aktor! Prawdziwy zawodowiec! Nie czuję wstydu ani zażenowania z powodu tej naszej małej, brudnej, zmysłowej przygody. Pomogła ona nam obojgu. W sensie artystycznym, rzecz jasna.

— Czy, gdyby nadarzyła się okazja, znowu byś to zrobiła?

— Cóż… tak! Może…? ale chyba nie. Nie. Aquinasie, chcę być z tobą całkowicie szczera. Nie zrobiłabym tego.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Pojawił się Ulrich, zawołał do niej coś po niemiecku. Tłumacz miał do wyboru jego i ciągłą gadaninę z telewizora. Prosta maszyna nie potrafiła zdecydować, na co zwrócić uwagę właściciela, i zamilkła.

Maya wyłączyła telewizor. Tłumacz włączył się z typowym cichym gwizdem.

— Mam nadzieję, że lubisz chińskie dania? — spytał Ulrich.

— Kocham chińskie dania.

— Tak mi się właśnie wydawało, że lubisz. Pocięte na kawałki gówno, niepodobne do niczego. W sam raz dla Kalifornijki.

Podał jej kartonowe pudełko i pałeczki.

Usiedli na lodowatej podłodze. Zajadali ze smakiem. Ulrich rozejrzał się dookoła.

— Po co przestawiłaś te rzeczy? — spytał.

— Sprzątałam.

— Jesteś prawdziwym skarbem — stwierdził chłopak, żując wytrwale.

— Po co w ogóle trzymasz tu te graty? Powinieneś sprzedać je dawno, dawno temu.

— To nie takie proste. Łatwo sprzedać baterie. Na baterie zawsze istnieje popyt na czarnym rynku. Reszta łupu nie jest aż tak bezpieczna. Lepiej odczekać jak długo się da, aż ślad nie będzie świeży.

— Z pewnością odczekałeś już wystarczająco długo. To wszystko pokryte jest grubą warstwa kurzu. I mysich odchodów.

Ulrich wzruszył ramionami.

— Chcieliśmy kupić kota, ale za rzadko tu przychodzimy.

— Po co w ogóle okradacie ludzi, skoro nie sprzedajecie tego, co ukradliście?

— Och, sprzedajemy przecież, sprzedajemy! Oczywiście, że sprzedajemy. Gotówka zawsze się przyda. — Ulrich machnął pałeczkami. — Ale pieniądze nie są naszym głównym motywem, rozumiesz? Robimy co możemy, by wyprowadzić z równowagi dostojnych burżujów.

— Jasne — powiedziała Maya ze sporą dozą sceptycyzmu.

— Pieniądze to jeszcze nie wszystko. Dopiero co uprawialiśmy seks — poinformował ją z tryumfem chłopak. — Dlaczego nie zażądałaś ode mnie pieniędzy?

— Nie wiem. Po prostu nie uznałam tego za konieczne.

— Być może powinnaś wziąć ode mnie pieniądze. Jesteś nielegalna, a ja jestem obywatelem Europy. Nakarmią mnie, dadzą mi mieszkanie, będą mnie uczyć, będą mnie nawet bawić, i wszystko to za darmo! Jeśli zgłoszę się na ochotnika, dadzą mi nawet użyteczną pracę — pielenie, sprzątanie lasów, coś zdrowego i nudnego. Nie muszę kraść, żeby przeżyć. Jestem złodziejem, ponieważ myślę inaczej!

— Skoro jesteś taki radykalny, dlaczego nie zastosujesz nieco bardziej bezpośrednich metod walki?

— Wolę się buntować w sposób, który przy najmniejszym ryzyku i wysiłku z mojej strony przyczyni im najwięcej kłopotów i wstydu. Okradanie turystów to optymalna forma buntu.

Maya zajadała rozdrobnione proteiny chińskiego jedzenia, przyglądając mu się uważnie.

— Nie sądzę, byś naprawdę myślał to, co mówisz, Ulrichu — powiedziała. — Moim zdaniem kradniesz ludziom bagaże, ponieważ to twoja obsesja, i myślę też, że kolekcjonujesz wszystkie te śmiecie, ponieważ nie potrafisz się rozstać z ukochanymi trofeami twych zakazanych zabaw.

Ulrich wbił pałeczki w zawartość swego pudełka. Na jego delikatnej, bladej szyi młodego mężczyzny pojawił się ciemny rumieniec.

— Bardzo celna uwaga, kochanie — stwierdził. — Dokładnie to mógłby mi powiedzieć szkolny doradca motywacyjny. Ale ty mi to powiedziałaś. I co?

— I to, że masz tu może kilka ładnych rzeczy, ale nie są to rzeczy, których bym potrzebowała. Tylko to.

Ulrich skrzyżował ramiona na piersiach.

— A jak sądzisz, czego potrzebujesz, mała myszko?

— Lepszych butów — zacytowała jego własne słowa. — Szkieł kontaktowych. Kart gotówkowych. Peruk. Kremów koloryzujących do skóry. Znajomości niemieckiego takiej, by móc się przynajmniej

dogadać. Map. Jedzenia. Kanalizacji. Miękkiego ciepłego łóżka.

Ulrich skrzywił się przeraźliwie.

— Masz dobrą pamięć — stwierdził.

— Ale krótką. Przydałaby się też fałszywa karta identyfikacyjna.

— Zapomnij o fałszowaniu karty identyfikacyjnej — warknął chłopak. — Psy poradziły sobie z tym problemem dawno temu. Już prościej byłoby sfałszować księżyc.

— Moglibyśmy jednak sprzedać cały ten bezużyteczny złom i kupić wszystko, czego nam potrzeba, prawda?

— Może? Prawdopodobnie tak — powiedział po angielsku Ulrich. — Ale… czuję się oszukany. Powinnaś powiedzieć mi o tych swoich wielkich ambicjach, zanim zostaliśmy kochankami.

Milczała. Urzekło ją to, że nazwał ich kochankami. Wykazywał tak słodką, dziecinną wolę poświęcenia się, że niechętnie nim manipulowała, choć okazało się to przeraźliwie łatwe.

Jadła spokojnie. Milczeniem wydała na niego wyrok. Jej milczenie zżerało go jak kapiący powoli kwas.

— No, cóż — odezwał się w końcu Ulrich, chwaląc się i najoczywiściej kłamiąc — i tak zamierzałem to wszystko sprzedać. — Są sposoby. Dobre sposoby. Interesujące sposoby. Ale niełatwe. Ryzykowne.

— Pozwól, że to ja będę ryzykowała — przerwała mu natychmiast Maya, miażdżąc go tym jednym ciosem. — Bo i dlaczego ty miałbyś ryzykować? Przecież to poniżej twej godności. Widzę cię w głównej roli milczącego geniusza zbrodni. Europejskiego paranoicznego wroga publicznego numer jeden. Widziałaś może kiedyś ten stary, niemy film? „Tysiąc oczu doktora Mabuse”?

— O czym ty, do diabla, mówisz?

— Przecież to bardzo proste, Ulrichu. Lubię ryzyko. Kocham ryzyko. Żyję wyłącznie dla ryzyka.

— Toż to cudowne! — powiedział Ulrich i nagle bardzo posmutniał.

* * *

Spędziła w Monachium dwa dni, jeżdżąc sobie metrem ze skradzionym biletem. Najbardziej polubiła pewne miejsce w centrum miasta, nazywane Viktualienmarket. Niegdyś, w czasach przedindustrialnych, był to targ produktów żywnościowych, stąd niemiecka nazwa zawierająca słowo „viktuals”, teraz jednak zmienił się w centrum młodzieżowe i turystyczne, gdzie wiele interesów

przeprowadzano, posługując się gotówką. Jedzenie też można było tu dostać, na przykład wszechobecne dania z monachijskiej „białej kiełbasy", lecz Viktualienmarket z jego wszechobecnym kiczem i uliczną modą był przede wszystkim pułapką na turystów.

Uliczna moda oczarowała Mayę. Umierała z tęsknoty za dobrymi kosmetykami. Do tej pory radziła sobie dzięki starym, pozasychanym kosmetykom, znalezionym w skradzionych przez Ulricha torebkach — w jednej z nich znalazła nawet perukę — chciała jednak wybrać coś sama dla siebie; coś w jej kolorach, coś jaskrawszego, dziwniejszego, bardziej młodzieżowego. Na Viktualienmarket znajdowało się mnóstwo odkrytych stoisk, zapełnionych tajemniczymi niemieckimi kosmetykami. Kosmetykami za gotówkę. Szminki — *mit lichtreflektierend Farbpigmente.* Bardzo *modeanzeigen. O so frivol! Radikales Liftings und Intensivpeelings. Der Kampf mit dem Spiegel. O so feminin! Schonheitscoctail, die beruhigende Feuchtigkeitscreme. Revitalisierende! Die Wissenschaft der Zukunft! Die Eleganze die neue Diva!*

Fur den Korper, dla ciała, *eau essentielle, la parfum.* Perfumy były jej *voodoo.* Przypadkiem poczuła tradycyjny paryski zapach perfum, których Mia używała kiedyś, przed sześćdziesięciu laty, z okazji pewnej bardzo specjalnej nocy. Ów zapach spowodował u niej uczucie *déjà vu* tak niesłychanej intensywności, że upuściła torbę i omal nie upadła obok niej, na ulicę. *Elixier des lebens!* Niektóre sfotografowała. Niektóre ukradła.

Na trzeci dzień Ulrich zapakował ją, wraz z wypchaną starannie dobranymi łupami płócienną torbą, do skradzionego samochodu. Udało im się jakoś wyjechać z miasta, po czym pojechali w kierunku przedmieść Stuttgartu. Maya miała na sobie swą kurtkę, nieco zbyt ciasne, sportowe termiczne spodnie narciarskie, oraz bardzo szykowne buty. Na głowę włożyła nową perukę z mnóstwem kręconych, jasnych włosów, przepasanych jaskrawą wstążką. Oczy zasłoniła przeciwsłonecznymi okularami. Wszystko to uzupełniał odpowiedni podkład pod makijaż, puder, kredka do oczu, sztuczne rzęsy, szminka, lakier do paznokci, pomalowane paznokcie u nóg, krem do stóp, krem odżywczy i perfumy; czuła się teraz trochę bardziej Mią. Kiedy poczuje się jeszcze bardziej Mią, będzie w stanie wydostać się z każdego bagna, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Dzień był chłodny. Padał drobny deszczyk.

— Przyjaciel ukradł ten samochód — oznajmił Ulrich. — Zastosował pewne zabiegi na jego mózgu. Oczywiście mogłem wypożyczyć samochód najzupełniej legalnie, ale mam na względzie, dokąd jedziemy i z czym. Zaniepokoiła mnie możliwość geograficznego backtrackingu, gdyby oni zdecydowali się zdalnie przeszukać pamięć. W skradzionym, głupim samochodzie będziemy

bezpieczniejsi.

— *Natürlich* — powiedziała. Ulrich wydawał się jej taki zabawny. Seks z nim przypominał jej utratę dziewictwa. Do tamtego mężczyzny czuła tę samą pobłażliwą pogardę, sama zaś przeżywała teraz w sekrecie tę samą triumfalną radość, jaka wówczas towarzyszyła ostatecznemu pożegnaniu dzieciństwa. Seks był jak sen, tylko zabawniejszy, no i w każdym razie było to jakieś ćwiczenie fizyczne. Seks był czymś, co robiło się, gdy człowiek miał wrażenie, że składa się w środku z porozrzucanych klocków. Seks likwidował uczucie samotności, a kiedy się kończył, człowiek czuł się czasami nieco swobodniejszy. Za każdym razem, kiedy się kochali, Mia miała potem uczucie, że teraz jest jej o wiele wygodniej we własnej skórze niż przedtem. Byli ze sobą już trzy dni i zdarzyło się jej to z dziesięć razy. Te dziesięć razy było jak dziesięć haków wbitych w skałę, po której wspinała się coraz wyżej, uciekając od wszystkiego, co było stare i było Mią.

— Szkoda, że nie udało się rozłączyć tego samochodu całkowicie, mógłbym wtedy poprowadzić go własnoręcznie — powiedział Ulrich, obserwując przez okno przedmieścia Monachium. — To musi być szalenie podniecające.

— Ręcznie prowadzone samochody zabiły więcej ludzi niż wojny.

— Och, oni wszyscy gadają tylko o śmiertelności, jakby w życiu nie liczyło się nic innego niż śmiertelność. Dla ciebie, czekające nas doświadczenie powinno być dość interesujące. Spotkasz paru prawdziwych przeciwników ugody.

Samochód odnalazł autostradę i ruszył nią w niemal całkowitej ciszy, z nieludzką wręcz prędkością. Inne europejskie samochody też miały opływowe kształty i były bardzo szybkie; sylwetkami i kolorem przypominały na wpół wyssane cukierki. Często widziało się ich właścicieli drzemiących podczas jazdy lub czytających.

— Czyżby ugoda miała prawdziwych wrogów?

— Ależ oczywiście! Legiony! Nieprzeliczone! Całe spektrum dysydentów i gnębionych. Amisze. Anarchiści. Mieszkańcy wyspy Andaman! Australijscy Aborygeni! Afgańczycy, przynajmniej niektóre plemiona. Amerykańscy Indianie, przynajmniej niektóre plemiona. I to tylko na literę „A”!

— *Prima!* — stwierdziła Maya z powątpiewaniem.

— Nie myśl, że ugoda przekupiła wszystkich ludzi na świecie, zmusiła ich, żeby siedzieli cicho i nie odzywali się, a wszystko za te parę dodatkowych lat tego cholernego życia!

— Za pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat. I liczba ta stale się zwiększa.

— Owszem, to wysoka cena, niemniej jednak, są na świecie ludzie, którzy nie zamierzają się dostosować. Żyją poza prawami

medycyny. Żyją poza ugodą.

— O Amiszach słyszałam. Wiem, że nie stanęli poza prawem. Ludzie ich podziwiają. Zazdroszczą im ich szczerości i prostoty. Poza tym Amisze nadal uprawiają ziemię. Są prawdziwymi rolnikami. Ludzie uważają, że to urocze.

Ulrich miał na sobie swe ubranie z owczej wełny. Skubał teraz łysinkę na jednym z łokci.

— Tak, owszem — powiedział. — Amisze zdobyli sobie pewną tanią popularność. Ugoda zrobiła z nich gwiazdy. Jest to jeden ze sposobów, z jakich ugoda korzysta, by podstępem integrować ludzi. Robią z ciebie najcenniejszy okaz w swym prywatnym kulturowym Zoo. Ugoda chwali się swą tak zwaną tolerancją, walcząc jednocześnie z prawdziwym zagrożeniem kulturowym swej hegemonii.

Maya postukała się w ucho.

— Tłumacz przełożył chyba wszystko, ale dla mnie nic to nie znaczy.

— Chodzi wyłącznie o wolność. O sposoby zagarnięcia cudzej wolności, indywidualnej autonomii człowieka. Kiedy żyjesz poza prawem, stajesz się przestępcą.

Maya przemyślała to sobie.

— Być może udałoby ci się ukraść komuś autonomię, przynajmniej na parę lat. Ale na dłuższą metę ludzie ostrożni po prostu cię przeżyją.

— Jeszcze zobaczymy. Ugoda stworzona została dla starych ludzi, ale sam reżim wcale nie jest taki stary. W głębi serca zwolennicy ugody to banda przerażonych staruszek, krępujących wszystko wełną do robótek. Myślą, że stworzyli tysiącletnie rządy. Amisze są Amiszami od czterystu lat. Zobaczymy, czy te żałosne babuleńki przeżyją choćby Amiszów.

Na horyzoncie pojawiły się wieże Stuttgartu. Miały wysokość czterystu pięter, zbudowano je z zastygłej w łuski żelatyny i wyglądały niczym wielkie ryby. Z ich szczytów strugi najczystszej pary wodnej tryskały jak flagi. Kiedy przyglądało się im uważnie, widać było, że gmachy te oddychają, że rozrastają się i kurczą.

— Nie miałam pojęcia, że Stuttgart tak bardzo przypomina Indianapolis — powiedziała Maya.

— Byłaś kiedyś w Indianapolis?

— Teleprezencją.

— Och, rozumiem.

Przyjrzała się odległym wieżom i westchnęła ciężko.

— Mówi się, że Stuttgart jest światową stolicą sztuk — powiedziała.

— Och, oczywiście — przyznał z namysłem Ulrich. — Stuttgart jest całkowicie sztuczny.

Miasto leżało wśród zielonych wzgórz. Wzgórza te zrobione były ze sprasowanych gruzów budynków miejskich dawnego Stuttgartu. Bardzo ucierpiał on w epidemiach lat czterdziestych. Spłonął niemal doszczętnie podczas panicznej ucieczki obywateli. Zwęglone, przesycone zarazkami ruiny zostały zrównane przez wracające doń niedobitki jego dawnych mieszkańców. Stuttgart w całości odbudowano podczas radosnych, wizjonerskich lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Architektów nowego miasta nie powstrzymywała przeszłość, więc zakasali rękawy i zabrali się do ciężkiej biomodernistycznej pracy, usiłując zaprojektować i wykonać ikony swojej epoki kulturowej. Kiedy ludzie próbują wytłumaczyć sobie, że ocaleli z zagłady, ponieważ czymś sobie na to zasłużyli, zawsze popadają w histerię.

Samochód zjechał z autostrady. Deszcz ustał, na niebie pojawiło się blade, zimowe słońce. Wzgórza zostały ładnie zalesione bezlistnymi teraz, młodymi kasztanami. Gdzieniegdzie, bardzo malowniczo, spod ziemi wystawały płyty brudnego betonu.

Zaparkowali i wysiedli. Ulrich zaprogramował samochód na jazdę bez kierowcy i przybycie na określone wezwanie.

— Samochód będzie znacznie bezpieczniejszy na drodze — wyjaśnił, chowając pod koszulę, wiszący na sznurku na szyi, netlink. — Lepiej nie zostawiać go w towarzystwie tych ludzi.

Poszli pod górę. Szli wśród młodych drzewek. Minęli dwóch ubranych w kurtki ze skórzanych łat mężczyzn z wielkimi czarnymi brodami, wystrojonych w metalowe naszyjniki i kolczyki w uszach. Mężczyźni siedzieli pod wielkim parasolem, na składanych krzesełkach przy wiklinowym stoliku. Jeden z nich fotografował każdą przechodzącą obok osobę, drugi rozmawiał przez telefon komórkowy w języku, którego Maya nie rozumiała. Gadając, kiwając głową i śmiejąc się jednocześnie, zręcznie żonglował metrowym, okutym, starannie wyszlifowanym kijem, ciężkim i masywnym. Nie było wątpliwości, że kij ten wielokrotnie lądował na ludzkich głowach.

Obaj strażnicy prawie niezauważalnie skinęli głowami, kiedy Maya i Ulrich przechodzili obok nich, wspinając się na szczyt wzgórza. Między drzewami płynął strumyczek euroburżuazji, pośród którego widać było wielkie grupy obcych, pozdrawiających się nawzajem tajemniczymi okrzykami i śmiechem.

Z grzbietu wzgórza dostrzegli znajdujące się na zboczu po jego drugiej stronie wielkie, opadające namioty, płonące ogniska i rozkładane stoły z wyłożonymi towarami i tandetą. Dziesiątki używanych samochodów stały na oznaczonych i odgrodzonych sznurami parkingach; grupy brodatych mężczyzn ustrojonych w koraliki, w nabijanych cekinami kapeluszach na głowach i srebrnych naszyjnikach na szyjach, targowały się głośno. Włóczące się po obozie

czarnookie kobiety ubrane były w kolorowe suknie; w uszach miały kolczyki, na szyjach korale, na nadgarstkach srebrne bransolety. Pod nogami pętało się zaskakująco dużo dzieci.

Ulrich najwyraźniej czuł się tu bardzo niepewnie. Twarz miał napiętą i uśmiechał się mechanicznie. Wśród stołów z towarem kręcili się Niemcy, przeważnie młodzi; było ich sporo, ale nie tylu, ilu tych obcych.

Obcy byli doprawdy zdumiewający. Maya spoglądała w twarze o rysach, jakich nie widziała od czterdziestu lat. Twarze z poza czasu. Kurze łapki, starcze plamy, skomplikowane sieci zmarszczek. Widziała siwe kobiety o ciałach postarzałych i zmienionych w sposób, w jaki ciała kobiet po prostu nie miały już prawa się zmieniać. Widziała okrutnych patriarchów, paradujących w barbarzyńskich ozdobach; ich gesty cechowała duma i nie tylko duma, lecz także subtelna groźba.

Widziała też dzieci — wielkie grupy wrzeszczących dzieciaków. A widzieć tyle dzieci w jednym miejscu i w jednym czasie… jakie to dziwne. Widzieć tyle dzieci z jednej wąskiej grupy etnicznej — to już przekraczało granice pojmowania.

— Kim są ci ludzie? — spytała.

— To Romowie.

— Kto?

— Mówią o sobie „Romany”.

Maya stuknęła w tłumacza.

— Nie rozumie tych słów — zakomunikowała.

Ulrich zastanawiał się przez chwilę.

— To Cyganie — powiedział w końcu, po angielsku. — To wielki obóz zbiorczy europejskich Cyganów.

— Och! Nigdy nie widziałam naraz tylu ludzi, nie poddających się kuracji medycznej. Nie miałam nawet pojęcia, że na całym świecie pozostało aż tak wielu Cyganów.

Ulrich wrócił do swego ojczystego języka.

— Cyganów wcale nie jest tak niewielu — powiedział. — Tyle że trudno ich zauważyć. Chodzą własnymi ścieżkami, umieją się ukrywać. W Europie są wyrzutkami od ośmiuset lat.

— Ale dlaczego nie postępują teraz tak, jak my wszyscy?

— Bardzo dobre pytanie — zauważył Ulrich, najwyraźniej zachwycony tym, że Maya je zadała. — Często sam się nad tym zastanawiałem. Może dowiedziałbym się prawdy, gdybym sam został Cyganem, ale to niestety niemożliwe. Gadżio nigdy nie zostanie Cyganem. Oboje jesteśmy gadżio, i ty, Amerykanka, i ja, Niemiec. Dla tych ludzi oboje jesteśmy po prostu gadżio. To nomadzi, wyrzutki, złodzieje, kieszonkowcy, oszuści, anarchiści, najgorszy lumpenproletariat, nie korzystający ze środków antykoncepcyjnych ani z technik przedłużania życia. — Chłopak przyjrzał się Cyganom

tak, jakby stanowili jego prywatną, cenną własność, uśmiech jednak szybko spełzł mu z twarzy, ustępując wyrazowi głębokiego niepokoju. — Mimo tylu tych wszystkich wspaniałych cech, nie są niestety cudowni i romantyczni.

— Och!

— Próbujemy sprzedać im kradziony towar — przypomniał jej chłopak. — Oni z kolei spróbują nas oszukać.

Minęli ich trzej Cyganie, niosący jagnię. Tłum gapiących się gadżio zgromadził się przy nich błyskawicznie. Nad ramionami tłoczących się mężczyzn, Maya nie widziała nic, słyszała za to ostatnie, rozpaczliwe beknięcie jagnięcia i radosne stęknięcie ludzi, po którym nastąpiły westchnienia oraz jęki, pełne obrzydzenia i podniecenia.

— Oni tam zabijają zwierzę — powiedziała.

— Owszem, zabijają. Potem obedrą je ze skóry, wypatroszą, nabiją na rożen i upieką nad ogniem.

— Dlaczego?

Ulrich uśmiechnął się.

— Ponieważ jagnię z rożna jest bardzo smaczne. Odrobina tego mięsa cię nie zabije. — Oczy mu się zwęziły. — Natomiast zjedzenie mięsa zabija wyrzuty sumienia wywołane przyjemnością, z jaką obserwowało się śmierć zwierzęcia. Burżuje… burżuje dużo zapłacą, by móc zjeść zwierzę, którego śmierć obserwowali.

U podstawy sąsiedniego wzgórza pewien Cygan wyczyniał cuda na motocyklu. Ten stary, nieprawdopodobnie niebezpieczny pojazd nie był wyposażony w autopilota, nawet najprymitywniejszego. Silnik napędzanej cieczą maszyny ryczał ogłuszająco, plując gęstym, niebieskim, toksycznym dymem.

Cygan stanął na siedzeniu, zrobił stójkę na kierownicy, ruszył w górę zboczem wzgórza, zjechał w dół, wjechał na rampę i wykonał skok nad żelazną beczką. Miał na sobie buty oraz skórzaną, nabijaną cekinami kurtkę, ale nie miał kasku.

W końcu Cygan zgrabnie zeskoczył z motocykla, szeroko rozłożył ramiona i wykonał krótki, dziarski taniec na mokrej, pooranej kołami ziemi. Gadżio zdumieni byli szaloną odwagą tego człowieka. Bili mu brawo jak wariaci. Niektórzy — niewielu — rzucali mu jakieś małe, lśniące srebrne krążki. Cygański chłopiec zbierał je zgrabnie z martwej, zimowej trawy, jego bohater zaś odprowadzał w tym czasie swą straszną maszynę.

— Co oni mu rzucali? — spytała Maya.

— Monety. Srebrne monety. Cyganie lubią srebro. Jeśli chce się prowadzić z nimi poważne interesy, najlepiej handlować starymi monetami. Inspektorzy podatkowi i audytorzy zdumieni są sposobem, w jaki używają oni pieniędzy.

— Czarny rynek starych metalowych monet? *Klasse.* — To słowo wydało się jej szczególnie odpowiednie. — *Klasse* — powtórzyła. — Wspaniałe!

— Owszem. Dziś spróbujemy wymienić nasze nic nie warte skradzione dobra na srebrne monety. Monety łatwiej jest ukryć, zmagazynować, przewieźć.

— Czy będą to autentyczne srebrne monety? To znaczy, czy będzie to rzeczywista waluta jakiegoś europejskiego kraju?

— Zobaczymy. Jeśli jakiś Cygan zechce je nam ukraść albo da nam w łeb, by je zdobyć, to owszem, będą to prawdopodobnie autentyczne pieniądze. Jeśli nie, dostaniemy fałszywki. Ołowiane podróbki.

— Mówisz tak, jakby ci Cyganie byli okropni.

— Okropni? Dlaczego zaraz okropni? — Ulrich wzruszył ramionami. — Nigdy nie wypowiedzieli nikomu wojny. Nigdy nie rozpoczęli żadnego pogromu. Nigdy nikogo nie zniewolili. Nie mają Boga, nie mają królów, nie mają rządu. Są panami samych siebie, więc nienawidzą nas, okradają nas, gwałcą nasze zasady. To ludzie obcy, ludzie żyjący prawdziwie poza nawiasem społeczeństwa. Ja jestem złodziejem, ty jesteś nielegalna, jednak w porównaniu z nimi oboje jesteśmy tylko rozpuszczonymi dziećmi ugody, a w najlepszym razie nędznymi amatorami. — Westchnął. — Lubię Cyganów — przyznał — nawet ich podziwiam, ale dla nich zawsze będę tylko jeszcze jednym głupim gadżio.

Cyganie sprzedawali papierowe kwiaty, spinki do ubrań, trzepaczki do dywanów, szczotki do zamiatania, maty z włókien orzecha kokosowego, kapy na łóżka, stare ubrania, zdarte opony, kawałki tapicerki samochodowej. Na niektórych stołach można było znaleźć amulety na szczęście, perfumy ziołowe i różne dziwne gatunki zwarzonych nalewek. Cyganie wydawali się fanatycznie wręcz przywiązani do swych starych samochodów i furgonetek, do swych wielkich kolorowych przyczep ozdobionych plakietkami i jaskrawymi rysunkami. Na stoiskach można było kupić nawet owce, wystrzyżone i uczesane, jakby miały trafić stąd wprost na muzealną wystawę, oraz kilka koni w brzęczących dzwoneczkami uprzężach, koni wyglądających tak, jakby naprawdę wykonywały zwykłą końską pracę.

Wszędzie wokół energicznie dobijano targu. Wymachiwano rękami, gładzono się po brodach, jednak niewiele towaru przechodziło z ręki do ręki. Co więcej, stojące przy stolikach kobiety najwyraźniej nie brały sobie do serca handlu detalicznego.

— Ulrichu — powiedziała Maya — wszystko to jest oczywiście bardzo interesujące, ale nie widzę tu żadnych oznak poważnej aktywności ekonomicznej.

— A czego się spodziewałaś? Niewielu jest aktywnych, ekonomicznych i przemysłowych Cyganów. Ludzie aktywni ekonomicznie i przemysłowo nie pozostają Cyganami.

— Trudno mi uwierzyć, że nie obejmuje ich kuracja przedłużenia życia. Nie poddają się badaniom ani w ogóle nic? Dlaczego? Dlaczego pragną tak żyć i tak umierać? Co ich motywuje?

— Jesteś bardzo ciekawska, skarbie. — Ulrich skrzyżował włochate ramiona na piersi. — Dobrze, w porządku, spróbuję wszystko ci wyjaśnić. Pięćdziesiąt lat temu w całej Europie odbywały się pogromy Cyganów. Ludzie twierdzili, że te brudasy roznoszą zarazki. Twierdzili, że te brudasy pogwałcają kwarantanny. I ludzie, zupełnie normalni, cywilizowani Europejczycy, uzbrojeni w noże, łopaty, łańcuchy i żelazne pręty napadali na cygańskie getta i obozy, torturowali i zabijali Cyganów, gwałcili Cyganki i podpalali ich domy.

Maya milczała, oszołomiona. Patrzyła na niego z nieopisanym zdumieniem.

— Ale… przecież to były okropne czasy. Wszelkiego rodzaju nienormalne zachowania…

— To wcale nie było nienormalne zachowanie — stwierdził radośnie Ulrich. — Rasizm jest absolutnie autentyczny. Pogarda dla innych ludzi, pożądanie ich śmierci to znane i cenione ludzkie emocje. Nikogo nie trzeba ich uczyć. Ludzie robią to, kiedy tylko mają szansę. — Wzruszył ramionami. — Chcesz poznać prawdę o Cyganach? Najprawdziwszą prawdę. Żyjemy w Europie XXI wieku. Ludzie, którzy tu dzisiaj rządzą, żyli sześćdziesiąt lat temu. Przeżyli epidemie, byli świadkami pogromów cygańskich. Dziś, oczywiście, nie zabiliby Cygana. Nie, dziś, jeśli w ogóle dostrzegają Cyganów, traktują ich z pobłażliwą sympatią, z łagodnym snobizmem, potrzebują po prostu takiego reliktu czasów feudalnych, który mogliby hołubić, a jednocześnie traktować z góry. Lecz jeśli jutro znów wybuchnie epidemia, to wraz z nią pojawią się także pogromy.

— Nie wolno ci mówić tak strasznych rzeczy!

— To straszne, oczywiście, lecz przecież także prawdziwe. Najśmieszniejsze wydaje mi się jednak to, że Cyganie najprawdopodobniej rzeczywiście roznosili zarazę. A wiesz, co jest jeszcze śmieszniejsze, Mayu? Gdyby Cyganie nie byli prawdziwymi rasistami, prawdziwymi szowinistami, ostatniego z nich nasza cywilizacja wchłonęłaby całe wieki temu.

— Zachowujesz się okropnie i mówisz okropne rzeczy, Ulrichu. Próbujesz mnie zszokować? Epidemie już się przecież nie powtórzą. Ich czas się skończył. Eksterminowaliśmy wszystkie choroby zakaźne, aż do najostatniejszej!

Jej słowa Ulrich skwitował prychnięciem.

— Nie mam zamiaru psuć ci zabawy — powiedział. — Ty chciałaś

przyjechać tu w interesach, nie ja. Masz listę towarów, prawda? Idź i sprawdź, czy uda ci się zahandlować.

Maya odeszła. Zebrała całą odwagę i podeszła do jednej z Cyganek stojących przy rozkładanych stoliczkach. Kobieta miała na sobie wzorzysty szal. Paliła krótką, glinianą fajeczkę.

— Dzień dobry — powiedziała Maya. — Czy mówi pani po angielsku?

— Trochę.

— Mam trochę rzeczy przydatnych w podróżach. Chcę je sprzedać.

Cyganka namyślała się przez chwilę.

— Daj mi rękę — powiedziała w końcu.

Pochyliła się, bardzo dokładnie oglądając dłoń Mayi. Kiedy się już napatrzyła, usiadła na składanym krzesełku. Pyknęła z fajeczki.

— Jesteś policjantką — powiedziała.

— Nie, proszę pani, nie jestem policjantką.

Cyganka obejrzała sobie Mayę od stóp do głów.

— Zgoda, być może nie wiesz, że jesteś policjantką. Ale i tak jesteś policjantką.

— Nie jestem *Politzei* — powtórzyła Maya.

Cyganka wyjęła fajkę z ust i wymierzyła w Mayę ustnikiem.

— Nie jesteś młodą dziewczyną — powiedziała. — Ubierasz się jak młoda dziewczyna, ale to kłamstwo. Udało ci się oszukać tego chłopaka, mnie jednak nie oszukasz. Odejdź i nie wracaj więcej.

Maya omal przed nią nie uciekła. Ta rozmowa nią wstrząsnęła. Zaczęła szukać jakiegoś stolika, za którym nie siedziałaby Cyganka. Znalazła w końcu młodą Niemkę o wymyślnie uczesanych rudawych włosach, spuchniętych ustach, przed którą leżał wielki stos używanych ubrań.

— Cześć. Znasz angielski?

— Jasne, oczywiście.

— Mam parę rzeczy na sprzedaż. Ubrania i nie tylko.

Kobieta powoli skinęła głową.

— Fajna kurtka — powiedziała. — *Trés chic.*

— Dziękuję. *Danke.*

Kobieta przyglądała się jej otwarcie, jak to Niemka. Miała cienkie, wygięte brwi i długie, podwinięte rzęsy.

— Mieszkasz w Monachium, prawda? — spytała. — Widziałam tę kurtkę na Viktualienmarket. Dwa razy byłaś w moim sklepie. Oglądałaś ubrania.

— Doprawdy? — Mayę nagle ścisnęło w dołku. — Mieszkam w Monachium, tak. Po prostu tędy przejeżdżałam.

— Amerykanka?

— Tak.

— Kalifornijka?

— Tak.

— Los Angeles?

— Bay Area.

— Powinnam się domyślić, że jesteś z San Francisco. Oni pracują w polimerach. Wiesz, tę kurtkę w Stuttgarcie zrobiliby ci w kilka godzin. I byłaby znacznie lepsza.

Podszedł do nich Ulrich. Kobieta zerknęła na niego.

— Cześć, Jimmy — przywitała go.

— Cześć, Therese.

Zaczęli rozmawiać po niemiecku.

— Nowa przyjaciółka?

— Owszem.

— Jest bardzo piękna.

— Też tak sądzę.

— Chcesz wypchnąć trochę towaru?

— Nie tobie, skarbie — pośpieszył z wyjaśnieniami Ulrich. — Nigdy nie pozbywałbym się towaru w Monachium, nie palę ludzi tam gdzie mieszkam. Ona nic nie wie, a ja dopiero teraz zorientowałem się, o co chodzi i zaraz przyszedłem odkręcić sprawę. Nikomu nic się nie stało. Mam rację?

— Nazwała cię Jimmy". — Maya zorientowała się dopiero teraz.

— Czasami tak do mnie mówią — odparł Ulrich po angielsku.

Terese roześmiała się.

— Ty biedne małe kociątko — powiedziała do Mayi, również po angielsku. — Kochasz swego nowego chłopca? Jest prawdziwym cudem, ten nasz Jimmy. Ma wielkie serce.

Ulrich zmarszczył brwi.

— Pomyliła się, to wszystko — wyjaśnił.

— Nie kocham go — stwierdziła głośno Maya. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. — Po prostu potrzeba mi paru rzeczy.

— Czego?

— Szkieł kontaktowych. Srebrnych pieniędzy. Peruk. Map. Jedzenia. Kanalizacji. Miękkiego ciepłego łóżka. I chcę nauczyć się trochę po niemiecku, żeby nie robić z siebie idiotki.

— Jest nielegalna. — Ulrich zacisnął dłoń na ramieniu Mayi. — Biedna mała istotka ma kłopoty.

Therese przyjrzała się im obojgu.

— Dajcie mi listę — powiedziała w końcu.

Wręczyli jej listę. Przestudiowała ją uważnie.

— Mogę wam to opchnąć. Jeśli towar jest w dobrym stanie. Gdzie go macie?

— W bagażniku samochodu.

— To ty masz samochód, Jimmy? — zdumiała się Therese.

— Pożyczyłem od *Herr* Shrottplaza.

— Wybierasz sobie wyjątkowo sympatycznych przyjaciół.

Ulrich zwrócił się do Mayi z kwaśnym uśmiechem.

— Zapomniałem ci powiedzieć, że narkomanów zaliczam do grup interesów, sprzeciwiających się obecnemu reżymowi — wyjaśnił po niemiecku.

— Dwadzieścia dużych dziesiątek — powiedziała znudzona Therese.

— Trzydzieści.

— Dwadzieścia pięć.

— Dwadzieścia siedem.

— Dobrze, dostarcz towar. Sprawdzimy, w jakim jest stanie.

— Idziemy. — Ulrich pociągnął Mayę za ramię.

— Zostaw Jankeskę — wtrąciła się Therese. — Chcę poćwiczyć moją angielszczyznę.

Ulrich zastanawiał się przez chwilę.

— Tylko nie zrób niczego bardzo głupiego — powiedział w końcu do Mayi i odszedł.

Therese obrzuciła ją chłodnym, szacującym spojrzeniem.

— Lubisz miłych chłopców? — spytała.

— Mają swoje… zastosowania.

— Ten chłopiec wcale nie jest miły.

Maya uśmiechnęła się.

— To już wiem — powiedziała.

— Kiedy przyjechałaś do Monachium? Kiedy cię poderwał?

— Trzy dni temu.

— Co? Zaledwie trzy dni i już jesteś tu, w obozie, już handlujesz? Doprawdy, musisz bardzo lubić stroje. Jak się nazywasz?

— Maya.

— Po co przyjechałeś do Monachium? Kto cię ściga? Gliny?

— Może. — Zawahała się, postanowiła jednak zaryzykować. — Ale przypuszczam, że chodzi przede wszystkim o ludzi z medycyny.

— Medycyny? A co z twoimi rodzicami?

— Nie, nie chodzi o rodziców. Z całą pewnością nie chodzi o rodziców.

— A więc — powiedziała Therese, pełna światowej swobody i pewności siebie — daj sobie spokój z medykami. Medycy nigdy nikogo nie tropią, bo wiedzą doskonale, że w końcu każdy do nich przyjdzie. A gliniarze… cóż, monachijscy gliniarze nie przejmują się uciekinierami, chyba że rodzice uciekinierów popychają ich do działania.

— Miło mi to słyszeć.

— Śpij pod mostami. Zajadaj precle. Jakoś przeżyjesz. I powinnaś rzucić tego twojego chłopaka. Jest obrzydliwy. Pewnego dnia psy

rozwalą mu łeb i zamieszają mózg jak kaszkę z mleczkiem. A ja nie będę po nim płakać.

— Opowiada mi o radykalnej polityce w Europie.

— Monachium to kiepskie miasto do rozmów na ten temat — stwierdziła kpiąco Therese. — Masz jakieś włosy pod tą peruką? Pokaż, chciałabym zobaczyć.

Maya zdjęła chustkę i perukę. Trzymała je w rękach, potem rzuciła na stolik.

— Zdejmij jeszcze kurtkę i obróć się, dobrze? Chciałabym cię obejrzeć.

Maya zdjęła kurtkę i obróciła się powoli.

— Bardzo interesująca struktura kostna. Dużo pływasz?

— Tak, oczywiście. Ostatnio sporo pływałam.

— Chyba przydałaby mi się taka dziewczyna jak ty. Nie jestem wcale zła. Możesz popytać o mnie na mieście, wszyscy ci powiedzą, że Therese jest w porządku.

— Proponujesz mi pracę?

— Możesz to nazwać pracą. Chodzi o *couture*. Chodzi o modę. Chodzi o ciuchy. Znasz się na ciuchach, nie? Będziesz miała z tego trochę szmatek i miejsce do spania.

— Ja naprawdę bardzo potrzebuję pracy — powiedziała Maya i nagle, zupełnie nagle, rozpłakała się. — Nie przejmuj się tym — powiedziała, ocierając policzki. — Zabawne, jak łatwo ostatnio przychodzi mi płacz. Ale, proszę, daj mi pracę. Potrzebuję po prostu miejsca, w którym będę miała trochę spokoju, żeby jakoś dojść do siebie.

Therese chyba poruszyły jej prośby.

— Chodź tu, za stół, i usiądź — zaprosiła ją. Maya obeszła stół i usiadła posłusznie na składanym płóciennym krzesełku Therese.

— Naprawdę, zaraz wszystko będzie dobrze — powiedziała. — Zazwyczaj nie zachowuję się aż tak głupio. I umiem ciężko pracować, nie kłamię!

— Uspokój się, dziewczyno, mów do rzeczy. Powiedz mi, ile ty masz właściwie lat?

— Myślę, że jakieś dwa tygodnie.

Therese westchnęła.

— A kiedy ostatnio zjadłaś jakiś przyzwoity posiłek? — zainteresowała się.

— Nie pamiętam.

Niemka pochyliła się i zaczęła grzebać pod stołem. Znalazła paczkę rządowych płatków śniadaniowych i butelkę wody mineralnej.

— Jedz. — Podała Mayi posiłek. — Napij się. I pamiętaj, ukradniesz mi choćby jedną szpilkę, to wywalę cię na ulicę. — Popatrzyła wzdłuż zbocza wzgórza. — Oto cud nad cudami! —

krzyknęła. — Nadchodzi twój przyjaciel.

Ulrich, zaczerwieniony i zdyszany, rzucił na stół płócienną torbę.

— Pogadajmy o interesach — zaproponował.

— *Prima!* — zgodziła się Therese. — A przy okazji — dodała po niemiecku — właśnie zatrudniłam twoją dziewczynę. Będzie pracować w moim sklepie.

— Co? — roześmiał się Ulrich. — Chyba żartujesz! Przecież nie potrafi nawet porozumieć się z klientami!

— Nie potrzebuję jeszcze jednej sprzedawczyni, potrzebuję modelki.

— Therese, jest to doprawdy krótkowzroczna decyzja. Nie doprowadzi cię do niczego. Muszę powiedzieć, że się rozczarowałem. Zrobiłaś mi po prostu na złość. A już myślałem, że zapomniałaś o tym nieszczęsnym nieporozumieniu.

— Ja mam być mściwa? Nigdy! Dziewczyna jest śliczna, niewiele potrafi powiedzieć i ma poważnie narobione w głowie. Będzie doskonałą modelką.

— Nie powinnaś ufać tej kobiecie. — Ulrich zwrócił się do Mayi, po angielsku. — Właśnie stwierdziła, że jesteś szalona.

— Ty też to powiedziałeś. — Maya ze smakiem zajadała płatki. Napiła się wody. — W każdym razie, mam jakąś tam pracę, a przecież przebywam tu nielegalnie. Po prostu dopisało mi szczęście. Oczywiście, że przyjmę propozycję Therese. Czego się właściwie spodziewałeś?

Na twarz Ulricha wypełzł powoli mocny rumieniec.

— Zrobiłem wszystko, o co mnie prosiłaś — powiedział. — Nie złamałem żadnej z twoich zasad. Nie okazujesz mi wielkiej wdzięczności.

Maya wzruszyła ramionami.

— Jimmy, na Marienplatz jest w tej chwili z milion dziewczyn. Znajdź sobie jakąś. Mnie już nie jesteś potrzebny.

Ulrich porwał torbę ze stołu. Przewiesił ją sobie przez ramię.

— Jeśli sądzisz, że wspięłaś się na wyższy szczebel społecznej drabiny, przyjmując propozycję pracy w nędznym sklepiku tej głupiej krowy, to bardzo się mylisz i wkrótce poznasz swój błąd. Chcesz odejść, odejdź. Doskonale. Ale wrócisz do mnie na czworakach, żeby znów być wolną!

— Jej sklep ma ogrzewanie — zauważyła Maya.

Ulrich odwrócił się w furii i odszedł szybkim krokiem.

Przez chwilę panowała cisza.

— Kochanie, jesteś naprawdę twarda — powiedziała w końcu Therese. Niemal z podziwem.

3

Maya rozpoczęła pracę w sklepie Therese na Viktualienmarket. Sklep był zbudowany z cegieł i miał wielkie okno wystawowe, panował w nim straszny bałagan wśród ubrań i butów. Na zapleczu zaś znajdował się maleńki kantorek — taką to jego właścicielka wygrzebała sobie płytką finansową niszę. Handel prowadzono prawie wyłącznie za gotówkę, czasami na wymianę, czasami też Therese przyjmowała zapłatę w cennych metalach. Maya mieszkała w sklepie, ubierała się w towar, który sama sobie wybrała, i spała pod biurkiem Therese. Therese spała w wieżowcu, w mieszkaniu rodziców, zawsze w towarzystwie któregoś ze swych obdartych, nie umiejących się niemal wysłowić, sprawiających wrażenie niebezpiecznych, chłopaków.

Mayę bardzo uspokoił fakt, że musi pracować, zamiast poświęcać cały ten czas na bycie doskonale wolną, szczęśliwą i pewną siebie. Cała ta wolność, pewność siebie i szczęście okazały się jednak cholernie męczące.

Pewnej lutowej nocy Maya obudziła się w sklepie i ze zdziwieniem stwierdziła, że chodzi przez sen, zajmując się porządkowaniem towaru. To było już dzieło Mii. Mia była już w porządku. Mii ta sytuacja odpowiadała. Mia czuła się swobodna i bezpieczna teraz, kiedy wreszcie miała obowiązki.

Maya pracowała dość ciężko, bez słowa skargi i praktycznie bez wynagrodzenia, co Therese umiała docenić. Jak większość młodych ludzi, którym mimo ograniczeń współczesnej ekonomii udało się stworzyć sobie jakąś tam karierę, była ona prawdziwą koneserką drobnych wyrazów wdzięczności. Mimo wszystko Mia nie czuła się całkowicie usatysfakcjonowana. Nie potrafiła przecież przeczytać metek na ubraniach, nie umiała dogadać się z klientami i doradzać im.

Tak dalej być nie mogło.

Wybłagała od Therese trochę gotówki, poszła do podrzędnej szkoły języków obcych na Schwabingu i kupiła pięćset centymetrów sześciennych nalewek edukacyjnych. Te szczególne filtry miały podobno uczynić mózg bardziej elastycznym i gotowym na przyjęcie języka, „dając dorosłemu mózgowi syntaktyczną otwartość mózgu trzyletniego dziecka". Nawet najlepsze środki na świecie nie były jednak w stanie uczynić nauki niemieckiego łatwą i tanią, ale jeśli chodzi o „trzyletnie dziecko", to reklama nie odbiegała bynajmniej od prawdy. Ten neurologiczny środek bezbłędnie odnalazł jej wbudowane w mózg mistrzowskie opanowanie angielskiego i przebił je swą farmaceutyczną stopą, tak jak noga w bucie przebija drzwi z matową szybą.

— Lepiej daj sobie spokój z tym tanim gównem i spróbuj uczyć się niemieckiego bardziej tradycyjnymi metodami — powiedziała jej Therese.

— *Ist mein Deutsch so schlecht, Fraulein Obermufti?*

Therese westchnęła.

— Mayu, za bardzo się starasz. Ludzie lubią, kiedy w sklepie z ciuchami pracują dziewczyny z zagranicy. Fajnie jest być młodą zagraniczną dziewczyną. W każdym razie potrafisz wydać resztę w srebrnych pieniądzach, a to więcej niż Klaudia nauczy się kiedykolwiek.

— *Ich verstehe nur Wurstsalat. Am Montag muss ich tvieder malochen.*

— Nie możesz przestać? To po prostu niesamowite!

— Kiedy to mi jest naprawdę potrzebne… zaraz… *konnen Sie mir das Dingsda da im Schaufenster zeigen?*

— Słuchaj, kochanie, nie jesteś przecież w stanie doradzać czegokolwiek w sprawach mody. Nie masz za grosz poczucia elegancji. Sama ubierasz się jak kalifornijska sroka. — Therese wstała. — Do głowy mi nie przyszło, że możesz potraktować pracę u mnie jako dorosłe zajęcie. Musisz się odprężyć. Jesteś nielegalna, pamiętaj. Jeśli zaczniesz się przejmować zarabianiem pieniędzy i tak dalej, to w końcu zauważą cię gliniarze.

Maya zmarszczyła brwi.

— Każda praca warta wykonywania, warta jest, żeby wykonywać ją dobrze — powiedziała.

Therese przemyślała sobie to stwierdzenie. Nie odpowiadał jej ani ton, jakim zostało wypowiedziane, ani treść, jaką zawierało.

— Mądrość w sam raz do wygłoszenia przez moją babunię. Chyba znam ludzi, którzy mogliby ci pomóc, kochanie. Skończmy z tymi bzdurami, dziś i tak nie ma klientów.

Therese przeprowadziła kilka rozmów przez sieć, a potem zamknęła sklep. Metrem pojechały na Landsbergerstrasse, a stamtąd tramwajem dotarły na Hacker-Brücke. Za stacją kolejową Mia widziała wznoszącą się w niebo katedrę, przed nią zaś bryłę dworca kolejowego. Niewzruszona trwałość starego Monachium… połączona z kuszącą możliwością natychmiastowej ucieczki. Dzięki temu kontrastowi przeżyła chwilę wielkiej przyjemności, której nie potrafiłaby opisać słowami.

Wydawało się, że wszyscy młodzi obywatele Monachium doskonale znają Therese. Therese miała tysiące żywych przyjaciół. Znała nawet kilkoro starych ludzi; wzruszające było to, że ci starzy ludzie traktowali ją prawie jak równą sobie. Mogło się wydawać, że sklep Therese praktycznie nie istnieje jako sklep, że jest on tylko fizyczną manifestacją rozległej, delikatnej sieci obejmującej wielką

strefę szarej ekonomii: zdobywanie niedostępnych informacji, handel wymienny, łapówki, pożyczki pod zastaw, okazje, wymiany, rzeczy z drugiej ręki, wzajemne zobowiązania i proste pośrednictwo za procent.

Dzisiejsi przyjaciele Therese mieli własną pracownię w piwnicy niskiego budynku w Neuhausen. W centrum Monachium obowiązywało ściśle przestrzegane prawo, zakazujące budowy wieżowców ze względów krajobrazowych, więc miejscowi przedsiębiorcy budowlani próbowali wkopać się w ziemię. Przez pewien czas panowała moda na budynki podziemne, ale koszta wentylacji i zanieczyszczeń ciepłem były tak wysokie, że firmy bankrutowały jedna za drugą i w końcu zmuszone zostały do przyjmowania młodych lokatorów.

Przyjaciele Therese byli rzeźbiarzami. Ich pracownia znajdowała się na samym dnie, miała dziwny kształt, wypełniał ją zaś mokry, kaszlący dźwięk pracującego w sąsiednim pomieszczeniu wentylatora.

— *Ciao,* Franz — zawołała Therese.

— *Ciao,* Therese — powiedział Franz, tęgi Niemiec z kształtowatą brodą, ubrany w pognieciony fartuch laboratoryjny. Na szyi, na łańcuchu, zawieszony miał spex. — A więc to ta twoja nowa modelka?

— *Ja.*

Franz bawił się spexem, uważnie obserwując wchodzącą do pracowni Mayę. Uśmiechnął się.

— Interesująca struktura kostna — stwierdził.

— No i jak myślisz? — spytała Therese. — Dasz radę odlać ją dla mnie? Może w jakimś fajnym, porowatym plastyku?

Zaczęli energiczne targi. Mówili po niemiecku, językiem tak naszpikowanym dialektem, że tłumacz Mayi zaczął się dławić. Z ciemnego kąta laboratorium wyłonił się jakiś facet.

— Cześć, ślicznotko — powitał Mayę.

— *Ich heisse* Maya, i tak, mówię po angielsku. — Maya potrząsnęła dłonią w plastykowej rękawiczce.

— *Ciao,* Maya. Mam na imię Eugene. — Eugene zdjął spexy. Zawisły na łańcuszku. Obejrzał ją od stóp do głów nie osłoniętymi oczami. — Podoba mi się twoje wyczucie koloru. Świadczy o ogromnej odwadze.

— Jesteś Amerykaninem?

— Przyjechałem z Toronto. — Bez spexów Eugene wyglądał całkiem, całkiem. Był trochę za chudy, zbyt niezdarny, miał zbyt ostre rysy, ale promieniował potężną energią. Najwyraźniej nie kąpał się od dłuższego czasu, pachniał jednak intrygująco, jak ciepłe banany. — Nigdy jeszcze nie byłaś w naszej pracowni, prawda? Pozwól, że cię po niej oprowadzę.

Pokazał jej pełną kamer pracownię skanningu i dwa wielkie,

przezroczyste pojemniki zbiorcze.

— Mapujemy tutaj naszych modeli — wyjaśnił. — A tak uzyskują fizyczne urzeczowienie. Ten nasz staruszek — poklepał przezroczystą ściankę pojemnika — to urzeczawiacz plastyku utwardzanego laserowo. Według współczesnych standardów przemysłowych jest mocno przestarzały, ale przecież my tu nie jesteśmy przemysłowcami. Robimy sztuczkę. Franz wypracował kilka bardzo interesujących wariantów kulturotechnicznych.

— Naprawdę? *Wunderbar*.

— Wiesz, jak działa termoutwardzanie?

— *Nein*.

Eugene okazał się wyjątkowo cierpliwy. Najwyraźniej bardzo mu się spodobała.

— Zbiornik wypełnia się specjalnym płynnym plastykiem. Potem kieruje się nań promień lasera. Laser powoduje, że plastyk utwardza się w bardzo trwałą substancję. Kształty przedmiotu definiuje ruch promienia; pojawiają się one w miarę utwardzania płynu w wiązce spójnego światła. Sam promień dobiera oczywiście informacje z zaprojektowanej przez nas wirtualności. Możemy projektować przedmioty fizyczne z danych w przestrzeni komputacyjnej. Możemy także fotokopiować rzeczywiste obiekty trójwymiarowe, na przykład, powiedzmy, twoje ciało. Tym właśnie zajmiemy się dzisiaj.

Techniczna angielszczyzna wydawała się wypierać z jej mózgu nalewkę językową.

— Chyba rozumiem. To, co robicie, bardzo przypomina fotografię.

— Słusznie! Bardzo przypomina fotografię. Fizyczną fotografię. Plastyk jest drogi, ale możemy go karbonować. Kupujemy proste trójwymiarowe obiekty piankowe, których składnikiem jest przede wszystkim gaz. Naprawdę zabawne jest sprowadzanie ich prostą drogą do aerożelu. W ten sposób stworzona przez nas struktura wielkości, powiedzmy, słonia, waży jakieś trzy kilogramy. Maya z szacunkiem przyjrzała się maszynie.

— To wielki zbiornik — zauważyła — ale przecież nie wystarczająco wielki na słonia.

— Można go przecież zrobić w częściach, które potem połączy się laminatem w jedną całość — wyjaśnił Eugene, wznosząc wzrok ku niebu.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Maya, ostrożnie dobierając słowa. — Zazwyczaj nie jestem taka tępa. Po prostu biorę piguły.

Eugene wybuchnął śmiechem.

— Zabawna z ciebie dziewczyna — stwierdził.

— A więc jesteś rzeźbiarzem? Artystą? — zmieniła temat.

— Sztuczki to nie sztuka.

— W takim razie inżynierem?

— Sztuczki to nie inżynieria. Pozwól, że pokażę ci coś jeszcze. Jesteś modelką, prawda? Powinno cię to zainteresować.

Poprowadził ją do nagiej plastykowej rzeźby naturalnych rozmiarów, leżącej na podłodze. Naga kobieta leżała na wznak, głowę złożyła na splecionych dłoniach, na twarzy zaś miała wyraz łagodnego choć zwierzęcego zachwytu.

— Kto ci pozował? — zainteresowała się Maya.

— Nikt mi nie pozował. Lub raczej pozował mi każdy. Monachijczycy, rozumiesz, bardzo lubią opalać się nago. Pewnej niedzieli, w lecie zeszłego roku, poszliśmy po prostu na Flauchersteg i zeskanowaliśmy tłum naszymi spexami. Potem złożyliśmy fizyczną całość z naszych modeli. Zestawienie w naszej wirtualności. Dane wyjściowe utrwaliliśmy w plastyku i proszę, mamy naszą damę: Przeciętną Nagą Monachijkę Opalającą Się na Plaży. — Eugene przyjrzał się z dumą swemu dziełu, a potem wskazał kciukiem coś znajdującego się za jego ramieniem. — Mamy jej męża, Przeciętnego Monachijczyka, leży gdzieś tam, w kącie, dość trudno go zauważyć, bo wykończenie z niego zeszło i jest prawie przezroczysty.

— Owszem.

— Jak widzisz, jako modelka nie jest specjalnie atrakcyjna. Chodzi mi o to, że ludzie przeciętni z definicji nie są niczym wyjątkowym, prawda? Stworzenie tego portretu było jednak tylko pierwszym krokiem. Miałem taki pomysł, żeby zebrać mniej więcej setkę mężczyzn, którzy by ją sobie obejrzeli, oczywiście przez spexy. Chcieliśmy sprawdzić, na co przede wszystkim zwrócą uwagę.

— Jakim cudem udało się wam zmusić setkę ludzi, by przyjrzeli się nagiej plastykowej rzeźbie?

— Po prostu zawieźliśmy ją na rowerze na Marienplatz i zrobiliśmy z tego coś w rodzaju przedstawienia. Turyści okazali się bardzo pomocni.

— Och!

— Statystykę ich spojrzeń ujęliśmy w algorytm, wprowadziliśmy do wirtualności i nanieśliśmy na dzieło. Chodź, zobacz.

Podszedł do jednego z kątów pracowni. Odkrył jakąś postać, odrzucając na bok kawałek cienkiego czarnego płótna.

— Zaczekaj… chwileczkę! Przecież… przecież ja to znam! To…

— Wenus z Willendorf.

— Właśnie! Wenus z Willendorf, jak żywa!

— Z początku byłem prawie całkowicie pewien, że na wyjściu dostaniemy najpiękniejszą kobietę świata — powiedział Eugene. — Kobietę, która natychmiast i całkowicie zawładnie każdym mężczyzną. To, co tu mamy jest jednak w zasadzie całkiem wierną repliką tego, co jakiś rzeźbiarz z paleolitu wyrył w kle mamuta. Kiedy człowiek

zaczyna grzebać w formach archetypicznych, coś takiego zdarza mu się regularnie jak w zegarku.

— A jak wygląda mężczyzna?

— Mężczyzna widziany przez mężczyzn, czy mężczyzna widziany przez kobiety?

— Mężczyzna widziany przez kobiety.

Eugene wzruszył ramionami.

— Jakoś wiedziałem, że o to zapytasz. Dobrze, popatrz. — W innym kącie pracowni ściągnął kolejną płachtę.

— Co się wam nie udało? — spytała Maya.

— No… właściwie nie jesteśmy całkiem pewni. Być może zawiodła procedura wyboru próbki. No, bo wyobraź sobie dwóch nie najmłodszych już facetów od sztuczki, mnie i Franza, proszących najzupełniej im obce dziewczyny z Marienplatz, by włożyły spexy i przyjrzały się nagiemu plastykowemu facetowi. Zgłosiło się parę ochotniczek, ale była to właściwie mała samowybieralna grupa kobiet, no i na tym się skończyło.

Posąg przedstawiał wielką, wściekłą rogatą maskę, doczepioną do wielkich, krągłych bąbli.

— Wygląda, jakby chciały wygotować go na śmierć.

— Widzisz te trzy wyrostki przypominające… hmm… nogi? Powinny unosić się w powietrzu, nie podłączone do postaci, ale nie udało się nam odlać ich w ten sposób. Nadal nie rozumiemy, co stało się z jego nosem, wywnioskowaliśmy, że obserwatorki patrzyły wprost przez niego.

Maya z namysłem przyglądała się postaci. Pierwsze wrażenie — czyste obrzydzenie — zdawało się mijać. Coraz trudniej było też odwrócić od niej wzrok. Czuła rosnące podniecenie. Miała wrażenie, że postać ta została wyciągnięta cała i nienaruszona z lepkiego błota jakiejś głębokiej jamy jej własnego mózgu.

— Eugene, to dzieło sztuki coś ze mną robi. Czuję się… bardzo nierzeczywista.

— Stokrotne dzięki. — Eugene wzruszył ramionami. — W końcu ten projekt przestał nas interesować. Doszliśmy do wniosku, że błąd tkwi w naszych procedurach. Myślę teraz, że autoportrety mogłyby być następnym krokiem konceptualnym. Skanujemy modela, pokazujemy mu jego replikę, a potem opracowujemy algorytm uwagi, wynikły ze sposobu, w jaki obserwuje on swoje ciało. W ten sposób ucieleśniamy w plastyku wewnętrzny portret modela.

— Mam wrażenie, że ten facet z bąbli byłby o wiele mniej przerażający, gdyby nie był taki wielki — stwierdziła z namysłem Maya, pragnąc pomóc chłopakowi. — Można go zmniejszyć, na przykład tak, żeby mógł wisieć przy bransoletce jako amulet na szczęście.

— Ten temat musisz już poruszyć z Franzem. Franz zajmuje się sprzedażą.

Podeszła do nich Therese.

— Franz powiedział, że da mi zniżkę, jeśli zrobimy sześć kopii ciebie — oznajmiła.

— Myślałam, że chciałaś zrobić jedną ładną replikę do dekoracji wystawy.

— Oczywiście. Ale jeśli zrobimy sześć manekinów, będę mogła sprzedawać cię klientom. Pod warunkiem, oczywiście, że dziewczyna będzie się sprzedawała.

— Ta dziewczyna z pewnością będzie się sprzedawała — orzekł zdecydowanie Franz.

— Problem z manekinami sklepowymi polega na tym, że nie są szczególnie atrakcyjne w dotyku — zaopiniował Eugene. — Ale ostatnio mamy wspaniałe wyniki w pracy nad powierzchniami. Opracowaliśmy nowe techniki wykończeniowe, sprawiające, że powierzchnia ma fakturę foczego futra.

Therese z niesmakiem wydęła wargi.

— Nie chcemy, żeby ludzie dotykali manekinów, Eugene — wyjaśniła. — Gniotą ubrania.

Eugene sprawiał wrażenie bardzo przygnębionego tym werdyktem. Zamiast dyskutować spojrzał jednak na zegarek.

— Jej, bardzo miło się nam gawędzi, ale muszę jeszcze spotkać się z psem w sprawie jednego faceta… — Zerknął na Mayę. — Wiesz — wyznał — cieszę się, że cię poznałem. Świetnie się z tobą rozmawia. Jeśli nie jesteś szczególnie zajęta, to może byśmy się spotkali w Tête du Noyé w Pradze. Powiedzmy, we wtorek. Wiesz, gdzie to jest?

— Nie.

— Na praskim starym mieście, nazywa się Staroměstská. Tête jest kawiarnią nalewkową dla ludzi zajmujących się sztuczką. Można spotkać tam bardzo żywych ludzi z sieci, zbierają się raz na tydzień. Ludzi takich jak ty — myślę, że doskonale będziesz tam pasować.

* * *

W poniedziałek Franz i Eugene dostarczyli do sklepu sześć May. Eugene umocował ich ramiona, kolana, łokcie i biodra na plastykowych stawach. Wewnątrz projektowej wirtualności przerobił czaszkę, tak że wykończone manekiny nie miały włosów.

W wyposażeniu sklepu znajdowało się teraz sześciu plastykowych

aktów o nieco zaskoczonych buziach. Każdy z manekinów ważył jakieś pięć kilogramów; przewracały się dosłownie od dmuchnięcia i wydawało się dobrym pomysłem, by obciążyć im stopy.

Maya i Klaudia spędziły dzień na ubieraniu manekinów, dobieraniu im peruk i makijażu, i ustawiając je w malownicze grupki przed sklepem.

Klaudia okazała się w tym zdumiewająco dobra. Nie była geniuszem i nie potrafiła wydawać reszty, ale wspaniale radziła sobie z ustawianiem manekinów — wspinających się na stoliki w kawiarni, trzymających w rękach rakiety tenisowe, z entuzjazmem żujących sobie nawzajem stopy. Orgia doskonale ubranych plastykowych May ściągała do sklepu tłumy. Maya czasami sama stawała wśród swych plastykowych replik, a potem, na znak Klaudii, zaczynała się poruszać. Efekt tej zabawy był doprawdy wspaniały.

Maya odkryła, że uwielbia być publicznie podziwiana. Zwłaszcza aż tak publicznie i w tak dużej ilości egzemplarzy. Romantyczna naiwna Maya, wielka jaskraworóżowa, upudrowana Maya, Maya w polce-galopce, obwieszona ludową biżuterią, z oczami mocno, zabawnie podkreślonymi kredką, Maya w białym neonowym, zasilanym bateriami kostiumie, rozrywkowa w typie „cześć, marynarzu". Maya w czerwono-białych szarawarach, Maya na sportowo, jakby właśnie wybierała się w góry, Maya chłodna, klasyczna, z kryształową szklanką do nalewek w ręku. Maya rozmnożona szalenie bawiła Mayę, czuła się tak, jakby uczestniczyła w drugorzędnym przedstawieniu teatralnym, niemniej wieczorem Maya była dziwnie osłabiona, dziwnie przezroczysta. A także dziwnie i przeraźliwie zmęczona.

Therese już od miesięcy nie odniosła takiego sukcesu finansowego. Sprzedali tyle towaru (wliczając w to wszystkie laleczki typu Maya), że postanowiła wyjechać z miasta na zakupy.

— Możesz wyjechać i zabawić się trochę, kiedy nie będzie mnie w mieście — zaproponowała Mayi. — Lepiej zabierz ze sobą Klaudię. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Eugene zaprosił dziewczynę na randkę. Towarzystwo Klaudii da ci większe pole manewru.

— Eugene nie zaprosił mnie na randkę, ja go nawet nie lubię. To znaczy, nie za bardzo. A poza tym, po co miałabym jechać do Pragi? Tu, w Monachium, jest mnóstwo żywych kawiarni.

— Jesteś uparta jak osioł, kochanie. Praga to dla świata mody ważne miasto. Tête du Noyé jest jak scena. Jesteś modelką w tym światku, więc powinnaś pojawić się na scenie.

— Tego rodzaju rozrywka musi być bardzo męcząca.

— W każdym razie, będziesz miała odmianę. Klaudia zasłużyła sobie na trochę wolnego, tak jak ty. I jeszcze jedno, jeśli zacznie bawić się bez ciebie, z pewnością wpadnie w kłopoty. Zawsze wpada w

kłopoty.

— Bardzo sprytnie to sobie wymyśliłaś. I bardzo wygodnie. Zawsze masz na podorędziu jakiś sprytny i złośliwy pomysł.

— Muszę załatwić parę spraw. Nie mogę handlować, mając puste półki, wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Uwolnij mnie od Klaudii, przynajmniej na parę dni… i zabierz ze sobą aparat. W Pradze znajdziesz tłumy żywych dziewcząt. — Therese zmrużyła oczy. — Te żywe dziewczyny z Pragi… są ze stali, choć sprawiają wrażenie takich delikatnych.

Kiedy Therese coś postanowiła, nie było na nią sposobu. Maya i Klaudia spakowały plecaki oraz specjalne torby na ubrania z wieszakami, i późnym rankiem, we wtorek, złapały pociąg do Pragi. Za bilety zapłaciła Klaudia. Klaudia płaciła praktycznie za wszystko. Miała niewielką pensję plus spore kieszonkowe od zamożnych, wpływowych rodziców — Monachijczyków.

Padły na swe strąki. Maya była zirytowana i kiepsko się czuła. Klaudia miała dwadzieścia dwa lata; dzień podniecenia i ciężkiej pracy tylko poprawiał jej nastrój. Klaudia była gotowa na wszystko.

— Lepiej coś zjedz, Mayu — powiedziała po niemiecku. — Ty nigdy nic nie jesz.

— Nigdy nie jestem głodna.

Klaudia poprawiła własnego, wiszącego przy jej uchu tłumacza. Mimo długich, męczących lat nauki angielskiego w doskonałej, popieranej przez państwo szkole, jej angielski był wyjątkowo niestabilny.

— Ale dzisiaj coś zjesz, choćbym miała zmusić cię do tego siłą. Jesteś taka blada. A ta peruka… nie mogłabyś chociaż spróbować? — Zręcznie poprawiła masę blond loków, kupioną z drugiej ręki. — Masz najdziwniejsze włosy na świecie, wiesz o tym, dziewczyno? Twoje naturalne włosy bardziej przypominają perukę niż jakakolwiek peruka.

— To z powodu szamponu.

— Jakiego szamponu? Próbujesz mnie oszukać? Nie stosujesz żadnego szamponu. Powinnaś pozwolić mi na spryskanie ci głowy dobrymi wzmacniającymi białkami. Wiem, że próbujesz zapuścić włosy, ale powinnaś zgodzić się, bym ci je trochę przycięła. Bez peruki wyglądasz jak jakaś *ragazzina*.

— *Ja,* Klaudia, *ich bin die grosse Ragazzina*.

Klaudia spojrzała na nią tak, jak zawsze patrzyli na nią tubylcy, gdy próbowała swej bardzo niedoskonałej niemczyzny — jakby jej inteligencja spadła nagle o parę poziomów.

Pociąg ruszył ze stacji, lekko i bezgłośnie niczym łyżwiarz po lodzie. Wagon był w trzech czwartych pełny. Klaudia przyjrzała się pasażerom z charakterystyczną niemiecką bezpośredniością. Nagle

mocno szturchnęła Mayę w żebra.

— *Na,* Maya! — niemal krzyknęła.

— Co?

— Widzisz tę starszą panią siedzącą o tam, z tyłu, z psem policyjnym i dzieckiem? To prezydent Magyar Koztarsasag.

— Prezydent czego?

— Węgier.

— Och! — Maya pokręciła głową. — Wiem, że dziś powinno się używać imion i nazwisk ludzi w ich ojczystych językach, ale mówić po węgiersku to już przesada.

— Ona jest ważną postacią w ugodzie. Powinnaś spytać ją o logo do jej pałacu prasowego.

— Ja? Mnie chce się spać — powiedziała Maya.

— Ona jest wielkim politykiem. Porozmawia z tobą po angielsku. Jaka szkoda, że ubiera się tak okropnie. Jaka szkoda, że nie pamiętam jej nazwiska. Mogłabym zrobić sobie z nią zdjęcie.

— Jeśli rzeczywiście jest politykiem, to doceni, kiedy uszanujemy jej prywatność.

— Co? — spytała Klaudia ze sporą dozą sceptycyzmu. — Politycy nienawidzą prywatności. Rządzący nie wierzą w cały ten nonsens z prywatnością.

Maya ziewnęła.

— Nie mam pojęcia, co się dzieje — wyznała — ale taka dziś jestem zmęczona. To z pewnością naturalny okres gorszego samopoczucia. Może gdybym się zdrzemnęła…

— Przyniosę ci coś. — Klaudia poderwała się na równe nogi. Miała pantofle na bardzo wysokich obcasach. — Może jakąś nalewkę? Kofeina?

— Kofeina? Ależ kofeina powoduje nałóg! I jest taka strasznie mocna, prawda?

— Przecież mamy wolne! Nie bądźmy takie nieśmiałe! Wypijemy kofeinę i będziemy naprawdę *sternhagelvoll!* Będziemy biegać po Pradze cały dzień. Ach, Praga! Złote Miasto!

— Już dobrze! — Maya wcisnęła się w swój pastelowoniebieski strąk. Pomachała ręką. — Idź już, idź. Przynieś mi coś…

Opadła bezwładnie w rozkoszną głębię strąka i zapatrzyła się w dach wagonu. Płachta lśniącego metalu. Ten wagon był prawdziwym antykiem. Dach zaprojektowano z myślą o reklamach, jeszcze zanim na całym świecie prawnie zakazano reklam. Stojące przy torach nagie słupy rzucały nań regularnie ruchome cienie, raz, dwa, trzy…

Kiedy przebudziła się z drzemki, poczuła ostry ból głowy, tuż za oczami. I coś strasznie raniło jej ucho. Zdjęła to coś. Klips. Skórę pod nim miała zagniecioną, jakby nie zdejmowała go od tygodni. Trzymała zdjęty klips w dłoni, przyglądała mu się tępo, a potem upuściła go na

podłogę… w co była ubrana?

Miała na sobie czerwoną kurtkę, na bluzce z długimi rękawami i dużym dekoltem, zrobioną z przylegającego do ciała materiału, wyglądającego jak jedwab i opinającego ciało jak wężowa łuska. Bluzka kończyła się w połowie uda. Strój uzupełniała długa wąska spódnica i sięgające kostek buty na wysokich obcasach.

Mia wstała. Zatoczyła się. Niepewnie ruszyła korytarzem między strąkami; nogi wykoślawiały się jej w tych śmiesznych butach. Nabawiła się odcisków na palcach stóp, kostki ją bolały. Czuła się bardzo źle, była bardzo słaba — drżąca, głodna, ze strasznym bólem głowy.

Czuła się fatalnie.

W pociągu, w towarzystwie dwudziestu, może trzydziestu cudzoziemców, była sama. Za oknem, ze straszną szybkością przemykał zupełnie obcy świat.

Przeżywała teraz wyjątkowo przykrą chwilę, wszechogarniający kryzys tożsamości, szok kulturowy. Stanęła, zachwiała się, czuła, jak pot oblewa jej ciało. Potem mdłości minęły, wyszła z tego jakoś i była już zupełnie innym człowiekiem.

Jestem Mią Ziemann. Jestem Mią Ziemann, a to jakaś bardzo dziwna reakcja na zabieg.

Przyglądał się jej uważnie jakiś pies. Policyjny pies należący do pani prezydent Węgier. Siedział skulony w swym strąku, od strony przejścia, wyglądał bardzo kompetentnie w pozapinanym na wszystkie paski i guziki policyjnym mundurze. Postawił uszy i uważnie przyglądał się Mii.

Obok psa siedziała pani prezydent Węgier wraz z dziesięcioletnim chłopczykiem. Pokazywała chłopcu coś na ekranie swego notebooka, wkraczając w jego głębię różdżką wirtualności, smukłym, eleganckim urządzeniem dostępu, podobnym do chińskiej pałeczki z kości słoniowej. Chłopiec przyglądał się ekranowi z pierwotną dziecięcą ufnością i fascynacją, pani prezydent zaś tłumaczyła mu coś, mówiąc spokojnie i łagodnie po węgiersku.

Ta stara kobieta miała doprawdy zdumiewające dłonie. Pomarszczone, zręczne i mocne. Z jej twarzy bił wręcz nadnaturalnie mocny charakter, przez co kojarzyła się raczej z maską pośmiertną. Taką twarz mają kobiety o silnej woli, zdrowe, inteligentne, studwudziestoletnie, które doświadczyły wielu smutków i podjęły wiele bolesnych decyzji, straciły złudzenia, nigdy nie straciły jednak szacunku dla samych siebie i nadal pragną nieść pomoc potrzebującym.

Oczywiście, że ta starsza dama umie mówić po angielsku! Jest w końcu europejską intelektualistką, będzie mówiła po angielsku, z pewnością zna doskonale kilka języków. Ma władzę… nie, jest władzą!

Więc ona, Mia, podejdzie do tej świętej kobiety, będzie błagać ją o pomoc, powie: „Jestem chora, jestem głodna, jestem słaba, zgubiłam się, uciekłam, złamałam pokładaną we mnie wiarę, nie wypełniłam swych obowiązków, nie wywiązałam się ze zobowiązań, źle postąpiłam i błagam o wybaczenie. Błagam o wybaczenie i błagam o pomoc”.

A pani prezydent tylko na nią spojrzy i natychmiast opanuje sytuację. Nie zawstydzi się, nie zaniepokoi, będzie bardzo mądra, od razu zrobi to, co należy zrobić. Pani prezydent powie: „Uspokój się, moje dziecko, usiądź, odpocznij chwilę, oczywiście, że ci pomożemy”. Podłączy się do sieci, popłyną wyjaśnienia i rady, będzie jedzenie i ciepłe miejsce do spania. Kawałki jej rozbitego życia Mii Ziemann znów staną się całością, otulą Mię Ziemann jak wielka ciepła pierzyna oficjalnego wybaczenia i oficjalnej łaski.

Potykając się, zrobiła kilka kroków.

Pies powiedział coś po niemiecku.

— Co? — spytała Mia.

Pies przeszedł na angielski.

— Dobrze się pani czuje, panienko? — spytał. — Czy mam zawołać obsługę? Pachnie pani zdenerwowaniem.

Pani prezydent spojrzała na nią i uśmiechnęła się uprzejmie.

— Nie — powiedziała Mia. — Nie. Czuję się już znacznie lepiej.

— Jaki piękny strój. Jak się nazywasz?

— Maya.

— Ten obiecujący młody człowiek to Laszlo Ferencsi — powiedziała pani prezydent, poklepując chłopca po ramieniu.

— Wygrałem szkolny konkurs na wypracowanie — pochwalił się Laszlo po angielsku. — W nagrodę jestem dziś z panią prezydent!

Maya z wysiłkiem przełknęła ślinę.

— To świetnie, mały — pochwaliła go. — Z pewnością jesteś z tego bardzo dumny.

— Jestem przyszłością — powiedział skromnie Laszlo.

— Jestem łobuziakiem — powiedziała Mia. Zataczając się, doszła do końca wagonu. Znalazła damską toaletę, uklękła na podłodze — skrzypnęły pończochy — i zaczęła się dławić. Nie mogła zwymiotować.

Klaudia znalazła ją w toalecie, wyciągnęła z niej i wmusiła w Mayę jedzenie. Wzmocniona pożywnym bulionem Maya stwierdziła nagle, że jej morale zdecydowanie się poprawiło. Klaudia delikatnie wpięła jej tłumacza w ucho.

— Wiedziałam, że masz kłopoty, kiedy zobaczyłam go na ziemi — powiedziała po niemiecku. — Jak to dobrze, że Therese mnie z tobą wysłała! Nie masz nawet tyle rozumu co królik. Króliki są wystarczająco mądre, by jeść!

Maya otarła czoło z wysychającego potu.

— Króliki nie mają problemów, chyba że zrobią coś postgryzoniowatego.

— Nie dziwię się, że Eugene cię polubił. Mówisz tak niezrozumiale jak on. Na tej dzisiejszej zabawie lepiej trzymaj się mnie. Ci faceci od sztuczki to doprawdy dziwni ludzie.

Maya wyglądała przez okno, popijając z łyżeczki blady rosół. Tak dobrze się czuła jako ktoś nowy. Tak dobrze się czuła, będąc sobą. Tak dobrze jest żyć. O wiele ważniejsze jest żyć niż być kimś konkretnie. Za oknem przemykały gęste czeskie lasy, zaczynające okrywać się pierwszymi wiosennymi liśćmi. Z wielką prędkością mknęli po delikatnej konstrukcji, wznoszącej się ponad uprawnymi polami. Tu i tam widziała wielkie stanowiska irygacyjne z bardzo wysokich pierścieniogrzybów.

Te wielkie grzyby nie były roślinami. Zostały zaprojektowane tak, by transmutować powietrze, wodę i światło w tłuszcze, węglowodany i białka z nie znaną dotąd w świecie natury wydajnością, będącą wielkim sukcesem bioinżynierii. Pole pierścieniogrzybów było w stanie nakarmić niewielkie miasto. Miały one dwa piętra wysokości, były nabite, zielone, bezlistne, kanciaste i podziurawione jak gąbka, ale jeśli ktoś już się do nich przyzwyczaił, mogły nawet być dla niego piękne. I bardzo dobrze, że mogły wydawać się piękne, pokrywały bowiem większość terenów rolniczych Europy.

* * *

Popołudnie spędziły w centrum Pragi. Na Malej Stranie. Na Starym Mieście. Katedry. Brukowane place. Wieże, antyczne cegły, wydeptane kamienie. Pozłacane wieżyczki, mosty, lśniące od wilgoci posągi. Wełtawa. Architektura sprzed wieków.

Klaudia dokonywała gorączkowych zakupów, systematycznie też wpychała w Mayę jedzenie z ulicznych kiosków. Smaczne i sycące tłuszcze były dla niej jak narkotyk, świat znów stał się normalny i przyjacielski. Wszystko było dobrze, wszystko miało sens i znaczenie.

Z przygotowanymi aparatami fotograficznymi poszły na most Karola. Nie był to szczyt sezonu turystycznego, ale Praga zawsze jest modna. Praga to miasto sztuczki, miasto mody; ludzie przyjeżdżają tu, żeby się pokazać.

Większość turystów była oczywiście stara. Większość ludzi była oczywiście stara. Stare kobiety nigdy jednak nie ubierały się tak pięknie, nigdy nie nosiły się i nie zachowywały tak szykownie w tak

zaawansowanym wieku. Na moście roiło się wręcz od starych kobiet, europejskich gerontokratek, dam zrównoważonych, spokojnych, bardzo doświadczonych, wiedzących, czego chcą, i nie przejmujących się niczym. Stanowczych choć łagodnych *femme du monde,* tolerancyjnych wobec ludzkiej lekkomyślności, tym bardziej, że same nie potrafiły już być lekkomyślne. Uroczych dam, umiejących słuchać, arystokratycznych dam, kochających wrogów, póki nie rozpadli się na kawałki od tej ich miłości. Pięknych, sprytnych, doświadczonych dam, drżących od przenikającej ich ciało energii i determinacji długo kultywowanych ego.

Dam w zimowych kurtkach narciarskich albo luźno robionych na drutach dwukolorowych swetrach z golfem. Dam w eleganckich praktycznych garsonkach w kolorze różowopomarańczowym, jasnoniebieskim lub pastelowozielonym. Dam w stylizowanych, watowanych zimowych piżamach, żółtych i jaskrawoniebieskich. Skomplikowane piękne fryzury, w których nie było ani śladu siwizny, zebrane i rozdzielone na boku, ze wstążkami kapeluszy przerzuconymi przez ramię i schludnie przypiętymi broszkami z muszli. Trójkątne dekolty, ząbkowane klapy, muśliny, tafty, poliwęglowe szyfony, lny, żorżety, krzykliwe krepy, dyskretne lamy. Obcisłe ubrania na smukłych, płaskich ciałach i nie rzucających się w oczy medycznych gorsetach. Postseksualne kształty, talie sprawiające wrażenie, jakby zaczynały się zbyt nisko i przechodziły w bogactwo karakułów i *breitschwantzów.* Tłum energicznych postludzkich kobiet.

Starzy mężczyźni ubierali się w sztywne, onieśmielające, godne płaszcze, ciemne medyczne kamizelki, marynarki od dobrych krawców, jakby dawno wyrośli już z dziecinnej idei bezpośrednich kontaktów międzyludzkich. Starzy mężczyźni wyglądali światowo, ale nieziemsko, jakby byli oddaleni od tego wszystkiego; rasa uczonych władców, chodzących w swych pięknych, lśniących butach tak dostojnie i powoli, jakby płacono im za każdy krok.

Oprócz nich byli także żywi ludzie. W mniejszości, oczywiście, ale w Pradze byli mniej mniejszością niż gdzie indziej, co ośmielało ich i czyniło dumniejszymi.

Młodzi mężczyźni — w Pradze było mnóstwo śmiałych młodych mężczyzn, nadmiar mężczyzn, którymi chlubi się każde pokolenie, zanim do głosu dojdą statystyki śmiertelności. Dumni młodzi mężczyźni, chodzący tak, jakby świat należał do nich, mężczyźni o wspaniałej skórze bez skazy — trądzik wyeliminowano tak skutecznie jak ospę. Najchętniej ubierali się w lśniące kurtki, dziwne, ciężkie buty i wzorzyste szaliki na szyję. Byli to młodzi mężczyźni, od urodzenia żywieni biochemiczną ambrozją, mieli doskonałe zęby, doskonały wzrok i doskonałe, smukłe sylwetki tancerzy baletu. Byli wśród nich prawdziwi dandysi, noszący ozdobne klipsy z tłumaczami; im nie

przeszkadzało, że nakładają róż podkreślający zarys kości policzkowych.

Żywe kobiety — kolorowe ubrania z czarnymi rękawami, krzyczące szale, powiewające peleryny ze sztucznego tworzywa, ciemne metalowe pokrowce na buty zabawnie wywijane na wysokości kostek. Wzorzyste fartuszki, uwodzicielskie krótkie kurteczki, mnóstwo lśniącej czerwieni. Plecaczki z dzwonkami i dzwoniącymi klamrami, bardzo poważna szminka. W Pradze modne były kraciaste zimowe rękawiczki z obciętymi czubkami palców, przez które wystawały ostre jak sztylety paznokcie. Szerokie, brane na poważnie pasy, podkreślające szerokość bioder. I dekolty, kilometry kwadratowe hormonalnych dekoltów, nawet zimą. Obnażone miękkie ciało nie służące już uwodzeniu, o nie; nagie ciało było raczej polityczną deklaracją.

Młode kobiety uwielbiały, kiedy się je fotografowało. Śmiały się i wygłupiały przed obiektywem. Wielu ludzi w Pradze, nawet młodzież, nosiło spexy, nikt już jednak nie nosił okularów. Szkła korekcyjne umarły śmiercią naturalną, podobnie jak sztuczne nogi z kości słoniowej.

Praga sprawiła, że Maya zaczęła inaczej postrzegać świat.

Nagle zrozumiała, jak głęboka więź łączy stare europejskie śródmieścia z młodymi Europejczykami. Wszystkie światowe poważne i prawdziwe interesy robiło się w wielkich, skomplikowanych, inteligentnych wieżowcach, otaczających śródmieścia — budynkach o zaawansowanej infrastrukturze, budynkach, mających koniec XXI wieku wbudowany w swe diamentowe kości i światłowodowe ścięgna.

Niemniej jednak, cała ta potęga nie była w stanie zniszczyć własnego architektonicznego dziedzictwa. Gdyby zniszczyła własne kulturowe korzenie, pozostawiłaby samą siebie bez choćby fikcji wyboru, zawieszoną w strasznej próżni postindustrialnego pragmatyzmu. Ceniła ona starzejącą się cegłę, rozpadające się ściany i ze zdumiewająco podobnych powodów ceniła także młodych ludzi, których, jak zabytki, spychała oczywiście na margines.

Młodzi ludzie w starym mieście. Ci młodzi ludzie tworzyli z miastem głęboko nieekonomiczny organizm symbiotyczny, związek niezniszczalnej przeszłości z przyszłością, której nie pozwala się być.

Maya i Klaudia przebrały się w damskiej toalecie. Bagaże zostawiły w schowkach na dworcu. Tête du Noyé znajdowała się na ulicy Opatovickiej, w trzypiętrowym budynku o krytym dachówką, stromym dachu. Wchodziło się do niej po krótkich wydeptanych kamiennych schodach z ozdobną metalową poręczą, potem zaś po długich drewnianych schodach należało zejść do pozbawionej okien piwnicy, w której mieścił się bar. Wchodzenie w górę i schodzenie w dół wydawało się pozbawione architektonicznego sensu, ale dom miał

co najmniej pięćset lat. Przeszedł przez tyle historycznych zmian, że aż pokrył się patyną, niczym metamorficzna skała. Klaudię i Mayę powitał u stóp schodów starszy łaciaty buldog w podartym swetrze i pasiastych szortach, prawdopodobnie najbrzydsze myślące zwierzę, jakie kiedykolwiek zdarzyło się Mayi widzieć.

— Zaprosił was ktoś? — spytał pies, po czym warknął z nieudawanym gniewem.

Maya rozejrzała się po barze. Oświetlało go kilka umieszczonych w suficie lamp o niebieskawym drżącym świetle i słaby poblask prostokątnego ekranu ściennego. Pachniało tu wodorostami jak jodyną, a być może nawet krwią. Klientów było może dwudziestu; niewyraźne zgarbione postaci, siedzące w lożach wokół niskich stolików. Wielu z nich miało spexy. Widziała słabe fragmenty podświetlonej wirtualności, wyciekające wokół soczewek. Nie dostrzegła natomiast Eugene'a.

— Ten człowiek, o tam, on nas zaprosił — skłamała gładko Maya, wskazała kogoś i pomachała mu wesoło. — Hej! — krzyknęła. — *Na mensch! Ciao!*

Chłopak przy którymś z oddalonych stolików uniósł, oczywiście, głowę i, oczywiście, natychmiast grzecznie im odmachał. Maya przeszła obok psa.

— *Na,* Maya! — szepnęła Klaudia, podążając w jej ślady i trzymając się blisko. — Jesteśmy stanowczo zbyt dobrze ubrane. Toż to kostnica!

— A mnie bardzo się podoba — powiedziała Maya, szczęśliwa i pewna siebie.

Weszła do baru.

Brzmiała w nim cicha, analogowa muzyka; towarzyszyły jej lekkie trzaski. Barman studiował ekran instrukcji obsługi, zajęty naprawianiem jakiejś pomniejszej usterki w niezmiernie bogatym i skomplikowanym zestawie do nalewek. Rozciągał się on wzdłuż całego mahoniowego baru, ważył cztery do pięciu ton i sprawiał takie wrażenie, jakby jego produkt końcowy zdolny był zmieść z powierzchni ziemi spory kawałek śródmiejskiej dzielnicy.

Barman miał na sobie cienki, rozciągliwy, przezroczysty kombinezon przeciwskażeniowy, z rodzaju tych, które nosili niegdyś najodważniejsi pracownicy pomocy obywatelskiej, oczyszczający zakażony epidemią teren. Pod tym lśniącym, hermetycznym welonem był całkowicie nagi. Jego ciało od stóp do głów pokryte było gęstym siwym futrem. Z pewnej odległości wyglądało to trochę tak, jakby miał na sobie sweter i spodnie z szarej wełny.

Dziewczyny poczuły niepokój, ponieważ zwrócił na nie uwagę. Z trzaskiem zamknął notebooka i ruszył ku nim, powłócząc nogami. Był bardzo stary — lub bardzo chory — i szedł tak, jakby bolały go stopy.

Twarz pokrywała mu siwa broda; nie widziały ani brwi, ani nosa, ani czoła, ani uszu, ani skroni. Spośród gęstych włosów wyłaniały się trzy blade płaszczyzny — para oczu i powieki.

— Jesteście tu nowe — powiedział. Jego głos dochodził z zewnętrznych głośników kombinezonu.

— Owszem. Nazywam się Maya, a to jest Klaudia. Zajmujemy się modą.

We względnie jasnym świetle lamp, umieszczonych wprost nad mahoniowym barem, barman przyjrzał się im uważnie. Na czubku głowy miał niewielką łysinkę z blizną.

— Lubię młode dziewczęta w ładnych ubraniach — powiedział w końcu, mrugając szybko. — Jeśli będziecie miały jakieś kłopoty z psem, powiedzcie mu, żeby spytał starego Klausa.

Maya uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziała. — Jesteśmy szczęśliwe, że przyjął nas pan w swoim słynnym lokalu. Obiecuję, że nie sprawimy panu najmniejszych kłopotów. Czy możemy zrobić kilka zdjęć?

— Nie. Czego się napijecie?

— Kofeiny — powiedziała odważnie Klaudia.

Klaus zgrabnie napełnił dwie filiżanki mocną czarną kawą.

— Chcecie zwierzęcą śmietankę? — spytał.

— *Nein, danke.* — Klaudia zadrżała prawie niedostrzegalnie.

Wzięły brzęczące filiżanki oraz cukierniczkę i ulokowały się przy jednym ze stolików otoczonych kanapami. Klaudia odrzuciła swój pasiasty płaszcz. Jej ciało pod różowym, zjeżonym sweterkiem drżało, tym razem wyraźnie.

— Z całą pewnością to nie mój typ zabawy — jęknęła cicho. — Spodziewałam się muzyki, tańców, publicznego seksu, może jakichś staroci. A tymczasem tu jest jak w grobie, albo podobnie. Co to za straszna muzyka?

— To starożytna muzyka akustyczna i analogowa. W tamtych czasach muzyka niewiele miała dynamiki, barwy. Grano na instrumentach z drewna i zwierzęcych jelit.

Klaudia nerwowo popijała kawę.

— Wiesz, na czym polega problem? — spytała. — To jest zabawa dla intelektualistów. — Sama sobie odpowiedziała. — Głupio jest być intelektualistą, póki człowiek jest młody. Intelektualistą powinien być ktoś, kto ma sto lat i nic już nie czuje. Intelektualiści są tacy pretensjonalni! Nie umieją żyć!

— Odpręż się, Klaudio, dobrze? Przecież jest jeszcze wcześnie.

Fresk na ścianie był najcieplejszym i najsympatyczniejszym akcentem w Tête du Noyé. Bardzo malarski, nie wyglądał ani jak szklana ściana, ani jak ekran, już raczej jak płótno. Składał się z

kilkuset fragmentów przypominających plaster miodu, obracających się powoli i przeskakujących z miejsca na miejsce. Komórki zmieniały pozycje, pulsowały, obracały się, przekształcały. Cyfrowy taniec kwiatów.

Maja podniosła filiżankę kawy, dla formalności przyłożyła ją do ust i odstawiła nietkniętą. Przez chwilę przyglądała się niespokojnej Klaudii, a potem spojrzała na fresk. Bursztynowe organiczne kształty praktycznie zniknęły, ustępując miejsca rosnącej liczbie chłodnych geometrycznych kryształów.

Nie wiedziała, skąd się jej to wzięło, ale nagle nabrała przekonania, że te kryształy ją obserwują. W jakiś sposób fresk był w stanie śledzić ludzi, prawdopodobnie za ekranem ukryte były kamery. Gdy ktoś spojrzał prosto na niego, ruch plastrów wyraźnie słabł. Z pełną prędkością poruszały tylko wtedy, kiedy nikt na niego nie patrzył.

Maya sięgnęła do plecaka. Obserwowała fresk przez lusterko puderniczki. Fresk w niczym się nie połapał, uznał, że wyzwolił się już od jej uwagi. Małe komórki ożywiły się nagle, strzelając w siebie nawzajem iskrami informacji, rozkwitając, łącząc się, wirując, zmieniając barwy. Maya zamknęła puderniczkę, obróciła się i spojrzała wprost na fresk. Komórki zamarły, jakby przyznawały się do winy. Poruszały się grzecznie, powoli.

Nagle obok nich znalazł się Eugene.

— *Ciao!* — przywitał Mayę.

— *Ciao,* Eugene — powitała go Maya z prawdziwą radością. Eugene wykąpał się i nawet uczesał. Wyglądał wspaniale w długim, lśniącym brokatem płaszczu i spodniach — rurach.

Uśmiechnął się uroczo.

— *Was ist los,* Camilla?

— Klaudia — poprawiła go Klaudia, marszcząc brwi i obciągając spódnicę na opartych na kanapie nogach.

Eugene przysiadł się do nich beztrosko.

— Powinnyście zalogować się w barze — powiedział. — Tu, w Tête, panuje taki zwyczaj. Nie wiedziałem nawet, że przyjechałyście.

— Zawsze jest ten pierwszy raz, Eugene — powiedziała Maya.

— Prawie wszyscy logują się jeszcze z domu z informacją, że zaraz tu będą. Nasz światek jest bardzo usieciowiony. Najchętniej spotykamy się w Tête. Bardzo mi miło, że zdecydowałyście się przyjść. Jak się wam podoba nasz gospodarz?

— Mnie tam wcale się nie podoba — odparła natychmiast Klaudia, po angielsku.

— Zdumiewająca postać, prawda? Wspaniale się z nim rozmawia. Ma w zanadrzu miliony fascynujących opowieści. Był kosmonautą.

— Naprawdę?

— Tak. Jedynym Czechem w kolonii księżycowej. Przesiedział tam cały okres epidemii. Dlatego nosi ten kombinezon. Mieli swoje problemy immunologiczne z długotrwałą ekspozycją na twarde promieniowanie. Próbował obejść się bez kombinezonu tu, na Ziemi, ale złapał gronkowca i to go cholernie przeraziło. Dlatego zdecydował się na gęste futro.

— Jeszcze nigdy nie spotkałam kosmonauty.

— No, to właśnie spotkałaś. Klaus jest właścicielem Tête. Muszę was ostrzec, że nie lubi rozmawiać o latach spędzonych na Księżycu. Większość jego przyjaciół zmarła podczas wybuchów, przewrotu i czystek. Ale doskonale zna miejscową scenę. Jako jedyny czeski lunarianin został prawdziwym bohaterem narodowym. Rada Miejska Pragi pozwoliła mu w związku z tym robić, co chce. Klaus nie jest nadętym gerontokratą — on naprawdę nadstawiał karku. *Mit ihm konnte man Pferd stehlen.*

Klaudia wydęła wargi.

— Nie musisz mówić po niemiecku ze względu na mnie — powiedziała.

— Niemiecki to dla mnie żaden problem. O, tam, siedzi Shqiperisan, próbując znaleźć kogoś, kto mówi w gegu, albo może tosku.

— A skąd pochodzi?

— Z Tirany.

Klaudia rozchmurzała się. Powoli.

— Kocham mężczyzn z Shqiperise — powiedziała po niemiecku. — Są tacy zaradni i romantyczni. Czym się zajmuje?

— *Virtualität.*

— *Prima!*

Klaudia wstała i odeszła od stolika. Maya poklepała miejsce na kanapie obok siebie.

— Usiądź bliżej — zaproponowała.

Eugene przysunął się do niej ostrożnie.

— Opowiedz mi coś o kobiecie, która zaprojektowała ten fresk.

— A skąd wiesz, że to była kobieta?

— Po prostu wiem, to wszystko.

Eugene przyjrzał się freskowi. Fresk zauważył jego spojrzenie i natychmiast, posłusznie, zwolnił.

— To komórkowe wyświetlanie automatyczne. Sądząc z zastosowanej techniki, pochodzi z lat pięćdziesiątych. Mam nadzieję, że zrobiła ją solidnie, bo cholernie ciężko byłby zastąpić części i programy z tak starej i nie używanej już platformy.

— Piękne, prawda? Ta sztuczka omal mnie nie rozgniewała, zanim zorientowałam się, co chce powiedzieć.

Eugene podrapał się po głowie.

— Załatwiłaś mnie — powiedział. — Na tym zupełnie się nie znam. Paul będzie wiedział, jest naukowcem.

— Kto to taki, ten Paul?

Eugene uśmiechnął się ostrożnie.

— Paul, praktycznie rzecz biorąc, ustanawia prawa w naszej niewielkiej grupce. Rozumiesz, ja tam nie lubię, kiedy mówi mi się, co mam myśleć. Nie interesują mnie ideologie. Ale ufam Paulowi. I sądzę, że on mi ufa.

— Jest tu dzisiaj? Mógłbyś mi go przedstawić?

— Jasne.

Eugene poprowadził ją przez bar, ku grupce kilku osób skupionej wokół muskularnego rudego młodego mężczyzny w jaskrawym garniturze z wyświetlaczem. Kurtka ukazywała wspaniały widok Pragi wprost z satelity, wzór ulicznych świateł rozciągał się przez klapy marynarki aż na lśniące rękawy. Mężczyzna opowiadał właśnie dowcip po francusku, żywo i z humorem. Oczarowani słuchacze śmiali się głośno, radosnym śmiechem przyjaciół, słuchających towarzyskiej anegdoty.

Maya doczekała cierpliwie chwili, gdy nastąpiła puenta anegdoty wśród wybuchu śmiechu i zabawnych komentarzy.

— *Ciao,* Paul — powiedziała szybko, wykorzystując okazję. — Nie masz nic przeciwko angielszczyźnie?

Rudy chłopak przeczesał palcami brodę.

— Bardzo szanuję język angielski, ale Paul siedzi tam, przy końcu stołu, kochanie.

— Och…

— Nie rób tego więcej — przestrzegł ją cicho Eugene. Zręcznie lawirował pomiędzy wyciągniętymi nogami i rękami trzymającymi szklaneczki.

Paul miał ciemną cerę, był przysadzisty, gładko ogolony i pogrążony w cichej rozmowie z kobietą o ostrym nosie, z włosami spadającymi na czoło; na jej twarzy nie było śladu szminki. Bawił się dużą serwetką, która jakby żyła własnym życiem. Powiewała, skręcała się i najwyraźniej miała ochotę wspiąć się po jego rękach.

— Pozwól, że coś ci przyniosę — szepnął Eugene.

— Może wodę mineralną? Dziękuję. — Maya przysiadła na krawędzi kanapy, przyglądając się jak Paul i ciemnowłosa kobieta dyskutują lśniącą, tańczącą serwetę. Oboje płynnie mówili po włosku.

Paul ubrany był w szare płócienne spodnie i zapinaną na guziki płócienną koszulę khaki; płaszcz rzucił na oparcie kanapy. Kobieta miała na sobie czarne rajstopy, buty i sięgające łokci białe inteligentne rękawiczki. Ignorowała Mayę z wyraźnie dostrzegalnym wysiłkiem.

Paul zręcznie szczypnął róg serwety, która natychmiast przestała się wić i zwisła bezwładnie. Podłączył ją do cienkiego kabla, spod

kanapy wyciągnął notebook i, nie przerywając wygłaszanej po włosku tyrady, zaczął walić w klawisze, wpatrując się jednocześnie w ekran, na którym pojawiały się dane w jakimś strasznym technicznym dialekcie języka angielskiego.

Uderzył w klawisz po raz ostatni, rozpoczynając wykonywanie procesu. Gwałtownie odwrócił się ku Mayi.

— Amerykanka? — spytał.

— Tak.

— Kalifornijka?

— Owszem.

— San Francisco?

— Jesteś bardzo mądry.

— Jestem Paul. Pochodzę ze Stuttgartu. Programuję. To Benedetta, koderka z Bolonii.

— Ja jestem Maya. Tak naprawdę pochodzę znikąd. I nie robię niczego szczególnego. — Maya podała rękę ciemnowłosej kobiecie.

— Jesteś modelką — powiedziała ze znużeniem Benedetta.

— Tak. Czasami. Nieczęsto.

— Wpadłaś kiedyś na jakiś pomysł, który zmąciłby pogodę tej pięknej główki?

— Nie, jeszcze nie, ale potrafię się pozbierać, gdybym się o jakiś potknęła i upadła.

— Jesteś szalenie taktowna, Benedetto. — Paul się roześmiał.

Benedetta dotknęła palców Mayi inteligentną rękawicą, po czym opadła na kanapę.

— Przyjechałam z bardzo daleka, by porozmawiać dziś z tym mężczyzną — oznajmiła. — Mam nadzieję, że poczekasz z flirtami aż wszyscy tu obecni się zaprawią.

— Benedetta jest katoliczką — wyjaśnił Paul.

— Nie jestem katoliczką! Bolonia to najmniej katolickie miasto w Europie. Jestem anarchistką, znam się na sztuczce i programuję. Planuję powiesić ostatniego gerontokratę na flakach ostatniego księdza!

— Jest także cudownie taktowna — dodał Paul.

— Chciałam tylko zapytać o fresk — powiedziała Maya.

— „Rajskie Ogrody”, Evá Masková, 2053 — wyjaśnił jej Paul.

Eugene odszedł już od baru, ale zainteresowała go kolejna opowiadana przez dowcipnisia historia. Stał pochylony, z łokciami na oparciu kanapy, śmiał się serdecznie i popijał wodę mineralną przeznaczoną dla Mayi.

— Opowiedz mi o tej Evie. Co się z nią dzieje teraz?

— Wypiła za wiele nalewek, spadła z roweru i skręciła kark — powiedziała chłodno Benedetta. — Medykom udało się ją jednak połatać. Poślubiła bogatego hiszpańskiego bankiera. Pracuje teraz dla

ugody w jakimś kretyńskim wieżowcu w Madrycie.

Paul lekko pokręcił głową.

— Jesteś bezlitosna. Był czas, kiedy w Evie palił się święty płomień.

— To ty tak twierdzisz, Paul. Ja ją spotkałam. Jest doskonałą małą mieszczką w średnim wieku, hodującą rośliny w doniczkach.

— A jednak palił się w niej święty płomień.

— Ten fresk — wtrąciła Maya. — Opowiada o ludziach takich jak wy, prawda? Kiedy zostawi się ich samym sobie, potrafią dokonywać cudów, ale kiedy obserwuje się ich z zewnątrz, kiedy się ich analizuje, zamierają, nieruchomieją.

Paul i Benedetta wymienili zdziwione spojrzenia, a potem jak na komendę oboje spojrzeli na nią.

— Mam nadzieję, że nie jesteś niespełnioną aktorką — powiedziała Benedetta.

— Nie, skądże.

— Nie tańczysz? Nie śpiewasz?

Maya potrząsnęła głową.

— Nie masz nic wspólnego ze sztuczkami? — spytał ostro Paul.

— Nie. No… czasami fotografuję.

— Spodziewałam się czegoś takiego! — krzyknęła triumfalnie Benedetta. — Chcę zobaczyć twój spex.

— Nie mam spexa.

— Więc pokaż mi aparat.

Maya wyjęła prosty, turystyczny aparat fotograficzny z plecionej torebki. Benedetta parsknęła śmiechem.

— Nie, to beznadziejne — orzekła. — Co za ulga! Przez jedną straszną chwilę myślałam, że spotkałam inteligentną kobietę, lubiącą rajstopy ozdobione cekinami!

Po schodach zszedł do baru wysoki mężczyzna w długim szarym płaszczu i ubłoconych roboczych spodniach.

— Emil przyszedł — ucieszył się Paul. — Pamiętał! Zdumiewające! Przepraszam was na chwilkę — powiedział, wstał i odszedł. Benedetta patrzyła za nim z wyraźnie zauważalnym w jej oczach gniewem.

— No i masz, zobacz, co zrobiłaś — powiedziała do Mayi. — Kiedy Paul już zacznie z tym świątobliwym durniem, nie potrafi skończyć. — Odłączyła wijącą się chustkę i wstała.

Maya nie miała zamiaru zostać sama. Nie teraz, kiedy coś się wreszcie zaczęło dziać.

— Benedetto, zostań ze mną — poprosiła.

Ciemnowłosą dziewczynę najwyraźniej bardzo to zaskoczyło. Spojrzała Mayi prosto w oczy.

— A niby czemu miałabym zostać? — spytała.

— Potrafisz dotrzymać tajemnicy? — Maya zniżyła głos.

Benedetta zmarszczyła brwi.

— Jakiej tajemnicy?

— Tajemnicy programisty.

— A co ty możesz wiedzieć o programowaniu?

Maya zbliżyła twarz do jej twarzy.

— Niewiele — przyznała. — Ale potrzebuję programisty. Jestem właścicielką pałacu pamięci.

Benedetta usiadła.

— Naprawdę? Dużego? — zainteresowała się.

— Tak, na pierwsze, tak, na drugie.

Benedetta pochyliła się na kanapie.

— Nielegalnego?

— Prawdopodobnie.

— Jak ktoś taki jak ty stal się właścicielem nielegalnego pałacu pamięci?

— A twoim zdaniem, jak ktoś taki jak ja stał się właścicielem nielegalnego pałacu pamięci?

— Nienawidzę zagadek. — Benedetta zacisnęła wargi. — Ale pozwolisz, że jednak zgadnę. Prawdopodobnie dostałaś go za usługi seksualne.

— Nie, oczywiście że nie. No… tak, właściwie tak. Chyba rzeczywiście.

— No to otwórzmy go i zobaczmy, co w sobie kryje. — Benedetta zgrabnie zarzuciła chustkę na szyję. Chustka drgała przez chwilę, a potem zabłysła złotym wzorem. Benedetta wzięła swój delikatny, elegancki notebook i nabijaną metalowymi ćwiekami torbę.

— Pójdziemy za bar — powiedziała. — Nikt nie będzie się nami interesował.

— Okazałaś mi tyle cierpliwości, Benedetto. Doprawdy, nie chciałabym się narzucać.

Benedetta przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, a potem opuściła wzrok.

— W porządku. Zachowałam się głupio — powiedziała. — Bardzo cię przepraszam za to, że zachowałam się tak głupio. Już nie będę. Idziemy?

— Przyjmuję twoje przeprosiny. Idziemy.

Benedetta zaprowadziła ją do niebieskawej, sprawiającej wręcz wrażenie podziemnej, wnęki za mahoniowym barem. Na stojącym tam stole ktoś analizował próbki krwi. Stół zasłany był pogniecionymi chromatografami i komarzymi igłami o diamentowych końcówkach. Benedetta zgarnęła śmiecie na podłogę, ustawiła notebook na stole i rozpostarła antenę.

— No więc, czego potrzebujesz? — spytała. — Rękawiczek?

Spexa?

— Ekranu dotykowego, żeby wprowadzić hasło.

— Ekranu dotykowego. Dobry los podpowiedział mi, żebym zabrała furoshiki! — Benedetta zerwała chustę z ramion, rozłożyła na stole i wygładziła. — Wystarczy — orzekła. — To japońskie. Japończycy uwielbiają sekretne zastosowania. — Róg nieruchomego płótna wsunęła do notebooka; materiał zabłysł natychmiast jaskrawą bielą.

— Nigdy jeszcze nie widziałam furoshiki. — Maya pochyliła się nad stołem. — Chociaż, oczywiście, wiele o nich słyszałam. — Inteligentne płótno utkane zostało z gęstej matrycy światłowodów, obwodów organicznych i włókien plezoelastycznych. Cienkie jak włos włókna światłowodowe przewodziły maleńkie, liniowe piksele kolorowego światła. Utkany monitor. Płócienny, wielokształtny komputer.

Benedetta zajrzała do torby, wyjęła z niej wyjątkowo skomplikowane, włoskie, wykonane na zamówienie spexy i założyła je.

— Jakie śliczne — zachwyciła się Maya.

— Potrzebujesz spexów i rękawic? No, to znalazłaś właściwych ludzi. Poprosimy Bouboule. Bouboule można zaufać. Zgadzasz się?

— Tak… chyba tak.

Benedetta włączyła spexy. Machała rękami, wydając niewidoczne komendy w powietrzu.

— Pokochasz Bouboule — obiecała. — Wszyscy kochają Bouboule. Jest bogata, hojna, zabawna, tolerancyjna dla siebie i innych. Lubi walić gliny po gębach. Umrze przed czterdziestką.

Dotknęła klawiszy notebooka. Potem, poprzez stół, skierowała spexy na Mayę, której twarz pojawiła się jednocześnie na chuście, w całym bogactwie kolorów.

— Cud świętej Weroniki — stwierdziła, uśmiechając się nieprzyjemnie. — Teraz muszę poznać funkcję dotykową.

— To tajemnica. Postąpiłabym bardzo nierozważnie, ufając obcym. Jestem pewna, że zdajesz sobie z tego sprawę, Benedetto.

— Jesteś bardzo ładna — powiedziała powoli Benedetta. Wpatrzona w monitor wystukiwała komendy. — Nie powinnaś być taka ładna i jednocześnie tak mnie traktować.

— Uroda ułatwia mi po prostu załatwianie różnych spraw. Ty też jesteś ładna. Jeśli chcesz, mogę sprawić, że zaczniesz wyglądać bardzo żywo.

— Nie znoszę sztuczek ciała. — Benedetta bardzo sprawnie posługiwała się klawiaturą. — Teraz, kiedy ciała kobiet trwają wiecznie, nie znoszę ich jeszcze bardziej. Nas, kobiety, ciało definiuje w stopniu, który jest dla nas tragedią, nawet umierać musimy piękne.

Weźmy Paula. Rozmawia ze mną o teorii. Jak kolega! Jak filozof! Ale wystarczy, że pojawi się śliczna dziewczyna w peruce, wymalowana i już jest tak, jakby z pociągu tylko dla niego wyskoczyła jego osobista muza. Kobiety nigdy się niczego nie nauczą. Mężczyźni podziwiają piękno, my musimy być pięknem. Więc kobieta zawsze jest tą inną, nigdy tą najważniejszą.

Maya zamrugała zaskoczona.

— Mężczyźni po prostu myślą inaczej niż kobiety, to wszystko.

— Och, jakież to głupie! „Anatomia jest przeznaczeniem". To dawne czasy, rozumiesz? Anatomia jest teraz przemysłem! Chcesz stać się wspaniałą męską matematyczką, śliczna dziewczynko? Jeśli przykleisz sobie do głowy wystarczająco dużo czujników, w tydzień opanujesz podstawy matematyki!

— Tylko że można przerwać przy tym naczynia krwionośne.

— Nie bądź hipokrytką, kochanie. Jestem pewna, że na swoim biuście dokonałaś działań znacznie bardziej radykalnych niż dodawanie, odejmowanie, dzielenie i mnożenie. Zaczekaj chwilkę… no, jest! — Jaskrawobiałe furoshiki Benedetty zmieniło kolor na metalowoszary, matowy. — Świetnie. Zaczekaj, aż znajdę jakiś odpowiedni publiczny netsite… dobrze, mam.

Do ich stolika podeszła Bouboule. Miała polakierowane, małe, ułożone w łuk usteczka, cofnięty podbródek, i wielkie, błyszczące piwne oczy. Na głowę włożyła okrągły kapelusz z cienkim rondem, na szyi zawieszony miała skomplikowany spex, ubrana była w tkany sweter i długą chustę, na jej plecach wisiał wielki żółty plecak.

— *Ciao,* Benedetta — powiedziała.

— Bouboule urodziła się w Stuttgartcie — wyjaśniła Benedetta. — Zaraz, zaraz, zapomniałam, jak ci na imię?

— Maya.

— Maya ma zamiar wyznać nam sekret, Bouboule.

— Kocham sekrety — wyznała Bouboule, siadając wdzięcznie. — Jak to miło z twojej strony, Mayu, że dzielisz się swoimi sekretami z takimi nic nie znaczącymi osobami jak my. Nie przeszkodzi ci, że zaproszę też moją małpkę?

Mała złota małpka wspięła się na szerokie plecy Bouboule i usiadła jej na ramieniu. Ubrana była w miniaturowy smoking z połami, oraz w krawat. W miejsce oczu miała wmontowane dwie błyszczące metalicznie kopułki. Implantowany spex.

— A czy ta twoja małpka mówi? — zainteresowała się Maya.

Małpka nie miała butów. Małe włochate stopki, wystające z mankietów spodni, wyglądały upiornie.

— Moja małpka jest wirtualistą — powiedziała lekko Bouboule. — Mayu, gdzie twoje spexy?

— Nie mam spexów. Nie mam nawet rękawiczek.

— *Quel dommage!* — krzyknęła Bouboule, najwyraźniej zachwycona takim obrotem sytuacji. — Mój wuj wyrabia spexy, w Stuttgarcie. Mam czterech wujów. Wszyscy są braćmi. Wiesz, jakie to dziś rzadkie, mieć czterech braci, mężczyzn, wszystkich z jednej rodziny? Pięcioro dzieci! Wliczając, oczywiście, moja mamę. Teraz w ogóle się to nie zdarza. Ale mnie zawsze zdarza się coś, co nie powinno się zdarzyć. — Bouboule otworzyła plecak i wręczyła Mayi zapakowane w plastyk spexy w drucianej oprawce.

— Płynna powłoka? — spytała Maya, przyglądając się soczewkom.

— Jednorazowe. — Bouboule wzruszyła ramionami. — Tu masz inteligentne rękawiczki, nie twierdzę, że są najlepsze, po prostu nosi się je na wieczorne przyjęcia, po których możesz się obudzić nie wiadomo gdzie. Nie złam palców, naciągaj je powoli… o właśnie tak.

— To bardzo miło, że mi je pożyczyłaś — powiedziała Maya.

— Wcale ci ich nie pożyczam, możesz je zatrzymać. Wujek lubi dawać prezenty dzieciakom, oni podchodzą do rynku w sposób bardzo perspektywiczny.

— Ja też mam coś dla ciebie, Mayu — powiedziała nagle Benedetta, najwyraźniej kierując się kaprysem. Dwoma palcami zaczęła szukać czegoś pod wysokim kołnierzem bluzki. W końcu wyciągnęła diamentowy naszyjnik z wisiorkiem na cienkim złotym łańcuszku. — Masz — powiedziała. — To dla ciebie. Tego bardziej potrzebujesz.

— Diamentowego naszyjnika?

— Co się tak dziwisz, przecież każdy idiota umie produkować diamenty — zirytowała się Benedetta. Podała jej naszyjnik. — Przyjrzyj się wisiorkowi.

— Maleńki słowik w złotym gniazdku. Jakie to piękne! Nie mogę przyjąć takiego prezentu!

— Złoto to głupstwo. Nie gap się tak i uważaj, co mówię. Ptasie gniazdo wsadzasz do ucha, to jest tłumacz. Diamenty są paciorkami pamięci, zawierają wszystkie języki europejskie. Widzisz wytrawione z boku numerki? Ptak wysiaduje teraz angielski, włoski i francuski. Włoski nie jest ci potrzebny jako język główny, więc włóż angielski, to jajko numer jeden… włóż angielski w środek gniazda, a włoski włącz z boku. Włoski ma numer siedemnaście.

— Włoski ma numer siedemnaście? — zdumiała się Bouboule.

— To szwajcarskie urządzenie. Zrobione w Bazylei.

— Szwajcarzy nie mają za grosz poczucia humoru — stwierdziła Bouboule. — Mścić się za to, że Mediolan wykupił Genewę… chować urazę…

Maya zdjęła z łańcuszka język włoski. Potem wyjęła angielski ze złotego gniazda i ostrożnie wpięła diamentowe włoskie jajko

pomiędzy delikatne ptasie nóżki z wytrawionymi na nich obwodami. Jajeczko od razu wskoczyło na miejsce, z lekkim, oznajmiającym połączenie trzaskiem.

Delikatnie wsunęła mały wisiorek do prawego ucha. Wisiorek poruszał się w nim jak mały metalowy skorek. Coś długiego i lepkiego wpełzło jej w kanalik ucha. Poczuła chwilową, przemożną ochotę zerwania wisiorka, ale nie zrobiła tego. Stała, drżąc.

— Nie ma baterii — powiedziała jej po włosku Benedetta. — Musisz cały czas trzymać go przy ciele. Jeśli nie będzie ciepły, ptak umrze.

Nowy tłumacz mówił ze wspaniałym, melodyjnym rezonansem, przypominającym ton fletu; delikatny dźwięk rozlegał się w pobliżu jej prawego bębenka.

— Jaki jest wspaniały! Jaki czysty głos! — zachwyciła się Maya.

— Ale pamiętaj, nie ma baterii.

— Nie ma baterii. Pamiętam. Tylko że zastanawia mnie to przeoczenie.

— To nie wada konstrukcyjna, raczej część zestawu — stwierdziła ponuro Benedetta. — Ten ptak to shareware. Szwajcarzy zaprogramowali go bezbłędnie.

Maja zapięła łańcuszek diamentów na szyi i wsunęła go pod bluzkę. Prezenty sprawiły jej ogromną przyjemność i nic nie mogła na to poradzić.

— Jesteś bardzo hojna — powiedziała. — Chcesz mojego niemieckiego tłumacza?

Benedetta obejrzała go sobie.

— Niemiecki na angielski — stwierdziła. — Nie dla mnie. Turystyczny kicz. — Rzuciła jej tłumacza. — No, teraz możemy rozmawiać jak cywilizowani ludzie. Pokaż nam swoje *palazzo*.

— Mam szczerą nadzieję, że to zadziała. — Maya przesunęła ręką nad lśniącą powierzchnią utkanego komputera. — Czy moje rękawice są włączone?

— Coś się procesuje — zauważyła Benedetta z powątpiewaniem.

Bouboule włożyła wspaniale skrojone, jaskrawożółte rękawice, po czym uważnie dostroiła spexy. — Jakie to podniecające! Patapouff i ja uwielbiamy pałace pamięci. Prawda, Patapouff?

Maya z niechęcią i w napięciu oczekiwała odpowiedzi małpki, małpka jednak nie odpowiadała, więc zmusiła się do rozluźnienia mięśni. Mówiące psy traktowała normalnie, ale w mówiących małpach było coś doprawdy okropnego.

W spexach Mayi pojawił się zamazany wzór testowy. Przeciągnęła ręką po prawej części oprawki, aż nabrał on ostrości i stał się idealnie czytelny. Przycisnęła mostek, nadając obrazowi trójwymiarowość. Były to rutynowe gesty, zwykle techniczne poprawki, wykonywała je

od dziesięcioleci, nagle jednak poczuła niezwykłe podniecenie. Po astygmatyzmie nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Jej astygmatyzm odszedł w przeszłość. Aż do tej chwili nigdy nie miała okazji pożałować, że odszedł.

— To pracownia! — powiedziała Benedetta. W jej głosie brzmiał tryumf. — Jaka dziwna. Bardzo stara. Ja was poprowadzę, dobrze?

— Pracownia mężczyzny? — Bouboule była wyraźnie znudzona.

— A gdzie ten facet trzymał pornografię? — zainteresowała się Benedetta.

— Co? — zdumiała się Maya.

— Nie znalazłaś jego pornografii? Na świecie nie ma chyba mężczyzny, który w swym pałacu pamięci nie przechowywałby pornografii.

— Tego mężczyzny nie ma już na świecie.

Bouboule powiedziała coś złośliwego i roześmiała się.

— Francuski dowcip słowny — zakwilił tłumacz swą melodyjną lecz pozbawioną jakiegokolwiek charakterystycznego akcentu angielszczyzną. — Kontekst nie został zrozumiany.

— Widzę jakieś wielkie plany — oznajmiła Benedetta, przyglądając się jednej ze ścian. — Lata sześćdziesiąte, co? Rzeczywiście, budowali wtedy jak wściekli. Biblioteka. Galeria. Zoo Sztucznego Życia… brzmi wspaniale! Akta firmy. Akta zdrowotne. Wzór zachowania CAD-CAM. Kino! Czy może jest tu kino?

— Co masz na myśli, mówiąc o kinie? — zainteresowała się Bouboule.

— *Cinematographique.*

— *Prima!*

— Wymiary ciała, to dla krawca. Recepty na nalewki. Plany domu… o, to bardzo fajne, trzymać fizyczne plany domu w *palazzo.* Aha, plany trzech czy czterech różnych domów! Ten facet musiał być całkiem bogaty.

— Był bogaty kilkanaście razy — wyjaśniła Maya.

— Och, przyjrzyjcie się temu! Miał tracker petepe.

— Co to takiego petepe?

Benedetta, zmuszona do udzielenia wyjaśnień natury technicznej, powróciła do angielszczyzny.

— Public Telepresence Point, PTP — wyjaśniła. — Twój facet ma… miał… skaner porządkujący, zdolny do wydobywania danych z oficjalnych rejestrów teleprezencji. Przydaje się do śledzenia przyjaciół… albo wrogów. Program wyszukuje dane z milionów rejestrów teleprezencji, gromadzonych przez wiele lat, katalogując pojawienia się szukanego człowieka. To taki szperacz danych. Przemysłowe oprogramowanie szpiegujące.

— Nielegalne? — zainteresowała się Bouboule.

— Prawdopodobnie, choć może nie wtedy, kiedy ten pałac był budowany.

— Dlaczego nazywacie go petepe?

— Tu, w Pradze, tak zawsze nazywano PTP. Dziwny język, ten česky.

— „Česky” to nie rzeczownik, tylko, jak to się nazywa? A, przysłówek. Właściwa nazwa języka brzmi „čeština”.

— Čeština to jajo numer dwanaście, Mayu.

— Dziękuję za informacje.

Nagle Maya poczuła maleńkie łapki, powoli wsuwające się pod rękaw jej bluzki. Krzyknęła i zerwała spexa z oczu. Małpka, przerażona, przeskoczyła szybko na ramię Bouboule, tam szukając schronienia. Wyszczerzyła drobne ząbki. Bouboule, oślepiona i przywołana do rzeczywistości przez swego spexa, machała rękami w powietrzu.

— Zła dotykowość? — spytała.

— Złe, stare protokoły — zawyrokowała podobnie oślepiona Benedetta.

Maya, milcząc, spojrzała w przykryte srebrnymi nakładkami oczy małpki.

— Dotknij mnie jeszcze raz, a dam ci klapsa — ostrzegła ją samym ruchem warg. Małpka poprawiła klapy smokingu, machnęła chwytnym ogonem i skoczyła na oparcie kanapy.

— Znalazłam akces — powiedziała Benedetta. — Wyjdźmy na dach.

Maya znów włożyła spexy. W ścianie przesunęły się drzwi. Wkroczyły w wirtualną ciemność. Obok nich, w dół, przemykały białe kręgi, przypominające paski galopujących zebr.

Wkroczyły na dach, ozdobiony murem ze strzelnicami. Pod stopami czuły fałszywy żwir.

Wokół nich stały inne pałace pamięci, być może zbudowane przez partnerów oszustw Warshawa. Maya nie mogła pojąć, dlaczego właściciele pałaców pamięci dopuścili do sytuacji, w której ich konstrukcje widoczne są z innych konstrukcji. Czyżby pocieszało ich to, że inni ludzie też się ukrywają? Na wirtualnym, skrzywionym horyzoncie sterczała we mgle chińska skała, wysoki cyfrowy stalagmit ozdobiony delikatnymi, monochromatycznymi, wykonanymi piórkiem rysunkami sumi. W pewnej, nie dającej się zmierzyć przestrzeni i, szczerze mówiąc, nieeuklidesowej odległości znajdowała się złożona z samych krzywizn struktura, przypominająca najbardziej burzową chmurę, lśniąca niczym pożyłkowany czarny marmur, sugerująca jednak zmysłom jakąś przedziwną szklaną gazowość, a może gazową szklaność…? Był też gładki, pokryty eleganckimi blaszkami budynek, przykryty czymś przypominającym kapelusz grzyba, blaszkowaty od

spodu, po bokach otoczony kolumnami i pokryty szczelinami. Inny pałac przypominał stojący na boku plaster miodu, spowity chmurą setek tysięcy pyłków, lecących powoli, wchłanianych i wydzielanych; wyglądał zupełnie jak gniazdo wirtualnego pterodaktyla.

Bouboule była wstrząśnięta i oczarowana.

— Jaka to przedziwna metafora — powiedziała. — Nigdy nie widziałam wirtualności tak starej, a jeszcze funkcjonującej.

— Ciekawe, gdzie my właściwie jesteśmy — westchnęła Maya i natychmiast się poprawiła. — To znaczy, skąd to wszystko idzie?

— Pałace nie muszą przecież reprezentować rzeczywistego procesingu — zauważyła Benedetta. — To coś wygląda doprawdy wspaniale, ale przecież może być wyłącznie śmieciem na jakiejś starej maszynie, stojącej w szafie gdzieś, w Makao. Nie wolno ufać prezentacji. Obserwowane przez inny interfejs, wszystko to wygląda pewnie bardzo zwyczajnie i bardzo mieszczańsko.

— Oślica z ciebie — stwierdziła podekscytowana Bouboule. — Gerontokraci nie żyją w ten sposób. Żaden właściciel takiego pałacu nie pojawiałby się w nim tylko po to, żeby oszukiwać oczy iluzją. Masz tu pejzaż duszy starego człowieka. Jego ostatnią ucieczkę. Raj przestępcy.

— Ciekawe, czy któreś z tych starych miejsc jest jeszcze zamieszkiwane. Być może oni wszyscy już nie żyją, a zamki nastawiono na automatykę. Może to nawiedzone zamki, zbudowane na wirtualnym piasku.

— Nie mów tak — powiedziała Maya przez ściśnięte gardło.

— Lecimy! — Benedetta skoczyła zgrabnie z jednej ze strzelnic.

W spexach zapadła ciemność.

— Och! Jaka szkoda! Połączenie zostało przerwane — westchnęła Benedetta.

Dziewczyny zdjęły spexy. Patrzyły na siebie w milczeniu.

— Jakim cudem dostałaś to coś? — spytała wreszcie Bouboule.

— Lepiej nie pytaj — powiedziała Benedetta.

— Och! — Bouboule uśmiechnęła się. — Mam nadzieję, że stary zostawił ci jakieś pieniądze?

— Jeśli tak, to nie odnalazłam skarbu. — Maya złożyła spexy. — W każdym razie jeszcze nie.

Chciała oddać spexy Bouboule.

— Nie, nie, zatrzymaj je. I tak znajdę ci lepsze. Daj mi adres.

— Nie mam stałego adresu. Nie mam adresu sieciowego. Słuchajcie, ja naprawdę się tak po prostu włóczę.

— Zatrzymaj się u mnie, jeśli duch włóczęgi zaprowadzi cię do Stuttgartu. Wujowie mają mnóstwo miejsca.

— To bardzo miło z twojej strony. Obie jesteście dla mnie takie uprzejme, takie hojne… naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Benedetta i Bouboule wymieniły przedziwnie niewinne spojrzenie bardzo młodych intrygantek.

— Nie ma sprawy — powiedziała Benedetta. — Wiesz, mamy swoje sposoby i doskonale wiemy, kiedy spotykamy nową bratnią duszę.

— Na scenie jesteśmy współczesnymi kobietami — stwierdziła poważnie Bouboule — które zdecydowały się żyć wolne i swobodne. Wszystkie mamy potrzeby nie odpowiadające obecnemu *status quo*. Jesteśmy kobietami współczesnymi! Albo wszystkie razem patrzymy w gwiazdy, albo jedna po drugiej umrzemy w rynsztoku.

Bouboule pochyliła się nagle i ożywiła.

— Co to takiego? O, popatrzcie, Patapouff znalazł komara. Będziemy miały szczęście! Chodźcie, sprawdzimy sobie krew i zrobimy parę nalepek, żeby to uczcić. Coś bardzo ciepłego i miłego.

— No, nie wiem — sprzeciwiła się tej propozycji Benedetta. — Ostatnio mam tak niski poziom lipidów. Może woda mineralna?

— Ja wezmę to samo — zgodziła się z nią Maya.

— To znajdźmy jakiegoś fajnego chłopca, żeby nam przyniósł drinki — zaproponowała Bouboule. Podniosła wyłączony płócienny komputer i pomachała nim nad głową.

— Z kim ty właściwie tu przyszłaś? — spytała Mayę Benedetta. — Z Eugenem?

— Nie przyszłam tu z Eugenem.

— Eugene to idiota, prawda? Nienawidzę ludzi, którzy mylą algorytmy z archetypami. A poza tym on jest z Toronto.

— *Est-il Quebecois?* — zainteresowała się Bouboule.

— Toronto to nie Quebec — poinformowała ją Maya.

— *C'est triste…* och, *ciao,* Paul.

— Benedetto, znalazłaś się w centrum zainteresowania — powiedział Paul, podchodząc do nich z uśmiechem. — To Emil z Pragi. Jest ceramikiem. Emilu, to Maya, modelka, i Benedetta, programistka. A to Bouboule. Jest naszą przemysłową patronką.

Emil ukłonił się Bouboule.

— Powiedziano mi, że już się spotkaliśmy.

— W szczególnych okolicznościach. — Twarz Bouboule zachmurzyła się. Dziewczyna wstała, złożyła na policzku Emila siostrzany pocałunek i odeszła. Małpka pobiegła za nią i wskoczyła jej na ramię.

— Kiedyś byli kochankami — wyjaśniła Benedetta, marszcząc nos.

Emil usiadł, zdruzgotany.

— Naprawdę byłem kochankiem tej kobiety? — zdziwił się szczerze.

— Sprowokujesz skandal, Benedetto — skarcił ją Paul. —

Pozwolisz, że obejrzę furoshiki? — Postawił swój notebook na stoliku. — Emilu, to doprawdy nadzwyczajne urządzenie — powiedział — i powinieneś z bliska przyjrzeć się, jak działa. — Podwinął rękawy.

Emil spojrzał na Mayę. Miał piękne ciemne oczy.

— Czy my byliśmy kiedyś kochankami? — spytał.

— Dlaczego pytasz?

Emil westchnął. Był rozżalony.

— Paul jest taki przekonywający — burknął. — Zawsze udaje mu się namówić mnie, żebym przyszedł na te jego zabawy, a potem okazuje się, że zawsze popełniam straszne nietakty.

Paul podniósł wzrok znad ekranu.

— Nie marudź — powiedział. — Bardzo dobrze ci dziś idzie. Chodź, popatrz na ten drobiazg, z pewnością poprawi ci humor. Prawdziwe cudeńko.

— Nie jestem osobnikiem poświęcającym się cyfrom. Kocham glinę. Glinę! To najmniej cyfrowa substancja na ziemi.

— Świetnie mówisz po angielsku. — Maya przysunęła się do niego.

— Bardzo ci dziękuję, kochanie. Jesteś pewna, że nigdy się nie spotkaliśmy?

— Nigdy. Jestem w Pradze po raz pierwszy w życiu.

— Powinnaś pozwolić mi, bym pokazał ci miasto.

Maya spojrzała na Paula i Benedettę. Rozmawiali z zapałem, po włosku, zafascynowani płócienną maszyną.

— Mogłoby być bardzo przyjemnie — powiedziała powoli. — Co robisz po zabawie?

— A co robię w tej chwili? — Emil odpowiedział pytaniem na pytanie. — Żenuję sam siebie i wszystkich dookoła, to robię i nic więcej. Lepiej chodźmy na spacer. Potrzebuję świeżego powietrza.

Maya powoli rozejrzała się po barze. Nikt się im nie przyglądał. Nikogo nie obchodziło, co robią. Była absolutnie wolna, mogła robić co jej się żywnie podoba.

— Dobrze — powiedziała. — Jeśli chcesz.

Odnalazła swą czerwoną kurtkę. Emil zabrał swój brudny płaszcz i kapelusz z opuszczonym rondem. Po Klaudii nie pozostał najmniejszy nawet ślad.

— Przyszłam tu z przyjaciółką — wyjaśniła Emilowi Maya. — Będę musiała po nią wrócić. Przejdziemy się po najbliższych uliczkach, dobrze?

Emil odruchowo skinął głową, chyba nie zwracając uwagi na jej słowa. Wyszli z Tête. Emil wsunął wielkie, kościste dłonie w kieszenie płaszcza. Noc była czysta i cicha; robiło się coraz zimniej. Ruszyli przed siebie Opatovicką.

— Jesteś głodna?

— Nie.

Emil szedł w milczeniu, wpatrzony w chodnik. Mijali ulice o nieprawdopodobnych wręcz nazwach: Křemencová, Vlčaři, Ostrovni.

— Nie powinniśmy już wracać? — spytała Maya.

— Przechodzę kryzys — wyznał pesymistycznie Emil.

— Jaki kryzys?

— Nie powinienem ci mówić. To dość skomplikowana historia.

Emil mówił po angielsku z akcentem czesko-brytyjskim. Maya nie mogła wprost uwierzyć, że w pogodną, chłodną noc spaceruje po tak pięknym mieście, słuchając tak uroczo egzotycznej wersji swego języka.

— Mnie to nie przeszkadza. Wszyscy mamy problemy.

— Mam czterdzieści pięć lat — przyznał Emil.

— I to ten kryzys?

— Nie chodzi o wiek. Chodzi o kroki, jakie podjąłem, by uniknąć moich innych kłopotów. Bo rozumiesz, byłem garncarzem. Byłem garncarzem przez dwadzieścia pięć lat.

— Tak?

— Kiepskim garncarzem. Kręciłem koło. Grzebałem w glinie. Technicznie nic mi nie brakowało, ale nie płonął we mnie święty płomień. Nie potrafiłem bez reszty poświęcić się rzemiosłu, a im lepszą miałem technikę, tym bardziej brakowało mi natchnienia. Mdliło mnie na samą myśl o własnej niedoskonałości.

— Brzmi to bardzo poważnie.

— Można być szczęśliwym amatorem, nie ma w tym nic złego. I nie ma nic złego w prawdziwym talencie. Ale być kompetentnym i nie sprawdzać się w sztuczce, na której człowiekowi naprawdę zależy… no, to przecież koszmar.

— Nie znam się na tym — przyznała Maya.

Jej opinia najwyraźniej pogrążyła Emila. Naciągnął bezkształtny kapelusz na oczy. Szedł przed siebie, powłócząc nogami.

— Emilu — powiedziała w końcu Maya. — Czy pomogłoby ci, gdybyśmy rozmawiali po czesku? Tak się złożyło, że mam przy sobie czeskiego tłumacza.

— Być może nie jesteś w stanie tego zrozumieć, ale moje życie niczym już nie dało się uzasadnić — stwierdził Emil. — Uznałem, że posunąłem się za daleko. Uznałem, że muszę wymazać wszystkie moje pomyłki i spróbować od nowa. No więc porozmawiałem z przyjaciółmi. Specjalistami od nalewek. Specjalistami od mocnych nalewek. Namówiłem ich, żeby dali mi wysoce skuteczny amnezjak o szerokim spektrum.

— Ojej!

— Wstrzyknąłem go sobie. Kiedy obudziłem się następnego ranka,

nie umiałem już nawet mówić. Nie wiedziałem kim jestem, gdzie jestem, nie wiedziałem nawet, czym jestem. Nie wiedziałem, co to takiego koło garncarskie. Wiedziałem tylko, że jestem w pracowni, że jest tu koło i mokra glina w torbie. I potłuczone garnki. Oczywiście poprzedniego wieczoru sam potłukłem na kawałki te moje nieudane, obrzydliwe dzieła — uderzył się dłonią w głowę — zanim potłukłem sobie na kawałki głowę.

— I co dalej?

— Położyłem glinę na kole, zacząłem je obracać i okazało się, że potrafię pracować w glinie. Zdarzył się cud. Potrafiłem pracować w glinie całkiem bezmyślnie i bez najmniejszych wątpliwości. Nic o niej nie wiedziałem, a jednak z mych dłoni bił talent. Glina była wszystkim, co miałem… wszystkim, czym byłem. Glina była wszystkim, co po mnie zostało. Byłem zwierzęciem robiącym garnki. — Roześmiał się. — I tak to przez całe lata wyrabiałem naczynia — mówił dalej. — Bardzo dobre zresztą. Wszyscy mi mówili, że są bardzo dobre. Sprzedawałem je na pniu. Poważnym kolekcjonerom. Za duże pieniądze. Bo wiesz, zyskałem talent. Wreszcie byłem dobry.

— Bardzo to interesujące. I co było dalej?

— Och, skorzystałem z pieniędzy i znów nauczyłem się czytać i pisać. Nauczyłem się także angielskiego. Przedtem nie potrafiłem opanować angielskiego, ale potem byłem w takim stanie, że angielski przyszedł mi bez trudności. Pamięć także wracała, kawałek po kawałku. Większość mej osobowości zniknęła jednak na zawsze. Nie żałuję. Nigdy nie byłem szczęśliwy.

Maya zamyśliła się nad tym, co usłyszała. Cieszyła się, że przyjechała do Pragi. Właśnie tu. Nigdzie nie udało jej się znaleźć kogoś, o kim mogłaby powiedzieć, że jest człowiekiem o podobnej do jej konstrukcji.

— Wracajmy na zabawę — zaproponowała.

— Nie, nie będę w stanie znieść zabawy. Mam pracownię przy tej ulicy. — Emil wzruszył ramionami. — Paul to miły facet. Pełen dobrych chęci. I niektórzy z jego przyjaciół są w porządku. Tyle że nie powinni podziwiać ludzi takich jak ja. Zrobiłem kilka dobrych rzeczy, nie jestem jednak idealnym wojownikiem w walce, którą prowadzi Paul, walce o wyzwolenie świętego płomienia. Jestem człowiekiem zrozpaczonym, człowiekiem, który zniszczył sam siebie dla gliny. Ludzie Paula nie powinni zamykać na to oczu. Jestem straszliwym głupcem. Czas, by przestali traktować postludzkie ekstremalności jak romantycznych bohaterów.

— Nie możesz wrócić do domu, by tam snuć tak ponure myśli. Obiecałeś, że pokażesz mi miasto.

— Obiecałem ci coś takiego? — zdziwił się Emil uprzejmie. —

Bardzo cię przepraszam, kochanie. Widzisz, kiedy obiecuję coś wcześnie rano, to prawie zawsze jestem w stanie dotrzymać obietnicy. Ale późnym wieczorem… cóż, ma to coś wspólnego z biorytmami. Zaczynam zapominać.

— W takim razie może pokażesz mi pracownię? Skoro to niedaleko…

Emil spojrzał jej prosto w oczy. Patrzył, jakby wiedział wszystko.

— Z przyjemnością zapraszam cię do mojego mieszkania — powiedział uprzejmie i z całą pewnością nieszczerze. — Jeśli jesteś pewna, że musisz je zobaczyć…

Dom był ciemny i nieprawdopodobnie stary. Pracownia Emila znajdowała się na pierwszym piętrze, na które wchodziło się po niemiłosiernie trzeszczących schodach. Emil otworzył drzwi małym metalowym kluczykiem. Podłoga jego pracowni ułożona była z nierównych drewnianych desek, ściany oklejała antyczna tapeta w kwiatki.

Prawie całą podłogę zajmowały wysokie drewniane regały, wypełnione naczyniami. Znajdowały się tu także dwa wielkie, ubrudzone błotem zlewy; z jednego kranu kapała woda. Był tu również biały piec oraz poplamione tablice ze sklejki, na których wisiały drewniane i druciane narzędzia, koło garncarskie, warsztat pełen porozrzucanych narzędzi, zakurzone worki z substancjami nadającymi naczyniom połysk, i prymitywna kuchnia, wypełniona ręcznie wykonanymi naczyniami, umieszczonymi w białych, usmarowanych brudnymi rękami szafkach. Pod oknami, których ramy wypaczyły się od wilgoci, stały prześliczne doniczki z resztkami zasuszonych roślin. Wszędzie poniewierały się pogniecione odpady płócien i papieru, gąbki, rękawice. Powietrze przesycał zapach gliny. Nie było tu ani łazienki, ani toalety; znajdowały się na korytarzu. Łóżko, na którym leżała brudna pościel, zapadło się ze starości.

— No, przynajmniej masz elektryczność — powiedziała Maya. — Obywasz się bez komputera? Bez netlinku? Bez monitorów?

— Kiedyś miałem notebook — wyznał Emil. — Bardzo sprytną maszynę. Wpisałem w nią kalendarz, adresy, numery telefonów, listę spotkań i w ogóle wiele pożytecznych informacji, pozostałości z poprzedniego życia. Pewnego dnia obudziłem się ze strasznym bólem głowy. Notebook poinformował mnie oczywiście, co mam dziś do zrobienia. No, więc otworzyłem tamto okno — wskazał je palcem — i wyrzuciłem go na ulicę. I życie stało się prostsze.

— Emilu, dlaczego się martwisz? Tworzysz przecież te takie piękne naczynia. Zrobiłeś wprawdzie medycznie nieodwołalny krok, ale co z tego? Wielu ludzi miało pecha z upgrade'ami. Stało się, to się stało; nic się nie zyska, żałując. Musisz po prostu znaleźć sposób na życie po tym, co się zdarzyło.

— Jeśli już musisz wiedzieć, spójrz na to — burknął Emil, wkładając jej do ręki urnę, niską, okrągłą, glazurowaną ochrą, jasną bielą i czernią. Dekoracyjny wzór promieniował szaloną energią, przypominał szachownicę trafioną błyskawicą, a jednak naczynie cechowała wielka prostota i spokój. Urna była masywna, ciężka lecz smukła, jak prastare jajo obrazujące bezczasowy stan umysłu. — Moja ostatnia praca — powiedział z goryczą.

— Emilu, przecież to prawdziwe cudo. Ta urna jest taka piękna, że chciałabym, żeby mnie w niej pogrzebano.

Emil zabrał jej urnę i odłożył na półkę.

— A teraz popatrz na to. To katalog wszystkich moich prac od czasu przemiany. — Westchnął. — Jakże żałuję, że nie wykazałem się zdrowym rozsądkiem i nie spaliłem tego cholernego katalogu…

Maya usiadła na stołku Emila i zabrała się za przeglądanie albumu. Zdjęcia, zdjęcia, zdjęcia ceramik Emila, oświetlonych i utrwalonych z troską i uczuciem.

— Kto zrobił ci katalog?

— Jakaś kobieta. Mam wrażenie, że były dwie, może nawet trzy kobiety. Zapomniałem ich imiona. Spójrz na stronę siedemdziesiątą czwartą.

— Co… aha! Rzeczywiście, twoja ostatnia praca jest do niej bardzo podobna. Czy to część serii?

— Nie „bardzo podobna”, tylko „identyczna”. A jednak zrobiłem ją kierowany wyłącznie natchnieniem. Chwilowym impulsem. Rozumiesz, co to znaczy? Zacząłem się powtarzać. Mój talent wysechł. Dotarłem do swych twórczych granic. Moja tak zwana „wolność tworzenia” jest tylko tanim oszustwem.

— Stworzyłeś to samo naczynie dwukrotnie?

— No właśnie! No właśnie! Potrafisz wyobrazić sobie, jakie to straszne? Kiedy zobaczyłem to zdjęcie… było tak, jakby wbito mi nóż w serce. — Emil padł na łóżko i ukrył twarz w dłoniach.

— Sądząc po tym, co widzę, uważasz, że stało się coś strasznego.

Emil uchylił się przed tymi słowami jak przed ciosem, ale nie powiedział nic.

— Wiesz, wielu zajmujących się ceramiką artystów tworzy dzieła w oparciu o formy. Ci ludzie robią setki identycznych naczyń. Zrobiłeś coś gorszego niż to?

Emil spojrzał na nią. W jego oczach dostrzegła gorycz i żal.

— Rozmawiałaś o mnie z Paulem!

— Nie, skąd, nie rozmawiałam o tobie z Paulem, ale… wiesz, ja fotografuję. Fotografia cyfrowa zawsze była dziełem bez oryginału.

— Nie jestem aparatem fotograficznym, tylko człowiekiem.

— Więc tu właśnie popełniasz intelektualny błąd. Z pewnością byłbyś szczęśliwszy, akceptując fakt, że jesteś postczłowiekiem,

zamiast zamartwiać się problemami oryginalności. Chodzi mi o to, że w dzisiejszym świecie ludzie nie pozostają przecież ludźmi, prawda? Każdy z nas prędzej czy później będzie musiał się z tym pogodzić.

— Nie rób mi tego — jęknął Emil. — Nie opowiadaj mi takich rzeczy. Jeśli chcesz opowiadać komuś coś takiego, lepiej wróć na zabawę. Na mnie po prostu tracisz czas. Porozmawiaj z Paulem, on będzie ci gadał i gadał, jak długo chcesz. — Skopał z łóżka na podłogę zgnieciony szlafrok. — Nie jestem żadnym postczłowiekiem. Jestem po prostu głupim, bardzo chorym człowiekiem, pozbawionym jakiegokolwiek liczącego się talentu, człowiekiem, który popełnił bardzo poważny błąd. Mam pewne problemy z pamięcią, ale doskonale wiem, kim jestem. Wszystkie te cwane teoryjki nie robią na mnie najmniejszego wrażenia.

— Więc? Wygląda na to, że już się zdecydowałeś. Jak masz zamiar rozwiązać ten tak zwany kryzys?

— Jak to, jak? Przecież nie mam wyboru. Nie mogę żyć, wyłącznie kręcąc się w kółko. Mam zamiar wyskoczyć przez okno.

— Oj!

— Zażycie amnezjaku było po prostu tchórzliwym półśrodkiem. Kompromisem. Nie jestem tym, kim chciałem być. Nigdy nie będę tym, kim chciałem być. Nie mogę żyć, będąc kimś mniejszym.

— No, cóż… oczywiście nie należę do osób sprzeciwiających się samobójstwu. Samobójstwo jest bardzo właściwe i zawsze jest rozwiązaniem honorowym, ale…

Emil zakrył uszy dłońmi. Maya usiadła obok niego. Westchnęła.

— Emilu, umierać to przecież głupota. Masz takie piękne ręce.

Emil milczał.

— Jaka szkoda, że takie piękne, silne ręce zmienią się w glinę głęboko pod zimną, twardą ziemią. Przecież mógłbyś wsunąć mi je pod bluzkę.

Emil wyprostował się nagle. Oczy mu płonęły.

— Dlaczego kobiety zawsze mi to robią? — krzyknął. Nareszcie się ożywił. — Czy nie widzisz, że jestem zdruzgotany? Że jestem emocjonalnym wrakiem? Nic ci nie mogę dać. Rano nie będę nawet pamiętał twojego imienia!

— Przecież wiem. Oczywiście, znam tę twoją cechę. Do tej pory nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty i przez to wydajesz mi się jeszcze bardziej atrakcyjny. Nie wiem, dlaczego, ale prawdę mówiąc jesteś prawdziwą pokusą, pokusą, której po prostu nie potrafię się oprzeć. — Pocałowała go. — Wiem, że brzmi to okropnie i może cię zranić. Więc już lepiej nie rozmawiajmy, dobrze?

* * *

Obudziła się w środku nocy, w obcym łóżku, w obcym mieście, słuchając powolnego oddechu leżącego obok niej mężczyzny. Cala struktura wszechświata znów nieco się przemieściła. Czuła się krucha i słodko zmęczona; obecność Emila ogrzewała ją, pocieszała, bo mieć kochanka to przecież jakby mieć drugą duszę. Miała tyle dusz, że wystarczyłoby ich dla każdego mężczyzny na świecie.

* * *

Rano przygotowała śniadanie dla siebie i dla niego. Tak, jak obiecał, Emil nie pamiętał jej imienia. Nie przejął się tym szczególnie, choć sprawiał wrażenie lekko zawstydzonego. Wskoczyli do łóżka i już po chwili wszystko było w porządku. Emil zjadł śniadanie, uśmiechnął się triumfująco i zabrał się do roboty. Maya, nie znosząca bałaganu, zabrała się za sprzątanie pracowni.

Sądząc po stanie katalogu, Emil mieszkał sam od jakichś dwóch, może trzech tygodni. Dokumentacja jego dzieł, w której i tak panował bałagan, nie była prowadzona na bieżąco. Maya uświadomiła sobie, że będzie zmuszona do uporządkowania także i jej. To zadanie najwyraźniej spadało na barki kobiet Emila. Sądząc po kompetencjach kolejnych fotografów, Maya była czwarta z rzędu.

Podczas sprzątania pracownia dostarczyła jej prawdziwego bogactwa informacji. Kobiety przelatywały przez nią niczym podmuchy huraganu, pozostawiając po sobie spinki do włosów, pojedyncze zgniecione pończochy, opakowania po butach, puste pudełka po pomadkach, różowe pióra po jakimś starym kostiumie, tanie okulary przeciwsłoneczne, testery krwi i, oczywiście, fotografie. Kobiety robiące zdjęcia były tymi, które coś w Emila zainwestowały.

— Doskonale się dziś czuję — oznajmił Emil. Rzeczywiście, powinien się czuć doskonale. — Mam zamiar stworzyć coś specjalnie dla ciebie, Mayu. Coś, w czym zamknę twe niespotykane u innych cechy. Hojność. Dobro.

— Nie jestem twoim glinianym naczyniem, Emilu.

— Ależ oczywiście, że jesteś. Wszyscy jesteśmy glinianymi naczyniami. Nie ma sensu sprzeciwiać się Biblii. — Emil zachichotał wesoło i zabrał się za przygotowywanie gliny.

Maya wybrała się do śródmieścia, po zamknięty w skrytce na lotnisku bagaż. Plecak i ubrania Klaudii zniknęły, pozostał jednak list. Napisany po niemiecku. Maya oczywiście nie czytała po niemiecku, sądząc jednak z kanciastego charakteru pisma i mnóstwa

wykrzykników Klaudia była po prostu wściekła.

Następnie Maya znalazła publiczny netsite. Podłączyła do niego aparat fotograficzny i przesłała zdjęcia do Therese, do sklepu. Potem zjadła lunch. Kiedy skończyła obowiązkowe podkarmianie ciała, zadzwoniła do sklepu w Monachium.

— Gdzie jesteś? — spytała ją Therese.

— Nadal w Pradze. Jak tam Klaudia?

— Wróciła. Wściekła. Przestraszona. Skacowana. Upokorzona. Okazałaś się niezbyt pomocna, Mayu.

— Znalazłam faceta.

— Tego się właśnie spodziewałam. Kiedy wracasz?

Maya potrząsnęła głową.

— Therese, jeśli nie zaopiekuję się tym facetem, wyskoczy przez okno.

Therese roześmiała się.

— Straciłaś rozum, dziewczyno? Przecież to najstarsza sztuczka w repertuarze tych artystów. Okaż odrobinę rozsądku i wracaj natychmiast. Przywiozłam mnóstwo towaru.

— Therese… — Maya westchnęła ciężko. — Miałaś rację — powiedziała. — Tête jest sceną. Bardzo spodobali mi się ci ludzie, od sztuczki. Mają zamiar nauczyć mnie być żywą. Nie wracam do Monachium.

Therese milczała.

— Widziałaś moje zdjęcia? — Maya przerwała jej milczenie.

— Całkiem niezłe. Być może znajdę jakiś użytek dla twoich zdjęć.

— Są okropne. Ale mam zamiar się uczyć. Mam zamiar uczyć się fotografii, pracy w spexach. Będę lepsza niż jestem, dostanę lepszy sprzęt, zacznę pracować we własnej sztuczce. Będę taka jak oni.

— Nie byłaś szczęśliwa w sklepie, kochanie?

— Nie chcę być szczęśliwa, Therese. Nie ma mnie wystarczająco wiele, żebym była szczęśliwa. Nie należę jeszcze do siebie, muszę nauczyć się, jak być bardziej sobą. Ci artyści… sądzę, że oni mogliby mi pomóc. Czują ten sam rodzaj niedosytu, który czuję ja.

— Całkiem nagle wypowiadasz się z wielką pewnością siebie. Co ci zmieniło poglądy? Jedna noc w łóżku z jakimś facetem? Dlaczego nie miałabyś wskoczyć w pociąg i wrócić tu jak najszybciej? Pociągi chodzą jeden za drugim.

— Mogę wysłać ci mnóstwo zdjęć, jeśli potrzebujesz zdjęć, ale nie wrócę do sklepu.

— Jeśli nie wrócisz, będę musiała znaleźć sobie kogoś na twoje miejsce i nie przyjmę cię już z powrotem.

— Znajdź sobie kogoś, Therese.

— Moja biedna, mała Maya! Zawsze taka ambitna! A ci ludzie od sztuczki są tacy atrakcyjni i modni. — Therese westchnęła. — Spryt

nie czyni ich ludźmi miłymi, wiesz? Jesteś bardzo niewinna. Mogą cię zranić.

— Gdybym chciała żyć bezpiecznie i spokojnie, pozostałabym w Kalifornii. Moje życie to ryzyko. Jestem nielegalna. Włóczę się… wędruję. Byłaś dla mnie dobra, ale Monachium to nie dom. Kiedyś musiałam wyjechać. Doskonale o tym wiedziałaś.

— Wiedziałam — przyznała Therese. — Ale masz wobec mnie dług — powiedziała, ściszywszy głos. — Masz wobec mnie dług, prawda?

— Prawda. Jestem twoją dłużniczką.

— Karmiłam cię, ubrałam cię, dałam ci schronienie i nie wydałam cię władzom. Sporo dla ciebie zrobiłam, prawda?

— Tak. Sporo dla mnie zrobiłaś.

— Spłacisz ten dług, wyświadczając mi wielką przysługę, kochanie. Kiedyś.

— Zrobię dla ciebie wszystko.

— Będziesz musiała zachować dyskrecję.

— Potrafię zachować dyskrecję — obiecała Maya. — Jestem wręcz wcieleniem dyskrecji.

— Będziesz wiedziała, kiedy nadejdzie właściwy czas. Tylko pamiętaj, że jesteś moją dłużniczką. I spróbuj postępować rozważnie. *Wiedersehen,* kochanie.

I Therese odłożyła słuchawkę.

* * *

Choć zazwyczaj nie tracił czasu na przyzwoite jedzenie, Emil bardzo lubił dobrze zjeść. Teraz, kiedy miał pod ręką kobietę, nie dokarmiany metodycznie skarżył się na to gorzko, jakby brak obiadu był rysą na fundamencie wszechświata.

Emil praktycznie nie miał gotówki. Niezbyt przytomny, nie radził sobie z zarobionymi pieniędzmi; w szpary i szczeliny ścian jego pracowni powkładane były małe karty gotówkowe, każda warta coś tam, choć niewiele. Zakupy robiła więc Maya. Przy okazji jadła regularniej i z większą determinacją niż kiedykolwiek w życiu. Jadła czeskie jedzenie medyczne, na przykład noki, jadła chutovky, jadła knedliki, jadła kaszę i gulasz. Było to bardzo przyzwoite, sycące jedzenie, zapewniające dobry humor i mnóstwo energii.

Właściwie nakarmiony, Emil ożywiał się wyraźnie. Słodko było być jego kochanką, ponieważ nigdy się nie nudził. Ilekroć dotykał jej ciała twardymi, zręcznymi dłońmi, w jego pieszczotach był zawsze

element nowości, element szokującego odkrycia. Seks bezustannie go zaskakiwał, sprawiał mu przyjemność, czynił pełnym szacunku i wdzięczności.

Żyjąc tak zdrowo i normalnie, Emil był w stanie ciężko pracować. Piec działał praktycznie bez przerwy i to nie piecyk mikrofalowy, lecz wyspecjalizowany rezonator garncarski. Jak większość współczesnych urządzeń, był on absolutnie bezpieczny, łatwy w użyciu, bardzo czysty i wyjątkowo szybki. Po prostu niesamowity. Emil wyjmował z niego przygotowane naczynie wielkimi, miękko wyścielanymi szczypcami. Rozpalona glina w zetknięciu z zimnym powietrzem wydawała upiorny, wysoki krzyk. Naczynie promieniowało ciepłem jak termofor. W pracowni unosiła się para, ogrzewając ją i czyniąc wyjątkowo przytulną. Maya chodziła po niej w kapciach i rozpiętym szlafroku, za całe ubranie mając diamentowy naszyjnik. Włosy miała już niemal takie, że zaczynała myśleć o fryzurze. Były wprawdzie sztywne i kruche, ale rosły w niesamowitym wręcz tempie.

Jeśli Emilowi podobało się jego dzieło, rzucał ją na łóżko, by uczcić triumf. Jeśli mu się nie podobało, ona rzucała na łóżko jego, by go pocieszyć. Potem na paluszkach szli korytarzem do łazienki i kąpali się razem. Po kąpieli przegryzali co nieco. Rozmawiali ze sobą po angielsku; do ich konwersacji, w momentach intymnych, Emil dorzucał trochę chrapliwego czeskiego.

Żyli życiem zwykłym i nieskomplikowanym.

Emil nienawidził, kiedy coś przeszkadzało mu w pracy. Z jego subiektywnego punktu widzenia każdy dzień przeznaczony na podtrzymywanie drobnej, nieważnej infrastruktury życia był straconą na zawsze cząstką wieczności. Mając — jakimś magicznym sposobem — zapewnione stale dostawy jedzenia i elektryczności, z pewnością popadłby w solipsyzm.

Rankami nie sposób było nim kierować, tak go zawsze zaskakiwała i intrygowała jej niewytłumaczalna obecność w jego świecie. Po tygodniu jednak jakaś instynktowna chyba świadomość istnienia Mayi dotarła do niego i zakorzeniła się gdzieś, poniżej świadomości. Nie zaskakiwało go już tak nawet to, że Maya zna jego upodobania i przyzwyczajenia; stał się bardziej ufny i łatwiej poddawał się sugestiom.

Pewnego dnia Maya wysłała go po nową bieliznę i do fryzjera. Przygotowała dokładną listę sklepów, które miał odwiedzić, listę zakupów oraz swych wymagań. Listy te zapisała na karcie gotówkowej, którą następnie zawiesiła mu na szyi.

— Dlaczego nie wytatuujesz mi tego wszystkiego na ramieniu? — zainteresował się Emil.

— Bardzo zabawne. No, idź.

Teraz, kiedy nie pętał się jej pod nogami, Maya poczuła się

znacznie lepiej. Być może była to kwestia stałej, bogatej diety, być może nieustającej płomiennej energii ich związku, ale dziś Maya czuła niepokój i irytację, jakby w każdej chwili miała wyskoczyć ze skóry. Czując, że musi jakoś powstrzymać się od tego, włożyła rajstopy i sweter.

Ktoś zapukał do drzwi. Spodziewała się marszanda Emila, właściciela dość tajemniczej galerii, człowieka nazwiskiem Schwartz, wpadającego co parę dni po naczynia, ale nie był to Schwartz lecz tęga Czeszka w stalowoniebieskim mundurze pomocy obywatelskiej. Miała ze sobą walizkę.

— *Dobrý večer* — powiedziała.

Maya szybko włożyła w ucho ptasie gniazdko tłumacza; był to już z jej strony czysty odruch.

— Dzień dobry — przywitała kobietę. — Czy mówi pani po angielsku?

— Tak, trochę. Jestem tu właścicielką. To mój dom.

— Rozumiem. Bardzo mi miło panią poznać. Można pani w czymś pomóc?

— Tak, oczywiście. Proszę otworzyć drzwi.

Maya odsunęła się na bok. Tęga kobieta wpadła do środka, obrzucając pracownię uważnym spojrzeniem. Powoli, bardzo powoli, pomniejsze zmarszczki gniewu między jej najeżonymi brwiami wygładziły się i zniknęły. Maya oceniła, że ma ona siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt lat. Była bardzo silna i doskonale się trzymała.

— Wychodzisz i wracasz od kilku dni — powiedziała rzeczowym, energicznym głosem. — Jesteś jego nową dziewczyną.

— Chyba można tak powiedzieć. Hmmm… *jmenují se Maya.* — I Maya uśmiechnęła się.

— Ja się nazywam pani Najadová. Jesteś znacznie czystsza od jego poprzedniej dziewczyny. Niemka?

— Cóż, rzeczywiście przyjechałam z Monachium. Ale tak naprawdę po prostu podróżuję.

— Witamy w Pradze. — Pani Najadová otwarła walizkę i zaczęła grzebać w rozkładających się jak harmonijka przegródkach. — Oto wszystkie potrzebne dokumenty. Dla ciebie. Przeczytaj je. Dowiesz się, gdzie można bezpiecznie zjeść, gdzie można bezpiecznie spać, jest tu także lista podstawowych usług medycznych, plan Pragi, lista ważnych wydarzeń kulturalnych. A tu masz kupony do sklepów, rozkład jazdy pociągów i autobusów, porady policyjne. — Pani Najadová wsunęła Mayi w ręce kupkę dokumentów i kilka tanich inteligentnych kart. Spojrzała jej prosto w oczy. — Do Pragi przyjeżdża wielu młodych ludzi — zauważyła. — Młodzi ludzie są bardzo beztroscy. Nie wszyscy ludzie są dobrzy. Wędrujące tu i tam

dziewczęta muszą być bardzo ostrożne. Przeczytaj listę oficjalnych rad. Przeczytaj wszystko.

— Jest pani niezwykle uprzejma. Nie wątpię, że wszystko to okaże się niezmiernie pomocne. *Děkuji.*

Pani Najadová wyjęła z kieszeni kurtki wytłaczaną na złoto, pozłacaną inteligentną kartę.

— Oto informacje o działalności kościołów. Jesteś religijna?

— Raczej… nie, nie jestem religijna. Narkotyki zawsze traktowałam ze szczególną ostrożnością.

— Biedna dziewczyna, nie wiesz, co naprawdę dobre w życiu. — Pani Najadová ze smutkiem potrząsnęła głową. Postawiła walizkę i zręcznie wyjęła z niej składany kij do szczotki oraz paczkę przylepnych gąbek.

— Muszę teraz sprawdzić pokój. Rozumiesz, prawda?

Maya odłożyła dokumenty na łóżko przykryte nową narzutą.

— Ma pani na myśli czynniki zakaźne? Doskonale, właśnie się nad tym zastanawiałam. Ma pani może przystosowane subtili albo trochę coli? Coś, czym mogłabym zlikwidować patogeny. Spod zlewu czuć drożdże.

— Dostaniesz to od służby medycznej. — Pani Najadová była wyraźnie zadowolona. — Zgłosisz się na oficjalne badania. Dadzą ci wszystko, czego potrzeba do utrzymania przyzwoitego domu.

— Może istnieje jakiś inny sposób zaopatrzenia się w kultury bakterii? Mam jeszcze sporo czasu do następnych badań.

— Ale to przecież za darmo! W prezencie od miasta! Wszystko zapisane jest w dokumentach. Dokąd trzeba pójść, jak się zgłosić…

— Rozumiem. Doskonale. Bardzo pani dziękuję.

Pani Najadová złożyła szczotkę i rozpoczęła metodyczne poszukiwania, zdrapując to i wycierając owo.

— Ten garncarz ma dzikie myszy — orzekła.

— Hmm…

— Złe nawyki higieniczne. Zostawia resztki jedzenia. Wabią owady.

— Zwrócę na to szczególną uwagę.

Pani Najadová najwyraźniej podjęła decyzję. Spojrzała Mayi prosto w oczy.

— Dziewczyno, jedno musisz wiedzieć — powiedziała. — Przyjaciółki tego szaleńca, one nie są szczęśliwe. No, może przez kilka pierwszych dni. Ale w końcu zawsze płaczą.

— Doprawdy, bardzo to miło z pani strony, że tak się pani o mnie troszczy. Proszę się nie obawiać, obiecuję, że nie wyjdę za niego za mąż.

Otworzyły się drzwi i do pracowni wkroczył porządnie ostrzyżony Emil, trzymając w ręku torbę z zakupami. I natychmiast wywołał

gwałtowną kłótnię we wrzaskliwej češtině. Krzyki, tupanie, złośliwe obelgi, oskarżenia. Awantura ta wydawała się trwać wiecznie, pani Najadová wycofała się jednak w końcu, potrząsając szczotką i wykrzykując jadowite groźby. Emil zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

— Słuchaj, jesteś pewien, że to było konieczne? — spytała Maya.

— Cholerna krowa!

— Zaskoczyło mnie, że zapamiętałeś jej imię.

Emil był naprawdę wściekły.

— Zapomnieć kochankę… no, to bardzo smutne. Prawdziwa tragedia. Zapomnieć wroga byłoby jednak fatalną w skutkach głupotą. Ta baba to gliniarz! To szpieg! I inspektor zdrowotny! I gerontokratka! Jest mieszczką, filistynką! Tłustą bogatą rentierką! A jakby tego było jeszcze mało, to ona wynajmuje mi pracownię! Ta baba po prostu nie może już być gorsza!

— Masz rację. Być właścicielką budynku oraz pełnić wszystkie wymienione przez ciebie funkcje to już chyba przesada.

— Szpieguje mnie! Donosi na mnie do urzędu higieny! Zatruwa myśli moich przyjaciół i nastawia ich przeciwko mnie. — Emil zmarszczył brwi. — Rozmawiała z tobą? Co mówiła?

— Właściwie wcale nie rozmawiałyśmy. Dała mi tylko wszystkie te kupony. Patrz, z tym mogę wynająć rower. A ta chipkarta to praska książka adresów sieciowych, i to po angielsku! Ciekawa jestem, czy znajdę w niej jakieś pracownie fotograficzne.

— Przecież to bezwartościowe śmieci! Pułapka komercjalizmu!

— Kiedy po raz ostatni zapłaciłeś czynsz? To znaczy, jakim cudem w ogóle pamiętasz, że trzeba płacić czynsz?

— Przecież płacę! Oczywiście, że płacę! Myślisz, że Najadová prowadzi działalność charytatywną? Jestem pewien, że mi przypomina.

Maya ugotowała coś. Zjedli. Emil był wyraźnie wyprowadzony z równowagi. Stracony ranek i kłótnia z właścicielką domu sprawiły, że nie był w stanie odzyskać spokoju. Jego włosy wyglądały znacznie lepiej, lecz, jeśli chodzi o utrzymanie ich w czystości, Emil był wyzwaniem chyba od czasu niemowlęctwa. Wieczór spędził, przeglądając katalog swych prac.

Nie był to bynajmniej dobry znak.

Maya natomiast nie była w stanie otrząsnąć się ze skutków kłótni, która dosłownie zszargała jej nerwy. W miarę jak zbliżała się noc, jej irytacja rosła. Nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, nie mogła się uspokoić. Fizycznie też nie czuła się najlepiej; miała wrażenie, że w jej ciele coś się zaciska.

Piersi miała nabrzmiałe, bolące.

Nagle Maya uświadomiła sobie, co się dzieje. Tak wiele czasu minęło, że uznała się za chorą, lecz naprawdę po prostu powróciła jej

kobiecość. W najbliższej przyszłości czekał na nią pierwszy okres od czterdziestu lat.

Poszli do łóżka. Seks odpędził od niej mroczne myśli, pozostawił jednak w zamian uczucie takie, jakby natarła się papierem ściernym. Noc się kończyła. Maya zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że czekają ją złe chwile. Nie, nie radosna przerwa po miesiącu erotycznych popisów. Czekał ją okres groźny, postkobiecy, medyczny w swej naturze. Powieki miała opuchnięte, twarz wydawała się jej nabrzmiała i rozdęta, a głęboko w podbrzuszu rodził się groźny ból. Cierpiała na huśtawkę nastrojów, zmieniających się — praktycznie przy każdym oddechu — od zachwytu po straszne przygnębienie.

Emil zasnął niemal natychmiast. Po jakiejś godzinie Maya nie wytrzymała i rozpłakała się z bólu i niepewności. Ostatnimi czasy płacz bardzo jej pomagał, przychodził bez trudności, a łzy zmywały smutki jak czysta morska woda piasek, lecz dziś nie pomogły w niczym. Kiedy wreszcie przestała płakać, była całkowicie przytomna, całkowicie trzeźwa i bardzo, ale to bardzo przygnębiona.

Potrząsnęła za ramię śpiącego głębokim, spokojnym snem Emila.

— Kochanie, obudź się, muszę ci coś powiedzieć.

Emil obudził się, zakaszlał, usiadł w łóżku i z wyraźnym wysiłkiem wywołał z pamięci cząstkę swej angielszczyzny.

— Co się stało? Jest późno.

— Pamiętasz, kim jestem, prawda?

— Jesteś Maya, ale jeśli powiesz mi coś tak późno w nocy, jutro nie będę pamiętał nic.

— Nie wymagam, żebyś cokolwiek pamiętał, Emilu. Chcę ci tylko coś powiedzieć. Muszę ci coś powiedzieć. Teraz, już.

Emil wreszcie oprzytomniał. Odsunął ciężką zasłonę na oknie, przy którym stało łóżko i pracownię oświetliło mętne światło księżyca, zmieszane z blaskiem ulicznych lamp. Spojrzał jej w oczy.

— Płakałaś — stwierdził.

— Tak…

— A teraz chcesz mi coś wyznać? No tak, rozumiem. Wiedziałem, oczywiście, że wiedziałem. Widzę prawdę w twoich oczach. Nie byłaś mi wierna!

Maya, zdumiona, tylko potrząsnęła głową.

— Nie, nie. — Emil nie pozwolił sobie przerwać. Uniósł dłoń. — Nic nie musisz mówić. To takie oczywiste. Piękna młoda dziewczyna i biedny pomylony facet, na całym świecie najłatwiejszy do oszukania. Wiem. wiem, nie jestem kimś, komu kobieta pragnęłaby być wierna. Moje ramiona, moje usta… cóż są one warte u kogoś, kto jest tylko duchem? U kogoś, kto praktycznie nie istnieje?

— Emilu, bądź łaskaw mnie posłuchać…

— Czy kiedykolwiek prosiłem cię, żebyś była mi wierna? Nigdy

cię o to nie prosiłem! Zależało mi tylko na tym, żebyś mnie nie upokorzyła. Dałem ci wolność postępowania tak, jak chcesz, mogłaś wziąć sobie kilku, ba, jeśli chcesz nawet kilkudziesięciu kochanków. Ja tylko nie chciałem nic o tym wiedzieć. Ty jednak musiałaś mnie poinformować, prawda? Musiałaś wyleczyć mnie ze złudzeń tym… tym ostatnim, ohydnym wyznaniem.

— Przestań, Emilu! Zachowujesz się jak dziecko!

— Nie nazywaj mnie dzieckiem, ty włóczęgo! Jestem dwa razy starszy od ciebie!

— Nie, nie jesteś. A teraz zamilknij na chwilę i słuchaj. Jestem o wiele, wiele lat starsza od ciebie. Nie jestem dziewczyną imieniem Maya tylko starą, bardzo starą kobietą. Naprawdę nazywam się Mia Ziemann i mam prawie sto lat.

I Maya znów się rozpłakała.

Emil siedział w łóżku, oniemiały ze zdumienia. W pracowni zapanowała upiorna cisza. Nagle, powoli, Emil zaczął przesuwać się na swoją stronę łóżka.

— Żartujesz, prawda? — spytał.

— Nie, nie żartuję. Mam dziewięćdziesiąt cztery lata… może dziewięćdziesiąt pięć, coś koło tego… i w pewien sposób jestem bardzo do ciebie podobna. Przeszłam bardzo poważny upgrade. Zaledwie parę miesięcy temu. To dzięki niemu wyglądam tak, jak wyglądam, to on rozbił mnie na drobne kawałki, to przez upgrade znalazłam się po ciemnej stronie wszystkiego.

— Więc byłaś mi wierna?

— Tak! Emilu, nie, niewierność nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Powiedziałam ci prawdę i tylko prawdę. Wbij to sobie do głowy, raz a dobrze!

— Powiedziałaś mi, że masz sto lat, choć co najwyżej przekroczyłaś dwudziestkę.

— Powiedziałam.

— No cóż, nie jesteś przecież starą kobietą. Znam stare kobiety. Miałem stare kobiety! Możesz być, kim chcesz, kochanie, ale z pewnością nie jesteś stara. — Westchnął. — Wzięłaś coś — orzekł. — Jesteś na haju.

— Owszem, jestem na haju, ale tylko od Neo-Telomerycznej Rozproszeniowej Detoksyfikacji Komórkowej i możesz mi wierzyć, że przy tych nieszkodliwych środkach nalewkowych, które bierzecie wy, dzieciaki, moja kuracja to *voodoo*.

— Mówisz mi, że jesteś gerontokratką? Dlaczego nie siedzisz w swoim ciepłym apartamencie, otoczona setką monitorów?

— Bo zerwałam kable i uciekłam z miasta, oto dlaczego. Podpisałam całe stosy tych ich papierów, dotyczących bardzo zaawansowanej medycznie kuracji, a potem złamałam wszystkie

stosujące się do mojej sytuacji prawa. Wskoczyłam do samolotu do Europy. Nawiałam. Jestem nielegalną cudzoziemką i uciekinierką z programu badawczego. I, Emilu, pewnego dnia oni z pewnością mnie złapią. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nie wiem, co się ze mną stanie!

Emil milczał jeszcze przez chwilę, a kiedy wreszcie przemówił, to już innym głosem, zdumionym, zaskoczonym.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Maya zakrztusiła się łzami; była zbyt przybita i zbyt cierpiała, by cokolwiek mu tłumaczyć.

Emil tymczasem znów pomilczał przez chwilę, a potem odezwał się jeszcze innym tonem, zimnym, kalkulującym.

— I co właściwie mam teraz z tobą zrobić?

Maya krzyknęła głośno.

— No, sądzę, że wreszcie wszystko zrozumiałem — oznajmił Emil głośno, jakby dokonał wielkiego odkrycia. — Jesteś jakimś strasznym dziwem, prawda? Jesteś jak mały wampir! Żywisz się mną. Żywisz się moim życiem i moją młodością. Jesteś jak lamia, kobieta-demon z naiwnych książczyn. Mały… wysysający krew… postludzki… demoniczny… inkub!

— Daj spokój! Przestań! Jeśli nie przestaniesz, zabiję się!

— Coś takiego mogło wydarzyć się tylko w Pradze — oznajmił Emil z namysłem… i rosnącą satysfakcją. — Tylko tu, w naszym Złotym Mieście. W naszym Mieście Alchemików. Opowiedziałaś mi niesamowitą, prawdziwie niesamowitą historię. Jest niemal zbyt niesamowita, żeby w ogóle o niej myśleć. Opowiedziano mi taką niesamowitą historię! W jakiś dziwny sposób sprawiła ona, że czuję dumę z tego, że jestem Czechem.

Maya rogiem prześcieradła wytarła ściekające jej po policzkach łzy.

— O co ci w ogóle chodzi? — spytała beznadziejnie.

— W twojej opowieści jestem ofiarą, prawda? Zostałem złożony w ofierze. Jestem zabawką seksualnego Golema. No… przecież to cudowne… więcej niż cudowne, wręcz mistyczne… takie mroczne, egzotyczne, erotyczne… — Spojrzał na Mayę. — Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

— Bo… bo naprawdę spodobały mi się twoje dłonie.

— Jakie to zdumiewające! — Emil poprawił poduszkę. — Możesz już przestać płakać. Daj spokój, przestań. — Oparł się na poduszce, krzyżując palce na owłosionej piersi. — Nie martw się, nic nikomu nie powiem. Twój straszny sekret jest absolutnie bezpieczny. Przecież i tak nikt by mi nie uwierzył.

Skala jego niesamowitego egotyzmu zdumiała Mayę tak, że zapomniała nawet o swej rozpaczy.

— Nie sądzisz… że… powinnam się zabić? — spytała cicho.

— Na bogów, kobieto, po co miałabyś się zabijać. Przecież nie dzieje ci się nic złego! Nie popełniłaś przestępstwa, okradłaś tylko gerontokratów z kilku ich świnek morskich. Nic ci nie mogą zrobić, przecież nie postarzą cię z powrotem. Nie zmienią cię w staruszkę, pomarszczoną jak przechowywane w piwnicy jabłko. Nie są w stanie tego dokonać. Myślą, że władają światem, ale tak naprawdę wszyscy skazani są na zagładę, banda chorych stulatków z tymi ich śmiesznymi technikami… Dłubią w ludzkim ciele, bawią się ludzkim ciałem, nie mając pojęcia o potędze wyobraźni… a wszystko po to, żeby przysłać mi ciebie! Jak małego różowego kraba, dopiero co wyjętego z muszelki!

— Nie jestem małym krabem. I nie jestem inkubem. — Maya odetchnęła głęboko. — Wykroczyłam po prostu poza granice prawa.

Emil roześmiał się głośno.

— Właśnie że tak! Udawałam, że jestem kimś innym, kimś zupełnie innym, żeby nie musieć stanąć twarzą w twarz z tym, czego naprawdę pragnęłam. Okłamywałam się jednak, bowiem zawsze byłam Mią. Byłam nią przedtem i jestem nią teraz, i nienawidzę ich! Nie chcą, żebym żyła! Według nich powinnam egzystować dzień za dniem, rok za rokiem, dokładnie tak jak oni! Mogłabym wyjść teraz na ulicę… no, przedtem musiałabym się ubrać… mogłabym zadzwonić do szpitala w Bay, mogłabym powiedzieć: „Halo, słuchaj, Kalifornio, to ja, Mia Ziemann. Źle zareagowałam na zabieg, przepraszam, jestem w Europie, na jakiś czas straciłam głowę, proszę, zabierzcie mnie stąd, podłączcie mnie całą do tych waszych maszyn, czuję się już dobrze, będę waszą dobrą dziewczynką”. I wiesz co, oni postąpiliby dokładnie tak. Wysłaliby po mnie samochód i pewnie też dziennikarza, oddaliby mi pracę, położyli zmoczony w zimnej wodzie ręcznik na rozgrzanym czole. Są tacy głupi, że wszyscy powinni umrzeć. Nie wrócę do tego życia, nigdy, wolałabym już zginąć, wolałabym wyskoczyć przez okno!

Zachłysnęła się, umilkła i siedziała, drżąc. Emil wziął ją za rękę. Przez bardzo długą chwilę nie mówił nic, a potem wstał i przyniósł jej szklankę wody. Wypiła ją duszkiem. Wytarła oczy.

— To właśnie chciałaś mi powiedzieć? — przerwał milczenie Emil.

— Tak.

— I to już wszystko?

— Chyba… tak.

— Czy kiedyś już mi o tym opowiedziałaś?

— Nie, Emilu, nigdy. Nie opowiedziałam tego ani tobie, ani nikomu innemu. To był pierwszy raz. Nie kłamię.

— Jak myślisz, będziesz musiała opowiedzieć mi tę historię jeszcze raz?

Maya myślała przez chwilę.

— A ty jak myślisz? Zapomnisz?

— Nie wiem. Być może nie zapomnę. Ale nieczęsto pamiętam rzeczy, które opowiedziano mi tak późno w nocy. Gdyby to była jakaś inna kobieta, nie ty, pewnie bym zapomniał, ale nas połączyło coś naprawdę głębokiego. Ty i ja… jesteśmy wyjątkowi. Sądzę… sądzę, że to los kazał nam się spotkać.

— Cóż, może…? Ale nie, nie, nie potrafię w to uwierzyć, Emilu. Nie jestem religijna, nie jestem przesądna, nie jestem nawet mistyczką, tylko zwyczajnym postczłowiekiem. Jestem postczłowiekiem, dokonałam moralnego wyboru, zdecydowałam się przekroczyć granicę. Dokonałam tego wyboru w pełni świadomie i teraz muszę nauczyć się żyć we własnym prywatnym koszmarze.

— Wiem, jak możesz uciec od tego koszmaru.

— Jak?

— Będziesz musiała być dzielna, ale potrafię złożyć cię tak, byś znów była jednością. Bez wątpliwości, bez tajemnic, bez bólu staniesz się nową kobietą. Jeśli pozwolisz sobie pomóc.

— Och, Emilu… — przerwała i tylko na niego patrzyła. — Nie… nie amnezjak.

— Oczywiście, że amnezjak. Mam nadzieję iż nie sądziłaś, że mógłbym zgubić coś aż tak cennego. Ta Ziemann, o której mówiłaś, ta stara baba, ten żyjący w tobie inkub… moglibyśmy pozbyć się jej raz na zawsze. Wymieść ją niczym miotłą czarownicy.

— W czym by to nam pomogło? Nadal byłabym nielegalną cudzoziemką.

— Nie. To też byśmy wymietli. Zostałabyś moją żoną. Byłabyś młoda. Nowa. Świeża. I kochałabyś mnie. A ja kochałbym ciebie. — Emil usiadł wyprostowany. Gestykulował energicznie. — Spisalibyśmy sobie to wszystko teraz, w nocy. Spisalibyśmy sobie wszystko, żeby nie stracić orientacji i przeczytalibyśmy rano. Poprosilibyśmy o pomoc Paula. Paul jest dobry, mądry, ma przyjaciół, wpływy, i lubi mnie. Weźmiemy ślub, wyjedziemy z miasta, pojedziemy do Bohemii. Będziemy uprawiać ogród, lepić naczynia z gliny. Będziemy dwójką ludzi zagubionych na wsi, na zawsze żyjących poza mieszczańską rzeczywistością!

Emil opowiadał jej to wszystko z pasją i przekonaniem, podniecony, pomysłowy. Starała się bardzo podzielić jego entuzjazm, gdy wtem uderzyła ją czarna błyskawica podejrzeń i nagle, nie wiadomo skąd, lecz z całą pewnością, Maya wiedziała już, że nie jest pierwszą kobietą, której złożył tę propozycję.

Kiedy obudziła się rano, po Emilu nie było ani śladu. Pracownia przesiąkła zapachem krwi. Zakrwawiona była cała pościel. Maya wypełzła z łóżka, włożyła w bieliznę prowizoryczny tampon, włożyła

szlafrok i przyrządziła nalewkę uśmierzającą. Wypiła ją, zdarła prześcieradła, odwróciła poplamiony materac i wyczerpana padła na łóżko.

Około południa usłyszała pukanie.

— Wynoś się! — jęknęła.

Klucz zazgrzytał w zamku i w drzwiach stanął Paul.

— Och, to ty — bąknęła. — *Ciao,* Paul.

— Dzień dobry. Mogę wejść? — Paul przekroczył próg. — Widzę, że żyjesz. To doskonała nowina. Jesteś chora?

— Nie. Tak. Nie. Jakby to delikatnie powiedzieć… nie dotarłam dziś na szczyty kobiecości.

— I to wszystko? Tylko tyle? Doskonale. — Paul uśmiechnął się i zaraz spoważniał. — Rozumiem.

— Gdzie jest Emil?

— Tak — uniknął bezpośredniej odpowiedzi Paul. — Porozmawiajmy o Emilu, dobrze? Masz na imię Maya, prawda? Otarliśmy się o siebie w zeszłym miesiącu, w Tête. Byłaś tam z modystką, która się naćpała i wdała w przepychanki z Niko.

— Bardzo mi przykro to słyszeć.

— Jadłaś coś? — Paul postawił plecak na podłodze obok pieca. Obiema dłońmi przygładził ciemne włosy. — Bo ja nie. Pozwól, że coś nam zrobię. Może gulasz?

— Za skarby świata!

— A więc odrobinę kaszy. Coś lekkiego lecz pożywnego. — Odkręcił kran. — Od jak dawna znasz naszego dobrego przyjaciela Emila?

— Mieszkam z nim od czasu tej nocy w Tête.

— Trzy tygodnie z Emilem. Jesteś bardzo dzielną kobietą.

— Chyba nie pierwszą?

— Wprowadziłaś tu sporo zmian. — Paul uważnie rozejrzał się po pracowni. — Podziwiam twoje oddanie. Emil wymaga troskliwej opieki. Zadzwonił do mnie dziś rano. Był bardzo podniecony. Przyjechałem ekspresem ze Stuttgartu.

— Rozumiem. — Maya znalazła narzutę na łóżko i przykryła nią kolana. — Powiedział mi, że jesteście bliskimi przyjaciółmi. Zawsze bardzo cię chwali.

— Naprawdę? To ujmujące. Oczywiście, nie ma nic dziwnego w tym, że zadzwonił do mnie. Mój adres sieciowy ma wytatuowany na ramieniu.

Maya zamrugała zdziwiona.

— Nie zauważyłam u niego tatuażu — przyznała.

— Jest raczej mało widoczny. Pojawia się na skórze wyłącznie wtedy, gdy Emil jest bardzo zdenerwowany.

— I dziś rano był bardzo zdenerwowany?

Paul wsypał żółty proszek do niewielkiego garnka.

— Obudził mnie informacją, że w jego łóżku umiera, a być może nawet umarła, jakaś obca kobieta. Mówił o inkubie. O Golemie. Sprawiał takie wrażenie, jakby wszystko mu się pomyliło.

— Gdzie jest teraz?

— Odpoczywa. Korzysta z sauny. Schwartz się nim opiekuje. Muszę do nich zadzwonić. Zaczekaj sekundkę. — Paul odczepił netlink od kołnierza i, powoli mieszając zawartość garnka, rozpoczął rozmowę po niemiecku. Najpierw kogoś uspokajał, potem żartował, potem coś nakazywał, potem z czegoś delikatnie kpił, aż wreszcie przywrócił wszechświatowi sens i ład, i odwiesił link na kołnierz koszuli.

— Nie wolno nam dopuścić do odwodnienia — powiedział. — Może trochę pysznej mineralki? Z dwustoma mikrogramami selektywnej enkephaliny, środków moczopędnych i relaksujących? To powinno postawić cię na nogi. — Wziął plecak, otworzył go i wyjął z niego przezroczystą torbę, zamykaną na zamek błyskawiczny. W torbie miał prawdziwy arsenał przylepnych folii i hermetycznie zamkniętych kapsułek.

— Czyżbyś naprawdę sądził, że kiedy tu wejdziesz, znajdziesz trupa?

— Na tym świecie nigdy nie zabraknie jakichś „może”. — Paul otworzył szafkę. Wyjął z niej miski i łyżki. — Uznałem po prostu, że lepiej będzie, jeśli zjawię się tu pierwszy.

— Żeby posprzątać przed pojawieniem się władz?

— Jeśli odpowiada ci to sformułowanie. — Podał jej piękną ceramiczną miskę pełną parującej papki oraz smukłą chińską wazę z wodą mineralną. — Kiedy zjesz, będziesz w stanie bardziej się skupić — orzekł i poszedł po swoją miskę.

Maya wypiła trochę gazowanej wody mineralnej.

— *Merci beaucoup.*

— Angielski doskonale mi odpowiada, Mayu. Jestem programistą, pokonaną ofiarą globalnego żargonu technicznego. Równie dobrze możemy współpracować po angielsku. Głupio byłoby teraz z tym walczyć.

Przecięli żółtą laskę lipidów, wymieszali w kaszy białe kostki cukru i zjedli ją razem, siedząc na łóżku. Ten dziecinny rytuał sprawił, że Maya czuła się, jakby miała pięć lat. Niedobrze było kłócić się Paulem.

— Nie jestem najłatwiejsza w obejściu, kiedy dzieje się ze mną coś takiego jak dziś — wyznała. — Pokłóciliśmy się wczoraj w nocy, i to go wyprowadziło z równowagi. Nie powinnam mówić mu nic ważnego w nocy, bo potem gorzej śpi. — Westchnęła. — A poza tym dziś rano wyglądałam jak nieżywa.

— Ależ nic się przecież nie dzieje! Bez peruki i makijażu twoja twarz nabiera charakteru. Nie jest być może aż tak konwencjonalnie piękna, lecz za to znacznie bardziej pociągająca. Ma w sobie coś głębokiego i melancholijnego. *Weltschmertz*. Twoja twarz to niemal ikona.

— Jesteś bardzo taktowny i szarmancki.

— Wcale nie. Powiedziałem to jako esteta.

— Co właściwie robisz w Stuttgarcie? Bardzo mi przykro, że oderwałam cię od pracy, niezależnie od tego, jaka to była praca.

— Programuję. I wykładam na uniwersytecie.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem.

— Pozwalają ci uczyć? W tym wieku?

— Europejski system uniwersytecki jest bardzo stary, bardzo skomplikowany i bardzo biurokratyczny, lecz owszem, jeśli ma się publikacje i sponsorów, a także studentów, jednogłośnie domagających się wykładów, to tak, można uczyć. Nawet mając dwadzieścia osiem lat. — Uśmiechnął się. — *C'est possible*.

— Czego uczysz?

— Uczę sztuczki.

— Och! No tak, oczywiście. — Maya kiwała głową raz za razem. — Wiesz, muszę znaleźć kogoś, kto nauczy mnie fotografii.

— Josef Novák.

— Co?

— Josef Novák. Mieszka tu, w Pradze. Nie przypuszczam, byś znała jego prace, ale to wielki mistrz. Pionier wczesnej wirtualności. Nie jestem pewien, czy nadal przyjmuje studentów, ale oczywiście on przyszedł mi na myśl jako pierwszy.

— Jest gerontokratą?

— Gerontokratą? Dobrym nauczycielem nie wolno pogardzać. Oczywiście, niełatwo go poznać. Bardzo starych ludzi niełatwo się poznaje.

— Josef Novák… zaczekaj, czy w latach dziesiątych to nie on zrobił środowisko graficzne, które nazywało się „Szklany Labirynt"?

— O mnie nikomu się wtedy nie śniło. — Paul uśmiechnął się. — W młodości Novák był bardzo płodny, lecz jego dzieła z tamtych czasów zaginęły, oczywiście. Była to tragedia, strata tych wszystkich wczesnych cyfrowych standardów i platform… prawdziwa kulturowa zagłada.

— Jasne. „Szklany Labirynt", „Ogród Rzeźb", „Posągi Zaginione", to wszystko było dziełem Josefa Nováka. Prawdziwe cuda! Nie miałam pojęcia, że on jeszcze żyje.

— Żyje i mieszka praktycznie na sąsiedniej uliczce.

Maya wyprostowała się na łóżku.

— Doprawdy? To chodźmy go odwiedzić! Przedstawisz mnie, dobrze?

Paul zerknął na zegarek.

— Po południu mam wykład. W Stuttgarcie — powiedział. — Obawiam się, że dziś będę bardzo zajęty.

— Tak, oczywiście. Przepraszam.

— Bardzo cieszy mnie jednak, że czujesz się lepiej.

— Środki przeciwbólowe zadziałały. Bardzo ci dziękuję. No i zawsze czuję się lepiej, kiedy coś zjem.

— Znasz wczesne prace Nováka. Masz właściwości antykwaryczne, Mayu. Bardzo to interesujące. Wręcz niezwykłe. Ile właściwie liczysz sobie lat?

— Paul, słuchaj, może lepiej będzie, jeśli przez kilka najbliższych dni nie zobaczę się z Emilem. Emilowi pomoże pewnie, jeśli na jakiś czas zniknę z jego życia. Biorąc pod uwagę okoliczności. Co mi radzisz?

— Jestem pewien, że do jutra Emil w pełni dojdzie do siebie. W każdym razie, niemal zawsze dochodzi. Mam jednak wrażenie, że chwilowe rozstanie to mądre posunięcie. Biorąc pod uwagę okoliczności.

— Może przez parę dni po prostu się powłóczę? Miałbyś coś przeciw temu, gdybym wróciła z tobą do Stuttgartu? Porozmawialibyśmy. Jeśli ci się nie narzucam.

— Nie, skądże. Będę zachwycony.

— Ubiorę się, dobrze?

W pracowni nie miała gdzie ukryć się podczas ubierania, młodzi ludzie niezbyt jednak przejmują się dyskrecją. Niezdarnie włożyła rajstopy i sweter. Paul, najwyraźniej obojętny na wszystko, spokojnie zmywał naczynia.

Maya zerknęła w kieszonkowe lusterko i przeraziła się nie na żarty. Prawda nie byłaby bardziej oczywista dla każdego, nawet gdyby umocowała sobie na czole odpowiedniej treści neon. Jej twarz nie była twarzą młodej kobiety, lecz twarzą postludzką, bladą, napiętą, nabrzmiałą w egzotyczną maską cierpienia, które nie w pełni umiała przekazać. Była to biała, nieruchoma twarz starego plastykowego manekina.

Podbiegła do kuchennego zlewu i rozpoczęła od żelu czyszczącego. Po żelu przyszedł czas na puder w płynie. I oczyszczacz porów, i matrycę epidermalną, i puder w płynie, i pędzelek do pudru, i cień, i ołówek do rzęs, i podkręcacz rzęs, i rozjaśniacz gałek ocznych, i ołówek do brwi.

Zapomniała umyć zęby. Zęby po prostu będą musiały poczekać.

Lustro udowodniło, że udało się jej pokonać prawdę. Prawda udusiła się pod warstwą kosmetyków. Włosy nadal miała okropne, ale

naturalne włosy zawsze są okropne.

Znalazła jaskrawą czeską chustę, pantofle bez pięt i wielki, ciepły szary beret. Do plecaka włożyła kilka na pół wyczerpanych kart gotówkowych. Z jakiegoś powodu czuła się teraz lepiej. Opakowana, bezpieczna, opanowana; doskonale szczęśliwa i pewna siebie.

Paul, cierpliwy i nieporuszony, studiował najnowsze prace Emila. Znalazł drewnianą skrzynkę i otworzył ją.

— Pokazał ci to? — spytał.

— Nie, chyba nie.

— Tę lubię najbardziej ze wszystkich jego prac. — Z przesadną ostrożnością sięgnął do wyłożonej podartym papierem skrzynki. Wyciągnął z niej białą filiżankę i spodek. Postawił je na warsztacie. — Zrobił ją zaraz po zmianie — wyjaśnił. — Walczył z rzeczywistością jak tonący z morzem.

— Komplet, filiżanka ze spodkiem.

— Dotknij ich. Podnieś je.

Sięgnęła po filiżankę, a kiedy jej dotknęła, filiżanka zasyczała. Maya błyskawicznie cofnęła dłoń. Paul zachichotał.

Spróbowała jeszcze raz, tym razem jednym palcem. Kiedy dotknęła spodka, poczuła delikatne kłucie, jakby słabego prądu elektrycznego; miała wrażenie, że po jej skórze przesuwa się coś jednocześnie miękkiego i kolczastego, delikatnego lecz ostrego niczym papier ścierny.

Paul roześmiał się głośno.

Zdeterminowana Maya odważnie ujęła filiżankę. Mimo, iż się nie poruszała, filiżanka jakby brzęczała i wyrywała się z jej uścisku. Odstawiła ją.

— Zasilana z baterii — powiedziała. — Na tym polega sztuczka?

— To nie jest ceramika — oświecił ją Paul.

— Tylko co?

— Nie wiem. Tworzywo przypomina ceramikę, błyszczy jak ceramika, moim zdaniem jest to jednak piezoelektryczne piankowe szkło. Kiedyś widziałem, jak Emil wlewa nalewkę do tej filiżanki. Nalewka przeciekła powoli i przez nią, i przez spodeczek. Coś — porowatość, wymiary fraktalne, może efekt ładunek van der Waalsa — powoduje, że w zetknięciu z ciałem tworzywo reaguje bardzo szczególnie.

— Na co komu taka filiżanka?

— To *object gratuit*. Dzieło sztuczki demonstrujące bankructwo użytkowości.

— Żartujesz, prawda?

— A czy Emil jest żartem? — spytał ją poważnie Paul. — Czy to żart, nie być już człowiekiem? Oczywiście, że nie, czym bowiem jest żart, jeśli nie pogwałceniem konceptualnego systemu odniesienia?

— To jednak nie wszystko. Jest jeszcze coś, prawda?

— Jest, oczywiście.

— Więc powiedz mi, co.

Paul odłożył filiżankę i spodeczek do skrzynki, skrzynkę zaś z pełną szacunku ostrożnością odstawił na półkę.

— Gotowa? — spytał. — Jeśli tak, to powinniśmy już iść. Otworzył drzwi pracowni, przepuścił Mayę przed sobą, zamknął drzwi i uważnie przekręcił klucz w zamku.

Zeszli, tupiąc, po trzeszczących głośno schodach.

Dzień był pochmurny i wietrzny. Poszli do stacji metra Národni. Maya szła obok Paula. W pantoflach na płaskich obcasach dorównywała mu wzrostem.

— Paul, proszę, wybacz jeśli okażę się zbyt bezpośrednia, ale przyjechałam z bardzo daleka i jestem bardzo naiwna. Mam nadzieję, że potrafisz mi to wybaczyć. Jesteś nauczycielem, więc wiem, że powiesz prawdę.

— Wzrusza mnie twój optymizm.

— Proszę, nie traktuj mnie w ten sposób. Co mam zrobić, by przekonać cię, byś powiedział mi prawdę.

— Przypomnij sobie filiżankę Emila — powiedział Paul wyjątkowo uprzejmie. — Niszczy ona oszustwo użytkowości. Niszczy konwencjonalne myślenie poprzez zaprzeczenie doświadczeniu zmysłów.

— Tak?

— Zniszczenie kondycji ludzkiej powoduje zalanie ludzkości lawiną nowych, twórczych możliwości. Możliwości te muszą zostać zasymilowane i systematycznie wykorzystane przez spadkobierców człowieka. Sztuczka nie jest sztuką. Choć wykorzystuje przedświadomą wyobraźnię, uznaje wyobraźnię nieświadomości za swą ubogą krewną. Honorujemy nieracjonalność impulsu twórczego, negujemy jednak nie tylko prymat, lecz także znaczenie halucynacji. Zaprzęgamy całą moc świadomej racjonalności i metod naukowych do pościgu za zniszczeniem, zdławieniem ludzkiej kultury.

Zeszli na stację metra. Z wewnętrznej kieszeni kurtki Paul wyjął dyskretnie laminowaną kartę podróżną.

— Kondycja ludzka umarła. Natura umarła. Sztuka umarła. Świadomość jest elastyczna. Nauka to nieskończonych rozmiarów beczka prochu. Stajemy twarzą w twarz z nową rzeczywistością, której przedtem nie mogliśmy zobaczyć, gdyż przeszkadzały nam w tym naturalne ograniczenia, właściwe ssakom naczelnym. Musimy stworzyć dzieło, które wydobędzie tę nowa rzeczywistość na powierzchnię, wykonać szereg pozornie nieskrępowanych gestów, które w swym zbiorowym skutku uformują świadomość postczłowieka. — Oczy Paula, zawsze takie spokojne, nagle nabrały

wyrazu. — Jednocześnie zaś, w sferze polityki, nie wolno nam zniszczyć delikatnego napięcia powierzchniowego starzejącej się ludzkiej cywilizacji, udającej utopijny spokój, podczas gdy w rzeczywistości przeżyła wstrząs, po którym nigdy nie zdoła wrócić do równowagi. Ukryci pod ohydnym pustym trupem humanizmu, musimy systematycznie zmieniać fizjologiczną podstawę świadomości i stanu kultury oraz być uczciwymi, obiektywnymi, chłodnymi świadkami naszych działań. To podstawy naszego programu sztuczki.

— Rozumiem. Czy mógłbyś kupić mi bilet?

— Bilet metra do stacji kolejowej czy bilet na pociąg do Stuttgartu?

— Chyba poproszę cię o oba. Ten drugi powrotny.

— To może weźmiesz mój Eurobilet? Jest ważny do maja.

— Mogę? Nie. Jesteś stanowczo zbyt hojny.

Paul wręczył jej laminowaną kartę.

— Nie, nie, na uniwersytecie bez problemu dostanę drugą inteligentną kartę. W Europie łatwo o sytuacyjne korzyści. — Paul podszedł do maszyny i szybko załatwił sprawę.

Wsiedli do praskiego metra. Stanęli w wagoniku, trzymając się uchwytów. Maya przyglądała się Paulowi. Strasznie podobało się jej to, jak zaczesuje za uszy ciemne włosy. Podziwiała delikatne uniesienie jego ruchliwych brwi, linię nieco obwisłych powiek. Czerpała pociechę z jego bezpośredniej, fizycznej bliskości. Był taki młody.

— Powiedz mi coś jeszcze, Paul. Proszę, mów.

— Musimy przygotować się do objęcia nadchodzącej epoki w twórcze posiadanie. Będzie to epoka poetycko niesłychanie bogata, bezgranicznie zwycięska, tak nabrzmiała znaczeniami, że tylko ludzie przygotowani na nadejście kataklizmu zdołają przekroczyć swą jednowymiarowość. Pewnego dnia zwyciężymy nienawiść cudu i pozbawimy ją znaczenia. W fantastyczności cudowne jest to, że zawartość naczynia sama staje się naczyniem; fantastyczność nieprzerwanie drąży codzienność. Przeniknie do niej, to tylko kwestia czasu, a czas jest naszym nie kończącym się sprzymierzeńcem. Normalność straciła całą swą siłę, pozostała z niej wyłącznie rutyna.

— To, co mi powiedziałeś… jest takie piękne.

Paul uśmiechnął się.

— Lubię myśleć, że rzeczywiście jest piękne — powiedział.

— Szkoda, że ja nie jestem taka piękna.

— Moja droga, mam wrażenie, że pomyliły ci się kategorie.

— Zgoda… więc chciałabym zrobić coś tak pięknego.

— Być może już zrobiłaś. — Paul zamyślił się na chwilę. — A swoją drogą, jakie to interesujące pojęcie, „piękno”. Skrzyżowanie znaczeń trzech słów…

Metro zatrzymało się na stacji Muzeum i do wagoniku wtargnęła dzika horda turystów; potworna mieszanka plecaków, toreb, obcojęzycznych rozmów. Stali w tłumie, chwiejąc się i kurczowo trzymając uchwytów. Paul próbował przekonać ją, że potrafi wstrząsnąć wszechświatem, a tymczasem oboje stali ściśnięci przez tłum całkowicie obojętnych osób niczym bydło w bydlęcym wagonie.

W pociągu zrobiło się nieznośnie wręcz gorąco. Maya poczuła kurcze w najgłębszej głębi ciała, a kiedy ból przeszedł, pozostawiając ją bladą i spoconą, uświadomiła sobie, że dziś jest dzień, podczas którego byłaby w stanie zrobić coś naprawdę szalonego. Zwariowanego, spontanicznego i psychicznie całkowicie automatycznego. Lewitować. Skoczyć z dachu wysokiego budynku. Rzucić się na obolały brzuch i całować buty policjanta. Polecieć na księżyc, wkopać się w jego biały kredowy grunt, najdosłowniej w świecie pieścić Lunę…

Paul przyglądał się jej z niemaskowaną obawą. Uśmiechnęła się do niego swym najjaśniejszym uśmiechem.

Na dworcu powlokła się do damskiej toalety. Zrobiła co trzeba z maszynami higienicznymi, wypiła dwa kubki wody i wyszła w lepszym stanie, niż przyszła. Patrząca na nią w lustrze śliczna buzia o rozszerzonych oczach, z maleńkimi kroplami potu pod warstwą makijażu, wydawała się palić świętym płomieniem.

Paul zachował się wyjątkowo uprzejmie. Zdobył im stráki w pierwszej klasie, wyposażone w sympatyczne składane stoliki.

Ekspres do Stuttgartu był bardzo szybki.

— Kocham europejskie pociągi — paplała Maya. Głowa płonęła jej pod ciepłym beretem. — Nawet te najszybsze, które prawie całą drogę jadą pod ziemią.

— Może powinnaś zawędrować do Władywostoku?

— A to po co?

— Taka jest tradycja w naszej grupie. Władywostok, najdalszy kraniec kontynentu euroazjatyckiego. Masz Eurokartę i powiedziałaś mi, że chciałabyś sobie podryfować. Dlaczego nie miałabyś zdryfować do Władywostoku? Przez jakiś czas byłabyś sama, miałabyś czas odprężyć się, uporządkować myśli. Do najdalszego kresu Azji dojedziesz i wrócisz w jakieś cztery dni.

— Co robicie, kiedy już dotrzecie do wybrzeży Pacyfiku?

— Cóż… jeśli jest się jednym z nas, idzie się do pewnego rzadko używanego ptedype, przepraszam, Publicznego Punktu Teleprezencji i wykonuje się wolny akt. Nasza grupa nieustannie obserwuje ten szczególny PPT przez konceptualny site. Każdy gest wystarczająco niezwykły, by zainteresować skaner, zostaje automatycznie przesłany do wszystkich subskrybentów netlisty.

— Skąd będę wiedziała, że mój gest jest wystarczająco

nonsensowny?

— Intuicja ci podpowie, Mayu. Obejrzenie innych gestów też może ci pomóc. Nie jest to tylko kwestia ludzkiego osądu, nasz program odsiewający dysponuje własnymi ewoluującymi standardami. To jest w nim najpiękniejsze. — Paul uśmiechnął się. — Skąd w ogóle wiadomo, ze coś jest niezwykłe? Czym jest „zwykłość"? Co sprawia, że codzienność jest taka krucha, a jednocześnie tak wszechobecna? Zasłona między niezwykłym a nudnym jest przede wszystkim tak cienka, że prawie nieistniejąca.

— Mam wrażenie że wiele tracę, nie będąc w waszej sieci.

— Co do tego nie ma najmniejszych nawet wątpliwości.

— Dlaczego wasza grupa zbiera się w tym barze w Pradze, skoro jesteście tak usieciowieni?

Paul zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Masz przy sobie tłumacza? — spytał w końcu. — Działa?

— Tak. Tam, w Tête, Benedetta oddała mi swojego. — Maya pokazała mu diamentowy naszyjnik.

— Jakie to miłe ze strony naszej lubianej i cenionej koleżanki Benedetty. Każdy należący do niej tłumacz będzie, spodziewam się, przekładał z francuskiego. Załóż go, dobrze? — Paul również wpiął sobie w ucho tłumacza.

Maya znalazła odpowiednie jajko, a potem włożyła w ucho ptasie gniazdko. Paul przemówił po francusku.

— Nadal mnie rozumiesz, jak sądzę — powiedział.

— Tak. Tłumacz działa bez zarzutu.

— Na świecie pracują miliony elektronicznych tłumaczy. Są one czymś najzupełniej codziennym. Ty mówisz po angielsku, ja w tej chwili mówię po francusku, maszyna to dla nas tłumaczy. Jeśli nie ma zbyt wielu szumów tła… jeśli nie przesadzamy z żargonem, z argot… jeśli nie mówi jednocześnie zbyt wiele osób… jeśli nie odwołujemy się do kontekstu niedostępnego niewielkiemu procesorowi… jeśli nie skomplikujemy wymiany zdań przesadną ilością sygnałów niewerbalnych, takich jak gesty i mimika… wtedy, oczywiście, będziemy się mogli porozumieć. — Wykonał zamaszysty gest. — Co oznacza, że mimo wszelkich przeciwności udaje się nam przesłać co najmniej minimalną ilość ludzkich znaczeń przez niesłychanie intymną membranę obliczeniową naszych uszu.

— Tak, oczywiście! Przecież działa to właśnie w ten sposób!

— Przyjrzyj się mojej twarzy, teraz, kiedy do ciebie mówię. Pewne grupy mięśni pracują, dochodzi do pewnego rodzaju napięcia, które utrzymuje mą twarz w stanie gotowości do wykonania sekwencji ruchów werbalnych charakterystycznych dla francuzczyzny. Ja nie jestem oczywiście świadom kształtowania własnej twarzy. Niemniej jednak, spore obszary mózgu dedykowane są studiowaniu twarzy… i

percepcji języka. Badania dowodzą, że rozpoznajemy cudzoziemca nie po postawie, wyglądzie lub ubraniu, lecz po tym, że jego język inaczej ukształtował mu twarz. Jest to ludzkie postrzeganie przedświadome. Tłumacz tego nie przetłumaczy. Nie sposób przesłać tego siecią. Sieci i elektroniczni tłumacze nie myślą. Wyłącznie procesują.

— Tak?

— A teraz widzisz mnie swymi oczami, w jednym, wolnym uchu słyszysz język francuski, zaś w drugie, wzmocnione przez maszynę, wypowiadane przez nią angielskie słowa. Czegoś tu brakuje. Czegoś jest także za dużo. Ta część ciebie, której sama nie rozumiesz, czuje, jakie wszystko to jest poplątane. — Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. — Trzymam twą dłoń, mówiąc do ciebie po francusku. Popatrz, a teraz ująłem ją w obie ręce. Zacząłem ją pieścić. Jakie to uczucie?

— Bardzo mile.

— A jakie to uczucie teraz, kiedy mówię do ciebie po angielsku?

Zaskoczona Maya wyrwała rękę. Paul roześmiał się.

— No i masz. Widzisz? Prawda tkwi w twojej reakcji. To samo dotyczy sieci. Musimy spotykać się fizycznie, żeby uzupełnić sieć. I nie w tym rzecz, że sieciom brakuje intymności. Wręcz przeciwnie, sieci są zbyt intymne, funkcjonują w zbyt wąskim paśmie. Musimy się spotykać w sposób, który ożywia szare komórki.

— To bardzo mądre. Ale… powiedz mi, co by się stało gdybym nie zabrała ręki?

— Oznaczałoby to — powiedział Paul po francusku, bardzo racjonalnie i bardzo łagodnie — że jesteś kobietą o ogromnie pomieszanej percepcji. A nie jesteś.

I na tym cała sprawa praktycznie się zakończyła.

Dopiero teraz Maya zauważyła pierścionek na środkowym palcu prawej ręki Paula. Przypominał czarną grawerowaną obrączkę, w rzeczywistości jednak wcale nie był pierścionkiem, lecz pasmem czarnego, wrośniętego w ciało futra.

Z wielką lewitacyjną magnetyczną prędkością mknęli tunelem, wyżłobionym diamentowymi wiertłami we wnętrznościach europejskiej ziemi. Mayę niewypowiedzianie wręcz cieszyło towarzystwo Paula, choć nie czuła najmniejszej pokusy, by z nim flirtować. Byłoby to jak wysyłanie erotycznych sygnałów stalaktytowi. Tylko kobieta o wielkiej dozie altruizmu byłaby w stanie dzień po dniu znosić torturę takiej błyskotliwości. Gdyby miał dziewczynę, jego dziewczyna co rano siadałaby naprzeciw niego z widelcem w ręku i co rano nabijałaby się na cztery zęby jego inteligencji, zdolności postrzegania, ambicji i godności.

Paul przyglądał się jej w milczeniu, niewątpliwie przeprowadzając analogiczną ocenę jej osoby. Niemal słyszała trzaski neurochemicznych procesów, następujących, jeden po drugim w

najgłębszej, najwilgotniejszej głębi gruczołów jego lwiej głowy.

I Maya blisko była szaleństwu wyznania mu całej prawdy o sobie. Byłaby to rzecz wyjątkowo głupia, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że spowiadałaby się drugi raz z rzędu, dziś jednak czuła się wyjątkowo beztroska, pragnęła podjąć ryzyko tak, jak duszący się człowiek pragnie tlenu, a przede wszystkim po prostu miała ochotę na wyznania. Nie kusiło jej, by go dotknąć, by go pieścić czy przytulić, kusiło ją, by mu się wyspowiadać. By mu się poświęcić, skupić na sobie jego uwagę.

Nie przypominałoby to jednak spowiedzi przed Emilem. Biedny Emil wydawał się — na swój własny, szczególny i zwierzęcy sposób — bezczasowy, niemożliwy do zranienia, niezniszczalny, Paul zaś jest po prostu młody, jest młodym mężczyzną. Jest młodym mężczyzną, nie potrzebującym wiedzy o jej problemach.

Ich oczy się spotkały. Nagle pojawiło się między nimi straszne napięcie. W każdym innym przypadku napięcie to można byłoby uznać za seksualne, z Paulem bardziej jednak przypominało ono telepatię.

Paul patrzył na nią i nagle wyraźnie się zdumiał. Uniósł śliczne brwi. Oczy mu się rozszerzyły.

— O czym myślisz, Paul?

— Szczerze?

— Oczywiście, szczerze.

— Zastanawiam się, dlaczego właściwie siedzi naprzeciw mnie ta młoda frywolna piękność. Tu, przy tym samym stoliku.

— A dlaczego nie miałabym siedzieć naprzeciw ciebie?

— Bo to tylko fasada, prawda? Nie jesteś frywolna. I nagle nabrałem całkowitej pewności, że nie jesteś młoda.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jesteś bardzo piękna, nie jest to jednak uroda kobiety młodej. Właściwie jesteś straszliwie piękna. Twoja obecność sygnalizuje niebezpieczeństwo, strach.

— Dzięki za komplement.

— Teraz, kiedy wreszcie się w tym połapałem, zaczynam zadawać sobie pytania. Czego właściwie od nas chcesz? Czy jesteś polityczną wtyczką? Czy pracujesz w pomocy obywatelskiej?

— Nie i nie. Daję słowo.

— Ja pracowałem w pomocy obywatelskiej — stwierdził spokojnie Paul. — W Awinionie, w legionie młodzieżowym. Poszedłem do pomocy, bo tak kazała mi ambicja. Nauczyłem się sporo o wielu interesujących aspektach życia. Ale zrezygnowałem, rzuciłem pomoc. Oni chcą, żeby świat stał się lepszym miejscem, a ja jestem całkowicie pewien, że nie chcę, by świat stał się lepszy. Chcę, żeby świat stał się znacznie bardziej interesujący. Jak sądzisz, Mayu, czy to

przestępstwo?

— Nigdy przedtem nie pojmowałam tego w taki sposób. Nie, nie wydaje mi się to szczególnie groźnym przestępstwem.

— Kiedyś całkiem dobrze poznałem jedną polityczną wtyczkę. Pod wieloma względami przypominała mi ciebie. Miała twoją niezwykłą samokontrolę, jak ty promieniowała kobiecością. Przyglądałem się tobie i nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo przypominasz Wdowę. Wszystko stało się jasne.

— Nie jestem wdową.

— Wdowa to oszałamiająca kobieta. Nieprawdopodobnie piękna i dumna. Jest jak sfinks, jak jakaś niepokalana istota prosto z mitu. Bardzo interesuje się sztuczką. Pewnie ją kiedyś spotkasz. Jeśli pozostaniesz w naszym towarzystwie.

— Ta Wdowa… jest gliną od sztuczek? Nie wiedziałam, że policja szczególnie interesuje się tego rodzaju sprawami. Jak ma na imię ta wtyczka?

— Helene Vauxcelles-Serusier.

— Helene Vauxcelles-Serusier… na bogów, jakie piękne imię.

— Skoro nie znasz jeszcze Helene, to może wcale nie chcesz jej poznać.

— Jestem całkiem pewna, że nie chcę jej poznać. Nie jestem informatorką. Prawdę mówiąc, jestem krymninalistką.

— Informatorka, kryminalistka… — Paul potrząsnął głową. — Różnica między tymi kategoriami jest znacznie mniejsza, niż ludzie przypuszczają.

— Jak zwykle masz absolutną rację, Paul. Przypomina to trochę zamazaną granicę między pięknem a strachem. Między młodością a starością. Między sztuczką a przestępstwem.

Paul przyjrzał się jej zdziwiony.

— Dobrze powiedziane — stwierdził w końcu. — Dokładnie tak ujęłaby to Helene. Jest prawdziwą wielbicielką zamazanych granic.

— Daję słowo, że nie jestem funkcjonariuszką policji. Udowodniłabym ci to, gdybym mogła.

— Może i nie? Nie w tym rzecz, by funkcjonariuszki pomocy obywatelskiej nie były ładne, ale urodę podobną do twojej traktują zwykle jako podejrzaną.

— Ja nie jestem podejrzana. Niby czemu miałbym być podejrzana?

— Podejrzewam cię, ponieważ muszę chronić przyjaciół — stwierdził Paul. — Nasze życie jest naszym życiem, a nie ćwiczeniem z teorii. Jesteśmy pokoleniem pod naciskiem. Musimy chronić naszą witalność, ponieważ w naszym świecie metodycznie się ją niszczy. Poprzednie pokolenia nie stawały przed tym problemem. Rodzice poprzednich pokoleń lądowali w grobach, a władza lądowała na

kolanach ich dzieci. My jednak nie mieliśmy szansy, by zostać prawdziwym pokoleniem. My jesteśmy pierwszymi naturalnymi postludźmi.

— I chcecie rzeczy, które nie pasują do panującego *status quo*?

— *Mais oui.*

— Więc pod tym względem niczym się nie różnimy. Ja chcę całego mnóstwa takich rzeczy.

— Nikt nie prosił cię o to, byś została jedną z nas.

Słowa te były wyjątkowo brutalne. Maya odebrała je jak cios nożem. Paul patrzył jej wprost w oczy, ona zaś poczuła się nagle zbyt zmęczona, by podjąć rękawicę. On był zbyt młody, zbyt silny i zbyt inteligentny, ona zaś zbyt niepewna siebie, zbyt załamana, by zepchnąć go do narożnika. Rozpłakała się.

— I co teraz? — spytała. — Czy mam błagać cię o pozwolenie na życie? Będę cię błagać, jeśli tylko zechcesz. Po prostu powiedz mi, czego chcesz.

Paul, zaniepokojony, rozejrzał się po przedziale.

— Proszę cię, nie rób sceny — powiedział.

— Muszę płakać! Chcę płakać! Zasłużyłam sobie na to, żeby płakać. Nie czuję się dobrze. Nie pozostało mi nic z szacunku dla samej siebie. Nie pozostała mi ani odrobina godności. Nic mi nie zostało. Zostałam zraniona w sposób, którego nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić. Więc co mam według ciebie zrobić? Pozostaje mi tylko płakać. Masz mnie. Jestem zdana na twą łaskę i niełaskę. Możesz mnie teraz zniszczyć.

— Ty możesz zniszczyć nas. Być może tego właśnie chcesz.

— Nie. Daj mi szansę! Mogę być żywa. Mogę nawet być piękna. Powinieneś pozwolić mi spróbować. Pozwól mi spróbować, Paul, przecież mogę być dla ciebie interesującym przypadkiem.

— Bardzo chciałbym pozwolić ci spróbować — powiedział Paul. — Uwielbiam drażnić lwice. Tylko dlaczego stawką w tej grze ma być bezpieczeństwo moich przyjaciół? Nie wiem o tobie nic prócz tego, że wydajesz się bardzo piękna i bardzo postludzka. Niby czemu miałbym ci ufać? Dlaczego po prostu nie wrócisz do domu?

— Bo nie mogę wrócić do domu. Bo znowu zrobią mnie starą!

Oczy Paula rozszerzyły się. Wreszcie do niego dotarła, wreszcie jakoś go dotknęła. Wreszcie dał jej chusteczkę. Maya obejrzała ją, sprawdzając, czy nie jest to chusteczka komputerowa, a potem wytarła oczy i wydmuchała nos.

Paul przycisnął guzik na krawędzi stołu.

— Pozwoliliście Emilowi pozostać z grupą — powiedziała w końcu Maya. — A Emil jest w znacznie gorszym stanie niż ja.

— Czuję się odpowiedzialny za Emila — stwierdził Paul ponurym głosem.

— O co ci właściwie chodzi?

— Pozwoliłem mu wziąć amnezjak. To ja go załatwiłem.

— Doprawdy? Powiedziałeś innym?

— Nie uważam tego za zły pomysł. Nie znałaś Emila takiego, jaki był przedtem.

Na suficie wagonu pojawił się gigantyczny krab. Krab zrobiony z kości, chityny i pawich piór oraz z żyłki i strun fortepianowych. Miał dziesięć bardzo długich, wielostawowych łap, każdą wyposażoną w gumową stopę na haczykowatej stalowej kostce. Do jego płaskiego, nakrapianego pancerza przyssawkami przymocowana była taca.

Krab wybierał sobie drogę przez ledwie widoczne wgłębienia w suficie. Zatrzymał się i zeskoczył przy ich strąkach. Przyjrzał się im wieńcem niebieskich oczu przypominających oczy ostrygi.

— *Oui, monsieur?*

— Dla *madamoiselle* proszę wodę mineralną z dwustoma mikrogramami alcionage — powiedział Paul. — Ja zaś poproszę *limoncello* i… tak, poprosimy pół tuzina *croissantów*.

— *Tres bien.* — I krab odszedł chwiejnie.

— A to co? — zainteresowała się Maya.

— Steward.

— Wiem, sama się domyśliłam, ale co to takiego? Czy to żyje? Czy to robot? Jakiś rodzaj homara? Wyglądało na to, że mówi, używając autentycznych ust i języka.

Paul sprawiał wrażenie mocno zdenerwowanego.

— A co, coś jest nie tak, Mayu? W końcu przecież siedzimy w ekspresie do Stuttgartu, prawda?

— Och. No tak. Przepraszam.

Paul przyglądał się jej w milczeniu i z namysłem.

— Biedny Emil — powiedział w końcu.

— Nie mów tak! Nie masz prawa tak mówić! Jestem dla niego dobra! Wiem, że jestem dla niego dobra! A ty w ogóle nic nie wiesz!

— Jesteś dobra dla Emila?

— Słuchaj, powiedz, co muszę zrobić, żebyś zaczął mi ufać? Nie możesz po prostu spisać mnie na straty, nie możesz tak zwyczajnie mnie odepchnąć. Powiedziałeś, że chcesz, żeby na świecie działy się różne dziwne rzeczy. No więc ja z pewnością jestem dziwna. I „dzieję się” na świecie.

Paul przemyślał sobie jej słowa. Postukiwał palcami w krawędź stolika.

— Pozwól, że zbadam ci krew — powiedział w końcu.

— Ależ proszę bardzo. — Maya podciągnęła rękaw swetra.

Paul wstał, zdjął plecak z półki nad głową, otworzył go, grzebał w nim przez chwilę i w końcu znalazł komara do badań krwi. Położył go jej na przedramieniu. Komar pokręcił się przez chwilę, przysiadł i wbił

pod skórę ssawkę grubości włosa. Pobranie krwi nie bolało nic a nic, no, może trochę swędziało.

Następnie Paul wziął pokryte krwią urządzenie, pochylił się i rozpostarł skrzydła komara. Skrzydła zmieniły się w ekran wielkości dwóch paznokci. Przyglądał mu się w napięciu.

— A więc — powiedział w końcu — jeśli chcesz, by twoje sekrety pozostały sekretami, lepiej nie pozwól nikomu badać sobie krwi.

— Dobrze.

— Jesteś bardzo anemiczna. Co więcej, twoje ciało zawiera mnóstwo płynu, nie będącego nawet krwią.

— Jasne, to pewnie detergenty detoksyfikacji komórkowej i skatalizowane nośniki tlenu.

— Aha. A jednak mam tu także wystarczająco wiele DNA, by ustalić twoją tożsamość. I oddać cię w ręce pomocy obywatelskiej. Jeśli kiedykolwiek okaże się to konieczne.

— Słuchaj, Paul, nie musisz zadawać sobie trudu śledzenia moich akt medycznych. Posunęliśmy się wystarczająco daleko, żebym po prostu powiedziała ci, kim jestem.

Paul zmusił komara do wyrzygania krwi na kawałek chromatografu, po czym zgrabnie złożył zaplamiony papierek.

— Nie — powiedział stanowczo. — To nie jest konieczne, i nie sądzę, by było mądre. Nie chcę wiedzieć, kim jesteś. To nie moja sprawa. I z całą pewnością nie tego od ciebie chcę.

— A czego ode mnie chcesz?

Spojrzał jej w oczy.

— Chcę, żebyś udowodniła mi, że chociaż nie jesteś już człowiekiem, pozostałaś artystką.

* * *

Stuttgart był miastem wielkim i hałaśliwym. Wielkim, hałaśliwym, zielonym i lepkim. Był też miastem płytkich oddechów, chrząknięć, dyszenia i przeróżnych organicznych bulgotów. W Stuttgarcie ludzie z upodobaniem na siebie krzyczeli. W Stuttgarcie piesi tłumnie wylewali się na ulicę przez odbytowe dziury w murach.

Słynne stuttgarckie wieże miały wymiary iście cyklopowe, rytmiczne falowanie czyniło je jednak raczej kojąco oceanicznymi niż drażniąco górskimi. Maya słyszała, jak oddychają z lepkim, gruźliczym poświstem. Ich oddech wiał huraganem nad kosmatymi ulicami, pachnąc parą i cytryną.

— Moja rodzina pomagała zbudować to miasto — powiedział

nagle Paul, zgrabnie omijając kałużę substancji, do złudzenia przypominającej płatki śniadaniowe w mleku. — Rodzice byli poszukiwaczami odpadów.

— Byli?

— Dali sobie z tym spokój. Górnictwo odpadowe niczym nie różniło się od wszystkich innych przemysłów wydobywczych. Najlepsze i najbogatsze złoża szybko się wyczerpały. Dziś jest ono domeną ryzykantów, poszukiwaczy metanu, ludzi pracujących na małą skalę. Nie powstają już wielkie odpadowe fortuny.

— Rozumiem.

— Nie ma powodu do płaczu, moja matka poważnie wzbogaciła się na tym przedsięwzięciu. Należałem do uprzywilejowanych dzieci. — Paul uśmiechnął się radośnie. Był odprężony, wyraźnie cieszył się, że wrócił do domu.

— Twoi rodzice byli Francuzami?

— Tak. Rodzina pochodzi z Awinionu. Połowa populacji Stuttgartu to Francuzi.

— Dlaczego?

— Bo Paryż dziś, to muzeum.

Na ulicy nagle zmieniło się światło. Ogromna, żebrowana membrana oddzieliła się od ściany jednej z wież i rozpostarła nad okolicą. Pod nią wirowało stado białych żurawi. Żurawie wylądowały na ulicy jak tłum białopiórych obywateli miasta. Ptaki zaczęły dziobać chodnik wystarczająco mocno, by rozbić go na cząstki.

— Najwartościowsze składniki hałd przemysłowych — mówił Paul — żelazo, aluminium, miedź i tak dalej… rynek na nie załamał się w momencie, gdy do produkcji wprowadzono nowe materiały. Przede wszystkim tanie diamenty, oczywiście — tanie diamenty biją wszystko — ale także szkło cukrowe, optyczne plastyki, fullereny i aerożele. — Szerokim gestem ręki objął miasto. Niewysoki, zgrabny mężczyzna traktujący stupiętrowe budynki jak swoje. — Produkty węglowe wyparły z rynku metale konstrukcyjne. Mieszkańcy Stuttgartu to postępowcy, nienawidzą reliktów.

— Ich miasto bardzo przypomina Indianapolis.

— Ależ skąd! — zaprotestował Paul. — W niczym nie przypomina Indianapolis! Indianapolis było manifestacją polityczną, dziwactwem rewanżystowskich Azjatów. Stuttgart jest poważny. Stuttgart jest pełen znaczeń. To jedyne prawdziwie nowoczesne miasto w Europie. Jedyne miasto, którego budowniczowie naprawdę wierzyli bardziej w przyszłość, niż w bezustanne powielanie przeszłości.

— Nie jestem pewna, czy czułabym się prawdziwie szczęśliwa, gdyby przyszłość wyglądała właśnie tak.

— Nie będzie. Podobnie jak, świat dziś nie przypomina Nowego Jorku sprzed stu lat. Wystarczy, doprawdy, że przez pewien czas świat

chciał wyglądać jak Nowy Jork. Stuttgart jest podobnego rodzaju strzałką, wskazującą urbanistyczną przyszłość. To jedyne miasto na świecie, w którym współczesnemu społeczeństwu pozwolono przemówić własnym architektonicznym głosem.

— Zauważyłam, że używasz czasu przeszłego?

— Nie będzie już więcej Stuttgartów. Społeczeństwo gerontokratyczne nie ma woli i energii, koniecznej, by dokonywać innowacji na wielką skalę. Chyba, że jak to się zdarzyło w Stuttgarcie, jakieś wielkie miasto zostanie zrównane z ziemią, a ocaleni z kataklizmu znajdą się w sytuacji bez wyboru. — Paul wzruszył ramionami. — Niezbyt to miła perspektywa. Być może istnieją fanatycy, uważający, że za postęp warto zapłacić cenę holocaustu, ale ja studiowałem holocaust i wiem, jaki jest zły. Zmiana, o której mówimy, jest na swój sposób nieunikniona. O przetrwaniu można powiedzieć wiele dobrego. Jeśli żyje się wystarczająco długo, rzeczywistość rozstępuje się człowiekowi pod nogami. — Przerwał. Zastanawiał się przez chwilę. — Bardzo lubię Pragę — powiedział w końcu. — To miasto udziela światu lekcji równie ważnej, co Stuttgart. Praga przeżyła swe czasy, stała się pięknym dziwactwem, uroczym atawizmem. A potem dostała drugą szansę. Teraz jest poczwarką larwalnej formy postludzkości.

Szli przed siebie. Niebo nad Stuttgartem zaciemniały drogi transportu powietrznego. Rozwijały się niczym języki motyli, przylepiały do dalekich wież, dochodziły do ich szczytów i opadały po drugiej stronie. W owych rozwijalnych estakadach poruszały się kapsuły. Mimo, iż dziwny i najbardziej przypominający wędrujące węże boa, ten system transportu był wyjątkowo efektywny.

Paul poprowadził ją w dół po długich schodach i pod okazałym kamiennym łukiem, z którego zwieszały się zasłony z koralików. Niebo zniknęło, powietrze ociepliło się. Wyszli pod chropowatym, omszonym sufitem, z którego zwisały płachty przypominające materiał, twarde jednak jak beton. Pod jaskrawym niczym słoneczne światłem, padającym z długich pasm włókien optycznych, ściany zrobiły się gąbczaste, zarośnięte. Było tu gorąco i wilgotno niczym w kamiennej szklarni. W powietrzu unosił się gęsty zapach bananów i wanilii.

— To moja ulubiona dzielnica — powiedział Paul. — Nim zacząłem uczyć, mieszkałem tu przez długie lata. Zaprojektowali ją i wybudowali teoretycy miasta jadalnego.

— Teoretycy czego?

— Ściany zrobione są z gumogrzyba. Miasto można zjeść na surowo. Jest bardzo pożywne.

Jedzenie ścian z grzyba mieszkańcom nie wydawało się jednak szczególnie dobrym pomysłem. Jakimś rodzajem herbicydu wyryli w

nim graffiti. Nierówne bladożółte litery: „POD PLAŻĄ — CHODNIK”. Arabskie znaki. Twarz Kilroya z mnóstwem kręconych włosów.

Przechodzili obok jaskrawo oświetlonego wielopiętrowego gmachu. Otwarte piętra podzielone zostały na numerowane szczeliny. Wewnątrz owych ponumerowanych wgłębień leżeli ludzie, oświetleni ostrym blaskiem sztucznego słońca. Na oczach mieli spexy, ich ciała zaś od stóp do głów pokrywały wielkie szarozielone kawały włókien organicznych.

— Co to, kostnica? — zainteresowała się Maya.

— To łaźnia publiczna.

— Przecież tu nie ma wody!

— To nie jest łaźnia wodna, lecz eksfoliacja. Człowiek zostaje zanurzony w żelu i kładzie się pod światłami. Zostaje obsypany zarodnikami; pasma pleśni zakorzeniają się w skórze. Kiedy pleśń przestaje rosnąć, maszyny czyszczą skórę nożykami. Pleśń odchodzi płatami. Skóra oczyszczona zostaje z całości brudu i flory bakteryjnej. To bardzo ożywiające.

— Kąpiel w żyjącej pleśni?

— Tak, proces oczyszczenia. Jak widzisz, czas spędzony w zbiorniku uprzyjemnia człowiekowi odrobina wirtualności. Jest to rodzaj grzeczności wyświadczanej ludziom żyjącym nie najłatwiejszym życiem w dzielnicy jadalnej. Darmowa usługa publiczna. Po kąpieli każdy pomalowany zostaje miejscową mieszanką mikroorganizmów.

— Tak, ale przecież to pleśń!

— Udomowiona i bardzo przyjemna. Zupełnie nieszkodliwa. — Paul przerwał na chwilę. — Mam nadzieję, że nie szokuje cię cos tak nieszkodliwego jak publiczna nagość. Bardzo często spotyka się ją w Stuttgarcie.

— Oczywiście, że nie szokuje mnie publiczna nagość, ale przecież to pleśń!

— Co za prowincjonalizm. — Paul prawie się uśmiechnął. Najwyraźniej był mocno zirytowany. — Miasto to zaprojektowano jako najbardziej przyjazne w Europie. Nie w tym rzecz, by jego mieszkańcy byli szczególnie przyjaźni, przypominają oni mieszkańców wszystkich wielkich miast, już raczej struktura Stuttgartu jest bardzo przyjazna dla jej użytkowników.

Wyciągnął rękę, pokazując rój muszek, krążących w powietrzu z wyraźnie słyszalnym basowym bzyczeniem.

— Gdybyś miała szczęście dostać pokój w tym ekskluzywnym schronisku… tak, ma konstrukcję szkieletową. Ściany można po prostu jeść. Każdy może wypróżnić się gdzie zechce. Gdy tylko zaśniesz, pod ciałem rośnie warstwa mchu, by było ci rozkoszniej i wygodniej. Jest zawsze ciepło i wilgotno. Miękko, bardzo epidermicznie, bardzo

zmysłowo, bardzo cywilizowanie. Tutaj wszystkie mikroorganizmy są udomowione. Życie odnawia się, ale rozkład został zwyciężony. Rozkład odszedł w przeszłość jak zły sen.

— Hmmm… — Maya przyglądała się ścianie gospody, włochatej wilgotnej kaskadzie wielobarwnych mchów. — Kiedy mówisz o tym w ten sposób, nie wydaje się to nawet takie złe.

Wskoczyli w bramę, bo ulicą przejechała ciężarówka, zanurzając okolicę w gęstej żółtej mgle.

— Były to wizjonerskie plany — stwierdził Paul. — Miasto miało uwolnić ludzi od materialnych biowięzów. Miało dostarczać schronienia, jedzenia, natchnienia, oraz, oczywiście, zabezpieczać przed epidemią. Być może nie planowano takiego rezultatu ostatecznego, niemniej jednak samo miasto daje tyle, że czyni wszelką ekonomię nonsensowną. By mieszkać tu przez dłuższy czas, trzeba być człowiekiem całkowicie pozbawionym instynktu posiadania. Buntownikiem, marzycielem, filozofem… upośledzeni umysłowo, których jest tu sporo, także czują się w tej dzielnicy jak u siebie… i w ciągu ostatnich lat pojawiło się wielu mistyków.

— Penitentów?

— Owszem, katolickich ekstremistów wszelkiej maści, a także submisjonarzy, ekstatycznych submisjonarzy i charyzmatycznych submisjonarzy, uczniów Mohammeda i tak dalej. Na nieszczęście Ekstatycy i Charyzmatycy walczą ze sobą i szczerze nienawidzą się nawzajem.

— Nic nowego pod słońcem — Odsunęli się, ustępując miejsca trzem nagim kobietom na rowerach. Wielkie, twarde łydki błyskawicznie poruszały się w górę i w dół.

— Fanatycy zawsze bardziej bali się własnych dysydentów niż burżuazji. Po tych znakach ich poznacie… i to właśnie skazuje fanatyków na klęskę. Tu, w Stuttgarcie zdarzały się przypadki gwałtu, walki uliczne, nawet zabójstwa. Wzięłaś kiedyś entheogeon, Mayu?

— Nie, nigdy.

— Ja, owszem. Wziąłem go tu.

Maya rozejrzała się dookoła. Kosmate ściany, zieleń, upał, mgła i przedzierające się przez tę mgłę rozproszone światło, miejski wszechświat małych pełzających insektów.

— I co się stało?

— Zobaczyłem Boga. Troskliwego, opiekuńczego, mądrego. Obdarzyłem go nieprawdopodobną wręcz wdzięcznością i szczerze pokochałem. Była to czysta, mocna platoniczna rzeczywistość, absolutnie autentyczna, światło wszechświata. Była to rzeczywistość taka, jaką widzi Bóg, nie fragmentaryczna, niedoskonała rzeczywistość ludzkiego umysłu. Mistyczna wizja bez żadnych elementów dodatkowych, bez żadnych wątpliwości. Znalazłem się wobec żywej

obecności mego Stwórcy.

— Dlaczego to zrobiłeś? Czy twoi rodzice byli ludźmi religijnymi?

— Ależ nie, skąd. Zrobiłem to, bo widziałem religijność spalającą innych ludzi. Chciałem sprawdzić, czy będę w stanie pokonać to doświadczenie, wyjść z niego nienaruszony.

— I?

— I okazałem się wystarczająco silny, by je pokonać. — Przez chwilę Paul patrzył w jakiś daleki, nieokreślony punkt. — Och, jest metro pakietowe. Wkrótce zaczynam zajęcia ze studentami. Przykro mi, ale muszę cię teraz opuścić.

— Naprawdę? Och, jaka szkoda!

Paul podszedł do przedniej ściany pakietówki i wystukał adres na klawiaturze. Otworzyły się łukowate drzwi. Wrzucił plecak do miękko wyścielanej kapsuły.

— Zostawiam cię tu, bo muszę — powiedział cierpliwie. — Nie byle gdzie jednak, lecz w ukochanym Stuttgarcie. Mam nadzieję, że dobrze wykorzystasz ten czas.

Kapsuła zniknęła, lecz na jej miejscu natychmiast pojawiła się następna. Paul uderzył w klawisz „powtórz", zgrabnie wszedł do środka i usiadł, otaczając ramionami kolana.

— Do zobaczenia w Pradze, Mayu.

— A *revoir,* Paul. — Maya pomachała mu ręką. Drzwi zamknęły się z poświstem pneumatyki.

* * *

Maya spędziła w Stuttgarcie trzy przedziwnie bolesne dni. Jak duch wędrowała przez place przypominające plastry miodu, niczym upiór pojawiała się w przedziwnie liberalnych centrach aptekarskich. Znalazła się w pociągu do Pragi i padła na strąk, otoczona ciszą i samotnością. Tak dobrze czuła się zamknięta w znajomym środowisku poruszającego się błyskawicznie pociągu. Drżała od hormonów i szoku kulturowego, a poza tym nie odżywiała się właściwie. Z każdą mijającą godziną poznawała nowe płaszczyzny doświadczeń, głębokie somatyczne przestrzenie, których nie opisywały znajome słowa, takie jak „głód" lub „zmęczenie".

Kusił ją sen, lecz tłumacz, który nadal tkwił w jej prawym uchu, zaczął nagle śpiewać. Najpierw cicho, dalekim ptasim świergotem, potem coraz głośniej. Ponieważ tłumacz nigdy się jeszcze nie zepsuł, więc nie zaskoczyło jej kiedy muzyka urwała się w pół tonu czymś w rodzaju melodyjnego chrząknięcia i odezwał się głos.

— Dzień dobry, użytkowniczko Mayu.

— Dzień dobry — odpowiedziała Maya.

— To interkatywna wiadomość adresowana do ciebie z Ohrschmuck Enterprises w Bazylei. Jesteśmy wynalazcami i producentami używanego przez ciebie naszyjnika-tłumacza. Czy nas rozumiesz? Proszę, potwierdź to, odpowiadając ustnie „Tak, rozumiem" w twym ulubionym języku, angielskim.

— Tak, rozumiem.

Maya rozejrzała się po wagonie. Mówiła głośno, do nikogo, nikt z pasażerów nie uznał jednak tego zachowania za zachowanie niezwykłe. Oczywiście, ludzie ci założyli, że używa netlinku.

— Użytkowniczko Mayu, używasz naszego naszyjnika od dwóch tygodni. Wykorzystałaś jego znajomość angielskiego, włoskiego, czeskiego, niemieckiego i francuskiego. Mamy nadzieję, iż zgodzisz się z naszym twierdzeniem, że tłumaczenie następowało natychmiast i było dokładne.

— Tak, oczywiście.

— A czy zwróciłaś uwagę na wspaniałe wykonanie naszyjnika? Nie ma nic łatwiejszego od skopiowania prostego projektu w miedzi i krzemie, nam jednak bardziej odpowiada klasyczna uroda prawdziwej biżuterii. Ohrschmuck dumne jest z tego, iż kontynuuje tradycje europejskiego rzemiosła. Fakt, że używasz naszego shareware'u dowodzi, iż jesteś wyrafinowaną kobietą o wytrawnym guście. W dzisiejszych czasach każdy potrafi dostarczyć turystycznego tłumacza. Ohrschmuck oferuje ci jednak pełną bibliotekę współczesnych europejskich języków, wraz z własnymi segmentami słownikowymi współczesnego slangu i argot. Niełatwo jest dorównać naszemu poziomowi usług językowych.

— Chyba macie rację.

— Skoro uznałaś, że nasz shareware'owy naszyjnik dorasta do twych prywatnych standardów, uważamy, że podjęte przez nas wysiłki, by cię zadowolić, przyniosły sukces i powinny zostać opłacone. Czy nie wydaje ci się, że tak właśnie jest, użytkowniczko Mayu?

— A czego dokładnie ode mnie chcecie?

— Jeśli prześlesz nam siedemset marek, dopilnujemy, by twój tłumacz wyposażony został w najnowsze moduły językowe. Zarejestrujemy cię także w naszej firmie, wykonamy usługi osobiste oraz odpowiemy na wszystkie pytania użytkownika.

— Z pewnością wyślę wam pieniądze… jeśli kiedykolwiek zdobędę tak wielką sumę.

— Uważamy, że nasz produkt wart jest tych pieniędzy, użytkowniczko Mayu. Ufamy, że nam zapłacisz. Prowadzimy interes oparty na obopólnym zaufaniu. Wiemy, że nam zaufałaś, w końcu

przecież umieściłaś nasz produkt przy bębenku prawego ucha — bardzo wrażliwej i intymnej tkance. Jesteśmy pewni, że wzajemny szacunek doprowadzi do naszej długotrwałej i owocnej współpracy. Informacje na nasz adres sieciowy przesyłać można z każdego miejsca na świecie. Opłatę możesz uiścić gotówką. Z niecierpliwością czekamy na twoją odpowiedź.

* * *

W Pradze znalazła się o północy, uzbrojona w plecak i torbę na zakupy, oszołomiona, wyczerpana, z obolałymi nogami, cierpiąca. Praga wydala się jej po prostu cudowna — solidna, nieorganiczna, obecna i wspaniale wręcz stara. Ulica Bartolomějskă wyglądała cudownie. Stary budynek wyglądał cudownie.

Zatrzymała się przed drzwiami pracowni Emila, a potem weszła na górę i zastukała do drzwi pani Najadovej.

— O co chodzi? — spytała pani Najadová, przerwała i obejrzała sobie Mayę od góry do dołu. — Co on ci zrobił?

— W każdym miesiącu jest kilka takich dni, podczas których kobieta chce mieć trochę czasu dla siebie, ale on tego nie rozumie.

— Och, co to za obrzydliwy bezmyślny brutal! Jakież to do niego podobne! Wejdź. Wejdź, proszę. Nie przeszkadzasz, ja tylko oglądałam telewizję.

Pani Najadová usadziła Mayę na kanapie. Okryła ją kocem, przyniosła poduszkę ogrzewającą, zrobiła *frappé*. Potem usiadła na bujanym fotelu, radośnie bawiąc się notebookiem, podczas gdy telewizor przemawiał stłumiona czeszczyzną.

Mieszkanie pani Najadovej pełne było wiklinowych koszyków, dzbanków, naczyń, butelek, dekoracyjnych przedmiotów z surowego drewna, ptasich jaj, półartystycznych drobiazgów. W błękitnym szklanym wazonie stał bukiet szklarniowych lilii. Nie brakowało też nostalgicznych pamiątek po panu Najadzie, potężnie zbudowanym mężczyźnie o sympatycznym uśmiechu, który, jak się zdaje, kochał przede wszystkim narty i wędkarstwo. Sądząc po sportowych ubraniach, w których figurował na zdjęciach, zmarł lub odszedł od żony najmarniej dwadzieścia lat temu.

Patrząc na fotografie pana Najada Maya poczuła zalewającą ją wielką falę współczucia dla wszystkich kobiet, które wyszły za mąż na całe ludzkie życie, żyły i kochały wiernie przez cale ludzkie życie, a w końcu przeżyły własne człowieczeństwo. Dla wszystkich rzeczywistych wdów, wdów wirtualnych, kobiet poszukujących wdowieństwa i tych,

które zostały wdowami bez chęci i bez swej winy. Można przeżyć seksualność, ale nie można się od niej uwolnić, tak jak nie sposób uwolnić się od dzieciństwa.

Zaśpiewał złoty ptaszek spoczywający na jej piersi. Ostatnio wyśpiewywał godziny cichym lecz przenikliwym kukaniem kukułki, najwyraźniej taktownie przypominając właścicielce o niezapłaconym rachunku. Włożyła go do ucha. Natychmiast zabrał się za przekładanie tekstu z telewizora.

— Tak naprawdę jest to przykład ontologicznej próżni — powiedział telewizor głosem Aquinasa, psa z niemieckiego talk show. Głos psa dubbingowany był po czesku. — To, co nazywam mą inteligencją ma swe źródło w trzech światach. Istnieje moja własna, psia świadomość. Istnieje zewnętrzna wobec mnie, sztuczna sieć inteligencji. Istnieje wreszcie sieć układów wewnętrznych, wrośniętych w wolne miejsca mego psiego mózgu i zaprogramowanych na ludzki język. Wśród owej trójdzielnej inteligencji, jak mam szukać swej tożsamości? Czy jestem urządzeniem peryferyjnym komputera, czy też psem wyposażonym w cybernetyczną nieświadomość? Co więcej, ile z tego, co nazywam „myślą", jest w rzeczywistości tylko urządzeniem wyposażonym w język?

— Wydaje mi się, że każdy gospodarz talk show sam musi odpowiedzieć sobie na te pytania — powiedział uprzejmie gość.

— Mam niezwykłe zdolności intelektualne — mówił dalej Aquinas. — Potrafię na przykład rozwiązywać problemy matematyczne w zasadzie na każdym poziomie komplikacji. A jednak mój psi umysł jest praktycznie niezdolny do rozumowania liczbowego. Rozwiązuję problemy, nic z nich nie rozumiejąc.

— Rozumienie matematyki to jedna z największych przyjemności intelektualnych. Przykro mi słyszeć, że omija cię to umysłowe doświadczenie, Aquinasie.

Pies godnie skinął łbem. Szczególne to doświadczenie — obserwować psa, przytakującego rozmówcy skinieniem łba… i to niezależnie od tego, jak dobrze ubrany jest ów pies.

— To stwierdzenie zyskuje na znaczeniu, gdy wychodzi z pańskich ust, profesorze Haraldzie. Z ust człowieka obdarzonego tak wieloma naukowymi tytułami.

— Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż skłonny byłby przypuszczać laik — powiedział uprzejmie profesor. — W końcu przecież mózg każdego ssaka, wliczając w to oczywiście mózg człowieka, składa się z wielu funkcjonalnych sekcji, z których każda odpowiada za inny typ myślenia. Muszę ci coś wyznać, Aquinasie. Nie sposób zajmować się współczesną matematyką bez wspomagania maszynowego. Mam w pełni zinterioryzowany symulator — profesor

taktownie postukał się w pomarszczone czoło — a jednak nie jestem w stanie w pełni czuć rezultatów, nawet gdy je wypowiadam i gdy intuicyjnie czuję ich słuszność.

— Proszę mi powiedzieć, czy śni pan matematykę, profesorze?

— Och, oczywiście. Do wielu z najważniejszych rezultatów mych prac doszedłem właśnie we śnie.

— Ja również śnię matematykę. Być może my, ssaki, osiągamy naszą pierwotną jedność właśnie we śnie?

Profesor Harald wstał powoli i uścisnął elegancką, chwytną łapę psa. Widzowie grzecznie bili im brawo.

4

Maya obudziła się o piątej rano. Swędziały ją paznokcie; miała wrażenie, że przestały pasować do palców. Szalejące we krwi hormony sprawiały, że rosły niczym bambusy. Skóra wokół nich była nierówna, keratyna zrobiła się dziwnie delikatna. Jej paznokcie sprawiały wrażenie sztucznych. Zeszła z kanapy pani Najadovej, zabrała plecak, cicho wyszła z mieszkania i po schodach zeszła do pracowni Emila. Emil leżał pogrążony we śnie, sam. Przez chwilę kusiło ją, by położyć się obok niego, pospać jeszcze chwilę, ale oparła się tej pokusie. Nie czuła się właściwie we własnej skórze, nie spodziewała się więc znaleźć pociechy u kogoś innego.

Poruszając się jak najciszej, odnalazła czerwoną kurtkę. Nalała wody, po czym szybko przejrzała swój niewielki lecz wystarczający zbiór środków przeciwbólowych. Postanowiła jednak nie brać teraz żadnej z pigułek. Następnym razem może ich bardzo potrzebować… będąc daleko od miejsca tak wyrozumiałego dla ludzkich słabości jak Stuttgart.

Emil przebudził się i usiadł w łóżku. Spojrzał na nią z grzecznym zdziwieniem, a potem naciągnął sobie kołdrę na twarz i zasnął znowu. Maya metodycznie spakowała plecak i podeszła do drzwi. Nie wiedziała jeszcze, czy kiedykolwiek tu powróci. Nie zostawiała za sobą nic, do czego chciałaby wrócić.

Szła ulicami oblanymi światłem gwiazd, weszła do oświetlonej łagodnym blaskiem budki sieciowej i wywołała pomoc. Przewodnik po sieci okazał się, jak zwykle, wspaniały. Połączyła się z netlinkiem w San Francisco, a następnie, synchronicznie, z panem Stuartem.

— Co mogę dla ciebie zrobić w ten śliczny wieczór? — spytał pan Stuart. Opóźnienie wynosiło dwieście pięćdziesiąt milisekund, głos brzmiał jednak niezwykle czysto.

— Panie Stuart, jestem pańską wieloletnią klientką. Potrzebuję dostępu do starej wirtualności z nietypowymi protokołami.

— Jeśli są w ogóle dostępne, to z pewnością je mamy. Proszę przyjść do stodoły.

— Tak się składa, że w tej chwili jestem w Pradze.

— Praga, doprawdy piękne miasto — powiedział pan Stuart bez śladu zdziwienia. — Za odpowiednią cenę mogę panią połączyć, z mojej strony nie będzie z tym najmniejszego problemu. Jeśli nie przeszkadza pani opóźnienie. Proszę się rozłączyć, a następnie połączyć z naszym głównym serwerem.

— Nie, nie… to bardzo hojna oferta, ale zastanawiałam się, czy nie zna pan przypadkiem kogoś tu w Pradze, kogoś rozumiejącego konieczność dyskrecji. Kogoś, komu mógłby pan mnie

zarekomendować. W tej sprawie mam do pana, oczywiście, całkowite zaufanie. To się rozumie samo przez się.

— Całkowite zaufanie, tak? Co się rozumie samo przez się?

— Oczywiście.

— Bardzo ładnie. Osobiste zaufanie to jądro globalnej infrastruktury. Nie zechce mi się pani, oczywiście, przedstawić?

— Nie. Bardzo bym chciała i żałuję ogromnie, ale wie pan, jak to jest.

— Dobrze, doskonale. Proszę poczekać, sprawdzę w bardzo użytecznym przewodniku profesjonalnym. Potrwa to zaledwie chwilkę.

Maya bawiła się obolałymi paznokciami.

— Proszę spróbować w miejscu, które nazywa się Biuro Dostępu, to na Národni Obrany w Pradze Sześć. Proszę spytać o Bożenę.

— Doskonale, rozumiem. Dziękuję. — I Maya przerwała połączenie.

Znalazła właściwe miejsce na planie dostarczonym przez praską pomoc obywatelską. Ruszyła w tamtą stronę na piechotę. Był to bardzo długi marsz, zwłaszcza w ciemności i chłodzie. Ciche brukowane ulice. Zamknięte sklepy. Samotność. Chmury wysoko na niebie i promienie księżycowego światła na rzece. Hradćany, błyszczące światłem nie z tego świata, zamek górujący nad Starym Miastem tak, jak niegdyś arystokracja górowała nad Europą. Wszystkie te, jakże różnorodne, wieże śpiącej Pragi. Żelazne latarnie, posągi, dachy pokryte dachówką, mroczne łuki, sekretne przejścia, włóczące się koty ze światłem księżyca w ślepiach. Co za miasto… jego najstarsze legendy były znacznie bardziej rzeczywiste od niej.

Stopy Mayi, depczące bruk praskich ulic, płonęły od mogących pęknąć lada chwila bąbli. Plecak wrzynał się w ramiona. Ból i zmęczenie wprowadziły ją w stan podwyższonej świadomości. Od czasu do czasu zatrzymywała się, spoglądała na fragment miasta przez obiektyw aparatu fotograficznego, ani razu jednak nie zrobiła zdjęcia. Z aparatem przy twarzy, przez obiektyw, widziała wyłącznie kłamstwa. Nagle uświadomiła sobie, jak proste jest rozwiązanie tego problemu — soczewki obiektywu zostały założone odwrotnie! Soczewki obiektywów wszystkich aparatów zostały założone odwrotnie! Bardzo chciała porozumieć się ze światem, lecz świat ten znajdował się pod jej powiekami.

Pod właściwym adresem znalazła się tuż po wschodzie słońca. Wyglądający bardzo oficjalnie budynek o kamiennej fasadzie był reliktem dawnej epoki, a jego wyżartą betonową komunistyczną fasadę zastąpiła współczesna wesoła zielonkawa pianka. Znajdujące się w nim urzędy nie zostały jeszcze otwarte. Na drzwiach znajdowały się dyskretne czeskie niebiesko-białe plakietki, Maya jednak nie

czytała, oczywiście, po czesku.

Znalazła otwartą kawiarnię, ogrzała się, zjadła coś, poprawiła sobie zniszczony makijaż, obserwowała, jak na ulicę życie powraca w melodyjnym podzwanianiu rowerów. Kiedy wraz z zaprogramowanym kliknięciem zegara otworzyły się frontowe drzwi budynku, była pierwszą osobą, która weszła do środka.

Netsite znalazła na czwartym piętrze, naprzeciwko klatki schodowej. Prowadzące doń drzwi były zamknięte i zaryglowane. Z trudem łapiąc oddech, na obolałych nogach wycofała się do damskiej toalety, usiadła w kabince, zamknęła oczy i zdrzemnęła się.

Następna próba zakończyła się sukcesem — drzwi były otwarte. Netsite okazał się w środku cudownym wręcz labiryntem gotyckich sklepień, drzwi o mosiężnych klamkach, spiętych plastykiem starych instrukcji, umierającej, oplątanej kablami maszynerii. Okna zamurowano, na gipsowych ścianach widać było podejrzane plamy, w rogach pokoi, spod sufitu, zwieszały się pajęczyny.

Bożena szczotkowała włosy i zajadała kanapkę, popijając ją zwierzęcym mlekiem. Jak na kobietę w tak zaawansowanym wieku miała wspaniale włosy. Jej zęby też były imponujące: wielkie jak nagrobne płyty, doskonale zachowane, o bardzo wysokim albedo.

— Jesteś Bożena, prawda? Dzień dobry — powiedziała Maya.

— Dzień dobry. Witamy w Połączonych Biurach Dostępu. — Bożena sprawiała wrażenie dumnej ze swej płynnej technicznej angielszczyzny. — Czym możemy służyć?

— Potrzebuję ekranu dotykowego celem uzyskania dostępu do pałacu pamięci ustanowionego w latach sześćdziesiątych. Mój kontakt w San Francisco powiedział, że może się to odbyć u was z wymaganą dyskrecją.

— Ależ oczywiście, my tu w Biurze Dostępu jesteśmy wyjątkowo dyskretni — upewniła ją Bożena. — Jesteśmy także doskonale przestarzali! Stare pałace, stare zamki, wszelkiego rodzaju labirynty i podziemia, to nasza miejscowa specjalność! — Nagle dotknęła kolczyka w uchu i natychmiast, bez słowa wyjaśnienia, wyszła zza lady. Zrejterowała do odciętego od zewnętrznego świata pokoju z tyłu biura.

Czas płynął bardzo, bardzo powoli. W blasku kilku paraboidalnych lamp sufitowych widać było unoszące się w powietrzu kłębki kurzu. Maszyny sieciowe tkwiły w miejscu, nieruchome i zakurzone niczym zapomniane przez Boga i ludzi hydranty przeciwpożarowe.

Cztery starsze Czeszki, trybiki biurokratycznej maszyny, jedna za drugą pojawiły się w biurze. Każda uzbrojona była w śniadanie i robótkę, jedna przyprowadziła nawet ze sobą kota.

Po pewnym czasie któraś z nich, ziewając przeraźliwie, przyniosła

ekran dotykowy. Położyła go na ladzie, odznaczyła w notebooku i odeszła bez słowa. Maya wyjęła ekran z ziarnistego plastykowego pudełka i zdmuchnęła z niego kurz. Pokrywały go odklejające się po brzegach urzędowe nalepki w niepojętej češtinie — w starym, przedelektronicznym języku czeskim ze starą ortografią z czasów przed Europejską Reformą Ortograficzną. Kółeczka, ptaszki, znaki akcentu, przecinki, daszki i tyldy; słowa wyglądały jak otulone drutem kolczastym.

Bożena wysunęła się ze swego schronienia płynnym ruchem, uważnie poprawiła sięgającą łydek szarą spódnicę i usiadła za wielkim plastykowym biurkiem. Metodycznie przeszukała sześć szuflad. W końcu znalazła śliczny szklany przycisk do papierów. Ustawiła go na biurku i zaczęła się nim bawić.

— Bardzo przepraszam — powiedziała Maya — nie macie przypadkiem jakichś materiałów dotyczących Josefa Nováka?

Twarz Bożeny znieruchomiała. Bożena wstała od biurka i podeszła do lady.

— Dlaczego pytasz o pana Nováka? Kto ci powiedział, że w naszym archiwum możemy coś o nim mieć?

— Jestem jego nową uczennicą — skłamała radośnie Maya. — Uczy mnie fotografii.

Na twarzy Bożeny malowała się teraz głęboka niepewność.

— Ty? Dlaczego? Studentka Nováka? Przecież jesteś cudzoziemką. Co on zrobił tym razem, biedaczysko? — Bożena znalazła szczotkę i z jeszcze większym wigorem zabrała się za szczotkowanie włosów.

Otworzyły się drzwi i do środka weszli dwaj czescy policjanci w różowych mundurach. Usiedli przy drewnianym stole, włączyli ekran i siedzieli, popijając gorącą nalewkę z kartonowych pojemników.

Nagle Mayę uderzyła myśl, że godny zaufania pan Stuart wysłał ją, być może, do kwatery głównej czeskiej policji. Wszyscy ci ludzie są gliniarzami, pomyślała. To wydział informacyjny czeskich gliniarzy. Otaczają mnie czescy policjanci wirtualności. Netsite ma charakter raczej antykwaryczny, jasne, ale tylko dlatego, że czeska policja należy do najgorzej wyposażonych na świecie.

— Znasz może Helenę? — spytała jakby nigdy nic, opierając się o ladę. — Helenę Vauxcelles-Serusier?

— Wdowa pojawia się i znika. — Zajęta studiowaniem paznokci Bożena tylko wzruszyła ramionami. — Zawsze tak jest. Nie wiem dlaczego. Jeszcze nigdy nie powiedziała nam uprzejmego słowa.

— Powinnam skontaktować się z nią dziś rano, załatwić kilka drobiazgów. Macie może pod ręką jej adres sieciowy?

— To netsite, nie informacja adresowa — stwierdziła kwaśno Bożena. — My tu, w Biurze Dostępu, kochamy pomagać ludziom,

jesteśmy szeroko otwarci i przyjacielscy; my, Prażanie, nie mamy nic do ukrycia, ale Wdowa nie działa z Pragi, więc nie leży to w moich kompetencjach.

— Słuchaj, jeśli nie zamierzasz pomóc mi w sprawie Nováka, powiedz to jasno i po prostu.

— Ja nic nie mówiłam! — błysnęła ostrożnością Bożena.

— Znam inne sposoby, inne kontakty i inne drogi, by wykonać mą pracę, wiesz?

— Jestem pewna, że tak, Miss Amerika. — Bożena skrzywiła się przeraźliwie.

Maya potarła przekrwione oczy.

— Słuchaj, załatwmy to zwyczajnie, nie sprawiając sobie nawzajem zbędnych kłopotów — zaproponowała. — Przepchnę się po prostu przez tłum waszych klientów i wystraszę ten stary zestaw trackera magnetycznego tak, że zdecyduje się coś wreszcie zrobić. Tylko nie myślcie, że musicie mi pomagać albo coś. Po prostu, nie przeszkadzajcie, to ja nie będę przeszkadzać wam. Najlepiej udawajmy, że nic się nie dzieje, dobrze?

Bożena w milczeniu wycofała się za biurko.

Strach i przypływ adrenaliny uczyniły Mayę niezwyciężoną. Wyciągnęła rękawice i gogle. Uderzyło ją, że nikt nigdy nie przeszkadza i nie przerywa ludziom pracującym w goglach i rękawicach. W goglach i rękawicach będzie niewidzialna.

Zmusiła antyk do pracy. Wprowadziła hasło gestowe. Pałac pamięci przywołała do życia najwyraźniej siłą woli.

Wokół niej pojawiła się znajoma pracownia architekta, nakładając ekrany na szerokość palca od wilgotnej powierzchni gałek ocznych. Ktoś najwyraźniej bawił się tablicą. Obok Kilroya z głową w lokach i nabazgranego na zielonkawo napisu „MAYA TU BYŁA” widniały teraz na niej także, wypisane starannie obok narysowanego kilkoma odcieniami kredy guzika, słowa: „MAYU NACIŚNIJ TUTAJ”.

Maya zastanawiała się przez chwilę, a potem przycisnęła kolorowy guzik. Rękawice były dobre, twarde, ale nic się nie stało.

Rozejrzała się po wirtualnej pracowni. Aż roiło się w niej od gekkonów. Gekkony remontowe uwijały się po całym pomieszczeniu, niektóre wielkości kromek chleba, niektóre nie większe od mrówek. Zepsuty stół został usunięty. Wyraźnie poprawił się rendering roślin w ogrodzie za oknem, całkiem dobrze upodobniły się do naturalnych.

Jeden z foteli popadł nagle w wyraźny kryzys tożsamości i zmorfował się w Benedettę. Wirtualna Benedetta ubrana była w czarną, szeroką u dołu suknię koktailową i krótką różową kurteczkę z czarnym wykończeniem. Miała nienaturalnie wydłużone nogi, jak na szkicu projektanta mody, na nogach zaś buty na nieprawdopodobnie wysokich obcasach. Podobieństwo twarzy uchwycono doskonale,

włosy natomiast wypadły kiepsko. Wirtualne włosy niemal zawsze sprawiają wrażenie fałszywych, przypominają albo gumową formę, albo hiperaktywny subprogram Meduzy. Benedetta niemądrze zdecydowała się na pseudoartystyczny gambit z Meduzą, który przeładował lokalne kanały przepływu danych. Gdy poruszała się zbyt dla nich szybko, wielkie lśniące fragmenty fryzury to nikły błyskawicznie, to powracały do życia.

Usta wirtualnej modelki poruszyły się bezgłośnie.

— *Ciao,* Maya.

Maya znalazła zwisający ze spexów kabel z wtyczką i wcisnęła go sobie w ucho.

— *Ciao,* Benedetta — powiedziała.

Benedetta dygnęła zgrabnie.

— Jesteś zaskoczona? — spytała.

— Tylko odrobinę rozczarowana — odpowiedziała Maya. — Czy mój głos dociera do ciebie na odpowiednim poziomie?

— Tak, słyszę cię doskonale.

— Do głowy mi nie przyszło, że ukradniesz hasło dotykowe i nadużyjesz mego zaufania. Doprawdy, Benedetto, bardzo to dziecinne z twojej strony.

— Nie miałam na myśli nic złego. — W głosie Benedetty brzmiał szczery żal. — Chciałam tylko podziwiać architekturę pałacu i detale z epoki. I wszystkie te wspaniałe antyczne struktury programów.

— Oczywiście, kochanie, oczywiście. Znalazłaś może pornografię?

— Tak, jasne, znalazłam pornografię. Ale ten przycisk — Benedetta wskazała na tablicę — zostawiłam dla ciebie, ponieważ mamy tu pewien drobny problem. Maleńki problem w pałacu.

— Mamy drobny problem, co?

— Coś tu jest. Na wolności. Coś żywego.

— Coś, co uwolniłaś, czy coś, co znalazłaś wolne?

— Nie potrafię odpowiedzieć ci na to pytanie, ponieważ sama nie wiem. Próbowałam się zorientować, ale nie dałam rady. Nikomu się nie udało.

— Rozumiem, nikomu. A ile dokładnie osób wpuściłaś, żeby szukały?

— Mayu, ten stary pałac jest ogromny! Cudownie ogromny. Mnóstwo tu miejsca. Nikt go nie używa i, co najwspanialsze, nie ma tu także wirtualnych gliniarzy. Proszę, nie bądź zazdrosna. Uwierz mi, nigdy byś nas nawet nie zauważyła, gdyby nie ten mały problem. Gdyby nie ten drobny problem.

— To nie jest bynajmniej dobra wiadomość.

— Mam dla ciebie także dobrą wiadomość. Są tu pieniądze, wiedziałaś o tym? Prawdziwe pieniądze! Poświadczone pieniądze starych ludzi!

— Jakie to miłe. Czy ty i twoi przyjaciele zostawiliście dla mnie trochę tych pieniędzy?

— Słuchaj — powiedziała Benedetta — strasznie chcę z tobą o wszystkim porozmawiać, ale to nie jest najlepszy moment na rozmowę. Właśnie gram w karty z ojcem. Nie lubię przeprowadzać tego rodzaju rozmów z jego domu. Mogłabyś przyjechać do Bolonii i spotkać się tu ze mną? Mam ci wiele do zaoferowania. Chcę być twoją przyjaciółką.

— Być może przyjadę. Ile dokładnie pieniędzy znaleźliście? Wystarczy na zapłacenie tym szwajcarskim nudziarzom od shareware'u za naszyjnik, który od ciebie dostałam?

— Nie martw się naszyjnikiem. Ohrschmuck zbankrutowało. Za dużo żądali i nikt im nigdy nie zapłacił. Daj go po prostu jakieś kobiecie. Będzie go używać przez miesiąc nim znów zaczną się skargi.

— Jakże wspaniała z ciebie przyjaciółka, kochanie.

— Pozwól, że zadzwonię do ciebie później, Mayu. Przyznaję, zachowałam się niewłaściwie. Ale poprawię się, obiecuję, jeśli tylko dasz mi szansę. Na przykład mogę sprawić, byś prezentowała się znacznie lepiej on-line. Wiesz, że wyglądasz dla mnie jak wielki, wstrętny niebieski blok? Gdzie teraz jesteś?

— Nie musisz wiedzieć, gdzie jestem. Zostaw dla mnie wiadomość u Paula.

Wirtualne usta Benedetty rozszerzyły się w wyrazie zdziwienia.

— Mam nadzieję, że nie powiedziałaś Paulowi o pałacu?

— Dlaczegóż niby nie miałabym powiedzieć Paulowi o pałacu?

— Kochanie, Paul to teoretyk, ja jestem aktywistką!

— Może ja też jestem tylko teoretykiem?

— Nie sądzę, byś była tylko teoretykiem. Wcale tak nie sądzę. Czyżbym się myliła?

Maya zastanawiała się przez chwilę.

— Dobrze — stwierdziła w końcu — jeśli mamy nie mówić nic Paulowi, zostaw dla mnie wiadomość w Tête. Jestem tam niemal codziennie. Całkiem nieźle dogadałam się z Klausem.

— W porządku. Niech będzie Tête. Doskonały pomysł. Klaus to dobry człowiek, i taki dyskretny. Teraz już naprawdę muszę lecieć.

Benedetta zmorfowała. Fotel odzyskał tożsamość. Leżał na boku, na podłodze. Maya próbowała go postawić; jej urękawiczone dłonie przenikały jednak przez niego z głębokim ontologicznym bezsensem uszkodzonego oprogramowania. Walczyła z nim przez dłuższy czas, pochylona, chwytając i ciągnąc powietrze pod różnymi, eksperymentalnymi kątami.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie jest sama w tym wirtualnym wnętrzu. Znieruchomiała i ostrożnie rozejrzała się dookoła. Wirtualna obecność wyciekła z jednej ze ścian, przeniknęła

przez nią jak wiejący powoli wiatr i zniknęła w przeciwległej ścianie. Pęknięta gładkość przesuwająca się przez tworzywo przekształcanych danych.

Maya zerwała spex i słuchawki. Zdjęła rękawice; czubki palców miała spuchnięte. Wyłączyła maszynę, a potem przyjrzała się widocznym na niej smugom pozostawionym przez pot, żałując, że na czeskim sprzęcie policyjnym pozostawiła wyraźne dowody swej obecności w postaci chmury DNA. Przez chwilę pocierała spex rękawem, jakby ten bezsensowny gest mógł coś załatwić. DNA obserwowało się pod mikroskopem. Dowody były wszędzie. Dowody były wszechobecne, prawda żyła poniżej poziomu świadomości, zupełnie jak bakterie.

Przestępstwo nie jest jednak przestępstwem póki ktoś z jakiegoś powodu nie zwróci na coś uwagi.

Postanowiła nie kraść, jakże przydatnego, ekranu dotykowego.

* * *

Czuła się zmęczona, więc wsiadła w metro i przespała dwie godziny w krążącym po mieście wagoniku. Potem poszła do netsite'u na stacji Malostřanská i poprosiła sieć o znalezienie Josefa Nováka. Sieć znalazła jej adres Nováka w ułamku sekundy. Maya pojechała metrem z powrotem na Karlovo Náměsti i na obolałych nogach przeszła, kulejąc, do wskazanego jej domu. Nie wyglądał szczególnie obiecująco. Jeszcze raz przestudiowała otrzymany z pomocy obywatelskiej plan, sprawdziła adres, po czym przycisnęła guzik dzwonka. Cisza. Oparła się o guzik i stary dzwonek rozwrzeszczał się w swej plastykowej obudowie.

Walnęła pięścią w okute żelazem drewniane drzwi. Ze środka dobiegły ją jakieś stłumione odgłosy, ale nikt nie pofatygował się odpowiedzieć. Walnęła mocniej.

Drzwi, zabezpieczone krótkim mosiężnym łańcuchem, otworzyła starsza Czeszka. Na głowie miała chustę i spexy.

— Czego chcesz? — spytała.

— Zobaczyć się z Josefem Novákiem. Muszę z nim porozmawiać.

— Nie mówię po angielsku. Josef nie przyjmuje gości, a już zwłaszcza turystów. Odejdź.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Maya poszła na chutovky z knedlikami. Jej drobne porażki okazały się bardzo przydatne. Jeśli będzie pamiętać o jedzeniu za każdym razem, kiedy zostanie wyrzucona za drzwi, wypędzona i

uciszona, ma szansę pozostać zdrowa i sprawna. Wypiwszy ostatni karton pysznego rozdawanego przez rząd jogurtu, wróciła pod mieszkanie Josefa Nováka i znów zapukała do drzwi.

Otworzyła je ta sama kobieta, tym razem ubrana w gruby zimowy szlafrok.

— Znowu ty! Dziewczyna śmierdząca Stuttgartem! Nie nachodź nas, to bardzo niegrzeczne i bezsensowne.

Trzask!

Bardzo dobrze. Mayi znów coś się przypomniało. Przeszła kawałek drogi do pracowni Emila. Emila w pracowni nie było. Jego nieobecność mogła oznaczać, że dzieje się coś niedobrego, ale ze stanu kuchni łatwo było wydedukować, że poszedł po prostu po coś do jedzenia. Skrobała i myła pracownię przez dłuższy czas, po czym potraktowała ją pewnymi użytecznymi substancjami, w które zaopatrzyła się w Stuttgarcie, aż w powietrzu rozszedł się silny zapach bananów. To nie podlegające dyskusji zwycięstwo nad niewidzialnym światem mikroorganizmów zaowocowało poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. W chłodzie i ciemności Maya powróciła pod dom Nováków i znów zapukała do drzwi.

Otworzył je zgarbiony siwowłosy mężczyzna, ubrany w czarną marynarkę z jednym rękawem. Nie miał ręki.

— O co chodzi? — spytał.

— Czy mówi pan po angielsku, panie Novák?

— Jeśli muszę.

— Jestem pana nową uczennicą. Mam na imię Maya.

— Nie przyjmuję uczniów — powiedział uprzejmie Novák. — I jutro wyjeżdżam do Rzymu.

— Więc ja także wyjeżdżam jutro do Rzymu.

Novák przyglądał się jej, oświetlonej pasmem światła padającym z uchylonych, przytrzymywanych łańcuchem drzwi.

— „Szklany Labirynt” — powiedziała Maya. — „Ogród Rzeźb”. „Wodna Anima”. „Znikające Posągi”.

— Te tytuły fatalnie brzmią po angielsku. — Novák westchnął. — No, cóż… pewnie lepiej będzie, jeśli wejdziesz.

Ściany na parterze mieszkania Nováka przypominały drewniany plaster miodu, fantasmagorią sześciokątnych regałów magazynowych. Drewniane pajacyki. Szkło. Narzędzia do grawerowania. Pióra. Wiklina. Znaczki pocztowe. Kamienne jaja. Dziecinne klocki. Wieczne pióra i spinacze do papieru. Okulary. Rzeźbione maski. Kompasy i klepsydry. Medale. Klamry do pasków. Fujarki i nakręcane zabawki.

Z niektórych komórek przedmioty po prostu się wylewały, w innych było ich niewiele, niektóre pozostały puste. Przypominało to jako żywo drewniany rój zaludniony przez inteligentną rasę podróżujących w czasie pszczół.

Stało tu też kilka stołów, nie było jednak na czym usiąść. Nagą podłogę zapastowano do połysku.

— Kto to? — dobiegł z góry zaspany kobiecy głos.

— Mamy gościa — odkrzyknął Novák. Sięgnął do kieszeni workowatych spodni i wyjął z niej emaliowaną zapalniczkę.

— Tę głupią dziewczynę z Ameryki? Z krótkimi włosami?

— Tak, właśnie ją. — Novák włączył zapalniczkę kciukiem i jej słabym płomykiem zapalił świece na świeczniku. Było ich sześć. Górne światło zgasło. Pokój rozjaśnił ciepły żółty blask. — Kochanie, możesz zrzucić nam na dół dwa strąki?

— Już późno. Powiedz jej, żeby się wynosiła.

— Jest bardzo ładna. Z kogoś tak ładnego można czasami zrobić dobry użytek.

Zapanowała cisza. Po chwili po oświetlonych blaskim świec schodach ześlizgnęły się dwa czarne strąki niczm dwie miski falującej zupy czerniny.

Novák usiadł i gestem wskazał drugi strąk Mayi. Prawego ramienia nie miał w ogóle. Wydawał się całkowicie pogodzony z tą stratą, jakby jedna ręka do wszystkiego człowiekowi wystarczała, a dwuręczni ludzie demonstrowali po prostu fascynację nadmiarem.

Maya zrzuciła plecak na drewnianą podłogę i zajęła wskazane jej miejsce.

— Chcę się nauczyć fotografii — oznajmiła.

— Fotografii — powtórzył Novák i skinął głową. — Wspaniale! Fotografia jest taka rzeczywista, tak bardzo przypomina życie. Jeśli jest się Cyklopem. Przykutym do jednego miejsca. Na jedną pięciotysięczną część sekundy.

— Wiem, że pan mógłby mnie nauczyć.

— Owszem, uczyłem fotografii — przyznał Novák głosem człowieka torturowanego. — Uczyłem istoty ludzkie postrzegać świat jak aparat fotograficzny. Co za wspaniałe osiągnięcie. Przyjrzyj się tylko mojemu małemu nędznemu domkowi. Byłem fotografem przez dziewięćdziesiąt — dziewięćdziesiąt! — lat. I co nam dały lata harówki, starej kobiecie i mnie? Nic! Wszystkie te straszne załamania rynku! Dewaluacja! Podatki bardziej przypominające konfiskaty? Abolicje i eliminacje! Rozruchy polityczne! Epidemie! Kryzysy bankowe! Nic nie trwa, nic nie pozostaje. — Novák patrzył na Mayę zrezygnowany i podejrzliwy jednocześnie. Z artysty zmienił się nagle w cwanego wieśniaka: wyłupiaste oczy, krzaczaste brwi, spuchnięty kartoflowaty nos starego człowieka. — Nie mamy nic, nie mamy aktywów. Jesteśmy bardzo starymi ludźmi, ale nie możemy oferować ci niczego, dziewczyno. Powinnaś odejść, oszczędzić kłopotów sobie i nam.

— Przecież jest pan sławny.

— Przeżyłem mą sławę i zostałem zapomniany. Trwam tylko dlatego, że na nic innego nie potrafię się zdecydować.

Maya rozejrzała się po pokoju gościnnym. Niezwykła mieszanka eklektycznych gratów i całkowitej, absolutnej czystości. Tysiące drobnych przedmiotów z cienkiego jak włos pogranicza między sztuką a śmieciem. Zbiór cudeniek przemocą wyrwanych z uścisku czasu. A jednak nie dostrzegła najmniejszej nawet plamki kurzu. Ludzie czczący muzy kończą życie w muzeach.

Sznurki zanurzone w białym wosku dopalały się powoli. Siwowłosy Novák sprawiał wrażenie całkowicie szczęśliwego w panującej w pokoju ciszy.

Maya wskazała na szczyt plastra drewnianych półek.

— Ta kryształowa waza — powiedziała — ta karafka na górze.

— Stare czeskie szkło.

— Jest bardzo piękne.

Novák gwizdnął cicho. W ścianie przy kuchni otworzyły się ukryte drzwi. Wyleciało przez nie ludzkie ramię.

Ramię wylądowało na drewnianej podłodze z cichym plaśnięciem pięciu rozpostartych palców. Na nagim końcu, którym przylegało do ciała, miało kłąb czegoś przypominającego pióra, jak parzydełka ukwiału.

Ramię rozciągało się i skakało, rozciągało się i skakało, przesuwając się w ten sposób po oświetlonych światłem świec klepkach podłogi. Obróciło się, skurczyło i nagle z niesamowitą szybkością wbiło się w ledwie widoczną szczelinę w marynarce pana Nováka.

Pan Novák zmarszczył się, skrzywił nieznacznie, po czym uniósł sztuczną dłoń i lekko zacisnął ją w pięść. Następnie, siedząc w strąku, oparł się na lewym łokciu i sięgnął w głąb pokoju. Wyciągnął prawe ramię — jego bezwłosa skóra stała się ziarnista, pokryła się bąblami, przedramię skurczyło się do przekroju ptasiej kości — i bardzo odległą od ciała dłonią uchwycił karafkę. Przeniósł ją ku sobie; prawe ramię skurczyło się przy tym z cichym wewnętrznym szumem, przypominającym odgłos kruszonych butami popiołów.

Podał karafkę Mayi. Maya przyjrzała się jej w świetle świec.

— Kiedyś ją już widziałam — powiedziała. — Przez pewien czas mieszkałam w jej wnętrzu. Był to wszechświat.

Novák wzruszył ramionami. Z założoną sztuczną ręką wzruszał ramieniem w sposób doprawdy imponujący.

— Poeci mówili to samo o ziarnku piasku — zauważył.

Maya spojrzała na niego.

— Szkło zrobione jest z piasku, prawda? — spytała. — Soczewki aparatu fotograficznego także zrobione są z piasku. Bit danych jest jak pojedyncze ziarnko piasku.

Powoli, powoli, na twarzy Nováka pojawił się uśmiech.

— Przekażę ci dobrą nowinę — powiedział. — Lubię cię.

— To takie cudowne uczucie, trzymać w rękach szklany labirynt. — Maya obróciła karafkę w dłoniach. — Wydawał się o wiele bardziej rzeczywisty, gdy był wirtualny — powiedziała, oddając naczynie Novákowi.

Novák przyjrzał mu się obojętnie. Trzymał je w lewej ręce, prawa przypominała zestaw gumowych szczypiec w kształcie rękawiczki.

— Cóż, to bardzo stare dzieło. Nieważny kształt kulturowego strychu. Ach, kształt strychu. — I Novák zaczął recytować po czesku: „Stworzony przez marmurowych mężczyzn i marmurowe kobiety, i gałęzie lasu, i chwasty skruszone pod stopami. Ty cichy kształcie. Dla naszych umysłów niepojęty jak wieczność. Ty poemacie z lodu! Gdy starość zabije to pokolenie, pozostaniesz wśród problemów innych ludzi. Przyjacielu ludzkości, mówisz nam:»piękno to prawda, a prawda to piękno«. Nie wiemy nic więcej i nie musimy wiedzieć nic więcej".

— Czy była to poezja?

— Stary angielski wiersz.

— Więc dlaczego nie zacytował go pan po angielsku?

— W angielskim nie ma miejsca na poezję. Kiedy język ten został rozciągnięty jak siatka, tak że objął całą ziemię, poezja wypadła z niego przez dziurę.

Maya zastanowiła się nad znaczeniem jego słów. To, co powiedział, brzmiało bardzo prawdopodobnie i wiele wyjaśniało.

— Czy wiersz ten nadal brzmi dobrze po czesku?

— Czeski to bardzo przestarzała platforma — stwierdził Novák. Wstał, rozciągnął ramię, jakby zrobione było z plasteliny, i odłożył nim karafkę na miejsce.

— Kiedy wyjeżdżamy do Rzymu? — spytała Maya.

— Rano. Wcześnie rano.

— Czy mogę posiedzieć tu, czekając na pana?

— Jeśli obiecasz zgasić świece — powiedział Novák i poszedł na piętro. Po dziesięciu minutach jego ramię zeskoczyło po schodach i zgrabnie odłożyło się na miejsce.

* * *

Rano wyjechali do Rzymu. Pani Nováková spakowała mężowi gigantyczną torbę na ramię. Novák nie pofatygował się zabrać swej sztucznej ręki.

Maya włożyła plecak. Dzielnie zaproponowała, że poniesie torbę

Nováka. Novák podał ją jej natychmiast. Torba ważyła chyba z pół tony.

Następnie Novák wstał z wielką niechęcią, otworzył drzwi domu z głębokim wahaniem, zrobił trzy krótkie kroki po wiekowym chodniku i wsiadł do bardzo nowoczesnej, bardzo błyszczącej limuzyny. Maya włożyła torbę i plecak do bagażnika, po czym też wsiadła do limuzyny, która ruszyła natychmiast, bardzo cicho i bardzo sprawnie.

— Dlaczego pańska żona nie jedzie z nami do Rzymu? — spytała.

— Och, to wyjazd w interesach, będzie przeraźliwie męczący, ale jest, niestety, absolutnie obowiązkowy. Takie rzeczy ją nudzą.

— Od jak dawna jesteście małżeństwem?

— Od 1994 roku. — Novák chrząknął. — Teraz tylko z nazwy jest to małżeństwo. Żyjemy jak brat i siostra. — Pogładził się po brodzie. — Nie, to niewłaściwe określenie. Przeżyliśmy już uciążliwości różnic płci. Żyjemy jak lew z barankiem.

— Bardzo rzadko spotyka się małżeństwo trwające przez sto lat. Musicie być z niego bardzo dumni.

— Nic nie jest niemożliwe. Jeśli ludzie wybaczą sobie tę straszną wulgarność intymnego pożądania… cóż, Milena i ja, oboje jesteśmy kolekcjonerami. Nienawidzimy wyrzucać rzeczy.

Novák sięgnął swą jedną ręką do kołnierzyka i wyjął netlink. Wystukał adres sieciowy.

— Halo? — warknął. — Och, *voice mail,* co? — Przeszedł na czeski. Mówił gniewnie. — Nadal mnie unikasz? No więc posłuchaj, co mam ci do powiedzenia, ty tępy trutniu. To niesłychane… niemożliwe… żeby wiekowy inwalida bez prawego ramienia, zapomniany przez świat i ludzi, pozbawiony pracowni i jakiejkolwiek profesjonalnej pomocy, osiągnął obrót trzydziestu tysięcy marek rocznie! Zwłaszcza w 2059, roku bardzo ubogim w zlecenia. I co to za niepotrzebna gadka o prolongacie z dziewięćdziesiątego drugiego? Nadal domagacie się opóźnionych wpłat? I karnych odsetek? Po tym, jak nas wykrwawiliście na śmierć? Napastujecie Honorowego Artystę Republiki Czeskiej? Pięciokrotnego laureata Nagrody Rady Miasta Pragi? Rzuconego na kolana waszymi szalonymi prześladowaniami? To przecież jawny skandal! Uważaj, bo nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, ty oślizgły gadzie. Przerwał połączenie.

— Powtarzasz im to samo w kółko i w kółko — użalił się nad sobą. — Zbierasz poświadczenia, piszesz podania, kolekcjonujesz dokumenty, całe lata prawniczej korespondencji, i co? Och, przecież nie ma w nich za grosz sensu. Są zupełnie jak roboty Capka. — Potrząsnął głową i uśmiechnął się ponuro. — No, nie martwmy się. Jestem cierpliwy, jeszcze ich przeżyję.

Na praskim pasie czekał na nich prywatny samolot, marzenie pilota, całe z bieli, złota i pawiego błękitu.

— Tylko popatrz — oburzył się Novák, stojąc u dołu składanych, perforowanych schodków. — Giancarlo powinien przysłać mi prywatnego służącego. Przecież wie, w jakim jestem fatalnym stanie.

— Ja tu jestem, Josefie, i ja będę twoją służącą. — Maya otworzyła bagażnik i zabrała ich bagaż.

— To taki światowy stwór, ten Giancarlo. Powinnaś zobaczyć jego *chateaux* w Gstaad, zostało dosłownie opanowane przez homary ze Stuttgartu. Wiesz, jeśli te maszyny kiedyś zwariują, mogą spokojnie zamordować człowieka. Podczas snu błyskawicznie przeciąć mu gardło szczypcami. — Novák odsunął się, a Maya wciągnęła ciężki bagaż do samolotu. Potem rześko wbiegł po schodkach.

W środku nie było strąków. Maya zatrzymała się, zadziwiona. Novák przykucnął tam gdzie stal i w tym momencie z błyskawiczną szybkością, w całkowitej ciszy wyskoczył pod niego fotel. Podłoga samolotu przypominała delikatny włoski marmur, lecz stając wobec wypiętego ludzkiego tyłka, powoływała pod niego przezroczysty hermetyczny fotel jak naddźwiękowy bąbel. Maya usiadła w przypadkowym miejscu i natychmiast pojawił się pod nią fotel, powstrzymując upadek.

— Jaki piękny samolot — ucieszyła się Maya, klepiąc sprężyste ramię fotela.

— Bardzo pani dziękuję za komplement — powiedział samolot. — Jesteśmy gotowi do startu?

— Prawdopodobnie tak — burknął Novák.

Długie delikatne skrzydła wpadły w cichą wibrację o bardzo wysokiej częstotliwości. Samolot uniósł się w powietrze pionowo.

Novák wyglądał przez okno w skupionym milczeniu, póki jego ukochana Praga nie zniknęła całkowicie z pola widzenia. Potem zwrócił się do Mayi:

— Jesteś modelką? Musisz być — powiedział.

— Bywam.

— Pracujesz dla agencji?

— Nie. Nigdy nie pracowałam za prawdziwe pieniądze. — Maya umilkła na chwilę. — Właściwie to wolę nie pracować za pieniądze — przyznała. — Ale, jeśli chcesz, mogę być modelką dla ciebie.

— Umiałabyś pokazać ubranie? Wiesz, jak należy chodzić po wybiegu?

— Widziałam, jak chodzą modelki… nie, nie wiem.

— Więc cię nauczę — powiedział Novák. — Popatrz, jak stawiam stopy.

Wstali i fotele zniknęły natychmiast, niczym pękające bezdźwięcznie balony. Bez nich nie brakowało im koniecznej do nauki przestrzeni.

* * *

W 2065 roku papież Innocenty XIV jako pierwszy z papieży poddał się procedurze przedłużenia życia. Jaki dokładnie zabieg zastosowano, pozostało tajemnicą, co stanowiło rzadki i bardzo dyplomatyczny wyjątek od zwyczajowej polityki ujawniania wszelkich danych medycznych. Decyzja papieża, będąca poważnym pogwałceniem wyroków Bożych — Bóg w końcu wyznacza każdemu człowiekowi właściwy dla niego okres życia — wraz z wyzwaniem rzuconym normalnemu cyklowi sukcesji, spowodowała poważny kryzys w Kościele.

Kolegium Kardynalskie obradujące nad skutkami podjętych przez papieża działań, doświadczyło cudu zstąpienia Ducha Świętego. Szaleńcza duchowa egzaltacja, ekstatyczne tańce i gadanie we wszystkich językach ziemi sceptycy, uznali za indukowaną chemicznie halucynację, ci jednak, którzy bezpośrednio doświadczyli żaru świętego płomienia, nie mieli wątpliwości co do jego cudownej istoty. Kościołowi wielokrotnie udawało się przetrwać złośliwe spekulacje sceptyków.

Boska interwencja przyspieszyła proces formalnej akceptacji części praktyk posthumanizacyjnych. Kościół rekomendował teraz swą własną, przystosowaną serię technik przedłużania życia. Aprobowane przezeń procedury, udzielanie komunii współczesnymi entheogenicznymi nalewkami oraz stosowanie niektórych dyscyplin duchowych nazwano „Nową Emulacją Chrystusa”.

Pokorny i metabolicznie niezmordowany Ojciec Święty ze swą siwą (a właściwie na pół teraz czarną) brodą stał się prawdziwym zwornikiem i ikoną europejskiej współczesności. Wielu uważało niegdyś Innocentego za prostego karierowicza, pogodnego grabarza umierającej wiary, lecz po zstąpieniu świętego płomienia jasne stało się jednak dla wszystkich, że odrodzony papież posiada cechy nadczłowieka. Jego zdumiewająca elokwencja, szczerość i okazywana wielokrotnie dobra wola wstrząsnęły nawet największymi cynikami.

Podczas gdy chemicznie odmieniony Kościół odwojowywał grunt, stracony od czasów oryginalnego chrześcijaństwa, wikariusz Chrystusa począł dokonywać cudów nie widywanych od czasów apostołów. Papież leczył kulawych i kalekich słowem oraz dotykiem. Wyganiał szatana z umysłów chorych umysłowo. Skutki tej kuracji czasem okazywały się nawet trwałe.

Umiał także prorokować, ze szczegółami i dość trafnie. Wielu wierzyło, że papież potrafi czytać w umysłach ludzi. W te jego paranormalne zdolności wierzyli nie tylko łatwowierni katolicy, lecz także dyplomaci i mężowie stanu, naukowcy i prawnicy. Niesłychana

papieska zdolność docierania do dusz bliźnich manifestowała się często na scenie politycznej. Twardzi dyktatorzy i profesjonalni kryminaliści, odbywający prywatne audiencje, wychodzili z nich często zdruzgotani, wyznając światu swe grzechy i obiecując poprawę w paroksyzmach autentycznego żalu.

Papież Innocenty rozdawał mienie ubogim, dawał domy bezdomnym, zawstydzał niepoprawne rządy i zmuszał je do zmiany polityki na bardziej humanitarną. Fundował wielkie szpitale i zakony uczące, biblioteki, netsity, muzea i uniwersytety. Po Europie rozsiał gęsto schroniska i inne udogodnienia, przeznaczone dla żebraków i pielgrzymów. Przebudował Watykan; stare katedry i kościoły świata zmieniał w ekstatyczne centra nowej chrześcijańskiej duchowości, wibrujące wręcz od zdumiewających niebiańskich wirtualności współczesnej mszy świętej. Był z pewnością największym papieżem XXI wieku, prawdopodobnie największym papieżem ostatnich dziesięciu stuleci, a być może największym papieżem w ogóle. Ogłoszenie go świętym wydawało się pewne, pod warunkiem oczywiście, że udałoby mu się znaleźć czas i okazję by umrzeć.

W Rzymie Maya trafiła na potworny wręcz bałagan. Poprzedniego dnia zdarzył się tu cud. Entheogeny sprawiły oczywiście, że cuda stały się czymś mniej więcej zwyczajnym, okoliczności musiały więc być rzeczywiście wyjątkowe, by jakiś supernadnaturalny byt zwrócił na siebie czyjąkolwiek uwagę. Wczorajszy cud podniósł jednak stawkę w pokerze cudów: Najświętsza Panna Maria objawiła się dwójce dzieci, psu oraz Publicznemu Punktowi Teleprezencji.

Dzieci normalnie nie biorą entheogenów. Nawet postpsie psy z rzadka tylko doświadczają duchowych objawień. Natomiast nagrania z Publicznych Punktów Teleprezencji uchodziły za niemożliwe do podrobienia, a już z całą pewnością nie powinny ukazywać świetlistych płacht jak powłoczki na poduszki, polatujących nad Viale Guglielmo Marconi.

Rzymianom cuda nie imponowały. Urodzonych Rzymian rzadko obchodzi to, co dzieje się w Watykanie. Niemniej jednak, wierni z całego świata przybyli do Świętego Miasta by się modlić, pokutować, szukać relikwi i radować obecnością środków masowego przekazu. Ruch uliczny — autobusy, rowery, przyczepy, święte grupy turystów we franciszkańskich habitach braci mniejszych — był gęsty, hałaśliwy, nieprawdopodobny, radosny, i nie poddawał się żadnym próbom opanowania swego szaleństwa; innymi słowy był prawdziwie włoski. W dodatku padał deszcz.

Maya z zainteresowaniem wyglądała przez zalane deszczem okna ich kolejnej limuzyny.

— Josef — spytała — jesteś religijny?

— Istnieje tu wiele światów. Na przykład świat, w którym widzi

się w ciemności — powiedział Novák, stukając się w pomarszczone czoło. — Jest tu świat materialny, świat oświetlony słońcem. A także wirtualność, nasza współczesna niematerialność, udająca, że istnieje. Religia jest rodzajem wirtualności. Bardzo starym.

— Ale czy ty wierzysz?

— Wierzę w bardzo niewiele bardzo skromnych rzeczy. Wierzę, że jeśli weźmie się przedmiot, jeśli przez światło powoła się go do życia, i jeśli tę percepcję życia umieści się w wirtualnoáci, osiąga się to, co ludzie nazywają „liryzmem". Niektórzy ludzie odczuwają wielką, irracjonalną potrzebę religii. Ja odczuwam wielką irracjonalną potrzebę liryki. Nic nie potrafię na to poradzić i nie jestem zainteresowany prowadzeniem dyskusji na ten temat. Nie zaczepiam więc wierzących, a oni nie zaczepiają mnie.

— Ale przecież dziś musi tu być z pół miliona ludzi! A wszystko z powodu psa, dwójki dzieciaków i komputera! Co o tym myślisz?

— Myślę, że Giancarlo będzie wściekły, bo przestał być główną atrakcją.

Limuzyna, walcząc dzielnie z rzymskim ruchem ulicznym, zawiozła ich do hotelu, w którym, oczywiście, zarezerwowano więcej miejsc niż ich rzeczywiście było. Novák wdał się w gwałtowny, wielojęzyczny pojedynek z *consierge,* zdobywając im, ku strasznemu zmieszaniu wszystkich obecnych w holu, odrębne pokoje. Maya wykąpała się i odesłała ubrania.

Kiedy jej ubrania wróciły, wraz z nimi przybyła też suknia wieczorowa. Novák miał wzruszająco staroświecki pogląd na formalne stroje kobiece, suknia była jednak świeżo urzeczywistniona i najwyraźniej doskonale pasowała na Mayę. Oddawało to należytą sprawiedliwość fotograficznemu oku starego człowieka.

Giancarlo Vietti, mistrz stylista Emporio Vietti, prezentował swą siedemdziesiątą piąta kolekcję wiosenną. Wydarzenie tej rangi domagało się właściwej oprawy, Vietti wynajął więc Amfiteatr Kio, kolosa całego w łukach, doskonale podrobionego, wybudowanego przez ekscentrycznego japońskiego miliardera po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło rzymską dzielnicę Flaminio.

Zatrzymali się przed dekoracyjną kolumnadą Kio. Wysiadając z taksówki, wkroczyli wprost w kłębiący się na chodniku tłum wyspexowanych rzymskich paparazzi. Novák nie był w Rzymie szczególnie dobrze znany, z jednym ramieniem wyróżniał się jednak z grona gości. Ignorował oblegających go paparazzi z godnością, lecz bardzo powoli.

Weszli na górę po schodach. Novák wściekłym wzrokiem obrzucił monumentalną fasadę ze sztucznego marmuru.

— Mamy tu żywy dowód na to, że zasoby przeszłości są jednak ograniczone — burknął. — Z dwojga złego lepiej już naśladować

Indianapolis, niż próbować przebić Mussoliniego na faszyzm, i to w tanich materiałach.

Maya za to, ku swemu zaskoczeniu, podziwiała budynek. Brakowało mu wprawdzie autentyczności kamiennego gruzu, właściwej dla wielu rzeczywistych rzymskich ruin, wydawał się jednak transcendentalnie wręcz funkcjonalny i miał ten nie narzucający się wdzięk, jaki cechuje, na przykład, dobrze zaprojektowane fotokopiarki.

Weszli do środka, wlogowali się i stwierdzili, że wpadli oto w towarzystwo trzystu osób przygotowujących się do uczty, otoczonych chmarą krabów.

Iluż było tu starych ludzi! Mayę uderzyła otaczająca ich aura, właściwa wielkim korporacjom, aura monumentalnej powagi, oraz to, że cały ów tonaż rozplotkowanych, doskonale wypielęgnowanych i wspaniale ustrojonych cielsk był o wiele starszy niż budynek, w którym się znajdowały.

Znalazła się w obliczu górnej warstwy Europy. Ludzie ci pobili czas i podporządkowali go sobie, a teraz sprawiali wrażenie takie, jakby dzięki swym jasnowidzącym, przykrytym spexami oczom mogli patrzeć przez skały. Weterani europejskiego świata mody wyciągnęli esencję z nuworyszowskiej krótkiej chwili chwały, zatrzymali ją i otoczyli się nią jak całunem. Byli wspaniali, niczym malowidła w grobowcach egipskich faraonów.

Novák nasunął spexy na oczy, po czym ruszył wprost ku swemu miejscu, prowadzony socjalną linią prowadzącą, rzuconą na soczewki. Wraz z Mayą znalazł miejsce przy małym okrągłym stoliku zastawionym srebrem, nakrytym kremowym lnem, otoczonym wyścielanymi stołkami.

— Dobry wieczór, Josefie — powiedział siedzący naprzeciw nich mężczyzna.

— Cześć, Daizaburo, stary przyjacielu. Dawno się nie widzieliśmy.

Daizaburo przyglądał się Mayi znad krawędzi swych wyrafinowanych spexów z beznamiętnym, chłodnym zainteresowaniem entomologa.

— Jest śliczna. Skąd do diabła wyciągnąłeś tę suknię?

— To pierwszy oryginał Viettiego, który fotografowałem — wyjaśnił Novák.

— Zdumiewa mnie, że ten szczególny Vietti jest jeszcze w aktach.

— Giancarlo być może wymazał go ze swoich. Moje mają wielką pojemność.

— Giancarlo był wówczas taki młody — powiedział Daizaburo. — Juvenilia doskonale służą twej przyjaciółeczce. Zamówiliśmy wodę. Chcecie wodę?

— Czemu nie? — odpowiedział Novák.

Daizaburo gestem przywołał kraba. Krab zaczął coś mówić po japońsku.

— Proszę po angielsku — przerwał mu Daizaburo.

— Proponuję antarktyczną wodę lodowcową — powiedział krab. — Głębinową, z pokładów pleistocenu. Całkowicie pozbawioną zanieczyszczeń, nienaruszoną od świtu ludzkości. Najczystszą.

— Cóż za urocza próżność — stwierdził Novák. — Cały Vietti.

— Mamy także wodę księżycową. Posiada bardzo interesujące właściwości izotopowe.

— Piłaś kiedyś wodę z księżyca, kochanie? — spytał Mayę Novák.

Maya potrząsnęła głową.

— Więc napijemy się wody księżycowej.

Inny krab pojawił się, niosąc zamkniętą próżniowo fiolkę. Otworzył ją i do kieliszków koniakowych wrzucił dwie eleganckie kostki parującego niebieskiego lodu.

— Woda to doskonała towarzyska przyjemność — powiedział Daizaburo, kiedy kraby oddaliły się, by obsłużyć innych gości. — Nie możemy dzielić brutalnego aktu konsumpcji płynu, ale z pewnością możemy dzielić nieopisaną przyjemność obserwacji roztapiającego się lodu.

Siedząca przy ich maleńkim stoliku kobieta pochyliła się. Mała, skurczona i niemal bezwłosa, miała na głowie ogromny czarny kapelusz. Jej pochodzenia nie sposób było określić.

— Przybyła na komecie z krańców wszechświata — wysepleniła energicznie. — Zamarzła sześć miliardów lat temu. Aż do tej chwili nie znała ciepła życia.

Novák podniósł kieliszek. Zakręcił wodę; jego poorana zmarszczkami chłopska twarz płonęła niecierpliwym oczekiwaniem.

— Zaskakuje mnie fakt, że na Księżycu pozostało wystarczająco wielu lunarian, by wydobywać lód — powiedział.

— Ocalało ich siedemnastu. Jaka szkoda, że wszyscy nienawidzą wszystkich. — Daizaburo wykrzywił wargi w krótkim, twardym uśmiechu.

— Kosmiczni wizjonerzy, kosmiczni buntownicy. — Novák uważnie powąchał zawartość kieliszka. — Biedacy, poznali egzystencjalne trudności życia pozbawionego tradycji.

Maya przyjrzała się ludziom siedzącym przy sąsiednich małych stolikach i nagle światło wiedzy zapłonęło jej w głowie, niczym lampa za przyciśnięciem włącznika. W myśli rozpoczęła katalogowanie kuracji. Wszyscy ci starzy ludzie, wszystkie te stare techniki. Usuwanie zmarszczek, środki na porost włosów, przeszczepy skóry. Filtracja krwi. Syntetyczna limfa. Czynniki rozrostu mięśni i nerwów. Przyspieszenie mejozy. Międzykomórkowa Enzymacja Antyutleniaczowa — odmładzający wywar czarownic: argininy,

ornityny i cysteiny, kwasu glutaminowego i katalazy. Laminacja Jelitowych Villi (LJV). Poprawka Odczuwania Cyklu Dobowego (POCD). Augmentacja kości. Ceramiczna Protetyka Stawów. Przystosowane aminoguanidiny. Przystosowane dehydroepiandrosterony. Systematyka Przeprogramowanej Autoimmunologi (SPA). Czyszczenie Atherosklerotyczne Mikroorganizmami (CAM). Nueroglio-neuralna Defibrylizacja Rozproszeniowa (NNDR). Szerokozakresowe Kinetycznie Przyspieszenie Metaboliczne (SKPM). Wszystkie te techniki były stare. Dopiero późniejsze zabiegi nabrały rozmachu.

W sali rozległ się dźwięk gongu z brązu. Trzystu gości jednocześnie wstało od małych stolików, trzystu gości przeszło, przetoczyło się, przepełzło i zaangażowało w ogromną i wyjątkowo dobrze zorganizowaną grę w komórki do wynajęcia. Nie było w niej napięcia, nie było bałaganu. Kiedy gra się skończyła, każdy z gości znalazł się w intymnym towarzystwie nowych przyjaciół, jawnie okazując zachwyt ich spotkaniem. Krzątające się wokół roboty przyniosły wszystkim nowe sztućce. Podano zupę.

Nowi ludzie przy ich stole — Josef sprawiał wrażenie, że zna ich doskonale, być może jednak nadawali po prostu swe biografie przez spexy — mówili po niemiecku. Maya ustawiła tłumacza na czeski i angielski. Mogłaby oczywiście włożyć do niego diamentowe jajko z niemieckim, ale ostatnio, jeśli tylko poprawiała coś przy naszyjniku, z monotonną regularnością przestawał on działać i rugał ją za niedokonanie wpłaty.

Wstydziła się tu swego naszyjnika. Na odsłoniętym dekolcie tanie złoto i diamenty błyszczały niczym żyła radioaktywnych zanieczyszczeń na zboczu góry. Na niemiecki pozostała głucha, nie mówiła nic, lecz to, że nie udzielała się w konwersacji, nikogo nie obeszło w najmniejszym nawet stopniu. Była młoda, nie miała więc nic do powiedzenia.

Roboty zabrały zupę, dając tym samym sygnał do kolejnej skomplikowanej zmiany miejsc. Podano wizualnie perfekcyjne, całkowicie pozbawione smaku i wyjątkowo wręcz lekkostrawne *cannelloni*. Niektórzy goście jedli je, inni pokonali po ciężkiej walce. Kolejne przemieszczenie, i w nowym towarzystwie Maya i Josef zjedli cudownie ukształtowane oraz całkowicie pozbawione smaku maleńkie *gnocchi*. I znów ruch, tym razem po lśniące, pofałdowane trójkąty odwonnionej substancji, przypominającej nieco ser. I znów, po wydłużone, stożkowane *dolce*. Ucztę przygotowano z głębokim namysłem — żadne z dań nie stawiało poważniejszych wymagań zębom.

Następnie goście przenieśli się do mrocznej lecz wspaniałej sali teatralnej Kio. Tu i tam stały przy ścianach budki, bardzo śmiałe

budki, wyglądające niemal tak, jakby coś w nich reklamowano. To naruszenie zasad służyło wyłącznie zareklamowaniu śmiałości Viettiego, *haute couture* nie wymaga bowiem prostych zabiegów handlowych. Prawdziwe *haute couture,* poszukiwanie doskonałości w stroju, wymaga głównie cierpliwości, a w dzisiejszych czasach śmietanka towarzyska dysponuje doprawdy niewyczerpanymi zasobami cierpliwości. *Couture* była grą o prestiż, wspomagające ją pieniądze pochodziły zaś w części od bogatych, przede wszystkim jednak z licencji na spexware, perfumy, środki kąpielowe, z prywatnych uzdrowisk i kosmetyków z dodatkami medycznymi. Był to arsenał własności intelektualnej projektanta, który tworzył nie tyle nowe kreacje, co nowy styl życia.

Tu przynajmniej, co szczęśliwsi goście, wyselekcjonowani z tłumu obolałego od ascetycznych stołków, znaleźli wygodne fotele. Towarzystwo natychmiast rozbiło się na rzędy konkurujących ze sobą subklas; walka szła o kolatorskie ławki najbliższe ołtarza. Przeróżni Indonezyjczycy, Japończycy oraz Amerykanie — politycy i finansiści, uważani za pawie nowej arystokracji — usiedli w pierwszym rzędzie, rozpaczliwie usiłując zaimponować sobie nawzajem. Za nimi znalazły się warstwy wydawców sieciowych, agentów wielkich magazynów, fotografów, aktorów i aktorek, milionerów powszednich i szklarniowych, a także *hommes* i *femmes du monde.*

Foteli nie wystarczyło dla wszystkich — było to przeoczenie zamierzone, o bardzo długiej tradycji. Novák zabrał Mayę za scenę; po drodze musieli przebić się przez ruchliwy tłum ludzi z towarzystwa, młodszych projektantów i pomniejszych sław.

Za sceną roiło się od europejskich bocianów, afrykańskich ptaków-sekretarzy i amerykańskich czapli. Wszystkie te długie i poważne, opierzone dwunogi czekały swej kolejki z imponującą skupioną godnością, zręcznie unikając zderzeń z rozpędzonymi ludźmi.

Legendarny projektant stał w tłumie zagadanych i wyjątkowo dobrze umotywowanych pracowników. Vietti miał na sobie ucieleśnienie swej własnej wizji o stroju roboczym: czarny, nieco kosmaty, posiadający mnóstwo kieszeni, obcisły kombinezon, do którego najlepiej pasowałby akwalung. Przebieg zdarzeń śledził za pomocą tęczowej pary zamocowanych na przegubach, drżących monitorów wachlarzowych.

— Josef, jak to milo, że przyjechałeś — powiedział po angielsku. Był mężczyzną wysokim, szerokim w ramionach, o kwadratowej szczęce; on jedyny nie poniżył się do tego stopnia, by na imprezę założyć spexy. Przeżył wiele lat, doświadczył wielu cierpień; lata i cierpienia obdarowały go nieco przerażającą i mocno naruszoną zębem czasu godnością, dzięki której przypominał rzymskie

Colosseum, choć w rzeczywistości wcale nie był Rzymianinem, tylko Mediolańczykiem.

Zerknął na Mayę z tą samą roztargnioną przyjemnością, z jaką spoglądał na swe bociany. Nagle jego spłowiale, niebieskie oczy rozszerzyły się wyraźnie. Nieoczekiwanie ujawnił w uśmiechu rząd błyszczących ceramicznych zębów.

— Och, Josefie, jaka ona śliczna! Ty łotrze, doprawdy, nie powinieneś mi tego robić!

— A więc pamiętasz?

— Myślałeś, że zapomniałem swą pierwsza kolekcję? Byłoby to, jak zapomnieć pierwszy raz, kiedy znalazłeś się pod nożem. — Bardzo zaintrygowany, Vietti zerknął na Mayę. — Gdzie ją znalazłeś?

— To moja nowa uczennica.

Palcem w czarnej rękawiczce Vietti delikatnie przesunął po szczęce Mayi. Pociągnął raz za zwisające z peruki pasmo włosów, szybkim gestem poprawił ramiączko sukni. Roześmiał się z zachwytem.

Po jakichś dziesięciu sekundach serdecznego śmiechu, na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy, spod kombinezonu rozległo się zaś dziwne gulgotanie. Vietti przyłożył dłoń do brzucha, skrzywił się i zaczął wiercić w kombinezonie, poprawiając pozycję ciała wiszącego na haczykach systemu podtrzymywania życia. Następnie spojrzał na jeden z ekranów wachlarzowych i na jego membranie naszkicował coś czubkiem palca wskazującego.

— Wypuścimy ją dziś na wybieg — powiedział. — Pokazy w Rzymie są zawsze tak strasznie chaotyczne. I, doprawdy, jest to bardzo śliczna rzecz.

— Nie wolno ci tego zrobić, Giancarlo. Ta suknia jest z plastyku, to tania kopia.

— Wiem, że ubrałeś ją tak, żeby sobie ze mnie zakpić. Teraz możemy to naprawić. Czy ona umie chodzić?

— Trochę.

— Jest bardzo młoda, wybaczą jej, jeśli nie umie chodzić. — Vietti spojrzał na Mayę z nadzieją. — Jak się nazywasz? — spytał.

— Maya.

— Mała Mayu, mam tutaj bardzo kompetentny personel. Pozwól, że oddam cię w jego ręce. Czy zdołasz przejść przed wszystkimi tymi ważnymi ludźmi? Są potwornie starzy, wszyscy mają te głupie spexy i o wiele za dużo pieniędzy. — Vietti puścił do niej oczko, żałosna pretensja koleżeństwa ponad potwornie głęboką przepaścią czasu.

— Jasne, że tak — odparła pewna siebie, szczęśliwa Maya.

Vietti spojrzał Novákowi prosto w oczy, spojrzeniem czystym i szczerym.

— Josefie, zrób dla mnie kilka zdjęć. Do mojego kącika na sieci.

— Och, nie mogę. Nie mam przy sobie odpowiedniego sprzętu.

— Josefie, w imię dawnych czasów. Możesz wziąć sprzęt Madrackiego, to pozer, to idiota i w ogóle jest mi winien przysługę.

— Wyszedłem z wprawy, jeśli chodzi o modę. Naprawdę, samo zdjęcie skorupki jajka, pajęczyny, wymaga dziś ode mnie tyle…

— Doprawdy, mnie nie musisz kokietować. Nie po tym, jak ją w to ubrałeś. Twarz ma straszną, to prawda, to makijaż dla małej dziewczynki, żywy kicz młodzieży, ale twarzą już my się zajmiemy. I ta okropna peruka… ale dziewczyna jest taka seksowna, Josefie! W latach dwudziestych wszyscy byli tacy seksowni. Nawet ja byłem wówczas seksowny. — Vietti westchnął nostalgicznie. — Pamiętasz, jaki byłem seksowny?

— Kiedy człowiek jest młody, nawet księżyc i gwiazdy wydają mu się seksowne.

— Och, ale w latach dwudziestych ludzie umierali tak młodo, że wszyscy byli wówczas seksowni, wszystko zawsze było takie seksowne. W latach dwudziestych nawet AIDS było seksowne. W tej kolekcji nie mam ani jednej seksownej rzeczy, twoja dziewczyna może być moją seksowną rzeczą na dziś, będzie fajna zabawa. — Vietti złożył ekrany wachlarzowe i klasnął w dłonie. — Barbaro! — krzyknął.

— Masz wielkie szczęście — szepnął Novák do Mayi. — On chce cię lubić. Nie rozczaruj nas.

— Nie zapłaci mi, prawda? — spytała Maya, również szeptem. — Zrobię to, ale pod warunkiem, że mi nie zapłaci.

— Już ja tego dopilnuję — zapewnił ją Novák. — Bądź dzielna.

Barbara była starszą asystentką Viettiego. Miała akcent wprost z londyńskiego West Endu oraz szeroką twarz i kręcone czarne włosy Hinduski z zachodnich Indii, a także malarską brzoskwiniowobiałą cerę prerafaelickiej dziewczyny, która zeszła wprost z obrazu. Była trzeźwa, skuteczna w działaniu oraz ubrana tak pięknie, jak dyplomata na topie.

Barbara miała osiemdziesiąt lat.

Zabrała Mayę do pracowni kosmetycznej, pełnej mężczyzn, modeli. Mniej więcej dziesięciu oszałamiająco przystojnych chłopców, wszyscy niekompletnie ubrani, siedziało przed oświetlonymi jaskrawym światłem wideolustrami, napinając i rozluźniając mięśnie dwugłowe, trójgłowe i czterogłowe, i metodycznie się upiększając.

— To Philippe, już on o ciebie zadba — powiedziała Barbara, sadzając Mayę w czerwonym fotelu z wysokim oparciem, przy którym stał wizażysta. Phillipe był niewysokim człowieczkiem o wąskich, zaciśniętych ustach i wybrylantynowanych jasnych włosach, wyposażonym w ogromne spexy. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na nową klientkę by z przerażeniem wycharczał: „Och, nie!”, i posłał po

pałeczki, krem oczyszczający, przylepne ręczniczki, zasilane szczotki, oraz postawił fryzjera w stan gotowości bojowej.

Dwaj siedzący najbliżej modele prowadzili towarzyską rozmowę.

— Widziałeś dziś Tomiego? Rozrósł się. Naprawdę się rozrósł.

— Wszystko przez wnuka. To znaczy, dziecko można jeszcze jakoś znieść, ale kiedy dziecko ma dziecko, to już nie wiem.

— A jak twój nowy dom, Brandonie?

— Na razie nieźle, ale nie powinniśmy wkopywać się tak głęboko na terenie sejsmicznym. Aż drżę ze strachu.

— No nie, teraz już się urządziliście, teraz możecie zamknąć się z Bobbym, ustawić hermetyczną zaporę przeciw zarazkom i żyć tam, głęboko, słodko i dyskretnie, doprawdy, aż zzieleniałem z zazdrości. — Model przyjrzał się sobie w lustrze. Na ekranie widział swą twarz bez przekształcenia prawo-lewo. — A powieki? Są w porządku?

— Znowu je przycinałeś?

— Nie, tym razem to coś nowego.

— Adrianie, twoje powieki nigdy nie wyglądały lepiej. Naprawdę.

— Dzięki. Mówiłem ci, że wstąpiłem do armii?

— Chyba żartujesz? — Brandon bez najmniejszego wysiłku złożył się w scyzoryk, opierając rozpostarte dłonie płasko na podłodze. Stanął na głowie, po czym metodycznie zaczął unosić się i opadać na rękach. Muskularne nogi, z wyprostowanymi stopami celującymi w górę jak przy skoku z trampoliny, wyglądały solidnie niczym odlane w brązie.

— Cóż — powiedział Adrian — moje kuracje idą w górę, a pomoc obywatelska, cóż, to banda cholernych kapusiów, prawda? Armia to co innego! Chodzi mi o to, że we współczesnym społeczeństwie musi być jakaś prawdziwa władza, serio mówię. Gdzieś, poza tymi wszystkimi cywilnymi dziwkami, muszą istnieć poważni faceci gotowi spisywać nazwiska i kopać w dupy. *Capisci?*

Brandon ze stójki wykonał bez wysiłku salto w tył. W lustrze obejrzał swój brzuch jak tarka, zmarszczył brwi i znalazł reaktywny gorset.

— Na ile się zaciągnąłeś? — spytał.

— Pięć lat.

— Żaden problem, pięć lat odbębnisz, stojąc na głowie. — Brandon poprawił gorset. Gorset zacisnął się na nim i zapiął z głośnym poświstem. — Przeszedłeś badania lekarskie i w ogóle?

— Jasne. Pokochali mnie od pierwszego wejrzenia. Zostałem zakwalifikowany do korpusu oficerskiego.

— Nie mieli pretensji do prostaty?

— Jakiej prostaty? Prostata jest wspaniała, prostatę mam jak nową, twardą i w ogóle. Na weekendy jeżdżę do bazy straży w

Kairze. — Adrian przerwał nagle. — Philippe, co ty wyprawiasz z brwiami tej biednej dziewczynki?

— Wszystko przez ten pośpiech — poskarżył się Philippe.

— Przecież to strój z epoki! Powinieneś zrobić dziewczynce brwi z epoki, na lata dwudzieste. Nie możesz wydepilować jej na jakąś szaloną dziwkę, musi wyglądać niewinnie. — Poklepał Mayę po ramieniu, niczym ojciec dodający odwagi dziecku. — Do tej pory jakoś cię tu nie widziałem. Pierwszy raz pracujesz dla Giancarla?

— Tak, owszem. Pierwszy raz pracuję dla kogokolwiek.

— Och, Brandon, posłuchaj tylko, Amerykanka!

— Wy też jesteście Amerykanami?

— Jasne! — Adrian uśmiechnął się. — Europejczycy kochają typowych Amerykanów, szerokie ramiona, mięśnie jak sprężyny, głupi jak barany, ledwie umieją mówić, to czego tu nie kochać?

— I lubią nas szalenie męskich — dodał Brandon. — Za prawdziwą męskość płacą dobrze. Muszą. Utrzymanie prawdziwej męskości kosztuje fortunę. — Roześmiał się wesoło.

— Masz bardzo kwaśne pory, skarbie — oznajmił Philippe z wielką troską w głosie. — Kąpałaś się w pleśni?

— Tylko raz.

— A powinnaś. Naprawdę powinnaś kąpać się w pleśni. Mam łańcuch wzbogaconych aspergillusów, który w twoim przypadku mógłby dokonać cudów. Muszę teraz przesunąć ci linię włosów i zdepilować górną wargę. Będzie trochę bolało.

Pęsety trzaskały, szczotki warczały, kremy wsiąkały, pudry reagowały i układały się. Minęło pół godziny i wszyscy mężczyźni byli już ubrani bez zarzutu. Niektórzy z nich zaraz wychodzili na wybieg.

Philippe pokazał Mayi jej nową twarz.

Robiono jej przedtem wiele nowych twarzy, wszystkie rodzaje twarzy, dziesięciolecia twarzy. W większości przypadków były to zmiany wyłącznie kosmetyczne, przyjemne, ale w praktyce bez wartości. Niektóre były funkcjonalne, wysoce techniczne, prawdziwie odnawiające, po których twarz wydawała się odarta ze skóry, nie wykończona; twarz tego rodzaju domagała się wręcz, by pozostawiono ją samej sobie w ciepłym, ciemnym pokoju, żeby mogła dojść do siebie. Dzieło Philippe'a okazało się natomiast dziełem sztuczki. Twarz pozostała twarzą Mayi, była jednak spokojną, radosną, doskonałą twarzą Mayi. Podkręcone, delikatnie podbarwione rzęsy. Przyciemnione powieki. Brwi niczym skrzydła ptaka. Skóra zdolna zawstydzić atłas. Rozszerzone źrenice i białka oczu lśniące jak porcelana. Usta niczym płatki róż. Twarz skończona. Ludzka doskonałość.

Potem nałożono jej perukę i Maya opuściła regiony ludzkiej doskonałości dla innych, znacznie wyższych. Peruka była prawdziwie

inteligentna. Peruka mogła zeskoczyć jej z głowy niczym naddźwiękowa ośmiornica, ostrymi mackami zdolna przebić gipsową ścianę. Peruka była jednak narzędziem wielkiego domu mody, nigdy więc nie uczyniłaby niczego aż tak nietaktownego. Była po prostu wstrząsająco piękną peruką, peruką w zrównoważonym, spokojnym, bardzo przekonującym kolorze kasztanowatym, z lekkim połyskiem. Peruką tak kosztowną, luksusową i doskonale zaprojektowaną jak limuzyna.

Peruka usadowiła się jej na głowie, obejmując ją w posiadanie i wywołując wrażenie znacznie bardziej przekonujące niż naturalne włosy. Objęła Mayi szyję i opadła na ramiona, zachowując się tak, jak naturalne włosy zachowują się wyłącznie w marzeniach.

Rozległ się dźwięk gongu. Pomieszczenie opuścili ostatni modele. Ich miejsce zajęły cztery modelki, poruszające się płynnie, wysokie, smukłe, ubrane całkowicie z wyjątkiem butów. Buty przysparzały wszystkim straszliwych kłopotów, gońcy biegali tam i z powrotem, przynosząc nowe pary, a odnosząc stare. Modelki, znudzone i cierpliwe, popijały nalewki, pociągały z inhalantów i zajadały małe białe paluszki jedzenia bezkalorycznego. Pogryzały i bawiły się swymi *horse d'oeuvre;* ich niesamowite ramiona poruszały się z doskonałym, aż nieprawdopodobnym wdziękiem, od malowanych talerzy do malowanych ust.

Modelki były starymi kobietami wyglądającymi tak, jak wyglądają współczesne stare kobiety w doskonałej formie, czyli jak bezcielesne atletki, jak te niedorosłe gimnastyczki, raz na zawsze całkowicie pozbawione dziecięcej witalności. Nie widać było po nich żadnych oznak normalnego procesu starzenia się, sprawiały tylko wrażenie nieco zbyt kruchych i zbyt napiętych. Wszystkie były też poważne i czarnookie, delikatne oraz wyjątkowo silne. Wyglądały, jakby w każdej chwili mogły skoczyć przez taflę szkła, nie burząc sobie fryzury.

Miały na sobie ubrania dekoracyjne, skrojone w kształcie kolumny, pozbawione bioder oraz biustu. Na widok tych strojów człowiek zdawał sobie sprawę, jak ubranie może być piękne, imponujące, nawet kobiece, a jednocześnie niemal całkowicie aseksualne. Suknie, doskonale skrojone i wykończone, sprawiały nieco kościelne, nieco bankierskie wrażenie i wyglądem przypominały kostiumy potężnych pałacowych eunuchów w Zakazanym Mieście Manchu. Niektóre z nich ukazywały skórę — mniej więcej taką, jaką pochwalić się może pływaczka, która przed chwilą pokonała kanał La Manche.

Podstawowym elementem dekoracyjnym były pióra. Nie delikatne, nie efektowne, lecz umieszczone pod linijkę, poważnie, zachodzące jedne na drugie, jak kółka kolczugi. W nadchodzącym

sezonie wiosennym Giancarlo bardzo polegał na piórach. Właśnie drobiazgowo dokładne posługiwanie się piórami czyniło jego kreacje nieziemsko wręcz eleganckimi.

— Nie chodzi tylko o redukcję ryzyka — powiedziała po włosku siedząca najbliżej Mayi modelka. — Dają także zysk rzędu 6,5%.

— Nie jestem pewna, czy czasy są odpowiednie dla medycznych funduszy wspólnych — stwierdziła druga modelka. — A poza tym jestem katoliczką.

— Nikt nie twierdzi, że masz stosować zabiegi z listy zakazanych. Wystarczy w nie zainwestować — tłumaczyła cierpliwie pierwsza modelka. Była wspaniale, duchowo, nieskalanie piękna, wyglądała jak statystka w „Narodzinach Wenus" Boticellego. — Porozmawiaj kiedyś z którymś z watykańskich bankierów, kochanie. Potrafią być bardzo pomocni i takie sprawy załatwiają praktycznie od ręki.

Druga modelka spojrzała na Mayę, zaskoczona. Zerknęła na zegarek.

— Kiedy wychodzisz? — spytała.

Maya dotknęła naszyjnika, a potem ucha.

— Bardzo mi przykro, ale nie mówię po włosku — powiedziała.

— Twoje diamenty tak dokładnie odpowiadają poprzedniemu życiu. Kocham diamenty — stwierdziła druga modelka z sympatią, nieco niezdarną angielszczyzną. — Ale włosy… włosy nie są takie dobre. To bardzo inteligentne włosy, nie z lat dwudziestych.

— Jesteś bardzo seksowna — powiedziała uprzejmie pierwsza modelka.

— *Molte grazie* — podziękowała jej z wahaniem Maya.

— Powinno robić się więcej kreacji dla seksownych kobiet, jaka szkoda, że seksowne kobiety nie mają pieniędzy — stwierdziła pierwsza modelka. — Kiedy byłam młoda i seksowna, płacili mi tyle pieniędzy. Młodym dziewczynom jest teraz tak trudno, tak trudno sprzedawać kreacje seksy. To już zupełnie nie w porządku, ani trochę.

Pokaz nabierał tymczasem tempa, publiczność rozgrzewała się; Maya słyszała rozlegające się od czasu do czasu brawa. Przyniesiono jej kreację Viettiego, nadal ciepłą od urzeczowiacza. Pasowała co najmniej równie dobrze, jak pierwsza tania wersja, ta którą dał jej Novák, ale modyści Viettiego wcale nie uważali, że pasuje dobrze. Nagle Maya znalazła się, naga i drżąca, pod opieką dwóch mężczyzn i trzech kobiet o obojętnych spojrzeniach i sprawnych dłoniach. Cięli suknię ostrymi jak brzytwa ceramicznymi nożami i smarowali jej pokryte gęsią skórką ciało szybkoschnącym klejem. W błyskawicznym tempie wcisnęli ją, wijącą się i śliską, w suknię, na nogi zaś nałożyli jej szpilki o dwa numery za małe. Potem Mayę wypchnięto za drzwi, w tłum podenerwowanych asystentów. Czekała na swoją kolejkę, a przy niej uwijał się Philippe, dokonując ostatnich poprawek makijażu.

Kiedy nadeszła jej kolej, Maya wyszła zza kurtyny, idąc tak, jak ją nauczono. Oświetlające wybieg reflektory świeciły jasno niczym ustawione w podwójnych rzędach księżyce w pełni, ze znajdującej się za ich barierą widowni widziała więc wyłącznie lśniące spexy. oczy nocnych istot socjalnego bagna. Podkładem muzycznym był utwór pop z lat dwudziestych; Maya rozpoznała tę piosenkę, przypomniała sobie także, że sama kiedyś uważała ją za fajną. Teraz jednak staroć ten wydawał się jej zagubiony w świecie, prymitywny, niemal dziki. Podkład muzyczny do triumfalnego marszu żywych skamielin.

Ubrali ją na wspaniałą dziewczynę z lat 2020-tych. Taki żart, niewielki lecz niszczący wybuch, wysadzający w powietrze intelektualne rusztowanie jej osobowości. Okrutna prawda brzmiała bowiem tak, że w latach dwudziestych Maya rzeczywiście była młodą dziewczyną. Wprawdzie nie wspaniałą, zupełnie inną, niż sugerowała kreacja, nie podobną do niej dziś ani przez chwilę, na to zawsze zbyt była zajęta, zbyt zapracowana. Teraz, dzięki zaskakującemu stylistycznemu zwrotowi, pomściła samą siebie. Ucieszyło ją to natychmiast, lecz radość zmieszała się z nostalgią, tworząc w jej głowie baśniową jedność.

Białe światła laserów biły z aparatów fotograficznych na sali, nasilając się do oszałamiającego crescendo. Maya wręcz promieniała. Oszołomiła wszystkich. Przemykała przed ich przesłoniętymi maszynowo oczami jak nostalgiczny wir wspomnień. Była główną atrakcją, pięknością, wampem, *femme fatale.* Była utraconą miłością, poza zasięgiem śmiertelników, miłością, którą projektant ubrał na śmierć, na pogrzeb i na to, by zmartwychwstała i chodziła wśród śmiertelnych. Zmiażdżyła widzów swą skradzioną wspaniałością. Projektant ubrał ducha w mediolańską suknię i pozwolił duchowi podeptać czas.

Maya zmusiła obecnych, by ją kochali.

Przy końcu wybiegu wykonała piruet, lekko strzeliła obcasami, uśmiechnęła się szczęśliwa. Była tak wysoko nad nimi, otaczał ją księżycowy blask, a oni byli tacy mali, tacy cuchnący, tacy marni; nikt z nich nigdy nie zdoła jej dotknąć. Szła przez czas, który wydawał się nieskończony. Zdążyła zapomnieć, jak się oddycha. Czuła ucisk w całym ciele i była wręcz nieprzytomna ze zdenerwowania. Biały żuraw wyskoczył na wybieg, natychmiast zorientował się, że postąpił pochopnie i wskoczył w tłum, lądując w nim chudymi długimi nogami, wymachując jednocześnie białymi skrzydłami, Maya zatrzymała się na chwilę przed kurtyną, po czym obróciła się i posiała tłumowi całusa. W odpowiedzi flesze rozbłysły jak błyskawice szalejącej burzy.

Po wejściu za kurtynę Maya zaczęła się strasznie trząść. Znalazła wolny stołek w kącie i usiadła na nim, walcząc o oddech. Tłum nadal

bił jej brawo. Nagle muzyka zmieniła się i obok Mayi przemknęła kolejna modelka niczym anioł na rolkach.

Przy jej boku nagle pojawił się roześmiany Novák.

— Dzielna dziewczyna — powiedział. — Nie dasz się rzucić na deski, prawda?

— Nie skompromitowałam się?

— Więcej! O wiele więcej! Sprawiałaś wrażenie takiej radosnej, takiej przewrotnej, jak małe rozpieszczone dziecko. Doskonale to do ciebie pasowało. Takie było właściwe!

— Giancarlo będzie ze mnie zadowolony?

— Nie mam pojęcia. Pewnie myśli, że jesteś brzydką dziewczynką, że mocno przesadziłaś. Ale nie martw się, dzięki tobie nikt nie uzna tego wieczora za zmarnowany. — Novák zachichotał. Maya nigdy przedtem nie widziała go zadowolonego. Wyglądał jak ktoś, komu udało się wykonać trudny karambol w bilardzie za pomocą gumowego kija. — Giancarlo zmieni zdanie, kiedy usłyszy, co o tobie mówią. Pod tym względem jest bardzo cwany. Nigdy nie ocenia, póki nie zorientuje się, jak jakieś wydarzenie odebrała jego publiczność.

Z wyżyn radości, odczuwanej na wybiegu, Maya spadła ciężko w rzeczywisty świat, płaski nagle, zmordowany, zwykły i codzienny.

— Zrobiłam, co mogłam — powiedziała.

— Ależ oczywiście, kochanie, ależ oczywiście — pocieszył ją Novák. — Nie płacz, kochanie, już wszystko dobrze. Sprawiłaś nam wielką przyjemność, to było takie inne. Wynajmuje się zawodowców, bo umieją chodzić właściwie, ty zaś byłaś bardzo prawdziwa, tego nie da się kupić. — Josef wziął ją pod ramię, zaprowadził do automatu z wodą, zręcznie napełnił kubek czystą, destylowaną i podał go jej swą jedyną ręką. — Jakież to niezwykle — powiedział, jakby do siebie. — Nie potrafisz pokazać kreacji, oczywiście, bo jesteś młoda, zaledwie początkująca, ale wyglądasz wspaniale. Kiedy tak na ciebie patrzyłem, oglądałem archiwalne wideo. Widziałem Jankeskę z lat dwudziestych w za ciasnych butach, tak uroczo dumną ze swej prześlicznej sukni. Co za *déjà vu,* co za *mono no aware.* Było to wręcz niesamowite.

Maya wytarła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

— Och, jestem taka niedobra, zrujnowałam oczy, które Philippe zrobił mi z takim nakładem pracy.

— Nie, nie, nie masz się czym martwić. — Novák z namysłem podrapał się po brodzie. — Maya, zorganizujemy prawdziwą sesję zdjęciową. Ty i ja. Możemy zatrudnić Philippe'a, możemy wystawić za niego rachunek. Kiedy pracuje się dla Giancarla, dobrze jest mieć kogoś dobrego i drogiego, za którego można wystawić rachunek…

— Powinnam pójść i podziękować Giancarlowi, prawda? Naprawdę, wyświadczył mi przysługę, wypuszczając mnie na wybieg. No, bo w porównaniu z zawodowcami… zachowywali się tak

uprzejmie, wcale nie byli zazdrośni…

— To weterani. Jesteś o wiele za młoda, by ci zazdrościli. Możesz podziękować swemu przyjacielowi, Ginacarlowi, na sieci. Lepiej, żebyśmy już stąd uciekali. — Novák uśmiechnął się. — Pobiłaś ich, kochanie, pobiłaś ich jak stare chore psy! A teraz idziemy. Zawsze lepiej jest ich zostawić, kiedy czekają na bis.

— Muszę się jeszcze ubrać.

— Zostań w sukni. Możesz ją zatrzymać. Spieszyli się, więc z pewnością ją zrujnowali.

— No to przynajmniej zwrócę tę niesamowitą perukę.

— Nie zwracaj, zabierzemy ją ze sobą. W ten sposób będziemy mieli pewność, że się do nas odezwą.

Maya zdołała jednak zwrócić uwierające ją pantofle. Kiedy wyszła z garderoby, zobaczyła stojącego na korytarzu Nováka wymachującego ręką w powietrzu; wyglądał, jakby walczył ze stadem niewidzialnych muszek. Nie, nie postradał zmysłów, tylko używał menu spexa. Wzywał taksówkę.

Przeprowadził ją sprawnie za scenę, lawirując między grupkami przypadkowych kibiców Mayi. Zawodowcy wyrażali zadowolenie z niej na swój charakterystyczny, sztywny i przerażający sposób, niektórzy jednak wydawali się nawet rozbawieni. Z amfiteatru stary Czech i Maya wymknęli się tylnym wyjściem. Na dworzu było zimno, tak zimno, że oddech zmieniał się w parę. Pot na nagiej szyi i ramionach Mayi zniknął w głębinach rzymskiej nocy.

Maya zadrżała gwałtownie.

Kiedy skręcili za rogiem Kio, zauważyli ich *paparazzi.* Kilkunastu z nich rzuciło się za nimi biegiem, krzycząc po włosku. Byli to ci najmłodsi, o czym świadczył fakt, że mieli jeszcze ochotę biegać. Niektórzy trzymali we wzniesionych rękach pętle światłowodowych kabli błyskowych, oświetlając wilgotny chodnik nagłymi, jaskrawymi błyskami światła. Maya uśmiechnęła się do nich, wdzięczna za te dowody uznania. Kiedy zobaczyli, że się uśmiecha, zaczęli krzyczeć głośniej i z większym uznaniem.

— Czy ktoś z was mówi po angielsku? — spytała Maya.

Paparazzi, którzy tymczasem otoczyli ich ciasnym kręgiem i przyglądali im się przez błyszczące obiektywy aparatów fotograficznych, naradzali się przez chwilę, głośno wykrzykując coś do siebie nawzajem. Z któregoś z tylnych rzędów błyskawicznie przecisnęła, się ku nim jaka dziewczyna.

— Ja znam angielski! Naprawdę chcesz z nami porozmawiać?

— Jasne.

— To świetnie. Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, kto wykręcił ten numer.

— Co masz na myśli?

— Chodzi o to, jakim cudem dano ci tak wspaniałą szansę? — pytała dziewczyna, szarpnięciem odpinając wiszący jej przy uchu klips tłumacza. Była Amerykanką. — Sama ją wywalczyłaś?

— Nie, oczywiście że nie.

— Ach, więc z całą pewnością było to dzieło towarzyszącego ci pana? Czy on cię sponsoruje? Co cię właściwie z nim łączy? A w ogóle to kim jesteś i jak się nazywasz.

— Nazywam się Maya, a to pan Josef Novák. W naszych wzajemnych stosunkach nie ma z pewnością niczego niezgodnego z prawem.

Novák roześmiał się.

— Nie mów im tego — krzyknął. — Szalenie bym się cieszył, gdybym stał się bohaterem skandalu.

— Skąd znasz Giancarlo Viettiego? Ile masz lat? Skąd pochodzisz?

— Nic im nie mów — ostrzegł ją Novák. — Niech te biedne istoty pożywią się tajemnicą.

— Nie rób nam tego — poprosiła Mayę młoda *paparazza*. Wcisnęła jej do ręki wizytówkę. Na cienkiej karteczce widniało tylko jej imię i nazwisko wraz z adresem sieciowym. — Czy mogłabym przeprowadzić z tobą wywiad kiedyś, w przyszłości, *signorina* Maya? Skąd pochodzisz?

— A ty?

— Z Kalifornii.

— Z jakiego miasta?

— Z Bay.

Maya gapiła się na nią w milczeniu.

— Chwileczkę, chwileczkę — wykrztusiła w końcu. — Własnym oczom nie wierzę! Przecież ja ciebie znam! Jesteś Brett!

Brett roześmiała się.

— Bardzo mi przykro — powiedziała — ale to nie jest moje nazwisko.

— Oczywiście, że jest. Nazywasz się Brett, masz przyjaciela imieniem Griff i kiedyś kupiłam jedną z twoich kurtek.

— No… nie nazywam się Brett i jeśli ktokolwiek ma moją kurtkę, to z pewnością nie przebojowa modelka Giancarla Viettiego.

— Przecież ty jesteś Brett. Właścicielka grzechotnika! Co właściwie robisz tu, w Rzymie, Brett? I co zrobiłaś z włosami?

— Słuchaj, mam na imię Natalie, rozumiesz? I jak ci się wydaje, co właściwie robię tu, w Rzymie? Sterczę na zimnym chodniku przed amfiteatrem, w którym odbywa się pokaz mody, czekając na odpadki z pańskiego stołu. Taką mam pracę, rozumiesz? — Brett zdjęła spexy. Spojrzała na Mayę z pełnym urazy zaskoczeniem. — A skąd właściwie tyle o mnie wiesz? Czyżbym cię rzeczywiście znała? Jakim cudem? Gdzie się poznałyśmy?

— Brett, przecież to ja, Maya — powiedziała Maya, drżąc na całym ciele. Kawał kleju grubości palca odkleił się jej na plecach. Nie miała wątpliwości, że powoli zamarza. I nagle poczuła się bardzo źle. Zemdliło ją, kręciło się jej w głowie.

— Przecież mnie nie znasz — naciskała Brett. — W życiu cię nie widziałam. Co tu się dzieje? Dlaczego próbujesz mnie oszukać?

— Taksówka przyjechała — oznajmił Novák.

— Nie odjeżdżaj teraz! — Brett złapała Mayę za ramię. — Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że na świecie jest z milion dziewczyn które zabiłyby, by dokonać tego, czego właśnie dokonałaś? Jakim cudem ci się udało? Co mam zrobić, żeby mieć tyle szczęścia? Powiedz mi!

— Nie dotykaj jej! — warknął Novák. Brett odskoczyła, jakby coś ją ugryzło. — Gdybyś wiedziała, jak to wyglądało w środku — mówił dalej stary Czech — jutro wróciłabyś do domu. Wracaj, wyleguj się na plaży, bądź młodą kobietą, oddychaj, żyj! Tu nie masz szansy, nic nie wygrasz. Nim się urodziłaś, oni załatwili już, żebyś nigdy nie wygrała!

— Bardzo źle się czuję, Josefie! — krzyknęła przeraźliwie Maya.

— Wskakuj do taksówki! — Novák niemal wepchnął ją do środka. Drzwi zamknęły się. Brett, oszołomiona, siedziała na chodniku. Nagle poderwała się, podskoczyła do pojazdu, waliła w szyby, krzyczała coś, ale jej krzyku nie było słychać w środku.

Taksówka odjechała.

* * *

Następnego ranka Maya stwierdziła, że na sieci zrecenzowano ją sześciokrotnie. Od Viettiego dostała białe tuberozy, od dziennikarzy z branży sześć telefonów. Jeden z dziennikarzy zadzwonił z hotelowej recepcji. Biwakował w holu.

Śniadanie przemycono im do pokoju Nováka.

— Za wcześnie jeszcze, byś wdawała się w rozmowy z prawdziwymi dziennikarzami — wyjaśnił jej Josef. — Dziennikarze są klasowymi wrogami wziętych modelek. Hormony w nich grają, gdy tylko odkryją coś, co może wywołać ich głębokie cierpienie.

— Nie jestem wziętą modelką. — Maya z pewnością nie czuła się jak wzięta modelka. Przede wszystkim musiała pozbyć się kreacji. Samo zeskrobanie kleju ze skóry wymagało kremu czyszczącego, szczotki na długiej rączce i pół godziny. Nie ośmieliła się spać w inteligentnej peruce i rano stwierdziła, że jest ona bezwładna i martwa. Nie ożywił jej nawet reboot systemu.

— Masz oczywiście rację, ale kupka piasku też nie jest jeszcze

czeskim kryształem.

— Chcę być fotografem, nie modelką.

— Tylko bez pośpiechu. Musisz nauczyć się, jak pracować przed kamerą, nim zaczniesz dręczyć ludzi, celując w nich obiektywem. Kilka sesji na wolnym powietrzu nauczy cię sympatii dla twych przyszłych ofiar. — Novák przyłożył serwetkę do swych bezkrwistych warg, wstał i zaczął wyrzucać na łóżko zawartość torby.

Jej fałszywe dno wyłożone było dwiema warstwami szarej przemysłowej pianki, chroniącej cztery zestawy wysoce wyspecjalizowanych spexów, obiektywy 35, 105, 200 i 250 mm, dwa elastyczne obiektywy szerokokątne, fotograméter, statyw, filtry, dwa korpusy, przewody do fotografii synchronicznej, dziesięć metrów dostrajalnego światłowodu błyskowego, taśmę izolacyjną, dwa grube notebooki graficzne z zasilaną wysokim napięciem różdżką dotykową i rezerwową pamięcią, wielolampowe reflektorki fotograficzne, zwijane osłony reflektorów, oprawy filtrów, pierścienie łączące, tła i kieszonkowy nadprzewodnik.

Maya przyglądała się temu wszystkiemu ze zdumieniem.

— Wydawało mi się, że słyszałam, jak mówiłeś, że nie przywiozłeś odpowiedniego sprzętu — powiedziała.

— Powiedziałem tylko, że nie przyniosłem odpowiedniego sprzętu na pokaz — odparł Novák. — A w każdym razie, to wszystko to jeszcze niezbyt wiele. Skoro już zmuszono mnie do przyjazdu tu, pomyślałem, że przy okazji sfotografuję coś, bo ja wiem, może kilka z tych wspaniałych pokryw włazów do kanałów, ale żeby fotografować pokaz… co za wyzwanie!

— Czy Vietti nam nie pomoże? Ma z milion służących na każde zawołanie, powinien dać nam wszystko, czego potrzebujemy.

— Kochanie, Giancarlo i ja jesteśmy zawodowcami. Gra, w którą gramy obydwaj, ma swoje reguły. Kiedy wygrywam, daję Giancarlowi to, co chcę dać Giancarlowi, a on siedzi cicho i płaci. Kiedy przegrywam, Giancarlo obciąża mnie bez ograniczeń całym strasznym ciężarem swych taktownych rad i pomocy.

— Och!

Novák przyglądał się uważnie swemu rozpostartemu na łóżku cyfrowemu sprzętowi do wykrzywiania toru fotonów, ciągnąc się jednocześnie za kartoflowaty koniec wielkiego, starczego, miękkiego nosa.

— Zdjęcia *haute couture* to nie martwa natura — powiedział w końcu. — Potrzeba nam zespołu. Takich zdjęć się nie robi, je się tworzy. Specjalista od kreacji, scenograf, przyzwoita obsługa studia, oni wszyscy mają nieocenioną wartość w przypadku rekwizytów. Wynajdywanie wnętrz… fryzjer, z całą pewnością kosmetyczka…

— Jak zdobędziemy tych wszystkich ludzi?

— Wynajmiemy ich. W końcu rachunek przesyłamy Giancarlowi. To dobra wiadomość. Zła wiadomość jest taka, że w Rzymie nie mam dobrych kontaktów. No i oczywiście, zmiażdżony przez niepowodzenia w interesach, nie mam także kapitału.

Maya przyjrzała mu się z namysłem. Głęboko, na poziomie wręcz komórkowym, czuła pewność, że Novák dysponuje sporymi pieniędzmi, ale wydobycie ich od niego byłoby, jak wytoczenie mu dziesięciu litrów krwi.

— Wydaje mi się, że dysponuję niewielką sumą — powiedziała z wahaniem.

— Doprawdy? Co za podniecająca informacja, kochanie.

— Dysponuję kontaktem w Bolonii, który mógłby nam pomóc. Ona ma mnóstwo przyjaciół pracujących w wirtualności i sztuczkach.

— Młodzi ludzie? Amatorzy?

— Tak, Josefie, młodzi ludzie. Wiesz, co to znaczy, prawda? To znaczy, że będą dla nas pracowali za darmo, a my możemy wystawiać rachunki jakie się nam podoba.

— Cóż… — przyznał z namysłem Novák — …oczywiście, amatorzy to tylko amatorzy, ale zapytać nie szkodzi.

— Mogę zapytać. Jestem całkiem pewna, że zapytać mogę. Jednak, nim zapytam, muszę dysponować odpowiednim do zapytania sprzętem. Znasz tu może jakiś przyzwoity, dyskretny netsite, który pracuje na starych protokołach?

Ten problem nie stanowił dla Josefa Nováka żadnego wyzwania.

— Villa Curonia — powiedział od razu. — Oczywiście, stara, przewrotna Villa Curonia. Co za wspaniała atmosfera na zdjęcia w terenie!

* * *

Villa Curonia była niegdyś prywatną rzymską rezydencją Monteverde Nuovo. Zza ceglanego muru zwieńczonego szkłem wychylały się niedyskretne, zielone, postrzępione korony palm. Pewna ekscentryczność fasady sugerowała, że budowniczym willi był palący opium esteta w stylu D'Annunzia z arystokratycznymi związkami z najwyższymi i najbardziej ciemnymi kolami Kurii z początku XX wieku.

Willa zbudowana została wokół wewnętrznego dziedzińca z krużgankiem z połączonych ciężkimi łukami kolumn. Na dziedzińcu znajdowała się wyschła fontanna oraz posąg Hermesa na piedestale, doskonale nadający się na miejsce nocnych spotkań złodziei.

Dwupiętrowe wschodnie skrzydło przypominało gazę do wyciskania sera, której nićmi były kable zasilające i światłowody, a treścią porysowane parkiety, ciche korytarze o ścianach w kolorze kości słoniowej i potwornie wielkie, stare zestawy do wirtualności, przycupnięte niczym żaby za zamkniętymi drzwiami do pokoików służby. Dwaj komicznie złowieszczy bracia nazwiskiem Khornak zarządzali willą w imieniu, jeden tylko Bóg wie jakiej, grupki tajemniczych buntowników przeciw ładowi i porządkowi. Pod ich auspicjami stary budynek nabrał atmosfery luksusowego komputerowego burdelu. Pokoiki na godziny wyłącznie dla spotkań kochanków z kochanymi przez nich maszynami.

Novák był pracowity i systematyczny, Maya pracowita i niemal szalona. Benedetta okazała się bardzo pomocna. Benedetta była niezmordowana pod warunkiem, że wykonywana przez nią praca miała jakiś związek z jej własnymi ambicjami.

Około trzeciej po południu dołączyła do nich Brett, która przyjechała na miejsce wynajętym rowerem. Maya przeprowadziła ją obok strzegącej wejścia budki strażniczej, pod płonącym niechęcią wzrokiem braci Khornak.

— Jakie to wspaniałe, jakie wyrafinowane miejsce — zachwyciła się Brett. — Jak to ładnie z twojej strony, te mnie tu zaprosiłaś.

— Możesz przestać mnie czarować, kiedy tylko zechcesz — odparła Maya. — Powiedz mi jedno, powiedz mi, jak dotarłaś do Rzymu?

— Naprawdę chcesz wiedzieć? Dobrze, najpierw byłam w Stuttgarcie, ale czynsze są tam tak wysokie, a ludzie tak snobistyczni i zainteresowani wyłącznie sobą, że zabrałam się za włóczęgę, no i… wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, prawda? Nikogo nie interesowało, jakie ubrania potrafię robić, więc popytałam tu i tam, dostałam tę akordową robotę ze spexem dla sieciowego szmatławca, włóczyłam się przy imprezach i pod kawiarniami, i czasami miałam szczęście spotkać kogoś, kto się liczy.

— Mniej więcej tak to sobie wyobrażałam. Znasz pewnie mnóstwo sklepów w okolicy, takich z używanymi rzeczami?

— Masz na myśli ciuchy? Jasne. Jesteśmy w Rzymie, mają ich tu od cholery. Via del Corso, Via Condotti, za gotówkę wszystko dostaniesz na Trastevere…

— Josef jest na górze, przegląda swe praskie archiwum. Ma zamiar urzeczowić mi trochę kreacji ze swojego archiwum, kreacji z lat dwudziestych. One właśnie będą naszym tematem. Znasz styl tego okresu?

— Jasne. Znam… powiedzmy, że znam. Przede wszystkim wojskowe koszule, romantyczna biel z lateksem, tiule i mnóstwo wykończeń wstążką optyczną.

Maya zastanawiała się przez chwilę. Wojskowe koszule brzmiały prawdopodobnie, ale nie pamiętała, by w życiu miała na sobie choćby centymetr wstążki optycznej.

— Brett — powiedziała w końcu — do sesji będzie nam potrzeba rekwizytów. Wielu rekwizytów, takich, które mogłyby zainspirować Josefa. Nie pracował w tej dziedzinie od bardzo długiego czasu, więc potrzebujemy czegoś chwytającego atmosferę tamtej epoki, czegoś… czegoś jak „Szklany Labirynt", czegoś jak wczesny Novák. Zawsze bardzo poruszała go wewnętrzna poezja rzeczy… to szczególne poetyckie napięcie, które niektóre przedmioty… hmmm… posiadają. Masz jakieś pojęcie, o czym mówię?

— Chyba tak.

Maya wręczyła jej kartę gotówkową na pokaźną sumę. Brett sprawdziła pasek rejestracyjny i oczy się jej rozszerzyły.

— Stare karty do gry — mówiła dalej Maya. — Półksiężyce. Damskie rękawiczki. Kolorowa wełna. Siatki. Egzotyczne dwudziestowieczne instrumenty naukowe. Nie używane już protezy. Drewno. Pryzmaty. Kompasy. Laski z mosiężnymi gałkami. Wyliniałe wypchane zwierzęta z tymi przerażającymi szklanymi oczami, no wiesz, łasice, norki albo te, zaraz, gronostaje. Popsute nakręcane zabawki. Wiesz, co to był adapter? Nie? Dobrze, dajmy spokój adapterom. Łapiesz ogólną ideę novákowszczyzny?

Brett niepewnie skinęła głową.

— Doskonale. Bierz pieniądze, które ci właśnie dałam, leć do sklepów ze starzyzną, mów właścicielom, że jesteś moją stylistką. Pracujesz przy sesji zdjęciowej, którą robię dla Giancarlo Viettiego. Spróbuj wypożyczyć co tylko się da, wynająć, czego nie da się wypożyczyć, nie kupuj niczego, czego nie chciałabyś zatrzymać dla siebie. Spieszymy się, więc zatrudnij swoich żywych przyjaciół, którzy mogą ci w jakiś sposób pomóc. Wszystko, co znajdziesz, przywieź tu, do willi. Podróżuj jak najszybciej, daj sobie spokój z rowerem, bierz taksówki. Jeśli wpadniesz w kłopoty, zadzwoń do mnie. Najważniejszy jest czas, pieniądze w zasadzie nie grają roli. Wszystko zrozumiałaś? Tak? No to do roboty!

Brett stała jak wmurowana w ziemię, szybko mrugając oczami.

— Na co jeszcze czekasz?

— Nie, na nic. Tylko, że to takie podniecające. Taka jestem szczęśliwa, że pracuję dla ciebie.

— Doskonale, ale pracuj szybciej.

Brett oprzytomniała i odeszła. Pierwsze urzeczowienia Josefa dotarły na miejsce, przywiezione przez kuriera. Były to w zasadzie kostiumy, wygoda i trwałość nie grały przecież najmniejszej nawet roli. Potrzebowali po prostu rekwizytów na użytek fotonów.

W latach dwudziestych, wszyscy mieli jeszcze hopla na punkcie

naturalnych materiałów, w tych strojach nie było jednak naturalnych materiałów, lecz wyłącznie mikroskopijne sploty, węzły i maleńkie gniazdeczka prasowanego plastyku. Nie przepuszczały powietrza, poruszone szeleściły głośno, ale wyglądały wręcz anielsko. Kiedy się je przypięło albo wetknęło na miejsce, pozostawały na miejscu, śmiejąc się głośno z siły grawitacji.

— Wygląda na to, że dobrze wydaliśmy pieniądze — stwierdziła Maya.

— Bracia Khornak okradają nas w biały dzień — jęknął Novák. — Szesnaście procent od dokonanych transakcji. Uwierzyłabyś w to?

Maya zdjęła pomarańczową suknię z peleryną, leżącą na wierzchu kupki ubrań i przyłożyła do ciała.

— To żaden problem, jeśli tylko zachowają dyskrecję — powiedziała.

— Mayu, nim zaczniemy, wyjaśnij mi jedno. Dlaczego wszystko to finansuje nie istniejąca już firma produkcyjna należąca do zmarłego hollywoodzkiego reżysera filmowego?

— Rzeczywiście? — Maya przyglądała się wzorzystym rękawom. — Przecież miała nas finansować organizacja studencka politechniki bolońskiej?

— Te dziecinne sztuczki zmylą może bardzo niecierpliwego inspektora podatkowego, ale z pewnością nie mnie. I nie zmylą mnie twoje niezdarne uniki.

Maya westchnęła.

— Josefie, tak się złożyło, że mam trochę dorosłych pieniędzy. Dał mi je pewien dorosły, ale, tak między nami, nie powinien był tego robić. Z pieniędzy tych nie mogę oficjalnie korzystać, więc muszę się ich szybko pozbyć. Ta willa doskonale się do tego nadaje, prawda? To netsite podtrzymujący czarny rynek. Jesteśmy w Rzymie, bardzo starym i bardzo zepsutym mieście. I pracujemy w modzie, tu ludzie zawsze wydają mnóstwo pieniędzy z niemądrych powodów. Jeśli nie uda mi się uprać moich pieniędzy w tych okolicznościach, już nigdy nie uda mi się ich uprać.

— To bardzo ryzykowne.

— Żyję ryzykiem. Dajmy spokój głupim pieniądzom. Pokaż mi, czym jest piękno.

Novák westchnął.

— Niestety, nie zajmujemy się pięknem, kochanie — powiedział. — Bardzo mi przykro, ale zajmujemy się wyłącznie modą.

— Doskonale, więc może zgodzimy się na szyk. Bardzo się spieszę, Josefie. Pragnę tylu rzeczy i muszę je mieć już, zaraz.

Novák przytaknął powolnym skinieniem głowy.

— Oczywiście — powiedział. — Sam wyczułem w tobie coś takiego. W tym właśnie leży twój czar, kochanie… to jest to, to jesteś

ty, a to jest ta jedna jedyna właściwa chwila.

Wpół do czwartej pojawił się Philippe, by zrobić jej twarz. Philippe przywiózł ze sobą prezent, profesjonalną perukę z Emporio Vietti. Peruka ta chlubiła się między innymi wbudowanym tłumaczem, znającym czterdzieści osiem najważniejszych języków świata, połączonym z prawym uchem noszącej ją modelki przezroczystym kablem. Zdaniem Nováka był to „cały Vietti", tak znacząco zignorować fakt, że porwali poprzednią perukę, a potem zdublować stawkę, przesyłając nową, znacznie lepszą.

Peruka została fabrycznie zaprogramowana na zestaw trzech fryzur z lat dwudziestych; w ten taktowny sposób Vietti wepchnął się im w sesję. Odesłać tak piękny — i tak praktyczny — prezent dowodziłoby prostactwa, Nováka zdenerwował jednak ten prztyczek patrona z dawnych lat. Irytacja wzmogła jego zdolności artystyczne.

— Chcę od ciebie tego, kochanie — burknął. — Pozwól, że opowiem ci, co się będzie działo dziś wieczorem. Urok nieprawdopodobieństwa jest w istocie paradoksem oksymoronu. Pamiętasz, jakie było życie w latach dwudziestych? Nie, oczywiście że nie pamiętasz, nie możesz pamiętać, ale musisz udawać, że pamiętasz, tylko dla mnie… Kiedy Giancarlo i ja byliśmy młodzi, wszystko wydawało się nam możliwe. Teraz mamy lata dziewięćdziesiąte i wszystko rzeczywiście jest możliwe, ale młodym ludziom nie daje się szansy, by zrobili coś z tymi możliwościami. Rozumiesz, o czym mówię?

Maya skinęła głową, utrzymując kamienną twarz. Musiała uważać, nie chciała zniszczyć makijażu.

— Tak, Josefie, rozumiem — powiedziała. — Rozumiem cię doskonale.

— Nieprawdopodobieństwo to piękno *macchiato,* kochanie, piękno odrobinę kalekie, obciążone winą, obciążone potwornością. Tak naprawdę Vietti zobaczył w tobie właśnie to i dlatego właśnie powiedział, że widzi w tobie coś uroczego. Widzisz, kochanie, pragnąc uczynić ten świat jak najbezpieczniejszym dla jak najstarszych, zmieniliśmy życie młodych w sposób, który uznać można wyłącznie za potworny.

— Chyba nie jesteś obiektywny, Josefie. To bardzo gorzkie słowa.

— Nie przerywaj mi. Vietti nie mógł uznać tej prawdy, bo uznając ją, stałby się wspólnikiem. Dlatego był taki zaintrygowany. — Novák gestykulował gwałtownie swą jedyną ręką. — Dziś wieczorem staniesz się dawno umarłą młodością gerontokracji w niebezpiecznym związku z dzisiejszą zniszczoną młodością. Nieprawdopodobny tajny związek, senne w swej istocie przekroczenie naturalnych praw, coś, co gra na uczuciach, na nostalgii, zawiera jednak w sobie odrobinę niebezpieczeństwa, odrobinę perwersji. Mam zamiar rzucić to w twarz

starcom. Starcy nie dostrzegą oczywiście wszystkiego, nie mogą sobie pozwolić na to, żeby dostrzec całą prawdę, ale to, co dostrzegą, mają pokochać.

Zabrali się do pracy. Maya w eleganckiej czerni ukryta za na pól martwą starą maszyną wirtualną. Maya, podająca wypchaną łasicę i wypchaną kopertę ponuremu, półnagiemu chłopcu — posłańcowi (granemu przez jednego z rzymskich przyjaciół Brett). Maya w starych goglach virua, przypominających karnawałową maseczkę, oferująca pierścień do ucałowania jednemu z potężnych, zatrudnianych przez Khornaków strażników (oszołomiony wspaniałością dziejących się wokół niego wydarzeń, strażnik wypadł w tej roli szczególnie dobrze). Paląca papierosa Maya, odrzucająca z pogardą narkotyczne igiełki. Pogrążona w marzeniach Maya oświetlona blaskiem świec, mająca na nogach szpilki, przykucnięta nad domkiem z kart zrobionym jednak nie z kart lecz rzymskich biletów autobusowych.

W willi pojawiło się najpierw kilkoro, później kilkanaścioro, wreszcie kilkadziesiąt dzieciaków. Novák wykorzystał ich w tym ujęciu. Pozbawieni twarzy czołgali się jej u stóp, ich tanie, żywe stroje wyglądały w cieniach niemal groteskowo.

Kiedy Maya zobaczyła nieopracowane zdjęcia na ekranie notebooka Nováka, poczuła się jednocześnie zachwycona i wstrząśnięta. Zachwycona, ponieważ uczynił ją tak piękną. Wstrząśnięta, ponieważ fantazje Nováka obnażały świat. Uczynił z niej widmowy atawizm, podziemną królową zakazanej mody, rządzącą tłumem półpotwornych dzieci. Wspaniałość Nováka była kłamstwem, które mówiło prawdę.

* * *

O wpół do drugiej w nocy Novák pojechał taksówką do hotelu. Ten stary człowiek od wieków nie dał z siebie aż tyle. Cały aż drżał ze zmęczenia; reakcja, którą okazać mógł wyłącznie człowiek mający przeszło sto dwadzieścia lat.

Kiedy odjechał, bracia Khornak, których żywe dzieciaki doprowadzały powoli do szału, wyrzucili wszystkich wraz z rekwizytami i sprzętem. Dzieciaki się tym nie przejęły; wśród wesołych „do widzenia” odjechały na brzęczących rowerach, albo pakując się do taksówki po dziesięcioro. Kiedy Maya i Brett zabrały się za remanent rekwizytów, stwierdziły, że statyści zabrali kilkanaście drobnych, lecz cennych przedmiotów. Po dokonaniu tego odkrycia Brett popłakała się.

— Jakie to typowe — chlipnęła. — Doprawdy, dla odmiany daje się ludziom szansę, prawdziwą szansę, a co oni robią? Po prostu walą cię w pysk.

— Chcieli mieć coś na pamiątkę, Brett. Oferowali nam swój czas, a my nie zapłaciliśmy im ani grosza, więc te parę drobiazgów wcale mnie nie martwi. Wypchana łasica nie może przecież kosztować fortuny.

— Ale obiecałam ludziom ze sklepu, że wszystkim się zajmę, zaopiekuję. I dopuściłam te dzieciaki do czegoś doprawdy wyjątkowego, a one mnie okradły! — Brett potrząsnęła głową. Chlipnęła. — One po prostu nie rozumieją, Mayu. Te rzymskie dzieciaki, one nie są jak my. Nic nie robią, nawet nie próbują, po prostu siedzą na Schodach Hiszpańskich, popijają *frappé* i czytają. Bogowie w niebiosach, te rzymskie dzieciaki czytają! Jak im się da jakąś grubą papierową książkę, to siadają i zaprawiają się nią całe godziny!

— Młodzi Rzymianie czytają? — Maya zachęciła ją do zwierzeń, jednocześnie sortując buty. — Jejku jej, jakie to klasyczne!

— To okropne, to straszny nałóg! Wirtualność jest przynajmniej interaktywna! Nawet przy telewizji używa się centrów wizualnego odbioru informacji i procesuje dialogi docierające przez uszy. Czytanie jest naprawdę szkodliwe, niszczy oczy, wykrzywia kręgosłup, powoduje tycie!

— Nie sądzisz, że czytanie może być czasami użyteczne?

— Jasne, oni wszyscy tak mówią. Niektórzy z facetów piją nalewki leksyczne, czytają z tysiąc słów na minutę! Ale przecież oni nic nie robią, tylko czytają o tym, co zrobili inni. To jak choroba!

Maya wyprostowała się niechętnie. Stanie, przymierzanie i cała reszta zajęć podczas sesji spowodowały ból nóg i spuchnięcie stóp. Nie podejrzewała nawet, jak męczące fizycznie może być przybieranie póz przed obiektywem.

— No — powiedziała — za późno już, by teraz zacząć zwracać rekwizyty. Znasz może jakieś bezpieczne miejsce, gdzie można by przechować je do jutra? Gdzie mieszkasz?

— Nie sądzę, by tam gdzie mieszkam były bezpieczne.

— A co to, drzewo czy coś?

Brett, urażona, zmarszczyła brwi.

— Nie! Po prostu nie sądzę, by moje mieszkanie było odpowiednie.

— Ale przecież nie mogę ściągnąć tego wszystkiego do drogiego hotelu, w którym mieszkam. Pies odźwierny z całą pewnością nie wpuści mnie do środka. — Maya potrząsnęła głową, rozrzucając loki. Pokochała nową ciemną perukę. Nowa ciemna peruka była nieskończenie wręcz lepsza od naturalnych włosów. — Gdzie

mogłybyśmy zostać na noc, nie rozstając się z szafą rekwizytów?

— Cóż, znam doskonałe miejsce — przyznała Brett — ale pewnie nie powinnam cię tam zabierać.

* * *

O trzeciej nad ranem przyjaciele Brett nie spali jeszcze, należeli oni bowiem do ludzi ceniących nalewki nad życie. Było ich sześcioro, a mieszkali w wilgotnej piwnicy na Trastevere, wyglądającej tak, jakby udzielała schronienia trzydziestu kolejnym pokoleniom narkomanów.

Narkomani lat 2090-tych dysponowali prawdziwym labiryntem nowych, dogodnych autostrad do sztucznego raju. Ugoda nie zgadzała się oczywiście na istnienie jakiegokolwiek konwencjonalnego rynku nielegalnych środków odurzających, każdy jednak dysponujący odpowiednio podrasowanym zestawem do nalewek oraz zespołem odpowiednich receptur biochemicznych był w stanie przygotować dowolny środek w ilości wystarczającej do zabicia samego siebie oraz dowolnej liczby zgromadzonych na herbatce przyjaciół. Ugoda zdawała sobie sprawę z tego, że wytwarzania i posiadania narkotyków nie da się zlikwidować środkami policyjnymi, ograniczała się więc do odmowy świadczenia usług medycznych ludziom, którzy sami sobie niszczyli zdrowie.

Ta sytuacja, jak każda nietypowa sytuacja w ugodzie, rozpracowana została w najdrobniejszych szczegółach. Prymitywne związki, zdolne zatrzymać serce lub uszkodzić wątrobę, z całą pewnością skracały spodziewany okres życia, więc za ich użycie groziły poważne sankcje medyczne. Środki, które zakłócały procesy poznawcze w niewielkich, mikrogramowych dawkach, niemal nie wpływały na procesy metaboliczne, je więc tolerowano. Ugoda była kompleksem przemysłowo-medycznym, społeczeństwem nasyconym środkami medycznymi. Nie widziała sensu w prymitywnych mitach o egzystencji naturalnej, wolnej od narkotyków. Neurochemiczna walka ze starczym zdziecinnieniem umieściła poważną część wyborców w świecie permanentnie odmiennych stanów świadomości.

Maya — a raczej Mia — spotykała już wcześniej narkomanów. Zawsze zaskakiwało ją to, jak uprzejmymi są ludźmi. Narkomanów cechowała wewnętrzna, istniejąca w kompletnym oderwaniu od rzeczywistego świata łagodność, wynikająca z całkowitej obojętności w stosunku do konwencjonalnych potrzeb i ambicji. Każdy spotkany przez nią narkoman, z grzecznym entuzjazmem skłonny był

wprowadzić każdego napotkanego człowieka w kiczowaty transcendentalizm stylu życia narkomanów. Narkomani dzielili się wszystkim: strzykawkami, pigułkami, łóżkami, widelcami, grzebieniami, szczoteczkami do zębów, jedzeniem, no i, oczywiście, narkotykami. Narkomani tworzyli luźną siatkę o światowym zasięgu, międzynarodową masonerię.

Ponieważ dysponowali niemal nieograniczonymi zasobami każdego narkotyku, który udało się im wysmażyć, współcześni narkomani nie bywali gwałtowni. Nie bywali również doszczętnie zniszczeni. Niemniej jednak, wszyscy mieli lepiej lub gorzej rozwinięty instynkt samobójczy.

Wielu narkomanów z zaskakującą, poetyczną elokwencją opowiadało o rozkoszach cielesnej chemii. Najbardziej intelektualni i wykształceni byli ci najwyraźniej rozpadający się na kawałki. Narkomani byli we współczesnym społeczeństwie jedynymi chyba ludźmi, którzy wyglądali na chorych. Narkomani mieli na skórze jątrzące się rany, narkomani mieli matowe, rzadkie włosy, narkomani chorowali na żołądek, narkomani mieli pchły, wszy, a czasami nawet ich ginący gatunek — wszy łonowe. Narkomani drapali się w rozpalone swędzące stopy zaatakowane grzybicą, narkomanom ciekło z nosa. Narkomani kaszlali, czochrali się i patrzyli na świat tępymi, podkrążonymi oczami. Na świecie żyły miliony ludzi starych i cierpiących, tylko narkomani jednak upadli tak nisko — na poziom dwudziestowiecznej higieny osobistej.

Narkomani — mężczyzna i dwie kobiety — przywitali ich bardzo uprzejmie. W piwnicy znajdowało się także dwóch innych mężczyzn, ci jednak, radośnie nieprzytomni, leżeli spokojnie w hamakach. Narkomani z nieograniczoną tolerancją odnieśli się do góry rekwizytów; szczególnie wzruszające okazało się to, że z wielkim wysiłkiem woli zmusili się do poszukiwań i jakimś cudem znaleźli nawet wytarty koc, którym można było przykryć przywiezione rzeczy. Potem narkoman, mężczyzna, powrócił do przerwanej działalności, którą było głośne odczytywanie włoskiego przekładu „Tybetańskiej Księgi Zmarłych”. Doszedł już do strony 212. Obie kobiety, zaprawione ze szczętem, od czasu do czasu wybuchały radosnym, głębokim śmiechem, nie przerywając swego podstawowego zajęcia, jakim było powolne dłubanie pod paznokciami palców u nóg.

Maya i Brett ułożyły się w podwójnym hamaku. Tu i tam widniały na nim krwawe plamy, hamak nie pachniał też najpiękniej, ale bardzo dawno temu został przepięknie spleciony i nawet teraz był z całą pewnością czystszy od podłogi.

— Brett, skąd znasz tych ludzi? — spytała Maya.

— Mayu, słuchaj, mogę mieć do ciebie prośbę? Osobistą prośbę? Mam na imię Natalie, nie Brett.

— Przepraszam.

— Istnieją dwa rodzaje życia — powiedziała Natalie, układając się w rozhuśtanym hamaku ze zręcznością świadczącą o sporej praktyce. — Pierwszy to taki, kiedy człowiek z całej siły stara się być kimś bardzo mieszczańskim. Drugi to taki, w którym człowiek bardzo stara się rozwinąć swą świadomość.

— Dla mnie to żadna nowość. Pochodzę z San Francisco. A jakiego dokładnie środka używasz w charakterze łomu do wyważenia zamykających świadomość drzwi?

— No, jestem bardzo przywiązana do lacrimogenu.

— Nie, tylko nie to! Nie możesz ograniczyć się do czegoś niewinnego, na przykład heroiny?

— Heroina pozostawia ślady we krwi i włosach, więc może świadczyć przeciwko tobie. Poza tym, czy wiesz, że każdy ma w mózgu pewne ilości lacrimogenu? Lacrimogen to naturalna substancja neurochemiczna. I bardzo żywy narkotyk, ponieważ nie pozostawia śladów. Jasne, jeśli użyje się go za dużo, pojawia się poważny problem, kliniczna depresja, jeśli jednak dawka jest odpowiednia, naprawdę powoduje zwiększenie świadomości.

— Oho.

— Słuchaj, jestem młoda, prawda? — zapytała Brett. — No, właściwie to obie jesteśmy młode, ale ja potrafię przyznać się do młodości. Wiem, jakie to fatalne. Wiesz, dlaczego młodym ludziom żyje się dziś tak ciężko? Nie chodzi tylko o to, że jesteśmy nieznaczną mniejszością. Prawdziwy problem polega na tym, że dzieciaki są tak naładowane hormonami, że żyją w fantastycznym świecie. Mnie to jednak nie wystarczy. Nie potrafię żyć próżnymi nadziejami. Muszę dokonać właściwej oceny sytuacji.

— Brett, to znaczy Natalie, tylko ludzie bardzo dojrzali potrafią żyć w prawdziwej, pozbawionej iluzji, rzeczywistości.

— Dobrze, mnie wystarczy fałszywa rzeczywistość bez iluzji. Wiem, że sporo mi to daje.

— Nie bardzo wyobrażam sobie, jak coś takiego może być prawdziwe.

— Więc pokażę ci, jak coś takiego może być prawdziwe. Załóżmy się. Obie weźmiemy sto miligranów lacrimogenu, dobrze? Jeśli, dzięki niemu, nie rozpoznasz co najmniej jednego wielkiego kłamstwa w swym życiu, obiecuję, że rzucę lacrimogen na zawsze.

— Naprawdę? Trudno mi uwierzyć, że będziesz w stanie dotrzymać tej obietnicy.

— Lacrimogen nie wywołuje nałogu, wiesz? Nie pocisz się, nie jesteś na głodzie, nic z tych rzeczy. Oczywiście, że rzuciłabym go, gdybym nie była przekonana, że coś mi daje.

— Słuchaj, istnieje przerażająca statystyka samobójstw,

dokonanych pod wpływem lacrimogenu. Starzy ludzie biorą go, bo pomaga im zebrać się na odwagę i zabić się.

— Nie, nieprawda, biorą lacrimogen, by ułożyć sobie przeszłość w retrospektywnym porządku. Za to nie można go winić. Jeśli już musisz zebrać się na odwagę, żeby popełnić samobójstwo, istnieje duża szansa, że powinnaś zebrać się na odwagę i popełnić samobójstwo. W dzisiejszych czasach ludzie muszą się zabijać, to towarzyska konieczność. Jeśli lacrimogen pomaga dostrzec tę prawdę, a w dodatku pomaga też przezwyciężyć strach i zakłopotanie, to powiem jedno: „władza dla lacrimogenu!".

— Lacrimogen jest niebezpieczny.

— Nienawidzę bezpieczeństwa. Nienawidzę wszystkiego, co bezpieczne. Oni zabijają duszę bezpieczeństwem. Wolałabym być martwa niż bezpieczna.

— Ale czy rzeczywiście jesteś gotowa go rzucić? Jeśli wezmę z tobą lacrimogen, a potem powiem ci, żebyś go rzuciła, rzucisz go?

Natalie z przekonaniem skinęła głową.

— Przecież powiedziałam. Jeśli za bardzo się boisz, żeby go ze mną wziąć, w porządku, potrafię to zrozumieć. Nie masz jednak żadnego prawa, by wygłaszać mi wykłady na jego temat. Po prostu nie wiesz, o czym mówisz.

Maya rozejrzała się po piwnicy. Zdawała sobie sprawę z tego, że grozi jej teraz autentyczne niebezpieczeństwo, i owo grożące jej niebezpieczeństwo sprawiło, że piwnica wydała się jej bardziej niż rzeczywista. Łuszczące się ściany, popękany sufit, wielkie, przestarzałe zestawy do nalewek, rozrzucone książki, butelki po nalewkach, wilgotne poduszki, zepsuty rower, bielizna, cieknący zlew, głębokie, dźwięczne, nosowe chrapanie jednego z nieprzytomnych narkomanów, siatki do włosów, zamknięte żaluzje, syk i łomot przejeżdżającego w pobliżu rzymskiego trolejbusu… było to miejsce Brett. Idąc tropem Brett, znalazła się w tym miejscu, w tej sytuacji. Szła za Brett bez wahania.

— Dobrze, zrobię co proponujesz.

— Hej! — zawołała Brett. — Hej, Antonio!

Antonio przerwał czytanie książki i spojrzał na nią uprzejmie.

— Kończy mi się lacrimogen. Mam już tylko dwie działki. Nie wiesz przypadkiem, gdzie mogłabym go dostać?

— Jasne — powiedział Antonio. — Mogę zrobić lacrimogen. Chcesz, żebym go zrobił? Dla twojej pięknej przyjaciółki? Mogę go zrobić. — Odłożył książkę i powiedział coś do jednej z kobiet, szybko, po włosku. Perspektywa pracy wydawała się sprawiać przyjemność im wszystkim. Pierwszym krokiem było, oczywiście, strzyknięcie się stymulantami.

— Proszę, tylko nie płaczcie za głośno — powiedziała kobieta,

podwijając rękaw. Była bardzo chuda. — Kurt się obudzi. Kurt nienawidzi, kiedy ludzie płaczą.

Z małej plastykowej torebki Brett wyciągnęła pozostałość rolki przylepek. Oderwała cztery śmiesznie małe przylepne kropki. Dwie z nich nalepiła na żyły na swoim nadgarstku, dwie na nadgarstku Mayi.

Nic się nie stało.

— Nie spodziewaj się nawału wrażeń — uprzedziła Brett. — To nie jest środek zmieniający wrażenia. On jest wrażeniem.

— No, ale z całą pewnością nie działa na mnie — powiedziała z ulgą Maya. — Tyle, że czuję się zmęczona i śpiąca. I chętnie bym się wykąpała.

— Tu nie można się wykąpać. Nie mają łazienki, tylko toaletę, za tymi drzwiami. Nie masz nic przeciwko temu, żeby im za to zapłacić, prawda, Mayu? Pięć marek? Na komponenty?

Sprzedawanie narkotyków było technicznie nielegalne. Można było kupować je na wymianę, można je było rozdawać, można było robić je samemu. Sprzedawanie narkotyków było jednak przestępstwem.

— Jeśli to im pomoże, oczywiście.

Brett uśmiechnęła się z ulgą.

— Nie wiem, dlaczego Novák zapragnął, żebyś wyglądała tak niesamowicie i złowrogo — powiedziała. — Przecież jesteś słodka i taka miła.

— Cóż, pożądam tego, co nie godzi się ze *status quo* — odparła Maya. Wielokrotnie powtarzała to zdanie, lecz dopiero teraz, po raz pierwszy, zaczęła wyczuwać, co ono rzeczywiście oznacza. A także, dlaczego żywi ludzie uczynili je swym hasłem, dlaczego powtarzają te pozornie głupie słowa, i to powtarzają je bez uśmiechu. *Status quo* jest przecież *sine qua non* stłumionego pożądania. Pożądanie jest nieracjonalne lecz namiętne, a także grzeszne. Zaakceptować pożądanie, poddać się pożądaniu… badać pożądanie, poszukiwać nagrody jest skrajnym przeciwieństwem mądrości i rozwagi.

Pożądanie było też jądrem uczuciowym narkomanów. Nagroda naga jak geometria — euklidesowa rozkosz centralnego systemu nerwowego, czysta forma zmysłowości dla szarych komórek. Ostateczna forma pożądania — nie miłość, nie potęga, nie potrzeba władzy, tylko oczyszczone drobne molekularne trucizny, czyniące drobne intymne komórkowe cuda szarym komórkom mózgowym. Przeczucie zalało ją falą. Niegdyś w życiu narkomanów nie widziała prawdy, zbyt bowiem zajęta była pogardzaniem narkomanami. Teraz zrozumiała ich wreszcie… i zaczęła im współczuć. Prawda i smutek związane były ze sobą głęboko i intymnie. Chodziło o prawdę, której nie sposób pojąć, jeśli nie jest się wystarczająco smutnym, by pozwolić sobie ją pojąć.

Antonio wraz z dwójką przyjaciół z zapałem pracował przy maszynie do koktajli. Właściwe jej użycie było czymś w rodzaju sztuki zachowania się przy stole, wymagało opanowania, wdzięku, zdolności przewidywania oraz umiejętności przywiązywania uwagi do detali. Narkomani nie mają żadnej z tych cech. Byli nieskoordynowani, niezdarni, tyle że pełni zapału. Byli też na haju, toteż popełniali mnóstwo drobnych błędów. Gdy tylko popełnili błąd, natychmiast wycofywali się i próbowali znaleźć jakieś rozwiązanie. Maya miała wrażenie, że obserwuje trzy małe pajączki, krok po kroku przygotowujące się do zjedzenia złapanego w siatkę, walczącego o życie owada.

Zdarżała gwałtownie. Brett delikatnie pogłaskała ja po ramieniu.

— Nie bój się — powiedziała.

Maya nie bała się, póki Brett nie wspomniała o strachu. Strach pojawił się wówczas, oczywiście, nagle pojawił się chłodny prąd strachu, wypływający z przepełnionego nim naczynia, niczym z bezbrzeżnego czarnego oceanu. Lecz… czego właściwie ma się bać? Dlaczego ma nagle wpaść w panikę? Przecież nie ma powodu do strachu… oczywiście, nie ma powodu, tylko że poddała się pożądaniu. Pożądanie wrosło w jej starzejący się mózg nowymi warstwami połączeń nerwowych. Jej młodzieńcza *joie de vivre* była w każdym calu tak sztuczna, jak pajęcze podrygi narkomanów. Oni marzyli o syntetycznym raju, ona stała się syntetycznym rajem.

Snuła się tam i siam po Europie, wierząc, że nikt nigdy nie odkryje prawdy, jakim cudem jednak mogła ukryć prawdę? Zwykła bezczelność sprawiła, że udało się jej przeżyć trzy miesiące poza prawem, strzeżonej wyłącznie przez zwariowany pozór doskonałego szczęścia i bezwzględnej pewności siebie. Gładka skórka kryjąca proste oszustwo. Szła mostem zawieszonym nad niewiarą ludzi. Tylko ktoś oślepiony szalonym podnieceniem uwierzyłby, że taka sytuacja może trwać wiecznie.

Oczywiście, że zostanie złapana. Oczywiście, że kiedyś w końcu się potknie. Ponura rzeczywistość w każdej chwili może przebić materię jej fantazji swym ostrym rogiem nosorożca. Zdemaskowanie i zdrada nadejść mogą z dowolnego kierunku kompasu. Ze strony Paula, który wiedział zbyt wiele. Ze strony Josefa, gdyby Josefowi zachciało się kiedyś zrobić cokolwiek. Ze strony Benedetty, która rzuciłaby się na nią jak furia, gdyby tylko zaczęła coś podejrzewać. A co, jeśli Emil zatęskni za nią i postanowi poprosić o pomoc policję?

Fala tych strasznych przeczuć powinna wystarczyć, by Maya na czworakach i na oślep zaczęła szukać wyjścia z budynku, okrutna szczerość narkotyku zatrzymała ją jednak na miejscu. Powiedzmy, że ucieknie jeszcze raz. Załóżmy, że wskoczy do pociągu do Władywostoku, do Ułan Bator albo do Johannesburga… co się stanie,

jeśli zachoruje? Jeśli pojawią się jakieś skutki uboczne kuracji? Jak ona, ekonomistka medyczna, mogła w ogóle zachować się aż tak głupio? Jasne przecież, że kuracja tak skomplikowana, jak NTRDK, musi mieć jakieś skutki uboczne — to dlatego jej twórcy błysnęli intelektem i postanowili poddać ją wnikliwej obserwacji. Pragnęli obserwować i badać nieoczekiwane skutki uboczne, przede wszystkim te świadczące o szybkim przyroście tkanki, paznokcie, włosy…

Maya spojrzała na obgryzione paznokcie i jęknęła boleśnie. Jak mogła zrobić sobie coś takiego. Jest potworem. Jest potworem, który uciekł z klatki, i w najlepszym interesie wszystkich, których znała, było wpakowanie jej tam z powrotem.

Zadrżała w beznadziejnym strachu.

— Może nie powinnam dać ci aż tyle — powiedziała zatroskana Brett. — Ale nie chciałam, żebyś wzięła odrobinę lacrimogenu, przejechała sobie przez niego ze śpiewem na ustach i zmusiła mnie do rzucenia go.

— Jestem potworem — jęknęła Maya. Wargi jej drżały.

Brett przytuliła ją mocno.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — powiedziała. — Wcale nie jesteś potworem. Wszyscy wiedzą, że jesteś bardzo piękna. Najlepiej, żebyś sobie popłakała. Przy lacrimogenie płacz zawsze pomaga.

— Jestem potworem — powtórzyła Maya i posłusznie rozpłakała się.

— Jeszcze nigdy nie spotkałam pięknej dziewczyny bez kompleksów — stwierdziła Brett.

Antonio podszedł do nich chwiejnie. Zajrzał do plecaka.

— Dobrze się czuje? — spytał. — Jak to znosi?

— Nie najlepiej — odparła Brett. — Co to za zapach?

— Przypaliliśmy próbkę — wyjaśnił Antonio. — Musimy ją spłukać i zacząć od nowa.

— Jak to „spłukać”? — Brett wyraźnie się zaniepokoiła. Antonio gestem wskazał drzwi. Brett gwałtownie usiadła w hamaku, rozhuśtując go, aż mógł przyprawić o mdłości.

— Słuchaj, nie wolno przecież spłukiwać popsutych nalewek w toalecie. Oszalałeś, czy co? Popsutą nalewkę trzeba rozłożyć w aparaturze! Człowieku, ścieki są przecież monitorowane. Nie można wylewać produktów nieudanej reakcji chemicznej wprost do kanalizacji. Mogą być toksyczne, rakotwórcze! Monitory środowiskowe oszaleją!

— Spłukiwaliśmy już nieudane próbki — tłumaczył cierpliwie Antonio. — Robimy to przez cały czas.

— Nieudane lacrimogeny?

— Nie, entheogeny. Ale nie mieliśmy nigdy żadnych problemów.

— Jesteś nieodpowiedzialnym socjopatą, któremu obojętny jest los niewinnych ludzi — powiedziała Brett ponuro, gorzko i całkowicie prawdziwie.

Antonio uśmiechnął się, być może nieco już rozgniewany lecz zbyt uprzejmy, by okazać gniew.

— Po lacrimogenie zawsze jesteś taka nieprzyjemna, Natalie. Jeśli nadal pragniesz być taka nieprzyjemna, znajdź sobie chłopca. Przygoda miłosna załatwi ci równie nieprzyjemne przeżycia.

Jedna z kobiet podeszła do nich, powłócząc nogami.

— Natalie, to nie jest San Francisco — próbowała wyjaśnić. — To rzymskie ścieki, najstarsze na świecie. Przykrywają katakumby i zalane wille, stare świątynie wzniesione ku czci dziewic, mozaiki, kości chrześcijan… — Mrugnęła szybko kilka razy, zachwiała się. — Zły lacrimogen nie uczyni rzymskich duchów bardziej żałosnymi.

Brett potrząsnęła głową.

— Powinniście wyczyścić sprzęt, puścić diagnostykę i zdekomponować wadliwy produkt. Tak to się robi. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Za bardzo się zmęczyliśmy. — Antonio westchnął. — Chcesz lacrimogenu, czy go nie chcesz?

— Nie chcę niczego z tego zestawu. Myślicie, że oszalałam? Mogliście mnie otruć! — I Brett wybuchnęła płaczem.

Leżący na hamaku narkoman, wielki, tęgi, o groźnych łukach brwiowych i nie golonej od paru dni brodzie, oprzytomniał, słysząc płacz.

— Nie przeszkadzam wam? — spytał po angielsku z wyraźnym irlandzkim akcentem. — Czytajcie głośno, kochani, rozmawiajcie, bawcie się dobrze, ale nie kłóćcie się, nie spierajcie, a przede wszystkim nie płaczcie.

— Bardzo cię przepraszam, Kurt — powiedział Antonio. Trzymał w ręku spodeczek. Zaniósł go do łazienki. Rozległo się brzęczenie staroświeckiego łańcuszka, bulgot wody.

Kurt usiadł.

— No proszę, jakiego ślicznego mamy tu dziś gościa — stwierdził.

— Jest na lacrimogenie. — Brett próbowała bronić Mayi.

— Dziewczyny na lacrimogenie potrzebują mężczyzn — oznajmił basem Kurt. — Przytul się do mnie, kochanie. Płacz, aż zaśniesz.

— Nie sypiam z nikim tak brudnym — wybełkotała Maya.

— Kobiety na lacrimogenie są także wyjątkowo nietaktowne — dodał Kurt. Przewrócił się na bok i hamak zaskrzypiał.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Antonio wziął książkę i powrócił do głośnej lektury.

— Zdradzę ci pewną tajemnicę — szepnęła Brett do Mayi.

— Jaką tajemnicę?

— Połóżmy się.

Położyły się w hamaku. Brett objęła Mayę za szyję i spojrzała jej prosto w oczy. Obie czuły ból tak przeraźliwy, że w tym geście była wyłącznie pociecha. Przypominały kobiety, które wypełzły z płonącego samochodu.

— Nigdy mi się nie uda — wyznała Brett. Łza spłynęła jej po nosie, spadła na policzek Mayi. — Chcę zostać stylistką, tylko to, nic więcej, ale nigdy mi się nie uda. Nigdy nie będę tak dobra jak Giancarlo Vietti. Vietti ma sto dwanaście lat. Zgromadził w archiwum każdą informację o modzie, ma w bibliotece każdą książkę o modzie. Od siedemdziesięciu pięciu lat kieruje własną firmą. Jest multimilionerem. Pracuje dla niego mnóstwo ludzi. Ma wszystko i zatrzyma to na zawsze. Po prostu nie można rzucić mu wyzwania.

— Przecież pewnego dnia umrze — stwierdziła Mia.

— Jasne. Być może. Tylko, że ja będę miała wtedy dziewięćdziesiątkę. Szansę prawdziwego życia dostanę dopiero wtedy, kiedy skończę dziewięćdziesiątkę. Vietti zaczął wcześnie, nabierał doświadczenia, został królem świata na cale stulecie. Kiedy ja skończę dziewięćdziesiątkę, będę skamieliną.

— Skoro nie pozwoli ci grać w jego świecie, musisz stworzyć własny świat.

— Jasne, powtarzają to wszyscy żywi ludzie, ale starzy nigdy do tego nie dopuszczą. Nie dadzą nam nic oprócz piaskownicy do zabawy. Nie dadzą nam prawdziwych pieniędzy, prawdziwej władzy, prawdziwej szansy. — Brett chlipnęła. — A wiesz, co jest najgorsze? Nawet gdyby dali, nigdy nie będziemy tak dobrzy jak oni. W porównaniu z gerontokratami jesteśmy śmieciem, jesteśmy kiczem, jesteśmy jakimiś kretyńskimi amatorami. Mogę być sobie najżywszą dziewczyną we wszechświecie, ale nie przestanę przez to być małą dziewczynką. Gerontokraci są jak lód na jeziorze. My siedzimy tak głęboko, że nigdy nie zobaczymy prawdziwego światła prawdziwego dnia. Kiedy wreszcie przyjdzie nasza kolej, będziemy tak starzy, że zmienimy się w zimne ślepe ryby, gorsze niż Vietti, stukrotnie gorsze! A potem lód skuje cały świat.

I Brett rozszlochała się rozpaczliwie.

Kurt znów usiadł w hamaku. Tym razem był autentycznie wściekły.

— Nie przeszkadzam wam? — powtórzył. — Kto cię tu w ogóle prosił? Jeśli nie umiesz się opanować, won!

— Dlatego właśnie aż tak kocham narkomanów — wrzasnęła cienko Brett, siadając. Twarz miała czerwoną. Płakała. — Oni docierają tam, gdzie gerontokraci nigdy nie dotrą! Otulają się fantastyczną rzeczywistością i umierają. Przyjrzyj się tej piwnicy. Tak wygląda cały świat, kiedy człowiekowi nie pozwala się żyć.

— Słusznie, racja, tego już za wiele. — Antonio zamknął i uważnie odłożył książkę na miejsce. — Kurt, wywal tę małą idiotkę na zbity pysk. Wykop ją na ulicę, Kurt.

— Ty ją wykop. Ty ją zaprosiłeś.

Z toalety dobiegł ich nagle głośny huk. Wypchnięte wybuchem powietrze otworzyło drzwi. Drzwi walnęły w ścianę z taką siłą, że wyłamał się jeden z zawiasów.

Obecni zamilkli i w zdumieniu wyczekiwali dalszego ciągu zjawiska. Rozległo się gulgotanie i nagle coś trysnęło z hukiem — to z toalety posłusznie wyleciał strumień nieczystości, rozpryskując się na suficie. Zardzewiałe wkręty puściły nagle i miska klozetowa wtoczyła się do piwnicy.

Ze ścieku konwulsyjnie wypełzła błyszcząca maszyna o setce wierzgających nóg. Maszyna była wąska jak rura ściekowa, a jej twardą metalową głowę pokrywała ubrudzona odpadkami masa antenek i sensorów chemicznych. Objęła futrynę grubymi, włochatymi stopami. Z tego, co u człowieka byłoby tyłkiem, wypuszczała spazmatycznie strumień białej piany.

Maszyna wygięła wyłożony metalowymi płytami grzbiet i zawyła jak upiór.

— Nie uciekajcie! Nie uciekajcie! — wrzeszczał Kurt. — Kara za ucieczkę jest wyższa!

Ale, oczywiście, wszyscy uciekli. Poderwali się na równe nogi i pobiegli schodami jak banda spanikowanych małp.

Maya uciekła wraz ze wszystkimi. Wraz ze wszystkimi w ekspresowym tempie znalazła się na mokrej, zimnej rzymskiej ulicy. Nagle wykonała w tył zwrot i biegiem wróciła do piwnicy.

Porwała plecak. Strażnik ścieków siedział na pół pogrążony w tężejącej masie piankowego uszczelniacza. Obrócił się w jej kierunku, wymierzył w nią oczy kamer telewizyjnych, podniósł dwa kołnierze na szyi i zaświecił czerwonymi światełkami alarmowymi, po czym powiedział po włosku coś brzmiącego bardzo złowrogo.

Maya uciekła.

* * *

Do hotelu dotarła o piątej nad ranem. Zaczęło kropić, było mokro i mglisto.

Do hotelowego baru weszła na ugiętych nogach. Cudownie byłoby pójść gdziekolwiek indziej, Mayę jednak zmęczyły już sytuacje, w których nie miała gdzie złożyć głowy. Spacer i samotna jazda

rzymskim trolejbusem dały jej okazję do opracowania czegoś w rodzaju planu.

Poczeka, aż obudzi się Novák, a potem wszystko mu wyzna. Może jakimś cudem Novák przezwycięży obrzydzenie i gniew, i użali się nad nią. Może nawet się za nią wstawi. A jeśli nie, bardzo dobrze, zasłużył sobie na szansę, żeby ją wydać. Szansę na to, żeby się na niej zemścić.

Prascy gliniarze wydawali się jej nieco dziwni, więc może będą łagodniejsi od rzymskich, monachijskich, od gliniarzy z San Francisco. Tyle przynajmniej była winna Novákowi — była mu winna prawdę. Winna była temu staremu człowiekowi prawdę, nim wepchnęła się ze swym bezwartościowym życiem w jego życie.

Usiadła na barowym stołku i stołek się pod nią zakręcił. Świat pogrążył się na chwilę w ciemności, a potem zawirował niczym karuzela. Maya nagle uświadomiła sobie tępo, że przez cały dzień nie zjadła dosłownie nic. W ogóle nie przyszło jej do głowy, żeby jeść.

Bar był pusty. Niemal natychmiast przez służbowe wejście wszedł za ladę barman. Była piąta nad ranem, ale może pies odźwierny go uprzedził. Barman podszedł do niej, wyraźnie współczujący i zatroskany. Był przystojny i zadbany; sprawiał wrażenie znacznie lepszego człowieka od niej. Hotel miał bardzo dobrą obsługę, Rzymianie około czterdziestki, dzieciaki, które zrobiły karierę, obsługując bogatych.

— *Signorina?*

— Potrzebuję drinka — jęknęła Maya.

Barman uśmiechnął się z galanterią.

— Długa noc, *signorina?* Nieszczęśliwa? Czy wolno mi zasugerować *frappé* triacylglycerolowe?

— Świetnie. Podwójne. I proszę nie oszczędzać na saturowanych tłuszczach.

Barman przyniósł jej *frappé* w wysokiej szklance wraz z mniejszym pojemnikiem na białkowy utrwalacz oraz kanelurowaną misę rzymskich paluszków. Pierwszy łyk nalewki spowodował szok metaboliczny tak wielki, że Maya prawie straciła przytomność, a potem ogrzał się w niej i powoli włączył w jej wygłodzony krwiobieg.

Wystarczyło pół szklanki *frappé,* by Mayę opuściło uczucie paniki. Zdolna była nawet usiąść prosto w barowym stołku. Przestała się trząść, zrzuciła pantofle. Barman taktownie cofnął się na drugi koniec baru, rozpoczynając rytuał wyboru menu w częściowo rozmontowanym robocie domowym.

Maya otworzyła plecak, wyjęła z niego puderniczkę, przyjrzała się w lusterku swej twarzy i aż zadrżała. Kremem czyszczącym zdjęła większą część zrujnowanego makijażu, poprawiła usta.

Rzymianin w eleganckim wieczorowym garniturze wszedł do baru od strony hotelowego kasyna. Postukał w bar krawędzią żetonu do

pokera i zamówił kafeinowe *machiatto*. Z twardego wyrazu jego upudrowanej orlej twarzy Maya wyczytała, że nie miał dziś dobrej nocy.

Mężczyzna wziął podaną mu przez barmana filiżankę, usiadł dwa stołki od niej i przyjrzał się Mayi w wiszącym za barem lustrze, po czym obrócił się i spojrzał jej w oczy. Taksował wzrokiem nogi, nagie ramiona, stopy. Przyjrzał się kształtowi biustu i najwyraźniej zaakceptował go z zachwytem. Głęboko i szczerze podziwiał sposób, w jaki pośladki Mayi stykały się z barowym stołkiem. W jego spojrzeniu nie było nic prócz całkowitego i bezgranicznego męskiego zainteresowania seksualnego. Nic by go nie obchodziło, gdyby jej umysł był zszarpany na strzępy cierpieniem. W spojrzeniu tego Rzymianina jej ciało kąpało się, niczym w gorącym, drażniącym blasku śródziemnomorskiego słońca.

Mężczyzna wysunął spod rękawa marynarki pięć centymetrów mankietu kremowej, robionej na zamówienie koszuli, oparł łokieć na barze, złożył na dłoni wąską, ciemną głowę. Uśmiechnął się.

— *Ciao* — powiedziała Maya.

— *Ciao, bella* — odparł mężczyzna.

— Mówisz po angielsku?

Mężczyzna żałośnie potrząsnął głową. Skrzywił wargi z rozczarowania.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Maya i skinęła na niego palcem. — To twoja szczęśliwa noc, przystojniaczku.

5

Novák znalazł jej w Pradze mieszkanie. Maya znalazła pracę. Opiekowała się kotami. Pieniędzy z tego nie było, ale koty rzeczywiście czuły się samotne. Jej mieszkanie należało poprzednio do byłej aktorki, Olgi Ježkovej. Wśród innych osiągnięć aktorskich Ježková miała kilka wczesnych wirtualności Nováka. Honoraria rozmnożyła, inwestując w nieruchomości w Czechach, i teraz, po siedemdziesięciu latach, wiodło się jej wcale nieźle. Mgliste praskie zimy spędzała zazwyczaj w szykownym, słonecznym Synaju, robiąc te nieciekawe rzeczy, które robi się na ogół w medycznych uzdrowiskach.

Jej mieszkanie znajdowało się na piętnastym piętrze jednej z siedemdziesięciopiętrowych wież, otaczających kręgiem Pragę, stojących o dwadzieścia minut metrem od starego miasta, była to jednak niewielka cena za przestrzeń i luksusy.

Ježková miała dwa białe, kudłate persy. Koty te wydawały się w jakiś biocybernetyczny sposób zintegrowane z charakterem jej mieszkania, którego cechą dominującą było białe futro: białe futrzane łóżko, biała futrzana toaleta, biała futrzana sala masażu, biała futrzana otomana, biały futrzany terminal sieciowy. Nocami dwa bardzo dziwne urządzenia, przypominające chodzące dziadki do orzechów, wypełzały i czesały to wszystko zębami.

* * *

Dwudziestego kwietnia Maya wzięła sprzęt i pojechała do mieszkania Emila. Emil był na miejscu. Pracował. Otworzył drzwi ubrany w wysmarowany gliną fartuch.

— *Ciao,* Emil — powiedziała Maya.

— *Ciao* — odparł Emil, uśmiechając się ostrożnie.

— Jestem fotografem.

— Och, bardzo mi miło. — I Emil otworzył drzwi.

W pracowni była z nim dziewczyna. Miała włosy do pasa, kowbojski kapelusz, kurtkę wykończoną futerkiem oraz spodnie. Zajadała gulasz. Była Japonką. I była śliczna.

— Jestem fotografem — przedstawiła się Maya. — Przyszłam zrobić dokumentację fotograficzną najnowszych prac Emila.

Dziewczyna skinęła głową.

— Nazywam się Hitomi — oznajmiła.

— *Ciao,* Hitomi, *jmenuji se Maya.*

— On ma kiepską pamięć — powiedziała przepraszająco Hitomi. — Nie spodziewaliśmy się ciebie. Chcesz gulaszu?

— Nie, dziękuję. Hitomi, czy ty fotografujesz?

— Och nie, skąd — zaprotestowała energicznie dziewczyna. — Przywędrowałam z Japonii, my nienawidzimy aparatów fotograficznych.

Maya oczyściła stół do pracy, przykryła go zmieniającym kolor fotoplastykiem i ustawiła trójnóg. Białą porcelanę najlepiej fotografować na białym. Ukośne światło, ukazujące wnętrze filiżanek i talerzyków. Przy dzbanach i urnach liczy się tylko kształt, dotykalność. Myślała o tych zdjęciach dniami i nocami. W głowie ułożyła już sobie cały plan.

Nauczyła się doceniać wspaniałe właściwości włókna optycznego. Z włóknem optycznym można było zrobić prawie wszystko, można było dostroić je do każdej barwy spektrum, wygiąć w każdy kształt, włókno świeciło z dowolnym natężeniem na dowolnym odcinku swej długości. Dawało miękkie, równe cienie. Dawało ostre rzeźbiarskie cienie. Dawało głębokie cienie przy podświetleniu od tła. Można było je też podkręcić celem zwiększenia kontrastowości.

Novák powiedział jej, że jeśli fotografuje się dla cieni, reszta przyjdzie sama. Novák powiedział jej, że cały sekret tkwi w cieniach. Novák powiedział jej, że w ciągu dziewięćdziesięciu lat nie udało mu się w pełni opanować cieni. Novák powiedział jej jeszcze bardzo wiele różnych rzeczy, a ona słuchała go, jak jeszcze nigdy w życiu nie słuchała nikogo. Wieczorami wracała do domu, robiła notatki, karmiła koty aktorki i dzień po dniu myślała o fotografii, marzyła o fotografii, żyła fotografią.

— Jak to dobrze, że tak doskonale znasz się na swojej pracy — powiedział serdecznie Emil. — Niektórych dzieł nie oglądałem od… od bardzo długiego czasu.

— Nie chcę odrywać cię od pracy, Emilu.

— Och, nie, kochanie, cała przyjemność po mojej stronie. — Emil nosił za nią sprzęt, przestawiał naczynia i w ogóle był bardzo pomocny.

Bardzo chciała zabrać zdjęcia do kociego mieszkania, dotknąć ich różdżką, ale różdżka wywoływała nałóg niemal natychmiast. Kiedy dotarło się na poziom pixeli, nie było już końca wyostrzaniu, zamazywaniu, skręcaniu, miksowaniu. Wiedza o tym, kiedy się zatrzymać, co pominąć, była równie ważna co postprodukcyjna zręczność. Elegancja tkwi w oszczędności. Maya wydrukowała więc zdjęcia na miejscu, na pożyczonym od Nováka scrollerze. Następnie zdmuchnęła kurz z albumu i ułożyła je porządnie.

— Jakie piękne — powiedział szczerze Emil. — Nikomu nie udało

się jeszcze oddać takiej sprawiedliwości mym pracom. Uważam, że powinnaś je podpisać.

— Nie, nie sądzę, by było to wskazane.

— To milo z twojej strony, że przyszłaś. Ile jestem ci winien?

— Nic, Emilu. To takie uczniowskie wprawki. Po prostu zdobywam doświadczenie.

— Nikogo pracującego z takim zapałem nie powinno nazywać się uczniem — powiedział z galanterią Emil. — Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wpadniesz. A może pracowaliśmy już ze sobą? Mam takie wrażenie, jakbym cię znał.

— Naprawdę? Masz takie wrażenie?

Hitomi przysunęła się do nich drobnymi kroczkami. Objęła Emila smukłym ramieniem.

— To nie byłaś ty — stwierdził Emil, przeglądając album. — Twoje zdjęcia są znacznie lepsze od innych.

— Być może spotkaliśmy się w Tête du Noyé — podpowiedziała Maya, nie umiejąc się powstrzymać. — Bywam tam dość często. Wpadniesz? Wkrótce jest spotkanie.

Emil obrzucił Hitomi zakochanym spojrzeniem. Ujął jej smukłą dłoń.

— Nie, nie — powiedział. — Już tam nie chodzimy.

* * *

— Miło mi będzie zobaczyć mojego starego przyjaciela Klausa — mówił po czesku Novák, kiedy szli ulicą Mikulandską. — Kiedyś przychodził na moje wtorki.

— *Opravdu?* — zainteresowała się Maya.

— Prawdę mówiąc, były to wtorki Mileny. Nasi przyjaciele udawali zawsze, że przychodzą do mnie, ale, oczywiście, nikt by nie przyszedł, gdyby nie Milena.

— A potem Klaus poleciał na Księżyc?

— Tak, owszem… nasz stary Klaus w owych czasach nie miał prawie włosów. Był mikrobiologiem na Uniwersytecie Karola. Razem zrobiliśmy serię eksperymentalnych pejzaży, używając bakterii fotoabsorpcyjnych. Podstawialiśmy pod światło kulturę w pożywce. Trwało to wiele dni. Mikroorganizmy rozwijały się tylko, kiedy było jasno. Te dzieła wyglądały niczym organiczne dagerotypy. Potem przez całe tygodnie patrzyliśmy, jak płytki gniły. Czasami… właściwie nawet zdumiewająco często, w procesie rozpadu powstawały dzieła fantastycznej piękności.

— Tak się cieszę, że zgodziłeś się na spotkanie z moimi przyjaciółmi, Josefie. Tyle to dla mnie znaczy.

Novák uśmiechnął się i zaraz spoważniał.

— Ach, te małe praskie społeczności emigrantów — powiedział. — Ich członkowie podziwiają być może naszą architekturę, ale nie poświęcają należnej uwagi nam, Czechom. Być może jeśli dopadniemy ludzi wystarczająco młodych, nauczymy ich lepszych manier.

Novák wypowiedział te słowa niedbale, ale uczesał się przecież starannie, ubrał przyzwoicie i zadał sobie trud włożenia sztucznej ręki. Zgodził się towarzyszyć Mayi, ponieważ Maya zdobyła sobie co najmniej odrobinę jego szacunku.

A przy okazji nieco lepiej poznała swego nauczyciela. Tkwiły w nim złoża złośliwości, interesowności, nawet wściekłości, jak niebieskie żyły w starym serze, ale nie świadczyły one przecież o tym, że jest człowiekiem z gruntu złym. Już raczej można było mówić o uporze, o dzikiej, upartej walce o bycie sobą. Josef Novák nie poddawał się światu. Przez dziesięciolecia, otwarcie i na pokaz, żył w sposób, w który ona ośmielała się żyć wyłącznie w najgłębszej głębi serca. Choć nigdy nie wydawał się szczęśliwy i prawdopodobnie nawet nigdy nie był szczęśliwy, nigdy także nie dał na siebie wpłynąć. Był całkowicie i wyłącznie Josefem Novákiem. I miał nim pozostać do dnia śmierci.

Maya oceniła, że umrze najprawdopodobniej w ciągu pięciu lat. Był słaby i uległ niegdyś ciężkiemu wypadkowi. Mógł oczywiście przedsięwziąć pewne kroki, by przedłużyć sobie życie, ale walkę o przedłużenie życia oceniał, zdaje się, jako coś po prostu wulgarnego. Josef Novák miał sto dwadzieścia jeden lat — ludzie z jego pokolenia nie spodziewali się żyć tak długo. Był zabytkiem, Maya jednak uważała za niesprawiedliwy niezaprzeczalny fakt jego śmiertelności. Novák często mówił o śmierci i śmierć najwyraźniej go nie przerażała, Mayi jednak wydawało się, że sam wszechświat powinien w jakiś sposób dozwolić, by Josef Novák żył wiecznie. Josef Novák był jej nauczycielem, ona zaś nauczyła się go kochać.

Tego wieczora w Tête panowała nadzwyczaj ożywiona atmosfera. Przyszło znacznie więcej osób, niż się spodziewała, a w powietrzu unosiło się napięte oczekiwanie, którego nigdy przedtem tu nie wyczuła. Wraz z Novákiem zalogowali się w barze. Novák wyciągnął sztuczne ramię na jakieś cztery metry i łagodnie poklepał Klausa w kask. Klaus odwrócił się, zaskoczony, a potem uśmiechnął się szeroko. Dwaj starzy mężczyźni zaczęli ożywioną rozmowę po czesku.

— *Ciao,* Maya.

— *Ciao,* Marcel.

Maya dobrze poznała Marcela na sieci — przynajmniej w stopniu,

w jakim ktokolwiek mógł znać Marcela. Rudowłosy, wymowny Marcel nie przestawał gadać, nie narzucał się jednak i nie wydawał swych sekretów. Miał dwadzieścia siedem lat i, według własnych obliczeń, zdążył już okrążyć świat trzysta czternaście razy. Marcel nie miał stałego adresu. Nie miał stałego adresu od chwili, gdy skończył dwa lata. Praktycznie mieszkał w pociągach.

Benedetta, uwielbiająca skandale, twierdziła, że Marcel ma syndrom Williamsa. W jego przypadku miał on zostać wywołany specjalnie, poprzez nadmierne powiększenie Fałdy Heschla w zwoju wewnętrznym ucha. Dzięki niemu miał słuch niezwykle wyostrzony i absolutny; był muzykiem i zajmował się sztuczkami dźwiękowymi dla wirtualności. Syndrom Williamsa zdecydowanie podwyższył też jego zdolności werbalne — Marcel był niewyczerpanym źródłem anegdotek, spekulacji, sypał dowcipem w rozmowie, lubował się w paradoksach, myśli wylewały się z niego rzeką, której prąd mógł obrócić kiedyś jakąś umysłową turbinę i…

Benedetta twierdziła, że papież też cierpi na syndrom Williamsa. W tym miała tkwić tajemnica jego wspaniałych kazań.

Benedetta wierzyła, że jest w stanie obrzucić błotem każdego.

— Jakże szykownie wyglądasz, Mayu. Jak to cudownie spotkać cię w formie fizycznej. — Marcel miał na sobie płaszcz, w całości pokryty planami miast. Żył w tym płaszczu, spał w nim i używał go jako nawigacyjnej pomocy. Teraz, kiedy Maya wiedziała już, że jest on tak przyziemnie użyteczny, płaszcz Marcela z jakiegoś powodu przestał wydawać się jej aż tak żywy. Paul opisałby to wrażenie jako błąd kategoryzacji.

Maya pocałowała Marcela w brodaty policzek.

— Ciebie też — powiedziała.

— Gratuluję ci włoskiej sesji. Mówią, że Vietti umiera z chęci powtórzenia tego przedsięwzięcia.

— Giancarlo nie umiera, kochanie, nie rób sobie przesadnych nadziei.

— Jak widzę, przyprowadziłaś swego sponsora. Swojego fotografa. Jest twoim aktualnym chłopcem?

— Jest moim nauczycielem, Marcelu. Nie zachowuj się aż tak niezręcznie.

— Ustawiłem sobie sieć na czytanie twoich listów po francusku — powiedział Marcel. — Żałuję, że piszesz tak rzadko. Po francusku wygłaszane przez ciebie komentarze brzmią wspaniale. Pojawiają się elementy humoru takiego, jakiego nie znajdzie się już w angielszczyźnie.

— Cóż, w dobrych tłumaczeniach zawsze jest coś, czego nie sposób znaleźć w oryginale.

— Widzisz, oto kolejny przykład twego humoru, doskonale. Jak ty

to robisz? Z premedytacją?

— Jesteś bardzo domyślny, kochanie. A teraz, jeśli nie przyniesiesz mi *frappé,* będę chyba musiała cię pocałować.

Marcel przemyślał dostępne mu opcje i przyniósł *frappé.* Maya popijała powoli, przyglądając się gościom, oparta łokciem o bar.

— Dlaczego wszystko tu wydaje się dziś tak *trés* żywe? — spytała.

— A wydaje się? Paul ma pomysł na wiosenną wycieczkę. Wielkie zanurzenie. Mam nadzieję, że się pojawisz?

— Och, wielkiego zanurzenia nie opuściłabym za nic. — Nie miała pojęcia, o czym Marcel mówi. — A gdzie jest Paul?

Paul siedział z grupą kilkunastu ludzi. Oczarował ich.

W tej właśnie chwili z małego podróżnego kanistra wyjął wyrzeźbioną figurkę żaby naturalnej wielkości. Błyszcząca, masywna, sprawiała wrażenie zrobionej z rubinu.

— Czy jest piękna? — spytał. — Może ty mi powiesz, Siergiej?

— No cóż — odparł Siergiej. — Jeśli rzeczywiście jest to produkt Faberge'a, tak jak nam mówiłeś, to oczywiście, jest piękna. Tylko popatrz na jakość wykonania.

— Przecież to żaba, Siergiej. Czy żaby są piękne?

— Oczywiście, żaby mogą być piękne. Masz przed sobą dowód.

— Gdyby ktoś powiedział ci, że jesteś piękny jak żaba, czy ucieszyłby cię ten komplement?

— Zmieniasz kontekst — odparł Sergiej, zirytowany.

— A czy to coś samo z siebie nie zmienia kontekstu? Estetyka opiera się na szoku spowodowanym utratą wiary. Wyobraź sobie ludzi z 1912 roku, pracujących nad rzadkim klejnotem, by miesiąc po miesiącu zmieniać go w żabę. Czy to nie perwersja? I czy to właśnie nie perwersja czyni z tego dzieła dzieło sztuki? To oryginał Faberge'a, stworzony dla arystokratki z carskiego dworu. Społeczeństwo czasów carskich stworzyło kulturę żab z klejnotów.

Słuchający Paula wymienili niepewne spojrzenia. Nikt jednak nie ośmielił się mu przerwać.

— Mimo to jednak, czy mamy uznać, że arystokraci z dworu cara uznawali żaby za piękne? Czy ktoś z was wyobraża sobie, że jakaś arystokratka zamówiła w pracowni Faberge'a piękną żabę? — Paul rozejrzał się po wpatrzonych w niego ludziach. — A jednak możemy sobie wyobrazić, że nasza arystokratka była zachwycona dziełem. Gdy już weszła w jego posiadanie, z pewnością wydało się jej piękne.

— Uwielbiam tę żabę — stwierdziła Maya. — Wcale by mi nie przeszkadzało, gdybym dostała ją na własność.

— I co byś z nią zrobiła, Mayu?

— Postawiłabym ją na biurku i podziwiała codziennie.

— Więc ją sobie weź — powiedział Paul, wręczając jej żabę. Była zdumiewająco ciężka, jakby zrobiono ją ze zwykłego czerwonego

kamienia.

— Oczywiście nie jest to wcale cenne dzieło Faberge'a — powiedział Paul jak gdyby nigdy nic — tylko dokładna muzealna replika. Oryginał zeskanowano laserem z dokładnością do kilku mikronów, a potem urzeczowiono we współczesnych depozytach gazowych. Co dziwniejsze, wprowadzono nawet kilka skaz, tak że sztuczny rubin niczym nie różni się od prawdziwego korundu, czyli autentycznego rubinu. Wykonano w ten sposób około stu żab.

— Och, no tak, oczywiście — powiedziała Maya. Przyjrzała się małej czerwonej żabce. Jakoś mniej się już jej podobała, choć oczywiście nadal niesamowicie przypominała żabę.

— W rzeczywistości zrobiono ich przeszło dziesięć tysięcy. I to wcale nie jest sztuczny rubin. Kłamałem. Żaba jest z plastyku.

— Och!

— I to nawet nie ze świeżego plastyku — bezlitośnie kontynuował Paul — tylko z recyklowanego plastyku śmieciarskiego, wydobytego z dwudziestowiecznych hałd. Udawałem, że to Faberge, żeby udowodnić to, co chciałem udowodnić.

— No, nie — jęknęła Maya. Otaczający Paula słuchacze roześmieli się.

— Żartuję, oczywiście — stwierdził wesoło Paul. — W rzeczywistości jest to oryginał Faberge'a. Został zrobiony w Moskwie w 1912 roku. Czternastu artystów pracowało nad tą żabą pełne pięć miesięcy. To dzieło jedyne w swoim rodzaju, absolutnie niepowtarzalne. Pożyczyłem je z Antikensammlungen w Monachium. Na litość Boską, niech nikt nie ośmieli się jej upuścić.

— A więc lepiej ją ode mnie weź — powiedziała Maya.

— Ależ nie, potrzymaj ją przez chwilę, kochanie.

— Nie mam ochoty. Mutowała tak długo i wytrwale, że aż mnie to zmęczyło.

— A co, gdybym ci powiedział, że to wcale nie jest dzieło Faberge'a? Że w rzeczywistości mamy do czynienia z prawdziwą żabą? Nie ludzką pracą włożoną w dzieło imitujące żabę, lecz z rzeczywistą zeskanowaną żabą ogrodową? Urzeczowioną w… dobrze, sama wybierz sobie materiał.

Maya przyjrzała się rzeźbie. Miło się ją trzymało i, rzeczywiście, było w niej coś, co naprawdę się jej spodobało, ale też bolał ją od niej mózg.

— Tak naprawdę pytasz mnie o to, czy fotografia żaby może być równie piękna, jak obraz przedstawiający żabę, prawda?

— A może?

— Być może są piękne w innych kategoriach — powiedziała Maya i rozejrzała się. — Czy ktoś może to ode mnie wziąć?

Siergiej wyjął jej z rąk żabę, udając swobodnego i wykonał taki

gest, jakby miał zamiar rozbić ją o stół.

— Nie rób tego — powiedział cierpliwie Paul. — Przed chwilą ją przecież podziwiałeś. Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Maya odeszła poszukać Benedetty. Odnalazła ją w grupce stojącej przy barze.

— *Ciao,* Benedetta.

Benedetta wstała i objęła ją.

— Słuchajcie, to Maya — powiedziała po włosku.

Benedetta przyprowadziła ze sobą włoskie towarzystwo. Ludzi uprzejmych, spokojnych, patrzących przed siebie nieruchomym wzrokiem i wspaniale się kontrolujących. Wszyscy oni sprawiali wrażenie bardzo inteligentnych, bardzo pewnych siebie i całkiem nieźle ubranych. Nie wyglądali na niebezpieczniejszych od wszystkich poznanych do tej pory przez Mayę dzieciaków.

Benedetta miała fajnych przyjaciół.

I, oczywiście, wszystkimi przyjaciółmi Benedetty były kobiety.

Benedetta znalazła jej kawałek miejsca za stołem.

— Bardzo mi przykro, że nie znam włoskiego — powiedziała Maya, siadając. — Mam tłumacza, ale będę musiała mówić po angielsku.

— Chcemy wiedzieć, co cię łączy z Viettim? — spytała cicho jedna z kobiet.

Maya wzruszyła ramionami.

— Uważa mnie za ładną. To wszystko.

— A co cię łączy z Martinem Warshawem?

Maya zerknęła na Benedettę, zaskoczona i urażona.

— No… jeśli chcecie, dobrze. To był jego pałac. Wiecie o pałacu?

— Wiemy wszystko o pałacu. A co cię łączy z Mią Ziemann?

— Kto to taki?

Przesłuchująca ją kobieta wzruszyła ramionami i rozparła się na kanapie. Lekceważąco machnęła ręką.

— Jesteśmy durne, ufając tej osobie — stwierdziła.

— Oczywiście, że jesteśmy — przytaknęła z zapałem Benedetta. — Jesteśmy durne, ufając sobie nawzajem. Jesteśmy durne, ufając komukolwiek, a teraz może powiesz mi, czy znasz lepsze miejsce na zainstalowanie tych maszyn?

— Benedetto, kim one właściwie są?

— To matematyczki — odparła Benedetta. — Programistki. Buntowniczki. I wizjonerki.

Radykalna studenteria, pomyślała Maya. Zapaleńcy z wyobraźnią, której nie krępuje cudowny brak wiedzy.

— Która z nas jest najstarsza? — spytała ostrożnie.

— Ależ oczywiście, że ty — zdziwiła się Benedetta.

— Dobrze, zapomnijmy o rym pytaniu. A w ogóle, to co to

wszystko ma wspólnego ze mną?

— Narysuję ci pewien obrazek — powiedziała Benedetta. Rozłożyła przed sobą furoshiki, zza ucha wyciągnęła stylus. — Pozwól, że podam ci pewne interesujące fakty z życia. Dotyczą kompleksu przemysłowo-medycznego. — Dwoma szybkimi ruchami narysowała osie „X" i „Y". — Oś pozioma oznacza czas — wyjaśniła. — Oś pionowa zaś spodziewany wzrost długości życia. Z każdym minionym rokiem spodziewana średnia życia wydłuża się o miesiąc.

— Tak?

— Wzrost nie jest idealnie linearny. Stopień przyrostu długości życia wzrasta. W końcu, wskaźnik przyrostu osiągnie rok na rok. W tym momencie ludzie staną się praktycznie nieśmiertelni.

— Jasne. Oczywiście. Może.

— No, w rzeczywistości nie będzie to żadna prawdziwa nieśmiertelność. Nadal będzie się umierać w wypadkach i w ogóle. W momencie styku — Benedetta naszkicowała w odpowiednim miejscu małe „x" — średnia ludzkiego życia, wliczając w to wypadki, będzie wynosiła czternaście tysięcy pięćdziesiąt lat.

— Jakie to wspaniałe… dla tych ludzi.

— Pierwsze pokolenie żyjące w momencie osiągnięcia styku będzie też pierwszą prawdziwą gerontokracją. Będzie gerontokracją nie wymierającą. Pokolenie to zdominuje kulturę w nieskończoność.

— Wiesz, ja już słyszałam te rzeczy, kochanie. Bardzo przyzwoity slogan reklamowy, a poza tym teoria ta wygląda rzeczywiście interesująco.

— Niegdyś rzeczywiście była to teoria. Dla ciebie to nadal wyłącznie teoria, dla nas jednak rzeczywistość. Mayu, przecież my jesteśmy tym pokoleniem. Jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy urodzili się we właściwej chwili. Jesteśmy pierwszymi prawdziwymi nieśmiertelnymi.

— Jesteście pierwszymi nieśmiertelnymi? — powtórzyła powoli Maya.

— Jesteśmy — przytaknęła Benedetta, wtykając stylus z powrotem we włosy — a co więcej, wiemy, że jesteśmy.

— Więc czemu spotykacie się w jakimś nędznym artystycznym barku niczym grupka politycznych spiskowców?

— No, gdzieś musimy się spotykać. — Benedetta uśmiechnęła się.

— Przecież musiało to być jakieś pokolenie — stwierdziła zrzędliwie jedna z kobiet. — I padło na nasze. Nie zaimponowałyśmy ci, prawda? Nigdzie nie jest powiedziane, że miałyśmy ci zaimponować.

— A więc rzeczywiście wierzycie, że jesteście nieśmiertelne. — Maya przyjrzała się wykresowi na furoshiki. — A co, jeśli w waszych obliczeniach jest błąd? A jeśli stopa wzrostu zmaleje?

— Może to być poważnym problemem — zgodziła się z nią Benedetta. Wyciągnęła stylus i ostrożnie poprawiła linię wykresu. — Widzisz? Fatalna sprawa. Będziemy żyć tylko dziewięćset lat.

Maya przyjrzała się prostemu lecz tragicznemu wykresowi. Dla niej linia szła w górę. Dla nich pięła się w niebo jak rakieta.

— Przecież oznacza to, że nie mam szansy — powiedziała przygnębiona. — Z twego wykresu wynika, że dla mnie wszystko skończone.

Benedetta skinęła głową, zachwycona tym, że Maya zaczęła coś pojmować.

— Tak, kochanie, wiemy — powiedziała. — Ale wcale nie mamy ci tego za złe, mówię szczerze!

— Nadal potrzebujemy pałacu — powiedziała jedna z jej przyjaciółek.

— A po co potrzebny wam pałac?

— Zamierzamy zainstalować w nim parę rzeczy — oznajmiła Benedetta.

Maya zmarszczyła brwi.

— Na litość Boską, czy nie dość już dzieje się w tym moim pałacu? O jakich, rzeczach mówicie?

— Świadomościowych. Percepcyjnych. O fabrykach programów świętego płomienia.

Maya zastanowiła się nad tymi słowami. Cała sprawa wydawała się, w najlepszym razie, mglista.

— Co spodziewacie się zyskać?

— Spodziewamy się zyskać sposób odmienienia nas samych, a także szansę popełniania własnych błędów zamiast powtarzania cudzych. Mamy nadzieję, że zajmiemy się sztuczkami i zasłużymy na naszą nieśmiertelność.

— Naprawdę oczekujecie, że uda wam się przeprowadzić… jakby to powiedzieć… swego rodzaju radykalne przemiany świadomości? Wyłącznie dzięki wirtualności?

— Nie przy tych protokołach, na których użycie zezwala się nam dziś. Oczywiście nie uda się dokonać tego pod okiem pomocy obywatelskiej, ponieważ publiczne sieci zaprojektowano w ten sposób, by były absolutnie pewne i bezpiecznie. Ale przy użyciu protokołów, których oni jeszcze nawet sobie nie wyobrazili… tak, Mayu. Dokładnie tego spodziewamy się dokonać w wirtualności. Maya westchnęła.

— Pozwólcie, że ujmę to w najprostszych słowach — powiedziała. — Macie zamiar otworzyć mój pałac i zainstalować tam nowiutkie, nielegalne, grożące uszkodzeniami mózgu systemy wirtualne?

— Wzbogacenie świadomości, to brzmi znacznie lepiej — zauważyła Benedetta.

— Nie wierzę, że mówisz serio, Benedetto. Przecież to czyste szaleństwo, sprawiające wrażenie poronionego pomysłu narkomanów.

— Gerontokraci zawsze popełniają ten sam błąd: mylą kategorie — stwierdziła z pogardą Benedetta. — Programy to nie neurochemia. My… nasze pokolenie… my znamy wirtualność. Dorastaliśmy z nią. To świat, którego dzisiejsi starcy po prostu nie są w stanie zrozumieć.

— Z pewnością nie żartujecie. — Maya powoli rozejrzała się po twarzach Benedetty i jej przyjaciółek. — Jeśli to, co mi powiedziałyście jest prawdą… nie możecie przegrać, prawda? Pewnego dnia będziecie rządziły światem. Więc po co narażać się teraz? Nie lepiej byłoby trochę poczekać? Poczekać, póki nie dotrzecie do tego małego krzyżyka na wykresie?

— Nie możemy czekać. Kiedy osiągniemy punkt zbiegu, musimy być nań przygotowane. Musimy być go warte. W innym przypadku staniemy się tak niezmienne i głupie, jak ludzie, którzy rządzą dziś. Tyle że dziś rządzą nami śmiertelni, ci rządzący okażą się w końcu na tyle uprzejmi, by umrzeć. My jednak będziemy nieśmiertelne, nie umrzemy. Jeśli po objęciu władzy zaczniemy postępować według ich zasad, zanudzimy świat na śmierć. Jeśli raz powtórzymy ich błędy, nasze pokolenie będzie je powtarzać w nieskończoność. Ich wygodny mały raj starych ciot stanie się naszą permanentną tyranią.

— Słuchajcie, nigdy się wam nie uda — powiedziała szczerze Maya. — To, co planujecie, jest niebezpieczne. To bezmyślny, głupi, ekstrawagancki gest, mogący wyłącznie ściągnąć wam kłopoty na głowę. Z pewnością odkryją, co tam robicie i z pewnością was znajdą. Nigdy się wam nie uda utrzymać czegoś w sekrecie przed ugodą, i to przez osiem lat. Dajcie spokój, jesteście tylko bandą dzieciaków. Ja jestem gerontokratką i nie potrafię utrzymać sekretu przez głupie trzy tygodnie.

Nagle odezwała się trzecia z kobiet. Do tej pory właściwie nie zabierała głosu. Teraz zabrała głos, i to bardzo dyplomatycznie.

— Pani Ziemann — powiedziała — jest nam bardzo przykro, że odkryłyśmy pani tajemnicę. Nie było naszą intencją ingerowanie w pani sekretne życie.

— Nie jest ci przykro nawet w połowie tak, jak mnie, kochanie.

Dziewczyna zdjęła spexy.

— Nikomu nic nie powiemy — obiecała. — Nigdy. Dowiedziałyśmy się, kim pani jest naprawdę, pani Ziemann, ale po prostu musiałyśmy sprawdzić. To, co odkryłyśmy, wcale nas nie zszokowało. Nawet w najmniejszym stopniu! Prawda?

Rozejrzała się po twarzach przyjaciółek. Przyjaciółki dzielnie udawały, że wcale ich to nie zszokowało.

— Jesteśmy współczesnymi młodymi ludźmi — mówiła dalej

mała dyplomatka. — Nie przejmujemy się staroświeckimi przesądami. Podziwiamy panią. Przyklaskujemy pani postępowaniu. Jest pani dla nas wzorem do naśladowania. Naszym zdaniem jest pani wspaniałym postczłowiekiem.

— Bardzo to miłe i uprzejme — stwierdziła Maya. — Prawie wzruszyłam się twoimi słowami. Wzruszyłabym się nimi gdyby nie to, że wiem, iż prawisz mi komplementy. Że chcesz mnie wykorzystać.

— Proszę, niech pani spróbuje nas zrozumieć. Nie jesteśmy nieostrożne. To, czego pragniemy dokonać, dowodzi prawdziwej dalekowzroczności. Robimy to, co robimy, bo wierzymy, że nasze pokolenie musi mieć jakiś cel. Jesteśmy gotowe ponieść konsekwencje naszych czynów. To prawda, jesteśmy młode i niedoświadczone, ale przecież musimy działać. Nawet jeśli nasze działanie miałoby skończyć się aresztowaniem. Nawet gdyby miano nas za to surowo ukarać. Nawet gdyby miano nas za to wysłać aż na księżyc.

— Dlaczego? Dlaczego chcecie ponieść tak wielkie ryzyko? Nigdy nie wystąpiłyście o oficjalne pozwolenie, nie skierowałyście projektu do odpowiednich władz, nie pomyślałyście nawet, by postąpić legalnie. Co daje wam prawo zmieniania zasad, na jakich działa świat?

— Jesteśmy naukowcami.

— Nigdy nie poddałyście swego projektu pod głosowania, w każdym razie ja o niczym takim nie słyszałam. Wasza propozycja nie została odpowiednio przedyskutowana. To niedemokratyczne. Nie macie wyrażonej świadomie zgody ludzi, których życie tak czy inaczej ulegnie zmianie. Co wam daje prawo zmieniania sposobu myślenia innych?

— Jesteśmy artystkami.

Jedna z kobiet wtrąciła się nagle, po włosku.

— Słuchajcie — powiedziała — ja prawie nie rozumiem tego cholernego angielskiego, a w ogóle polityka po angielsku jest najgorsza. Ale ta kobieta z pewnością nie ma stu lat. W tym musi być jakieś oszustwo.

— Ona naprawdę ma sto lat — upewniła ją Benedetta, spokojnie lecz z naciskiem — i, co więcej, płonie w niej święty płomień.

— Nie uwierzę. Założę się, że jej zdjęcia cuchną śmiercią, dokładnie tak jak zdjęcia Nováka. Chyba rzeczywiście jest śliczna, ale, na litość Boską, idiotka też może być śliczna. Żaden problem.

— Zróbcie, co chcecie — powiedziała Maya.

Benedetta cała aż się rozjaśniła.

— Naprawdę? Serio mówisz?

— Zróbcie co chcecie. Oczywiście, że mówię serio. Mój los nic mnie nie obchodzi. Jeśli wam się uda… jeśli w ogóle będziecie miały szansę… jeśli oni pomyślą, że macie szansę… usmażą mnie żywcem. Nie ma to jednak najmniejszego znaczenia, ponieważ mnie i tak

dopadną, wcześniej czy później. Nie mam wyjścia. Zdaję sobie z tego sprawę. Jestem dziwolągiem. Gdybyście cokolwiek o tym wiedziały, gdybym obchodziła was w najmniejszym nawet stopniu, zdawałybyście sobie z tego sprawę. Już lepiej zróbcie, co macie zamiar zrobić. I zróbcie to szybko.

Wstała, przewracając stołek, i odeszła.

Znalazła się przy stole Paula. Cierpiała, lecz kąpanie się w niejasnej otaczającej Paula aurze i tak było o wiele lepsze niż siedzenie samej. Paul popijał *limoncello.* Uśmiechnął się. Przed nim, na stole, leżała nowa furoshiki z widocznym na niej, niczym na gobelinie, pięknym, pointylistycznym zachodem słońca.

— Czy ów zachód słońca jest piękny? — spytał Paul.

— To zależy — odpowiedział ktoś bardzo ostrożnie.

— Nie powiedziałem wam, że przekształciłem paletę barw. — Paul poklepał furoshiki paznokciem. Zachód słońca zmienił się radykalnie. — Widzicie tu prawdziwy, oryginalny zachód słońca. Czy jest on piękniejszy od mej odmienionej wersji?

Tym razem nikt mu nie odpowiedział.

— Załóżmy, że potrafilibyście manipulować prawdziwym zachodem słońca, potrafilibyście bez ograniczeń zmieniać właściwości atmosfery. Załóżmy, że potrafilibyście podkręcić czerwienie, a stłumić żółcień, jak wam dyktuje kaprys. Czy potrafilibyście stworzyć piękniejszy zachód słońca?

— Tak — powiedział ktoś.

— Nie — odparł ktoś inny.

— Rozważmy marsjański zachód słońca widziany z jednego z marsjańskich stanowisk teleprezencji. Zachód słońca na innej planecie, zachód słońca, którego nie jesteśmy w stanie doświadczyć zmysłowo, w naszym własnym ciele. Czy zachody słońca na Marsie są mniej piękne dlatego, że nie jesteśmy w stanie doświadczać ich bez pośrednictwa maszyny?

Milczące cierpienie.

Na szczycie schodów pojawiła się kobieta w ciężkiej, podbitej pelerynie i szarych aksamitnych rękawiczkach, w trójskrzydłowym kapeluszu na głowie, z błyszczącymi spexami, w białej bluzce z rozpiętym kołnierzem; na szyi miała naszyjnik z ciemnego, rzeźbionego drewna. Jej profil był dowodem na istnienie klasycznej perfekcji: prosty nos, pełne usta, szerokie czoło — oto pojawiła się wśród nich modna siostra Statuy Wolności.

Kobieta zeszła po schodach ze sceniczną pewnością primabaleriny. Szła z czymś więcej niż wdzięk — szła z pewnością siebie, jaką daje tylko wtajemniczenie w sztuki walki. Ciągnęła za sobą dwa małe białe pieski.

W Tête de Noyé zapadła martwa cisza.

— *Bonsoir à tout le monde* — powiedziała nieznajoma, uśmiechając się uśmiechem sfinksa.

Paul wstał szybko. Wykonał gest będący w części zaproszeniem, a w części ukłonem. Jego słuchacze, zorientowawszy się, że rzeczywiście chce rozmawiać z tą kobietą, w panice uciekli od stolika.

Paul wskazał nowo przybyłej stołek.

— Wyglądasz doskonale, Heleno — powiedział. — Czego się napijesz?

Policjantka usiadła, elegancko rozpościerając pelerynę.

— Napiję się tego, co pije dżentelmen w kombinezonie — odparła po angielsku. Odczepiła delikatne, lśniące smycze swych piesków — jakby tego rodzaju pieski rzeczywiście potrzebowały smyczy.

Paul natychmiast podniósł rękę, sygnalizując, że chce złożyć zamówienie.

— Bawiliśmy się właśnie w dyskusję o estetyce — powiedział.

Helene Vauxcelles-Serusier zdjęła spexy, złożyła je i schowała w rozcięciu peleryny. Maya gapiła się na nią zdumiona. Naturalne oczy Heleny, szare z pobłyskiem stali, zdumiewająco piękne, nieprawdopodobnie skupione, onieśmielały bardziej niż jakikolwiek komputerowy zestaw wzrokowy.

— Jakimiż to czarującymi rzeczami się zajmujesz, Paul?

— Helene, jak sądzisz, czy zachód słońca oglądany za pomocą środków technicznych może być piękniejszy od naturalnego zachodu słońca?

— Kochanie, naturalny zachód słońca nie istnieje co najmniej od czasu Rewolucji Przemysłowej. — Helene zerknęła niedbale na Mayę, po czym przeszyła ją wzrokiem niczym motyla szpilką. — Proszę, nie stój tak tam, moje dziecko. Usiądź z nami. Czy kiedyś już się spotkałyśmy?

— *Ciao,* Helene. Jestem Maya.

— Ach, oczywiście. Dziewczyna Viettiego, na sieci. Byłam pewna, że skądś cię znam. Jesteś taka śliczna.

— Bardzo pani dziękuję — powiedziała Maya. Helene studiowała ją z poważnym zainteresowaniem i głęboką łaskawością. Maya czuła się dokładnie tak, jakby ją prześwietlano.

— Jesteś urocza, kochanie. I nie masz w sobie za grosz groźnej tajemniczości, tak widocznej na zdjęciach tego okropnego starca.

— Ten okropny starzec stoi tuż obok, przy barze.

— Ojej! — Helene pozostała nieporuszona. — Nigdy nie byłam taktowna, prawda? Naprawę, powinnam bardziej uważać. Będę musiała podejść do twojego przyjaciela Josefa i przeprosić go z głębi serca.

Wstała i podeszła do baru.

— Wielkie nieba, Paul. — Maya odprowadziła ją wzrokiem.

Helene sprawiała wrażenie, że płynie w powietrzu. — Jeszcze nigdy, ale to nigdy…

Paul uczynił najdelikatniejszy możliwy gest, przeciągając dłonią po gardle, po czym opuścił wzrok. Maya zamknęła się i spojrzała w dół. Jeden z psów spoglądał na nią z chłodnym, zaawansowanym technicznie napięciem sondy międzyplanetarnej.

Pojawiła się Bouboule, trzeźwa i niespokojna.

— *Ciao,* Maya — powiedziała.

— *Ciao,* Bouboule.

— Kilka dziewczyn ma zamiar wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Idziesz z nami? Tylko na chwilę.

— Oczywiście, kochanie. — Maya spojrzała na Paula wymownie. Paul odpowiedział jej spojrzeniem męskim, pełnym bohaterskiego spokoju żołnierza w okopach pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Przez chwilę miała ochotę przywiązać do niego jedwabną flagę.

Wraz z Bouboule wyszły przez nie oznaczone drzwi z tyłu baru. Wspięły się dwa piętra po stromych, krętych schodach z metalową poręczą. Bouboule miała ze sobą małpkę. Maya jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa, że widzi małpkę.

Bouboule przeprowadziła je przez zawalony gratami strych, a potem czekała je jeszcze wspinaczka po czarnej żelaznej drabinie. Bouboule odrzuciła ciężką drewnianą klapę i oto znalazły się wreszcie na stromym, antycznym, wyłożonym dachówką dachu Tête du Noyé. Nadeszła wiosna i wiatr przegnał wreszcie praskie zimowe chmury. Na niebie świeciły odnowione gwiazdy.

Bouboule z trzaskiem zamknęła klapę.

— Teraz możemy chyba porozmawiać bezpiecznie — odezwała się po raz pierwszy.

— Skąd się tu dziś wzięła ta glina?

— Czasami przychodzi, czasami nie — odparła ponuro Bouboule. — Nic nie możemy na to poradzić.

Noc była piękna, chłodna i spokojna. Małpka pogadywała coś zdenerwowana.

— Uspokój się, Patapouff — skarciła ją Bouboule po francusku. — Tej nocy musisz mnie pilnować. — Małpka chyba zrozumiała jej słowa. Poprawiła mały cylinder na łebku i rozejrzała się dookoła wzrokiem najgroźniejszym, na jaki zdolny był zdobyć się dwukilogramowy naczelny.

Maya wraz z Bouboule wspięły się na szczyt dachu, na którym, na pozieleniałych wygiętych dachówkach, mogły usiąść mniej więcej wygodnie.

Klapa uniosła się znowu. Na dach wyszli Benedetta i Niko.

— Czy jej chodzi o nas? — spytała z niepokojem Benedetta.

Bouboule wzruszyła ramionami. Pociągnęła nosem.

— Nie powiedziałam! Wy i ta wasza polityka, utrzymujecie wszystko w tak głębokiej tajemnicy, że nie mogłabym powiedzieć, nawet gdybym chciała.

— *Ciao,* Niko — powiedziała Maya. Wyciągnęła rękę i pomogła Niko wspiąć się na dach.

— Jeszcze nie spotkaliśmy się fizycznie — powiedział Niko — ale to, co piszesz na sieci, jest wyjątkowo zabawne.

— Bardzo to słodkie, co powiedziałeś.

— Siniak zszedł mi z oka, które podbiła twoja przyjaciółeczka Klaudia, więc zdecydowałem, że i tak cię lubię.

— To bardzo miło z twojej strony, mój kochany Niko. Jesteś wyjątkowo wyrozumiały.

— Zimno tu — poskarżyła się Bouboule, obejmując się ramionami. — Jakie to idiotyczne, że jedna policjantka jest w stanie nas do tego doprowadzić. Za dwie marki zeszłabym na dół i dała jej po twarzy.

— Dlaczego nazywają ją Wdową? — zainteresowała się Maya. We czwórkę siedzieli teraz w kucki na szczycie dachu, jak cztery żywe sroki. Pytanie to wydawało się idealnie pasować do sytuacji.

— No cóż — wyjaśniła jej Bouboule — większość kobiet w późniejszym okresie życia traci zainteresowanie seksem. Ale Wdowa, nie. Wdowa wychodzi za mąż raz za razem.

— I zawsze poślubia ludzi w pewnym typie — dodała Benedetta. — Artystów. Artystów, którzy niszczą się sami.

— Martwych przed czterdziestką — dodał Niko. — Bez pudła.

— Próbuje ocalić biednych utalentowanych chłopaków przed nimi samymi — wyjaśniła Benedetta.

— No i jak, miała szczęście? — spytała Mia.

— Jak na razie pogrzebała sześciu — powiedziała Bouboule.

— Z pewnością cierpiała — użaliła się nad Helene Maya.

— Jedno trzeba przyznać — powiedziała Benedetta. — Nigdy nie wychodzi za mąż póki sytuacja jej narzeczonego nie jest krytyczna. Sądzę, że rzeczywiście utrzymuje ich przy życiu przez jakiś czas. Mogą pracować.

— Każdy chłopak w jej łóżku za bardzo się boi umrzeć — stwierdził słodko Niko.

Bouboule skinęła głową.

— A kiedy później sprzedaje ich dzieła, zawsze dostaje najwyższe ceny. Tworzy opinię na rynku sztuki! Pięknie zagrane. Nie wiedziałaś?

— Rozumiem — powiedziała Maya. — W takim razie jest to *coup de grace.* Miłosierdzie.

Benedetta kichnęła, a potem pomachała dłonią.

— Pewnie się zastanawiacie, dlaczego dziś was tu zaprosiłam — powiedziała.

Maya podparła głowę na dłoni.

— Może nam powiesz — zasugerowała.

— Kochanie, chcemy uczynić cię jedną z nas.

— Naprawdę?

— Ale najpierw musisz zdać egzamin.

— Egzamin. Oczywiście.

Benedetta wyciągnęła rękę ponad dachem, który rozciągał się nad całym barem. Po jego przeciwnej stronie na metalowych wspornikach wznosiła się w niebo płytka czara. Antena satelitarna Klausa. Dzieliło ją od nich jakieś dwadzieścia metrów.

— Tak? — zainteresowała się Maya.

Benedetta wyjęła stylus z włosów. Ustawiła maleńkie pokrętło, po czym pochyliła się i ostrożnie dotknęła nim ceramicznej dachówki. Trysnęły iskry. Na dachówce pojawiła się wypalona czarna linia.

— Podpisz naszą listę członkowską — powiedziała Benedetta, wręczając Mayi stylus.

— Świetnie. Doskonały pomysł. Gdzie mam podpisać?

— Podpisujesz tam. — Benedetta wskazała jej antenę.

— Trzeba do niej dojść — wyjaśnił Niko.

— Chodzi ci o to, że mam przejść stąd tam, po kalenicy dachu?

— Jaka ona mądra — zauważyła Bouboule, zwracając się do Niko. Niko radośnie skinął głową.

— Mam po prostu przejść dwadzieścia metrów po kalenicy śliskiego, krytego dachówką dachu trzypiętrowego domu? Tego ode mnie chcecie, prawda? — spytała Maya.

— Pamiętasz może tę naszą żywą przyjaciółkę z Rzymu? Małą Natalie? — spytała Benedetta.

— Natalie? Oczywiście. Dlaczego pytasz?

— Prosiłaś, żebym tak trochę zaopiekowała się twoją małą Natalie.

— Owszem. Prosiłam.

— No więc zaopiekowałam się nią — powiedziała Benedetta. — I dobrze poznałam tę twoją Natalie. Ona nigdy nie zdałaby tego egzaminu. A wiesz, dlaczego? Bo zatrzymałaby się pośrodku, wiedząc, że nie może wygrać. I wówczas strach by ją zabił. Mrok i zło złapałoby ją za maleńkie, bijące w piersi serduszko, i wówczas by się poślizgnęła. I spadła. Spadłaby z dachu, kochanie. Łup, łup, łup po dachówkach i lądowanie na twardej, zimnej praskiej uliczce. Gdyby miała szczęście, wylądowałaby na głowie.

— Ale, ponieważ jesteś jedną z nas, nie ma najmniejszego ryzyka — pocieszyła Mayę Bouboule.

— To tylko sprawia wrażenie niebezpiecznego — stwierdził radośnie Niko.

— Gdyby dachówki rozłożono na ziemi, na rynku Starego Miasta,

przeszedłby po nich każdy głupi — powiedziała Benedetta. — Nikt by się nie poślizgnął i nikt by nie spadł. Same płytki nie są niebezpieczne. Niebezpieczeństwo tkwi w tobie. Niebezpieczeństwo tkwi w twoim umyśle, w twoim sercu. To twoja osoba narażona jest na niebezpieczeństwo. Jeśli władasz swą osobą, podpiszesz się na słupku anteny i powrócisz do nas bez problemu. Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, przejście jest bezpieczne jak poduszka, bezpieczne jak łóżko… nie, bezpieczniejsze, bo przecież na tym świecie istnieją mężczyźni. Ale przejście pod gwiazdami… cóż, albo masz to coś, albo tego czegoś nie masz.

— Idź, podpisz się dla nas, kochanie — powiedziała Bouboule.

— A potem wróć i bądź naszą siostrą — dorzucił Niko.

Maya przyjrzała się im wszystkim po kolei. Wszyscy byli śmiertelnie poważni. Mówili to, co myśleli. W ten sposób po prostu żyli.

— No, w każdym razie nie mam zamiaru zrobić tego w szpilkach. — Maya zdjęła pantofle i wstała. Jak to dobrze, że Novák nauczył mnie jak chodzić, choć odrobinę, pomyślała. Wpatrzyła się w daleki poblask anteny satelitarnej i ruszyła przed siebie po kalenicy dachu. Nic nie mogło jej zatrzymać. Była doskonale szczęśliwa i doskonale pewna siebie. Napisała:

„BYŁA TU MIA ZIEMANN”

Spod stylusa trysnęły iskry. Bardzo ładnie wyglądało to pośród wszystkich innych napisów, na podporze anteny. Więc wykonała jeszcze mały rysunek.

Powrót był trudniejszy — bose stopy miała bardzo zmarznięte. Dachówki raniły je; szła wolniej, przez co miała czas na myślenie. Upadek z pewnością jej nie groził, gdzieś w czarnych głębiach jej umysłu pojawiła się jednak myśl, że być może z premedytacją rzuci się w dół. Było w tej myśli coś gorzkiego, lecz zarazem i słodkiego. Jeśli rzeczywiście była Mią Ziemann, co właśnie przyznała wobec świadków, to istniała w niej jakaś część Mii Ziemann, z którą Maya nie zawarła jeszcze pokoju. Była to wielka, prawdziwie ludzka część Mii, prawdziwie zmęczona życiem, prawdziwie pragnąca śmierci.

Wtedy Maya była jednak znacznie silniejsza niż teraz.

— Spodziewaliśmy się, że poślesz nam całusa — powiedziała Benedetta, przesuwając się by zrobić jej miejsce.

— Całusy zostawiam dla gerontokratów — odparła Maya, oddając jej stylus.

Klapa uchyliła się nieznacznie. Na dach wyszedł jeden z psów Helene. Mały biały piesek nie miał prawa utrzymać się na stromym,

pokrytym dachówką dachu, szedł jednak tak, jak nie miał prawa iść żaden prawdziwy pies. Szedł w sposób przypominający raczej gekkona, salamandrę. Dostrzegł ich, w zdumieniu poślizgnął się na dachówce i pisnął.

— *Voici un raton!* — krzyknęła Bouboule. — *Patapouff, defends-moi.*

Pisk, błysk złotego futra. Naczelne są mądrzejsze od psów. Naczelne umieją się wspinać jak nie wiem co. Piesek pisnął przerażony i spadł z dachu, wyjąc w śmiertelnym strachu.

— Och, biedaku — Bouboule przytuliła drżącą małpkę. — Zgubiłeś taki piękny cylinder.

— Nie, nie zgubił — powiedział Niko. — Widzę go, zatrzymał się na rynnie. — Ześlizgnął się z dachu i przyniósł cylinder.

Przez chwilę milczeli wszyscy, rozważając konsekwencje tego, co się zdarzyło.

— Lepiej, żebyśmy nie schodzili na dół — powiedziała Maya. — Można wydostać się stąd jakąś inną drogą?

— Specjalizuję się w znajdowaniu innych dróg — odparła Benedetta.

* * *

We czwórkę złapali metro, a potem się rozeszli. Ten sposób wydał się im najmądrzejszy. Maya pojechała do domu z Benedettą. Miały o czym rozmawiać. O drugiej nad ranem siedziały w mieszkaniu aktorki, pokrytym w całości białym futrem, zajadając smakowite kanapki. W pewnej chwili Novák zgłosił się na netlink Mayi. Ekran pozostał pusty, było to połączenie głosowe. Novák nienawidził synchronicznego wideo.

— Już nigdy nie spotkacie się w Tête — powiedział.

— Nie?

— Płakała po swoim piesku. Klaus nie ma zamiaru znosić tego rodzaju zabaw. Postąpiliście okrutnie i głupio.

— Przykro mi z powodu wypadku jej psa, Josefie. Wszystko stało się tak szybko.

— Jesteś złą dziewczyną. Niszczysz wszystko.

— Przecież nie chciałam. Naprawdę.

— Helene rozumie cię znacznie, ale to znacznie lepiej, niż ty kiedykolwiek zrozumiesz Helene. Helene ma dobre chęci, ani śladu w niej złośliwości, a tak cierpi, tak strasznie cierpi! Nie dopuszcza do siebie nawet odrobiny szczęścia. — Novák westchnął. — Dziś

wieczorem Helene zachowała się bardzo nieuprzejmie w stosunku do mnie. Potrafisz w to uwierzyć, dziewczyno? Jaka to tragedia, widzieć taką damę tak drobiazgową. I to w obecności innych ludzi. Oznacza to, że Helene się boi, rozumiesz?

— Bardzo mi przykro, że byłam w stosunku do niej tak nieuprzejma.

— Gdybyś tylko znała ją za jej młodości, Mayu! Jakąż wspaniałą była patronką sztuk. Jakiż miała wyrafinowany gust! Nie wymagała niczego, chciała nam tylko pomagać. Ale obsiadły ją pasożyty, tyle było pasożytów! Pasożyty żywiły się nią przez dziesięciolecia. Niczego jej nigdy nie zapomniały. To przez nie zgorzkniała. Ona cię broni, powinnaś to wiedzieć. Broni cię przed czymś znacznie gorszym od Helene Vauxcelles-Serusier. Chroni młodych, interesujących się sztuczką ludzi. Helene nadal wierzy.

— Josefie — powiedziała Maya — czy połączyłeś się ze mną od siebie z domu?

— Tak.

— Jak sądzisz, czy na linii może być podsłuch?

— Helene z pewnością na to stać — odparł Novák głosem, w którym wyczuwało się napięcie. — Co nie oznacza, że teraz właśnie nas podsłuchuje.

— Bardzo mi przykro, że zrobiłam z tego taką sprawę. Czy mnie znienawidziłeś, Josefie? Błagam, nie nienawidź mnie. Ponieważ obawiam się, że będzie jeszcze gorzej.

— Ależ kochanie, ja wcale cię nie nienawidzę. Mówię ci to z przykrością, ale obojętnie, co byś zrobiła, nie zmusisz mnie, żebym cię nienawidził. Jestem bardzo starym człowiekiem. Jest już we mnie tylko ironia i duma, wraz z odrobiną nieczystej dobrotliwości. Obawiam się, że podążasz w kierunku zła, ale nie ma we mnie nic, co by twoje zło znienawidziło, czy też nienawidziło ciebie. Na zawsze pozostaniesz moim ulubionym potworkiem.

Maya nie miała mu nic do powiedzenia, więc przerwała połączenie.

— Naprawdę zranił mnie, mówiąc te słowa — wyznała Benedetcie i rozpłakała się.

— Daj spokój temu staremu głupcowi — stwierdziła Benedetta, zajadając kolejną kanapkę. — Powinnaś pojechać ze mną do Bolonii. Jedźmy zaraz. Złapiemy pociąg. Bolonia to najwspanialsze miasto w Europie. Są tam kolumny, komunardzi i sterowce. Powinnaś obejrzeć arkady, takie piękne mamy arkady! I my, Bolończycy, mamy takie wspaniałe plany. Pójdziesz z nami do Istituto di Estetica. Będziesz mogła obserwować nas przy pracy.

— Czy pozwolicie mi sfotografować to, nad czym pracujecie?

— No…

— Robię takie fatalne zdjęcia — użaliła się nad sobą Maya. — Josef Novák nigdy nie zrobił złego zdjęcia. Czasami jego zdjęcia są wspaniałe. Czasami tylko dziwne, ale żadne z jego zdjęć nie było złe. Żadne… on po prostu się nie myli. A ja… ja nie potrafię zrobić dobrego zdjęcia. Nie w tym rzecz, że nie mam techniki. Mogłabym nauczyć się techniki. Po prostu nie widzę.

Benedetta popijała nalewkę.

— Nie ma mnie w środku, nie ma nikogo patrzącego za mnie, wiesz, Benedetto? Mogę sobie być piękna, ponieważ nie istnieje piękno bez zachwiania proporcji, a ja w ogóle jestem zachwiana, ale dzięki urodzie nie jestem jeszcze w porządku. Nie jestem pogodzona ze sobą. Zostałam rozbita na kawałki i czasami myślę, że na zawsze pozostanę w kawałkach. W duszy jestem rozbitym lustrem, więc moje prace w sztuczce pozostają niejasne. Sztuka trwa wiecznie, a życie też już nie jest krótkie.

Maya ukryła twarz w dłoniach.

— Jesteś dobrą przyjaciółką, Mayu — powiedziała Benedetta. — Niewielu mam dobrych przyjaciół, ale ty z pewnością jesteś moją dobrą przyjaciółką. Lata nie liczą się w ten sposób, w jaki sądzisz, że się liczą. Liczą się, ale inaczej niż sądzisz. Proszę, nie bądź taka smutna. — Benedetta zaczęła szukać czegoś w kieszeniach kurtki. — Przywiozłam ci prezent z Bolonii. Będziemy świętować. Bo teraz naprawdę jesteś moją siostrą.

Maya podniosła głowę.

— Prezent? Naprawdę?

Benedetta zakończyła poszukiwania. Z kieszeni wyjęła wyssaną ostrygę. Maya zagapiła się na nią.

— Naprawdę nie wygląda to na coś, w co powinnam się mieszać — powiedziała.

— Wiesz, czym jest przelew mózgowo-rdzeniowy? — spytała Benedetta.

— Na swoje nieszczęście wiem.

— Pozwól, że dam ci to, Mayu. Pozwól, że położę ci to na głowie.

— Benedetto, naprawdę, nie powinnam. Przecież wiesz, ile mam lat. To mnie będzie bolało.

— Oczywiście, że będzie bolało. Przez rok przygotowywałam ten przelew. Bolało mnie za każdym razem. Gdy tylko czułam się w pewien szczególny sposób… czułam się naprawdę sobą… kładłam ją na głowę. Wysysała mnie i zachowywała. Myślałam, że użyję jej kiedyś, później, żeby przypomnieć sobie samą siebie, gdybym się zgubiła, a jednak chcę, żebyś ty to wzięła. Chcę, żebyś wiedziała, kim jestem.

— Życie jest ryzykiem — westchnęła Maya i zdjęła perukę.

Macka ostrygi przeniknęła jej przez głowę. Bolało, mocno bolało i

dobrze, że bolało, bo gdyby nie bolało, byłoby za łatwo. Płyny przeniknęły, Maya uspokoiła się, zamarła w nadświadomości.

Czuła umysł innej kobiety. Nie jej myśli, lecz życie. Czuła nieziemską słodycz ludzkiej tożsamości. Samotność, odrobinę gorzkiej siły, jasną płaszczyznę czystego, młodzieńczego egoizmu. Upiorna gładź innego ducha.

Zamknęła oczy. Czuła głęboką, bardzo głęboką postludzką rozkosz. Świadomość zakradła się do jej umysłu, niczym czarne światło innego świata. A potem szare komórki pożarły powoli tę inną duszę. Wessały ją smakowicie w milion maleńkich szczelin.

Kiedy oprzytomniała, ostryga zniknęła. Maya leżała na podłodze, Benedetta zaś delikatnie wycierała jej twarz wilgotnym ręcznikiem.

— Możesz mówić? — spytała.

Maya otworzyła i zamknęła usta, zmusiła język do poruszenia się.

— Tak… chyba tak.

— Wiesz, kim jestem? — Benedetta sprawiała wrażenie zaniepokojonej. — Powiedz mi, kim jestem?

— Przeżyłam coś świętego — wykrztusiła Maya. — Coś wielkiego. Schowaj to w jakimś świętym miejscu. Niech nikt tego nie dotyka, nie gwałci. Byłoby straszne i obrzydliwe, gdyby ktokolwiek w ogóle tego dotknął.

Benedetta objęła ją, przytuliła.

— Bardzo mi przykro, kochanie — powiedziała. — Wiem, jak to zrobić. Wiem, jak to działa. Wiedziałam nawet, jak podać to tobie. Nie wiem tylko, jak ukryć się przed tym, kim jestem i co wiem.

* * *

Minęły trzy tygodnie. Przyszła wiosna i Praga rozkwitła. Maya nadal pracowała z Novákiem, teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Novák traktował ją teraz jak asystentkę, a nie jak magiczne bezdomne stworzenie, zagubionego elfa. Milena wyczuwała, że zbliżają się kłopoty. Milena nienawidziła gliniarzy, niemniej jednak utrudniała Mayi życie, ponieważ nienawidziła zmian w antycznym gospodarstwie Nováków bardziej, niż nienawidziła gliniarzy.

Maya pojechała pociągiem do Mediolanu. Wzięła tam udział w bardzo nudnej sesji z grupą bardzo nudnych współpracowników Viettiego. Ponieważ pracowała, praktycznie nie obejrzała Mediolanu i praktycznie nie obejrzała sobie również Emporio Vietti. Sam Vietti nie pofatygował się na sesję; wielki człowiek przebywał wówczas w Gstaad, pożerając homary.

Zdjęcia z sesji doskonale wręcz dokumentowały wielki świat… i były straszne, ponieważ nie były zdjęciami Josefa Nováka. Robiąc je, Maya wiele się nauczyła, ale właściwie tylko tego, czego nie znosiła. Mimo wszystko uznała, że postąpiła mądrze. Ludzie za wiele wydziwiali nad fotografiami Nováka. Aż roiło się od nich na sieci, były raczej zbyt piękne, a już z całą pewnością zbyt wierne. Maya miała wrażenie, że ludzie byliby znacznie szczęśliwsi, gdyby udowodniła im, że potrafi nudzić. Kolejna głupia modelka, kolejne typowe fotografie mody. A poza wszystkim innym były w tym prawdziwe pieniądze.

Namówiła Benedettę na przyjazd do Mediolanu, powierzając jej wszystkie swe sprawy finansowe. Benedetta nie zajęła się jej sprawami finansowymi osobiście, ale znała ludzi, którzy znali ludzi, którzy znali ludzi, którzy byli w stanie zająć się sprawami finansowymi. Benedetta kupiła Mayi projektowane w Mediolanie furoshiki, piękne i funkcjonalne, oraz wielki indonezyjski serwer sieciowy, funkcjonalny i piękny. Maya wróciła do Pragi i do mieszkania aktorki, z furoshiki na szyi i serwerem w specjalnym odpornym na wstrząsy pojemniku w ręku.

Indonezyjski serwer wyposażony był w instrukcję skomplikowanej procedury instalacyjnej, napisaną w fatalnej angielszczyźnie. Maya zbootowała go — bez powodzenia — wymazała dane, zbootowała serwer ponownie i ponownie wpadła. Poszła nakarmić koty aktorki. Poprawiła wszystkie luźne styki, włączyła serwer, wpadła znacznie gorzej niż poprzednio, więc wypiła *frappé,* żeby się uspokoić. Jeszcze raz zbootowała serwer — odnosząc tym razem częściowy sukces — przeszukała kryształ procesora, znalazła trzy nieprzyjemne wewnętrzne konflikty i zlikwidowała je. System natychmiast się zawalił. Maya puściła program diagnostyczny, wyczyściła parę nie trzymających się kupy buforów oraz upuściła główny procesor z pewnej, niewielkiej wysokości. To najwyraźniej załatwiło sprawę. Mogła już zainstalować tożsamość sieciową.

Wreszcie włączyła się do sieci.

Serwer zadzwonił niemal natychmiast. Therese nadała wiadomość voicemailem.

— Skąd wiedziałaś, że jestem on-line? — spytała Maya.

— Mam swoje sposoby — odparła Therese. — Powiedz, naprawdę wyrzucili cię z Tête, bo zabiłaś psa gliniarza?

— Wiadomości szybko się rozchodzą i nie, nie zabiłam psa gliniarza. Przysięgam, że zabił go kto inny.

— Jeśli wiadomości rozchodzą się dziś z szybkością mniejszą od szybkości światła, to znaczy, że po prostu nie uważamy — stwierdziła Therese. — A ja owszem, uważałam. Chcę, żebyś mi zrobiła wielką przysługę.

— Czy chodzi o tę przysługę, Therese?

— O tę przysługę, Mayu… jeśli jesteś dyskretna.

— Therese, mam tyle własnych kłopotów, że żaden z twoich pomysłów prawdopodobnie nie jest mi w stanie zaszkodzić. Czego potrzebujesz?

— Potrzebuję bardzo prywatnego pokoju w Pradze — powiedziała poważnie Therese. — Musi to być bardzo dobry pokój z bardzo dobrym łóżkiem. Nie hotel, bo w hotelach rejestruje się gości. I jeszcze samochodu. Niekoniecznie dobrego, ale musi być bardzo prywatny. Nie wynajęty, bo wynajęcie samochodu też się rejestruje. Pokój ma być na jedną noc, samochód na dwa dni. I nikomu, nigdy, nie wolno zadawać żadnych pytań.

— Nie chcesz pytań, nie chcesz papierów. Dobrze. Na kiedy ci to wszystko potrzebne?

— Na wtorek.

— Skontaktuję się z tobą.

Mieszkanie aktorki? Nie ma mowy. Novák? Nie może go o to prosić. Paul… kto wie?… ale to się oczywiście nie da zrobić. Klaus? Wystarczająco często bywała w Tête, by uświadomić sobie, że Klaus jest człowiekiem wyjątkowo interesującym. Klaus miał wiele możliwości załatwienia wielu spraw na każdym poziomie praskiego towarzystwa. Klaus był prawdziwym starcem plemienia. Wszyscy w Pradze go znali, wszyscy go poważali, najwyraźniej jednak nie był winien nic i nikomu. Klaus do nikogo nie należał. Klaus nawet ją lubił, ale…

Emil! Idealne wyjście!

* * *

Zrobiła dla Therese, co tylko mogła. Wymagało to od niej sporego nakładu czasu, energii oraz dużej dozy sprytu, wszystko jednak wyszło całkiem nieźle.

We wtorek o drugiej nad ranem otrzymała pilną wiadomość.

— Nie śpisz? — spytała ją Therese.

— Teraz już nie.

— Możesz przyjechać i wypić ze mną drinka? Jestem w „Cafe Chyba” na czterdziestym siódmym piętrze tej króliczej nory, którą mi znalazłaś.

— Dobrze się czujesz, Therese?

— Nie, nie czuję się dobrze — odparła pokornie Therese. — Chcę, żebyś wpadła i wypiła ze mną drinka.

Maya ubrała się błyskawicznie i pojechała do kawiarni. Zabrało

jej to czterdzieści minut. Kiedy znalazła się w „Cafe Chyba" stwierdziła, że kawiarnia jest całkowicie opustoszała. Był to doskonale czysty i doskonale pozbawiony charakteru niewielki bar, całkowicie zautomatyzowany; w takich barach nieomylnie kończą o trzeciej nad ranem osoby przeżywające kryzys emocjonalny w osiemdziesięciopiętrowym wieżowcu w Pradze; sądząc po braku klientów, kryzysy w wieżowcach zdarzały się niezwykle rzadko. W tym wieżowcu mieszkali rodzice Emila, którzy, bardzo taktownie, wyjechali akurat na miesiąc do Finlandii, a raczej do Suomen Tasavalta.

U obrzydliwie ślicznego, nowiutkiego robota Maya zamówiła mineralkę. Popijała ją i czekała.

Therese pojawiła się w barze około wpół do czwartej. Przysiadła na krawędzi barowego stołka, próbując się uśmiechnąć. Płakała.

— Mayu — powiedziała, biorąc ją za rękę. — Jak ty wyrosłaś.

— Przez tę perukę rzeczywiście wyglądam o wiele dorośle j — skłamała radośnie Maya.

— Jesteś taka szykowna. Jesteś taka… no, gdybym cię teraz spotkała, z pewnością bym cię nie poznała. Naprawdę bym cię nie poznała. Czy nadal mogę ci ufać?

— Dlaczego nie powiesz mi po prostu, w jakie kłopoty wpadłaś? Zobaczymy, czego uda mi się domyślić później.

— Pobił mnie.

— Pobił? No to chodź, zabijemy go.

— Już on sam się tym zajmie — powiedziała Therese i rozpłakała się.

Chłopak Therese nigdy przedtem jej nie pobił, ale, ponieważ znajdował się w tej chwili w zaawansowanym nastroju samobójczym, odczuwał potrzebę dodania soli i pieprzu ich wzajemnym stosunkom. Sprał ją skórzanym pasem po plecach i pupie.

Chłopak Therese był korsykańskim gangsterem. Nie miał w sobie nic romantycznego. Był zawodowym gangsterem, *consigliore* Czarnej Ręki: ochrona i wymuszanie, prostytutki, twardzi ludzie od nalewek. Pierwszoligowe pranie pieniędzy. Handel wpływami. Przekupywanie sędziów, policjanci składający fałszywe zeznania. Morderstwa. Mordercy zakładający ofiarom cementowe kamasze. Miał sześćdziesiąt lat i, kiedy nie twierdził, że nazywa się inaczej, twierdził, że nazywa się Bruno.

— Jakim cudem spotkałaś takiego faceta?

— A jak myślisz? Prowadzę półlegalny sklepik z ciuchami. Czasami zdarza mi się spotkać bandytę. Mafiozi ubierają się bardzo wyzywająco, a czasami także kradną stroje i sprzedają je. Handel ciuchami to bardzo stara profesja, wiesz? Bardzo stara i z wieloma interesującymi sekretami. Popełniam różne drobne przestępstwa.

Mafiozi popełniają różne wielkie przestępstwa. Czasami podrabiają kolekcje, czasami chronią ludzi. To się zdarza, to się po prostu zdarza. — Therese wzruszyła ramionami.

Maya bębniła palcami po barze.

— Podoba mu się mieszkanie, które dla nas znalazłaś — powiedziała nieśmiało Therese. — Zabawne jest ukraść ostatnią noc mieszczanom.

— Uszom nie wierzę!

— Bruno jest prawdziwym mężczyzną — wyznała Therese. Mówiła powoli, z namysłem. — Kocham prawdziwych mężczyzn. Podoba mi się, kiedy nie umieją być grzeczni w tych sprawach. Podoba mi się, kiedy mężczyzna… — przerwała na chwilę — …kiedy mężczyzna naprawdę się odpręża.

— To niezbyt zdrowe hobby, kochanie.

— Życie to ryzyko. Lubię mężczyzn, kiedy są prawdziwymi mężczyznami. Kiedy nie zależy im na niczym, z wyjątkiem udowodnienia, że są prawdziwymi mężczyznami. To bardzo podniecające. Dopiero wtedy czuję, że naprawdę żyję. Nie sądziłam, by kiedykolwiek mógł mnie zbić, ale dziś robił wszystko, na co tylko miał ochotę. Chciał mnie zbić. Zbił. To jego ostatnia noc na ziemi. Nie powinnam tak się popłakać. Nie powinnam do ciebie dzwonić. Zachowuję się jak wielkie dziecko.

— Therese, przecież to chore!

— Nie, wcale nie. — Therese sprawiała wrażenie urażonej. — Wyłącznie staroświeckie.

— Skąd wiesz, że cię nie zamorduje?

— To człowiek honoru — wyjaśniła Therese. — No i rano mam mu wyświadczyć ogromną przysługę.

Bruno umierał. Therese sądziła, że ma raka wątroby. Nie sposób było powiedzieć na pewno, ponieważ Bruno od czterdziestu lat nie mógł nawet zbliżyć się do oficjalnych maszyn diagnostycznych. Próbował, ale najpierw sprawdzono jego listę aresztowań i wyroków, co natychmiast odebrało mu szansę na kurację przedłużającą życie, a potem on sam zawarł kilka wyjątkowo interesujących i całkowicie nielegalnych transakcji na czarnym rynku medycznym. Jedną z najnowszych było trzecie jądro.

Bruno postanowił umrzeć poza zasięgiem ugody. Gdyby władze zdecydowały się na przekazanie jego ciała jednemu z cmentarnych emulsyfiklatorów, dzwonki alarmowe rozbrzmiałyby na kontynencie, od Dublina po Władywostok. Czarna Ręka zbudowana została na fundamencie starej zasady „omerta” — milczenia aż po grób. W dzisiejszych czasach co najmniej równie konieczne jest milczenie za grobem.

Romans między Brunem i Therese nie był niczym szczególnie

skomplikowanym. Spotkała go w Marsylii, kiedy miała dwadzieścia lat. Bruno był zawsze doskonale ubrany, szalenie tajemniczy i niewątpliwie groźny. Na Therese kombinacja ta podziałała jak waleriana na kota. Bruno polubił ją, bo była młoda, śliczna, gotowa praktycznie na wszystko, wdzięczna za przysługi i nie sprawiała mu kłopotów. Czasami kupował jej ładne prezenty: buty, suknie, seksowną bieliznę, kilka dni na Côte d'Azur. Zapewniał jej także kontakt z bardzo, ale to bardzo żywą stroną życia.

Kiedy Therese zajęła się ciuchami, Bruno stał się jeszcze bardziej użyteczny. Therese miała czasem kłopoty z hurtownikami i dostawcami. Jeśli akurat miał na to ochotę, Bruno pojawiał się w mieście i przeprowadzał rozmowę z opornymi. Po takiej rozmowie poprawa następowała zawsze, i zawsze błyskawicznie.

Czasami Bruno dawał jej jednego czy dwa klapsy. Therese to nie zaskakiwało, zwłaszcza u człowieka gotowego założyć jej wrogom cementowe kamasze. Nie w tym rzecz, by kiedykolwiek kogoś dla niej zamordował, a jeśli nawet, to z pewnością by jej o tym fakcie nie poinformował.

— Nie chodzi o to, że bije — powiedziała Therese. — Bije cię, żebyś zrobiła to, co chce. Jest mężczyzną, jest szefem, jego zawsze musi być na wierzchu. Czasami po prostu skłania kogoś, żeby zrobił to, czego chce. Taki właśnie jest.

— To z całą pewnością niedobrze.

Therese, zirytowana, podrzuciła głową.

— Czy ty rzeczywiście myślałaś, że każdy kryminalista w Europie jest jak ten twój pechowy mały kieszonkowiec, Ulrich? Bruno to żołnierz! Bruno jest szefem!

— A co się z nim stało? — zainteresowała się Maya. — Od tak dawna w ogóle o nim nie myślałam.

— Och, złapali go. Zawsze był głupi. Przeprali mu mózg.

— Nie, nie! Biedny Ulrich. Czy nastąpiła poważna zmiana zachowania?

— Całkowita — stwierdziła ponuro Therese. — Przedtem kradł torebki turystkom. Teraz napełnia torebki turystek cennymi rzeczami, kiedy nie widzą.

— W każdym razie dobrze, że pozwolili mu zachować jego anarchistyczne przekonania polityczne.

— Och, zgoda. Oni zawsze tak strasznie martwią się o wzorce zachowań! Łapią jakiegoś wstrętnego typa, takiego jak on, faceta, którego powinno się zrzucić z mostu, i zaraz każdy społecznie nastawiony liberał zaczyna robić zamieszanie na sieci. Doprawdy, mieszczanie nie mają za grosz zdrowego rozsądku.

— Więc jakie macie plany w sprawie Bruna?

— Jutro pojedziemy do Czarnego Lasu. Bruno popełni

samobójstwo, a ja pogrzebię go w jakimś sekretnym miejscu, gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie. Tak się umówiliśmy. Taki zawarliśmy prywatny układ. To nasz sekret.

— Młoda damo, kobiety nie powinny grzebać kochanków, chyba że są bardzo, bardzo stare.

— Zawsze byłam za dobrze rozwinięta jak na swoje lata — wyznała Therese. — I zawsze wpędzało mnie to w kłopoty. Pojedziesz ze mną jutro? Proszę!

— Słuchaj, tego doprawdy nie możesz ode mnie wymagać. Jeśli sądzisz, że potrafię poradzić sobie z chorym i zrozpaczonym człowiekiem, gotowym popełnić samobójstwo, to… — Maya zawahała się nagle. — Słuchaj, a właściwie do czegoś takiego jestem chyba przygotowana jak nikt z twoich znajomych.

— Taka jesteś dla mnie dobra, Mayu. Kiedy tylko po raz pierwszy cię zobaczyłam, wiedziałam skądś, że jesteś doprawdy wyjątkowym człowiekiem. — Therese wstała. Sprawiała teraz wrażenie znacznie szczęśliwszej. — Muszę wracać i pójść z Brunem do łóżka. Obiecałam mu całą noc.

— Obietnicy trzeba dotrzymać, prawda?

Therese rozejrzała się po pustym barze.

— Jest tak późno… tak tu dziwnie i samotnie… może chciałabyś pójść na górę i przespać się z nim razem ze mną?

— Pewnie nie sprawiłoby mi to wielkiej różnicy — powiedziała Maya — ale nie widzę, w czym mogłoby to pomóc tobie.

* * *

Maya po raz pierwszy zobaczyła Bruna następnego ranka o dziesiątej. Zdumiało ją, jak szalenie jest podobny do pewnego dwudziestowiecznego idola z seriali. Sprawiał wrażenie dwudziestowiecznego, przede wszystkim dlatego, że chorował, no i z powodu bardzo złego makijażu. Bruno miał szeroką, masywną głowę z kręconymi włosami i tłustą cerę, charakterystyczną dla intensywnej kuracji sterydowej. Na głowie nosił lakierowany kapelusz słomkowy, ubrany był w marynarkę z wąskimi klapami, odprasowane jak brzytwa spodnie oraz koszulę bez telefonu komórkowego.

Nie chwalił się i nie groził. Zachowywał się odrobinę wyzywająco, ale nie miał wielkich połaci mięśni, jakże charakterystycznych dla ludzi, którzy na serio zajmują się mięśniami. Był przerażający i rzeczywiście sprawiał wrażenie człowieka gotowego zabić bez namysłu i bez wyrzutów sumienia. Szła za nim śmierć. Był także chory

i osłabiony, co nadawało mu pozór zdychającego starego wilka.

Wyglądał tak, jakby odgryzł sobie łapę i zeżarł ją, rozkoszując się smakiem.

Jak na człowieka jadącego na własną egzekucję, Bruno był w zdumiewająco pogodnym i zdumiewająco filozoficznym nastroju. Maya nie spotkała jeszcze nikogo jednocześnie gotowego na śmierć i oczekującego jej z autentyczną radością. Bruno dowcipkował z Therese w jakimś kryminalnym południowofrancuskim *argot,* z którym tłumacz w peruce nie za bardzo potrafił sobie poradzić. Dość często używał słów uchodzących za nieprzyzwoite. Tego rodzaju języka dziś się już po prostu nie używało. Nieprzyzwoite słowa zniknęły z języka, przestały grać rolę w dialogach między ludźmi, zniknęły jak katar. Bruno jednak używał nieprzyzwoitych słów z rozkoszą, co za każdym razem szalenie denerwowało Therese. Therese karciła go za każde nieprzyzwoite słowo, choć jej zachowanie dowodziło, że tego rodzaju słownictwo ją podnieca. Sprawiało to wrażenie prywatnego ping-ponga i chyba było ich własną wersją zalotów.

We trójkę zjedli w samochodzie. Kandydat na trupa jadł z apetytem. W końcu znaleźli się w gęstym lesie, gdzieś na północ od czeskiej granicy. Zdaje się, że nie był to właściwy Czarny Las, ale nikt się tym nie przejął. Na drzewach zieleniły się wesoło świeże liście, wiał ciepły wiaterek. Samochód — należący do eksmałżonki Emila — zaprotestował, kiedy kazali mu wjechać w krzaki na poboczu drogi, ale usłuchał. Zostawili go tam.

Z bagażnika samochodu Bruno wyjął składaną łopatę i ciężką walizkę. Dalej poszli pieszo. Bruno wiedział dokładnie, dokąd idą.

W końcu znaleźli się na niewielkiej łące na zboczu pagórka. Bruno rozłożył ostrą ceramiczną łopatkę, kapelusz i marynarkę schludnie powiesił na gałęzi, i zabrał się za kopanie. Na powierzchni zbliżonej do koła uważnie zdjął wierzchnią warstwę ziemi i odłożył ją na bok. Kopiąc, zaczął wspominać.

— Mówi, że kiedyś był tu sekretny cmentarz — przetłumaczyła Mayi Therese. — Dawno temu używali go Cyganie. Potem różni inni ludzie chowali tu tych, którzy sprawiali im kłopoty.

Bruno otarł pot z czoła. Nagle przemówił po angielsku.

— Na tym świecie mężczyzna powinien sam robić to, co musi zrobić — powiedział. Spojrzał na Mayę i uśmiechnął się uroczo.

Kopał, póki nie zmęczył się tak, że o kopaniu nie było nawet mowy. Usiadł blady niczym upiór. Trysnął sobie w usta z szaroczarnego inhalatora. Therese wyręczyła go w kopaniu, a kiedy już miała dość, przyszła kolej na Mayę. Maya miała pantofle na płaskich obcasach, spodnie i lekki sweter — strój całkiem odpowiedni do kopania grobu, Jedyną modną częścią jej ubrania było furoshiki. Nastawiła je na kolory khaki i oliwkowy. Jaskrawsze, kuszące barwy

byłyby nietaktem.

Pracowały pod dyktando Bruna. W rezultacie powstało coś nie przypominającego klasyczny grób, lecz raczej odwrócony stożek o podstawie wielkości mniej więcej włazu kanalizacyjnego. Bruno odrzucił kilka ostatnich kawałków ziemi, po czym wyjaśnił im teorię tajemnego chowania ciał.

Najważniejsze, twierdził, to jak najgwałtowniejszy i najkompletniejszy możliwy rozkład. Prawdziwie szybki rozkład powoduje jednak puchnięcie trupa, czego efektem ubocznym jest poruszenie ziemi na grobie. Z tego powodu konieczne jest przepiłowanie żeber po obu stronach oraz przewentylowanie wnętrzności.

Bruno otworzył walizkę. Przezornie przywiózł ze sobą cały potrzebny sprzęt, wyraźnie mocno zużyty, ale w niezłym stanie. Miał staroświecką ceramiczną piłkę do kości, zasilaną bateriami, a także końską strzykawkę, jakiej używają weterynarze, z wielką stalową igłą, którą dałoby się chyba zszyć płaty aluminium.

Rozebrał się. Od stóp do głów pokryty był tatuażami: węże, róże, rewolwery, życiowe motta w rynsztokowej francuzczyźnie. Przynajmniej Therese zawsze mogła poczytać sobie w łóżku. Bruno mocno szczypał się w pokryte gęsią skórką ciało, pokazując im, gdzie powinny wbić igły. w kości udowe, w mięśnie łydek, w bicepsy, w pośladki i czaszkę. Miał ze sobą mały pojemnik bardzo żarłocznych bakterii gnilnych. Zaczynając ucztę w nakłutych miejscach, bakterie miały wygotować go jak łój.

Po złożeniu w grobie, dziewczyny będą musiały zakopać go, a potem ostrożnie położyć na miejscu zdjętą uprzednio wierzchnią warstwę ziemi. Lepiej, by nad grobem powstało coś w rodzaju kopuły. Z początku będzie to wyglądało nieco podejrzanie, ale tak jest lepiej na dłuższą metę, ponieważ ziemia osiada. Pozostałą ziemię należy rozrzucić po lesie. No i oczywiście Bruno musi zostać pochowany nago, bez ubrania. W pobliżu grobu nie może być żadnego metalu. Nie może być nic zwracającego uwagę.

— Spytaj go, czy nie ma w sobie metalu — powiedziała Maya do Therese. — W zębach i w ogóle.

— Mówi, że nie jest wystarczająco stary, by mieć metal w zębach — przetłumaczyła Therese. — Mówi, że z dobrego żelaza ma tylko męskość. — I Therese rozpłakała się.

Z kieszeni leżących na ziemi spodni Bruno wyjął dwa metalowe pojemniki wielkości ludzkiego kciuka. Potem, nagi i spokojny, wlazł do grobu.

Stanął w grobie, niedbale oparty o jego ścianę, i zacisnął pięść na pierwszym z pojemników. Na prawą rękę trysnął sobie cienką warstwą czarnej farby. Skinął na Therese, powiedział coś do niej w żargonie.

Therese podeszła do niego powoli, niechętna i przestraszona. Bruno delikatnie ujął jej dłoń swą pomalowaną na czarno dłonią, potrząsnął nią, przytulił do siebie, szepnął coś i złożył jej na ustach pocałunek.

Potem przywołał Mayę. Ją też pocałował. Był to długi, głęboki, mocny i bardzo gorzki pocałunek. Mocno trzymał Mayę za kark lewą ręką, nie dotknął jej jednak prawą, pomalowaną na czarno.

W końcu uwolnił Mayę, która cofnęła się o krok, niepewnie, walcząc o oddech i omal nie wpadła do grobu. Bruno przez chwilę przyglądał się Therese; wydawało się, że walczy ze łzami. Therese leżała na ziemi, patrzyła na niego i szlochała żałośnie.

Nagle Bruno podniósł do ust drugi z przedmiotów — inhalator. Wcisnął go do ust, przycisnął spust, wziął głęboki oddech. Zdążył jeszcze odrzucić inhalator jak niedopałek cygara i natychmiast dostał konwulsji. Po pięciu sekundach nie żył.

— Zabierz to, zabierz! — wrzasnęła Therese. — Zabierz, zabierz! — Wymachiwała w powietrzu umazaną na czarno ręką, ściskając jej przegub palcami lewej dłoni.

Maya czyściła barwnik niepotrzebną już Brunowi marynarką.

— Co to jest? — spytała.

— Lacrimogen!

— O mój Boże! — Zabrała się za czyszczenie ręki Therese ze zdwojonym zapałem, lecz znacznie większą ostrożnością.

— Och, och, och, tak strasznie go kochałam! — krzyczała Therese, kołysząc się w histerycznym żalu. — Och, myślałam, że znów mnie zbije, że będę musiała kochać się z nim w grobie. Nie wiedziałam, że da mi czarną rękę. — Przeszła na histeryczną niemczyznę. — Gdzie jest trucizna? Daj mi nią odetchnąć! Nie, niech go pocałuję, ma na języku tyle trucizny, że zabiłaby setkę kobiet!

Therese zaczęła czołgać się w stronę grobu, napędzana narkotycznym żalem. Maya złapała ją za nogę i przyciągnęła ku sobie.

— Trzymaj się od niego z daleka — ostrzegła. — Nie żartuję. Trzymaj się od niego z daleka i ani się waż podejść. Mam zamiar go teraz pociąć.

— Maya, jak możesz! Jak możesz go pociąć, żeby zgnił? To nie jest byle kawał mięsa, to Bruno!

— Bardzo mi przykro kochanie, ale gdybyś jak ja przeżyła parę epidemii, jak ja wiedziałabyś, że kiedy ludzie są martwi, to są po prostu martwi i tyle. — Za późno ugryzła się w język. Mogła darować sobie to wyznanie, ale w gruncie rzeczy nie miało ono żadnego znaczenia, Therese była zbyt zaprawiona, by zrozumieć cokolwiek. Wyła teraz aż drżał las, wyła w pierwotnym żalu i bólu.

W jej plecaku Maya znalazła płachtę alcionagu. Alcionag był bardzo łagodnym środkiem, więc odczepiła sześć plastrów. Therese nie broniła się, kiedy Maya przylepiała je na jej karku. Kołysała się z żalu,

skulona w pozycji płodu i jęczała, ściskając czarną dłoń.

W tym momencie środek uspokajający walnął ją jak pałką.

Maya znalazła resztki mineralki i domyła dłoń Therese. Lacrimogen w sprayu był strasznym środkiem, zdolnym zabić człowieka. Trudno wyobrazić sobie zgrabniejszy sposób na zamordowanie kogokolwiek.

Maya podeszła do grobu. Bruno nadal nie żył, a nawet nieco bardziej niż poprzednio. Zamknęła mu oczy. Napełniła strzykawkę.

— No, wielki człowieku — powiedziała — spoczywaj w spokoju. Znalazłeś sobie dziewczynkę, która z radością zrobi to, co ma zrobić.

Kiedy skończyła, zapadał zmrok. Jej praca należała do tych obrzydliwszych, była czymś w rodzaju makabrycznej odmiany operacji medycznej. A jednak przypominała operację wystarczająco, by uznać ją za uczciwą pracę.

Therese jakoś się wygrzebała. Była młoda i silna. Młodzi ludzie bez problemu dają sobie radę z tyloma zmianami nastroju dziennie, z iloma w miesiącu nie poradziliby sobie starsi. Wraz z Mayą poszła do samochodu.

— Gdzie jego walizka? — spytała. Drżała jeszcze, oczy miała zaczerwienione.

— Włożyłam ją do bagażnika z jego ubraniami i narzędziami.

— Wyjmij ją!

Therese przeszukała walizkę Bruna, z trudem powstrzymując podniecenie. Znalazła w niej długie prostokątne pudełko z szarego stopu szklanometalowego. Otworzyła je.

— Nie wierzę własnym oczom — powiedziała, przyglądając się zawartości pudełka w oszołomieniu, lecz z radością. — Byłam pewna, że mnie oszuka.

— Sądzę, że zamierzał cię raczej zabić.

— Ależ skąd. W końcu była to przecież bardzo niewielka ilość sprayu. Chciał tylko, żeby kobieta po nim płakała. Zresztą teraz, kiedy sobie popłakałam, czuję się znacznie lepiej. Czuję się całkiem nieźle. Już nigdy się przez niego nie popłaczę. Popatrz, Mayu, co dał mi w prezencie! Popatrz na mój wspaniały spadek po starym, nieżyjącym człowieku. — Obróciła ku niej otwarte pudełko.

Pudełko wyłożone było czarnym aksamitem. Znajdowały się w nim dwa tuziny małych nakrapianych muszelek.

— Muszelki? — zdziwiła się Maya.

— Ostrygi! Jestem bogata! — Therese ostrożnie zamknęła pudełko, zatrzasnęła walizkę i wrzuciła ją do bagażnika. — Jedźmy już — powiedziała, ściskając pudełko w obu dłoniach. — Jedźmy i napijmy się czegoś. Tyle płakałam, że jestem strasznie spragniona. Och, nie wierzę, że udało mi się tego dokonać. — Otworzyła drzwiczki i wsiadła do samochodu.

Odjechali wśród trzasków gniecionych kołami krzaczków. Therese obejrzała się nagle, roześmiała.

— Aż trudno mi w to uwierzyć, ale rzeczywiście wygrałam! Wreszcie mi się udało. Życie teraz będzie takie inne!

— Pudełko muszelek — powiedziała Maya cichym, pełnym namysłu głosem. Samochód jechał wśród ciemnego lasu, kierując się w stronę autostrady.

— Muszelki po prostu nie są śmieciem. Dzisiejszy świat jest pełen śmiecia. — Therese wygodnie usadowiła się w samochodzie. — Wirtualności i podróbki. Wszystko zmieniliśmy w śmiecie. Diamenty i drogie kamienie staniały. Numizmaty… już chyba każdy potrafi podrobić numizmaty. Znaczki są tak łatwe do sfałszowania, że aż śmiech bierze. Pieniądze to tylko jedynki i zera. Ale muszle, Mayu… nikt nie potrafi sfałszować muszli!

— Może to po prostu tanie śmiecie, fałszywe muszle?

Therese, zaniepokojona, szybko otworzyła pudełko. Zajrzała do środka i uśmiechnęła się.

— Nie, nie. Spójrz na te kręgi, linie wzrostu. Spójrz na wzór plamek. Tylko całe lata organicznego wzrostu są w stanie doprowadzić do powstania muszli. Ostrygi są zbyt skomplikowane, by w ogóle dało się je sfałszować. One są prawdziwe! Wymarły gatunek! Takie strasznie rzadkie! Nowe nie powstaną już nigdy. Te muszle są warte fortunę! Tyle, że… że mogę zrobić co zechcę!

— Więc co właściwie masz zamiar z nimi zrobić?

— Oczywiście mam zamiar dorosnąć. Mogę wreszcie porzucić tę dziurę na Viktualienmarket. Założę prawdziwy sklep. W prawdziwym budynku, w wieżowcu. Dla prawdziwych klientów, którzy będą mi płacić prawdziwymi pieniędzmi. Jestem bardzo młoda jak na właścicielkę prawdziwego sklepu, ale, mając te muszle, mogę otworzyć sklep. Zatrudnię starych ludzi. Zatrudnię własnego księgowego i prawnika. Będę legalna. Wszystko będzie legalnie, zgodnie z przepisami. Będę prowadzić księgi i płacić podatki!

— Jejej, brzmi to cudownie!

— Właśnie spełniły się moje marzenia. Prawdziwi styliści zwrócą teraz na mnie uwagę. Będę sprzedawać prawdziwe kolekcje prawdziwych zawodowych projektantów. Dość już tych ubrań dla dzieci! Dzieci, dzieci, i dzieci; jak strasznie zmęczyło mnie to żywe życie!

— Mam nadzieję, że przyjaciele Bruna nie sprawią ci już żadnych kłopotów.

— Oczywiście, żadnych kłopotów. Możesz myśleć sobie o ugodzie co chcesz, ale prawdą jest, że ugoda uczyniła świat… lepszym. Naprawdę lepszym. A jeśli chodzi o gangsterów Bruna… cóż, policja ich dostała. Sprawy medyczne, pieniądze, nadzór… to wszystko

okazało się po prostu skuteczne. Źli chłopcy zwyczajnie od tego wymierają. Ich liczba spada z każdym rokiem. Są bardzo starzy, byli bardzo silni, lecz teraz jest ich coraz mniej. Byli jak zaraza. Jest w tym coś tragicznego, ale to bardzo… bardzo wielkie osiągnięcie polityczne.

Maya westchnęła z rezygnacją. Była zmęczona.

— Chyba nie powinnam dać ci aż tyle środka uspokajającego — powiedziała.

— Nie mów tak. Przecież nie chodzi o środki uspokajające! Nie widzisz, jaka jestem szczęśliwa? Powinnaś cieszyć się razem ze mną. — Spojrzała Mayi prosto w oczy. — Co cię tak odmieniło? Kochanie? Nie jesteś już tak pogodna jak w Monachium.

— Cierpisz na huśtawkę nastrojów, kochanie. Spróbuj mniej mówić. Odpocznijmy trochę, dobrze? Jestem bardzo zmęczona.

Therese opadła na siedzenie.

— Oczywiście, że jesteś zmęczona. Byłaś taka dzielna. Przepraszam cię, Mayu. Dziękuję ci bardzo.

Przez pewien czas jechały w milczeniu. Therese popłakała jeszcze trochę. W końcu zasnęła.

Oświetlona światłami spokojnej, wiejskiej, prowincjonalnej Europy, twarz Therese była maską spokoju.

— Przeszłaś na drugą stronę — powiedziała jej łagodnie Maya. — Jesteś teraz doskonałą małą mieszczką. Nie wierzę, by działało to w ten sposób. Nie wierzę, by działało to aż tak dobrze. Ja pozwoliłam, by świat stał się właśnie taki. Ja na to pozwoliłam, to moja wina, a ten świat był dokładnie taki, jakim chciałam go widzieć. Nie wierzę, że aż tak bardzo chcesz żyć w świecie, którego ja nie potrafiłabym znieść ani chwili dłużej. Muszę żyć poza prawem, żeby żyć i oddychać, i teraz nie ma już dla mnie drogi powrotu. I Wdowa mnie ściga. Wdowa wie. Doskonale wiem, że wie. Aresztowałaby mnie natychmiast, gdyby nie była taka cierpliwa i łagodna. Wiesz, kim jest Wdowa?

Śpiąca Therese mocniej przytuliła kasetkę.

— Lepiej, żebyś się nigdy nie dowiedziała — powiedziała Maya.

* * *

Przeprojektowanie pałacu nie było zajęciem łatwym. Największy kłopot sprawiało oczywiście to coś, co w nim żyło. Sporo czasu zabrało Benedettcie i jej przyjaciółkom odkrycie, czym to coś jest. Był to Platort. Pies Martina biegał sobie swobodnie po pałacu pamięci.

Martin podłączył organiczny mózg psa bezpośrednio do wirtualności. Procesu tego nie aprobowano w stosunku do ludzkich

mózgów, i to z wielu doskonałych powodów. Aktywność mózgowa była zjawiskiem dopiero poznawanym i wysoce nielinearnym. Mózg rośnie, metabolizując fizyczne substancje organiczne. Programom, próbującym rosnąć wraz z mózgiem, nie udawało się osiągnąć symbiozy; nigdy jeszcze nie doszło do równomiernego rozwoju myśli i zdolności obliczeniowej; pojawiał się co najwyżej potężny, hałaśliwy bajzel. Rozwój pozostawiony sam sobie kończył się na ogół indukowanym szaleństwem.

Benedetta pokazała jej ukryte skrzydło pałacu, w którym pracował mózg psa. Cyborganiczna mieszanka rosła latami, węzeł za węzłem, zwój za zwojem, w potężnych frotażach i lśniących zestalonych wodospadach, tworząc labirynt zrobiony pozornie z koralowców i płatków śniadaniowych. Neuralna augmentacja działała jeszcze, znaleźli jednak linki do psiego oprogramowania organicznego i zablokowali je. Tu i ówdzie były tam monstrualne perły, potężne wirujące moduły, wyglądające jak nigdy nie kończące się koszmary.

Od śmierci Warshawa mózgowe procesy psa włamały się do pałacu w pięciu miejscach. Uwolnione mentalności pływały w ruinach pięter niczym rozgwiazdy.

— Jak to wygląda w kodzie? — spytała Maya.

— Och, to bardzo piękny kod. Nie dałoby się go przeanalizować linia po linii, nawet gdyby człowiek miał milion lat.

— I naprawdę sądzisz, że to mu pomaga myśleć?

— Nie przypuszczam, żeby psy myślały tak, jak my myślimy, ale z pewnością mamy tu do czynienia z procesem kognitywnym ssaka. Warshaw podłączył pałac netlinkiem do mózgu swojego psa. Jak na tamte czasy, to bardzo skomplikowany proces, choć oczywiście dzisiaj próbuje się na zwierzętach laboratoryjnych nie takie rzeczy. Jak na lata 2060-te było to jednak bardzo szerokie pasmo i bardzo szybkie łącze. Kręgosłup tego zwierzaka musi być najeżony antenami.

— Dlaczego?

— Zakładamy, że miał zamiar ukryć dane w mózgu zwierzęcia, a być może nawet przenieść cały ten pałac w jego system nerwowy. Tego rodzaju wizjonerskie nonsensy były bardzo popularne w 2060-tym. Ludzie wierzyli wówczas dosłownie we wszystko. Komputery były dla nich romantyczne, a wirtualność wręcz mistyczna. Prowadzono mnóstwo przedziwnych eksperymentów. Myśleli, że wszystko jest możliwe i nie mieli za wiele zdrowego rozsądku. Ale Warshaw nie był programistą, tylko starym bogatym facetem. Starym, bogatym, lekkomyślnym facetem.

— Czy ten pies nadal jest tu, on-line?

— Niewłaściwy dobór terminologii, Mayu. Ten pies nigdy nie miał małych psich rękawic i małych psich gogli. Nigdy nie doświadczył tego pałacu jako pałacu, on się w nim po prostu

zagnieździł. A może pałac zagnieździł się w nim…? A może Warshaw myślał, że pewnego dnia sam tu zamieszka? Odłączy całą swą fizyczność i zniknie w materii czystych mediów. Ludzie myśleli kiedyś, że to możliwe, ale potem spróbowali i zrozumieli, że będzie im cholernie trudno. Warshaw zrobił raz o tym głupiutki filmik.

— Widziałaś filmy Warshawa? Naprawdę?

— Wzięłyśmy sobie za punkt honoru, żeby je odgrzebać.

— I podobały wam się?

— Był prymitywem.

— To tutaj nie wydaje mi się prymitywne.

— Bo to tutaj nie jest przecież kinem. To sztuczne życie. Miliardy cykli dziennie, przez trzydzieści lat.

Na dole, w piwnicy pałacu, ustawiły już i podłączyły część maszyn świętego płomienia. Maszyny jak z marzeń. Miały robić coś wyjątkowo skomplikowanego z częściami mózgu odpowiedzialnymi za postrzeganie i słyszenie. Można było na nie w pewien sposób patrzeć, można było je w pewien sposób słyszeć, ale nigdy właściwie nie czuło się niczego. Świadomość ludzka nie jest w stanie postrzegać głęboko przedświadomej aktywności centrów postrzegania i słuchu, podobnie jak nikt świadomie nie postrzega fotonów padających na siatkówkę, nie czuje małych kostek poruszających włoski błędnika. Maszyny nie wydawały się wcale zamazane, po prostu nie całkiem były tam, gdzie były. Ich obecność uspokajała, jak poruszanie się pod wodą, jak lekki sen w fabryce kolorów, jak na pół słyszalny dźwięk, nie będący do końca muzyką.

Nie było w tym nic wspaniałego ani podniecającego. Nic tu nie wybuchało, nie płonęło, nie błyskało. Ale i nic się tu nie kończyło. To coś było prostym przeciwieństwem końca. Benedetta z przyjaciółkami próbowała wynaleźć bardzo, ale to bardzo trwałe pożywienie dla postludzkich dusz nowego świata. I nie za bardzo wiedziały, jak to zrobić. Próbowały różnych rzeczy, różnych podejść, pracowicie zapisywały wyniki prób.

Na Mayi nie testowano niczego, ale pozwolono jej przyglądać się wszystkiemu, ponieważ była lubiana. Widziała pudełka w pudełkach, w pudełkach, cieknące własną geometrią, przestrzenny kalejdoskop. Widziała kwieciste wiatraczki z kłosów. Słyszała ruch kwiatów, ale tak naprawdę nigdy nie trafiały one do oczu. Postrzegała też wielkie rzeczy bezustannie wkopujące się w bezustannie wkopujące się wielkie rzeczy. Wszystko to było bardzo podświadome i bardzo subtelne, niczym umysłowa witamina.

Maya wręcz nie potrafiła znużyć się świętym płomieniem. Chyba nie można było się nim znużyć. Nie wymagał, by poświęcano mu uwagę, działał poza wszelką uwagą. Był czymś, co przydarzało się człowiekowi, nie czymś, co człowiek robił. Ale zawsze nadchodził

moment, w którym rękawice i słuchawki zaczynały jej dokuczać, w którym pojawiał się ból w plecach. Maya wylogowywała się wówczas i wpatrywała w ścianę.

Po obcowaniu ze świętym płomieniem, ściana wydawała się pełna znaczeń. Można było siedzieć godzinami, medytując nad pustą ścianą, medytując nad niezmierzonym bogactwem jej fizyczności; całkowita, totalna obecność jej całkowitej i totalnej obecności słodko zawłaszczała zmysły. Już nie wewnętrzność wywoływała działanie, liczyła się działalność, gdy wyszło się z wewnętrzności, spojrzało…

Czasami Maya kładła się na podłodze, obserwując sufit. Koty aktorki podchodziły, siadały jej na piersi, lizały się po łapach, wpatrywały w jej twarz. Zwierzęce oczy ze świata, który nie znał słów, nie znał symboli…

Benedetta z przyjaciółkami ciężko pracowała także poza pałacem. Dziewczyny przeprowadziły ataki na kilka pozornie opuszczonych miejsc i zdołały się włamać do trzech z nich. Znalazły fizyczne źródło pałacu Warshawa — rozbite dane przepływały przez sekwencję serwerów wyspy Nauru na Pacyfiku. Przenosiły pałac linia po linii z sieci Nauru przez Maroko, Bolonię i wreszcie, kawałek po kawałku, na krystaliczny serwer, stojący w praskim mieszkaniu aktorki. Sądziły, że znalazłszy się całkowicie na tym serwerze, odmieniony pałac będzie działał znacznie szybciej i sprawniej. W końcu Maya miała zyskać możliwość spacerowania z pałacem, zaklętym w optycznie obrobionym komputacyjnym diamencie wielkości pięści, pod pachą.

Pewnego czerwcowego dnia Maya spędziła za wiele czasu wśród płatków śniegu, tańczących galopkę w podmuchach pary i, zdjąwszy wreszcie gogle, pojęła natychmiast, że wyrządziła sobie krzywdę. Kiedy zamykała oczy, świat na wnętrzu jej powiek zmieniał się. Dziewczynom udało się dotrzeć do najintymniejszego z miejsc — miejsca, gdzie chowała się, zamykając oczy. Jeśli nie śpisz, a zamkniesz oczy, nigdy nie widzisz prawdziwej ciemności. Pod opuszczonymi powiekami zawsze coś się dzieje. Pozbawione światła oko nadal pracuje, szare komórki kogoś, kto nie jest ślepcem, próbują na swój sposób dojść do ładu z rzeczywistością. Tworzą swój własny, mały świat. Intymny mały świat za zamkniętymi powiekami składa się z łagodnych nieforemnych błękitów i słabych, poruszających się punktów fioletu, optycznych chlapnięć stłumionej żółci i brązu. Lecz teraz świat ten został w jakiś sposób dotknięty. Został w jakiś sposób zmieniony. Był nowy i nie był światem Mayi.

Maya połączyła się z Benedettą. Łączenie się z Benedettą było ostatnio kłopotliwe, Benedetta bowiem była stale napięta i tajemnicza. Ale Maya musiała z nią porozmawiać.

— Benedetto, popełniłam błąd — powiedziała.

— Jaki to błąd?

— W moim przypadku to nie zadziała.

— Musisz być bardzo cierpliwa — tłumaczyła jej Benedetta bardzo cierpliwie. — Ten projekt obliczony jest na bardzo długi czas.

— W moim przypadku to nie zadziała, ponieważ nie jestem młoda. Raz już kiedyś byłam młoda. Byłam młoda w innym świecie. Ten tu świat jest waszym światem. Tworzycie coś, czego nie potrafię sobie nawet wyobrazić. Mogę z wami współpracować, mogę nawet pomóc wam budować to coś, ale nie mogę tam mieszkać, ponieważ nie jestem jedną z was.

— Ależ oczywiście, że jesteś jedną z nas. Nie martw się, jeśli nie odczuwasz efektu. To nic w porównaniu z tym, co zrobimy w ciągu stu lat.

— Nie będę żyła jeszcze sto lat. Świata poza zbiegiem nigdy nie zobaczę na własne oczy. Nie w tym rzecz, żebym nie chciała. Po prostu nie urodziłam się w odpowiednim momencie.

— Mayu, nie poddawaj się. Co to za defetystyczne gadanie. Jesteś ważna dla naszego morale.

— Kocham cię, zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale musisz sama zatroszczyć się o swe morale. Ja już nigdy tam nie wrócę. Zaczynam wreszcie czuć i rozumieć, co to wszystko naprawdę znaczy. Ja nigdy nie będę w stanie sięgnąć tak daleko. Nie chcę tego i w moim stanie nawet tego nie potrzebuję. Mogę pomóc wam w waszych kłopotach, ale wy nie możecie pomóc mi w moich. To uczyniłoby mnie tylko gorzej niż martwą.

— Czy są rzeczy gorsze od śmierci, Mayu?

— Na Boga, oczywiście!

Maya przerwała połączenie. Położyła się na łóżku na wznak i wbiła wzrok w sufit.

W jakiś nieokreślony czas później dźwięk dzwonka doprowadził ją do przytomności. Maya wstała niczym lunatyczka, przeszła po białym kosmatym dywanie i otworzyła drzwi.

Duży brązowy pies puścił dzwonek i opadł na cztery łapy. Skoczył w otwarte drzwi. Maya cofnęła się, potknęła i pies znalazł się w mieszkaniu.

— Zadałaś mi ból — powiedział.

— Wejdź, Platonie. Gdzie twoje śliczne ubranie?

— Zadałaś mi ból.

— Nie wyglądasz najlepiej. Czy dobrze się odżywiałeś? Powinieneś zawsze uważać, co jesz. To bardzo ważne, odżywiać się właściwie.

— Zadałaś mi ból… wielki.

Maya cofnęła się w stronę kuchni.

— Chcesz coś zjeść? Mam teraz mnóstwo pysznego jedzenia.

— Zadałaś mi ból… wielki. Ból w głowie. — Pies wszedł do

pokoju. Łeb, pokryty zmatowiałą sierścią, trzymał nisko. Powąchał podłogę, potrząsnął brudnym łbem. — To przez ciebie — powiedział.

Jeden z białych kotów przebudził się, spojrzał na psa ze zdumieniem, najeżył się jak szczotka i wpadł w panikę.

— Spokojnie, kotku — krzyknęła natychmiast Maya. — Platonie, zaraz dam ci jeść. Wszystko będzie dobrze. Zaraz wykonam kilka połączeń. Zaraz się tobą zajmę. Zrobimy sobie ciepłą kąpiel, znajdziemy śliczne ubranie, pójdziemy…

— Tu są koty! — zawył pies.

I zaatakował.

Maya wrzasnęła. W powietrze wzbiły się kłaki białego futra. Pokój eksplodował zwierzęcą furią. Pies zmiażdżył pierwszego kota w wielkich białych kłach; kot padł na podłogę w konwulsjach. Zaczął zdychać przy wtórze włączonego alarmu.

Maya doskoczyła do psa atakującego drugiego kota. Próbowała złapać go za matową, zmierzwioną sierść na karku. Pies odwrócił się błyskawicznie i, jakby była to najłatwiejsza rzecz na świecie, ugryzł ją w łydkę. Maya poczuła się tak, jakby nogę przytrzasnęły jej stalowe zębate drzwi. Krzyknęła i upadła.

Kot próbował wspiąć się po tapecie. Pies złapał go za ogon jedną ze swych chwytnych przednich łap, ściągnął i zagryzł.

Maya szarpnięciem otworzyła drzwi.

Uciekła.

Nie miała nic. Nie miała butów. Wiedziała, że teraz jest pierwsza na liście psa. Noga jej krwawiła, Maya śmierdziała strachem tak strasznym, że pod jego ciężarem mógłby zawalić się świat. Pobiegła. Pobiegła korytarzem do wind. Stała w windzie, jęcząc i drżąc, póki nie zamknęły się drzwi.

Nie mogła zrobić nic. Więc złapała pociąg.

* * *

Pierwszego dnia ukradła ubranie. Kradzież była bardzo trudna, ponieważ Maya tak się bała. Łatwo jest kraść, kiedy jest się doskonale szczęśliwym i pewnym siebie, ponieważ wszyscy kochają doskonale szczęśliwe i pewne siebie ładne dziewczyny. Nikt jednak nie kocha niewyraźnych dziewczyn o sztywnych włosach, kulejących, mrużących ze strachu oczy, sprawiających wrażenie narkomanek i nie mających bagażu.

Pies był w sieci. Maya nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, że kiedyś uważała sieć za miłe miejsce. Sieć była akurat tak miła, by za

jej pomocą głuszyć ryby. Wielkie kawały szarych psich komórek urosły wewnątrz sieci. Pies nawiedził pałac jak duch, a potem użył go, by ją wytropić. Teraz podążał, węsząc, jej tropem, i był obecny na całym świecie, jak jakaś para wodna.

Maya wiedziała, że policja znajdzie ją, gdy tylko przestanie uciekać. Maya była bardzo zmęczona, gnębiło ją straszne poczucie winy i wszystko ją bolało. Gdy tylko zdarzyło się jej usiąść nieruchomo, natychmiast ogarniała ją panika, musiała iść gdzieś, by zwymiotować.

Ale na Synaju było lato. Synaj nie był Europą. Maya nie znajdowała już wyzwolenia w podróży; podróżując, czuła się dziwnie i źle. Aktorka przebywała w centrum turystycznym nad Morzem Czerwonym. Było to miejsce, do którego ludzie uciekali, gdy czuli się bardzo, bardzo zmęczeni. Naturalnie, aktorka pozostawiła ścisłe instrukcje by nikt jej nie niepokoił.

Maya przekonała funkcjonariuszy centrum, że ma ważne informacje o śmierci w rodzinie. Nie było wątpliwości, że jest roztrzęsiona, nieszczęśliwa, przepełniona smutkiem, uwierzono więc w tę opowieść i ulitowano się nad nią. W rajskiej niszy odsalania wód i udomowionej dżungli żyli uprzejmi i łagodni ludzie, których zawodem było dbanie o innych. Ci ludzie dali jej notebook i poinformowali, gdzie ma szukać tropu aktorki.

Aktorka była włochatym hominidem o mocnych czarnych pazurach i owłosionych, twardych od odcisków stopach. Nagie ciało pokryte miała szorstkim czarnym futrem. Ludzie mogą robić ze sobą takie rzeczy bez problemu, jeśli tylko zdecydują się uaktywnić część swego nieaktywnego DNA. Nie była to działalność medyczna przedłużająca życie, tylko coś, co robiło się w uzdrowisku.

W pewnych współczesnych kręgach społecznych cofnięcie się do formy przedludzkiej uważano za wyjątkowo relaksujące. Regresowano się na kilka bardzo uspokajających miesięcy bardzo ograniczonej świadomości. W formie utrzymywało człowieka poszukiwanie żywności. Przedludzcy goście uzdrowisk jedli owoce, a także ścigali małe zwierzęta i zabijali je kijami. Wyposażano ich w nadajniki umożliwiające lokalizację i raz w miesiącu częstowano padliną.

Maya podporządkowała się sugestiom notebooka i w końcu znalazła pannę Jeżkovą. Panna Jeżková gapiła się na morze, rozbijając pięściakiem skorupy żywych ostryg.

— Czy pani Olga Jeżková? — spytała Maya.

Panna Jeżková przełknęła ostrygę z głośnym mlaśnięciem. Notebook powiedział coś po czesku. Maya nawigowała w menu.

— Teraz nie — odparła niejednoznacznie maszyna.

— Nazywam się Mia Ziemann, panno Jeżková — powiedziała Maya do mikrofonu notebooka. — Przykro mi, że spotykamy się w

tych okolicznościach. Przyjechałam z Pragi i mam dla pani złe wieści.

— Złe wieści mogą poczekać — powiedział notebook niepewną angielszczyzną. — Złe wieści zawsze mogą poczekać. Jestem głodna.

— Mieszkałam w pani mieszkaniu. Opiekowałam się pani kotami. Tym właśnie zajmowałam się w Pradze, opieką nad kotami. Czy pani mnie rozumie?

Panna Ježková przeżuła kolejną ostrygę. Skóra na niej zadrżała i aktorka podrapała się energicznie.

— Moje śliczne kotki — powiedział w końcu notebook.

Personel kurortu uprzedził Mayę, że nawiązanie porozumienia z panną Ježkovą będzie wymagało cierpliwości. Ich klienci nie przyjeżdżali tu, żeby sobie pogadać, pozostawiali jednak aktywnymi niektóre mózgowe połączenia, na wszelki wypadek.

— Co z moimi kochaniątkami? — powiedział w końcu notebook.

— Nie żyją. Bardzo mi przykro. Byłam gościem w pani domu i kotki zostały zabite. Strasznie się z tego powodu czuję. To moja wina. Przyjechałam, jak mogłam najszybciej, ponieważ chciałam poinformować panią o tym osobiście.

— Moje kotki nie żyją? — powtórzyła panna Ježková. — Kiedy wrócę do domu, będzie mi bardzo smutno.

— Pies wtargnął do domu i zabił je. Straszne to było, i wszystko przeze mnie. Po prostu musiałam przyjechać i poinformować panią o wszystkim tym osobiście. Po prostu musiałam. — Maya drżała na całym ciele. Nie potrafiła opanować dreszczy.

Panna Ježková patrzyła na nią ponadczasowymi brązowymi oczami.

— Przestań płakać. Źle wyglądasz. Musisz być głodna.

— Chyba rzeczywiście jestem głodna.

— Zjedz trochę kamiennych słodkości. Są takie soczyste i smaczne. — Olga Ježková zgrabnie rozbiła pięściakiem kolejną ostrygę.

Maya wydłubała żywe zwierzę z roztrzaskanej skorupy. Przełknięcie go wymagało od niej niemałej odwagi. W dotyku obrzydliwa, przełknięta ostryga dała jej jednak głęboką zmysłową przyjemność.

Spojrzała na Morze Czerwone. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego morze to nazwano czerwonym, skoro było tak nieprawdopodobnie, intensywnie niebieskie. Może zrobiono z nim coś dziwnego, może w jakiś podstawowy sposób zmieniono sam charakter oceanu? Pozostały jednak fale, uderzające w czarne skały w niespiesznym, wiecznym i niezmiennym rytmie, pozostały miliony kilometrów kwadratowych błękitnego, gorącego i pogodnego nieba.

— Mówią, że człowiek topi się szybko. Że to łatwa śmierć.

— Nie bądź głupia. Jedz.

Maya zjadła kolejną ostrygę. Jej zaciśnięty w ciasny supeł żołądek rozluźnił się powoli, zaburczał radośnie.

— Jestem głodna — powiedziała nagle. — Nie potrafię uwierzyć w to, jaka jestem głodna. Na Boga, nie jadłam chyba od tygodni!

— Jedz. Martwe dziewczyny są gorsze od martwych kotów.

Maya zjadła kolejną ostrygę, wpatrzona w morze. Fale, błyszcząc odbitym słońcem, wznosiły się i opadały rytmicznie. Nagle poczuła, jak ogarnia ją jakieś straszne napięcie. Czuła, że całe jej ciało budzi się, jakby stało się jedną wielką, unoszącą się powieką.

Zalało ją światło świata.

Była wewnętrznie rozdarta. Tu i teraz dowiedziała się, że na zawsze pozostanie wewnętrznie rozdarta. Że nigdy już nie będzie jednością, kompletną kobietą, że blizny na samym jądrze jej istoty nigdy się już nie zagoją. Była stworzeniem zszytym z kawałków, że zawsze już będzie składać się z kawałków i szwów.

Teraz jednak po raz pierwszy wszystkie jej części patrzyły na to samo. Całość jej, uchwycona przez promienie gorącego światła, odbierała jeden obraz, zewnętrznego świata.

A potem, nagle, zniknęło okno, przez które patrzyła na świat i Maya stanęła we wnętrzu świata. Zamieszkiwała świat. Nie przeskakiwała już z jednej w drugą potrzaskaną świadomość własnego umysłu, lecz żyła w świecie, oddychała światem, nad którym świeciło słońce. Nie było to szczęście, nie była to nawet przyjemność, lecz raczej radosne doświadczenie, dotykające każdego, nawet najbardziej ukrytego zakątka jej wnętrza.

Świat pod słońcem zdumiał ją i oszołomił. Był to świat o wiele większy i o wiele bardziej interesujący niż każdy jej pojedynczy, mały wewnętrzny światek. Ten wielki świat dotykał całej jej istoty, wystarczyło tylko, by patrzyła. Żyła w środku tego świata. Żyła, świadoma i przebudzona, w jasnym blasku dnia. Ten świat był całkowicie, poważnie, nie do uniknięcia i wyzwalająco rzeczywisty.

— Czuję, jak przewiewa mnie wiatr — szepnęła.

Olga odpowiedziała jej chrząknięciem.

Maya obróciła się i spojrzała na włochatego humanoida.

— Olgo, czy rozumiesz cokolwiek z tego, co do ciebie mówię? Bo ja sama zaledwie się rozumiem. Ostatnio tak strasznie ciężko mi się żyło. Sądzę, że… sądzę, że miałam jakiś atak.

— To ty nic nie rozumiesz — powiedziała Olga. — Życie to cierpliwość. Ty jesteś beztroska, mówisz za wiele, za bardzo się spieszysz. Ja wiem, jak być cierpliwą. Żałować jest smutno, ale żal przemija. Być winnym to smutno, ale wina przemija. Ty jeszcze tego nie wiesz. Dlatego jestem od ciebie mądrzejsza, nawet jako małpa.

— Naprawdę bardzo mi przykro z powodu kotów. Słuchaj, może mogę coś zrobić, żeby zadośćuczynić ich śmierci.

— Doskonale, znajdź nam więcej kamieni do jedzenia.

— To ostrygi, Olgo. Te kamienie to ostrygi i, jasne, znajdę nam jeszcze kilka.

Nad Morzem Czerwonym świeciło słońce, gorące i prawdziwe. Przyjemnie będzie brodzić między głazami. Rozkosznie będzie pływać.

Maya zrzuciła ubranie.

— Ostrygi — powiedziała głośno Olga. — Słowa są takie śmieszne, prawda?

* * *

Skandal z Heleną odciął ich od Tête, ale zwykły skandal nie był w stanie powstrzymać człowieka tak pomysłowego, jak Paul. Paul znalazł im inne miejsce spotkań, w greckiej Dimokratia. Załatwił im wielkie zanurzenie.

Wczesnym latem Grecja była piękna. Grecja była krajem, na którym wielkie cywilizacje wyrastały z łatwością rosnącej na chlebie pleśni. Centrum turystyczne znajdowało się niedaleko małego miasteczka Korynt, na pachnących lasami wzgórzach Peloponezu. Należało do czterdziestoletniego multimilionera, który trafił na nieprawdopodobną żyłę śmiecia w kiepsko zbadanych złożach przemysłowej dziczy wschodnich Niemiec. Jako jeden z najmłodszych prawdziwie bogatych ludzi w Europie, ekscentryczny prospektor uwielbiał irytować świat.

Paul wraz z trzydziestką swych żywych przyjaciół-podróżników siedział nad błyszczącym w słońcu basenem, wysmarowany olejkiem i nagi pod przerzuconym przez ramię, jak toga, plażowym ręcznikiem. Wszyscy byli w kłopotach większych niż te, w jakie zdarzyło im się już wpaść w ich młodym życiu, co wszystkich niezmiernie wręcz cieszyło.

— Zjedz winogrono — powiedziała Benedetta, podając Mayi glazurowaną wazę na długiej nóżce.

— Naturalne owoce są pełne toksyn — odparła Maya.

— To genetyczne cudo.

— Dobrze, daj mi kilka. — Spróbowała. Winogrona były przepyszne. Napchała ich do ust, ile się zmieściło.

— Wspaniałe — powiedziała. — Daj mi jeszcze parę. Utyję i zrujnujesz mi tę moją kretyńską karierę.

Benedetta roześmiała się. Naga i roześmiana Benedetta była cudownie, uderzająco piękna. Wysmarowana olejkiem najada. Wszyscy byli tacy swobodnie piękni, ci współcześni młodzi ludzie. Nieśmiertelni, ustrojeni w togi najwspanialszej technicznej retoryki.

Nadnaturalnie piękne stworzenia.

— Ostatnio bez przerwy jestem głodna — powiedziała Maya, zajadając winogrona. — To dobrze. Znów jestem własnością mego ciała. A może ciało jest moją własnością…

— O wiele zabawniej jest dzielić się ciałem — stwierdziła Bouboule, wyciskając sobie olejek na dłoń. — Nie mogę dosięgnąć swoich stóp. Niech któryś z chłopców posmaruje mi nogi. Rozleniwiają się w tym słońcu… chłopcy potrzebują trochę ruchu.

— Lepiej wyglądasz — oznajmiła Benedetta Mayi bardzo poważnie. — Nie wolno ci już tak uciekać. Powinnaś przestać się przejmować, zacząć się kontrolować, trzymać się blisko nas. Już my się o ciebie zatroszczymy, wiesz? Widzisz? — Szerokim gestem objęła zgromadzone nad basenem towarzystwo. — Czy to nie cudowne? Nie powiesz chyba, że się o ciebie nie troszczymy.

— Sprawiam tylko kłopoty — powiedziała Maya.

— To ja sprawiam kłopoty — stwierdziła z naciskiem Bouboule. — Większe od twoich. Nie bądź taka zachłanna.

— Kłopoty przyniosły nam same korzyści — wtrąciła Benedetta. — Dzięki kłopotom staliśmy się znani.

— Jeszcze nie wiecie, co to są kłopoty — ostrzegła ją Maya.

— Ale przecież kłopoty przyniosły nam sławę. Dzięki kłopotom jesteśmy prawdziwie żywi! Teraz my definiujemy słowo „żywi”. Tylko na nas popatrz. Straciliśmy Tête, zgoda, i odpoczywamy sobie teraz nad tym pięknym basenem, a jakiś bogaty idiota, śmieciarz, płaci wszystkie nasze rachunki. Myśli, że jesteśmy fajni, bo gliny twierdzą, że jesteśmy niebezpieczni. Facet jest bogatym radykałem. Czy to nie cudowne, że na świecie istnieją jeszcze bogaci radykałowie? Jesteśmy młodymi modnymi Europejczykami. Narzucamy Europie radykalną modę. To wspaniale, prawda?

— *Épater les bourgeois* — wtrąciła Bouboule. — *Succés de scandale.* Stare gry i zabawy to dobre gry i zabawy.

— Nie czytasz sieci, Mayu? Nadają tam naszej grupie takie ładne nazwy.

— „Upiorne Dzieciaki” — powiedział kwaśno Niko. — Nienawidzę tej nazwy.

— Ale po francusku brzmi dobrze — poprawiła go Bouboule.

— Dlaczego nie poprzestać na „Grupie Tête”? — spytał Niko. — Przecież sami zawsze nazywaliśmy się „Grupą Tête”.

— Nie ma znaczenia, jak nazywaliśmy się sami — powiedziała Benedetta. — Sami powinniśmy wymyślić naszą nową nazwę. Jesteśmy twórczymi młodymi ludźmi. Sami powinniśmy zająć się naszą reklamą. Jak wam się podoba „Illuminati”?

— Już było — zauważył Niko.

— „Młodzi Nieśmiertelni” — rzuciła Bouboule.

— „Ludzie, Którzy Biorą Paula Na Serio” — zaproponowała Maya.

— „Niszczące Wszechświat Boginie Anarchii” — podpowiedział Niko. — I ich przyjaciele.

— ”Ci, Przeciw Którym Prowadzi Się Śledztwo” — powiedziała Maya. — „Potencjalni Przestępcy”.

— Wstrętne nazwy — obraził się Niko.

— Ale nie takie wstrętne jak te, którymi mnie się nazywa — zauważyła Maya. — Jestem szaloną przestępczą gerontokratką, która sprowadziła was wszystkich na złą drogę.

Benedetta wyprostowała się gwałtownie, zszokowana.

— To było głupie — powiedziała. — Kto tak twierdzi?

— Wszyscy będą tak twierdzić. Ja też stałam się sławna. Kiedyś nikt nie wiedział, kim jestem, i nikogo to nie obchodziło. Mogłam robić co chciałam pod warunkiem, że nie będzie to nic wielkiego. Jednak teraz wy robicie coś wielkiego, a ja jestem w to wmieszana. Jestem waszą wspólniczką, nie mogę jednak tłumaczyć się żadnymi szlachetnymi motywami. Wy możecie sobie uchodzić za wizjonerów, ja jestem tylko nielegalną cudzoziemką, która zdefraudowała cenne walory medyczne. — W tym momencie Maya poklepała się po piersi. — Wiem, że nie uda mi się uciec przed konsekwencjami tego, co zrobiłam, mam więc zamiar sprowokować własne aresztowanie. Mam zamiar oddać się w ręce sprawiedliwości.

Benedetta zastanowiła się nad jej słowami.

— Mam wrażenie, że uważasz się za bardzo szlachetną — powiedziała w końcu, powoli. — Cóż, najwyraźniej nie rozumiesz naszej strategii. Zabrali ci serwer sieciowy wraz z pałacem pamięci, zgoda. I co z tego? Zginęło kilka domowych zwierzątek. I co z tego? To tylko drobne niedogodności, a my przynajmniej wiemy, co jest możliwe. Już jesteśmy w innych pałacach. Zaleźliśmy gerontokratom za skórę. Starcy nie mogą już walczyć z nami, nie mogą też zepchnąć nas na boczny tor. Niech spróbują, a wywrócimy ich na drugą stronę.

— Nie, kochanie, to ty nic nie rozumiesz. W odróżnieniu ode mnie nigdy nie byłaś gerontokratką. Gerontokratów nie obchodzą wasze wirtualności. Nie obchodzą ich wasze idiotyczne problemy z nieskończoną wyobraźnią. Udają, że obchodzi ich co myślicie, bo przyznanie się, że nic ich to nie obchodzi, byłoby nieuprzejmością, ale tak naprawdę marzenia niewiele ich obchodzą. Obchodzi ich rzeczywistość. Obchodzi ich odpowiedzialność. Wiedzą, że pewnego dnia będą musieli umrzeć. Wiedzą, że będziecie tańczyć na ich grobach. Z radością wybaczą wam, cokolwiek zrobicie… pod warunkiem, że przedtem spokojnie spoczną w grobach. Ja, kochanie, nie jestem jakimś futurystycznym buntownikiem. Jestem heretyczką, tu i teraz. Nie tańczę na ich grobach, tańczę im po odciskach.

— Mayu, przestań rozmawiać o niedobrej polityce, i to po

angielsku. Lepiej zrób to, co radzi ci Benedetta — powiedziała Bouboule. — Benedetta jest bardzo mądra. Och, tylko popatrzcie. Lodewijk ją całuje! — I, podniecona, zaczęła coś mówić po francusku.

Mayi bardzo brakowało tłumacza z peruki. Perukę straciła, uciekając z praskiego mieszkania aktorki. Uciekając, straciła wszystko co posiadała, choć oczywiście niewiele miała do stracenia. Żałowała przede wszystkim fotografii. Nie były to najlepsze fotografie, ale lepszych przecież nie zrobiła. Troskliwie ukryła je w pałacu, a pałac należał teraz do Wdowy.

Niko i Bouboule podniecili się straszliwie, obserwując Lodewijka w nieoczekiwanym zapaśniczym uścisku z Yvonne. Chichotali i komentowali to wydarzenie. Nawet Benedetta zainteresowała się nim na swój specyficzny naukowy sposób. Gdyby Maya skupiła się na ich raptownej francuszczyźnie, zrozumiałaby może jedno słowo na dziesięć. Teraz, kiedy nie miała w uchu komputerowej błony, ci młodzi ludzie wydawali się jej nieprawdopodobnie odlegli, wydawali się jej pokoleniem z innej kultury, z innego kontynentu. Pokoleniem, które od jej pokolenia dzieliło osiemdziesiąt lat.

Na swój własny sposób znała ich wszystkich: Paula, Benedettę, Marcela, Nika, Bouboule, Eugene'a, Larsa, Julię, Evę, Maxa, Renée, Fernande'a, Pabla, Lunię, Jeanne. Victora, Berthę, Enheduannę znaną jako Hedda, dziwnego chłopaka Berthe, którego twarzy nie potrafiła zapamiętać, Lodewijka, nowego chłopaka z Kopenhagi, Yvonne, która jakieś dziesięć sekund temu przestała być mniej lub bardziej oficjalną dziewczyną Maxa, tego stale spiętego rosyjskiego rzeźbiarza o dwunastu palcach, śliczną małą Indonezyjkę, która przylgnęła do nich ostatnio i podobno była dziewczyną brata Bouboule… Jej przyjaciele byli wspaniali. Miała szczęście, łapiąc ich w krótkiej fazie larwalnej, kiedy byli jeszcze mniej więcej ludźmi. Kochali ją i kochali się nawzajem, siebie nawzajem kochali jednak tak, jak powinni to robić kochankowie i przyjaciele, ją zaś tak, jak kochać można album bardzo cennych, starych, znakomitych fotografii portretowych.

Bouboule z wężowym wdziękiem wstała z leżaka i poszła podrażnić się z Yvonne i Lodewijkiem. Niko poszedł za nią, dopilnować, by Bouboule nie drażniła się z nimi przesadnie, a także by dobrze się zabawić. Odczytała to z mowy ich ciał. Mowę ciał łatwo odczytać u ludzi bez ubrania.

Benedetta ułożyła smukłe nogi na plecionym podnóżku.

— Rozumiesz, on przysyła Yvonne tyle wierszy — powiedziała do Mayi, bardzo pragnąc okazać się pomocna. — Kiedy je czytam, nie mogę nie płakać. Sama dziwię się temu, że poezja po duńsku doprowadza mnie do płaczu.

— Benedetto, doprawdy nie musisz mi tego tłumaczyć. Strata wspaniałego lśniącego tłumacza, który w dodatku sam się układał na

głowie, to przecież wyłącznie moja wina.

— Lubię tłumaczyć ci różne rzeczy, Mayu. Chcę, żebyś wszystko dobrze zrozumiała.

— I tak rozumiem za wiele i za dobrze. — Maya zamyśliła się na chwilę. — Ale, Benedetto, jest jedna rzecz, której zupełnie nie rozumiem. Dlaczego właściwie Paul nie ma kochanki? Nigdy go z nikim nie widziałam.

— Może zbytnio wczuwa się w sytuację drugiego człowieka?

— Co to znaczy „może"? Czyżbyś próbowała mi powiedzieć, że nie wiesz na ten temat wszystkiego, co warto wiedzieć? — Maya uśmiechnęła się. — Czy ja naprawdę rozmawiam z moją Benedettą?

— Nie w tym rzecz, żebyśmy nie próbowały — wyjaśniła jej Benedettą. — Oczywiście, że wszystkie próbowałyśmy z Paulem. Która z nas nie chciałaby zostać panią Ideolog? Która z nas nie chciałaby zostać ulubioną dziewczyną geniusza? No, która? Która z nas nie chciałaby zniknąć w jego bohaterskim cieniu? Ja sama chciałabym sprzątać po nim brudne skarpetki. Sama chciałabym przyszywać mu guziki. Oto życie w sam raz dla mnie, nie? Nie pragnę niczego więcej, niż wpatrywać się z milczącym uwielbieniem w mego ukochanego Paula, przez czternaście godzin bez przerwy wykładającego teorię naszym przyjaciołom. Pragnę, żeby na mnie patrzyli i widzieli, że jego serce mam w małej torebeczce pod pachą. I żeby wszyscy umierali z zazdrości.

— Poważnie mówisz, Benedetto? Och, poważnie. Mówisz poważnie. Kochanie, przecież to straszne!

— Czy ty kiedykolwiek rozmawiałaś poważnie z Paulem? Bo ja tak. Mimo wszystko.

— Owszem — powiedziała Maya. — Nawet poklepał mnie po dłoni.

— Myślę, że chodzi o policjantkę. Tak uważam, choć nie mam żadnej pewności. Naszą prawdziwą rywalką jest Wdowa. Jestem zmiażdżona. Po prostu zmiażdżona. Czy tak się mówi, „zmiażdżona"? W każdym razie chodzi o Helene. On pragnie Helene. Uwielbia igrać z panterami.

— No, nie. To nie może być prawdą.

— Szanuje Helene. Traktuje ją bardzo poważnie. Rozmawia z nią nawet wówczas, kiedy nie musi z nią rozmawiać. Potrzebuje czegoś od Helene. Chce, żeby go dowartościowała, czy to właściwe słowo? Chce podbić Wdowę; to chyba coś takiego jak zdobyć Matterhorn. Chce, żeby w niego uwierzyła.

— Biedny Paul. Biedna Benedetta. Wszyscy biedni.

— A mnie co do tego? — spytała Benedetta, lekko, lecz z wyraźnie słyszalną goryczą. — Będę żyła tysiąc lat. Gdybym miała Paula nawet na sto, i tak byłby to wyłącznie epizod. Gdybym miała

Paula teraz, co zrobiłabym z nim później, gdy życie stanie się naprawdę interesujące? A jeśli chodzi o Wdowę; to Paul równie dobrze może dać sobie spokój. Helene kieruje się nawykami. Nigdy nie poślubi człowieka, który by ją przeżył.

— Och. To chyba wiele wyjaśnia.

— Widzisz, Mayu? Nie jesteś człowiekiem. My też nie jesteśmy ludźmi, ale my potrafimy zrozumieć. Jesteśmy ludźmi sztuczki. Zawsze rozumiemy znacznie lepiej, niż myślimy.

Rozległ się dźwięk gongu. Marcel krzyknął coś po francusku, potem po niemiecku, a w końcu po angielsku. Nadszedł czas zanurzenia.

— Nie idę — powiedziała Maya.

— Powinnaś popływać z nami. To ci dobrze zrobi.

— Nie sądzę.

— To nie żadna poważna wirtualność. To nie święty płomień. Ten basen to wyłącznie zabawka bogatego faceta. Ale jest ładny. I taki słodki technicznie.

Wypełniająca basen lśniąca ciecz zakotłowała się — to reszta towarzystwa wskakiwała do basenu. Nikt nie wypłynął.

Benedetta upięła swe wspaniałe włosy w kok i unieruchomiła szpilką.

— Wskakuję — powiedziała. — Chyba będę się dziś kochać.

— Z kim, na litość boską!

— Cóż, jeśli nie znajdę kogoś, komu by się chciało, być może spróbuję sama ze sobą! — Uśmiechnęła się, pobiegła, skoczyła do basenu. Zniknęła wśród białych bąbelków.

Paul patrolował basen wzdłuż jego granic. Zaglądał do środka. Uśmiechał się. Był samą, wcieloną satysfakcją.

— To już wszyscy oprócz nas — krzyknął do Mayi.

Maya pomachała mu.

— Nie przejmuj się mną. Wskakuj — krzyknęła.

Paul potrząsnął głową. Ruszył w jej kierunku wolno, na bosaka.

— Paul, dlaczego zostałeś?

— Rozmawiałaś z Benedettą o polityce — powiedział, jak zwykle analityczny. — Nie ponosimy ryzyka, nie wspominając już o wszystkich naszych wysiłkach, tylko po to, byśmy byli coraz to bardziej nieszczęśliwi. Dowodziłoby to tylko naszej moralnej klęski. Musimy cieszyć się młodością, inaczej po co być młodym? Więc rozumiesz, po prostu musisz wskoczyć z nami.

— Tego rodzaju rzeczy mnie przerażają.

— Pozwól w takim razie, że wszystko ci wyjaśnię. — Paul przysiadł ostrożnie u stóp jej leżaka. — Wyobraź sobie basen wirtualnościowy jako rodzaj *créme de menthe,* dobrze? Wierzchnią warstwę tworzy płyn silikonowy, którym można oddychać.

Wpuściliśmy do niego śladowe ilości anandaminy, żeby było milej. Przy dnie znajduje się płyn o własnościach kurczliwych, przypominający trochę te łączliwe płyny, których nasz przyjaciel Eugene używa przy odlewie rzeźb, tylko znacznie nowocześniejszy i znacznie przyjaźniejszy dla człowieka, można więc w nim pływać. To płynna, elastyczna wirtualność, w której można się zanurzyć i w której można oddychać.

Maya milczała. Starała się sprawiać wrażenie bardzo zainteresowanej.

— Najbardziej pomysłowa ze wszystkiego jest platforma. Platformą jest komputer płynowy, który, jako swych bramek logicznych, używa płynu przepływającego przez maleńkie otworki i kanały, rozumiesz? Wskakujemy do basenu i praktycznie oddychamy treścią komputera. Dodatkowo komputer urzeczawia się, pracując. Softpłyny to software, hardpłyny — hardware. Likwiduje to całkowicie pewne istotne różnice kategorii i jest działaniem w pełni poetyckim, a poza tym przyprawia gerontokratów o ataki wściekłości. — I Paul roześmiał się wesoło.

— Doskonale. Już wszystko rozumiem. Bardzo to sprytne, prawda? A teraz idź sobie.

Paul po raz pierwszy przyjrzał się jej poważnie. Wydawało się, że patrzy jej przez głowę na wylot.

— Złościsz się na mnie, Mayu?

— Nie.

— Czy zrobiłem coś, co cię zraniło lub obraziło? Proszę cię, bądź ze mną szczera.

— Nie. Nic mi nie jest. Naprawdę.

— Więc proszę, nie odmawiaj mej prośbie i podziel z nami to doświadczenie. Wejdziemy razem od płytkiego końca. Będę cię trzymał za rękę. Dobrze?

— Dobrze — zgodziła się Maya z westchnieniem.

Paul poprowadził ją za rękę, jak hrabia proszący hrabinę do kadryla. Wypełniający basen płyn lśnił milionami pryzmatycznych płatków. Być może były to maleńkie pływające sensory, kto wie? Sensory tak małe, że można nimi oddychać? Płyn miał temperaturę krążącej w ciele krwi. Wstąpili weń. Maya doznała wrażenia, że jej nogi się rozpuszczają.

Oddychanie w płynie było o wiele łatwiejsze, niż Maya się spodziewała. Łyk płynu rozpuścił się jej na języku niczym sorbet, płuca zaś zareagowały nań ze zdumieniem i rozkoszą, niczym rozmasowywane obolałe stopy. Nawet gałki oczne go pokochały.

Lustro płynu zamknęło się jej nad głową. Widzialność była kiepska, najwyżej na odległość wyciągniętej ręki. Paul nadal ściskał jej dłoń. Z mroku wyłaniały się jego kawałki — dłoń, łokieć, fragment

nagiego biodra.

Powoli spływali w głąb. Ku białej galaretowatej masie *créme de menthe.* Była niczym inteligentna glina. Reagowała na dotknięcia Mayi z nie maskowanym entuzjazmem. Paul zaczerpnął jej w złączone dłonie, zabulgotała w nich, nieopisanie aktywna, jak wiersz zmieniający się w układankę. Gotowała się z maszynową inteligencją. W pewien sposób była bardziej żywa niż ciało, rosła pod jej poszukującymi palcami niczym sonata Bacha. Materia uczyniona wirtualną. Prawdziwe sny.

Ktoś przepłynął obok Mayi żabką i zanurkował radośnie, niczym narciarz w nieprawdopodobnie ciepłą śnieżną zaspę. Teraz wreszcie Maya zaczęła przyzwyczajać się do tego uczucia. Była poza seksem, poza skórą. Bezskórna. Bezskórna pamięć. Krwawa nostalgia, somatyczne *déjá vu,* neuralne *mono no aware.* Wspomnienia, których nie wolno jej było mieć. Uczucia, których nie pozwolono jej odczuwać.

Pamięć spadła na nią jak najeżony igłami młot. Nie był to ból. Było to uczucie znacznie głębsze niż osobowość. Doświadczała czegoś, czego świadomość nie była w stanie ogarnąć. Nieprawdopodobne moce wierciły jej ciało, moce, w których umysł nie widział sensu. Zawalenie systemu ducha.

Kiedy oprzytomniała, leżała na wznak. Paul uciskał jej żebra, uderzał w nie mocno płaską dłonią, pobudzając serce do pracy. Z ust i nosa wypływał jej płyn, wykaszliwała go z siebie litrami.

— Rozpadłam się — wykrztusiła.

— Mayu, nie próbuj mówić.

— Mózg mi wybuchł…

Paul przycisnął ucho do jej ciała między piersiami. Słuchał bicia serca.

— Gdzie jest karetka? — denerwowała się Benedetta. — Mój Boże, czekamy już chyba z godzinę! — Owinęła się ręcznikiem. Drżała.

— Postąpiłem strasznie głupio — powiedział Paul. — Czytałem o kuracji neotelomerycznej. Zawieszają człowieka w wirtualności… powinienem się domyślić, co będzie.

Przez cały czas pompował jej płuca.

Maya przetoczyła głową po podłodze, próbując rozejrzeć się dookoła. Na chłodnych płytkach pozostał wysychający ślad śluzu — tędy ciągnął ją Paul. Kilka kroków dalej stali zbici w ciasną grupkę przyjaciele, rozmawiając i przyglądając się im z niepokojem. Maya leżała z uniesionymi, podpartymi nogami.

Zaczęła trząść się gwałtownie.

— Jeśli nie przestaniesz, znowu dostanie konwulsji — powiedziała Benedetta.

— Lepiej mieć konwulsje, niż przestać oddychać. — Paul nadal prowadził masaż serca.

Benedetta przyklękła obok nich. Twarz miała ściągniętą cierpieniem.

— Przestań, Paul — powiedziała. — Ona oddycha. Sądzę, że jest przytomna. — Spojrzała na Paula. — Czy Maya umrze?

— Prawie umarła tam, w moich ramionach. Kiedy wyciągnąłem ją z basenu, jej źrenice miały inne rozmiary.

— Czy przeżyje jeszcze dziesięć lat? Dziesięć lat to przecież tyle co nic. Wiem, że kiedyś umrze i że ja będę po niej płakać, ale dlaczego ma umierać dziś?

— Życie jest za krótkie — stwierdził po prostu Paul. — Życie zawsze będzie za krótkie.

— Chciałabym, żeby to była prawda. — Benedetta westchnęła. — Naprawdę, mam nadzieję, że tak. Wierzę w to z całego serca.

* * *

Medyczni gliniarze zabrali Mayę do Pragi. Miało to coś wspólnego z możliwością oskarżenia jej o nadużycia sieciowe. Najwyraźniej większość dowodów znajdowała się w Pradze.

Nikt z Biura Dostępu nie miał jednak zamiaru jej aresztować. Gliniarze z Czeskiego Biura Dostępu nienawidzili najwyraźniej greckich gliniarzy medycznych i gardzili nimi z całego serca; był to zapewne objaw przedziwnej europejskiej konkurencji międzywydziałowej. Maya robiła, co mogła, by wyjaśnić okoliczności sprawy. Kiedy wreszcie gliniarze z Biura Dostępu na pierwszym piętrze zorientowali się mniej więcej, w czym rzecz, zaczęli się na nią denerwować. Powiedzieli, że się z nią skontaktują, po czym zaczęli tłumaczyć, że wraz z eskortą powinna wynieść się z ich biura, najlepiej do jakiegoś innego kraju.

Maya czuła wyłącznie obrzydzenie na myśl o powrocie do szpitala, uparła się więc, że nie wyjdzie i poprosiła o znalezienie Helene Vauxcelles-Serusier. Wahający się, niepewni gliniarze niechętnie spełnili tę prośbę i przydzielili jej numer.

Wraz z Brett Maya siedziała teraz w trójkątnej poczekali na ohydnym różowym plastykowym krzesełku. Po godzinie greccy medyczni gliniarze sprawdzili kajdanki śledzące i monitor tiarowy, po czym, zadowoleni z rezultatów, wyszli. Po ich wyjściu nie działo się właściwie nic.

— No, jest znacznie gorzej, niż się spodziewałam — powiedziała

Brett.

— Strasznie dziękuję, że zdecydowałaś się przejść przez to wszystko wraz ze mną. Wiem, że strasznie się nudzisz.

— Nie, nie. — Brett poprawiła spexy. — To prawdziwy zaszczyt być twoją osobistą przedstawicielką mediów. Jestem doprawdy wzruszona, że poprosiłaś przyjaciół, by do mnie zadzwonili, że dałaś mi tak wielką szansę. To fascynujące doświadczenie. Zawsze tak bardzo bałam się władz. Nie miałam pojęcia, że są w stosunku do nas tak zupełnie, tak całkowicie obojętne. Że po prostu lekceważą młodych ludzi.

— Nie w tym rzecz. Kto mógł, wyjaśniał im przecież, że nie jestem młoda. Chodzi chyba o to, że jestem Amerykanką. To znaczy, chodzi o to, że nawet dziś ludzie pozostający poza lokalną jurysdykcją sprawiają tylko dodatkowe kłopoty.

Brett zdjęła spexy. Zapatrzyła się w stare, popękane płytki podłogi.

— Żałuję, że nie potrafię cię znienawidzić, Mayu — powiedziała.

— Z jakiego powodu?

— Bo jesteś wszystkim, czym zawsze chciałam być. To ja powinnam związać się z młodymi ludźmi, ekspertami od sztuczki. To ja powinnam być tam, na wybiegu. Ukradłaś mi życie. A teraz, w dodatku, zrobiłaś coś, co uznali za ważne. Ba, dopiekłaś im! Ja nigdy nawet nie marzyłam o tym, że uda mi się im dopiec.

— Przepraszam — powiedziała Maya.

— Marzyłam, że tyle dokonam. Zabrakło mi śmiałości, by zrobić cokolwiek. A przecież mogłam zrobić coś. Chyba. Jak myślisz? Jesteś ładna, ale nie ładniejsza ode mnie. Sypiasz z kim popadnie… no cóż, ja też sypiam z kim popadnie. Pochodzimy z tego samego miasta. Mam tylko dwadzieścia lat, ale ty, kiedy miałaś dwadzieścia lat, wcale nie byłaś mądrzejsza ode mnie. Prawda?

— Prawda, oczywiście.

— Mam talent. Umiem projektować ubrania. Ty nie umiesz projektować ubrań. Co masz takiego, czego ja nie mam?

— No i z tym wszystkim siedzę na komisariacie — westchnęła Maya. — Może ty mi powiesz, co mam, a czego ty nie masz?

— Nie jesteś młoda. W tym rzecz, prawda? Ukradłaś mi życie, ponieważ jesteś ode mnie starsza, silniejsza. Więc tobie zawsze było łatwo. Oczywiście, możesz wpaść w panikę, możesz doznawać paraliżującego poczucia winy, możesz nawet na śmierć przerazić się głupiego augmentowanego psa, ale nawet kiedy nie wiesz, kim jesteś, w pewien sposób wiesz jednak, kim jesteś. Jesteś pięciokrotnie starsza ode mnie i pięciokrotnie silniejsza. I nie masz zamiaru zejść mi z drogi.

— Ludzie w Tête są młodzi. Młodzi jak ty.

— Jasne. I uwielbiają cię, prawda? Gdybyś miała moje lata, uważaliby cię za prowincjuszkę i idiotkę, tak jak mnie uważają za prowincjuszkę i idiotkę. Bo jestem prowincjuszką i idiotką. Oni są mądrzy, mają talent, obycie, i najlepsze, co mogę zrobić, to stać za zamkniętymi drzwiami, zaglądać do środka przez dziurkę od klucza i strasznie im zazdrościć. Mając moje lata, wcale nie poradziłabyś sobie lepiej. Wręcz przeciwnie, radziłabyś sobie znacznie gorzej. Nie pozwoliłaś nawet swojemu chłopcu zabrać się do Europy. Rzuciłaś go i wyszłaś za mąż za jakiegoś biotechnika. Zostałaś zwykłą biurokratką, Mio.

Maya przymknęła oczy i odchyliła się do tyłu w niewygodnym krzesełku. Brett miała całkowitą rację… a cała ta dyskusja była tak całkowicie bezsensowna.

— Wolałabym, żebyś nie nazywała mnie Mią.

— A ja wolałabym, żebyś nie nazywała mnie Brett.

— Dobrze, doskonale, jeśli musisz, nazywaj mnie Mią.

— Nienawidzę nawet tego, że ty wcale nie odpłacasz mi nienawiścią. Trzymasz mnie przy sobie po prostu dlatego, że jestem dla ciebie jak maskotka na szczęście. Jak ten twój chomik. Nie potrafiłaś utrzymać przy sobie nawet chomika.

— Ten chomik nieźle dal mi do wiwatu. Ty zresztą też zalazłaś mi za skórę.

— Nawet mówisz jak jakaś baba sprzed stu lat. Cały świat chyba zgłupiał. No, bo wystarczy przecież uważniej ci się przyjrzeć i wszystko jasne! Masz straszne włosy. I wiesz, te bruzdy na szyi, nie, nie zmarszczki, nie pozwolono im zostać zmarszczkami, tylko że z pewnością nie są naturalne.

— Przestań, Brett! Mówisz kompletnie bez sensu. Najpierw twierdzisz, że ukradłam ci życie, a potem, że i tak nie zrobiłabyś z nim niczego sensownego. Więc jaki w końcu jest ten twój wielki problem? Jasne, osiemdziesiąt lat temu być może poradziłabyś sobie znacznie lepiej, ale osiemdziesiąt lat temu nie było cię jeszcze na świecie. Nie romantyzuj przeszłości przy kimś takim jak ja. Ja żyłam w tej przeszłości, rozumiesz? Osiemdziesiąt lat temu żyliśmy praktycznie jak dzikusy. Mieliśmy epidemie, rewolucje, ludzie umierali masowo, zdarzały się wielkie finansowe krachy. Kiedy byłam młoda, ludzie strzelali do siebie z pistoletów. W porównaniu ze światem sprzed osiemdziesięciu lat ten świat to raj! A teraz znowu napadłaś na mnie, i dalej bez sensu.

— Ale, Mio, ja przecież nie umiem mówić z sensem, jak ty. Mam zaledwie dwadzieścia lat.

— Nie płacz, na litość Boską!

— Mam dwadzieścia lat i jestem dorosła. Tylko, że nie mogę zrobić nic ważnego! Nie mam nawet szansy udowodnić, że jestem

głupia. Podejrzewam, że prawdopodobnie rzeczywiście jestem głupia, przeżyłabym, wiedząc, że jestem głupia, przysięgam, przeżyłabym. Robiłabym coś innego, nie pracowałabym w sztuczce, żyłabym sobie jak jakieś zwierzątko. Miałabym dzieci, może kopałabym w ogródku albo coś w tym stylu. W wielkim, bezpiecznym świecie, który dla mnie budowaliście, nie wolno mi jednak nawet tego. Niczego mi nie wolno!

Pojawiło się dwóch czeskich policjantów. Nie byli to policjanci sieciowi, ani medyczni, ani artystyczni, tylko zwykli, a może raczej niezwykli prascy gliniarze. Z kieszeni różowych mundurów wyjęli karty foniczne i przeczytali Mayi długą listę jej praw. Potem aresztowali ją i tym sposobem włączyli w miejscowy system prawny. Oskarżono ją o naruszenie praw imigracyjnych i pracę bez zezwolenia.

Brett została wyrzucona z gmachu. Wrzeszczała po angielsku i w ogóle narobiła zamieszania, ale czescy gliniarze byli cierpliwi, znieśli wszystko, wywalili ją na ulicę i otrzepali dłonie. Maya została najpierw rozebrana, a potem ubrana w żółtobrązowy więzienny kombinezon. Monitory na jej przegubach i tiarę na głowie pozostawiono, gdzie były.

Następnie prascy gliniarze zabrali ją do odległego o parę przecznic wieżowca i zainstalowali ją w bardzo czystym areszcie. Tam dopiero Maya z ulgą stwierdziła, że jak na razie nie oskarżono jej jeszcze o: a/ nadużycia sieci, b/ oszustwo medyczne, c/ współudział w nielegalnym spuszczeniu odpadów do miejskiej sieci kanalizacyjnej, d/ umożliwienie pośmiertnej ucieczki gangstera, e/ wielokrotne podróże bez uiszczenia należnej opłaty.

Przez kilka dni nikt jej nie niepokoił. Żywiono ją standardową, najzdrowszą możliwą dietą medyczną. Pozwolono jej oglądać telewizję, dostała także talię kart. Roboty wjeżdżały do celi co godzinę, oferując jej rozrywkę w postaci mocno ograniczonej ich zasobem angielskiego słownictwa konwersacji. Więzienie było niemal całkowicie puste, praktycznie nie używane, a w związku z tym niezwykle ciche. Na oddziale detoksykacji trzymano kilku Cyganów. Nocą słyszała ich śpiewy.

Trzeciego dnia Maya pozbyła się tiary. Nie zdołała jednak zdjąć bransolet.

Czwartego dnia Helene kazała przyprowadzić ją na przesłuchanie. Helene miała maleńki gabinet na najwyższym piętrze Biura Dostępu. Mayę zaskoczyło, że jej gabinet jest taki stary, taki mały i taki zaniedbany. Niewątpliwie należał do Helene, bowiem na ścianie wisiały schludnie oprawione, odręczne szkice, warte prawdopodobnie więcej niż cały budynek. Maya przez dziesięciolecia pracowała jednak w biurach lepiej wyposażonych niż to.

Helene pozbyła się cywilnych ciuchów. Wystąpiła w olśniewającym, różowym, przepasanym szerokim pasem mundurze.

Poza nią w pokoju znajdowało się wyłącznie jedno okno, jedno krzesło i jedno biurko. Oraz mały biały piesek.

Zza biurka wystawił łeb wielki brązowy pies.

Maya zagapiła się na niego.

— Cześć, Platonie — powiedziała.

Pies postawił uszy. Nie odpowiedział.

— Platon teraz nie mówi — wyjaśniła jej Helene. — Odpoczywa.

Platon nadal był wychudzony, miał jednak lśniącą sierść i zimny, wilgotny nos. Nie nosił ubrania, Helene kupiła mu natomiast nową śliczną obróżkę.

— Wygląda znacznie lepiej. Bardzo mnie to cieszy.

— Proszę, niech pani usiądzie, pani Ziemann.

— Może przeszłybyśmy na ty? Nie chcę gwałcić twego wspaniałego francuskiego nazwiska mą wymową.

Helene rozważała tę kwestię przez chwilę.

— *Ciao,* Maya — powiedziała w końcu.

— *Ciao,* Helene — odparła Maya i usiadła.

— Bardzo mi przykro, ale na parę dni musiałam wyjechać z miasta. W interesach.

— Nie ma sprawy. Co to znaczy dla ludzi takich jak my?

— Świetnie! Masz na myśli dobro publiczne! Żałuję, że nie wykazałaś tego rodzaju cierpliwości, pozostając pod nadzorem medycznym.

— Trafiona — szepnęła Maya.

Helene milczała. Z marzycielskim wyrazem twarzy wyglądała przez okno.

Maya odpowiedziała jej milczeniem. Fascynował ją łuszczący się lakier na jej paznokciach.

Niemniej to jednak Maya złamała się pierwsza.

— Mogę czekać tak długo, jak i ty czekasz — wybełkotała, chwaląc się i najoczywiściej w świecie łżąc. — Podoba mi się wystrój twojego gabinetu.

— Czy wiesz, że kuracja, której cię poddano, kosztowała sto tysięcy marek?

— Sto tysięcy trzysta dwanaście.

— A ty tymczasem wymyśliłaś sobie krótkie wakacje w Europie!

— Czy coś to komuś pomoże, jeśli powiem, że bardzo mi przykro? Jasna sprawa, że wcale nie jest mi przykro, ale jeśli komuś ma to pomóc, powiem wszystko, żeby tylko zapanowała zgoda.

— A co jest w stanie spowodować, iż szczerze powiesz, że jest ci przykro?

— Praktycznie rzecz biorąc, nic. Ale… rzeczywiście jest mi przykro, ponieważ straciłam fotografie.

— Tylko tyle? — Helene bawiła się w przeglądanie zawartości

biurka. Znalazła dyskietkę i pokazała ją Mayi. — Masz — powiedziała.

— Och! — Maya przytuliła dyskietkę do piersi. — Skopiowałaś je! Och, nie wierzę, ale odzyskałam je! — Pocałowała dyskietkę. — Strasznie ci dziękuję!

— Wiesz, że to bardzo złe zdjęcia, prawda?

— Tak, wiem, ale robię się coraz lepsza.

— Cóż, na to doprawdy nic nie jesteś w stanie poradzić. Udało ci się wykonać kilka pastiszów Nováka. Poza tym jesteś beztalenciem.

Maya zagapiła się na nią nieruchomym spojrzeniem.

— Nie sądzę, żebyś była w stanie mnie osądzić — powiedziała.

— Oczywiście, że jestem w stanie cię osądzić — odparła Helene z nieskończoną cierpliwością. — Nikt nie jest do tego lepiej przygotowany. Znałam Patzelta, Pauliego i Beckera. Wyszłam za mąż za Capassa. Znałam Ingrid Harmon, nim komukolwiek przyszło w ogóle do głowy, że umie malować. Pani nie jest artystką, pani Ziemann.

— Nie sądzę, bym się skompromitowała jako studentka, biorąc pod uwagę, że studiuję ten przedmiot od zaledwie czterech miesięcy.

— Sztuki nie zasila zbiornik wspomagania metabolicznego. Gdyby sztuka wywodziła się ze zbiornika, byłaby najautentyczniejszą kpiną z prawdziwego talentu, prawdziwego natchnienia. Te fotografie są po prostu banalne.

— Paul jest innego zdania.

— Paul. — Helene westchnęła. — Paul nie jest artystą. Jest teoretykiem, bardzo młodym, bardzo zaangażowanym i bardzo złym teoretykiem. Podstawowym błędem, który popełnili, było działanie przy założeniu, że sztuka i nauka dadzą się zmieszać jak whisky z wodą sodową w szklaneczce. Nie dość, że jest to prostackie, to jeszcze drażniące. Nauka nie jest sztuką. Nauka to zestaw obiektywnych technik zezwalających na reprodukowanie wyników. Nauką mogą swobodnie zajmować się maszyny. Sztuka nie polega na powtarzalności wyników. Tworzenie to akt głęboko subiektywny. Ty jesteś kobietą o podzielonej, głęboko rozbitej subiektywności.

— Jestem kobietą o innej subiektywności. I z całą pewnością wolę pomieszać raczej sztukę i naukę niż krytykę sztuki i działalność policyjną.

— Nie jestem artystką, już raczej troszczę się o artystów.

— Jeśli do tego stopnia pogardzasz nauką, czemu właściwie jeszcze żyjesz?

Helene nie odpowiedziała.

— Czego właściwie aż tak się boisz? — spytała ją Maya. — Nie cieszy mnie perspektywa obalenia paru twoich ukochanych mitów, lecz jeśli sztuka jest w stanie wypełznąć z obiektywu aparatu fotograficznego, to nie powinna mieć problemów z wypełznięciem ze

zbiornika wspomagającego. Po prostu nie byłaś nigdy we właściwych zbiornikach. We mnie płonie teraz święty płomień. To chyba bardzo głupia nazwa, ale jest jednocześnie prawdziwa jak ziemia, więc niby czemu ma mnie obchodzić, jak go nazywacie?

— Więc mi go pokaż — powiedziała Helene, splatając dłonie na piersiach. — Pokaż mi jedną prawdziwie wspaniałą rzecz. Pokaż mi coś naprawdę imponującego, czego dokonałaś wraz ze swymi przyjaciółmi. Nie wliczę w to włamań komputerowych, w końcu każdy idiota jest w stanie przełamać czterdziestoletnie systemy zabezpieczeń. Nie wliczam w to nowych środków przekazu, w końcu każdy dureń reklamuje się odkryciem nowych środków przekazu. To sprytne sztuczki, ale bez żadnej głębi. Grupa Tête uwielbia się skarżyć i skamleć, ale w naszych czasach artyści mają wszystko po swej stronie. Wykształcenie. Ogrom wolnego czasu. Doskonale zdrowie. Darmowe jedzenie. Darmowe schronienie. Nieograniczone możliwości podróży. Czasu, ile tylko sobie zamarzą, by doskonalić się w swym rzemiośle. Dostają wszystkie możliwe w ramach sieci informacje, mają do dyspozycji światowe dziedzictwo sztuki. I co dostaliśmy w zamian za to wszystko? Manifestację złego smaku.

— Czego ty właściwie od nich chcesz? Twój świat ich stworzył. Twój świat stworzył mnie. Czego ode mnie chcesz?

Helene tylko wzruszyła ramionami.

— I co mam z tobą zrobić? — spytała retorycznie.

— Daj spokój — odparła Maya. — Nie powiesz mi, że do tej pory nie zdecydowałaś już, jak rozwiążesz ten problem!

Helene szeroko rozłożyła ręce.

— Dzieciaki nic nie rozumieją — stwierdziła. — One naprawdę myślą, że świat kamienieje. Nie mają pojęcia, jak cienka granica dzieli nas od chaosu. Chcą władzy. Władzy bez odpowiedzialności, ostrożności, dojrzałości. Chcą zmieniać sobie mózgi. A ty im w tym pomogłaś! Czy twój mózg nie został wystarczająco zmieniony?

— Może. Wiem, że całkiem poważnie się odmienił. Uwierz mi, ja to czuję. Ale nic więcej nie potrafię ci powiedzieć.

— Nie potrafisz mi powiedzieć! Jakie to optymistyczne! Wyobraź sobie, że we współczesnym świecie istnieją prawdziwi buntownicy. Szaleni buntownicy, prawdziwi staroświeccy fanatycy, tyle że wypełzający z nowiuteńkich zbiorników wspomagających. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że przy pomocy standardowego zestawu do nalewek można wytworzyć gaz paraliżujący w ilości wystarczającej, by otruć mieszkańców sporego miasta? No i proszę, kochanie, siedzisz tu owinięta prześlicznym furoshiki, gwałcąca prawa natury z siłą, której nie miarkuje sumienie… a oni myślą, że jesteś fajna. Sama siebie uważasz za fajną. Oni myślą, że my wszystko trzymamy za gardło, a my niczego nie trzymamy za gardło. Połowa populacji świata

odpuściła sobie obiektywną rzeczywistość. Ci ludzie po prostu odchodzą od zmysłów na entheogenach. Wszyscy oni są pewni, że spotkali Boga i, gdyby nie fakt, że kochają swój rząd i ufają mu, już zarzynaliby się na ulicach.

— No to dobrze się składa, że funkcjonariuszy rządowych tak łatwo pokochać.

— Przecież to właśnie ty byłaś rządem. Pracowałaś jako ekonomistka medyczna, nie mylę się, prawda? Doskonale wiesz, jak bardzo się staraliśmy. Wiesz, czego dokonaliśmy i jakim kosztem. Okradłaś biednych, uczciwych ludzi, uciekając dla zabawy z wielką sumą ich pieniędzy zainwestowanych w twoje ciało. Uważasz, że to w porządku? Dokonaliśmy cudu, budując sprawiedliwe społeczeństwo, w którym bogaci i potężni nie depczą biednych i nie kradną im samego życia.

— Owszem, głosowałam za tym wszystkim — powiedziała Maya.

— Te dzieciaki przyjmują zbudowany przez nas świat za prostą oczywistość. Myślą, że są nieśmiertelne. Może nawet mają rację, ale są także pewne, że zasłużyły na nieśmiertelność. Myślą, że przedłużenie czasu życia to jakiś mistyczny skok technologiczny. Mylą się. Nie ma w nim nic mistycznego. Zwykli ludzie ciężko pracują, by postęp ten był możliwy. Ludzie łamią sobie głowy i serca, dają z siebie wszystko tylko po to, by powstrzymać pochód śmierci. Nie jesteś artystką, kiedyś jednak wspomagałaś społeczeństwo. Teraz czynisz mu świadomą krzywdę.

— Dopiekli ci, prawda?

— Więcej, zaszkodzili, i nie tylko mnie.

— Cieszę się, że ci dopiekli.

— A ja cieszę się, że usłyszałam od ciebie te słowa — powiedziała bardzo spokojnie Helene. — Myślałam, że jesteś szalona, że jesteś kobietą niezdolną dokonać jednoznacznych wyborów moralnych. Teraz wiem, że zło wybrałaś celowo.

— I co masz zamiar mi zrobić? Nie jesteś w stanie zmienić mnie w Mię.

— Oczywiście, że tego nie uda mi się dokonać. Żałuję, ale jest już za późno. Eksperymenty nie przynoszą czasami oczekiwanych rezultatów, dlatego są eksperymentami. Potrafimy jednak powstrzymać je, by zwrócić się ku rozwiązaniom bardziej produktywnym.

— Aha!

— Jesteś ekonomistką medyczną. Twoim zajęciem była niegdyś ocena tego rodzaju kuracji, nie mylę się? Jak oceniłabyś kurację, kończącą się fałszerstwami i szaleństwami?

— Helene, czy ty naprawdę próbujesz mi powiedzieć, że inni pacjenci reagowali na NTRDK tak jak ja?

— Nie. Z całą pewnością nie. Przeszło połowa zachowywała się wręcz wzorowo. Tym ludziom szczerze współczuję. Zapisali się na kurację w dobrej wierze, spełnili obowiązki, które nałożyło na nich społeczeństwo, a teraz znaleźli się na mieliźnie. Są rozbitkami, ofiarami nieudanej próby. A wszystko przez beztroskich malkontentów, takich jak ty.

— Przecież to wspaniała nowina! — Maya roześmiała się. — Jestem teraz szczęśliwa! To cudownie wiedzieć, że ma się braci, siostry… I jeszcze oddałaś mi zdjęcia! To złe zdjęcia, ale przynajmniej dowodzą niezbicie, że nie jestem Mią.

— Nie dowodzą niczego.

— A właśnie, że tak! Jeśli nie dowodzą teraz, to dowiodą w przyszłości. Dowiodą, że teraz jestem lepsza. Dowiodą, że jestem lepsza od Mii. Dobra, do roboty, Helene. Odetnij mnie od kuracji. Udowodnię, że jestem przydatna. Zmuszę wszystkich do przyznania, że jestem przydatna. Dla tego świata jestem warta o wiele więcej niż jakieś nędzne sto tysięcy marek.

— Nie udowodnisz tego mnie.

— Jeszcze zobaczymy. Ale, w gruncie rzeczy, co ty właściwie wiesz? Jesteś bogata i sławna, uwielbiało cię mnóstwo mężczyzn, jesteś jedną z największych kolekcjonerek sztuki w XXI wieku. Też mi cud, czego to wszystko dowodzi? Powiedz mi, kto jest twoim ulubionym fotografem?

— Musiałabym pomyśleć. — Helene pomyślała. — Helmut Weisgerber — powiedziała w końcu.

— Co? Ten facet, który fotografował pejzaże Arktyki? Alpinista? Naprawdę lubisz Weisgerbera?

— Lubiłam go wystarczająco, by wyjść za niego za mąż.

— I naprawdę sądzisz, że Weisgerber był lepszy od Capasso? Przecież Eric Capasso był zmysłowy, żywy. Z pewnością był z niego bardzo wesoły człowiek.

— Capasso miał wielki talent, był jednak szalenie melodramatyczny. W duszy pozostał scenografem. Za to Weisberger… nikt nie dorasta do pięt klasycznemu Weisbergerowi.

— Muszę przyznać, że szalenie lubię jego cykl „Zeschłe liście".

— Ja go zamówiłam.

— Naprawdę? Helene, to musiało być coś fantastycznego…

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Zamówiłam nam mineralkę — wyjaśniła Helene. — Obsługa tu jest bardzo powolna. *Entrez!* — podniosła głos.

Drzwi otworzyły się. Stała w nich Brett.

— Chodź, Brett — powiedziała Maya. — Właśnie dyskutowałyśmy o estetyce. — Brett położyła plecak na podłodze. — Brett, to Helene. Helene, Brett. To znaczy Natalie. Przepraszam.

— To teren zamknięty — powiedziała Helene, wstając zza biurka. — Obawiam się, że muszę poprosić cię, byś wyszła.

— No więc przekradłam się. — Brett poprawiła spexy. — Myślałam, że może zaczniesz ją bić gumowym wężem albo coś w tym stylu, więc przyszłam to udokumentować.

— Rozmawiamy o fotografii — wyjaśniła jej Maya.

— Ma zamiar dać ci regulator zachowań?

— Nie. Sądzę, że zamierzają zrezygnować z mojej techniki przedłużania życia. Najwyraźniej wywołałam mnóstwo zamieszania.

— Ach, tak? Jakież to istotne! Banda bogatych gerontokratów i lewa kuracja medyczna. Fascynujące! — Brett podeszła do okna i wyjrzała na dwór. — Ładny widok — stwierdziła. — Pod warunkiem, że lubi się elektrownie.

Helene przyjrzała się jej ze zdumieniem.

— Panienko, tu się odbywa policyjne przesłuchanie! Poufne przesłuchanie. Nie ma tu dla ciebie miejsca.

— Co zamierzacie zrobić z tymi dzieciakami od sztuczki?

— Ten temat jeszcze nie wypłynął — poinformowała ją Maya.

— Gdybym tylko miała broń, chętnie zabiłabym was obie — stwierdziła Brett, otwierając okno.

— Brett, co ty wyprawiasz!

Brett przeszła pod uchylnym skrzydłem okna i stanęła na parapecie.

— Powstrzymaj ją! — Maya niemal krzyczała. — Aresztuj ją!

— Jak mam ją powstrzymać? Nie mam broni!

— Na litość Boską, dlaczego nie masz broni?

— Czy wyglądam na kogoś, kto nosi broń? — zapytała Helene. Podeszła do okna. — Młoda damo, masz zaraz wrócić do pokoju!

— Chcę skoczyć — powiedziała niewyraźnie Brett.

Maya podbiegła do okna. Brett przesunęła się natychmiast, wydostając się poza jej zasięg.

— Brett, kochanie, przecież to głupota. Proszę, nie rób tego. Nie musisz tego robić. Możesz z nami porozmawiać, Brett. Wróć do pokoju.

— Wcale nie chcesz ze mną rozmawiać. Nic, co powiem, nie będzie miało dla ciebie znaczenia. Po prostu nie chcesz, żeby cię zawstydzić.

— Proszę, wróć — błagała ja Maya. — Wiem, jaka jesteś dzielna. Mnie niczego nie musisz udowadniać.

Brett podniosła do ust złożone dłonie. Wiał mocny wiatr, rozwiewając jej włosy.

— Hej, ludzie! — krzyknęła. — Mam zamiar skoczyć!

Maya i Helene przepychały się, walcząc o miejsce przy oknie.

— Idę za nią — powiedziała Maya, opierając kolano na parapecie.

— Nigdzie nie idziesz. Jesteś pod nadzorem policji. Siadaj!

— Nie usiądę!

Helene odwróciła się i powiedziała kilka słów po francusku, zwracając się do psów. Biały piesek raźnym truchtem wybiegł z pokoju przez otwarte drzwi. Platon wstał, wlepił w Mayę nieruchome ślepia i zawarczał z głębi gardła.

Maya usiadła. Helene wychyliła się przez okno.

— Zjedź mi z oczu, gliniaro — krzyknęła Brett. — Mam święte prawo, by się zabić, jeśli tylko zechcę. Nie odbierzesz mi tego prawa!

— Zgoda, masz prawo do samobójstwa i nikt nie pragnie pozbawić cię twych praw. Ale przecież nie myślisz jasno. Jesteś mocno wyprowadzona z równowagi. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że brałaś narkotyki. Jeśli się zabijesz, nie zmieni to niczego.

— Oczywiście, że zmieni — zaprotestowała Brett. — Dla mnie zmieni wszystko.

— To bardzo zła decyzja — powiedziała z napięciem Helene. Robiła co mogła, żeby uspokoić dziewczynę. — Zranisz tych, którzy cię kochają. Jeśli zabijesz się dla sprawy, zdyskredytujesz tę sprawę w oczach wszystkich rozsądnych ludzi. — Helene obejrzała się. — Czy ona należy do grupy Paula? — syknęła. — Pierwszy raz ją widzę.

— To tylko taki dzieciak — odparła Maya.

— Jak ma na imię? Zapomniałam.

— Natalie.

Helene znów wysunęła głowę na zewnątrz.

— Natalie, spójrz na mnie! — krzyknęła. — Natalie, przestań. Natalie, mów do mnie.

— Myślisz, że chcę żyć wiecznie — powiedziała Natalie.

I skoczyła.

Maya podbiegła do okna. Natalie leżała na ulicy, roztrzaskana, a wokół niej gromadził się tłum. Ludzie przemawiali do netlinków, próbując dowiedzieć się, co mają zrobić, albo wzywając pomoc.

— Nie jestem w stanie na nią spojrzeć — powiedziała Helene, drżąc. Wycofała się do pokoju. Wzięła Mayę za ramię. Maya wyrwała się jej.

— Widziałam to tyle razy. — Helene westchnęła. — Po prostu zabijają się. Ujmują swój los w swoje ręce i popełniają samobójstwo. Wymaga to wielkiej siły woli.

— Powinnaś pozwolić mi wyjść za nią.

Helene z trzaskiem zamknęła okno.

— Zostałaś aresztowana i ja ponoszę za ciebie odpowiedzialność. Nigdzie nie pójdziesz i nie popełnisz samobójstwa. Siadaj.

Platon wstał i zaszczekał. Helene złapała go za obrożę.

— Biedactwa — powiedziała, ocierając oczy. — Musimy pozwolić im odejść. Nie mamy wyboru… Biedactwa, ale w końcu to tylko

ludzie.

Maya wymierzyła jej policzek. Helene spojrzała na nią zaskoczona i zdumiona, a potem powoli odwróciła twarz.

— Ulżyło ci, kochanie? — spytała. — Spróbuj z drugiej strony.

6

Ameryka nigdy serio nie zainteresowała się pociągami. Amerykanie cierpią na uwarunkowaną historycznie obsesję na punkcie prywatnych samochodów. Mayi nie stać było na samochód. Czasami, jeśli tego chciała, łapała okazję. Przeważnie po prostu maszerowała.

Maszerowała przez wiejski region Pensylwanii. Nauczyła się już lubić prosty fizyczny akt stawiania jednej stopy przed drugą. Polubiła prostotę i oczywistość marszu, polubiła sposób, w jaki marsz wyzwala człowieka od wszelkich ograniczeń, umieszcza go w prostym, fizycznym, namacalnym świecie. Marsz jako taki nie jest przecież niczym nielegalnym. Marsz nic nie kosztuje, maszerującego trudno wyśledzić. Marsz to słodki i całkowicie pozbawiony przemocy sposób na zejście z czyjejś kretyńskiej oficjalnej mapy.

Maya miała czapkę chroniącą głowę przed słońcem, plecak i zmianę ubrania. Miała też manierkę i niewielki zapas jedzenia, które daje się żuć przez dłuższy czas. Maszerowała w dość starych, ale bardzo przyzwoitych, doskonale zaprojektowanych i praktycznie niezniszczalnych butach. Nikt jej nie zaczepiał. Była sama, była samą sobą. Łagodnie i bez wstrząsów stała się sobą; nikt nie obserwował jej, nie liczył uderzeń jej serca. To, że mogła bez przeszkód rozkoszować się realnością świata, że mogła sama dzień w dzień spotykać się z codziennością, zaskakiwało ją raz za razem.

Lubiła Pensylwanię, bo wokół tego zakątka świata nikt nie robił szumu i nikt się nim nie przejmował. Teraz szczególnie lubiła właśnie takie spokojne miejsca. Oczywiście, trudno byłoby jej znaleźć miejsce, w którym mogłaby się ukryć… nie w epoce, w której prawo, środki masowego przekazu, a nawet większość sztuki można po prostu wydzwonić, ale miejsca najzupełniej zwykłe i codzienne najlepiej nadawały się dla takiego jak ona egzotycznego mutanta makroewolucji.

Jeśli Europa była butikiem, to Ameryka pozostała farmą. Tu, w prowincjonalnej części Pensylwanii, nadal spotykało się rowerzystów, a od czasu do czasu nawet autostopowiczów. Niewielu jednak było ludzi podobnych do niej, ludzi oczarowanych zwykłym marszem i oglądaniem widoków. Pensylwania nie była szczególnie ceniona jako turystyczna nisza kontynentu amerykańskiego, choć miejscowi Amisze wzbudzali pewne zainteresowanie.

Za Perkasie minął ją samochód, zjechał na pobocze, zatrzymał się. Wysiadła z niego dwójka doskonale ubranych indonezyjskich turystów. Turyści ci poprawili na ramionach lśniące nowością plecaki i ruszyli w jej kierunku. Spieszyli się. Maya, nikomu nie pozwalająca się już poganiać, szła nadal swoim rytmem.

Kiedy Indonezyjczycy podeszli bliżej, mężczyzna pociągnął kobietę za rękaw. Oboje gwałtownie pomachali jej, krzyczeli coś.

Maya zatrzymała się i zaczekała na nich.

— *Ciao* — powiedziała raczej niepewnie.

— Dzień dobry — powitała ją kobieta.

Maya przyjrzała się kobiecie i nagle doznała wrażenia, jakby uderzył w nią grom z jasnego nieba. Nieznajoma miała na sobie indonezyjską kreację, szykowną i w doskonałym gatunku, nie była jednak Indonezyjką lecz Amerykanką. I wydawała się znajoma… a właściwie znacznie więcej niż znajoma. Wyglądała jak ktoś bardzo dla niej ważny; Maya miała uczucie, że jest kimś bardzo dla niej ważnym, kimś najważniejszym, wcielonym przeznaczeniem. Zalała ją fala okultystycznego rozpoznania, nieprawdopodobna, instynktowna fala czułości i tęsknoty.

Gapiła się na tę kobietę, jak na anioła, który zstąpił na ziemię.

— Czy pani jest Mią Ziemann? — spytał mężczyzna.

Maya zamknęła usta. Energicznie potrząsnęła głową.

— Nie — odparła. — Nazywam się Maya.

— Co zrobiłaś z moją matką! — zaniepokoiła się kobieta.

Maya patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem.

— Chloe! — krzyknęła nagle.

Oczy kobiety rozszerzyły się. Chloe odprężyła się nieco. Spróbowała uśmiechu.

— Mamo, to ja — szepnęła nieśmiało.

— Nic dziwnego, że tak bardzo cię kocham — powiedziała z ulgą Maya i nagle roześmiała się.

Zabawne, stracić tak strasznie dużo, a jednocześnie tak niewiele. Szczegóły umknęły jej, zniknęły poza krawędzią pamięci, pozostała jednak niepokojąco wielka miłość matki do dziecka. Niemal nie znała tej kobiety, kochała ją jednak o wiele bardziej, niż się spodziewała.

Nie przypominało to już macierzyństwa. Macierzyństwo było bardzo rzeczywiste, bardzo codzienne, było instynktowną relacją z innym człowiekiem, pełną oddania, wysiłku i napięcia, skażoną gorzkim wyrachowaniem i starciem interesów. Teraz jednak wszystko to zniknęło jak wymieciony wiatrem piasek. Obecność tej nieznajomej kobiety wypełniła Mayę bezgraniczną radością. Samo istnienie Chloe odebrała jako tryumf na skalę wszechświata. Było to, jak słuchanie nauk oświeconego buddyjskiego mnicha.

— Mam nadzieję, że pamiętasz Suhaery'ego? — spytała Chloe. — Pamiętasz go, prawda? Musisz.

— Doskonale wyglądasz, Mio — stwierdził z galanterią mąż Chloe. Ten Indonezyjczyk był jej mężem od czterdziestu lat, czyli co najmniej dwukrotnie dłużej, niż Mia była w stanie utrzymać przy sobie córkę. Mia nadal czuła cień zastarzałego, przesyconego nawet

uprzejmością, ale jednak wstrętu, który pierwszy raz odczuła dawno temu, gdy dowiedziała się, że jej córka ma zamiar poślubić Indonezyjczyka. Indonezyjczycy na swej gigantycznej wyspie mniej mieli problemów z epidemiami niż inne narody. W kolejnych dziesięcioleciach w pełni wykorzystali swą przewagę.

Czasy te minęły jednak bardzo dawno. Chloe i Suhaery byli teraz małżeństwem w średnim wieku, mieli po sześćdziesiąt kilka lat. Eleganccy i zamożni, czuli się w swym towarzystwie całkowicie swobodnie. Byli obywatelami najbogatszego państwa na świecie i sprawiali wrażenie niesamowicie z tego dumnych.

— Jakim cudem udało się wam mnie znaleźć? — spytała Mia.

— Och, to wcale nie było łatwe, mamo. Próbowaliśmy sieci, policji, próbowaliśmy wszystkiego. W końcu przyszło nam do głowy spytać Mercedes. Twoją gosposię.

— Och! Powinnam się domyślić, że Mercedes będzie wiedziała.

— W każdym razie miała swoje uzasadnione podejrzenia. Prosiła, żebyśmy ci powtórzyli, że przykro jej, iż tak często cię karciła. Nadal uważa to, co zrobiłaś, za całkowicie niemoralne, ale tyle osób już prosiło ją o wywiady… no wiesz przecież, jak to jest. Gwiazda!

Maya wzruszyła ramionami.

— Nie, obawiam się, że nie wiem. Jak świeci dziś moja gwiazda?

— Mamo — powiedziała Chloe z westchnieniem — tym razem doprawdy przesadziłaś, prawda? Zawsze wiedziałam, że nie jesteś taka spokojna, jak mogłoby się wydawać. Zawsze wiedziałam, że tylko udajesz. Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia nie wytrzymasz i wybuchniesz. To był twój największy problem, mamo — nigdy nie osiągnęłaś prawdziwej duchowości.

Maya spojrzała na Suhaery'ego. Mąż jej córki okazał się zwykłym, tęgim, praktycznym azjatyckim biznesmenem. Był dla niej prawdziwą podporą, grał gwiezdną rolę psychicznej kotwicy. W czystych, porządnie wyprasowanych szortach szedł teraz zarośniętym chwastami poboczem drogi w obcym kraju. Nagle zdała sobie sprawę, że Indonezyjczyk uważa całą tę sytuację za szalenie zabawną. Że ma krewnych żony za pomylonych ekscentryków. No, niewiele się pomylił.

— Co o tym wszystkim myślisz, Harry? — spytała.

— Mia, wyglądasz cudownie. Jesteś jak kwitnąca róża. Wyglądasz jak Chloe tego dnia, kiedy ją spotkałem.

— Nie powinieneś jej tego powiedzieć — skarciła go Chloe. — Zachowałeś się niewłaściwie, i to na kilka różnych sposobów.

Suhaery zakpił z niej po malajsku i roześmiał się wesoło.

— Próbowaliśmy znaleźć cię w San Francisco — mówiła dalej Chloe — ale ludzie z kliniki wcale, ale to wcale nam nie pomogli.

— No tak… owszem… jak by to powiedzieć… prawdę mówiąc, ja

i personel kliniki mamy się nawzajem dosyć.

— Mądrzej byłoby jednak wrócić i poddać się ich kontrolowanej opiece, mamo. To znaczy, oczywiście, niewielką masz już wartość jak obiekt doświadczalny, niemniej jednak…

— Myślałam, żeby to zrobić, naprawdę myślałam. Rzecz w tym, że gdybym wróciła do tych ciołków, upokorzyła się przed nimi i zdecydowała żyć w medycznie kontrolowanym środowisku, prawdopodobnie podreperowałabym sobie pozycję medyczną, ale wiecie co? Nic mi po tym! To burżuje! To filistyni. Doprowadzają mnie do mdłości! Nie w tym rzecz, bym ich oskarżała o to, co się ze mną stało, ale… wiecie… zbyt jestem zajęta. Mam co robić.

— Na przykład, co?

— Po prostu lubię maszerować. Ziemia, niebo, gwiazdy, słońce… wiecie, jak to jest.

— Żartujesz sobie z nas, prawda?

— No… trochę też fotografuję. Amisze są tacy malowniczy i tak świetnie pozują. To znaczy, dzieci Amiszów wyglądają zupełnie tak, jak normalne dzieci, są normalnymi dziećmi, a potem widać, jak zmieniają się z dziesięciolecia na dziesięciolecie. Amisze koło siedemdziesiątki… naturalny proces starzenia… to zdumiewające i trochę przerażające. A jednak wyczuwam w nich coś organicznego… Amisze są doprawdy wspaniali. Przecież wiedzą, poznają, że według ich standardów jestem czymś w rodzaju niemożliwego potwora, ale zachowują się tak miło, tak sympatycznie. Po prostu pogodzili się z nami, postludźmi. Jakby robili uprzejmość całej reszcie ludzkości.

Chloe zastanawiała się przez chwilę nad jej słowami.

— A co właściwie robisz z tymi wszystkimi fotografiami Amiszów? — spytała w końcu.

— Praktycznie nic. Ciągle jeszcze nędznie fotografuję. Jestem kiepskim początkującym fotografem i mam kiepski aparat. Ale to nic, potrzebuję przede wszystkim praktyki. Zwłaszcza kompozycja kadru…

Chloe i Suhaery wymienili spojrzenia.

— Mamo — powiedziała Chloe — Harry i ja sądzimy, że dobrze by było, gdybyś na jakiś czas wróciła z nami do Dżakarty.

— Na litość Boską, a dlaczego właściwie miałabym to zrobić?

— Mamy wielki apartament, a w Azji inaczej podchodzi się do pewnych spraw. Z większym zrozumieniem.

— Gdybyś tylko postanowiła uciec do Indonezji! — wtrącił z zapałem Suhaery. — Europejczycy… oni wszyscy są szaleni. Nie umieją odpoczywać, nawet kiedy już są bogaci. Z Europejczykami dzieje się coś bardzo złego. Europejczycy po prostu nie potrafią żyć.

— Harry, czy ty naprawdę chcesz, żeby pod twoim dachem zamieszkała zwariowana teściowa?

— Jesteś niegroźną słabą istotą — powiedział łagodnie

Suhaery. — Zawsze cię lubiłem, Mio, nawet wtedy, kiedy się mnie bałaś.

— Nie, tego nie mogę zrobić. Nie ma mowy. Przykro mi.

— Mamo, ktoś musi się tobą zaopiekować. Pozwól, że to my się tobą zaopiekujemy. Zasługujesz na to, wiesz? Ile razy poświęcałaś się dla mnie? Przez całe lata!

— Daj spokój.

Chloe westchnęła.

— Mamo, masz prawie sto lat. A w dodatku zlikwidowano twoją kurację!

— Czy wyglądam na staruszkę? Mogłabym uchodzić za dwudziestolatkę. Jasne, gdybym wróciła do laboratorium, lizała im ręce, mogłabym żyć znacznie dłużej, ale na razie jest nieźle, no i oczywiście nie robię żadnych idiotyzmów. Jem zdrowo, sypiam jak zabita i ćwiczę, ćwiczę, ćwiczę. Przyjrzyj się moim nogom. Widzisz moje nogi? Mogłabym jednym kopnięciem wybić dziurę w ścianie tej malowniczej stodoły!

— Mamo, przestań mówić i posłuchaj. Żyjesz jak włóczęga, jak jakiś wyrzutek. Zgadza się? Zachowujesz się dziwnie, a już z całą pewnością nieodpowiedzialnie. Ci inni ludzie, ci którzy przeszli taką jak ty kurację, także są niesamowici. Mam wrażenie, że wy wszyscy mielibyście szansę wygrać w sądzie. Powinniście bronić się, w końcu nadużyto waszego zaufania jako pacjentów. I powinniście użyć właściwych wejść. To, co ci się zdarzyło, nigdy nie było i nadal nie jest twoją winą. Powinniście się zorganizować.

— Kochanie, gdybyśmy się zorganizowali, przede wszystkim przestalibyśmy się dziwnie zachowywać, prawda?

— Powinnaś porozmawiać z tymi ludźmi. Przez sieć.

— Nie mam dostępu do sieci. I założę się o co chcesz, że oni też go nie mają.

— Mamo, dlaczego nie masz dostępu do sieci? Powinnaś się z nami kontaktować. Oboje z Harrym omal nie oszaleliśmy ze strachu, prawda, Harry?

— To prawda, Mio — poparł ją lojalnie Suhaery. — Martwiliśmy się o ciebie.

Chloe wzięła głęboki oddech.

— Widzę, że nie jesteś już człowiekiem, mamo, i potrafię się z tym pogodzić. Cóż, zdarza się. Pozostałaś jednak moją matką. Nie możesz po prostu uciec, nie możesz nam tego zrobić. To niesprawiedliwe.

— Twój ojciec postąpił dokładnie tak.

— Nie, wcale nie. Porzucił ciebie, ale nigdy nie porzucił mnie. Tata rozmawia ze mną zawsze, kiedy mam ochotę z nim porozmawiać. I przynajmniej zawsze wiem, gdzie jest. Za to nigdy nie

wiem, gdzie jesteś ty. Nikt nie wie. Wiesz, jak długo szukaliśmy cię na tych bocznych dróżkach?

— Nie mam pojęcia. Jak długo?

— Wystarczająco długo — powiedział Suhaery z uśmiechem. — Być może nawet za długo. Twoja córka i ja jesteśmy bardzo cierpliwymi ludźmi.

— Nie mogłaś przynajmniej się z nami połączyć? Nie umieralibyśmy ze strachu. Mamo, proszę. Chcesz sobie pomaszerować tu i tam, dobrze, w porządku, ale, mamo, nie uciekniesz przecież przed swą karmą i dharmą.

— Słuchajcie, nie mam pieniędzy.

Suhaery zręcznym ruchem sięgnął do kieszeni porządnie odprasowanych spodni.

— To żaden problem — powiedział. — Dwadzieścia marek tygodniowo? Czy może to za dużo?

— Dwadzieścia marek? — powtórzyła Mia. — Och!

Suhaery, zachwycony, szybko pokiwał głową.

— Przyjmij od nas trochę pieniędzy — poprosił. — Co w tym złego? Dwadzieścia marek to nie jest suma, która zrobiłaby nam jakąkolwiek różnicę. Będziesz miała kieszonkowe, Mio. Rentę rodzinną. Przecież jesteśmy twoją rodziną, wiesz? Uszczęśliwiłabyś nas.

— Co musiałabym robić za tą… rentę?

— Ależ nic! Po prostu kontaktuj się z nami. Od czasu do czasu. To wszystko. Czyżbyśmy prosili o zbyt wiele?

Chloe energicznie kiwała głową.

— Wymagasz opieki, naprawdę, mamo. Teraz będziemy mogli się tobą zaopiekować. Założymy dla ciebie konto. Jesteśmy w tym dobrzy.

— No…

— Przecież sama zrobiłabyś to dla mnie, prawda? O, do licha, już kiedyś zrobiłaś! Pamiętasz, jak dawałaś mi kieszonkowe, kiedy byłam na warunkowym zwolnieniu?

— Dawałam? — Maya milczała przez chwilę. — No dobrze — powiedziała w końcu — to chyba ma sens. Doskonale, niech będzie po waszemu.

Chloe otarła załzawione oczy.

— Teraz jestem taka szczęśliwa! — powiedziała sentymentalnie. — Zabawne, widzieć cię taką piękną…

* * *

Kieszonkowe w pewien sposób zmieniło jej sytuację. Maya zupełnie nie potrafiła teraz zarządzać pieniędzmi, ale cotygodniowe przekazy mimo wszystko zmieniły jej status z wyrzutka, włóczęgi, na przedstawicielkę najniższych warstw społeczeństwa. Nadal miała na własność tyle rzeczy, ile była w stanie unieść, ale częściej się kąpała, lepiej jadła i od czasu do czasu włączała się do sieci.

Włączanie się do sieci niosło jednak w sobie pewne ryzyko. Pies znalazł ją w Des Moines tylko dlatego, że włączyła się do sieci.

Maya stwierdziła, że Des Moines ma kiepską prasę i w rzeczywistości jest całkiem przyjemne. Znalazła w nim wiele interesujących gmachów, świadczących o regionalnych wpływach Indianapolis. Zorientowała się, że w kwestiach dotyczących współczesnej architektury Paul był nieco cyniczny i krótkowzroczny. Kiedy już raz człowiek nauczył się patrzyć na współczesną architekturę, widział fale trendów, przeciekających przez starą zabudowę: tympanon tu, portal tam, organiczną oprawę okna, nawet pokrywy włazów…

Kiedy wymeldowywała się z hotelu, zobaczyła postpsiego psa i jego producenta, jedzących śniadanie w restauracji. Psa rozpoznała od razu i zrobiło się jej go żal. Nie miała wątpliwości, że nawet jeśli udałoby się jej niepostrzeżenie opuścić hotel, pies poszedłby jej śladem. Nie bała się go jednak, teraz właściwie nie bała się już nikogo i niczego. W tanim amerykańskim hotelu w Iowa, siedzący nad ciastem i zestawem wyspecjalizowanych kolorowych syropów, pies i jego producent wyglądali bardzo smutno.

Podeszła do ich stolika.

— *Ciao,* Aquinas — powiedziała.

— Cześć — powiedział zaskoczony pies. Jego zazwyczaj doskonały garnitur wyglądał teraz nieco niechlujnie, może z powodu obroży na szyi. Miał niewidomego producenta.

Producent poprawił tłumacza, zwisającego z wielkiego, mięsistego ucha. Był Niemcem, starszym i bardzo grzecznym.

— Usiądź, proszę, Mayu — powitał ją. — Czy zjadłaś? Jadasz? Jadłaś?

— Dobrze — zgodziła się Maya.

— Chcieliśmy poprosić cię o wywiad. — Aquinas mówił doskonałą, swobodną angielszczyzną.

— Naprawdę?

— Zrobiliśmy już wywiady z *Herr* Cabanne i *signoriną* Basrotti.

— Z kim?

— Z Paulem i Benedettą — wyjaśnił jej pies.

Słysząc te imiona, Maya poczuła ukłucie w sercu. Brak Paula i Benedetty odczuła nagle tak, jakby serce na moment przestało jej bić.

— Co u nich słychać? — spytała.

— No, oczywiście stali się sławni.

— Ale tak naprawdę.

— Udało im się uniknąć kłopotów natury prawnej. Odnieśli wielki sukces polityczny. Słynna też stała się historia ich rozstania. Schizma w obrębie ruchu artystycznego. Nic o tym nie wiedziałaś?

Podeszła kelnerka, człowiek. Ludzka obsługa była akcentem typowym dla Des Moines. Maya zamówiła wafle.

— Czy możemy porozmawiać na ten temat przed kamerą?

— Nie słyszałam nic o żadnej schizmie. Nie jestem na bieżąco. Nie mam nic do powiedzenia.

— Ależ oni oboje wypowiadali się o tobie w samych superlatywach! Powiedzieli nam nawet, że powinniśmy się z tobą skontaktować. Pomogli nam cię zlokalizować.

— Zdumiewa mnie, że tak doskonale mówisz po angielsku, Aquinasie. Widziałam cię mówiącego po niemiecku, słyszałam nawet czeski dubbing, ale…

— Dubbing załatwia wszystko — wyjaśnił skromnie pies. — Dubbing tuż ponad poziomem mózgowym. Karl ma dla ciebie prezent od przyjaciół. Aport, Karl!

— Doskonale. — Karl wstał posłusznie, wziął białą laskę, włączył ją i odszedł, bezbłędnie lawirując wśród stolików.

— Naprawdę nie mogę pokazać się w twojej audycji — powiedziała Maya. — Nie muszę już odgrywać żadnych ról.

— Stałaś się ikoną — zauważył Aquinas.

— Wcale nie czuję się ikoną. A w każdym razie, najlepszym sposobem na pozostanie ikoną jest nie wystawianie się za często na publiczny widok, prawda?

— Mówisz jak Greta Garbo.

— Lubisz stare filmy? — zdziwiła się Maya.

— Szczerze mówiąc, nienawidzę starych filmów. Nie przepadam nawet za przestarzałym medium, dla którego pracuję, czyli telewizją. Za to niezwykle interesuje mnie proces powstawania gwiazdy.

— Nigdy nie prowadziłam tak wyrafinowanej rozmowy z psem. Nie mogę wystąpić w twoim programie, Aquinasie. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Miło się nam jednak rozmawia. W telewizji wydajesz się znacznie większy. I jesteś szalenie interesujący. Nie wiem, czy nazwać cię psem, czy sztuczną inteligenqą, a może jeszcze inaczej, ale niewątpliwie jesteś autentyczną osobą. Masz głębię, prawda? Moim zdaniem powinieneś rzucić pop-kulturę by, na przykład, napisać książkę.

— Nie umiem czytać — wyznał pies.

Podano wafle. Maya zajęła się nimi entuzjastycznie.

— Głupio tak przyjechać do Des Moines i niczego nie uzyskać —

poskarżył się Aquinas.

— Zrób wywiad z burmistrzem — poradziła mu Maya. Mówiła z pełnymi ustami.

— Nie sądzę, by to coś dało.

— To wróć do Europy i porozmawiaj z Helene Vauxcelles-Serusier. Wyrównaj rachunki.

— Dlaczego niby miałbym z nią rozmawiać? — zainteresował się pies. — I gdzie ją mogę znaleźć?

Karl wrócił do stolika. Przyniósł jej prezent od Paula i Benedetty. Maya odsunęła wafle, otworzyła pudełko, zdjęła wyściółkę. Prezentem okazał się aparat fotograficzny — stary ręczny aparat fotograficzny z rodzaju tych, którymi kiedyś robiło się zdjęcia na rolkach kolorowego filmu. Ten antyk został przystosowany do zdjęć cyfrowych i wyposażony w zestaw wejść do sieci. Był piękny, ciężki, solidny. W porównaniu ze współczesnymi sprawiał wrażenie wykutego z granitu.

Dołączona była do niego kartka papieru z kilkoma napisanymi ręcznie zdaniami.

„Nie wierz w to wszystko, co o nas mówią", nabazgrała Benedetta.

„Po pierwsze i najważniejsze, kochamy naszych heretyków i wybaczamy im", napisał Paul równym, czytelnym charakterem pisma.

* * *

Daniel mieszkał teraz w Idaho. Zszedł na ziemię.

Maya poczuła granicę jego prywatnego królestwa, liczącego sobie jakieś osiem hektarów. Granicy nie wyznaczał płot ani ogrodzenie, chodziło raczej o samą substancję ziemi. Być może była to kwestia pierwiastków śladowych? Może jakiś skutek stosowanych przez niego metod ogrodniczych? Czy sama inteligencja jest w stanie sprawić, by drzewa szybciej rosły?

Drzewa, krzaki, ptaki, nawet owady… nic tu nie sprawiało wrażenia całkiem właściwego. Wyglądało to raczej tak, jakby ktoś poświęcał im fantastyczną wręcz uwagę. Gałęzie niczym z obrazów mistrzów, ptaki śpiewające z precyzją artystów operowych.

Jej były mąż kopał ziemię szpadlem. Daniel miał teraz może metr dwadzieścia wzrostu. Jego kości skróciły się, podobnie jak kręgosłup, mięśnie zaś prężyły się na łydkach i udach niczym u Neandertalczyka. Daniel był stary i nieprawdopodobnie wręcz silny, wydawało się, że jest w stanie bez najmniejszego wysiłku złamać szpadel.

— Cześć, Mia — powiedział ochrypłym głosem. Brakowało mu

praktyki w mówieniu.

— Cześć, Danielu.

— Zmieniłaś się — powiedział, mrużąc oczy. — Minęło sporo czasu?

— Dla mnie owszem, minęło sporo czasu.

— Wyglądasz jak Chloe. Pewnie nawet pomyślałbym, że jesteś Chloe, gdybym nie wiedział, że przyjeżdżasz.

— Ja nadal myślę o tobie jako o Danielu — wyznała Maya. — Sama nie wiem, dlaczego.

Daniel nie odpowiedział. Wycofał się do szopy.

Weszła za nim do jego nędznego, małego schronienia, wyłożonego pierzem, gałęziami, suchymi liśćmi i pewnie trylionami gigabajtów informacji, przechowywanych w splecionych myceliach. Tu, w Idaho, Daniel najwyraźniej zapuścił korzenie. Zintegrował się z samą istotą pejzażu. Stał się *genius loci,* duchem opiekuńczym swej ziemi. Każde drzewo, każdy krzak, każdy kwiat, każda gąsienica, wszystko genetycznie przystosowane do dźwięku. Daniel nie tyle opiekował się tym miejscem, co, w jakimś najgłębszym sensie tego słowa, stał się nim. Stał się drobną cząstką Idaho.

Zimą hibernował.

— Napijesz się wody? — wychrypiał.

— Nie, dziękuję.

Daniel wypił z kubka w kształcie liścia zebraną rosę.

— I co nowego, Danielu?

— Nowego? — przez chwilę się zastanawiał. — Och, przecież zawsze jest coś nowego. Mówią, że trzeba zrobić coś z niebem. Oczyścić je. Zarodnikami.

— Zarodnikami?

Daniel wypił jeszcze trochę wody, wytarł fantastycznie pomarszczone czoło i zaczął wyjaśniać. Najwyraźniej się rozgrzewał.

— Tak. Przez pewien czas niebo będzie koloru grzyba. Zachody słońca powinny wyglądać interesująco. Techniki naprawiania atmosfery. Bardzo użyteczne. Bardzo dalekowzroczne, bardzo mądre. Dobra gospodarska praktyka. — Daniel bardzo się starał mówić do niej językiem, który potrafiłaby zrozumieć. Oboje byli stworzeniami dwunożnymi, żyjącymi pod niebem, w świetle dnia. Tyle ich do siebie upodabniało.

— Nie sądzę, by ugoda spróbowała czegoś o takim rozmachu. Obsianie nieba grzybem. Nie sądzę, by ugoda nadal miała tyle wyobraźni.

— Nie, ugoda nie ma wyobraźni, ale to nie ich pomysł. Ludzie skrzywdzili niebo, a to będzie odpowiedź. Nowa potworność przeciw starym potwornościom. Jesteśmy bogami, Mio. Czemu nie mielibyśmy dobrze wykonać roboty bogów?

— Czy jesteś potworem, Danielu? I kto powiedział ci, że jesteś bogiem?

— O co ci chodzi?

Odwrócił się, pokazując jej zgarbione plecy. Wyszedł z szopy. Wrócił do pracy. Jest bogiem, zdecydowała Mia. Kiedy żyli ze sobą, nie był bogiem, tylko człowiekiem, dobrym człowiekiem. Teraz już nie jest człowiekiem, stał się bogiem, bardzo prymitywnym i na bardzo niewielką skalę. Był prymitywnym, parowym bogiem. Bogiempłazem, pracowicie grzebiącym w błocie, przygotowującym grunt dla przyszłej rasy gadów. Nieważnym bogiem, czymś w rodzaju skrzata, gnoma, driady. Robił, co tylko możliwe, używając dostępnej mu techniki, ale dostępna mu technika niemal na nic nie wystarczała. Maszyny okazały się takie nietrwałe, maszyny przepłynęły po prostu przez materię wszechświata niczym wylew przez mózg boga, a potem ludzie przestali przez nie być ludźmi. Ale nie przestali być.

— Chciałabym zrobić ci zdjęcie, Danielu — powiedziała.

Danielowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Maya uniosła aparat. Zobaczyła go przez obiektyw i nagle zdała sobie sprawę, że to jest to, że zaraz zrobi pierwsze swoje naprawdę dobre zdjęcie. Widziała jego jakość w linii ramion Daniela, w nieprawdopodobnej strukturze tego, co nazywał twarzą. Surowość duszy, która dawno przeżyła konieczność swego istnienia. Zrozumiała ich oboje i krążący z nimi świat jako jedność i całość, zrozumiała to w krótkiej, jaskrawej, gorącej od zrozumienia chwili. Jej pierwsze prawdziwe zdjęcie. Takie rzeczywiste, takie piękne.

Trzasnęła migawka.

Tytuł oryginału: *Holy Fire*
Wydawnictwo MAG, 1997
Redaktor serii: Andrzej Miszkurka
ISBN 83-86572-67-1
Wydanie I
Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Dolna 43/45, 00-773 Warszawa
tel./fax (0-22) 416042 lub (0-22) 412175
e-mail: mag@medianet.com.pl